

TAJEMNICA GROBOWCA

Powieść z życia francuskiego

(W 3-ch tomach)



Krwawa noc

I.

NA CMENTARZU.

Dwudziestego grudnia 1877 roku o godzinie ósmej zrana termometr inżyniera Cheralies wskazywał dziesięć stopni poniżej zera. Wiatr dosyć silny dął od strony północno-wschodniej. Pogoda była chmurna, ponura. Cienka warstwa śniegu, spadłego nocą, pokrywała dachy i skrzypiała pod stopami przechodniów. Stan nieba i drobne płatki, unoszące się w powietrzu, zapowiadały widocznie, że warstwa ta wkrótce zgrubieje. Godzina ósma z rana w zimie, to pora, kiedy robotnicy idą do swych zatrudnień.

Pięciu zuchów ręce założywszy w kieszenie, czapki nasunąwszy na uszy, dolną część twarzy zasłoniwszy szerokim szalikiem, wchodziło właśnie prędkim krokiem na cmentarz Pere Lachaise przez bramę naprzeciw ulicy Roquette, „wielkie wejście" jak ją nazywają karawaniarze i wszyscy żałobnicy. Po długich, białych bluzach, włożonych na ubranie, można było poznać na pierwszy rzut oka, że to są kamieniarze lub polerownicy marmurów.

Przy bramie stał stróż zziębnięty, przestępował z nogi na nogę, chociaż od zimna bronił się grubym płaszczem z podwójnym kołnierzem, i dozorował dwóch robotników, którzy zmiatali śnieg z drogi i osypywali chodnik piaskiem, dla zapobiegnięcia nieszczęśliwym wypadkom. Zobaczywszy pięciu idących, stróż zaczął się śmiać.

— A wy co to robicie? — zawołał — czy to dzisiaj robota, Cabirolu?

Idący przystanęli, a ten, którego stróż nazwał Cabirolem odpowiedział:

— Na taki czas pracować, panie Paskalu, albo to kto może? cement tak marznie, że ani go weź, a dłóto przylgnie ci w jednej chwili do palców.

— Więc po co u licha tu idziecie?

— Przyszliśmy pookrywać rogożami naszą robotę i pochować narzędzia. Zobaczysz pan, że śnieg zaraz bedzie padał.

— Idźcie, moje dzieci, ja sam pójdę rozgrzać się póki nie nadejdzie jaki pogrzeb.... brrr! jakie zimno!

Stróż kazał to i owo zrobić zamiatającym śnieg, którzy miotłami wywijali zawzięcie, co parę minut w ręce chuchając, poczem wszedł do swej komórki opalanej małym żelaznym piecykiem. Robotnicy tymczasem podążyli dalej.

Cmentarz Pere Lachaise znany jest wszystkim; miejsce to spoczynku umarłych rozległe, a we wszystkich „przewodnikach“ wskazują je za jedną z głównych osobliwości Paryża.

Któż też z Paryżan nie był na tym cmentarzu podzielonym żelaznemi kratami i sztachetami drewnianemi na niezliczone cząstki, w których mieszczą się groby lub mogiły?

Kto z ciekawością nie przyglądał się tym pomnikom grobowym, większym i mniejszym, bogatszym i skromniejszym, z napisami, godłami, ozdobami i herbami tym pomnikom wszelakiego stylu i prostym, skromnym, wzruszającym i przesadą swoją do śmieszności dochodzącym.

Dokoła grobów mnóstwo nieśmiertelników, mnóstwo świeżego i zwiędłego kwiecia, bluszczu smętnego, cyprysów melancholicznych, cały gaj krzewów.

Całun nieskazitelnej białości powlekał siedzibę śmierci. Drzewa ogołocone z liści, wyciągały po nad grobami gałęzie obciążone szronem.

Na cmentarzu panowała cisza uroczysta.

O godzinie tak wczesnej nikt po alejach nie chodził, żadna istota ludzka nie klęczała, nie modliła się przy mogile.

Mylimy się... Była jedna, ale tylko jedna...

Był to człowiek lat pięćdziesięciu, który co tylko przyszedł z wiankiem w ręku i dążył przez wielką aleję, prowadzącą do kaplicy w górnej części cmentarza.

Szal w czarne kratki z białemi zakrywał mu część twarzy od dołu.

Od kapelusza niskiego z szerokiemi skrzydłami cień padał na policzki. Na sobie miał szeroki paletot, obszyty futrem.

Pięciu robotników, którzy przed kilku minutami rozmawiali w bramie ze stróżem, udało się prawą aleją, ciągnącą się obok słynnego grobu Abelarda i Heloizy.

Szli tą aleją aż do placyku, gdzie stoi pomnik Berryera z posągiem znakomitego grobu Abelarda i Heloizy.

Tu ziemia spuszczać się zaczynała na dół, a przy placyku schodzi się kilka aleji, prowadzących do dolnego cmentarza.

Zamiast pójść jedną z alei, robotnicy nasi weszli na niewielkie schódki, ułożone wśród mogli i znaleźli się na ścieżce [illegible] między pomnikami.

Tu mieścił się oddział dziewiętnasty

[illegible]k, którego stróż nazwał Cabirolem, był podmistrzem w [illegible] warsztacie, gdzie pracowali jego towarzysze.

Szedł naprzód, inni za nim gęsiego.

Nagle zatrzymał się naprzeciw wielkiego grobowcą w stylu gotyckim, do którego prowadziły drzwi z otworem w kształcie trójliścia i krzyknął przeraźliwie.

— Co takiego — spytał robotnik, który szedł tuż za nim.

Podmistrz rękę wyciągnął ku ziemi.

— Patrz... — odezwał się głosem drżącym.

— Cóż to? — mówił dalej robotnik — a to jakby krew?

— A tak — prędko odpowiedział Cabirol — to krew, ale skąd?

Trzeci robotnik zbliżył się do grobowca.

— Stąd! — wykrzyknął, wskazując na próg z czarnego marmuru, przy którym widać było strugę skrzepniętej krwi.

— Co to znaczy? — szepnęło dwóch czy trzech robotników.

— Niech djabli mnie porwą, jeśli wiem, ale musimy się dowiedzieć — powiedział Cabirol i wspiąwszy się na palce, przyłożył oczy do drzwi żelaznych grobowca.

— Widzicie tam co? — zapytały ciekawe głosy.

— Nic, nic.

— A jednak to stamtąd.

— Widzę tę ścianę naprzeciw, może z drugiej strony będzie lepiej...

— Poszukajmy...

Mówiąc to, robotnicy otoczyli grobowiec dokoła.

Grobowiec był dość wysoki, rozmiarów majestatycznych i zajmował przestrzeń około dwudziestu ośmiu do trzydziestu łokci kwadratowych. Ściany boczne, tak samo, jak i drzwi, zaopatrzone były w otwory, lecz otwory te znajdowały się tak wysoko, że zajrzeć w nie nawet olbrzym nie mógłby. Jednak łatwo było dać sobie z tem radę.

— Podstawiajcie plecy! — rozkazał Cabirol.

Jeden z robotników, ciekawością pałający, czemprędzej stanął przy ścianie i podstawił grzbiet. Podmistrz wlazł na tę zaimprowizowane schody, uchwycił się za płaskorzeźbę i dosięgnąwszy otworu przesunął przezeń głowę. Nagle wykrzyknął, rzucił się w tył i padł blady jak śmierć, wargi mu drżały, twarz wyrażała zgrozę...

Robotnicy otoczyli go natychmiast, a na widok tak wyraźnego przestraszenia, sami stali zastraszeni. Strach wysoce jest zaraźliwy, sami bali się, nie wiedząc czego. Nareszcie jeden z nich spytał niepewnym głosem:

— Cóż tam jest?

— Kobieta.

— Kobieta? — powtórzyli czterej robotnicy.

— Tak.

— Nieżywa... zabita!...

Ostatnie to słowo wzmogło do szczytu wzruszenie i przestrach. Robotnicy lękliwie obejrzeli się dokoła, jakby im jakieś niewidzialne niebezpieczeństwo groziło. Pierwszy Cabirol odzyskał zimną krew.

— Prędzej! prędzej! — zawołał — trzeba wyjaśnić tę straszną historję, która jest dla mnie niepojętą. Ale może kto lepiej zobaczy odemnie. Niech jeden z was zawiadomi dozorcę, a my tutaj poczekamy...

— Idę! — odezwał się najmłodszy z robotników.

I pobiegł do dozorcy, którego kancelarja znajdowała się po prawej stronie od wejścia obok cmentarza żydowskiego. Przez drogę powtarzał sobie ciągle:

— Co za zdarzenie! mój Boże, co za zdarzenie!

Trzech robotników i podmistrz chodzili przed grobowcem, czekając na przybycie swego towarzysza z dozorcą.

— Kobieta zamordowana wewnątrz — rzekł jeden — to nie tak łatwo zrozumieć.

— A juści! — jakże to sobie wytłomaczyć — zapytał drugi — łeb sobie łamię, a nic nie mogę wymyślić.

— Może też wcale nie było zabójstwa — wtrącił trzeci — kobieta ta mogła wczoraj wejść do grobowca, ażeby się pomodlić, pośliznęła się na schódkach, upadła, w głowę się uderzyła i zemdlała.

— To niemożebne! — odezwał się podmistrz.

— Dlaczego?

— Bo w takim razie klucz byłby w zamku i nicby nami nie przeszkodziło drzwi otworzyć.

— To prawda!

— Mamy przed sobą zbrodnię, ani wątpić o tem — zresztą dowiemy się zaraz, co mamy myśleć.

W tejże chwili na skraju ścieżki, prowadzącej do grobowca, ukazał się człowiek, którego widzieliśmy już na cmentarzu, w paltocie, obszytym futrem i w kapeluszu z szerokiemi skrzydłami. W ręce wciąż jeszcze trzymał wianek z nieśmiertelników. Na widok robotników drgnął z lekka i zatrzymał się, jakby szukał mogiły. Zobaczywszy jakąś, na której wystawało drewienko do wianków, podszedł ku niej, powiesił swój upominek na trójkącie, osłoniętym z góry daszkiem śnieg pokrywający kamień, strzepnął chustą od nosa i ukląkł.

Spostrzegł go jeden z robotników.

— To ci wcześnie przyszedł i nie boi się mrozu! — zawołał.

— E! stary — odparł Cabirol — uczucie nie zna godzin, i kiedy ból w sercu, nie zważasz — czy ciepło, czy zimno.

— Człowiek ten opłakuje może syna lub córkę;

— Albo żona go odumarła.

— Tylko nie teściowa, bo nie przyszedłby modlić się na jej grobie.

— A może prosi nieboszczkę, żeby nie wracała.

Żart ten, chociaż bardzo płaski, zwłaszcza na cemntarzu, wywołał wybuch śmiechu. Teściowe bowiem nie bardzo są lubiane.

Wesołość przerwały dolatujące głosy czyjeś i prędkie kroki.

— To zapewne Piton powraca z dozorcą — rzekł Cabirol.

Nie mylił się. Dozorca cmentarza Pere Lachaise szedł prędko, a towarzyszyło mu trzech stróży i dwóch robotników.

Człowiek z wiankiem zdawał się być zatopiony w swej modlitwie i żałości, lecz może w rzeczywistości nie tak, jak z pozoru sądzićby można, bo usłyszawszy głosy i kroki, szybko się obejrzał. Gdy zobaczył przybyłych, wyraźny niepokój odbił się na jego twarzy, przepuścił ich obok siebie, potem zaraz wstał i wolnym krokiem, jakby dając się powodować nieprzezwyciężonemu pociągowi, skierował się ku grobowcowi, który otaczano.

W tej chwili, kiedy trzecią część drogi przeszedł dozorca, nachyliwszy się nad wielką plamą czerwoną, zwracającą uwagę na śniegu, zawołał:

— To krew!

I zwróciwszy się do podmistrza, dodał:

— Toś pan widział ciało tej kobiety w środku grobowca?

Cabirol skłonił się i odrzekł:

— Tak, panie dozorco! — kolega nadstawił mi plecy i zajrzałem przez otwór w ścianie bocznej.

— Wiem... wiem...

— Biedna kobieta leży na wznak w poprzek drzwi.

— Panowie — rzekł dozorca głosem drżącym ze wzruszenia — dwadzieścia pięć lat tu już jestem i ani razu nic podobnego nie wydarzyło się na cmentarzu Pere Lachaise! Przypuszczać ani sposób, żeby to był przypadek. Zbrodnię spełniono, zbrodnię dziwną, tajemniczą, niepojętą. Mam prawo oczywiście drzwi te natychmiast otworzyć, lecz uważam, że lepiej to uczynić przy komisarzu. Zresztą przyjdzie on wkrótce, bo jak mi tylko powiedziano, zaraz po niego posłałem.

— Co pan każe, panie dozorco? — spytał jeden ze stróżów.

— Czekając na komisarza, powinniście tymczasem pomyśleć, jakby potem przenieść ciało. Idź z dwoma robotnikami po nosze.

Stróż oddalił się.

— Nie mamy klucza od tego grobowca — mówił dalej dozorca — trzeba iść po narzędzia do złamania zamku.

— Zaraz znajdę wszystko, co potrzeba, w tym grobie, który stawiamy — odezwał się Cabirol — pobiegnę zaraz i przyniosę.

I już się odwrócił, ale dozorca powstrzymał go temi słowy:

— Nie, zostań pan, lepiej poczekać na zlecenia komisarza. Zawołaj raczej ślusarza Franciszka Ferrot — dodał, zwracając się do jednego ze stróżów — idź do niego na ulicę Roquette i poproś, ażeby tu przyszedł z kluczami i wytrychami. Ani słowa nikomu

nie piśnij o tem, coś tu słyszał. Nawet Ferrot niech się o tem dowie tutaj dopiero... zabezpieczymy się od gapiów, bo nic nieznośniejszego niema nad tych natrętów.

— Możesz pan być spokojny, panie dozorco.

Drugi stróż odszedł w tę samą stronę, co pierwszy.

— Ja mogę dostarczyć obcęgów i młotka — rzekł Cabirol — może się to przyda.

— Masz pan słuszność, przezorność większa nie zawadzi. Poślij pan którego ze swych robotników po narzędzia, na wszelki przypadek, gdyby trzeba było łamać zamek.

Jeden z robotników odłączył się od gromadki i pobiegł ku nowo wybudowanemu grobowi.

— A to dopiero przykra awantura — mówił dalej dozorca, zwracając się do otaczających go ludzi, a raczej na głos mówiąc do nich — cmentarz naturalnie pilnowany jest dobrze, dyżurni chodzą przez całą noc, no i widzicie, co się stało. Nie mamy nic sobie do zarzucenia, sumienie nasze czyste, ale to nie przeszkodzi sędziom oskarżyć nas o opieszałość! Bardzo niemiła awantura, bardzo niemiła!

Jakkolwiekbądź wolno szedł człowiek z wiankiem nieśmiertelników, zrównał się wreszcie ze stojącymi. Zbliżywszy się do gromadki, skłonił się wszystkim i zapytał grzecznie z nieśmiałą miną:

— Co się tutaj stało?

— Ot, mamy już jednego gapia — pomyślał dozorca. Nie przeszkodziło mu to jednak wywzajemnić się ukłonem i odpowiedzieć, wprawdzie raczej paltotowi, obszytemu futrem, niż pytającemu:

— Stała się tu rzecz bardzo przykra...

— Przykra? — powtórzył nieznajomy.

— Tak, panie... nocy dzisiejszej spełnione zostało morderstwo na cmentarzu Pere Lachaise, na cmentarzu tak dobrze strzeżonym!

— Prawda, widzę na śniegu coś czerwonego — rzekł człowiek w paltocie futrzanym — czyżby to była krew?

— Tak, to krew.

— Skądże się wzięła?

— Z tego grobowca... spojrzyj pan, pode drzwiami krwawa kałuża.

— Więc zbrodnię popełniono po za temi drzwiami?

— Tak, i gdyby żelazo było przezroczyste, ujrzałbyś pan trupa kobiety, leżącego na płytach.

Człowiek w paltocie futrzanym po raz drugi drgnął. Nerwowy dreszcz przebiegł mu po twarzy. Powieki opuściły się na oczy, a warga dolna zatrzęsła się z lekka. Wzruszenie to objaśnić było można zdziwieniem i zgrozą.

— Trup kobiety — zawołał nieznajomy — to bardzo dziwne to okropne!

— Tak panie! to bardzo dziwne i okropne... Niepojęta zagadka.

Do rozmowy wmieszał się podmistrz.

— Niepojęte — powtórzył — a może nie tak znów zupełnie, panie dozorco.

— Jakto?

— Przedewszystkiem potrzeba wiedzieć, do jakiej rodziny należy ten grobowiec... czy panu to wiadomo?

Dozorca spojrzał na grobowiec. Żadnego napisu nie było na ścianie, tylko herb z koroną hrabiowską.

— W tej chwili nie wiem — odrzekł — ale się dowiem, kiedy zechcę, który numer?

Stróż obszedł grobowiec dokoła, przeczytał cyfry wyryte na kamieniu i wrócił.

— I cóż? — zapytał dozorca.

— Numer *3727* — odpowiedział tenże — 15. stycznia 1853. Ustąpiono na zawsze.

— Zapisz to w swej książeczce. Wiadomości te będą nam zaraz potrzebne.

— Zapisałem.

W tejże chwili nadszedł jednocześnie stróż z dwoma robotnikami, niosącymi nosze i komisarz policyjny z trzema agentami.

Zobaczywszy tych ostatnich, człowiek w paltocie futrzanym jeszcze głębiej wcisnął kapelusz na oczy i zwolna odłączył się od gromadki, która ani myślała nim się zajmować.

W tymże czasie z dwóch stron przeciwnych nadbiegł ślusarz, sprowadzony przez stróża, i robotnik posłany przez Cabirola, po obcęgi i młotek.

II

KOMISARZ POLICYJNY

Dozorca cmentarza postąpił kilka kroków naprzeciw komisarza policyjnego i rzekł, wyciągnąwszy doń rękę:

— Wybacz, kochany panie Bertier, że pana fatyguję tak wcześnie — rzecz pilna... Bardzo ważna... bardzo ważna...

— Brygadjer Lonnois? — zawołał, zwracając się do niskiego sierżanta.

— Jestem!

— Postawcie dwóch ludzi swoich przy tych drzwiach wraz ze

stróżami cmentarnymi i niechaj nikt pod żadnym pozorem nie podchodzi do tego grobu. Ciekawych nie puszczać.

— Słucham pana.

— Sami odnieście zaraz ten list, który pan dozorca pozwoli mi napisać w jego kancelarji.

— Kochany panie Bertier, gabinet mój i wszystko, co w nim, jest do rozporządzenia pańskiego.

Komisarz zwrócił się do pięciu robotników i ślusarza:

— Co do was, moi panowie, potrzebuję wiedzieć, jak się nazywacie, ażeby później przesłuchano was jako świadków. Chodźcie z łaski swej ze mną do pana dozorcy i zaczekajcie na przybycie członków sądu. Mamy przed sobą zbrodnię ohydną i niepojętą. Obowiązkiem każdego z was dopomóc sprawiedliwości wedle sił.

Wiemy już, że powietrze mroźne uniemożliwiało wszelką robotę, a zresztą ciekawość robotników podniecona była do wysokiego stopnia; pragnęli bardzo obecnymi być przy badaniach i może, gdyby im tego nie wskazano, samiby o to prosili, jak o łaskę.

— Zamknij, a przynajmniej przymknij te drzwi — rozkazał komisarz jednemu z agentów, który też czemprędzej spełnił polecenie.

— Można zdjąć zamek i obejrzeć? — zapytał ślusarz.

— Nie. Zostawcie tymczasem wszystko, jak jest. Zobaczymy później.

Mówiąc to komisarz, obejrzał się dokoła i zliczył obecnych.

— Kiedym tu przyszedł — rzekł do Cabirola — był tu zdaje się pomiędzy panami jakiś jegomość w szerokim kapeluszu i futrzanym paltocie?

— Był, panie komisarzu — odpowiedział podmajstrzy.

— Gdzież się podział?

— Poszedł już sobie.

— Szkoda.

— Panie komisarzu, on nic nie widział; przyszedł tu dopiero, kiedyśmy zobaczyli trupa, zapytał nas, co się stało, pogapił się...

— Dobrze! Chodźmy panowie!

— Poprzykrywamy tylko słomą zaczęte i przerwane roboty — odpowiedział Cabirol — i zaraz do pana przyjdziemy.

— No, ale prędko.

— Za dziesięć minut.

Podmajstrzy prędko się oddalił ze swymi ludźmi, a komisarz, rozmawiając z dozorcą, udał się do kancelarji wraz z nim, z brygadjerem, sierżantami miejskimi, ślusarzem i stróżami. Dozorca wprowadził komisarza do swego gabinetu, posadził przy biurku i podał atrament, pióro i papier.

W pięć minut list był napisany.

Komisarz zawołał brygadjera, sierżantów miejskich i powiedział im:

— Otóż list do sądu!
— Słucham, panie komisarzu.
— Bardzo pilny!
— Pójdę, jak będę mógł najprędzej.
— To i tak nie będzie dość prędko. Weź dorożkę, a patrz, żeby koń był dobry.
— Wybiorę najlepszego, przecież służyłem w kirasjerach.

III

W KARECIE.

Brygadjer sierżantów miejskich wyszedł z kancelarji dozorcy cmentarza i skierował się ku giełdzie, która znajduje się nieopodal od bramy Pere Lachaise.

Tutaj tylko co nadjechało kilka dorożek, dawny kirasjer wybrał konia, który wydał mu się budzącym zaufanie i kazał woźnicy jechać do sądu, dodawszy przytem tonem rozkazującym:

— Ale tylko prędko, prędko, spiesz mi się!

Wszystko, co ma związek z policją, przejmuje dorożkarzy, jeżeli nie silnem współczuciem — to przynajmniej niemałym strachem I bardzo słusznie. To też woźnica popędził konia galopem we wskazanym kierunku.

Porzućmy dorożkę, jadącą do sądu i niech czytelnicy nasi raczą udać się z nami do innej dzielnicy Paryża, tegoż dnia o godzinie 7-mej z rana, to jest godzinę wcześniej przed przyjściem pięciu robotników na cmentarz Pere Lachaise.

Blady świt zaledwie rozprasza ciemności. Jesteśmy przy ulicy Ernestyny w dzielnicy la Chapelle.

Przed dorożkarską wozownią, na dziedzińcu jednego z domów, wznoszących się tutaj, stajenny, imieniem Franciszek, w służbie będący u Wawrzyńca Bienet czyści, jak może, powozy, które wróciły z kursów nocnych, a idzie mu to z wielką trudnością, gdyż błoto wszędzie obmarzło od mrozu, jaki pochwycił po północy. Przy świetle latarni, zawieszonej na słupie, stajenny do połowy robotę swą wykonał, zeskrobał błoto, wyczyścił ławeczki, i pozataczał kilka kartek i dorożek do wozowni obok stajni. Pozostawało mu załatwić się w ten sposób jeszcze z trzema karetkami. Jedną z nich właśnie przysunął do słupa z latarnią i otworzył drzwiczki ażeby wyciągnąć dywanik, którego nie znalazł na koźle, co się sprzeci-

wiało przyjętym tu zwyczajom.... bo każdy woźnica, zaprowadziwszy konie do stajni, powinien był wyjąć dywanik, często zabłocony butami pasażera i położyć dla wyschnięcia na kozieł. Otworzywszy drzwiczki stajenny, zajrzał do karetki i odskoczył, krzycząc przenikliwie. W tej samej chwili Wawrzyniec Bienet wychodził z domu, ażeby zrobić ranny przegląd — usłyszawszy ten krzyk, nadbiegł, co tchu i zobaczył stajennego bladego, drżącego, z przestrachem w oczach, opierającego się o słup, aby nie upaść.

— Co ci to, Franciszku? — zapytał go. — Podpiłeś sobie, czy co? To trochę za wcześnie, mój bratku.

Franciszek dławiąc się ze strachu, nie był w stanie ani słowa wymówić.

Zamiast odpowiedzi wyciągnął rękę ku otwartym drzwiczkom. Oczy Bieneta zwróciły się w tym kierunku... Teraz on zbladł wyraźnie, ale więcej zimnej krwi zachowawszy niż stajenny, podszedł i nie odskoczył, lecz nachylił się wewnątrz karetki. Na poduszce w lewym kącie leżało ciało ludzkie sztywne i pokrwawione.

— Krocset tysięcy djabłów! — wykrzyknął Bienet. — Oczy mnie nie mylą. Człowiek zabity!

Żona gospodarza wyszła na podwórze, ażeby dać kaszy kurom jednocześnie też ukazało się dwóch woźniców, idących do roboty. Usłyszeli oni wszyscy słowa gospodarza.

— Człowiek zabity — powtórzyli wszyscy troje, podchodząc szybko do karetki. — Cóż znowu?

— Patrzcie! — odparł Bienet, wskazując na trupa.

— Trzeba zaraz posłać do cyrkułu na ulicę Dondeville — odezwała się żona.

— I sprowadzić komisarza — wtrącił jeden z woźniców.

— Biegnijcie, co prędzej! — rozkazał Bienet zwracając się do woźniców! Ty Cambonie do cyrkułu, a ty Ryszardzie do komisarza.

— Dobrze panie gospodarzu.

Woźnice prędko się oddalili, ażeby polecenie wypełnić. Żona gospodarza patrzała na trupa z ciekawością, przerażenia pełną.

Czytelnicy darują nam, że przerwiemy w tem miejscu nasze opowiadanie, a zwrócimy się do komisarza policji, znajdującego się na cmentarzu Pere Lachaise.

— Dowiedziałem się od pańskiego posłańca, że podobno idzie tu o zabójstwo, — rzekł komisarz do dozorcy cmentarza.

— Ani sposób o tem wątpić.

— Zabito kogo w grobowcu?

— Tak... krew ofiary przeciekła pod drzwi i podmistrz komisarza Laude'a wyszedłszy na plecy robotnika, zobaczył przez otwór w ścianie grobowca trupa kobiety... okropne!...

— Za kilka minut dowiemy się co o tem myśleć. Posłał pan po ślusarza?

— Już.

— Wybornie! Zaraz zaczniemy.... Jest... A, a! to ty, Ferrot! — dodał komisarz, zwracając się ku ślusarzowi z ulicy Roquette.

— Do usług pana komisarza.

— No, mój przyjacielu, otwórz ten grobowiec!

— Spróbujemy, panie komisarzu.

Ślusarz podszedł do drzwi żelaznych, wybrał jeden wytrych z dużego pęku, trzymanego w ręku i włożył go w zamek. Wytrych nie nadał się. Ferrot wziął drugi.

Starzec, który oddalił się trochę od gromadki, gdy agenci nadeszli, przypatrywał się badawczo wszystkiemu, co się dzieje.

Na twarzy jego malowało się mocne wzruszenie, niepokój znamionujący jakby dotkliwą troskę.

Komisarz rozmawiał z dozorcą cmentarza.

— Odkąd służę w policji, a czasu to kawał, nic jeszcze tak dziwnego nie widziałem.

— A tak!

— Ale i to być jeszcze może, że jak to mówią: „z daleka coś, z bliska nic". Zupełnie naturalnem może jest to, co nam się wydaje tak dziwnem.

Dozorca pokiwał głową.

— Nie sądzę — szepnął.

— I ja także, ale wszystko możebne. Kobieta, którą pan uważasz za nieżywą, może tylko zemdlała i w takim razie wyjaśnienie nie da na siebie czekać.

— To prawda.

Po wielokrotnych usiłowaniach bezskutecznych ślusarz wykrzyknął:

— Żaden wytrych nie da rady!

— Spróbuj pan jeszcze.

— Godzinę mogę jeszcze marudzić i nic nie wskóram. W zamku musi być wbity gwóźdź, albo co innego twardego i dlatego nie podobna otworzyć.

— Trzeba się o tem przekonać, zapiszę to w protokóle...

— Przekonacie się panie komisarzu, złamawszy zamek, ale teraz trzeba przedewszystkiem otworzyć, a do tego potrzebne mi są obcęgi i dłuto.

— Oto są — rzekł Gabirol, podając narzędzia, po które niedawno posłał.

Ślusarz wziął je i zaraz się zabrał do roboty. Robota była ciężka. Dopiero po długiem męczeniu się zdołał otworzyć zamek przy pomocy dwóch robotników.

— Uf! — odetchnął, ocierając czoło — nareszcie!

Podszedł komisarz i chciał drzwi otworzyć. Uchyliły się tylko na kilka cali.

— Tam wewnątrz jest przeszkoda jakaś! — zawołał — jak gdyby kto drzwi podparł.

— To trup — odezwał się podmistrz Cabirol. — Ciało leży w poprzek.

Dwaj agenci całym ciężarem ciała nacisnęli deski metalowe i drzwi powoli się odsunęły, w rzeczy samej odpychając ciało kobiety, rozciągniętej na płytach. Pierwszy wszedł komisarz, za nim dozorca. Wszyscy nachylili głowy, ażeby zajrzeć wewnątrz, kilku ciekawych usiłowało nawet przestąpić próg grobowca.

Mężczyzna w paltocie futrzanym zbliżył się i stał w pierwszym rzędzie. Na widok trupa zmieniły mu się rysy twarzy, po ciele przebiegł dreszcz.

W tejże samej chwili odezwał się komisarz:

Panów świadków proszę, aby tu nie wchodzili. Panowie agenci nie wpuszczajcie nikogo.

Trzeba było być posłusznym. Ciekawi odstąpili. Dozorca nachylił się ku ciału, już skostniałemu.

— Nieszczęśliwa bynajmniej nie zemdlała — rzekł po chwilowem obejrzeniu — Umarła, zamordowana. Spójrz no pan...

I wskazał głęboką ranę na szyji, ranę, której siność odbijała się od białości skóry.

— Kobietę tę zabito sztyletem — wyrzekł komisarz.

— Zabójca uderzył ją kilkakrotnie — wtrącił dozorca — pod prawą oto piersią skrzepnięta krew.

— Zbrodnia widoczna. Muszę natychmiast wezwać doktora, sędziego śledczego i prokuratora.

— Zaraz pan każe ciało zabrać? — spytał dozorca.

— Za nic w świecie. Gdyby była jeszcze nadzieja przywrócenia nieszczęśliwej do życia — kazałbym ją stąd przenieść i otoczyć wszelkiemi staraniami, ale z trupem od kilku godzin ostygłym, nic już nie zrobisz. Zostawmy go tutaj. Opowiem prokuratorowi, jak leżał trup.

— Drzwi trzeba zamknąć?

— Naturalnie. Postawię tu dwóch agentów, a pan z łaski swej dodasz mi dwóch dozorców.

— Wszystka służba na rozkazy pańskie.

Komisarz wyszedł z grobowca.

— — — —

Zwróćmy się z powrotem do właściciela dorożek przy ulicy Ernestyny.

— Kto jeździł tą karetką? — badał dalej Bienet — Który to nr.

— 5583.

— Będzie to więc Cadet — trzeba by go przesłuchać w tej chwili... Franek biegnijże po niego.

— Jednym migiem proszę pana — odpowiedział stajenny, ochłonąwszy już trochę z przestrachu.

— A język trzymaj w gębie, ani słowa — dodał Bienet. — Jeśli się rozejdzie wiadomość o tem, za chwilę chmara ludzi się zleci.

Będę jak niemowa, proszę łaski pana.

Franciszek pobiegł po woźnicę, który w przeddzień jeździł numerem 5583.

— Masz tobie pociechę — rzekł Bienet do żony. — Człowiek zamordowany w karetce. Oczami na to patrzę, a wierzyć nie sposób! Czyżby Cadet nic nie wiedział, nic nie słyszał?

— Najprędzej. Musiał być pijany, jak zawsze — odpowiedziała żona.

— Zaraz zwali się nam na kark sąd i nie ma co żartować.

— Cóż robić? Jak musi coś być, to musi!... O! już idą...

Szybkim krokiem podchodzili sierżanci miejscy z brygadjerem. Brygadjer uścisnął gospodarza za rękę i zawołał:

— Kochany panie Bienet, czyż to prawda, co nam opowiadają? Znalazłeś pan człowieka zamordowanego w jednej ze swych karetek

— Tak, panie brygadjerze Fontaigne.. ot tutaj jest, zobacz pan.

Brygadjer przystąpił do karetki, brwi zmarszczywszy, a wąsy siwe gryząc, rzekł:

— Tam do djabła! Cóż to dopiero gadać będą o tem. Wyborna dla twego zakładu reklama, kochany panie Bienet.

— Obszedłbym się bez takiej reklamy.

— Posłałeś pan po komisarza?

— Już, i po woźnicę Cadet, który tą karetką dzisiejszej nocy jeździł.

— A, to Cadet! No, dobry panu zrobił prezent! Pewnie musiał być pijany, kiedy nie zauważył, że wiezie człowieka, który życie sobie odebrał, albo został zabity! Czy to morderstwo, czy samobójstwo? Naturalnie, łatwo się będzie o tem przekonać. Ale pan komisarz jakoś się opóźnia.

— Już idzie — odpał gospodarz.

Rzeczywiście komisarz policyjny tego cyrkułu wchodził na dziedziniec ze swym sekretarzem. Skłonił się z lekka obecnym, którzy zdjęli przed nim czapki, zwróciwszy się zaś do brygadjera zapytał:

— Zbrodnia?

— Tak panie komisarzu... trup jest tam w tej karetce — odezwał się Bienet. — Mój stajenny pierwszy go spostrzegł, kiedy otworzył drzwiczki dla wyczyszczenia karetki.

Komisarz podszedł i długo patrzał na człowieka, któremu głowa wybladła zwiesiła się na lewe ramię. Dwie plamy skrzypniętej krwi pokrywały ubranie nieboszczyka. Paltot brunatny był rozpięty

— To nie samobójstwo, to morderstwo — wyrzekł komisarz po kilku chwilach przyglądania się bacznego. — Zabójstwo bardzo ciekawe. Nic podobnego nie pamiętam, a woźnica, który powrócił tą karetką, czyż nic nie zauważył?

— Zapewne nie. Gdyby co był zauważył, byłby powiedział.

— To bardzo dziwne. Gdzie mieszka ten woźnica?

— Na rogu ulicy Dondeville, niedaleko stąd.
— Trzeba po niego posłać.
— Posłałem już stajennego, pewnie zaraz przyjdzie.
— To dobrze, panie Bienet, będę potrzebował karety, może mi pan dać jedną ze swoich?
— Proszę pana komisarza tylko o pięć minut czasu.
Gospodarz pobiegł zaraz do stajni, skąd wyprowadził najlepszego konia i zaprzągnął sam do najlżejszej karetki.
Tymczasem komisarz przystąpił do brygadjera i szepnął mu po cichu:
— Woźnica, który jeździł tą karetką, nie powinien tu wchodzić, każ dwom sierżantom czekać nań na ulicy i bez hałasu żadnego zaprowadzić do cyrkułu, gdzie pozostanie do dalszych moich rozkazów.
— Wszystko się zrobi jak najciszej.
Brygadjer powtórzył dwom sierżantom otrzymany rozkaz i wrócił do komisarza. Ten dalej wydawał polecenia.
— A ty Fontaigne siadaj do karety, którą już zaprzęgają i jedź do sądu. Tam wywołaj komisarza sądowego, powiedz mu, co się stało, i dodaj, że wzywam go tutaj wraz z właściwymi urzędnikami sądowymi. Zbrodnia ta wymaga szybkiego działania!... Nie trać ani chwili!
— Ani minuty, ani sekundy — odpowiedział brygadjer, tęgi zuch pięćdziesięcioletni, niewolnik służby, ale wielce sumienny przy spełnianiu swych obowiązków i bardzo lubiany w całej dzielnicy Dondeville.
Bienet już był gotów.
— Panie komisarzu — rzekł — karetka już założona i pojedzie z panem mój Cambonne.

IV.

NACZELNIK POLICJI

Woźnica siedział już na koźle.
— To nie ja pojadę w tej karecie — odpowiedział komisarz — lecz Fontaigne.
Brygadjer wsiadł do karetki.
W tejże chwili na dziedziniec wszedł Franek. Był sam.
— No, a Cadet? — spytał zdziwiony gospodarz. Nie znalazłeś Cadeta, czy co?

— Znalazłem — odpowiedział Franciszek, zwiesiwszy głowę.

— To dlaczego żeś go tu nie przyprowadził?

— Przyprowadziłem go... obudziłem, bo spał i jak! kazałem mu się co prędzej ubrać, a taki był zły, żem mu przeszkodził chrapce!

— No?

— No i na rogu naszej ulicy, o pięćdziesiąt krok. od naszej bramy, dwóch sierżantów miejskich bardzo grzecznie poprosili go z sobą do cyrkułu. On się oburknął, że nie ma żadnego interesu w cyrkule, a oni go wtedy wzięli pod ręce, ale bez żadnego hałasu, i poszli z nim. A on patrzał na nich jak pijany.

— To dobrze — odezwał się gospodarz. — Nie powiedzieliście mu nic o tem, co się tu stało?

— Gospodarz mi nie kazał. Powiedziałem mu tylko, że go do nas wołają i tyle.

— Dobrze, a teraz mój kochany, otwórz bramę.

Franek natychmiast spełnił rozkaz. Komisarz szepnął kilka słów brygadjerowi i karetka pomknęła.

Stajenny nie skłamał, zapewniwszy, że nic nie powiedział, a jednak w dzielnicy wiedziano już, że u trzymającego wynajem powozów i dorożek przytrafiło się coś niezwykłego. Napewno nikt nic nie mógł powiedzieć, ale pole do przypuszczeń było obszerne. Widziano, jak przechodził komisarz z sekretarzem, zatem miał być spisany protokół. Widziano, jak biegli sierżanci miejscy. Widziano, jak woźnicę Cadeta prowadzono do cyrkułu. Słowem mówiono już o zbrodni; — bliższych szczegółów nie wiedziano, ale opowiadano sobie, że jest coś okropnego i tłum zbierał się na ulicy, naprzeciw pana Bieneta. Kilka osób chciało się nawet dostać na podwórze, gdy stamtąd wyjeżdżał brygadjer Fontaigne. Komisarz dał znak i sierżanci miejscy odpędzili ciekawych na ulicę.

— Każ, panie Bienet, zamknąć bramę — rzekł komisarz.

— Słyszałeś Franek? — odezwał się gospodarz.

Stajenny czemprędzej zamknął ogromną bramę, ku wielkiemu zmartwieniu ciekawych, wietrzących tajemniczą sprawę. Dwaj agenci, którzy Cadeta zaprowadzili do cyrkułu, przyszli powiedzieć, że wykonali polecenie. Komisarz kazał im pozostać na podwórzu gdzie znajdował się trup, i nikogo nie puszczać. Sam zaś wraz z sekretarzem, stajennym Franciszkiem i woźnicą Richeaud udał się do mieszkania Bieneta, na pierwszem piętrze.

— Zacznę pisać protokół — rzekł — proszę o kałamarz i pióro.

Żona gospodarza podała żądane przedmioty.

Sekretarz rozłożył dużą czarną tekę skórzaną i usiadłszy, przygotował się do pisania za dyktandem swego zwierzchnika.

Pozostawmy tych przy sporządzaniu protokółu, a udajmy się

z brygadjerem Fontaignem, którego prędko wiózł stangret Cambonne. Pomimo godziny tak wczesnej, komisarz do spraw sądowych znajdował się w swym gabinecie i porządkował akta w jakiejś sprawie, którą sąd właśnie się zajmował. Zawiadomiono go, że brygadjer sierżantów miejskich z dzielnicy La Chapelle pragnie natychmiast z nim pomówić i że przysłany jest przez komisarza cyrkułu z ulicy Ordeneur.

— Niech wejdzie — odpowiedział komisarz.

Brygadjer opowiedział po krótce powód przybycia. Komisarz wysłuchał opowiadania z nadzwyczajną uwagą.

— Osobliwsza zbrodnia! — zawołał, kiedy Fontaigne przestał mówić. — Sprawa będzie prawdopodobnie ciekawa. Zaczekajcie na mnie. Pójdę do naczelnika policji śledczej, który jednocześnie ze mną przyjechał i powiem mu, co się stało. Macie z sobą karetę?

— Jest.

— Na dwie, czy cztery osoby?

— Na dwie.

— To weźcie jeszcze inną, bo może z nami pojedzie naczelnik policji śledczej, podprokurator i sędzia śledczy. Najmniej teraz ze wszystkich zajęty jest pan Paweł de Gibray. Zapewne jego wyznaczę. Ale on nie przychodzi tak wcześnie. Trzeba będzie po niego posłać. Weźcie dwie karetki, prócz waszej. Jedną poślę po pana de Gibray.

Fontaigne wyszedł spełnić polecenie, a komisarz udał się do naczelnika policji śledczej i opowiedział mu o tajemniczem zdarzeniu przy ulicy Ernestyny.

Naczelnik policji śledczej, którego nazwisko znane było powszechnie w Paryżu, niskiego był wzrostu, trochę ciężki, zgarbiony, o przenikliwem i głębokiem spojrzeniu z twarzą spokojną i łagodną, po której przesuwał się bez przerwy dobrotliwy uśmiech. Faworyty miał srebrzysto siwe, jak również włosy. Niezwykle zręczny i przebiegły, pomimo dobrodusznej powierzchowności, niestrudzony nigdy zaprowadził on w paryskiej policji śledczej porządek wzorowy i wybrał do służby swej ludzi odznaczających się sprytem, śmiałością i uzdolnieniami policyjnemi. Nikt od niego lepiej nie umiał rozplątać nici najbardziej zagmatwanej sprawy i wśród długoletniego zawodu swego doznał niepowodzenia bardzo mało razy.

— Zabójstwo w karecie — rzekł z najspokojniejszą miną, wysłuchawszy komisarza do spraw sądowych. — To bardzo ciekawe.

— Nieprawdaż?

— Musi to być zagadka, którą morderca wyobraża sobie jako niepodobną do rozwiązania.

— A pan ją z łatwością wyjaśni — wtrącił komisarz.

— Spodziewam się.

Do drzwi gabinetu zapukano z lekka.

— Proszę! — odezwał się naczelnik policji śledczej.

Na progu pokazało się dwóch ludzi i skłoniło się pokornie.

— Przyszliśmy po rozkazy — rzekł starszy.

— Dobrze, że was widzę, Jodolet — odrzekł naczelnik. — Miałem po was posłać. Sprawę dostaliśmy taką, że wasz spryt będzie nam bardzo potrzebny.

Nieco ordynarna twarz agenta rozpromięniała wyraźnie.

— Dziękuję panu naczelnikowi za dobrą o mnie opinję, — wyszeptał ze szczerą radością. — Postaram się zasłużyć na pochwałę.

— Zawsze jesteś dzielnym, mój Jodolet. A wy, Martelu, macie przed sobą godny naśladowania przykład. Starajcie się podobnymi być do swego inspektora, a nie minie was awans, który wam już obiecałem.

Wszedł woźny i oznajmił:

— Sędzia śledczy pan Paweł de Gibray z panem podprokuratorem przyjechał i czeka na pana.

Przed gmachem stała karetka Bieneła i dwa fiakry, najęte przez brygaderja Fontaigne'a.

Gibrayowi opowiedziano wszystko w kilku słowach. Członkowie sądu i agenci rozlokowali się i pojechali do la Chapelle.

Na ulicy Ernestyny tłum nie tylko nie zmniejszył się, lecz się nawet powiększył i bawił się rozmaitemi domysłami, w których nie było najmniejszego sensu.

Że spełnioną została zbrodnia, dowodziła tego obecność komisarza i sierżantów miejskich w domu utrzymującego powozy do wynajęcia, oraz aresztowanie woźnicy Cadeta.

Ale co to mogła być za zbrodnia? Czy Cadet był głównym winowajcą? A Wawrzyniec Bienet czyż był wspólnikiem?

Podniecone wyobraźnie siliły się na rozstrzygnięcie tych pytań i, oczywiście żadną miarą nie mogły. Sierżanci miejscy postawieni przed bramą, z trudnością powstrzymywali coraz bardziej rosnący tłum ciekawych, z wielkiego ożywienia machających rękami. rozprawiających wrzeszczących na całe gardło.

Nagle cisza nastała.

Z ulicy Dondeville wyjechały trzy karety i zmierzały przed dom, gromadą ludzi obleżony.

— Sąd jedzie — mówili ciekawi jeden drugiemu na ucho.

Tłum rozstąpił się, przepuścił karety przez bramę która się też natychmiast otworzyła i zamknęła za niemi.

V.

Oględziny.

Tylko na chwilę tłum widział przybyłych i znów na ich rachunek oddawać się zaczął najfantastyczniejszym przypuszczeniom.

— To sam prefekt policji — mówili jedni.

— E; gdzie tam! minister sprawiedliwości! — zapewniali drudzy.

Domysły szły na wyścigi.

A tymczasem komisarz dzielnicy prędko wyszedł z mieszkania na spotkanie członków sądu.

Przywitano go pochwałami za tak prędkie zawiadomienie sądu i prefekta.

— Za obowiązek uważałem sobie nie tracić ani minuty — odpowiedział — zbrodnia wydarzyła się wśród okoliczności osobliwych i dla tego śledztwo wydaje mi się pilnem.

— Gdzie ofiara? — zapytał podprokurator.

— Proszę panów...

Komisarz zaprowadził członków sądu do karetki, przy której stało na straży dwóch sierżantów miejskich. Sam otworzył drzwiczki.

Wtedy ujrzano trupa w tej postawie, jaką żeśmy już opisali. Przy nim na ławeczce leżał kapelusz.

— Czy kto dotykał się trupa? — zapytał sędzia śledczy.

— Nie — odparł komisarz — znajduje się on w takiem samem położeniu, jak go zobaczył stajenny pana Bienet, który otworzył karetkę, żeby ją, jak zwykle, wyczyścić.

— O której godzinie powróciła ta karetka?

— Nie umiem na to pytanie odpowiedzieć, panie sędzio.

— Dlaczego?

— Dla bardzo prostej przyczyny. Woźnice moi biorą klucz od bramy, kiedy wyjeżdżają na noc. Wracając, wyprzęgają konie, zaprowadzają go do stajni, a sami odchodzą sobie, zamykając bramę.

— A czy jest tutaj woźnica, który jeździł tą karetką?

— Kazałem go zaprowadzić do cyrkułu przy ulicy Dondeville — odezwał się komisarz.

— Dobrześ pan zrobił! Czy wie, za co go aresztowano?

— Nakazałem moim nic o tem nie mówić.

— To roztropnie z pańskiej strony. Czy protokół zaczął już pan pisać?

— Tak, ale bardzo krótko, bo nie badałem nikogo. Oto jest.

Gibray przejrzał go.

— Zaczniemy — rzekł. — A ponieważ nie mam z sobą pisarza, poproszę sekretarza pańskiego.

— Jest on całkiem na usługi pańskie.

— Przedewszystkiem — mówił dalej sędzia śledczy — trzeba wyjąć trupa z karety i umieścić go w jakiej szopie.

Stajenny Franciszek przyniósł wiązkę słomy — rozesłał ją na ziemi podwórza, a dwaj agenci nie bez trudności wyjęli z karetki trupa, który zupełnie już zesztywniał. Położono ciało na słomie, w górę podniósłszy głowę, tak, ażeby można było dobrze przyjrzeć się rysom twarzy.

Nieszczęśliwy mógł mieć lat pięćdziesiąt pięć. Włosy kasztanowate, z lekka przyprószone siwizną, twarz ogolona staranna, surdut, kamizelka i spodnie czarne, paltot koloru brunatnego, szal biały na szyji, kamasze zimowe z podwójnemi podeszwami prawie nowe, ot i wszystkie szczegóły powierzchowności. Skrzepniętą krew widać było na koszuli i na chustce.

Agent milczący, nieruchomy i uważny dotychczas, przystąpił do trupa, spełniając otrzymane polecenie i chciał odpiąć kamizelkę, gdy spostrzegł sznureczek jedwabny. Pociągnął go i z kieszonki pokazał się zegarek złoty.

— Zegarek kosztowny jest — odezwał się. — Więc nie rabunek jest przyczyną zbrodni, albo też zabójca nie zdążył przeszukać swej ofiary.

Sędzia śledczy wziął zegarek z rąk agenta i przyjrzał mu się. Tymczasem Jodolet rozpiął koszulę i obnażył pierś nieboszczyka. Na lewej piersi przy sercu ukazała się duża rana osobliwszego kształtu.

— Zabójca ma celny wzrok i rękę mocną — zawołał Jodolet. — Dobre miejsce wybrał. Uderzył sztyletem o trójkątnem ostrzu. Śmierć była natychmiastową.

— Przeszukajcie kieszenie — rozkazał sędzia śledczy. — Może przy nieboszczyku są inne jeszcze rzeczy, po których dowiemy się czegoś o nim.

Jodolet spełnił polecenie. Nie tylko zrewidował, ale wyłożył nawet kieszenie paltota, surduta i kamizelki. Nie było w nich nic, prócz chustki białej do nosa, wcale nieznaczonej.

— Dziwna rzecz, że przy tym człowieku nie ma pugilaresu, ani żadnych papierów — rzekł Gibray.

Naczelnik policji pokiwał głową z miną zadumana, wiele jednak mówiącą. Jego to jakby nie dziwiło. Agent oglądał kieszenie spodni i nagle drgnął.

— Cóż tam takiego? — spytał sędzia, śledząc wzrokiem wszystkie jego poruszenia.

— Zabójca bezwarunkowo nie łaszczył się na pieniądze — odpowiedział Jodolet. — Jest i pugilares ofiary i wcale nie pusty, bo ciężki.

— Może w nim znajdziemy jaką wskazówkę — rzekł de Gibray. — Dajcie...

Sędzia śledczy wziął pugilares, otworzył go i obejrzał. Były w nim bilety stu i dwustufrankowe, tudzież siedm franków, dziesięć centymów drobną monetą.

— Moneta złota francuska, czy zagraniczna? — zapytał naczelnik policji.

— Jest i francuska, jest i włoska, z wyobrażeniem Napoleona III i Wiktora Emanuela.

— Więcej nic nie znaleźliście, Jodolet?

— Nie... Druga kieszeń pusta.

— Czy bielizna znaczona?

Agent obejrzał koszulę nieboszczyka, jak uczynił to już poprzednio z jego chustką.

— Żadnej cyfry niema.

— Wszystko się jakby połączyło dla utrudnienia śledztwa — szepnął sędzia. — A spinki u koszuli niczem się nie odznaczają osobliwszem? — dodał głośniej.

—Niczem... Na piersiach i u rąk zwyczajne spinki perłowe.

Gibray polecił sekretarzowi zapisać w protokóle wszystkie te szczegóły; sekretarz pisał, nie zatrzymując się wcale, tylko co sekundę chuchając w zziębnięte palce.

— Zimno pana paraliżuje — rzekł doń naczelnik policji śledczej.

— Trochę! odmroziłem palce! Ale to nic, tylko pismo nie będzie ładne.

— Byleby można było przeczytać, więcej nie potrzeba.

— Panie sędzio, czy mam obejrzeć karetkę? — spytał Jodolet.

— Naturalnie, to bardzo ważne.

Wszyscy przystąpili do karetki.

Agent wskoczył do niej, podniósł poduszki, zbroczone krwią, obejrzał dywanik, pudełko do zapałek przybite tuż przy okienku

— Nic — wyrzekł — nic zgoła.

Paweł de Gibray przywołał gospodarza i rzekł doń:

— Póki śledztwo się nie skończy, nie dawaj pan nikomu tej karetki; zresztą będzie ona opieczętowana.

— Panie sędzio, każę ją wtoczyć do małej szopy, od której klucz będę miał przy sobie i w dzień i w nocy.

— Tak też trzeba. Teraz pójdziemy do pana i zaczniemy badać woźnicę, który jeździł tą karetką.

Bienet skłonił się.

— Zakryjcie ciało tego nieszczęśliwego i pozostańcie tutaj —

rozkazał naczelnik policji śledczej sierżantom miejskim. — A wy brygadjerze, idźcie po woźnicę, którego zaprowadzono do cyrkułu przy ulicy Dondeville.

Brygadjer Fontaine wyszedł z dwoma sierżantami, gdy tymczasem Franciszek przyniósł z wozowni dywaniki, któremi przykryto trupa.

Przyłożenie pieczęci zajęło dziesięć minut, poczem gospodarz zaprowadził członków sądu do pokoju na pierwszem piętrze, gdzie widzieliśmy już komisarza, spisującego protokół. W piecyku żelaznym paliło się suto, tak, że może było za gorąco, ale ciepło to przynajmniej na razie rozkosznem wydało się ludziom zziębniętym na mrozie.

Czekano na woźnicę Cadeta.

Przez kilka sekund panowała głęboka cisza, przerywana tylko trzaskiem drzewa w piecu i kaszlem sierżanta miejskiego, który się na mrozie widocznie zaziębił.

VI.

Woźnica Cadet.

Gibray przerwał to milczenie.

— Co pan o tem wszystkiem myśli? — zapytał naczelnika policji śledczej.

Ten odrzekł:

— Mamy przed sobą zbrodnię, spełnioną albo w celach zemsty osobistej, albo dla porwania papierów, o których zabójca wiedział, że się znajdują przy jego ofierze — to według mnie wątpliwości nie ulega, bo nie skradziono ani pugilaresu, ani zegarka. Sprawa zresztą bardzo tajemnicza, być może, iż badanie woźnicy coś wyjaśni.

— Żałuję, żeśmy z sobą nie wzięli doktora — wtrącił komisarz do spraw sądowych.

— Po co, przecie człowiek ten już nie żyje!

— Doktór mógłby nam powiedzieć, o której godzinie nastąpiła śmierć.

— Dowiemy się o tem z odpowiedzi woźnicy.

— Tak, żeby nas tylko nie chciał okłamywać.

— Możecie się po nim tego nie spodziewać — odezwał się gospodarz. — Cadet, człowiek uczciwy, służy u mnie od dawna. Jeżeli wie cośkolwiek, powie panu niezawodnie.

— Cadeta tu w dzielnicy lubią i szanują — dodał brygadjer sierżantów miejskich — często gęsto podpije sobie to prawda, ale

nic złego nie zrobi nawet musze, a jeżeli znajdzie cobądź w swej karetce, zawsze odniesie do prefektury. Jabym proszę panów nie mógł go obwiniać. —

— Jego też nie oskarża się — odpowiedział naczelnik policji śledczej z przebiegłym uśmiechem — ale nie będąc wspólnikiem zbrodni i nawet nie wiedząc — że dokonana została zbrodnia — może dać nam bardzo cenne wskazówki. Często jedno słówko wystarcza do odkrycia śladów.

Sędzia śledczy potwierdzająco kiwnął głową.

W tej chwili dał się słyszeć głośny zgiełk. Tłum, stojący na ulicy Ernestyny widząc, że woźnica Cadet idzie między dwoma sierżantami, protestował przeciw aresztowaniu tego człowieka, którego uważał za niezdolnego do zbrodni i któremu mógł chyba tylko zarzucić zbyteczne zamiłowanie do kieliszka, co zresztą lud z łatwością przebacza. Sierżanci miejscy roztrącili tłum i wprowadzili Cadeta na podwórze przez bramę, którą koledzy pospieszyli czemprędzej otworzyć.

Zastraszony wielce, zdziwiony zarówno Cadet nie wiedział, co ma uczynić, czego się lękać. Sierżanci, którzy go zaprowadzili do cyrkułu, — stosownie do otrzymanego rozkazu, przez całą drogę milczeli. Kiedy go z cyrkułu poprowadzono na ulicę Ernestyny, zobaczył zbiegowisko ludzi przed drzwiami Wawrzyńca Bieneta i zrozumiał zaraz, że nie chodzi tu o niezachowanie jakiegoś przepisu policyjnego i zaczął się sam zastanawiać w myśli, co mogło się stać, że się zebrał taki tłum w miejscu zwykle pustem. Serce bić mu poczęło gwałtownie, oddech zaparł mu się w piersiach, niepokój się w sercu zwiększył, gdy usłyszał, jak z tłumu wołano do agentów:

— Puśćcie go! puśćcie! to dobry człowiek. Nie, on nie winien! Chłodny pot wystąpił mu na policzki.

— Cóżem ja zrobił? — pytał siebie w myśli — nic sobie nie mogę przypomnieć. Pamiętam, żem sobie w nocy trochę podpił. Może kogom przejechał!

Wszedłszy do bramy, bystro rozejrzał się dokoła.

Na dziedzińcu, obok karety, którą zwykle jeździł, zobaczył kupkę słomy, przykrytą dywanikami, a obok dwóch sierżantów, jakby na straży. Strach go zdjął...

— Boże miłosierny! co to znaczy? — zawołał głosem ledwo zrozumiałym.

— Zaraz się dowiecie! — odezwał się doń brygadjer — ale nie macie czego drżeć... Nikt wam nic złego nie zrobi. Chodźcie ze mną do waszego pana, tam na was czekają.

Trochę uspokojono go temi słowy, a zwłaszcza życzliwym tonem, jakim były wymówione. Cadet zręcznie wbiegł po schodach, prowadzących do mieszkania gospodarza. W sionce znów poczuł

ogarniający go niepokój. Zatrzymał się i obrócił. Dwóch sierżantów miejskich szło za nim.

Biedny Cadet zobaczył, że bardzo gorliwie pilnują człowieka, któremu nikt nie chce nic złego zrobić.

Brygadjer otworzył drzwi i rzekł:

— Wejdźcie moi kochani!

Potem głosem wyraźniejszym dodał:

— Woźnica Cadet.

Przestąpiwszy za próg pokoju, zobaczył Cadet ludzi w czarnem ubraniu z orderami, bardzo poważnie wyglądających, a na widok ten nie mógł powściągnąć coraz bardziej wzmagającego się w nim wzruszenia. Serce mu się ścisnęło.

— Tylu ludzi — pomyślał — musi być coś strasznego.

Nie stracił jednak głowy i ukłoniwszy się nisko, rzekł tonem dość pewnym:

— Tyle mam w głowie oleju, proszę panów, że rozumiem, że jestem przed panami sędziami, że mnie aresztowano, że badany będę, ale to prawda również, że nazywam się Cadet, żem człowiek uczciwy i każcie mnie panowie powiesić lub gilotynować zaraz w tej chwili, jeżeli co z tego wszystkiego rozumiem.

Zamilkł, ażeby odetchnąć, poczem mówił dalej:

— Kazaliście mnie panowie schwytać i zaprowadzić do cyrkułu, zmusiliście mnie iść przez ulicę między dwoma sierżantami miejskimi, jakbym był jakim niebezpiecznym złodziejem — a to wcale nie śmieszne ręczę panom, i wcale nie mam ochoty do śmiechu. Czy wczoraj przewróciłem na ulicy latarnię gazową. No, to zapłacę! Powiedzcie mi panowie, o co mnie oskarżacie? Przecież trzeba powiedzieć...

Woźnica Cadet miał twarz poczciwą i szczerą, wprawdzie trochę czerwoną od nadużywania trunków, ale otwartą i rozumną. Niski był raczej, niż wysoki, i okrągły przytem jak aniołek, oczy miał niebieskie, gęste włosy jasne, kędzierzawe, nosił małe wąsy i faworyty. Ubrany był czysto.

Sędziowie przypatrywali się twarzy tego człowieka, który w całej dzielnicy cieszył się dobrą reputacją i wydała im się sympatyczną.

— Bynajmniej was nie oskarżają, mój przyjacielu — odezwał się Gibray głosem, w którym wcale nie było surowości.

— A przecież mnie aresztowano — odrzekł żywo Cadet — nie po to chyba, żeby mi dać nagrodę za cnotę.

— To była tylko przezorność, ażeby was nikt nie wypytywał przed nami.

— Wypytywał! — powtórzył Cadet. — A o co? Przecie nie zrobiłem nic złego.

— Jesteśmy o tem przekonani.

— Więc o czem panowie chcecie się dowiedzieć?

— Jakeście swój czas spędzili wczoraj wieczorem.

— Jak czas spędziłem?

— Tak, coście porabiali? Myślę, że przecie powinniście to z łatwością powiedzieć.

— Z łatwością... No, nie tak bardzo.

— Dlaczego?

— Bom się wczoraj uraczył... a to może mi się przez to trochę pomieszało. Ale pomyślawszy dobrze, może sobie przypomnę... Najprzód pojechałem....

Gibray przerwał woźnicy.

— Zaczekajcie — rzekł — odpowiadać będziecie na pytania moje, ale musimy zacząć po porządku.

— Jak łaska pana sędziego.

— Jak się nazywacie?

— Klaudjusz Leonard Cadet.

— Gdzieście się urodzili?

— W dzielnicy tutejszej.

— Na której ulicy?

— Saint Moulin nr. 10.

— Rodzinę macie?

— O! niech mi pan o niej nie wspomina!... Ojciec, matka, siostra i trzech braci, żadne już nie żyją. Sierota ja, biedny sierota i kawaler. — Chętniebym się ożenił, ale cóż, kiedy wszyscy wiedzą, że lubię kieliszek i mamusie wcale nie mają do mnie przekonania.

— Ile macie lat?

— Trzydzieści pięć.

Sekretarz komisarza policyjnego, zastępując pisarza sędziego śledczego, notował wszystkie pytania sędziego i odpowiedzi Cadeta.

Gibray mówił dalej:

— Wyście wczoraj jeździli karetką nr. 2384, należącą do pana Bieneta, waszego gospodarza?

— Ja. Karetka wyborna. Koń pędzi jak wiatr. U naszego pana koniom dobrze jeść dają.

VII.

Z kim Cadet jeździł?

— Dawno jesteście za woźnicę? — pytał dalej sędzia śledczy.

— Zacząłem służyć, jak miałem rok dwudziesty — odpowiedział Cadet.

— A jak dawno u pana Bienet.

— Pięć lat będzie. Ośm lat służyłem u właściciela dorożek Samuela, aż do jego śmierci, ale mam świadectwo, potem dwa lata u kompanji.

— A dlaczego tam nie zostaliście dłużej?

Cadet podrapał się w głowę.

— A, bo to... — rzekł zmieszany — wszystkiego tego narobiła ta wódka argentueilska — przez nią straciłem miejsce.

Lekki uśmiech przemknął po ustach sędziego śledczego.

Spostrzegłszy uśmiech ten woźnica, zrozumiał, że widocznie jego otwartość zrobiła dobre wrażenie. Zaraz poczuł się swobodniejszym.

Gibray ciągnął dalej:

— O której godzinie wyjechaliście wczoraj?

— W południe punkt bez kwadransu. Pojechałem wprost na dworzec kolei północnej, gdzie zaraz zabrałem jakąś panią z dziećmi, musiałem walić aż na drogę żelazną Montparnasse. Siarczyście daleko! Dostałem franka sześćdziesiąt centów! sześć groszy na wódkę. Maluczko — potem...

Sędzia śledczy znów przerwał woźnicy:

— Wrócimy jeszcze później do tego, coście robili z czasem. A teraz powiedzcie, o której godzinie wróciliście do domu tej nocy?

Cadet znów poskrobał się w głowę, co oznaczyło, że był w kłopocie i milczał.

— Dlaczego nic nie mówicie? — zapytał Gibray.

— A bo w tem właśnie sęk...

— Pamięć wam nie dopisuje.

— A trochę. Tak dokumentnie nie mogę powiedzieć. Może była godzina druga nad ranem, a może później, a może wcześniej. Śnieg zaczynął padać, walił mnie w twarz.

— Dowiemy się, o której godzinie śnieg zaczął padać.

— Punkt o wpół do drugiej, panie sędzio — wmieszał się brygadjer sierżantów miejskich — chodziłem z patrolem i przyszedłem właśnie do cyrkułu.

— A widzi pan! — zawołał Cadet triumfująco. — Choć człowiek sobie podpije, ale pamięta.

— Musiano wam przecie tu otwierać bramę — pytał Gibray.

— Nie, miałem przy sobie klucz.

— Jakto?

Właściciel karetek powtórzył objaśnienie, — jakie dał już komisarzowi cyrkułu.

— Pańscy woźnice wracają o rozmaitych godzinach w nocy? — spytał sędzia śledczy.

— Tak. Dyżurny kosztowałby mnie za dużo, a przytem jednego człowieka za mało na całą noc.

Gibray dał znak, że objaśnienie to mu wystarcza, poczem dalej wypytywał Cadeta.

— Po powrocie do domu coście robili?

— Zaprowadziłem konia do stajni a karetę wtoczyłem do wozowni. Namęczyłem się trochę, to pamiętam... na dworze było zimno, a w oczach wszystko mi tańczyło.

— A karety wcale nie otwieraliście przed odejściem?

— Może że otwierałem, a może że i nie, tego nie wiem. Ale stajenny może panu powiedzieć...

— A skądże on może o tem wiedzieć, kiedy go przy tem nie było.

— To nic nie znaczy.

— Dlaczego?

— O! nic w tem dziwnego. Pan nasz kazał nam woźnicom, ażebyśmy po powrocie do domu przed odejściem wyjmowali z karetek dywaniki i kładli go na kozieł, ażeby wysechł, jeżeli wilgotny. Rozumiesz pan teraz. Jeżeli Franciszek znalazł dywanik na koźle, to znaczy, żem otwierał karetkę, a jeśli nie znalazł, to znaczy, że przez wódkę i mróz zapomniałem o rozkazie.

— Czy dywanik był na koźle? — pytał sędzia śledczy stajennego.

— Nie — odpowiedział Franciszek.

— Pamiętacie to na pewno.

— Na pewno.

Gibray znowu się zwrócił do woźnicy:

— Więc była godzina druga nad ranem, kiedy powróciliście. Skądżeście przyjechali?

— Z ulicy Montorgueil — odrzekł Cadet.

Naczelnik policji śledczej rzucił bystre spojrzenie na dwóch agentów, którzy trzymali w ręku dwa notesy i robili notatki. Spojrzenie to nakazywało im zwrócić szczególną uwagę na tę część badania.

— Kogoż woziliście na ulicę Montorgueil?

— Dwie osoby.

— Mężczyznę i kobietę?

— Nie, dwóch mężczyzn.

— Gdzież wysiedli, przed hotelem, czy przed innym jakim domem?

— Zajechałem przed hotel.

— Do którego kazano wam jechać? Zapomnieliście?

— Nie. Pamiętam bardzo dobrze, iż jeden z pasażerów powiedział mi: „Na ulicę Montorgueil, jedźcie wolniutko, zatrzymam was przed hotelem, gdzie chcę stanąć, bo zapomniałem jego numer".

— Gdzie ci pasażerowie wsiedli?

— W dwóch rozmaitych miejscach. Jeden w Sain Hande, drugi na stacji kolei północnej.

Sedzia śledczy zamienił spojrzenia z podprokuratorem i naczelnikiem policji śledczej. Obaj agenci robili notatki.

— Zatem woziliście kogoś do Saint Mande?
— Woziłem, pana i panią na ulicę Eugenji.
— Kiedy to było,?
— Przyjechałem do Saint Mande o wpół do siódmej, czy o siódmej.
— I wysadziwszy tych pasażerów, zabraliście jednego z owych dwóch mężczyzn.
— Nie. Znacznie później. Pojechałem dalej, spodziewając się, że może mi się uda zabrać kogo do Paryża. Zziąbłem potężnie. pić mi się chciało, a im więcej człowiek pije, tem większe ma pragnienie, jak wiadomo panu sędziemu. Dostałem na wódkę dwadzieścia su, powiedziałem więc sobie, że mogę się uraczyć. Przyjechawszy przed „Kratę zieloną", restaurację przy rogatce Tronowej, zobaczyłem przed bramą dwie karetki i pomyślałem sobie: Są tu koledzy, to musi tu być jakie wesele, albo zabawa... może też człowiekowi nie będzie trzeba wracać samemu. Więc stanąłem za innemi karetkami i wszedłem do restauracji. Dwóch moich kolegów fetowało się tam. Jeden z nich był mi znajomy, — czekali na towarzystwo, które zajadało pod „Kratą zieloną". Trudnoż być między kolegami niegrzecznym, ha! trąciłem z nimi, siedliśmy razem na partyjkę w „zanzybara"...
— W co takiego?
— Tak my nazywamy grę w kości.
— Więc z pod „Kraty zielonej" zabraliście pierwszego gościa?
— Ale nie z restauracji. Było to tak: Graliśmy sobie i piliśmy we trzech. Czas schodził prędko. Język mi się już trochę plątał, a w oczach mi się dwoiło. Szóstkę brałem za dwunastkę, a jedynkę za czwórkę. Ale mi się szczęściło!... Nie chciałem wstać od gry, kiedy właściciel restauracji, który już zamykał, powiedział: „Czy kto nie chce pasażera odwieźć?" — Ja! — odezwałem się. — Pasażer pokazał się we drzwiach i krzyknął: „Prędzej, bo mi spieszno!"
— O której to było godzinie? — zapytał sędzia.
— O północy, a przynajmniej w tym czasie. Partyjka długo trwała.
— Możecie mi opisać tego pasażera?
Cadet skrzywił się szpetnie.
— Opisać? — powtórzył. — Będzie to może trochę za ryzykowne. Niech pan sędzia pomyśli tylko, żem sobie porządnie podpił, nie mówiąc już o tem, że miał szal do ćwierć twarzy, kapelusz nasiśnięty na oczy, a kołnierz od paltota założony na uszy. Na takie zimno, to bardzo naturalne, nieprawdaż?
— Więc nie widzieliście tego mężczyzny?
— Przepraszam, widziałem, że wygląda młodo, że ma włosy jasne, faworyty jasne i takie wąsy, a na nosie binokle.
— Porządnie był ubrany?

— Jak elegant. Rzekł do mnie: „Biorę was na godzinę". — „Dokąd pojedziemy?" — zapytałem. — „Na kolej północną, ale prędzej, jadę po jednego z przyjaciół, który przyjechać ma pociągiem o godzinie pierwszej". — „Niech pan siada", odpowiedziałem. — Wsiadł, zamknąłem za nim drzwiczki, odwiązałem Galepina — to mój koń, wskrobałem się na kozieł i pojechałem na kolej północną. W głowie mi się porządnie mąciło, w oczach stawały świeczki, ale pasażera dowiozłem.

— Czy właściciel restauracji widział tego pasażera, jak myślicie, uważnie mu się przypatrzył?

— Tego nie umiem powiedzieć.

— O której godzinie przyjechaliście na kolej?

Trzy kwadranse na pierwszą. Wiem dobrze, bo spojrzałem na zegar.

VIII

Pasażerowie

— Co robił wasz pasażer, kiedyście przyjechali na kolej? — zapytał sędzia śledczy.

— Wysiadł z karetki, poszedł do sali, gdzie się czeka na przyjazd podróżnych. O pierwszej zagwizdała lokomotywa. Potem za minutę pasażer mój wrócił z drugim mężczyzną, wsiedli obaj do karetki i wtenczas — jak już panu sędziemu mówiłem — kazał mi pojechać na ulicę Montorgueil.

— Możecie opisać drugiego pasażera?

— O nie! Cały się okrył ogromnym szalem białym, tak, że mu twarzy nie było widać. Jedno tylko pamiętam.

— Cóż takiego?

— Lewą rękę miał na temblaku.

— Wiecie to napewno? — zapytał żywo de Gibray.

— Napewno.

— Dobrze, i mam jeszcze zadać wam kilka pytań. Postarajcie się zebrać swe wspomnienia, a przedewszystkiem mówcie otwarcie.

— Ja też otwarcie mówiłem dotąd — odpowiedział woźnica z miną pełną godności — nie kłamię wcale i dzięki Bogu, nie mam po co kłamać. Jeżeli sobie podpiję, na tem tylko moja kieszeń cierpi, a to nie przeszkadza być uczciwym człowiekiem i dobrze powozić. Niech pan sędzia zapyta mego pana.

— Pijaństwo bardzo brzydki nałóg, robiący z człowieka bydlę i radzę wam bardzo poprawić względnie, przyznaję jak najzupełniej.

— To bardzo dobrze wiedzieć, może to być bardzo użytecznem. Więc tego człowieka moglibyście lepiej poznać po głosie, niż z twarzy?

— A tak, bo głos jego słyszałem dobrze, a twarz bardzo kiepsko widziałem.

— Teraz powiem wam, dla czego byliście chwilowo aresztowani i dla czego badani jesteście.

— O! bardzo mi przyjemnie będzie nareszcie się dowiedzieć — odpowiedział Cadet zaciekawiony.

— W karetce waszej popełniono zbrodnię!

Cadet zbladł!

— Zbrodnię! — wyjąkał. — Zbrodnię w mojej karetce! To być nie może!

— Ale tak jest! na nieszczęście. Z dwóch pasażerów, których wieźliście tej nocy na ulicę Montorgueil, jeden drugiego zamordował.

— Boże miłosierny, co pan mówi? — zawołał przerażony woźnica.

Gibray mówił dalej:

— A wy sami o tem nie wiedząc, przywieźliście w nocy trupa ofiary.

Bladym już był Cadet, ale teraz zsiniał.

— Mój Boże! i mnie podejrzewano, żem zabił tego nieszczęśliwego!

— Nie podejrzewano was — odparł sędzia śledczy — bo mieszkacie wśród ludzi, którzy znają was dobrze i mają dobrą o was opinję. Prócz waszego brzydkiego nałogu do trunków nikt wam nie może nic złego zarzucić. Nie lękajcie się wcale. Od tej chwili jesteście już wolni, tylko nie wyjeżdżajcie z Paryża i bądźcie gotowi na wezwanie sądu, który was będzie jeszcze potrzebował.

— O! — zawołał Cadet. — Sąd może ze mną robić, co chce! Niechaj mnie weźmą na tydzień, dwa, trzy — a nawet więcej tygodni, to nawet rad będę, byleby tylko znaleziono tego zbrodniarza, co to nawet zrobił. Kiedy sobie pomyślę, że niegodziwiec zabił człowieka w mojej karetce, a ja nic nie słyszałem, nic nie podejrzywałem, bo pijany byłem jak bydlę, włosy rwałbym sobie z głowy! O! co to za nauczka dla mnie. Niech mnie konie stratują, jeżeli odtąd łyknę choć kropelkę!

— Bardzo to dobrze, że macie taki zamiar — rzekł z uśmiechem de Gibray — winszuję wam, ale czy dotrzymacie?

— Tak, przysięgam panu!

— Tem dla was lepiej, jeżeli nie złamiecie przysięgi.

— Pisać umiecie?

— Umiem...

— Podpiszcie ten protokół.

IX.

Druga zbrodnia.

Cadet wysłuchawszy protokół, który mu przeczytano, podpisał, a potem spytał sędziego śledczego:

— Czy pan naprawdę pozwoli mi teraz odejść?

— Zaraz — odpowiedział Gibray — będziecie wolni w tej chwili, ale musicie najprzód zobaczyć trupa....

— Trupa? — zawołał Cadet, drgnąwszy — albož on tutaj?

— Czyście nie zrozumieli, żeście przywieźli go w swej karetce — rzekł sędzia śledczy. — Chodźcie za mną...

Członkowie sądu, agenci i świadkowie udali się na dziedziniec gdzie leżał na słomie zamordowany człowiek.

— Zdejmcie dywaniki — rozkazał sierżantowi miejskiemu naczelnik policji śledczej.

Ten czemprędzej spełnił rozkaz i odsłonił trupa. Cadet spojrzał z przerażeniem.

— Poznajecie tego człowieka?

— Poznaję biały szal, proszę panów, ale człowieka nie mogę rozpoznać, i nawet wątpię, czy to ten sam...

— Dlaczego wątpicie?

— Tamten miał rękę na temblaku.

— Jodelet — odezwał się naczelnik policji śledczej — zobacz, czy nie ma rany na lewej ręce.

Agent wypełnił rozkaz.

— Nie widzę nic, zgoła nic — rzekł — a temblaku niema.

Jeszcze jeden punkt ciemny na dobitkę, a trzeba go wyjaśnić. Kiedy doktor obejrzy ranę, może nam wyświetli zagadkę. Bandaż mógł zabójca zabrać z sobą, więc brak jego nie dowodzi jeszcze niczego, trzeba trupa odwieźć do Morgi.

— Służę panu sędziemu karetą — rzekł gospodarz.

— Przyjmuję propozycję pańską. Brygadjer z dwoma sierżantami odwiezie ciało, a wy Cadet — tu sędzia śledczy zwrócił się do woźnicy — będziecie w sądzie, w mej kancelarji. Powiecie woźnemu że przyszliście w sprawie z ulicy Ernestyny. On was natychmiast przyprowadzi do mnie.

— Nie spóźnię się, panie sędzio.

W bramie dało się słyszeć gwałtowne dzwonienie.

— Idź otworzyć — odezwał się gospodarz do stajennego — dowiedz się, o co chodzi.

Franciszek pobiegł do bramy i otworzył furtkę.

Ukazał się brygadjer sierżantów miejskich. W ręce trzymał list. Był to brygadjer Lannois, którego poznaliśmy na cmentarzu Pere Lachaise.

— Pan naczelnik policji śledczej jest tutaj? — zapytał.

— Jest oto tam przy tej szopie — odpowiedział Franek.

Brygadjer prędko przeszedł przez dziedziniec, zatrzymał się przy gromadce stojących ludzi i rzekł:

— Panie naczelniku, przybywam z prefektury, gdzie dowiedziałem się, że pana tu znajdę.

— Co za interes?

— Przyniosłem list do pana naczelnika.

— Od kogo?

— Od pana Bethier, komisarza policyjnego z dzielnicy Pere Lachaise.

I podał jednocześnie kopertę naczelnikowi policji śledczej, który ją wziął, rozpieczętował i wyjął list. Skoro tylko przeczytał kilka pierwszych wierszy, brwi mu się zmarszczyły, a twarz spochmurniała.

— Co się stało? — spytał podprokurator.

Mamy doprawdy dzień ciągłych zagadek krwawych! Wzywają członków sądu i mnie na cmentarz Pere Lachaise, gdzie znaleziono zrana w grobowcu zamordowaną kobietę.

Dreszcz przebiegł po ciele słuchaczy na tak osobliwszą wiadomość.

— W grobowcu! — powtórzył sędzia śledczy.

— Zdaje się, że komisarz policyjny musiał złamać zamek, ażeby dostać się do trupa.

— Ma pan słuszność, dzisiaj dzień krwawych niezrozumiałych zagadek. Zrobiliśmy tu już, co się należało, a teraz spieszmy na cmentarz. A pamiętaj Cadet, że w sądzie punkt o pierwszej.

— Jedźmy panowie!

Członkowie sądu wsiedli do powozów, któremi przyjechali.

— Mam swoją dorożkę, panowie — rzekł brygadjer Lannois do Jodelet i Marteleta — siadajcie panowie ze mną.

— I owszem.

Komisarz cyrkułowy otrzymał ostatnie zlecenie od naczelnika policji śledczej, potem bramę otwarto i powozy wyjechały z dziedzińca. Zbity tłum wciąż jeszcze stał na ulicy, ale już nie hałasowano. Wiedziano, że na dziedzińcu za parkanem był trup skrwawiony — więc obecność trupa działała bądź powściągliwie.

Jednakowoż kiedy Cadet wyszedł z bramy wraz ze swym panem, gorącą mu zrobiono owację. Wszyscy starali się mu rękę uścisnąć, otaczali go, wypytywali o tajemniczy dramat, który musiał znać najlepiej, bo przecie grał w nim rolę ważną. Jednocześnie brygadjer Fontaigne odwoził do Morgi trupa, znalezionego w karetce nr. 5583.

Przyłączmy się do sędziego śledczego i naczelnika policji w tej chwili, gdy wchodzą do kancelarji dozorcy cmentarza. Z niecierpliwością czekał on wraz z komisarzem policyjnym na powrót brygadjera Lannois. Komisarz zaczął sporządzać swój protokół; zobaczywszy powozy, krzyknął z zadowoleniem:

— Nareszcie!

— Nareszcie panowie przyjechali, — powtórzył członkom sądu — tem goręcej pragnąłem panów, że sprawa, w której panów wezwałem, bardzo się ciemno przedstawia.

W kilku słowach opowiedział przybyłym, co się z rana wydarzyło.

— Dziwi się pan zapewne, żeśmy się tak opóźnili — odezwał się sędzia śledczy — ale nie będzie się pan dziwił, gdy się dowie, że posłaniec pański musiał jechać po nas do La Chapelle, gdzieśmy prowadzili śledztwo z powodu zbrodni, nie mniej tajemniczej, nie mniej niepojętej, niż ta, jaka nas tutaj sprowadza... Rozpoczął pan protokół?

— Już.

— Proszę....

— Oto jest...

Gibray przeczytał.

— Dziwna rzecz — wyszeptał — chodźmy na miejsce zbrodni.

— Czy mam zaraz przywołać robotników, którzy znaleźli trupa? — zapytał dozorca.

— Koniecznie.

Posłał stróża po robotników, który też znalazł ich w szyn[illegible] przy ulicy Renaud, gdzie czekali cierpliwie na przybycie członkó[illegible] sądu.

Czemprędzej zapłacili należność w bufecie i pospieszyli do grobowca, gdzie już stali sędziowie.

Ciekawi chcieli także przystąpić do grobu — ale nie dopuścili ich agenci, przestrzegając otrzymanego rozkazu.

Komisarz policyjny wskazał na plamę czerwoną, która widniejąc na śniegu, doprowadziła przedewszystkiem na domysł zbrodni.

Opowiedział sam wszystko to, co zapisane już było do protokółu. Drzwi grobowca, których już zamek nie trzymał, otwarte zostały natychmiast.

Opis wnętrza grobowca staje się koniecznym dla objaśnienia dalszych szczegółów i dlatego dopełnimy go pokrótce.

Grobowiec zbudowany z szarego granitu bez żadnych ozdób kamieniarskich z zewnątrz, prócz herbu z koroną hrabiowską obejmował — jak już rzekliśmy powyżej — przestrzeń wielkości od dwudziestu ośmiu do trzydziestu łokci kwadratowych. Na froncie w stylu gotyckim nie było żadnego napisu. Na ścianach bocznych wybite otwory w kształcie trójliści, oświetlały wnętrze.

W głębi przy ścianie, naprzeciw drzwi, wznosił się niewielk[illegible]

ołtarz marmurowy. Na ołtarzu tym stał krzyż pośrebrzany, cztery lichtarze z świecami woskowemi, z których jedne były jeszcze całe, drugie wypalone do połowy. — Sześć krzeseł było po obu stronach przy ołtarzu z drzewa czarnego, wysokiemi oparciami i z bardzo niskiem siedzeniem, obitem starą, jaskrawą materją. Trzy krzesła leżały na podłodze przewrócone, inne stały, ale w nieładzie. Wyblakły dywan okrywał w części marmurowe płyty, naprzemian czarne i białe, niby kwadraciki na szachownicy. Dwa obrazy szkoły włoskiej wisiały na ścianach. Jeden z nich przedstawiał „Zdjęcie z Krzyża", drugi „Zmartwychwstanie Jezusa Chrystusa". Wilgoć tu panująca osiadła i na obrazach, tak, iż twarze na nich były już niewidoczne.

Trup kobiety

Półzmrok ponury panował w grobowcu. Kilka wianków widniało przed ołtarzem, wszystkie zwiędłe, z wyjątkiem jednego.

Wiemy już, że trup zabitej kobiety na wznak leżał. Na pobladłych ustach nieboszczki widać było czerwoną placę, okrążył ją pasek zeschłej krwi. Ręce miała wyciągnięte, palce zaciśnięte, oczy otwarte. Twarz której rysy skamieniały pod działaniem śmierci, wyrażała przestrach niezmierny. Szczegóły te, któreśmy podać uważali za konieczne, zapisane zostały drobiazgowo w protokóle. Niewiadoma ofiara mogła mieć lat czterdzieści. Była w żałobie: z czarnego kapelusza krepowego zwieszał się welon z takiejże materji. Na szyji dawała się widzieć głęboka rana. Kształt rany tej wskazywał, że zabójca uderzył sztyletem trójkątnym.

— Zaczynajmy po porządku — rzekł Gibray po krótkich oględzinach. — Najprzód trzeba obejrzeć ubranie nieboszczki.

Jodelet ukląkł obok trupa i uważnie szukał po kieszeniach. Znalazł w nich tylko cienką chustkę płócienną.

— Zobaczcie, jaki jest znak na chustce— rozkazał sędzia śledczy.

— Żadnego znaku nie ma — odpowiedział Jodelet ze zdziwieniem — tutaj tak samo, jak na ulicy Ernestyny.

Członkowie sądu spojrzeli po sobie zdziwieni.

Gibray mówił dalej:

— Znak, którego niema na chustce, może być na bieliźnie.

Agent policyjny bardzo szybko rozpiął stanik i gorset nieboszczki.

— Druga rana w sercu! — zawołał Jodelet.

— Rana podobna zupełnie do rany szyji, a obie podobne do rany trupa z ulicy Ernestyny!

Głębokie milczenie panowało w grobowcu przez kilka sekund. Członkowie sądu i świadkowie stali w osłupieniu.

— Co mówicie, Jodelet? — spytał Gibray, nachyliwszy się nad martwem ciałem.

— Rzecz bardzo prosta co mówię — odpowiedział agent. — Pan sędzia może się sam o tem przekonać. Przysiądzby można, że ta sama ręka, tym samym sztyletem uzbrojona ugodziła nieszczęśliwą i mężczyznę w białym szalu, zabitego w najemnej karecie!

Naczelnik policji śledczej nachylił się, włożył binokle i obejrzał rany, przez które dusza uciekła.

— To prawda! — wyrzekł następnie. — Podobieństwo zupełne. Spieszcie się, panowie.

Gibray i komisarz do spraw sądowych obejrzeli ciało niemniej uważnie, jak naczelnik policji śledczej.

— Zachodzi rzeczywiście wielkie podobieństwo — odezwał się sędzia śledczy — i nawet zdumiewające, ale jakże przypuścić tak osobliwą łączność między dwiema zbrodniami, popełnionemi w różnych miejscach? To tak nieprawdopodobne, że nawet nie sposób o tem myśleć. Zresztą wszystko się wyjaśni.

— Ba! zawsze się wszystko wyjaśnia, a przynajmniej prawie zawsze, ale z wielką trudnością niekiedy — zauważył naczelnik policji śledczej.

— Spójrzcie panowie na wyraz twarzy — mówił dalej Gibray — popatrzcie na te ręce zaciśnięte. Ta kobieta walczyła ze śmiercią.

— Z zabójcą! — zauważył Jodelet, chwytając rękę nieboszczki i prawie machinalnie dodał: a oto i coś użytecznego! Poszlaka!

— Poszlaka? — powtórzył sędzia śledczy — gdzie?

Kosmyk włosów mordercy, wyrwany podczas walki mordercy i pozostały w ręce ofiary.

— Włosy są jasne a nieznajomy, którego woźnica zabrał z Saint Mande i zawiózł na kolej północną, a stamtąd na ulicę Montorgueil, mocnym był właśnie blondynem.

— Przyznaję, że zbieg okoliczności jest dziwny — rzekł Gibray — nie ruszcie tych włosów, Jodelet, żeby się nie rozwiały.

— Ot, nie potrzeba się tego obawiać — odrzekł agent policyjny — skostniałe palce zaciskają się i nie wypuszczają tego, co trzymają.

— To dobrze! Bielizna znaczona?

— Nie.

— Zdaje mi się, że widziałem nosze.

— To ja kazałem je przygotować! — powtórzył dozorca cmentarza.

— Czy odnieść ciało do morgi? — spytał brygadjer Lannois.

— Tak, i to jak najprędzej.

Dwóch ludzi podniosło trupa, położyło na nosze u drzwi grobowca, a grube rogóżki zasłoniły ciało przed wzrokiem ciekawych.

— Panowie — odezwał się sędzia śledczy.

— Oglądamy drugą zbrodnię, niemniej dziwną, niemniej tajemniczą niż pierwsza. Ta kobieta bez wątpienia przyszła się tu modlić. Płakała, klęczała zapewne przed tym ołtarzem, kiedy ją ugodzono zdradziecko. Walka była straszna, te krzesła poprzewracane włosy mordercy w ręku ofiary, wszystko to świadczy o tem wymownie. Co kierowało mordercą? dowiemy się tego, myśleć teraz, że była to raczej zemsta, niż chciwość. Zdaniem mojem, morderca zabił nie po to, aby okraść.

— Panie sędzio! — odezwał się agent Martel — niech pan sędzia spojrzy!

— Cóż takiego?

— Kapliczka z figurkami i kopułka na ołtarzu otwarte sanctissimum, gdzie chowa się przenajświętszy Sakrament... kluczyk w zamku.

Agent pokazywał drzwiczki kapliczki, stojącej na ołtarzu. Gibray przystąpił, otworzył miniaturowe drzwi i zajrzał.

— Tu nie ma nic — rzekł — ale niezawodnie coś stąd zabrano, bo na kurzu wyraźne są ślady palców. Wszystko to trzeba zapisać do protokółu.

Jodelet podnosił lichtarze jeden po drugim, ażeby zobaczyć, czego nie schowano pod niemi. Oględziny te nie dały żadnego rezultatu. Sędzia śledczy zwrócił się do komisarza dzielnicy Pere Lachaise.

— Zdaje mi się, że mówił pan, iż zawołany ślusarz nie mógł otworzyć drzwi grobowca?

Ślusarz jeszcze nie odszedł. Odpowiedział też sam:

— Zepsułem trzy wytrychy, panie sędzio, w żaden sposób nie można było zamku otworzyć.

— Czem to sobie tłomaczycie?

— Musiano coś włożyć w zamek i dlatego nie można było z nim dać sobie rady, chociaż takie duże i proste zamki zwykle bardzo łatwo się otwierają.

— Oglądaliście ten zamek?

— Nie zostawiliśmy go takim, jakim jeszcze jest dotąd.

— No, to rozłamcie go i przekonajcie się uważnie, czy co w nim się rzeczywiście znajduje.

Ślusarz miał przy sobie narzędzia, mógł więc w kilka minut zrewidować wnętrze zamku.

— O — zawołał — byłem pewny, że się nie mylę

— Cóż tam takiego?

— Niech pan sędzia spojrzy, nawkładano kamyki, dlatego narzędzia nie mogły nic poradzić.

— Teraz rzecz jasna — odezwał sie sędzia śledczy — morder-

ca spełniwszy zbrodnię, zabrał ze sobą klucz i postarał się, żeby nie odrazu można było otworzyć w razie gdyby ofiara, wróciwszy na chwilę do przytomności, wołać zaczęła o ratunek, a krzyki jej były usłyszane.

— Być może — szepnął Jodelet zadumany.

— Jest przecie sposób! — zawołał naczelnik policji śledczej — że można tę sprawę jeżeli nie zupełnie wyjaśnić, to przynajmniej ślad znaleźć.

— W jaki sposób? — zapytał de Gibray.

— Zamordowana musi być znana rodzinie, do której grobowiec należy! Rodzina da nam cenne wskazówki.

Komisarz cyrkułu pokręcił głową.

— Ja sam tak myślałem, rzekł, ale omyliłem się w nadziejach.

— Alboż grobowiec nie należy do nikogo? Czyżby był tylko czasowym?

— Nie, nie dlatego. Grobowiec należy do rodziny ruskiej, hrabiów Kurawiewów, która długi czas mieszkała w Paryżu, a później powróciła do Petersburga. Grobowiec pusty. Tu nikt nie jest pochowany, nikt też nie miał powodu tutaj przychodzić.

— Pan wie to napewno? — zapytał Gibray z wielkiem ożywieniem.

— Na pewno.

— To bardzo niezrozumiałe.

— Mniej jednak. niż pan sądzi, i zaraz wyjaśnię panu co go tak dziwi.

Komisarz policji mówił dalej:

— Grobowiec ten zbudowany został lat temu dwadzieścia cztery. Koncesja na wieczne czasy.... Grunt został zakupiony przez hrabiego Kurawiew, który prawie w tym samym czasie stracił żonę. Śmierć hrabiny narobiła wiele hałasu. Pewnie nie zapomnieliście panowie zupełnie o tem...

— W istocie, zdaje mi się, że sobie przypominam — rzekł naczelnik wydziału śledczego, zastanowiwszy się przez chwilę. — Wszak tu idzie o zabójstwo bardzo szczególne?

— Tak jest....

Teraz zabrał głos nadzorca cmentarza.

— Hrabina Kurawiew została tu pochowana — rzekł. — Ale w rok później hrabia otrzymał upoważnienie do przewiezienia zwłok swojej małżonki do Rosji i nastąpiła ekshumacja.... Od owego czasu rodzina ta nie mieszka już w Paryżu i grób pozostał próżny...

— W takim razie sprawa ta staje się coraz więcej zawiłą! — zawołał pan de Gibray. — Jaki powód sprowadził do grobu tę nieszczęśliwą kobietę, która w nim miała śmierć znaleźć? Aby wejść do niego, trzeba było mieć klucz... Czy go pan masz, panie nadzorco?

— Nie, panie. My nie przyjmujemy obowiązku strzeżeń, kluczy od grobowców; to nabawiłoby tylko kłopotów. W ogólności rodziny powierzają te klucze kamieniarzom, którzy się zobowiązują utrzymać groby i czuwać nad zmianą kwiatów i wieńców.

— Czy hrabia Kurawiew nie mógł powierzyć klucza kamieniarzowi? — spytał sędzia śledczy.

— W jakimby celu on to robił? Nigdy nie widziano, aby te drzwi były otwarte... Zresztą proszę patrzeć! Pokład kurzu, pokrywający ołtarz i posadzkę, zbutwienie dywana i obicia krzeseł, dowodzą, że grobowiec znajduje się w stanie zupełnego opuszczenia.

—Czyś pan zapytywał się swoich stróżów, aby się dowiedzieć czy kto w ostatnich dniach tutaj nie wchodził?

— Przyznaję, że nie.

Jeden ze stróżów przystąpił.

— Panie sędzio śledczy — rzekł — parę dni temu widziałem wchodzącą tu kobietę, a tą kobietą musi być ta, której trupa dziś rano tu znaleziono....

— Z czego to wnosisz?

— Bo była tego samego wzrostu co kobieta zamordowana i tak samo ubrana w żałobę.... Długa zasłona twarz jej zakrywała. Otwierała drzwi grobu w chwili, gdym przechodził, odbywając wartę.

— Czy niosła wieniec z nieśmiertelników? — zapytał żywo Jodelet.

— Nie... — odpowiedział stróż — zauważyłem to, pomyślawszy, że się nie zrujnuje, jeżeli przychodzi tylko z modlitwą...

— A jednak oto jest wieniec zupełnie świeży, pomiędzy zwiędłemi i rozsypującemi się w proch — rzekł jeden z agentów, podając sędziemu śledczemu wieniec, o którym wspomnieliśmy wyżej.

— Prawda — rzekł de Gibray — z tego trzeba wnosić, że się stróż omylił, albo że ktoś inny przychodził, albo że wieniec ten został przyniesiony przez kobietę zamordowaną w czasie jej ostatniej bytności. Zresztą jest to rzecz podrzędna i nie doprowadzi do żadnego wyjaśnienia. Co mnie daleko więcej zajmuje, to potwierdzenie, że w grobie nie spoczywa żadne inne ciało. Czy to pewne, czy to rzecz dowiedziona?

— Pewna i dowiedziona, mój panie — odparł nadzorca cmentarza. — Dziś rano pokazywałem panu komisarzowi policji protokół ekshumacji zwłok hrabiny Kurawiew i jeżeli pan chce, mogę mu go natychmiast przedstawić.

— Nie potrzeba, spuszczam się na pana. Czy od czasu prze-

niesienia zwłok zgłaszał się kto do pańskiej kancelarji w imieniu rodziny?

— Nigdy. Mam wyborną pamięć i śmiało mogę twierdzić, żem nie widział nikogo z krewnych, nikogo z przyjaciół.

Sędzia śledczy wpadł w szczególne zamyślenie.

— Ta kobieta miała klucz — szepnął. — Otworzyła, weszła, otrzymała cios w grobowcu od mordercy, który na nią czatował, i który nie mógł wykonać swego szkaradnego zamiaru bez stoczenia zaciętej walki z ofiarą. Po spełnieniu zbrodni nędznik umknął zabrawszy klucz i przedsięwziąwszy ostrożności, aby nie można było otworzyć zamku. Rzeczy tak się miały, to mi się wydaje niezawodnem. Nic łatwiejszego, jak otworzyć scenę morderstwa; ale jaki był powód tej zbrodni, otóż tego nie można się domyśleć.

Po chwili zastanowienia pan de Gibray mówił dalej:

— To otwarte cymborjum musiało coś zawierać — coś, co morderca chciał pochwycić i czego bronić ofiara miała interes. Co? Starać się odgadnąć byłyby szaleństwem. Trzeba dalej prowadzić śledztwo i znaleźć wskazówkę, coby nam wskazała ślad, za którym iść należy, bo do obecnej pory wszystko jest niejasnem i błąkamy się w zupełnych ciemnościach.

— Czyby się nie można dowiedzieć, gdzie ten wieniec został kupiony? — zapytał komisarz policji.

— Możnaby tego próbować, lecz zapewne pozostanie to bez skutku — odparł naczelnik wydziału śledczego.

— Dlaczego?

— Dla jednego z najlepszych powodów. — Pięćdziesięciu lub sześćdziesięciu kupców, a może jeszcze więcej mieszka przy ulicy Ropuette, oraz w okolicach cmentarza i sprzedają te wieńce wyrabiane hurtem i wszystkie podobne do siebie. Dwustu lub trzystu kupujących codziennie wchodzi do tych kupców. Jakże u licha pan chcesz, aby sprzedający mógł wskazać kupującego przedmiot tak podobny do innych? Szaleństwem byłoby liczyć na to!....

Podczas gdy naczelnik wydziału śledczego wymawiał te ostatnie wyrazy, stróż cmentarza w towarzystwie człowieka mającego około pięćdziesięciu lat, ubranego porządnie w szarakowe palto i w okrągły kapelusz, przeciskał się przez krąg ciekawych, który się utworzył o 30 lub 40 kroków od grobowca i zbliżał się ku grupie, utworzonej przez delegację sądową.

— Panie nadzorco! — rzekł stróż, ukłoniwszy się z uszanowaniem — oto jest pan Letellier, — któremu przed chwilą opowiadałem o zbrodni popełnionej w grobowcu Kurawiewów i któremu się zdaje, że może dostarczyć objaśnień użytecznych dla sądu.

— Zbliż się pan, zbliż... — rzekł żywo sędzia śledczy — i jeżeli masz nam co do powiedzenie, to bardzo prosimy.

Człowiek wskazany nazwiskiem Letellier zdjął kapelusz i odparł:

— Mój Boże, to rzecz bardzo prosta — odparł. — Stróż Hilary opowiadał mi, jak to panu oświadczył, o popełnionej zbrodni, którą się wszyscy na cmentarzu Pere Lachaise zajmują... Wtedy przypomniałem sobie coś, co może panów zainteresować.

— Cóż takiego? Mów pan prędko.

— Wczoraj około trzeciej widziałem tak, jak pana teraz widzę, młodego człowieka, wchodzącego do grobowca Kurawiewów.

Zbytecznem byłoby utrzymywać, że to niespodziewane zeznanie sprawiło na obecnych głębokie wrażenie.

Urzędnicy zamienili spojrzenia, któremi sobie udzielali wspólnej nadziei.

Bez wątpienia, tajemnica, napozór niezgłębiona do obecnej chwili, miała się wyjaśnić.

— Skąd pan wiesz, że ten grobowiec należy do rodziny Kurawiewów? — zapytał pan de Gibray.

— Wiem od dawnych czasów, proszę pana — odpowiedział Letellier — albo raczej wiedziałem od samego początku, gdyż pracowałem przy jego budowie jako kamieniarz, jest temu lat dwadzieścia cztery.... Opowiadano potem, że hrabina Kurawiew została zamordowana — wskutek czego, gdy pan Hilary zaczął mówić o grobie, natychmiast sobie przypomniałem. z

— Sądzę, że to musiało wybornie kierować pańską pamięcią. I pan jesteś pewny, żeś widział jakiegoś młodzieńca wchodzącego wczoraj do tego grobowca?

— Tak jest, panie.

— Opowiedz pan szczegółowo.

— Zarobiwszy trochę pieniędzy na kamieniarstwie, założyłem przy ulicy ...etta handelek emblematów żałobnych i wieńców. Wczoraj powracałem z miasta, gdy wchodząc do sklepu, ujrzałem w nim jakiegoś jegomościa, który od mojej żony kupował wieniec z nieśmiertelników.

— Może ten? — rzekł de Gibray, biorąc wieniec z rąk Jodeleta, z powodu którego przed kilkoma minutami wszczęła się rozprawa i podającego Letellierowi.

— Co do tego, mogę panu powiedzieć coś stanowczego — odpowiedział zapytany. — Zamiast kupować wieńce gotowe, znajduję korzystniejszem robić je w domu, do czego używamy pewnego gatunku nici bardzo mocnych, którebym rozpoznał na pierwszy rzut oka. Zatem, jeżeli to ten to zaraz panu powiem.

Były kamieniarz wziął wieniec z rąk sędziego śledczego.

Rozsunął aż do osnowy ze słomy kwiaty — które się rozsypywały pod jego palcami.

— Tak, panie, to ten w istocie — mówił, przyjrzawszy mu się przez chwilę. — Patrz pan, to nić surowa napuszczona smołą. Jestem pewien że jej ja jeden tylko używam.

Zatem — rzekł pan de Gibray coraz więcej uradowany — młodzieniec kupił ten wieniec?

— Tak panie, i zapłaciwszy wyszedł.

— Czyś pan szedł za nim?

— O zupełnie przypadkiem, bo ani w jego osobie, ani w jego obejściu nic nie dawało mi najlżejszej przyczyny domyślać się, aby to był morderca....

— Morderca! — powtórzył sędzia pokoju. — Więc pan sądzisz, że to on popełnił tę zbrodnię?

— Ba, panie sędzio, tak mi się wszystko wydaje....

— Wytłomacz się pan.

—Wracałem z miasta, jakem to panu już był powiedział. Chodziłem po odbiór niewielkiej należności za utrzymanie grobu, jaki jeden z moich klientów ma na cmentarzu Pere Lachaise... Klient ten prosił mnie, aby umieścić na pomniku świeże wieńce. Tu niedaleko ten ładny pomnik, który pan widzisz o dwadzieścia pięć kroków w tej samej alei, z urną na frontonie.

I wyciągniętą ręką wskazywał na grobowiec

— Rozumiem dobrze — rzekł pan de Gibray. — Wyszedłeś pan z domu aby zawiesić wieńce we wskazanem miejscu, stosownie do życzenia wyrażonego przez pańskiego klienta, a ponieważ młodzieniec szedł w tym samym kierunku co i pan, pomimowoli szedłeś pan za nim. Wszak prawda?

— Tak panie, najzupełniejsza prawda.

XVI.

— Mów pan dalej — ciągnął sędzia śledczy. Letellier mówił dalej:

— Nagle młodzieniec zwalniając kroku, wyjął klucz z kieszeni. Ujrzałem się obok niego, gdy kładł ten klucz w zamek grobowca Kurawicwów Nawet ukłoniłem mu się, przechodząc. Wracając, ujrzałem drzwi zamknięte, lecz klucz tkwił w zamku

— Która mogła być wtedy godzina?

— Kilka minut po trzeciej. Spojrzałem na zegarek, powróciwszy do domu.

— Przypominasz pan sobie rysy i powierzchowość tego młodzieńca?

— Ach panie, zdaje mi się, że go mam przed oczyma.

— Opisz go pan....

— Przystojny chłopiec, średniego wzrostu — lecz zgrabny... rysy twarzy regularne, dosyć biały; oczy czarne, bardzo żywe, włosy jasne dosyć długie, faworyty blond, takież małe wąsiki, ubrany był bardzo elegancko i nosił binokle. Zapłacił mi złotem.

Słuchając tego opisu pan de Gibray, naczelnik wydziału śledczego, komisarz do spraw sądowych, i dwaj agenci nie mogli powstrzymać gestu zadziwienia.

— Ależ — zawołał sędzia śledczy — ten rysopis zgadza się zupełnie z rysopisem danym przez stangreta z ulicy Ernestyny.

— Krocset — rzekł Jodelet półgłosem, ale dosyć głośno, aby zostać usłyszanym — ja dobrze mówiłem, że mężczyzna i kobieta zostali zamordowani tą samą ręką i tą samą bronią... Ten jasny blondyn jest ich mordercą.

— Czyś pan słyszał młodzieńca mówiącego? — zapytał sędzia śledczy kupca przyborów żałobnych.

— Słyszałem, proszę pana, w sklepie, gdy wyjął sakiewkę, płacąc za sprawunek złotą czterdziestofrankową z której mu moja żona wydała resztę.

— A! zapłacił sztuką czterdziestofrankową?

— Tak jest, panie, i nawet zdaje mi się, że ich miał sporo w woreczku.

— Jedna z nich posłużyła do oddalenia stangreta przy ulicy Montorgueil.... — szepnął Jodelet.

— Czy dobrze mówił po francusku? — spytał sędzia śledczy.

— Bardzo dobrze, lecz cudzoziemskim akcentem, który mi się wydawał podobnym do akcentu północnego, jednak nie mogę zaręczyć.

— To ten, którego szukamy — rzekł naczelnik wydziału śledczego. — Interes się upraszcza, gdyż mamy szukać tylko jednego sprawcy.

— Tak — odparł de Gibray — tylko ten jegomość otoczył się taką tajemnicą, że trudno będzie go wyszukać.

Zobaczymy. Młody blondynek jest przebiegły, to rzecz pewna, ale i my będziemy również przebiegli.

— Czy pan potrzebuje jeszcze co odemnie? — zapytał Letellier.

— Tak, na chwilkę. Poproszę pana, abyś się z nami pofatygował do kancelarji, pana nadzorcy cmentarza dla podpisania protokółu śledczego i dziękuję panu żeś nam dał dobrowolnie objaśnienia, które nas ogromnie posunęły w naszych poszukiwaniach.

— Cieszy mnie, że mogłem być panom użytecznym i jestem na panów rozkazy — odpowiedział kamieniarz. — Jeżeli kiedykolwiek ujrzę zbrodniarza, nie stracę go z oka i każę go natychmiast aresztować...

— Trzebaby zamknąć dobrze te drzwi — rzekł sędzia śledczy do ślusarza, który zapytał:

— Czy trzeba zamek przybić napowrót?

— Nie, zatrzymamy go jako „corpus delicti". Tylko pan przymknij tak, aby można przyłożyć pieczęcie.

— To bardzo łatwo.

— Więc się pan pospiesz!

Ślusarz poszukał w worku narzędzi.

Wyjął nit z przedziurawioną głową, włożył go w otwór zamku i zanitował z tyłu.

To uczyniwszy, zamknął drzwi, i wsadziwszy długi gwóźdź w głowę nitu, wetknął go pomiędzy spojenia granitu.

— To tylko tymczasowo — rzekł, kończąc.

— Jeżeli panowie chcecie, mogę w domu zrobić haki i zamknąć daleko mocniej.

— Dobrze i tak będzie. Panie komisarzu policji bądź pan łaskaw przystąpić do opieczętowania.

Komisarz wziął się natychmiast do dzieła i ukończywszy, wydał rozkaz, aby dwaj stróże cmentarni nieustannie pilnowali grobowca.

— Teraz idzie o przeniesienie ciała do Morgi — rzekł naczelnik wydziału śledczego. — Pan nadzorca będzie łaskaw dać nam do dyspozycji swoich ludzi...

— Gotowi... czekają na pańskie rozkazy — rzekł nadzorca, wskazując na czterech ludzi, stojących nieruchomo przy noszach.

— Dobrze. Brygadjer Lannoy odprowadzi to ciało razem z dwoma agentami. Idźcie panowie.

Posługacze założyli taśmy tragarskie na ramiona, podnieśli nosze i zeszli powoli z wyniosłości cmentarza.

Członkowie delegacji sądowej i świadkowie udali się do kancelarji nadzorcy, gdzie protokół śledczy został odczytany i podpisany.

Zostawmy urzędników zajętych temi szczegółami i udajmy się na drugie piętro jednego z domów na ulicy Navarin, do małego mieszkania, umeblowanego gustownie, nawet rzec można wykwintnie.

Była piąta rano, to jest na trzy godziny przed odkryciem przez kamieniarzy na cmentarzu Pere Lachaise morderstwa, popełnionego w grobowcu rodziny Kurawiewów.

Wejdźmy do gabinetu, oświetlonego przez lampę abażurową, stojącą na biurku.

Duży ogień z suchego drzewa palił się na czarnym marmurowym kominku, nad którym zawieszone było pochyło duże lustro weneckie w hebanowych ramach.

Przed ogniem tym siedział młody człowiek, ubrany w kostjum z błękitnej flaneli, z wypustkami czerwonemi.

Po jego prawej stronie na dywanie leżały porzucone różne sztuki ubrania męskiego, składającego się z czarnych kortowych spodni w kraty szkockie, czarnej kamizelki, kurtki, palta, koszuli, szala, krawatu, szarfy białej wełnianej i czerwonej fularowej chustki.

Młodzieniec ten mógł mieć lat dwadzieścia trzy.

Gęste ciemne włosy, kręcące się z natury, lecz obcięte bardzo krótko, otaczały jego cokolwiek niskie czoło.

Wąs tak lekki, że był podobny do mgły otaczał jego wargi nader poprawnego rysunku — często podnoszące się w kątach wskutek pogardliwego skrzywienia, chociaż zwykły wyraz jego twarz był melancholijny.

Cerę miał matowo-bladą.

Oczy czarne, duże i błyszczące, przedstawiały szczególną ruchliwość.

Spojrzenie jego było to łagodne, to prawie czułe, to stawało się surowe, prawie okrutne.

W prawej ręce młodzieniec trzymał szczypce, a w lewej cygaro „regalia de la reina", które co chwila niósł do ust i którego białym, pachnącym dymem nasycał się z widoczną rozkoszą.

Nagle podniósł wzrok, aby spojrzeć na zegarek, stojący na kominku.

— Piąta... — rzekł — już piąta! Jak też ten czas leci! Spieszmy się wykonać autodafe!

I wziąwszy końcem szczypców jeden z przedmiotów ubrania, porozrzucanych w nieładzie obok niego, wrzucił go w płomień kominka.

Przedmiotem tym była chustka fularowa.

Ogień pożarł ją prędzej niż w dwie sekundy.

Następnie przyszła kolej na koszulę, której gors i mankiety nosiły czerwone plamy, podobne, do plam krwistych.

Trzy minuty były dostateczne do zamienienia jej na popiół, chociaż młodzieniec przedtem zwinął ją w rękach, aby nie wybuchnęła płomieniem.

Podczas gdy żywy płomień rzucał czerwony odblask na bladą twarz pana domu, wzrok jego wyrażał ten okrutny wyraz, o którym mówiliśmy wyżej.

Czarna sukienna kamizelka paliła się wolniej: trwałość tkaniny, spójność jej popiołów — nie dozwalałaby rozwinąć się ogniowi.

Na marmurze, stanowiącym pokład kominka znajdowała się szeroka łopatka ręczna i kubeł cynkowy, na pół napełniony wodą.

Młodzieniec wziął łopatkę, sprzątnął popioły i wrzucił w kubeł, gdzie zasyczały w złowrogi sposób.

Uwolniony w ten sposób płomień się zaraz ożywił i natychmiast spodnie, podarte na dwoje, a następnie szarfa, znikły w ognisku, napełniając gabinet okropnym swędem spalonego sukna.

Młodzieniec wspomniany wyżej kilka razy wybierał popioły i dokładał drzewa do ognia.

— Palto nigdy się nie spali, jeżeli literalnie nie zostanie pocięte na sztuki — pomyślał.

I wziąwszy z biurka duże krawieckie nożyce, zaczął ciąć na sztuki ubranie krwią zbryzgane.

Każdy kawałek został kolejno wrzucony na ogień, lecz grubość

tkaniny spalenie czyniła trudnem i więcej niż godzina upłynęła, nim ostatni kawałek uległ zniszczeniu.

Nareszcie skończyło się.

Nie pozostało nic do spalenia.

Młodzieniec wygarnął z ogniska popioły podejrzanej natury, wsypał je do tych, które już były w kuble cynkowym, zamiótł kominek, nakładł drzewa na ognisko, poczem zadowolony ze sposobu, w jaki dokonał swej operacji, wstał, mówiąc:

— Teraz chodzi o to. aby to wszystko gdzieś wyrzucić. To będzie łatwo.

...

Wtedy przyświecając lampą, młodzieniec zaniósł kubeł cynkowy do kuchni, stanowiącej część jego mieszkania, nalał po brzegi wody — zamieszał szczypcami zawarte w nim gęste błoto — wlał to płynne błoto do zlewu, przeznaczonego do wylewu pomyj, wypłukał starannie kubeł, przyprowadził wszystko do porządku i powrócił do swego pokoju.

— O! o! — szepnął przestępując próg — w pokoju panuje odór spalonej wełny, straszliwie kompromitujący. Trzeba temu zapobiedz.

I postawiwszy lampę na biurku, postąpił do okna, które, spuściwszy firanki, szeroko otworzył, poczem wychylił się na dwór i spojrzał na ulicę.

Wszędzie panowała cisza i spokój.

Zimno robiło się coraz ostrzejsze, tak jak to zwykle bywa w zimie przededniem, ale śnieg już nie padał.

Młodzieniec powrócił do kominka.

— Do djabła! — pomyślał, biorąc z płyty marmurowej obok zegara parę długich, przyprawnych jasnych faworytów, wąsy i perukę tego samego koloru — nie trzeba o tem zapominać.

Rzucił na ognisko wąsy, perukę i faworyty, ujrzał, jak wijąc się, zajęły się płomieniem, wziął łopatkę od węgli, włożył ją w rozżarzone ognisko i czekał.

Po upływie trzech minut łopatka rozpaliła się do czerwoności.

Dziwna osobistość, na działania której patrzymy, wyjęła ją z ogniska i posypała drobnemi okruchami cukru, które się paliły i napełniły gabinet ostrym zapachem karmelu.

Gdy wyziew ten zupełnie nasycił atmosferę, młodzieniec zamknął okna, spuścił firanki, wyjął z szuflady biurka pugilares i usiadł przy lampie.

Tam otworzył pugilares, wyjął z niego różne papiery, które uporządkował i ułożył obok siebie, jedne na drugich.

To uczyniwszy, zapalił świeże cygaro, wziął paczkę dużego papieru listowego, umoczył pióro w atramencie i zabrał się do dokładnego skopiowania uporządkowanych papierów.

Ósma biła, gdy skończył tę robotę, nie przerwawszy sobie ani na jedną chwilę.

— Skopiowałem wszystko dokładnie — szepnął, przeglądając nagromadzone arkusze. — Wszystko, prócz paszportu, z którym nie wiem, co zrobić, a który jednak na wszelki wypadek, zachowam.

To mówiąc albo raczej myśląc, przebiegał wzrokiem paszport, wydany w Anglji, noszący takie nazwisko: „Jonathan Wild, lat czterdzieści dziewięć rodem z Londynu".

Zatrzymał się.

Założyłbym się o dwadzieścia pięć lujdorów przeciwko pięciu frankom, że to nazwisko i narodowość są fałszywe — rzekł z uśmiechem.

I składając paszport angielski, włożył go do portfelu i mówił dalej:

— Teraz przyprowadźmy wszystko do porządku. Oto są kopje papierów z cmentarza Pere Lachaise, i tych, które ów z dworca drogi północnej przywiózł...

Co się tyczy oryginałów, będących moją siłą, będą one spoczywały spokojnie obok paszportu podróżnego z ręką na temblaku, którą naturalnie starannie spiliłem.

Oryginały zrobionych kopij włożył do portfelu, który następnie zamknął.

Wtedy biorąc kopje kolejno naprzód, przeczytał tę krótką notę, zredagowaną w stylu języka murzynów, albo telegraficznym.

Numer pierwszy.

„Mieszka ciągle przy ulicy de Grammont w hotelu Holenderskim pod numerem 17. Czekać do dwunastu dni na rozkazy V.....".

Czytający zatrzymał się.

— Co znaczy ta duża litera, czy też cyfra rzymska z pięcioma kropkami? — zapytał się siebie. — Czy to V, czy też „pięć"? Czy to oznacza miasto, osobę lub cyfrę? Czy się znajduję wobec stowarzyszenia tajnego jak towarzystwo „Trzynastu" Balzaka. To ostatnie przypuszczenie wydaje mi się najprawdopodobniejszem.

I czytał dalej:

— Papiery w porządku, zawizowane pod nazwiskiem Juljusza Thermis, poddanego belgijskiego z Brukseli. Trzeba pieniędzy, jak to mówiłem dwa dni temu. Spiesznie dowiedzieć się o powodach obecności w Paryżu".

— I zamiast podpisu — dodał czytający — litera duża, albo cyfra V**, pięć z dwiema gwiazdkami.

„Jest to ta sama nota która się znajdowała w cymborjum i któ

rą musiano tam złożyć w wigilję lub rano w dniu mojej tam bytności.

Wziął inny arkusz i mówił dalej:

— Oto jest teraz to, co kobieta ubrana czarno, nieznana posłanniczka, przynosiła w odpowiedzi na przedwczorajszą notę:

„Nr. 2. Wiem to tylko: obecność twoja pilna w Paryżu dla ważnego interesu. Odebrałem polecenie złożyć napowrót do grobowca Kurawiewow noty przeznaczone dla ciebie i potrzebne fundusze. Dołącza się sto tysięcy franków".

Twarz młodzieńca rozjaśniła się.

— Sto tysięcy franków są tam — rzekł przerywając sobie znowu czytanie i dotykając lewą ręką szuflady swego biurka. Ładne a conto na majątek, który sobie obiecałem i które będzie tylko zaliczeniem.... Marzyłem o miljonach, chcę je mieć i mieć je będę...

Po tym krótkim monologu zabrał się do dalszego czytania.

Nota brzmiała, jak następuje:

„Włożysz do cymborjum w grobowcu pokwitowanie z odbioru tej sumy. Dzisiejszej nocy o pierwszej nadzwyczajny wysłannik V... przyjedzie na stację kolei Północnej. Spotkasz się z nim i łatwo go poznasz po tem, że lewą rękę mieć będzie na temblaku. Przystąpiwszy do niego, zapytasz: Czy pan przybywasz z Chantilly? I odbierzesz od niego notę, zawierającą ostatnie rozkazy. Wysłannikiem tym będzie V....

— I zawsze zamiast podpisu V z dwiema gwiazdkami — szepnął młodzieniec. — Paszport, który schowałem, dowodzi tożsamości prawdziwej lub fałszywej i prędzej tej ostatniej, tak się niewątpliwie wydaje.... Niech djabli porwą, czy się kto o niego upomni...

I kładąc drugi papier, na tym, który przeczytał, wziął się do trzeciego.

— Oto jest — rzekł cenny dokument, który miał człowiek z dworca kolei północnej i który mnie oświecił w ciemnościach, w których się błąkałem... Miałem przed sobą zagadkę, mając ten papier, mam jej rozwiązanie.

„To jest mój testament:

Ja, niżej podpisany zdrów na ciele i na umyśle, zamieszkały w Londynie w swoim własnym domu przy ulicy Regent-Street, wyrażam niniejszem swoją ostatnią wolę.

Rodzice moi zmarli już od dawna.

Nie miałem nigdy nikogo z rodzeństwa, prócz jedynej siostry. Pragnąłem ją kochać i zbliżyć z tą siostrą dlatego, że ona stanowiła całą moją rodzinę. Jej prowadzenie zmusiło mnie do zerwania z nią wszelkich stosunków, a nawet do opuszczenia Paryża i Francji dla uniknięcia, aby hańba jej życia nie odbiła się na mnie i abym o niej nigdy więcej nie słyszał.

Dowiedziałem się jednak, że w roku 1858 wyszła zamąż, nadużywając niegodnie zaufania uczciwego człowieka i że z tego mał-

żeństwa urodziła się córka, imieniem Marja, a po ojcu Bresolles.

„Pracując przez lat dwadzieścia z nieustannym zapałem i ciągłem powodzeniem, zebrałem wielki majątek.

„W obecnej chwili posiadam dwanaście miljonów siedmset pięćdziesiąt tysięcy franków — nie licząc domu w Londynie i znajdujących się w nim nieruchomości, obrazów i różnych przedmiotów sztuki.

„Majątek ten w jak najpewniejszych papierach i wekslach na najpoważniejsze banki europejskie, złożony jest u szanownego Ryszarda Sangsby, solicytora, posiadającego moje nieograniczone zaufanie. Prócz tego jego szczegółowy opis znajduje się w rękach Michała Bremont, — mego współlokatora i jedynego od lat piętnastu przyjaciela.

„Tego Michała Bremont ustanawiam wykonawcą mego testamentu, zalecając mu podział sum stanowiących mój majątek, jak następuje:

1-o. Dla Marji Bressolles prawej córki mojej siostry Walentyny Dharville, żony Ludwika Bressolles, lub jego wdowy sześć miljonów.

2-go. Dla Szymony Dharville, córki naturalnej mojej siostry Walentyni Dharville, zrodzonej z jej związku z panem Pawłem Gibray, adwokatem, sześć miljonów.

3-go. Siedmkroć pięćdziesiąt tysięcy franków i dom w Londynie na Regent-Street, stanowiący przewyżkę mego majątku, należeć będą do wykonawcy mego testamentu, Michała Bremont, któremu pozostawiam notaty dokładne i szczegółowe, jakie mu będą potrzebne do wyszukania naturalnej córki mojej siostry.

4-o. Marja Bressolles, córka naturalna zapewne mieszka w Paryżu przy rodzicach, jeżeli oboje żyją, albo przy jednem z nich, pozostałem przy życiu, chyba byłaby zupełną sierotą lub zamężną, o czem łatwo się dowiedzieć.

5-o. Wypłaty mego majątku sukcesorom dopełni szanowny Ryszard Sangsby, solicitor, za rok, w rocznicę mojej śmierci.

6-o. Gdyby jedna z córek mojej siostry zmarła, udział jej przypadnie dla drugiej.

7-o. Jeżeliby obiedwie nie żyły w rocznicę mojej śmierci, cały majątek, za przedstawieniem aktów ich zejścia stanie się własnością mego przyjaciela i wykonawcy testamentu Michała Bremont.

8-o. Ażeby zasłonić moją siostrę przed skandalem, odnoszącym się do jej córki naturalnej, proszę mego przyjaciela Michała Bremont zająć się samemu poszukiwaniami, jakich trzeba będzie dokonać dla odnalezienia Szymony Dharville.

„Londyn, dnia 20. sierpnia 1876 r.

Armand Dharville".

Ukończywszy czytanie, młodzieniec z ulicy Navarin dziwnie się uśmiechnął.

— Dokument pierwszorzędnej wartości, który mi powinien dać miljony! — rzekł, składając na biurku kopję testamentu.

I biorąc drugi papier, dodał:

— A to są noty, kompletujące ten dziwny testament.

XV.

Noty, dołączone do testamentu, opiewały, co następuje:

„Nota pierwsza: 15. listopada 1854 roku, Szymona Dharville, urodzona przed trzema dniami, została tajemnie przezemnie pochwyconą matce, o której wiedziałem, albo którą przynajmniej miałem za zdolną do jej usunięcia.

„W tym samym dniu dziecko to zapisane zostało do akt stanu cywilnego w merostwie trzeciego okręgu Paryża, jako naturalna córka Walentyny Dharville i ojca niewiadomego.

„W tej chwili, gdy to piszę, ma ona lat dwadzieścia dwa...

„17 listopada tegoż roku powierzyłem dziecię mamce, Klaudynie Chervet, zamieszkałej w Vic-sur-Braisnes, w departamencie Yonny i wręczyłem tej mamce sumę trzydzieści tysięcy franków na wychowanie dziewczynki, której nadałem imię Szymona.

Armand Dharville".

„Druga nota: Straciwszy zupełnie od lat dziesięciu z widoku swoją siostrę, nie mogę powiedzieć, co się z nią stało, ale zdaje mi się, że ją bardzo łatwo znaleźć podług tej jedynej wskazówki: Mąż jej nazywał się Ludwik de Bressolles, był budowniczym i mieszkał w Paryżu.

Armand Dharville".

Młodzieniec z ulicy Navarin czytał dalej — patrząc na ostatni arkusz, skopiowany przez siebie:

— Ot, na koniec kilka wierszy, skreślonych do tego, który miał odebrać tajemnicze papiery: „Armand Dharville umarł 30 grudnia 1876 roku. Ważną jest rzeczą dowiedzieć się, czy dwoje dzieci zakończyło życie przed rokiem wyżej wspomnianym i dniem wyznaczonym do podziału majątku, który to majątek pozostałby w rękach V . . . ., podzielić się mający zarówno pomiędzy . . . .

„Łatwo sumienie pobudzić do działania, nie spuszczając zeń oka."

Na ustach młodzieńca ukazał się uśmiech, którego wyrażenia nie podobna było oznaczyć.

— No — szepnął — stanowczo wypadek, który jest bardzo ważnym, wprowadził mnie na dobry trop. Otóż jestem posiada-

czem tajemnicy, wartej dwanaście miljonów siedmkroć piećdziesiąt tysięcy franków. Ładny grosz, słowo honoru! Ach panowie „Pięć gwiazd". ponieważ się zdaje, że was będzie pięciu do podzielenia się kąskiem, więc i mnie trzeba jakiejś cząstki. — Zdaje mi się, żem ją słusznie zarobił. Człowiek raz tylko w życiu ma sposobność zrobienia majątku. Kto z tej jedynej sposobności nie skorzysta, jest głupiec, nie godzien, aby dojść do czegoś! Ja nim nie będę. Ja los trzymam w ręku i przysięgam, że mi się nie wymknie.

Pozbierał przeczytane, albo raczej odczytane po raz drugi papiery, umieścił je w tece, leżącej na biurku i biorąc portfel, mówił dalej:

— Teraz trzeba zabezpieczyć oryginały od jakiego zamachu... Nie wiadomo, co się może przytrafić.

Rzucił szybkie spojrzenie na meble, znajdujące się w mieszkaniu.

— Gdzie one będą bezpieczniejsze? — rzekł.

Po chwili namysłu dodał:

— Nic nie nagli... Tymczasowo złożę je na wierzchu szafy bibljotecznej. Potem pomyślę, co zrobić.

Wtedy wziąwszy krzesło, wszedł na nie i umieścił portfel na górnej desce wskazanego meblu, założonego pękami dzienników i broszur.

W istocie, tymczasowa skrytka była doskonała, gdyż grupy pokład kurzu, pokrywający wiązki papieru, okazywał aż nadto dobrze, że myśl o uporządkowaniu takiego chaosu nawet w głowie nikomu nie powstała. Szafę zamknął na dwa spusty i klucz wyjął z zamku.

W tej chwili zegar wybił dziewiątą.

Stalowy młoteczek po raz dziewiąty uderzył w dzwonek, gdy w przedpokoju rozległ się gwałtowny brzęk dzwonka.

Młodzieniec nadstawił ucha.

— To tu ktoś idzie... — szepnął ze wzruszeniem, nie pozbawionem przestrachu. — Kto może przychodzić tak rano?

Dzwonek odezwał się znowu, lecz tym razem w różnych odstępach, przedzielonych krótką przerwą.

Zmarszczka, wyryta na czole gospodarza tego mieszkania, znikła i uśmiech powrócił na usta.

— To Oktawia! — rzekł. — Ona ma swoje napady nerwowe! Jej sposób anonsowania się aż nadto tego dowodzi. Będzie gorąco! Strzeżmy się bomby! Szczęściem ze mnie jest dobry koń bojowy!

Szarpany rozgorączkowaną ręką, dzwonek o mało nie pękł.

Młodzieniec wyszedł ze swego gabinetu, — przebył przedpokój i otworzył drzwi, prowadzące na schody.

Wysoka, szczupła kobieta, ubrana w elegancką czarną, jedwabną suknię i w płaszczyk aksamitny podbity sobolami, z twarza ukrytą pod gęsta zasłoną, wpadła jak huragan do mieszkania

Młodzieniec, którego nazwiska dotychczas nie znamy, zamknął drzwi i zawołał z zadziwioną miną:

— Ba! to ty!..

Nowoprzybyła od razu stanęła.

— Jak to ty mówisz! — odparła ostrym głosem, drżącym z gniewu. — Wiesz, że się robisz nudnym, mój drogi, i wcale nie zabawnym! Wyznaczasz mi schadzkę na wczoraj na kwadrans na pierwszą w kawiarni Renaissance? Ja czekam do pierwszej, a Maurycego nie ma! Myślę sobie: musi być omyłka. Każę się zawieźć do domu. I tam Maurycego ani śladu! Wracam do kawiarni Renaissance — zamknięta! Wracam do domu — ani żywego ducha!... Przepędzam noc, kładąc kabałę i powtarzając: spóźnił się... Maurycy nadejdzie. Byłam naiwna, mój kochany, co? Nadchodzi dzień. Nikogo. Przybiegłam tu jak szalona. Ty dajesz mi się mordować u drzwi przez trzy minuty i nareszcie decydujesz się otworzyć, mówiąc spokojnie: Ba! to ty! Miljon miljonów! czyś ty przypadkiem nie czekał na jaką inną A więc niech no nadejdzie ta inna, zdaje mi się, że pośmielibyśmy się trochę! Ach, moje dzieci, to byłby dopiero bal! No, przemówiszże raz? Czy odpowiesz?...

— Przemówić?... Odpowiadać?... — rzekł, śmiejąc się ten, któregośmy nazwali Maurycym — Alboż ty mi dajesz czas na to? Zaczynasz od sceny zazdrości, a twoja zapamiętała przemowa nie pozwala mi wtrącić ani jednego wyrazu... A więc nie, na inną nie czekam i jestem zachwycony twoim widokiem.

— Doprawdy?

— Słowo honoru, ale twoja ranna wizyta jest nie w porę.

— A to dlaczego?

— Dla tego, że muszę iść do redakcji zanieść artykuły... Wszak dobrze wiesz, że jestem reporterem...

— Ja sobie kpię z twego reporterstwa... Ono ci nie da trzydziestu franków dochodu.

— Zapewne, ale przecież trzeba żyć, wszak prawda?

Młoda kobieta przestąpiła próg gabinetu.

— Ogień i światło! — zawołała — więc orałeś dziś zrana?

Maurycy zgasił lampę, spuścił firanki i odpowiedział:

— Nie tylko dziś rano, moja pieszczotko, ale i większą część nocy. Pracowałem jak murzyn...

— Więc zapomniałeś o mnie dla bazgraniny.

— Wcale o tobie nie zapomniałem.

— Otóż go masz! Jakto, nie miałeś po spektaklu przyjść po mnie do kawiarni Renaissance?

— Wcale nie, skoroś w teatrze była z hrabią.

— Hrabia odszedł o jedenastej. Wypadało mu się pokazać na balu urzędowym.

— Nie wiedziałem, że się miał oddalić.

— Zła wymówka. Nic ci pomimo to nie przeszkadzało do przyjścia.

— Powiedz od razu, że chcesz mieć słuszność i dajmy temu spokój.

— Ja nie chcę mieć słuszności, ale nie chcę być narażaną na śmieszność.

Maurycy wzruszył ramionami.

— Gdybyś sobie zadała trud przyjść tutaj, to byłabyś mnie zastała! — odparł.

— Miałam latać za jegomością! Ot to, zaraz! Żeby sobie panicz wyobrażał, że za nim szaleję. O nie, nie jestem taką gęsią, mój kochany!

— A przyszłaś dzisiaj.

— Prosto przez ciekawość... chciałam się dowiedzieć, czyś w domu.

— I widzisz, że jestem — rzekł Maurycy, obejmując ręką kibić młodej kobiety, która się uwolniła, aby w jednej chwili zdjąć futro i kapelusz.

Panna Oktawia była to ładna dziewczyna dwudziestodwu lub dwudziestotrzy letnia, z bujnym, czarnym włosem, z czarnemi oczyma, czerwonemi ustami i białemi zębami, bardzo powabna i którąby była jeszcze powabniejsza, gdyby nie malowanie, którego nadużywała.

Maurycy znowu ją chciał uścisnąć.

Wyrwała się, wołając:

— Precz! Jestem wściekła!

— Cóż to za grymasy? — zapytał młodzieniec, zaczynając się śmiać na nowo. — Cóżem ci zawinił?

— Nie wiem, ale zgaduję...

— Zdaje ci się, moja droga. Przysięgam, że jestem niewinny jak anioł! No, usiądź przed kominkiem i ogrzej sobie łapki, które muszą być zlodowaciałe!

I Maurycy łagodnie zmusił Oktawję, aby usiadła przy kominku w obszernym fotelu.

— Jacy oni pochlebcy, ci mężczyźni, gdy chcą, aby im przebaczyć! — rzekła młoda kobieta, nie mogąc się wstrzymać od śmiechu. — Głupi byłby, ktoby im wierzył! No, siadaj bałamucie!

— Już się nie gniewasz?

— Siadaj najprzód... Tam, dobrze... Teraz mówmy...

— I owszem...

— Nie będziesz kłamał?

— Ja nigdy nie kłamię. Cóż chcesz wiedzieć?

— Coś robił wczoraj wieczorem i dziś w nocy?

XVI.

Maurycy po raz trzeci chciał uścisnąć młodą kobietę.

Odepchnęła go prawie gniewnie, wołając:

— Uściszkasz mnie wtedy, gdy odpowiesz, a nie wprzódy. Opuściłam cię wczoraj o trzy kwadranse na siódmą. Coś robił od tego czasu?

— Poszedłem na obiad.

— Dokąd?

— Do Brebantu.

— Sam jeden?

— Poszedłem sam, lecz tam zastałem dwóch czy trzech znajomych młodych ludzi i jedliśmy obiad razem.

— Kto oni byli?

Maurycy wymienił nazwiska.

— A potem? — zapytała Oktawia.

— Włócząc się po bulwarze, przechodziłem koło teatru Varietes... Wszedłem do niego.

— Zamiast przyjść do Renaissance, gdzie ja byłam!

— I gdzie nie byłaś sama! Ja z tobą otwarcie pomówię, moja kochana. Nie podoba mi się to, że cię w loży widuję z hrabią. Gdy on się do ciebie nachyla, aby z tobą mówić po cichu, a ty go słuchasz, uśmiechając się czule, znajduję, że położenie moje jest śmiesznem.

— Głupcze, co cię to może obchodzić, skoro wiesz, że ciebie kocham! Jeżeli kto jest śmiesznym, to nie ty, tylko hrabia!

— Zgoda, ale wolałbym nie być świadkiem tego, czemu nie mogę przeszkodzić.

— Wszystko to kłamstwo. Jestem pewna, że ty mnie oszukujesz z jakąś blondynką. Widziałam to w kartach.

Maurycy zaczął się śmiać.

— Karty nie wiedzą, co wróżą! — odparł. — Ja blondynek nie cierpię!

— Ta-ra-ta-ta! Wy mężczyźni lubicie kobiety nie dla koloru włosów. Na koniec zgadzam się na to, że karty skłamały i życzę sobie tego tem więcej, że ci zapowiedziały wielkie kłopoty.

Mnie? — powtórzył młodzieniec, mimowolnie zadrżawszy.

— Tak... Byłeś pomiędzy damą pikową i jakimś wieśniakiem, królem karowym. Po prawej stronie miałeś asa pikowego i dziesiatke pikowa po lewej. to znaczy kłopoty. Niedaleko był as

lowy, oznaczający pieniądze, ale stał pomiędzy siódemką karową a siódemką kierową, co znaczy morderstwo, więzienie.

Jakkolwiek młodzieniec był niedowiarkiem co do kart i ich wróżb, podobieństwo było tak dziwne, że uczuł, jak pot zwilża mu korzenie włosów.

Jednakże zaczął się śmiać śmiechem cokolwiek przymuszonym.

— Dosyć tych głupstw, moja droga! — rzekł następnie. — Porzućmy karty i mówmy poważnie. Wyszedłszy z teatru powróciłem do domu i spałem dwie godziny, poczem zapaliłem lampę i ogień i zabrałem się do roboty, którą ukończyłem wtedy, zaledwie, gdyś zadzwoniła.

— I blondynki wcale nie było!

— Blondynki żadnej, ale brunetka, którą uwielbiam!

To mówiąc, Maurycy przyłożył usta do policzka Oktawii, która się tym razem nie upierała i rzekła z uśmiechem:

— Jeżeli kłamiesz, to tem gorzej! Wierzę ci i przebaczam!

— Przebaczasz mi błędy przezemnie nie popełnione! Ależ to zupełnie, po anielsku! Zapal papierosa i pozwól mi się ubierać!

— Wychodzisz?

— Tak. Idę do redakcji, dziś potrzeba mi pieniędzy. Kasa wypłaca i odbiorę.

— Ba! pójdziesz kiedyindziej!

— Ale kiedy ci mówię.

— Że ci potrzeba — przerwała Oktawja. — A więc, to jasne jak dzień. Pożyczę ci dwadzieścia pięć luidorów.

— Nie, dziękuję.... Nie mam zwyczaju brać od kobiet.

— A jeżelibym bardzo prosiła?

— Byłoby na próżno i obraziłabyś mnie. — Zresztą powtarzam ci, że to niepodobieństwo, zupełnie niepodobieństwo, abym z tobą jadł śniadanie. Mam do zrobienia korektę, a potem muszę iść na przedmieście Saint Germain odwiedzić jednego starego krewnego, którego jestem jedynym spadkobiercą, a który jest chory. Rozumiesz, że to rzecz ważna. Ale jak tylko się uwolnię, przyjdę do ciebie, zjemy razem obiad, a potem zawiozę cię do Folies-Bergere. Zgoda?

— Musi tak być! — odpowiedziała Oktawja. — Nie ma sposobu nie ustąpić, gdy ty coś postanowisz!

Zbytecznem byłoby wyjaśniać, kto była Oktawja.

Gdy przybyła z prowincji, mając lat siedmnaście, aby się umieścić za pokojówkę, jej ładne oczy, zgrabna postać i fizjognomja naiwnie wyzywająca, prędko sprowadziły jej propozycje, których wcale nie odrzucała, gdyż te pochlebiały jej wrodzonym instynktom rozkoszy i zbytku.

Raz rzucona w ekscentryczny świat owych „pięknych małych", wkrótce została gwiazdą piątego lub szóstego rzędu.

Miała tak samo, jak jej wszystkie przyjaciółki, mieszkanie bo-

gato umeblowane, parę koni, powóz i karetę; otrzymywała dużo pieniędzy, trwoniła jeszcze więcej, niż ich otrzymywała, robiła długi i kiedykolwiek mogąc się ujrzeć bez grosza, zachowywała aż do ostatniej chwili pozory bogactwa.

Maurycy Vasseur, takie było nazwisko młodzieńca z ulicy Navarin... mający około dwudziestu czterech lat, lecz wyglądający młodziej, z najprzewrotniejszą duszą łączył jednocześnie brutalną i giętką naturę.

Obdarzony niezwykłą inteligencją i żywą wyobraźnią, jedno i drugie używał tylko na złe i pożerany pragnieniem rozkoszy wszelkiego rodzaju, przez chęć prowadzenia wystawnego życia, przyrzekł sobie, że dojdzie do majątku, do majątku ogromnego za jakąbądź cenę, choćby do osiągnięcia tego celu miał narazić swoją głowę, i wiemy, że dotrzymał słowa.

Słyszeliśmy, że Maurycy Vasseur nazywał siebie dziennikarzem.

W istocie zajmował się on, jeżeli nie dziennikarstwem, to reporterstwem, w piśmie poświęconem wyzyskiwaniu i pornografji, nie tyle dla szczupłego zysku, jaki mógł z tego wyciągnąć, ile dla tego, aby miał prawo umieścić na swojej karcie pod nazwiskiem te dwa wyrazy:

Redaktor „Skorpiona".

Według jego zdania dawało mu to pewne znaczenie w świecie, i dostarczało mu do jego rozporządzenia bilety do teatrów i wejścia bezpłatne do kawiarń, gdzie śpiewano, na bale itp.

Maurycy Vasseur nie miał majątku, ale pobierał pensję miesięczną, wypłacaną mu przez osobę jeszcze nieznaną naszym czytelnikom, ale która w niniejszem opowiadaniu ma grać ważną rolę.

Grywał wiele i to z niezmiennem ciągle szczęściem, a dzięki zwykłym wygranym, mógł utrzymać równowagę pomiędzy przychodem i wydatkami.

Oktawja kochała Maurycego tak, jak dziewięć dziesiątych owych wykolejonych zwykle kocha: zmysłami, a nie sercem, przez kaprys, nie zaś z miłości.

Maurycy kochał Oktawję również przez kaprys, a głównie przez próżność, dla tego, że była modną, że jej ładna twarzyczka, elegancja i zbytek pochlebiały jego miłości własnej, że jeździła do lasku własnym powozem i na koniec, że go nic a nic nie kosztowała.

Związek tych dwóch charakterów, obydwu niegodziwych i przewrotnych, choć w różnych stopniach, był ostatecznie najzupełniej logicznym i trwał od roku, przerywany licznemi burzami.

Oktawja i Maurycy kłócili się i łżyli, wodzili literalnie za włosy, rozstawali się raz na zawsze i przysięgając, że się nigdy nie zobaczą, a nazajutrz zbliżali, przysięgając miłość na wieki.

Ten „modus vivendi" przedstawia tylko rzeczy zwyczajne i

powtarza się z małemi zmianami we wszystkich związkach tego rodzaju — jak ten, który nas zajmuje do najniższego szczebla aż do szczytu. Jest to ogólne prawo.

Jeden szczegół godzien jest naszej uwagi.

Jakkolwiek pozbawiona sensu moralnego, młoda kobieta posiadała jeden przymiot, była ze swoim kochankiem otwartą.

Przeciwnie, Maurycy ukrywał przed swoją kochanką tajemne myśli i wystrzegał się okazać takim, jakim był — to jest, rozwiązać tajemnicę swojej maski.

Nie dowierzając stanowczo Oktawji, przedsiębrał ostróżności przeciwko zdradzie, albo przeciwko możliwej niedyskretności i — jak to zwykle mówią — to tylko powierzał młodej kobiecie, co chciał zgubić.

Opuściliśmy Maurycego, ubierającego się z pośpiechem.

Oktawja wychodząc z pokoju sypialnego i trzymając w ręku czyste mankiety, powróciła do gabinetu.

— Gotowe? — zapytał Maurycy.

— Nie, mój najdroższy... — odpowiedziało dziewczę.

— Ba! a dlaczego?

— Dla bardzo ważnego powodu. Nie znalazłam spinek do mankiet.

XVII.

— Nie znalazłaś spinek do mankiet?... — powtórzył Maurycy — boś źle szukała.

— Patrzałam wszędzie — odpowiedziała Oktawja.

— Czy ich nie było w kubku na kominku?

— Nie.

— Ani na stoliku przy łóżku?

— Także nie. Czyś ich nie zostawił w rękawach koszuli, którą zdjąłeś?

— Bardzo mnie to dziwi. Jestem prawie pewny, że wyjąłem wczoraj wieczorem po powrocie. Popatrz no tam, na mojem biurku.

Oktawja zbliżyła się do biurka, długo szukała w czaszy, naśladowanej niby ze starego srebra, w której znajdowały się najróżnorodniejsze przedmioty, pieczątki, pióra żelazne, scyzoryk, maszynka od obcinania cygar, ustnik bursztynowy do papierosów, guziczki od kamizelki i t. p.

— Ot, jest jeden! — zawołała młoda kobieta, przewróciwszy wszystko, ale tylko jeden...

Maurycy okazał zdziwienie.

— To być nie może — rzekł.

— Sam zobacz... To te same spinki, które ci dałam na imieniny i co ci się wydały takie ładne.

W istocie były ładne.

Każda z tych spinek przedstawiała malutką podkowę końską, której gwoździe naśladowało kilka drobnych turkusików.

Maurycy zmarszczywszy brwi, zapytał sam siebie z cicha:

— Co się z tą spinką stało? Miałżebym jej zapomnieć w mankiecie koszuli spalonej dzisiejszej nocy? Czyżbym ją zgubił w grobowcu na cmentarzu albo w powozie?

Naturalnie, na zapytania te nie było odpowiedzi.

— A jednak zdawało mi się z pewnością, że je wyjąłem...

— Źle ci się zdawało i przykro mi, żeś tak źle pilnował spinki, którą ci darowałam.

— E, moja kochana, mnie więcej przykro, niż tobie! Chętnie zapłaciłbym trzy razy tyle, co warta, byleby ją tylko znaleźć. Może się tylko zarzuciła... Szukajmy jeszcze...

Oktawja i Maurycy wrócili do pokoju sypialnego i przeszukali dokładnie wszystko.

Nic nie znaleźli.

Maurycy wydawał się tak zmartwionym, że Oktawja powiedziała do niego:

— Przecież sądzę, że nie martwisz się z tego powodu. Jest to zresztą bardzo małe nieszczęście i łatwo może być wynagrodzone. Jubilerów w Paryżu nie brak. Za jedną zgubioną spinkę można mieć dziesięć innych. Najważniejszą jest rzeczą, czy masz inne na dzisiaj.

— Mam.

— Jakież one są?

— Z perłowej masy.

Oktawja zrobiła pogardliwą minę.

— Z perłowej masy!... — powtórzyła. — Spinki z perłowej masy! I ty myślisz, że ja ci pozwolę wyjść z takiem paskudztwem u rękawów? Nigdy w życiu! Mógłby cię wziąć kto za bankruta, który swoje świecidełka zastawił, aby pójść na śniadanie do mleczarni. Jeszcze czego! Ja chcę, aby mój pan miał szyk milionera!... Za okna spinki z perłowej masy! Ja ci swoich pożyczę!

— No, a ty?

— Ja, powróciwszy do domu, wezmę inne! Pod futrem nie widać mankietów. Patrzajno, jakie ładne.

— Prześliczne!

— Czy ci się podobają?

— Bardzo... Uważam, że są wykwintne pod względem gustu, bardzo bogate, a zarazem bardzo skromne.

— No, to zamiast je pożyczyć, ja ci je daruję!

— Ależ...

— Nie ma ale. Ty wiesz, żem samowolna i uparta... Weźmiesz, albo się pogniewamy.

— Ha, muszę, bo ci się niepodobna opierać.

Podczas gdy Maurycy kończył spiesznie się ubierać, młoda kobieta mówiła dalej:

— Zabieram tę spinkę bez pary i zachowam ją jako pamiątkę...

Marycy zadrżał.

Był to chłopiec roztropny, przezorny, wyrachowany i myślący o wszystkiem.

Nie chciał on zostawić w ręku swojej kochanki przemiotu, który go mógł ciężko skompromitować, jeżeli on istotnie zgubił drugą spinkę poprzedniej nocy w grobowcu na cmentarzu Pere-Lachaise lub w dorożce z ulicy Ernestyny.

— Nie... nie, najdroższa — zawołał żywo — to ja powinienem zatrzymać tę spinkę, ponieważ od ciebie pochodzi, jest szczególniej drogą dla mnie pamiątką. Już dosyć mi przykro, żem zgubił drugą, proszę cię, zostaw mi tę....

— Tak ci o nią chodzi?

— Ogromnie.

— Dla tego, że ja ci dałam?

— Nie możesz wątpić.

— To bardzo ładnie. A więc, zostawiam ci ją, albo raczej zostawię, kazawszy przerobić stosownie do mego pomysłu.

— Przerobić stosownie do twego pomysłu? — powtórzył Maurycy — co chcesz przez to powiedzieć?

— Chcę powiedzieć, że mój jubilerodrzuci dolną część i zastąpi ją szeroką obrączką złotą, przez co zamieni się na ładny pierścień do krawatu.

— Ależ — odrzekł Maurycy — teraz pierścieni do krawatów już nie noszą.

— Bajki, mój najdroższy, przeciwnie, znowu wchodzą w modę. Mój jubiler urządzi to z gustem. Pozwól mi tylko się tem zająć .

Maurycy byłby dał wiele, aby mógł nie pozbywać się, choćby na czterdzieści ośm godzin przedmiotu, który, powtarzamy, mógł się stać strasznie kompromitującym; ale odmówić pozostawienia tego przedmiotu w rękach Oktawji wydawało mu się szczytem niezręczności, gdyż odmowa z pewnością natchnęłaby młodą kobietę podejrzeniem.

Zgodził się więc bez żadnego oporu na jej żądanie.

Oktawja obwinęła starannie w papier spinkę i schowała ją do portmonetki.

Maurycy skończył się ubierać.

— Gdzie twoje rękawiczki i kapelusz? — zapytała Oktawja.

— W pokoju sypialnym.

— Pójdę po nie...

— Ja sam pójdę...

— Pozwól... mnie przyjemnie tobie usłużyć.

I Oktawja weszła do sypialni.

Maurycy skorzystał z jej nieobecności, ażeby prędko otworzyć szufladę swego biurka i zabrać paczkę biletów bankowych.

Paczka ta znikněła w jednej z kieszeni jego palta.

Zamknąwszy szufladę, wyjął z teki papiery, których treść, jakeśmy słyszeli, odczytywał, i włożył je w duży portfel adwokacki, który już zawierał wiele zapisanych kartek i drukowanych korekt.

Oktawja wróciła.

Niosła rękawiczki i kapelusz.

— Czy masz powóz na dole?... — zapytał Maurycy.

— A to mi pytanie! Przecież, zdaje mi się, nie przypuszczasz, abym przyszła piechotą z ulicy Caumartin na ulicę Navarin w takie zimno i gdy na chodnikach śnieg leży na cal grubo.

— Zawieziesz mnie do redakcji?

— I owszem, ale pamiętaj, że dziś wieczorem jemy obiad z sobą.

— Nie zapomnę.

młoda kobieta włożyła kapelusz i zarzuciła na ramiona ciężki aksamitowy płaszczyk, podbity sobolami.

— Kto się zajmuje twojem kawalerskiem gospodarstwem pod nieobecność twojej służącej? — zapytała schodząc Oktawja.

— Odźwierna tego domu.

— Zatem ty jej zostawiasz klucz?

— Naturalnie.

Odźwierna czekała na lokatora u drzwi swojej izdebki.

Odebrała klucz z ukłonem i uśmiechem i z widocznym zachwytem popatrzała na Maurycego i Oktawję, wsiadających do małej karetki bronzowej, której koń uderzał nogą po bruku oślizgłym od śniegu.

Opuścimy mordercę i jego kochankę, oddalających się razem. Powróćmy na cmentarz Pere Lachaise i pójdźmy za śladem nieznajomego w futrzanym surducie, który jakeśmy widzieli ukląkł nad grobem, złożył na nim wieniec, a potem widocznie się zajął śledztwem, rozpoczętem z powodu straszliwego dramatu, którego teatrem był grobowiec rodziny Kurawiewów.

Może czytelnicy pamiętają, że komisarz policji wzywając świadków, aby zaczekali w kancelarji nadzorcy cmentarza, rzucił okiem na otaczająca go gromadkę i zapytał, co się stało z owym ciekawym jegomościem, przyzwoicie ubranym, którego zauważył przed kilkoma minutami pośród robotników.

Jeżeli o tem pamiętają, to zapewne nie zapomnieli, że Cabirol, podmajstrzy kamieniarzy, zapytany w tym przedmiocie, odpowiedział:

— Panie komisarzu, on odszedł, ale nic nie widział, przybywszy po odkryciu morderstwa, aby się czego dowiedzieć. Stał sobie z ciekawości tak, aby się pogapić trochę.

XVIII.

W istocie, rzuciwszy okiem do wnętrza grobowca i dojrzawszy twarz zamordowanej, wskutek czego gwałtownie zadrżał, człowiek w futrze oddalił się, idąc tym samym krokiem, jakim przyszedł, z miną obojętną, lecz pochyliwszy głowę na piersi, gdy tymczasem rysy jego wykazywały głęboki niepokój. Zachował powolny krok i minę człowieka, którego nic nie zajmuje, aż do bramy cmentarza; ale jak tylko jej próg przestąpił, chód jego nagle się zmienił i krokiem szybkim, jak krok młodzieńca spieszącego na schadzkę miłosną, pospieszył bulwarem aż do ulicy Oberkampf.

W punkcie, gdzie się ta ulica schodzi z bulwarem, znajduje się stacja dorożek.

Wsiadł do fiakra.

— Dokąd mam jechać? — zapytał stangret.

— Na ulicę Beranger. Zatrzymasz się na rogu blizko bulwaru Temple.

Stangret zaciął konia i po upływie dziesięciu minut zatrzymał się we wskazanem miejscu.

Człowiek ów wysiadł, zapłacił za dorożkę i zapuścił się na ulicę Beranger.

Przybywszy pod nr. 18 wszedł, minął sień, i szybko przebiegł schody skrzydła, położonego w dziedzińcu pomiędzy domem od ulicy Beranger i drugim, którego front wychodził na ulicę Temple.

Przybywszy na trzecie piętro, wyjął z kieszeni klucz i otworzył jedne z dwóch drzwi, znajdujących się w sieni a prowadzących do oddzielnych mieszkań.

Wszedł do ciemnego przedpokoju, komunikującego się z pokojem stołowym, który minął, przechodząc do sypialni, w której znajdowało się łóżko, szafa z lustrzanemi drzwiami, toaleta i cztery krzesła.

Umeblowanie to nadzwyczaj skromne, lecz nieposzlakowanie czyste, było z drzewa orzechowego.

Firanki okna, wychodzącego na dziedziniec, były adamaszkowe wełniane, ciemno-czerwone.

Takież same firanki osłaniały łóżko.

Obicie pokoju naśladujące dąb politurowany, tworzyło na ścianach kwadraty, jak to często widzieć można w stołowych pokojach u mieszczan, co czyniło szczególne wrażenie i kazało przypuszczać, że właściciel, kierowany godną pochwały oszczędnością, godną pochwały ze względu na własny interes, do wyklejenia tego pokoju, użył resztek papieru, kupionego za zniżoną cenę.

Człowiek we futrze zamknął drzwi, przystąpił do łóżka, wyciągnął je naprzód, wszedł na nie, wślizgnął się za firanki, które podniósł i nachylony aż do ziemi, posuwał ręką po posadzce.

Znalazłszy to, czego omackiem szukał, oparł nogę o tę taflę posadzki i silnie nią nacisnął.

Wtedy nastąpiła rzecz szczególna.

Część posadzki, wynosząca około dwóch stóp kwadratowych, właśnie ta sama część, na której stał człowiek we futrze, powoli się spuściła i nieznajomy spuścił się z nią.

Klapa ta zatrzymała się, gdy już tylko sama głowa owego człowieka wystawała z otworu w posadzce.

Ten wyciągnął rękę: łóżko przyciągnięte na zkwykłe miejsce, zupełnie zasłoniło odkryty otwór.

Poczem tafla posadzki znowu zaczęła się dalej spuszczać i zatrzymała po kilku sekundach, bez hałasu i wstrząśnienia.

Nieznajomego ogarniała głęboka ciemność.

Prawą ręką poszukał czegoś na murze, do którego był twarzą obrócony i wkrótce natrafił na gałkę metalową, którą silnie nacisnął.

Dał się słyszeć trzask.

Ściana, obracając się na niewidzialnych zawiasach, otworzyła się niby drzwi od szafy i jasność rozpędziła cienie.

Wtedy ów człowiek wyszedł z tego rodzaju komina, w którym się znajdował.

Tafla, na której się spuszczał, podniosła się w górę ruchem powolnym i jednostajnym i hermetycznie zamknęła otwór zasłonięty już na wyższem piętrze przez łóżko.

Wtedy nieznajomy odepchnął dwie ścianki drewnianego obramowania, które się przed nim otworzyły.

Suchy trzask dał się słyszeć znowu i gdy się te dwie ścianki ze sobą zeszły, najbystrzejsze oko nie mogłoby dojrzeć szpary w tajemnych drzwiach pod obramowaniem, zdobiącem ściany pokoju średniej większości.

Nieznajomy znajdował się o piętro niżej od swego mieszkania, w domu którego front wychodził na bulwar Temple.

Nic dziwnego nad ten pokój, którego próg przestąpił.

Możnaby powiedzieć, że to magazyn kostiumera teatru.

Ubiory wszelkiego rodzaju, od bluzy robotnika do haftowanego fraka senatorskiego i sutanny duchownego, od brudnych łachmanów żebraka do świeżutkiego munduru oficerskiego, od wykwintnej liberji służącego z zamożnego domu, do stroju gentlemana bywającego w świecie i kostjumu eleganta, jeżdżącego konno po lasku Bulońskim, wszystko to wisiało jedno obok drugiego na wieszadłach przy ścianie.

W jednej szafie znajdowało się na półkach mnóstwo peruk, prawdziwych dzieł sztuki, do złudzenia naśladujących naturę.

W drugiej rozmaite nakrycia głowy, kaszkiety, cylindry i kapelusze miękkie pilśniowe, kepi żołnierskie i oficerskie itd. itd.

Nieznajomy w mgnieniu oka zrzucił swoje ubranie.

Z niemniejszą szybkością ubrał się w suknie księże, w perukę szpakowatą z tonsurą i kapelusz z szerokiemi skrzydłami.

Tak przebrany i niepodobny do poznania wyszedł z mieszkania i zszedł z dwóch piętr, dzielących go od sieni, prowadzącej z jednej strony na bulwar Temple, a z drugiej na dziedziniec, na którym znajdowało się wyjście na ulicę Beranger.

Dom miał oddźwiernego tylko z tej strony.

Nieznajomy wyszedł przez bulwar i doszedł do stacji dorożek na placu Chateau d'Eau, dzisiaj placu Rzeczypospolitej.

Wziął dorożkę i kazał się zawieźć do miejsca, w którem ulica Grammont wychodzi na bulwar włoski.

Tam wysiadł z powozu i udał się pieszo ulicą aż do hotelu „Niderlandzkiego".

— Proszę mi wskazać numer siedmnasty... — rzekł do jednego ze służących.

Służący dał odpowiedź, wskazując skrzydło zabudowania.

— Tutaj proszę pana... Schody B... na drugiem piętrze.

Fałszywy ksiądz udał się ku wskazanym schodom, wszedł na nie i stanął na drugiem piętrze, przed drzwiami, na których widniał nr. 17.

Wewnątrz dały się słyszeć kroki.

Drzwi otwarły się do połowy.

W uchylonych drzwiach ukazał się człowiek, mogący mieć lat pięćdziesiąt, lub pięćdziesiąt pięć, chociaż wyglądał daleko starzej.

Człowiek ten miał włosy kręcone, jak śnieg białe.

Nosił całą brodę, tak samo białą jak włosy i obciętą w wachlarz.

Ujrzawszy księdza, cofnął się o krok w tył, twarz jego wyrażała zdziwienie, a nawet niepokój.

— Czy się pan nie myli? — rzekł.

Ksiądz kłaniając się, odpowiedział:

— Nie, zdaje mi się, gdyż szukam pana Juljusza Thermis.

Usłyszawszy ten głos, starzec wydał radosny wykrzyk, a twarz jego się zmieniła.

Verdier! — zawołał, wyciągając obie ręce do nowoprzybyłego.

Ten ostatni szybko przyłożył palec do ust i zamknął drzwi za sobą.

— Niebaczny! — rzekł. — Nazwisko Verdier tak samo nie powinno być wymawiane, jak i nazwisko Piotra Lartigues, twoje!

— To prawda, lecz cóż chcesz? Radość z ujrzenia cię po pięcioletniem rozłączeniu kazała mi zapomnieć o ostrożności. Wcalem się nie spodziewał twoich odwiedzin.

— Więc nie wiesz o niczem? — zapytał Verdier po cichu.

— O niczem — rzekł Piotr Lartigues niespokojnie. — Czy zaszło coś niezwykłego?

— Można tu mówić bez obawy, aby kto nie usłyszał?

— Można... Ja zajmuję całe mieszkanie. — Przejdźmy do pokoju sypialnego. Jest on oddzielny, a mury są grube.

Lartigues zaprowadził gościa do wspomnianego pokoju i zamknął drzwi za sobą.

— Tutaj możesz mówić swobodnie — rzekł. — Ponieważ mnie zapytywałeś, czym nic nie wiedział, zatem nie wszystko idzie, jak należy.

— Prawda. Powód moich odwiedzin jest ważny.

— Wytłómacz się prędko.

— Chodziłeś wczoraj do grobowca Kurawiewów?

— Chodziłem.

— O której?

— O wpół do piątej... krótko przed zamknięciem cmentarza

— Wchodziłeś do środka.

— Nie.

— Dlaczego?

— Bom nie mógł drzwi otworzyć. Mój klucz nie chciał się obracać. Myślałem, żeś kazał zmienić zamek, stosownie do wydanych rozkazów. Dlatego też czekałem na wyjaśnienie.

— Czy nie spostrzegłeś nic niezwykłego wokoło pomnika grobowego?

— Zupełnie nic. Czas był zimny. Noc zapadała. Cmentarz przedstawiał obszerną samotnię.

XIX.

Verdier mówił dalej:

— Czyś nie odebrał w nocy lub dziś zrana odwiedzin wysłańca ...dynu?

— Nikt u mnie nie był — odpowiedział Lartigues. — Ale czy wiesz, że ty mnie zaczynasz nabawiać przestrachu swoją tajemniczą miną i szczególnemi pytaniami. Cóż się to stało. Mów otwarcie.

— Stało się to — rzekł nowo przybyły zniżonym głosem — stało się to, że ktoś odkrył miejsce, w którem składaliśmy naszą korespondencję, i że wskutek tego ten ktoś jest dzisiaj panem naszej tajemnicy... przynajmniej tej, która się odnosi do sprawy londyńskiej.

— Czyżby to był kto z policji? — szepnął Lartigues ze zmarszczonemi brwiami.

— Nie, uspokój się. Gdyby się policja nami zajmowała, tobym ci poradził, abyś natychmiast zmykał. Ten, co posiada naszą tajemnicę, jest zręcznym i zuchwałym łotrem. Aby pochwycić sto tysięcy franków i papiery, które ci chciałem przesłać, nie cofnął się przed morderstwem.

— Przed morderstwem! — powtórzył starzec przestraszony.

— Tak jest. Bez wahania zabił kobietę, której poruczonem było przynieść noty, jakie złożyłem na cmentarzu.

Lartigues zadrżał na całem ciele.

— Zabił Jenny Stall! — zawołał.

— Zabił ją w grobowcu Kurawiewów. Widziałem jej trupa w chwili, gdy policja wysadzała drzwi bronzowe i komisarz policji wchodził dla sprawdzenia faktu i rozpoczęcia śledztwa.

Mieszkaniec hotelu Niderlandzkiego złożył ręce i wzniósł oczy do sufitu z bolesnym wyrazem.

Verdier mówił dalej:

— Dziś rano zbrodnię odkryli robotnicy kamieniarscy.

— Jakim sposobem?

— Szli aleją, prowadzącą przed grobowcem Kurawiewów. Struga krwi, przeciekającej pod drzwiami, zaczerwieniła śnieg. Pobiegli z doniesieniem do nadzorcy i komisarz spiesznie wezwany, przyszedł.

— Jakimże trafem byłeś tak rano na cmentarzu?

— Wcale nie trafem. Bardzo zdziwiony i niespokojny widząc, że Jenny wczoraj wieczorem nie powróciła, o ósmej poszedłem na cmentarz Pere-Lachaise...

— Czy Jenny miała jakie ważne papiery?

— Tak.

— Jakie?

— Notę, którą ci posyłałem i sto tysięcy franków w biletach bankowych.

— Cóż się stało z notą, złożoną przezemnie wczoraj w cymborjum na ołtarzu?

— Zabraną razem z resztą. Cymborjum było otwarte i puste

— Ależ ten nadzwyczajny wysłannik z Londynu, o którym przed chwilą wspominałeś?

— Zapowiedziałem ci jego przyjazd na godzinę pierwszą zeszłej nocy. Musiał on mieć przy sobie papiery, odnoszące się do spadku po Armandzie Dharville, któryby nam się dostał bez żadnej wątpliwości.

— Spadku? — powtórzył Lartigues.

— Tak jest.

— Znacznego?

— Dwanaście miljonów kilkakroć sto tysięcy franków.

— A! do djabła!

— Ładny grosz, prawda kolego?

— Królewski! I tyś nie widział tego wysłannika?

— Nie.

— Może morderca Jenny Stall pochwycił tak samo tę tajemnicę jak i tamtą?

— Czy ty w istocie w to wierzysz?

— To jest, jeżeli nieprawdopodobne, to przynajmniej możliwe.

— Kto może być tym zbrodniarzem?

— Głowę sobie łamię nad odgadnięciem... i nic znaleźć nie mogę.

— Czyżby nas Jenny zdradziła?

Przychodziła mi ta myśl do głowy, alem ją prędko odpędził. Podejrzywać Jenny o zdradę byłoby niedorzecznością. Biedna kobieta, przybywszy przed dwoma tygodniami z Londynu, nie znała nikogo w Paryżu. Zresztą jej śmierć gwałtowna dostatecznie dowodzi, że była ofiarą, a nie wspólniczką.

— Czyż nie mógł ją kto szpiegować i śledzić z Londynu.

— Michał Bremont używa tylko ludzi pewnych. Ale czyś ty sam nie popełnił jakiej nieroztropności?

— Śmiało utrzymuję, że nie. Nie mam stosunków z nikim i przepędzam czas na zapoznaniu się na nowo z miastem, w którem nie byłem od lat dwudziestu pięciu i które jest prawie niepodobnem do poznania. Kierując się swemi wspomnieniami, zabłąkuje się jednak w każdej okolicy. Jednem słowem ja za siebie zaręczam. Ale powróćmy do tego, co nas przed chwilą zajmowało. Wysłaniec z Londynu?

— Nie może być podejrzywanym, bo to był nie kto inny, tylko „Pięć cztery“, Gustaw Perrier, inaczej zwany Jonathan Wild.

— Nakoniec rzecz jasna, wyraźna, bezsporna, że nad Jenną Stall był rozciągnięty nadzór.

Prawda i ja z tego nic zrozumieć nie mogę.

— Koniec końcem jesteśmy zagrożeni. Lada chwila policja zacznie nas czynnie poszukiwać.

Verdier potrząsnął głową.

— Z tej strony nie ma żadnej obawy. — rzekł, odgadnąć nas niepodobna. Ale zaczną szukać mordercy...

— A jeżeliby... jeśli zostanie złapany, znajdą przy nim papiery skradzione — przerwał Lartigues — zostaniemy skompromitowani.

— Przynajmniej moglibyśmy nimi zostać, ale zdaje mi się, że łatwo uniknąć wszelkiego niebezpieczeństwa.

— Jakim sposobem?

— Mnie nie znajdą. Ty zmienisz mieszkanie i nazwisko. Czy masz paszporty z okienkami?

— Mam, kilku narodowości!... Zrobię się Holendrem.

— I zamiast mieszkać w hotelu — mówił dalej Verdier — co jest niezręcznością, kupisz albo wynajmiesz dom, każesz go umeblować i będziesz mieszkał spokojnie, czekając na rozkazy Michała Bremont, do którego napiszę z zawiadomieniem o tem, co zaszło, aby się mógł mieć na baczności i ułożyć nowy plan, ponieważ ten, co nam przysłał, już więcej na nic się nie zda.

— To wszystko jedno — szepnął Lartigues — znaleźliśmy kogoś przebieglejszego, niż my, cośmy się przez dwadzieścia pięć lat nie potknęli! To rzecz upokarzająca!

— Ba! my sobie to wynagrodzimy.

— Co też zrobią z ciałem Jenny Stall?

— Zaniosą do Morgi.

— Czy mniemasz, że ona może być poznaną?

— Jakim sposobem, kiedy w Paryżu Jenny nikt nie znał. Mnie co innego zajmuje?

— Cóż takiego?

— Gustaw Perrier. Nie przybył tutaj... nie był u mnie, nie znalazłszy cię po przybyciu koleją Północną, gdzieś miał na niego czekać, jak ci o tem pisałem. Co się z nim stało? Czy morderca z cmentarza Pere-Lachaise i jego także dosięgnął?

— Takie przypuszczenie — zawołał Lartigues. — Ależ to szaleństwo!

— Ja myślę o tem, a jednak go zachowuję. Na co się kłopotać, mój drogi? Bez uniesień, bez gniewu i miejmy baczne oko i ucho. Nie możemy nic użytecznego zrobić, dopóki nie poznamy tego. co nas okradł.

— Czy my go tylko kiedy poznamy?

— Poznamy go najniezawodniej.

— Ach! gdybym mógł mieć nadzieję.

— Czy to podobna się uspokoić, usłyszawszy o dwunastu milionach? Dwanaście milionów do podziału na pięciu. Blisko półtrzecia miliona na każdego! To był nasz ostatni interes. On nas wszystkich wzbogacał i pozwalał spokojnie dokończyć życia w zgodzie z całym światem i bez obawy policji... Myśleć o tem i zachować spokój to niepodobna!

— Człowiek straszliwie silny, mistrz, to ci zapewniam i nie

nowicjusz. Policja rozpuści za nim swoje psy gończe. On im zada porządną robotę, bo zręczność jego wydaje mi się zadziwiającą.

— Ach! gdybym go dostał — rzekł głucho Lartigues, którego wzrok zabłysnął pod gęstemi siwiejącemi brwiami — jabym się z nim prędko ułatwił! Udusiłbym go własnemi rękami!

— Uspokój się! — odparł Verdier z uśmiechem — uspokój się.

— Nie takie, jak ci się wydaje. Nota skradziona biednej Jenny była dokładna. Wskazywała chwilę przyjazdu, rysopis przyjezdnego i dawała się domyślać ważności tajemnicy, którą miał powierzoną. Im więcej się zastanawiam, tem więcej zdaje mi się prawdopodobnem, że morderca Jenny czatował na Gustawa i że go zabił.

— Ale, jeszcze raz pytam, ktoby to mógł być tym mordercą?

— Możesz, powinieneś. Inaczej niepodobna.

— I według twego przypuszczenia, jakim sposobem zdradzi się człowiek tak zręczny?

— Zdradzi się pomimo swojej zręczności, gdyż będąc panem tajemnicy, zechce z niej skorzystać, chyba, że się zadowoli stoma tysiącami franków, skradzionych w grobowcu, a resztę papierów spali... W takim razie wprawdzie go niepoznamy, ale nie będziemy się mieli czego obawiać z jego strony i sprawa dwunastu miljonów pójdzie swoim torem. Michał Bremont dowiedziawszy się, co zaszło, oceni położenie i wyda polecenia.

W tej chwili w pierwszym pokoju odezwał się dzwonek.

Obadwaj rozmawiający zadrżeli i zamienili szybkie spojrzenie.

— Kto to może dzwonić? — zapytał Verdier.

— Może garson hotelowy — odpowiedział Lartigues.

— Trzebaby się przekonać.

— Pójdę zobaczyć.

Powtórne dzwonienie odezwało się gwałtowniej, że mu pilno.

I jednocześnie dotknął ręką rewolweru, ukrytego w obszernej kieszeni sutanny.

— Miej się na baczności — dodał, widząc, że Lartigues zmierza ku drzwiom.

— Z jakiego powodu? — odpowiedział starzec. Od dwudziestu pięciu lat jestem nie do poznania... Zresztą Juljusz Thermis, poddany belgijski, nie ma się czego obawiać policji francuskiej.

XX.

Zadzwoniono po raz trzeci z większą jeszcze gwałtownością.

Lartigues wyszedł z pokoju sypialnego, przeszedł pierwszy pokój i otworzył drzwi.

Na progu stał Maurycy Vassour.

Ukłonił się.

Na widok twarzy zupełnie sobie nieznajomej, Lartigues powtórzył zdanie, którem przed pół godziną przywitał swego pierwszego gościa.

— Czy się pan nie myli?

— Nie... — odpowiedział Maurycy najspokojniejszym tonem — nie, jeżeli to jest w istocie mieszkanie, oznaczone numerem siedmnastym i jeżeli w istocie mam honor mówić z panem Juljuszem Thermis, stałym mieszkańcem Brukseli.

— Rzeczywiście tak się nazywam... — odparł Lartigues, patrząc na nowoprzybyłego z pewnym rodzajem osłupienia, gdyż najbaczniejsze przyglądanie się mu coraz więcej go przekonywało, że go widział po raz pierwszy w życiu.

— Proszę pana zatem o udzielenie mi chwilki rozmowy — rzekł Maurycy — gdyż mam z panem pomówić o ważnym interesie.

Fałszywy Thermis czuł, że nieufność jego znów się budzi.

To też spiesznie odpowiedział:

— Zapewne pomiędzy nami zachodzi jakieś nieporozumienie. Ja nie mam w Paryżu żadnego interesu. Podróżuję dla swojej przyjemności, chybaby pana kto przysłał z moich przyjaciół brukselskich. Pewno pomyłka w nazwiskach.

Maurycy potrząsnął głową.

— Pomyłka w nazwiskach? — powtórzył — niema żadnej. Ja właśnie pana szukam, skoro jesteś Juljuszem Thermis i przychodzę od jednego z pańskich przyjaciół.

— W takim razie masz pan list od tego przyjaciela?

— Nie, panie, nie mam żadnego.

— Ależ w takim razie... — przerwał Lartigues.

— Czekaj pan! — przerwał. — Dosyć będzie kilku wyrazów, aby pana przekonać o prawdziwości tego, co mówię: Przychodzę od „Pięć czwartego“, wysłańca nadzwyczajnego z Londynu.

Usłyszawszy te wyrazy, Lartigues wlepił wzrok w oczy młodzieńca, jak gdyby miał nadzieję, że wyczyta głębię jego myśli.

Maurycy stał pod tym wzrokiem obojętnie.

— Co to ma znaczyć? — zapytywał się siebie fałszywy Thermis.

Jednakże usunął się, aby zostawić gościowi wolne przejście, gdyż poprzedzające wyrazy wymówione były na progu drzwi otwartych.

— Racz pan wejść — rzekł — jestem gotów dać panu kilka chwil rozmowy, której się domagasz.

Maurycy przeszedł koło Lartiguesa kłaniając się grzecznie, jak człowiek z dobrem wychowaniem i rzucił spojrzenie wokoło siebie.

Gospodarz, który ciągle przypatrywał się z uwagą nowoprzybyłemu, zapytał go:

— Z kimże mam honor mówić?

— Zaraz się pan dowie, ale wprzód pozwól mi zadać jedno pytanie.

— I owszem.

— Przedmiot, o którym zamierzam mówić, powtarzam raz jeszcze, jest bardzo ważny i nikt z wyjątkiem pana, nie powinien o nim słyszeć. Czy drzwi dobrze pozamykane i ściany dosyć są grube, aby zawieść słuch ciekawego?

Lartigues otworzył drzwi do pokoju sypialnego, w którym się Verdier znajdował.

— Na to pytanie odpowiem panu prosząc, abyś się ze mną udał — rzekł. — Tam będziemy mogli porozmawiać wygodnie z zupełnem bezpieczeństwem.

Maurycy poszedł za swoim gospodarzem, lecz wchodząc do pokoju sypialnego, zatrzymał się, ujrzawszy księdza.

Fałszywy Juljusz Thermis spodziewał się tego wahania, to też dodał:

— Wejdź pan bez obawy. Mój szanowny przyjaciel ksiądz Meryss, jest zarazem wielkim przyjacielem osoby, która pana do mnie przysłała; ja przed nim nie mam nic skrytego, nic zupełnie.

Te ostatnie wyrazy zostały wymówione ze szczególną intonacją, które je niejako akcentowały.

Verdier, którego jak słyszeliśmy, nazwano księdzem Meryss, przypatrywał się nowo przybyłemu z tak wytężoną uwaga, że ten poczuł się przez chwilę zakłopotanym; ale ponieważ przybył w celu, który chciał za jakąbądź cenę osiągnąć, zdawało mu się, że cofnąć się było niepodobieństwem.

Wskutek tego więc zgodził się ze swojem położeniem i wszedł kłaniając się księdzu, który mu oddał ukłon z nadzwyczajną oziębłością.

— Siadaj pan — rzekł Lartigues przysuwając krzesło — a ponieważ chcesz rozmawiać, rozmawiajmy.

— Sądziłem, mój panie — odparł Maurycy — żem panu dał do zrozumienia, że chciał się rozmówić z panem, z panem jednym tylko, o powodzie moich odwiedzin.

— Rzeczywiście dałeś mi pan to do zrozumienia.

— A wiec?

— A więc! zdaje mi się, że nie mniej wyraźnie objaśniłem pana — że ksiądz Meryss jest moim szczerym przyjacielem, i że ja nie mam dla niego nic skrytego.

— Czy z tego mam wnosić, że ksiądz dobrodziej należy do towarzystwa „Pięciu"? — zapytał Maurycy z podwójnie zimną krwią.

Pomimo zwykłej pewności siebie. Verdier gwałtownie zadrżał i zmienił się na twarzy.

Ogarniał go niezmierny przestrach.

Lartigues domyślając się co się w nim działo, spiesznie zabrał głos chcąc go uspokoić.

— Ten pan — rzekł — jest wysłańcem „Pięć-czwartego".

— Wysłańcem „Pięć-czwartego" — zawołał Verdier. — „Pięć -czwarty" jest w Paryżu?

Zadając to pytanie patrzał na Maurycego z nieufną miną, która nie mogła ujść uwagi młodzieńca.

Ten udając, że nic nie widzi, albo przynajmniej, że go to nie obchodzi, odpowiedział:

— Jest w Paryżu.

— Widziałeś się pan z nim?

— Widziałem.

— Czemuż nie przyszedł tylko panu poruczył załatwienie tego, co sam powinien był uskutecznić?

Z przyczyny, że tego uczynić nie mógł.

— Nie mógł!...

— Najzupełniej.

— Z przyczyny?

— Z najlepszej dla wszystkich. Osądźcie panowie sami: „Pięć-czwarty", członek stowarzyszenia „Pięciu", podróżujący pod nazwiskiem Jonatana Wilda i który przybył z Londynu do Paryża, nie żyje.

— Nie żyje! — powtórzyli Verdier i Lartigues spoglądając na siebie.

Maurycy uczynił znak potwierdzający.

— I w jaki sposób zakończył życie? — zapytał Lartigues.

— Zamordowany.

— Zamordowany! — zawołał Verdier. — I on także zamordowany!... przeczuwałem to! Nie dosyć było Jenny! A morderca? — mówił dalej zbliżając się nagłym ruchem do Maurycego, który był obojętny.

Na ustach tego ostatniego igrał dziwny uśmiech.

Ukłonił się kolejno obudwom i odpowiedział tonem lodowatym, ostrym jak ostrze noża stalowego.

— Mordercą to ja jestem.

— Pan! — zawołali jednocześnie mniemany Belgijczyk i ksiądz fałszywy.

— Tak jest... panowie.

— Ach! Nędzniku!

I jednocześnie dwa rewolwery wymierzone zostały w piersi mordercy, który się uśmiechnął i wzruszył ramionami.

— Czyż panowie sądzicie, że się zlęknę? — zapytał — mylicie się bardzo! Wiem aż nadto dobrze, że nie popełnicie głupstwa, aby

mnie zabić. Najprzód mielibyście straszliwy ambaras z mojem ciałem, tu, przy ulicy Grammont, w hotelu Niderlandzkim, w mieszkaniu nr. 17 Co u licha uczynić z nim i jak objaśnić w sposób dający się wytłumaczyć obecność trupa podziurawionego kulami rewolwerowemi? Ale to nie wszystko. Nigdybyście nie narażali na wyrzuty Michała Bremont, wykonawcę testamentu Armanda Dharville, ex bankiera z Londynu, który was wkrótce obdarzy kilkoma miljonami każdego.

— Więc pan jesteś panem naszych tajemnic? — rzekł Verdier.

— Przynajmniej tych wszystkich, które mają związek ze spadkiem po bankierze londyńskim.

Spokój, albo raczej posunięty do bezwstydu stoicyzm zaledwie dwudziestocztero-letniego młodzieńca, wprawił Lartiguesa w osłupienie.

— I pan przyszedłeś, aby wpaść w nasze ręce? — rzekł tonem groźby.

— Bez wahania... odpowiedział Maurycy. — Tak jest, panowie, oddałem się w wasze ręce z najzupełniejszem zaufaniem, pewien, że się doskonale porozumiemy; a żem miał zasadę temu wierzyć, dowodzi to, że gotowi jesteście słuchać i macie wielką ochotę mnie wybadywać. Jest to rzecz naturalna... Pragniecie wiedzieć, jakie cenne notaty miał sobie powierzone wysłaniec Michała Bremont?

Zaraz o tem pomówimy, lecz pozwólcie mi pogadać trochę o sobie, zaczynając od tego co jest najzawodniejszem w świecie: „Człowiek, w początkach życia postawiony jest na rozdrożu dwóch dróg, jednej, prowadzącej do występku, a drugiej do cnoty!... Na ten temat malują obrazy, robią bajki, piszą książki! Jest to rzecz prawdziwa. Trzeba wybierać, a wybrawszy iść śmiało naprzód.

— Wracam do siebie...

Przyszedłszy na świat nie wiem gdzie i jak, bowiem zachowywano względem mnie i jeszcze teraz zachowują tajemnicę co do mego urodzenia, wychowany zostałem przez kobietę, której mnie powierzyła nieznana matka.

Kobieta owa, mamka, posiadająca pół tuzina potomków prawych, tyle się tylko zajmowała nieprawem cudzem dzieckiem, że mu dawała strawę i kąt, a wcale nie myślała o zwalczaniu i poskramianiu złych instynktów, jakie mogło okazywać. Otóż instynkta ja miałem tylko złe.

Gdym doszedł do siedmiu lat, oddano mnie do kolegium; pozostawałem w niem do lat dwudziestu.

Chociażbym miał w waszych oczach uchodzić za samochwalcę, muszę wyznać, że traf obdarzył mnie pierwszorzędną inteligencją.

Świetnie skończyłem nauki; ale zaczerpnąwszy nauki, nie zaczerpnąłem cnoty i owszem, w miarę jakem przechodził z dziecięctwa do wieku młodzieńczego, moje złe instynkta coraz więcej się rozwijały.

XXI

Doszedłszy do lat dwudziestu — mówił dalej Maurycy — uważałem uczciwość jako oszustwo, znajdowałem, że celem życia ludzkigo jest jedno: używanie i że wszystkie sposoby są prawne, byleby tylko ten cel osięgnąć.

Takie było moje przekonanie i takie jest jeszcze.

Wychodząc z kolegium ujrzałem się bez wędzidła, panem zupełnym swojej osoby.

Kobieta zastępująca mi matkę, tyle się tylko mną zajmowała, że od czasu do czasu wręczała mi drobne kwotki.

Nie byłem tyle naiwnym, aby szukać w poważnej pracy brakujących mi środków! Rzuciłem się w życie przygód, korzystałem ze wszystkich szczęśliwych wypadków, zostałem graczem i graczem szczęśliwym, umiejąc przy pomocy zręczności, zmusić szczęście aby mi było przychylne, skoro się odemnie odwracało.

Tym sposobem żyłem jak mi się zdarzyło, częściej źle niż dobrze, ale powtarzałem sobie nieustannie: Takie sposoby to nędza! Gardzę sam sobą, myśląc, że jedna niezręczność z mojej strony, byłaby dostateczną, aby mnie stawić przed policją poprawczą a wtedy, byłbym zgubiony. Trzebaby znaleźć jaką wielką operację, którąby mnie od razu wzbogaciła!

A liczyłem na przypadek.

Ten przyszedł mi z pomocą, stawiając mnie na tropie tajemnicy, której wy macie zawdzięczać majątek.

Ażeby posiąść tę tajemnicę trzeba było poświęcić mężczyznę i kobietę; nie wahałem... tylko przedsięwziąłem ostróżności, aby po za sobą nie pozostawić żadnej wskazówki, którąby na mój ślad mogła naprowadzić ogarów policyjnych.

Niepodobieństwem jest, słyszycie panowie, niepodobieństwem, odgadnąć sprawę podwójnego morderstwa którego tajemnicze okoliczności jutro obudzą ciekawość całego świata.

Pomimo wszelkich usiłowań, nikt nigdy nie odgadnie krwawej zagadki.

Teraz mnie znacie panowie, tak dobrze jak ja znam sam siebie, ponieważ zdjąłem z twarzy maskę.

Zająłem miejsce wysłannika nadzwyczajnego, przybyłego z Londynu, sprzątniętego przezemnie i przynoszę wam noty, które miał wręczyć na dworcu kolei Północnej, panu Juljuszowi Thermis z Brukseli.

Otóż dlatego tu przychodzę.

Maurycy zamilkł.

Verdier nie bez osłupienia słuchał tego młodzieńca, którego cynizm przewyższał wszelkie prawdopodobieństwo i który o popełnionem przez siebie podwójnem morderstwie, mówił tak, jak gdyby o najzwyczajniejszej rzeczy.

Lartigues patrzył na Maurycego z niezmierną ciekawością.

Uznawał on, że fizjognomja tego bandyty paryskiego, nieposzlakowanie elegancka, prześliczne rysy, łagodny wzrok, głos dźwięczny i gładkie obejście, były dziwnie pociągające.

Wszystko w nim miało powab, nawet ten cynizm, któremu się dziwił fałszywy ksiądz Meryss.

Widział on w Maurycym nie zwykłego zbrodniarza, lecz niejako genjusza występku, którego zadziwiająca zdolność miała zrodzić cuda.

— Któż pana naprowadził na trop naszej tajemnicy? — zapytał.

— Zaraz to panom wytłumaczę, jeżeli chcecie — odpowiedział młodzieniec — lecz przedewszystkiem muszę wam zdać sprawę z papierów znalezionych przezemnie w cymborjum grobowca Kurawiewów, dzięki którym dowiedziałem się o adresie pana Juljusza Thermis; z papierów jakie miała przy sobie wysłana przez was kobieta i nareszcie z daleko ważniejszych, które pochwyciłem wysłańcowi londyńskiemu.

Prócz tego winienem wam zwrot sto tysięcy franków w biletach bankowych, które miały być złożone w grobowcu dla pana Thermis... Oto są.

I Maurycy wydostał z kieszeni swego palta pakiet banknotów. który położył na stole.

Lartigues i Verdier wpadli w coraz większe zadziwienie.

— A teraz — ciągnął młodzieniec, wyjmując papiery z teki — oto są wasze noty:

Pierwsza: Ta którą pan Thermis adresował: „Pięć drugiemu".

Druga: Nota „Pięć - drugiego", którym jest nie kto inny, tylko ksiądz Meryss — rzekł odpowiadając panu Thermis.

Młody człowiek wydostając z teki nowy papier, mówił dalej:

— Oto jest ważny dokument, na któryście oczekiwali i który usprawiedliwia wasz pobyt w Paryżu. Chciejcie go przeczytać.

I podał dwom wspólnikom kopję testamentu Armanda Dharville.

Lartigues wziął ją i przeczytał uważnie, jak niemniej i Verdier, który się pochylił nad jego ramieniem i jednocześnie z nim czytał.

— Dwanaście miljonów, siedemkroć sto tysięcy franków! — zawołał z okiem błyszczącem chciwością.

— Ach! Michał Bremont to zdolny człowiek! — rzekł Maurycy

— Ale noty, o których wspomina testament! — zapytał Verdier.

— Oto jest pierwsza — odpowiedział młodzieniec przedstawia-

jąc papier fałszywemu księdzu. Odnosi się ona do Szymony, naturalnej córki Walentyny Dharville... Patrz pan.

Verdier wziął notę i szybko ją przeczytał.

— A to jest druga — dodał Maurycy okazując drugi papier. Ona dotyczy Walentyny Dharville. Jest ona ważna, jednakże nie jest tak interesująca jak tamta, co jasno wykłada myśl Michała Bremont i mnie samego objaśniła i o której wystudjowanie z jak największą uwagę proszę.

Fałszywy ksiądz wziął trzeci papier i przeczytał wyrazy już nam znane:

— Armand Dharville umarł 30 grudnia 1876 roku, idzie o to aby się dowiedzieć, czy jeżeli obie dziewczyny zakończyły życie przed wzmiankowanym rokiem z dniem wyznaczonym do podziału majątku, to majątek pozostałby w rękach V***, któryby ją rozdzielił równo pomiędzy pięciu.

Pobudzić do działania „Łatwe sumienie" nie spuszczając go z oka.

Murycy wydobył cygarnicę, wyjął cygaro, zapalił, puścił parę kłębów dymu i rzekł:

— To mi się zdaje powinno tłumaczyć bardzo dokładnie temi słowy, zawierającemi roztropne zalecenie: „Pięciu nie powinni działać otwarcie, lecz wynaleźć człowieka rozumnego, zręcznego, bez skrupułów, który za sumę z góry umówioną, zręcznie usunąłby dwoje dzieci. Myśl nie zła, ale przedstawia niebezpieczeństwo.

— Jakie? — zapytał Lartigues.

— Człowiek użyty do tego, będąc najemnikiem obarczonym robotą, którejby nie znał celu, mógłby mieć za wiele inteligencji i szukać, jakie to ważne przyczyny wymagają sprzątnięcia obu dwóch córek Walentyny Dharville.

Raz otwarłszy pole do przypuszczeń, odkryłby prawdę, albo przynajmniej byłby jej bardzo bliskim.

Jak tylkoby ją odkrył, zostałby waszym panem zamiast być narzędziem, wyzyskiwałby was aż do ostateczności i żądałby znacznego udziału w spadku.

— Jakiż sposób aby nie ustąpić, jeśli łaska?

— W razie odmowy onby was oskarżył, albo raczej uwiadomiłby, za pieniądze, rodzinę Armanda Dharville i wasze piękne marzenia o spadku rozwiałyby się z dymem.

Otóż ja wam zaproponuję jedną rzecz...

Dla zawładnięcia tajemnicą, sprzątnąłem dwie osoby, co jest dostatecznem zapewnieniem, że was nie zdradzę; oddałem się wam, gdybym teraz chciał sprzedać to co wiem o Walentynie Dharville, dosyć byłoby jednego słowa, aby mnie wysłać na rusztowanie a mnie się zdaje, że ja tej podróży nigdy nie będę odbywał.

Nie trzeba dodawać, że moje sumienie jest łatwe i że to co postanowię, wykonywam pewną ręką.

Towarzystwu „Pięciu“ brakuje jednego członka gdyż ja Jonathana Wild wyprawiłem na lepszy świat.

Perspektywa podzielenia się z wami miljonami nieboszczyka Dharville'a, uśmiecha mi się nieskończenie i urzeczywistniłaby moje desideratum, gdyż zawsze żywiłem nadzieję, iż żyć będę i umrę w skórze miljonera.

Ja mogę być człowiekiem żądanym przez Michała Bremont i będę nim pod warunkiem, że zostanę zastępcą nieżyjącego w towarzystwie Pięciu, któremu, pozwólcie, że zapewnię, bez głupiej próżności i nierozsądnej dumy, iż współpracownictwo moje nie będzie bezużytecznem.

Skończyłem.

Czekam.

Lartigues nie mógł się wstrzymać od coraz większego podziwu tej natury wyjątkowo przewrotnej, której zuchwalstwo i zimna krew wydały mu się wzniosłemi.

Uśmiechnął się.

— Śmiały pan jesteś! — rzekł Verdier.

— Przebóg! — odparł Maurycy. — Śmiałość dokonywa rzeczy niemożliwych, albo raczej usuwa....

— Jesteś pan bardzo młody.

— Czy pan przypadkiem znajdujesz, że moja zbyteczna młodość przeszkadza mi rozumować i działać? Mnie nic nie zadziwia, nic nie niepokoi. Mam duszę z bronzu w stalowem ciele; używanie nie pozbawia mnie rozumu i pozostawia mnie zawsze panem mojej myśli i mowy.

— Proponujesz nam pan wspólne zajęcie się z nami w poszukiwaniu dwojga dzieci Walentyny Dharville.

— Tak jest.

— I podjąłbyś się sam sprawić, że spadek możnaby odebrać.

— Przez usunięcie spadkobierczyń.... — dodał Maurycy. — Jestem gotów....

Lartigues i Verdier zamienili spojrzenia.

Spokojna i otwarta twarz, nader łagodne spojrzenie, głos bardzo pewny tego zaledwie dwudziestoczteroletniego młodzieńca, mówiącego o zamordowaniu dwóch dziewcząt, jak gdyby o jakiej przyjemnej wycieczce, nabawiała księdza Meryss lekkiego dreszczu.

— Czy pan masz kochanki?

— Jak w obecnej chwili to tylko jedna.

— Czy ci idzie o nią?

— Ładna jest i zakochana we mnie, lecz jeżeliby była potrzeba tobym ją poświęcił.

XXII

Mniemany ksiądz uśmiechnął się i odparł:

— Nie będziemy wymagali bezużytecznych ofiar. Zatrzymaj pan swoją kochankę, lecz nie zapomnij, nie zapomnij nigdy, że kobieta jest kamieniem potknienia na drodze człowieka i że, gdy ten czuje się niezwyciężonym, bywa zwyciężonym przez kobietę!

— Z tej strony nie ma się czego obawiać... — odpowiedział Maurycy. — W chwili, gdy moja kochanka stanie się niebezpieczną, zdruzgoczę ją bez wahania. Teraz znacie moje zasady i moje żądania, zatem o więcej już nie pytajcie. Potrzebujecie zucha silnego i pewnego, ja jestem tym zuchem, którego wam potrzeba i dowiodę wam tego, gdy mnie przyjmiecie do spółki. No! decydujcie się!

— Jeszcze chwilę — rzekł Verdier. — Ostatnie pytanie. Zapewniłeś nas pan, że przedsięwzięte zostały wszelkie środki, czyniące niepodobnem odkrycie w tobie sprawcy podwójnej zbrodni z zeszłej nocy.

— Jestem tego pewny.

— Jakim sposobem doszedłeś pan do popełnienia tej zbrodni? Kto cię postawił na tropie naszej tajemnicy?

— Chcecie to wiedzieć?

— Koniecznie.

— Więc wam powiem, ale uprzedzam, że odkrycie tajemnicy o której mowa, nie kosztowała mnie ani wielkich wysiłków rozumu, ani uczonych kombinacji.... Odkrycie to, winienem panu, księże Meryss.

— Mnie! — zawołał Verdier osłupiały.

— Tak.

— To niemożebne!

— Wstrzymaj się pan nim osądzisz, jest temu dziewięć dni.

— Dziewięć dni? — powtórzył fałszywy ksiądz.

— W lasku Vincennes. Czy pan sobie nie przypominasz?

— Nie.

— Więc dopomogę pańskiej pamięci. Przypomnij pan sobie, żeś czytał list.

W umyśle Verdiera nagle się rozjaśniło.

— List od Michała Bremont! — zawołał.

— Tak jest!

— Ależ ten list, po przeczytaniu ja podarłem i kawałki rzuciłem na wiatr.

— Prawda.

— Zresztą byłem sam jeden.

— Nie, gdyż blisko i tak, żeś pan o tem nie wiedział, znajdował się ktoś spacerujący, który na kogoś czekał i był oddzielony od pana małym kłąbem gęstych krzewów, co mu pozwalało spoglądać na pana, przez gałęzie. Spacerującym tym ja byłem, bez żadnej wstecznej myśli, po prostu nie mając co robić.

Widziałem, żeś pan czytał list, żeś go pan podarł a potem się oddalił. Uderzył mnie wyraz pańskiej twarzy podczas czytania listu. Malowały się na niej kolejno gniew i zadziwienie. To mnie zaintrygowało. Pewien człowiek inteligentny i doświadczony powiedział raz w mojej obecności, że list podarty na drobne kawałki, na dziesięć razy, zawiera tajemnicę mającą jakąś wartość.

Przypomniałem to sobie i postanowiłem wypróbować sprawiedliwość zacytowanego przezemnie aforyzmu. Gdyś się pan oddalił zebrałem rozrzucone kawałeczki pańskiego listu i schowałem je do pugilaresu, z zamiarem ułożenia ich w domu tak, jak się układa części łamigłówki i przywrócenia do pierwotnego stanu listu, który wywarł na pana tak głębokie wrażenie.

Uczyniłem to tego samego wieczora, sklejając gumą cząstki na papierze kalkowym, co mi pozwalało przeczytać list tak z jednej jak i z drugiej strony.

— On nie miał żadnej wagi — rzekł Verdier.

— Tak jest — odparł Maurycy — przyznaję, wydawał się małoznaczącym. I byłby nim takim dla innego, a nie dla mnie, lecz właśnie ta pozorna małoznaczność pozwoliła mi odkryć jego rzeczywistą wartość. Przypadkiem studjowałem z moim przyjacielem, ciekawym rzeczy tego rodzaju, korespondencje cyfrowane i w kratach. Znam sto sposobów pisania, dzięki którym człowiek niedyskretny, nie może odgadnąć rzeczywistego sensu korespondencji. Miałem u siebie mnóstwo kratek. Przykładałem je kolejno do złożonego na nowo listu. Jedna z nich (ta której używał ambasador angielski przed dwudziestu laty), doskonale pasowała. Dzięki jej przeczytałem list bez najmniejszego trudu.

— Zadziwiająca zdolność! — szepnął Lartigues głosem z większem niż kiedykolwiek uniesieniem. z

Verdier siedział zamyślony i milczący.

Maurycy wyjął swój puligares, otworzył go i wyjął z niego dwa papiery.

— Oto są sklejone kawałki pańskiego listu — rzekł — a to jest kratka, która mi dała możność do dojścia jego znaczenia.

Położył na stole list posklejany, a do listu przyłożył arkusz powykrawanego papieru w małe kwadraty w jednakowej odległości, poczem mówił dalej:

— Wyrazy, które widać w wycięciach, same tylko mają wartość i oto są zdania z nich złożone:

„Przepyszny interes. Jak zwykle złożyć korespondencję na cmentarzu Pere-Lachaise w grobowcu Kurawiewów, w cymborjum ołtarza. V*** pójdzie ją zbadać i złoży tam swoją odpowiedź. Unikać spotkania i skompromitowania się. Ten sposób skomunikowania się uczyni niemożebnem wszelką niespodziankę. Wysłaniec z Londynu będzie wkrótce w Paryżu".

— Pojmujecie panowie doskonale — mówił dalej Maurycy — że to musiało w najwyższym stopniu obudzić moją ciekawość. Najtrudniejszą rzeczą było wyszukanie grobowca, aby w nim śledzić wasze kroki albo kroki tych, którym będzie poruczonem zanieść tam wasze korespondencję.

Było to trudnem, ale nie niemożebnem.

Odkryłem sposób.

Nie będąc uczonym poliglotą, mówię dosyć łatwo kilkoma językami, a między niemi po angielsku, po rusku i po włosku.

Ucharakteryzowałem sobie twarz, ubrałem się w kostjum angielskiego turysty i udałem się na cmentarz Pere-Lachaise, gdziem zaczął rozprawiać z dozorcą dziwaczną francuzczyzną, z akcentem brytańskim, mówiąc mu, że życzę sobie zwiedzić najważniejsze grobowce cmentarza.

Dozorca wydawał się zdziwiony tą posępną fantazją wśród zimy, niemniej jednak dał mi przewodnika, który mi przez dwie godziny kazał podziwiać piękności nekropolu, prowadząc mnie od grobowca do grobowca i mogę was zapewnić, że objaśnienia jego były niewyczerpane. Co za gaduła! — zaledwie mi dał możność wtrącenia jednego ao yes!... Cmentarz to majątek tych ludzi, oni z niego żyją... znają wszystkie jego zakątki. Dałem dozorcy do zrozumienia, że życzyłbym sobie zobaczyć grobowiec rodziny Kurawiewów. Zaprowadził mnie do niego i z tego powodu opowiedział mi szczególniejszą historję, morderstwa hrabiny Kurawiew, popełnionego przez „dystyngowanego mordercę". To jest jego wyrażenie. Czy ono się panom nie wydaje oryginalnem?

Usłyszawszy ostatnie zdanie Maurycego, Lartigues nie mógł powstrzymać dreszczu.

— Następnie powiedział mi, że ekshumacja ciała hrabiny i przewiezienie jej do Rosji, nastąpiło w rok po jej gwałtownej śmierci.

Wsunąłem przewodnikowi w rękę dziesięć franków i opuściłem cmentarz.

— Wszytko to poprowadzone było bardzo zręcznie! — rzekł Lartigues. — Słucham pana z wielką przyjemnością. Zachwyca mnie pańska działalność w dwudziestu latach i my byliśmy tacy sami.

— Nazajutrz zdjąłem za pomocą wosku odcisk zamku — mówił dalej Maurycy — następnego dnia miałem klucz, który mi pozwalał wejść do grobu.... Przyniosłem pęk małych kluczyków, je-

den z nich otwierał cymborjum. Co dzień przychodziłem odczytywać waszą korespondencję, której za nic nie chciałem ruszyć i która mnie informowała o biegu waszych interesów, zajmujących do najwyższego stopnia.

— Ale — zapytał Verdier — dlaczegożeś zabił kobietę, która nam służyła za pośredniczkę?

— E ja wcale nie miałem zamiaru zabijać tej biednej istoty, bo jej śmierć na nic mi się nie zdała — odparł Maurycy. — Niefortunny wypadek postawił mnie w konieczności popełnienia tego morderstwa... Wczoraj o trzeciej, wszedłem jak zwykle do grobu dla przeczytania odpowiedzi złożonej poprzedniego dnia przez pana Juljusza Thermis.

Rzucił ukradkowe spojrzenie na mniemanego księdza, który go słuchał z głęboką uwagą.

Maurycy mówił dalej:

W chwili gdym miał otworzyć cymborjum, usłyszałem zgrzyt klucza w zamku drzwi bronzowych i drzwi obracających się na zawiasach.

Rzuciłem się w tył i chciałem się ukryć za ołtarzem.

Nie miałem czasu.

Wasza posłanniczka wchodziła....

„Spostrzegłszy mnie, przelękła się i krzyknęła.

„Ogarnęła mnie obawa, że mój plan zostanie odkryty, a przez to zniweczony.

Rzuciłem się na tę kobietę, co tak nie w porę przyszła i uderzyłem ją.

Do miljona djabłów! baba była energiczna... Broniła się jak lwica. Chciała mnie kąsać i nabawiła nie małego kłopotu. W grobowcu rozpoczęła się straszliwa walka. Na koniec wziąłem górę... kobieta uderzona śmiertelnie, upadła i pozostała bez ruchu.

„Wziąłem wtedy przyniesione przez nią papiery i paczkę banknotów, którą wam przed chwilą oddałem, poczem wyszedłem i zamknąłem drzwi za sobą, napchałem drobnych kamyków w zamek, aby opóźnić o ile można chwilę, w której pan Juljusz Thermis dowiedziałby się, że wasza tajemnica została odkryta i pośpieszyłem do domu, gdzie odczytałem ostatnią notę....

Ta nota zapowiadała o pierwszej po północy przybycie wysłańca z Londynu da Paryża, mającego przywieźć rozwiązanie zagadki, którą niecierpliwie pragnąłem odgadnąć.

Sposobność była piękna.

Postanowiłem z niej skorzystać.

XXIII

Maurycy mówił dalej:

— Żadna ostrożność nie jest zbyteczna, gdy chcemy swój ślad ukryć przed policją.

Zamiast udać się do najbliższej stacji dorożek, poszedłem wziąć powóz po za Paryżem z pod restauracji i kazałem się zawieźć na dworzec kolei Północnej, gdziem czekał na wysłańca z Londynu.

„Poznałem go po ręce zwieszonej na temblaku; wymówiłem hasło, on wsiadł bez nieufności ze mną i w drodze z dworca kolei na ulicę Montorgueil zabiłem go, aby mu zabrać papiery.

„Reszta jest wam wiadoma.

„Teraz wyprowadźmy wniosek.

„Od razu natrafiłem na swój ideał, na ogromny interes, który mnie zbogaci, jeżeli będę miał w nim udział.

„Czy macie mnie za zdolnego do poprowadzenia dobrze tego interesu, przy waszych radach i waszem doświadczeniu.

„Macie mnie za godnego do zastąpienia tego, któregom zabił i obdarzycie mnie ufnością, jaką on posiadał?

„Powiadam powtórnie: decydujcie.

Lartigues wyciągnął rękę do młodzieńca.

— Zasługujesz na moją zupełną sympatję, kochany panie — zawołał — i ja jej skąpić nie będę. Lubię twoją naturę skorą do działania, a energja twoja mnie zachwyca! Takim byłem w twoim wieku, jakim pan jesteś. Zdaje mi się, że w tobie odżywam i gdybym miał syna, chciałbym, aby był do pana podobnym.

— Dziękuję za dobrą opinję, panie Thermis, ja ją usprawiedliwię — odpowiedział Maurycy ściskając z wylaniem podaną mu rękę.

— Ja także pana oceniam — rzekł Verdier z kolei. — Posiadasz szybkość decydowania się, zręczność i zimną krew. Są to cenne przymioty, które cię według mnie czynią godnym uzyskania łaski. o którą prosisz.

— Zatem przyjmujecie mnie do siebie — zawołał młodzieniec promieniejąc.

— Do djabła! pilno panu.

— Jakto!

— Pomyśl, że ja i Thermis nie jesteśmy sami.

— Jest was tylko czterech.

— Tak, ale dwaj z innych czterech nie znają cię jeszcze. a oni tak samo należą do narady jak i my. Nie możemy nic bez nich decydować.

— Cóż dalej! — rzekł Maurycy niecierpliwie.

— Jest to rzecz łatwa i prosta: Potrzebujemy wykonawcy, lepszego niż pana znaleźć nie możemy i przyjmujemy go za współpracownika. W korzyściach będziesz miał znaczny udział, za to ja ręczę, ale aby być przypuszczonym do towarzystwa Pięciu, powinieneś przedewszystkiem być przyjętym przez tamtych naszych towarzyszy, bez zdania których nie wolno nam nic stanowić w ważnych rzeczach. Jest to artykuł zasadniczy naszego statutu.

„Dziś jeszcze do nich napiszę z zawiadomieniem o tem, co zaszło i wybadam ich co do pańskiego przyjęcia.

„Odpowiedź ich będzie szybka i przychylna, o tem nie wątpię; jednakże, dopóki nie nadejdzie, pan możesz być i będziesz dla nas użytecznym współpracownikiem, lecz nie wspólnikiem... Zgoda?

— Musi być zgoda — odpowiedział Maurycy, składając list Michała Bremont i kartkę i chowając je do pularesu.

— Zatem przyjmujesz pan tymczasem stanowisko?

— Przyjmuję.

— Dobrze. Jutro ułożymy plan naszego działania...

— Będzie on jaknajprostszy! — zawołał młodzieniec. — Idzie tylko o wynalezienie rodziny Bressolles i Simony.

— Bezwątpienia, ale poszukiwania powinny być otoczone ostróżnością, o których pomówimy jutro. Jak na teraz, mam pana o jedno tylko zapytać.

— I owszem.

— Papiery, które nam pokazywałeś, są to tylko kopje...

— Tak.

— Co się stało z oryginałami?

— Mam je i zatrzymam.

— Pan nam nie ufasz... — rzekł Lartigues z uśmiechem.

— Nie znając was, naturalnie nie bardzo wam ufałem. Wydałem się wam. Myśl, ażeby mnie sprzątnąć bardzo łatwo mogła wam przyjść do głowy... Oryginały, które pozostały w mojem ręku i może oddane w kopercie trzeciej osobie upoważnionej do zrobienia z nich użytku, w razie gdybym się nie ukazał, stanowią moją obronę... Jestem przekonany, że mnie pochwalacie i że na mojem miejscu zrobililibyście toż samo.

— Słusznie pan przypuszczasz — rzekł mniemany ksiądz. — Ale wspomniane dowody są niebezpieczne.

— Wiem dobrze.

— Nie proponuję panu, aby je zniszczyć, tylko tak samo w swoim jak i w naszym interesie, trzeba je będzie schować do nieodnalezionej skrytki. Co się zaś tyczy kopji pańskiego pisma, ta już z moich rąk nie wyjdzie.

— To teraz wy im nie dowierzacie — rzekł Maurycy uśmiechając się z kolei.

— Pan przedsięwziąłeś ostróżności, słusznie więc my przedsiębierzemy swoje... Teraz dam panu dobrą radę.

— Jestem gotów ją wysłuchać i według niej postąpić.

— Działaj pan z nami otwarcie... Mogłoby ci się przytrafić nieszczęście, gdybyś nas chciał oszukać.

— Groźba ta jest zbyteczna. Będę postępował z otwartością. Mój interes mi to nakazuje, ponieważ odtąd mieć będę udział w każdem niebezpieczeństwie, mogącem zagrażać stowarzyszeniu. A przystępując do rzeczy, czy nie boicie się, aby dwa trupy zostały poznane w Mordze, dokąd je z pewnością zaniesiono?

— Prawie się nie obawiamy tego.. — odparł Verdier. — Aby to mogło nastąpić, trzebaby nieprawdopodobnego wypadku. Jenny Staal była w Paryżu dopiero od dwóch tygodni i wychodząc, zawsze twarz zakrywała gęstą zasłoną. Mieszkała ze mną i można sądzić, że odjechała. Co się zaś tyczy Jonathana Wilda, ten wyjechał z Paryża przed dwudziestu laty.

— Zgoda, ale Jenny i Jonathan byli gdzieś znani i znaki na ich bieliźnie mogą być punktem wyjścia dla śledztwa.

— Mogłoby to być w istocie, gdybyśmy nie byli ostróżni sami dla siebie i abyśmy nie wymagali od tych, co nam służą, aby nosili bieliznę bez znaków, albo ze znakiem fantazyjnym, mogącym dać tylko mylne wskazówki, zdolne do zbicia z tropu poszukiwaczy. Zatrzymaj pan to, co mówię na własną korzyść.

— Uczynię to i w każdej rzeczy iść będę za waszemi radami.

— To będzie roztropnie. Jak się pan nazywasz?

— Maurycy.

— To imię chrzestne. A nazwisko?

Ja swego rzeczywistego nazwiska nie znam. Powiedziałem wam, że urodzenie moje otoczone jest tajemnicą, ale aby nie wyglądać jak podrzutek, przybrałem nazwisko Vasseur.

— Masz pan lat dwadzieścia cztery?

— Prawie.

— Mieszkasz pan?

— Przy ulicy Navarin pod numerem dziewiątym...

Lartigues zapisał adres w swojej książeczce.

— Jutro rano odbierzesz pan bilecik — rzekł — wyznaczający ci schadzkę.

— W jakiem miejscu?

— Jeszcze nie wiem.

— Czemuż nie tutaj?

— Jeszcze dziś opuszczam ten hotel. Jest to niezbędny środek ostróżności i nie wiem, gdzie zamieszkam.

— Czy potrzeba panu pieniędzy? — zapytał Verdier.

— Tak, gdyż jestem ubogi i oddałem wam sto tysięcy franków.

Mniemany ksiądz rozwinął paczkę biletów bankowych.

Podał z nich dwadzieścia pięć Maurycemu.

— Ot o czem będzie można czekać cierpliwie — rzekł, —

Unikaj pan gry, zbytecznych wydatków, zbyt głośnych zabaw. Jednem słowem wszystkiego, coby mogło ściągnąć na pana uwagę policji, a nawet zadziwić osoby znające twoje przyzwyczajenia... Czy ci wystarczą te dwadzieścia pięć tysięcy franków?

— Wystarczą tymczasowo. Czy chcecie, abym dziś jeszcze zaczął poszukiwania rodziny Bressolles?

— Nie potrzeba.

— Mamże pozostawać bezczynnym?

— Nie. Śledź pan, co robi sąd i policja, które zostały zapewne przewrócone do góry nogami wskutek podwójnego morderstwa. Może się przyda wiedzieć, co się dzieje, obserwuj więc, ale ostróżnie.

— Bądź pan spokojny.

— Jak na teraz, to już nic nie mamy sobie do powiedzenia. Rozejdźmy się do jutra.

Dwaj członkowie stowarzyszenia Pięciu uściskali rękę Maurycego z pozorem najszczerszej serdeczności i młodzieniec wyszedł triumfujący i wesoły z mieszkania pod numerem siedemnastym.

— No — szeptał, schodząc ze schodów hotelu Niderlandzkiego — otóż dostałem się w swoją sferę. Trzymam nogę w strzemieniu, a rumak jest dobry! zajadę daleko!

Po rozmowie, która trwała blisko godzinę i w której powzięto ważne przedsięwzięcia, Verdier rozstał się z Lartiguesem.

Ten natychmiast zeszedł do kantoru hotelowego, zapłacił swój rachunek, posłał po powóz, kazał nań włożyć swój bagaż i kazał się zawieźć na dworzec Lyoński, gdzie złożył swoje rzeczy w składzie.

To uczyniwszy, lekkim krokiem udał się na plac Bastylii i wsiadł do omnibusu, jadącego do kościoła św. Magdaleny.

Wysiadł na bulwarze Temple, naprzeciw pasażu Vendome, który przeszedł, udając się na ulicę Beranger.

Skręcił na lewo i wszedł do domu, w którym mieszkał Verdier.

— Pan Martin? — zapytał odźwiernego, który odpowiedział:

— W podwórzu, na trzeciem piętrze, na lewo.

— Wiem... Dziękuję....

I Lartigues poszedł na podwórze.

XXIV.

W domu przy ulicy Beranger znano Verdiera pod nazwiskiem Martin, jako lokatora mieszkania na trzeciem piętrze, w oficynie wychodzącej na podwórze.

Co się zaś tyczy mieszkania, z którego, jak widzieliśmy, Verdier wychodził przebrany za księdza, to wynajete było przez male-

go kapitalistę, zwanego Marchais, który mieszkał sam, bardzo samotnie, zakupując sobie naprzód zapasy i nie pokazując się, że tak powiemy, tylko w dzień płacenia komornego i to jeszcze pieniądze odnosił do odźwiernego.

Odbierał on wiele listów, nikt do niego nie przychodził, płacił regularnie i na nowy rok dawał sutą kolendę swemu odźwiernemu; ten miał go w wielkiem poszanowaniu od ośmiu czy dziesięciu lat, jak mieszkał przy ulicy Beranger i jego trochę tajemnicze życie znajdował zupełnie naturalnem.

Mamyż potrzebę mówić, że tym panem Marchais był nie kto inny, tylko sam Verdier.

Martin i Marchais, nie mieszkający ani w tym samym budynku, ani na tem samem piętrze uchodzili w oczach wszystkich za dwie zupełnie inne osoby...

Lartigues zadzwonił bardzo cicho dwa razy do drzwi mniemanego Martina.

Drzwi otworzył sam Verdier, ubrany tak samo, jakeśmy go widzieli na cmentarzu Pero-Lachaise.

Wpuścił gościa i zamknął drzwi za nim.

Obadwaj pozostali z sobą blisko przez godzinę.

Po upływie tego czasu drzwi mieszkania, leżące na drugiem piętrze domu wychodzącego na bulwar i wynajmowanego przez kapitalistę Marchais'ego, otworzyły się, przepuszczając człowieka okręconego w długą futrzaną szubę i mającego jedwabny kapelusz na gęstej czarnej czuprynie, zaledwie przyprószonej siwizną.

Człowiekiem tym był Lartigues, zupełnie przemieniony przez Verdiera i wcale niepodobny do Belgijczyka Juljusza Thermis z hotelu Niderlandzkiego.

Zeszedł powoli i wyszedł przez drzwi, prowadzące na bulwar.

Omnibus, idący do kościoła św. Magdaleny, przechodził; wsiadł do niego.

Wkrótce się z nim spotkamy.

Gdy się to działo przy ulicach Grammont i Beranger, śledztwo, które się rozpoczęło w naszych oczach co do podwójnej zbrodni na cmentarzu Pere-Lachaise i przy ulicy Montorgueis ciągnęło się dalej.

Obadwaj trupy zostały zaniesione do Morgi, gdzie przed wystawieniem na widok publiczny miały być obejrzane przez lekarza, delegowanego z policji.

Około południa urzędnicy powrócili do gmachu sądowego.

Prokurator Rzeczypospolitej wezwał do swego gabinetu sędziego śledczego, naczelnika wydziału śledczego i komisarza, aby od nich dowiedzieć się szczegółów tej dziwnej i dramatycznej sprawy, którą się wkrótce miał cały Paryż zajmować.

Gdy pan Paweł de Gibray skończył opowiadanie, naczelnik wydziału śledczego zakonkludował w te słowa:

— Puścimy najzręczniejszych agentów i każemy splądrować cały Paryż, ale jestem przekonany, że nie znajdziemy mordercy lub morderców, chyba wtedy, gdy tożsamość ofiar zostanie sprawdzoną.

— Może pan masz słuszność — odparł prokurator Rzeczypospolitej. — Zatem nie zaniedbuj pan, aby jak najprędzej sprawdzić tożsamość. Paryż przeraża się, widząc, że podobne zbrodnie długo pozostają bez ukarania, gdyż bezkarność taka, według niego, dowodzi bezsilności policji.

Wyżej wymienieni urzędnicy wyszli razem.

— Panowie jesteście na czczo, tak samo, jak ja — rzekł Paweł de Gibray. — Pozwólcie, że was zaproszę na śniadanie do kawiarni Auguesseau. Stamtąd pójdziemy do Morgi.

— Gdzie poleciłem Jodeletowi i Martelowi czekać na nas — rzekł naczelnik wydziału śledczego. — Chętnie przyjmuję pańskie zaproszenie.

Komisarz do spraw sądowych również je przyjął.

— Pan de Gibray wydał rozkaz, aby do Morgi przyprowadzono stangreta Cadeta, który się miał stawić w jego kancelarji o pierwszej, — poczem udał się z towarzyszami do restauracji i zamówił ostrygi, kotlety z kartoflami, jajecznicę z truflami, pasztet z wątróbek gęsich i wino Chablis-Moutonne.

Podczas śniadania rozmowa naturalnie toczyła się o sprawie, która ich wszystkich trzech zajmowała.

Niezliczone przypuszczenia, po większej części sprzeczne, były wygłaszane a następnie dyskutowane.

Naczelnik wydziału śledczego myślał o zemście.

Komisarz do spraw sądowych przypisywał podwójną zbrodnię interesom familijnym.

Sędzia pokoju bardzo niezdecydowany, bardzo niespokojny, nie łączył się otwarcie z żadnem z tych przypuszczeń.

Jemu się zdawało, że trzeba było szukać na innej drodze.

Na jakiej?

Jeszcze nie wiedział.

Śniadanie nie trwało dłużej nad godzinę, poczem wstano, aby się udać do Morgi.

Jodelet i Martel już się tam znajdowali.

Lekarz prefektury jeszcze nie przybył.

Urzędnicy weszli do głównego nadzorcy, który ich zaprowadził do amfiteatru, w którym obadwa trupy leżały okryte obszernem prześcieradłem.

Prześcieradło to spuszczone po biodra, pozwalało widzieć piersi nagie i powalane szerokiemi, krwawemi plamami.

Pan de Gibray i jego towarzysze długo się przygladali śmiertelnie bladym twarzom ofiar.

— Wydałem rozkaz, aby nie ruszać włosów pozostałych w ręku umarłej — rzekł pan de Gibray.

— Wykonano ten rozkaz, proszę pana — odparł posługacz amfiteatru, odsłaniając zupełnie prześcieradło i pokazując w zaciśniętych palcach mały promyk jasnych włosów.

— To dobrze. Zostawmy je tak do przybycia lekarza.

Naczelnik wydziału śledczego zapytał nadzorcy:

— Czyś pan kazał przetrząsnąć suknie?

— Tak jest panie i to jak najstaranniej!

— Nic pan nię znalazłeś?

— I owszem...

— Ach! — zawołał Paweł de Gibray z oczyma jaśniejącemi nadzieją. Może jaki ślad.

— Bardzo wątpię, proszę pana, rzecz ta wydaje mi się małej wagi.

— Nareszcie, cóż to jest?

— Papier powycinany, złożony w ośmiorozawinięty w kawałek innego papieru. Wszystko to znajdowało się w bocznej kieszonce kamizelki owego człowieka. Czy mam to panu oddać?

— Zaraz. Czyś się pan przekonał, że na bieliźnie nie było żadnego znaku?

— Niema, proszę pana, okoliczność ta została zapisana do mego protokółu przyjęcia, którego duplikat będę miał honor panu doręczyć, gdy doktor zamieści swoje spostrzeżenia.

W tej chwili drzwi amfiteatru się otworzyły i oczekiwany lekarz wszedł w towarzystwie swoich dwóch uczniów, którzy mu służyli za pomocników.

Nowoprzybyły ukłonił się urzędnikom i rzekł:

— Dowiedziałem się, że mam dopełnić sprawdzenia...

— Tak jest, doktorze, na dwóch ciałach odparł sędzia śledczy.

— Jestem na pańskie rozkazy.

Lekarz przypasał biały fartuch podany mu przez posługacza amfiteatru, dwaj pomocnicy uczynili toż samo i przystąpiono do trupów.

Prześcieradło zostało zdjęte całkowicie i ciała można było widzieć zupełnie nagie.

— A! a! uderzenia nożem! — szepnął doktór nachylając się nad ranami.

— Ja sądzę, że to są raczej uderzenia sztyletu — zauważył komisarz do spraw sądowych.

— Zobaczymy — odpowiedział lekarz.

Poczem zwracając się do posługacza amfiteatru, dodał:

— Weź mokrą gąbkę i obmyj rany ze krwi, która je prawie całkiem zakrywa.

Posługacz poszedł po wodę i gąbkę, poczem wykonał otrzymany rozkaz.

Jodelet przyglądał się trupowi kobiety niby przez lupę, szukając jakiego śladu, któryby mógł zwrócić uwagę i ułatwić odkrycie tożsamości.

Nic znalazł nic i zaczął się tak samo przypatrywać trupowi mężczyzny.

Nagle zadrżał i szybko się nachylił nad prawą ręką trupa leżącą na płycie marmurowej.

— Panie sędzio — rzekł po upływie sekundy — oto jest znak, o którym trzeba będzie dobrze zapamiętać.

I wskazywał palcem tatuowanie, znajdujące się na ramieniu.

Wszyscy spojrzeli.

— W istocie — odparł pan de Gibray — to może dopomóc do prędkiego poznania tego człowieka... Wieniec laurowy, w środku którego znajduje się cyfra: 1848.

— Pewno rok, w którym ten człowiek kazał sobie zrobić to wykałanie — rzekł Jodelet...

— A wyżej dwie szable na krzyż — dodał sędzia śledczy.

— Dowód, że ten człowiek był żołnierzem! — zawołał agent.

Naczelnik wydziału śledczego wmieszał się do rozmowy.

— W każdym razie — rzekł — wykałanie te dowodzi, że ów człowiek nie należał do rodziny wyższego stanu.

— Bywają synowie wielkich rodzin dobrowolnie zaciągnięci, zatem prości żołnierze... — rzekł lekarz.

— Pewno, ale ci nie pozwalają sobie wykałać na ręku dwóch szabli.

— To prawda.

Posługacz amfiteatru obmył rany.

Doktor, mający trochę krótki wzrok, włożył szkiełko na oko i nachylił się nad ranami kobiety.

— Macie panowie słuszność! — rzekł. — Oto jest rana, zadana sztyletem o trójkątnem ostrzu. Ręka, która uderzyła, nie była pewną swego ciosu. Kobieta musiała się energicznie bronić, przeszkadzając mordercy uderzyć pewno.

— Czy pan przypuszczasz, że walczono? — zapytał pan de Gibray.

— To rzecz widoczna. Morderca nie osięgnąwszy celu, zadał drugą ranę prosto w serce.

XXV.

Mówiąc te słowa, lekarz przyglądał się ranie w lewym boku.

— Tym razem mordercy nic nie stało na przeszkodzie — dodał — ofiara już musiała utracić przytomność

— Proszę pana, chciej obejrzeć prawą rękę zmarłej — rzekł sędzia śledczy. — W zaciśniętych palcach trzyma ona jeszcze promień jasnych włosów. Objaśniono nas, że zabójca był jasnym blondynem. Jak pan sądzisz, czy to są jego włosy?

— Zdaje mi się, że tak musi być z pewnością, gdyż to są włosy krótkie, wyrwane, a nie ucięte.

Pan de Gibray wziął włosy, zawinął w papier i schował do pugilaresu.

Doktor rzuciwszy ostatnie spojrzenie na trupa kobiety, przeszedł do trupa mężczyzny i zadrżał, ujrzawszy otwartą ranę w lewym boku.

— Te obadwa trupy zapewne zostały znalezione razem? — zapytał sędziego śledczego.

— Nie panie, jeden na cmentarzu Pere-Lachaise, a drugi w powozie publicznym przy ulicy Ernestine.

— Jednakże uderzone, zostały tą samą bronią.

— Czyś pan tego pewny?

— Jeżeli nie pewny, to przynajmniej przekonany i pan to przekonanie podzielisz. Patrz pan na te rany. U kobiety są one dawniejsze o kilka godzin, niż u mężczyzny i pomimo zgniecenia mięśni kształt otworów jest u obojga podobny. Jeżeli rany mężczyzny są szersze, to dla tego, że broń została zagłębioną więcej, aż po rękojeść,lecz ostrze broni zostawiło ślad trójkątny, pan to widzisz tak dobrze, jak i ja. Czyż się pan przekonał?

— Przekonałem się i teraz i wprzódy — odpowiedział pan de Gibray — a przekonanie pańskie utwierdziło mnie. Tak jest, taż sama broń, w tejże samej ręce uderzyła te dwie ofiary. Czy nie mógłbyś pan nas objaśnić, o której godzinie te zbrodnie mogły zostać popełnione?

Doktor długo przyglądał się trupom.

— Zgon kobiety nastąpił jakie dwadzieścia cztery godzin temu — rzekł — mężczyzny dwanaście lub najwięcej czternaście.

— Więc omyłka jest niemożliwa — zawołał pan de Gibray. — Młody blondyn, widziany przez świadka, wchodził właśnie o trzeciej po południu do grobowca. To on zadał cios tej nieszczęśliwej. Drugie morderstwo popełnione zostało około pierwszej po północy w powozie Cadeta przez tegoż samego młodzieńca. Godziny zgadzają się doskonale. Jeszcze jedno pytanie, doktorze.

— Proszę, pytaj pan, jestem na rozkazy.

— Dla jakiej przyczyny miał zamordowany człowiek rękę na temblaku?

Czy pan jesteś tego pewny?

— Tak jest, powiedział nam o tem stangret.

Doktor długo i bacznie oglądał obie ręce, dotykał mięśni i muskułów, zginał w stawach.

— Nie widzę — rzekł — żadnego wybicia ze stawu. żadnego

stłuczenia, żadnej blizny po dawnej ranie, albo po świeżej, zatem nie rozumiem, dlaczego ten człowiek nosił rękę na temblaku.

— W tej sprawie wszystko jest tajemnicze! — szepnął pan de Gibray. — Doktorze — dodał — skończyłeś pan oględziny?

— Tak jest... Pozostaje mi tylko spisać protokół.

— To dobrze. Teraz nic nie przeszkadza do wystawienia trupów na widok publiczny i chciałbym, aby to nastąpiło natychmiast, gdyż mi idzie o to, aby tożsamość trupów była jak najprędzej sprawdzona....

Posługacze zabrali się do przeniesienia ciał na pochyłe płyty Morgi, gdy tymczasem lekarz w towarzystwie urzędników przeszedł do kancelarji, gdzie spisywał protokół.

— Proszę pana o papier znaleziony w kieszonce od kamizelki — rzekł pan de Gibray do nadzorcy.

— W tej chwili.

I otworzywszy szafkę, stojącą w kącie, wyjął z niej papier złożony i podał go sędziemu śledczemu.

Ten rozwinął go i wyjął z niego drugi papier, złożony w ośmioro, który z kolei rozłożył. Był to pół-arkusz in 18-o polinjowany, z wycięciami długiemi na półtora centymetra, zupełnie podobny do tego, jakiego używał Maurycy do odczytania listu Michała Bremonta, podniesionego w lasku Vinceńskim.

Wszyscy patrzyli na ten papier z ciekawością, połączoną z zadziwieniem.

— Co to być może? — zapytał pan de Gibray głośno. — Muszę przyznać, że tego nie wiem i wątpię, czy warto się zajmować przedmiotem tak małej wagi.

— Tymczasem — rzekł Jodelet — ten człowiek musiał mieć powód, że to nosił w kieszeni i zawijał starannie, jak coś kosztownego.

— Może pan masz słuszność! — odparł sędzia śledczy — ale ten powód jest dla nas nieznany. Zresztą chowam ten papier, chociaż zdaje mi się, że się nie na wiele przyda. Może kiedyś będzie nam użyteczny.

I schował powycinany papier do pugilaresu razem z promieniem włosów.

W tej właśnie chwili zawiadomiono go, że jakiś dorożkarz jest za drzwiami i pragnie się z nim widzieć.

— To stangret z ulicy Ernestyny — rzekł pan de Gibray. — Będziemy go dalej wybadywać i spodziewam się, że otrzymamy tak potrzebne nam wyjaśnienia.

Urzędnik i agenci wyszli z kancelarji i połączyli się z Cadetem, który czekał na nich na koźle powozu czteroosobowego, oddanego przez jego pana do ich rozporządzenia.

— Jestem na rozkazy, panie sędzio — rzekł kłaniając się — dryndą pierwszej klasy z dobrym koniem, który was powiezie, gdzie tylko chcecie.

— Pochwalam twoją akuratność; skorzystamy z twego powozu rzekł pan de Gibray. — Panowie — rzekł do Jodeleta i Martela — bierzcie dorożkę i jedźcie za nami. Najprzód pojedziemy na ulicę Saint-Mande. Do restauracji „Barreaux-Verts" przyjechano o wpół po czwartej.

W kilku słowach objaśniono właściciela zakładu, o co idzie i ten oświadczył gotowość odpowiadania na pytania, jakie mu mogą być zadawane.

— Czy pan pamiętasz wszystko? — zapytał go pan de Gibray.

— Doskonale. Zacząłem zamykać okiennice. Naprzeciwko zobaczyłem, że jakiś jegomość przyglądał się trzem dorożkom, stojącym przed domem. Jegomość ten zbliżył się i zapytał, czy który z nich nie był wolny.

„Naturalnie, nie wiedziałem o tem.

„Wszedłem do sali i powtórzyłem zapytanie stangretom, którzy grali i pili.

„Jeden z nich wstał, zapłacił rachunek i zabrał pasażera.

„To ten, poznaję go bardzo dobrze — rzekł restaurator wskazując na Cadeta.

— Czyś pan widział owego jegomościa z twarzy? — zapytał sędzia śledczy.

— Nie bardzo, bo był obwiązany szerokim szalem, ale mogę poświadczyć, że miał jasnoblond włosy, takież same faworyty i nosił binokle.

— Czy dobrze mówił po francusku?

— Jak my oba dwaj. Tylko akcentem cudzoziemskim....

— Jakim?

— Północnym, jak mi się zdaje.

— Która była godzina?

— Trzy kwadranse na dwunastą. O tej porze zwykle zamykam okiennice.

— Czy pan nie masz co szczególnego do powiedzenia o tym człowieku w binoklach?

— Nie, panie.

— Nie wydawał się niespokojnym?

— Raczej miał minę człowieka, który się spieszy, bo powiedział stangretowi, żeby prędko jechał.

— Czyś pan słyszał, aby wymieniał miejsce, dokąd się kazał zawieźć?

— Nie, panie.

— Czyś go pan nigdy wprzódy nie widział?

— Nigdy... Przynajmniej sobie nie przypominam.

Widocznie restaurator nie miał nic więcej do powiedzenia.

Wskutek tego więc badanie zostało ukończone.

Urzędnicy i agenci wsiedli do swoich powozów i pojechali na kolej północną.

Pan de Gibray wymienił swoje nazwisko i urząd i kazał się zaprowadzić do kancelarji zawiadowcy stacji, co było uskutecznione bez straty czasu.

Tam powtórnie powiedział, kim jest.

— Jestem na pańskie rozkazy — rzekł zawiadowca. — Jakie pan chce robić poszukiwania i w czem mogę panu być użytecznym?

— Chciałbym się dowiedzieć, kto prowadził pociąg, który przyszedł do Paryża o godzinie pierwszej w nocy i który był przy nim konduktor.

— To bardzo łatwo. Zaraz panu powiem ich nazwiska. Zajrzę tylko do dziennika.

Po chwili rzekł:

— Nadkonduktor nazywa się Boissieu, a konduktor Pernet.

— Czy mogę natychmiast wypytać tych panów?

— I owszem, muszą być teraz na stacji, — gdyż o czwartej jadą pociągiem do Calais.

— Proszę pana, każ im tu przyjść.

XXVI.

Zawiadowca posłał po Boissieu i Perneta.

W kilka minut obadwaj weszli do kancelarji zawiadowcy, który wskazując na pana Pawła de Gibray, rzekł:

— Ten pan jest sędzią śledczym. Macie odpowiadać na pytania, jakie wam zada.

Boissieu i Pernet bardzo zadziwieni, trochę niespokojni (bo sprawiedliwość zawsze nabawia niepokoju, choćby się nie miało sobie nic do zarzucenia) głęboko się ukłonili i ciekawie popatrzyli na urzędnika.

— Który z panów — zapytał tenże — prowadził pociąg, przybyły do Paryża o pierwszej w nocy?

— Ja, Jerzy Boissieu, proszę pana — rzekł jeden z nich, podchodząc.

— Skąd pan jechałeś?

— Z Calais!

— W drodze z Calais musiałeś pan nieraz wchodzić do przedziałów dla kontrolowania biletów.

— To nie do mnie należy, proszę pana... to do Perneta.

Pan de Gibray zwracając się do Perneta, pytał dalej:

— Czyś pan nie zauważył pomiędzy podróżnymi, z którymi z obowiązku miałeś styczność, człowieka z ręką na temblaku?

— I owszem, panie sędzio, i to tem więcej, że mnie co do tego uderzył jeden szczegół.

— Jaki szczegół?

— Podróżny, o którym mowa, zajmował przedział pierwszej klasy; kiedym wszedł, aby skontrolować jego bilet, nie miał temblaka i ruchy jego były zupełnie swobodne. Tymczasem pod Paryżem, kiedym wszedł powtórnie, zobaczyć, czy kto nie przybył w drodze, miał rękę na chustce. Zapytałem go, czy się nie zranił, odpowiedział, że cierpiał chwilowo bóle reumatyczne.

— To właśnie potrzebowaliśmy wiedzieć — rzekł sędzia śledczy. — Nie wierzę pozorowi przedstawionemu przez podróżnego. Ta ręka na chustce, to był znak umówiony, aby go można było poznać przy przyjeździe. Już mi to przychodziło na myśl. To, com się dowiedział, utwierdza mnie w tem przekonaniu. Gdzież ten podróżny wsiadł do pociągu?

— Na krańcowej stacji, w Calais.

— Czy miał bagaże?

— Nie, panie. Na bilecie nie było to oznaczone. Doskonale sobie to przypominam.

— Czy nie mógłbyś mi pan dać rysopisu podróżnego?

Pernet zastanowił się przez chwilę i odpowiedział:

— Jegomość ten wyglądał na lat pięćdziesiąt, bez zarostu, miał mały pilśniowy kapelusz, ciemnobronzowe palto i biały szal na szyji.

— To ten sam, zamordowany, rysopis jest dokładny — rzekł naczelnik wydziału śledczego.

Sędzia śledczy mówił dalej:

— Nie wiesz pan, czy ten człowiek był mieszkańcem Calais? Czy często podróżował tą drogą?

— Nic nie wiem, proszę pana... widziałem go po raz pierwszy.

— Czy dobrze mówił po francusku?

— Tak, bez najmniejszego akcentu.

— Dosyć, moi panowie. Jak na teraz, nie mam was o nic więcej do pytania.

Dwaj kolejarze odeszli.

— Gdy pociąg przychodzi — zapytał sędzia śledczy zawiadowcy stacji — czy przy drzwiach wychodowych kto stoi dla odebrania biletów?

— Tak jest, panie... są do tego specjalni ludzie.

— Chciałbym widzieć tego, co przeszłej nocy odbierał bilety.

— Zaraz go każę zawołać.

Oficjalista natychmiast przybył na wezwanie zawiadowcy. Nazywał się Gautier.

— Mam pana o jedno zapytać — rzekł do niego sędzia śledczy. — Czy pan nie pamiętasz, aby około pana, po przybyciu pociągu o godzinie pierwszej, przechodził człowiek z ręką na chustce?

— Pamiętam doskonale. W chwili wyjścia podróżny ten za-

trzymał się i szukał w kieszeni od kamizelki biletu, który znalazł nie bez trudności. Podał mi go przepraszając.

— Czyś pan nie zauważył cudzoziemskiej wymowy?

— Nie, proszę pana.

Naczelnik wydziału śledczego rzekł zcicha:

— To nie cudzoziemiec. Zbierzemy objaśnienia w Calais.

Sędzia śledczy, zwracając ciągle mowę do odbiorcy biletów, pytał:

— Czyż pan nie zauważył, że na stacji ktoś czekał na podróżnego?

— I owszem. Jak tylko wszedł do sali pasażerskiej, przystąpił do niego młody człowiek, który czekał od trzech kwadransów.

— Od trzech kawdransów! — zawołał Paweł de Gibray.

— Tak jest, panie!

— Musisz się pan mylić.

— Nie, nie mylę się. Powiedziałem od trzech kwadransów i to utrzymuję. Jestem pewny tego, co mówię, z przyczyny, że na trzy kwadranse przedtem, gdym zamknął drzwi po wyjściu pasażerów z pociągu, przychodzącego o kwadrans po północy, ów młodzieniec przystąpił do mnie, pytając, czy ten pociąg z Calais przybył. Odpowiedziałem mu przecząco. On mnie zapytał, o której przychodzi. Odpowiedziałem: o pierwszej. Czekam na jednego z przyjaciół, — rzekł wtedy — i bałem się spóźnić.

Pan de Gibray zmarszczył brwi z niezadowoleniem.

— A to rzecz szczególna! — rzekł. — Godziny nie zgadzają się z czasem wskazanym przez stangreta Cadeta i restauratora z ulicy Saint Mande.

— Musi tu być nieporoumienie — odrzekł naczelnik wydziału śledczego — rzecz do wyjaśnienia.

Sędzia śledczy mówił dalej:

— Czyś widział z twarzy owego młodzieńca?

— Dosyć niedokładnie — odparł oficjalista — gdyż okręcony był szalem. To tylko pewna, że miał jasne włosy, takież faworyty i nosił szyldkretowe binokle.

— Ten sam rysopis — rzekł naczelnik wydziału śledczego. — I c a nic nie rozumiem.

— Jakiego miał szal koloru? — ciągnął dalej de Gibray.

— Ciemny, jak mi się zdaje, tak jak i reszta ubrania.

— Czyś pan pewien, że od chwili, gdy pana zapytał aż do przybycia pociągu z Calais ten młodzieniec znajdował się w sali pasażerskiej lub około wyjścia?

— Widziałem go trzy czy cztery razy.

— Proszę kazać zawołać Cadeta, doróżkarza — polecił sędzia śledczy.

Naczelnik wydziału śledczego wyszedł z gabinetu i wydał polecenie agentowi Martelowi, który poszedł po stangreta z ulicy Ernestyny.

— Cadet — rzekł do niego pan Gibray. — Poszukajno dobrze w pamięci. Potrzebuję dokładnie wiedzieć, jak długo stałeś tutaj ostatniej nocy, czekając na pociąg, przychodzący o pierwszej.

— Już to mówiłem panu sędziemu.

— Powtórz raz jeszcze.

— Przyjechałem tu o trzy kwadranse na pierwszą. Czekałem blisko dwadzieścia minut.

— Panie sędzio — zauważył naczelnik wydziału śledczego — nie zapytałeś pan odbiorcy biletów, czy ów młodzieniec, pytając o objaśnienia, dobrze mówił po francusku.

— Prawda... Słyszałeś pan pytanie. Odpowiedź pan.

Oficjalista odpowiedział w istocie:

— Młody człowiek dobrze mówił po francusku, ale z wybitnym akcentem.

— Jakim?

— Nie znam się na tem, ale mi się zdaje, że to był akcent północny.

— To nasz ptaszek! — zawołał Paweł de Gibray. — W tem wszystkiem musi być nieporozumienie łatwe do wyjaśnienia. Czy się pociąg z Calais nie spóźnił?

— I owszem, panie, — odparł zawiadowca — spóźnił się o dwadzieścia minut.

— No, to już się wszystko wyjaśnia. Młody człowiek pokazawszy się tutaj, kazał się tak najspieszniej zawieźć na ulicę Saint-Mande, gdzie zmienił dorożkę i powróciwszy, był widziany przez odbierającego bilety, jak się przechadzał i oczekiwał.

— Być może — rzekł oficjalista, któremu rzecz ta wydawała się niemożliwą — ale mi się zdaje, żem go widział wprzódy.

W tej chwili Jodelet i Martel weszli w towarzystwie posługacza kolejowego.

— Co tam, Jodelet? — zapytał naczelnik wydziału śledczego.

— Proszę pana, prowadzimy tego oto zucha, z którym rozmawiałem na dworze i który, jak mi się zdaje, dostarczy nam cennego objaśnienia co do jasnowłosego młodzieńca.

— Czyś widział tego młodego człowieka? — zapytał żywo sędzia śledczy zwracając mowę do posługacza, który odpowiedział:

— Młodzieniec w szalu, binoklach, z jasnemi faworytami? tak jest panie. Wysiadał z powozu i zapytał mnie, czy pociąg z Calais nadszedł. Ja odpowiedziałem, że chyba nie. Wtenczas ujrzałem, jak szedł do drzwi, a potem wrócili i wsiadł do powozu.

— Czy on dobrze mówił po francusku?

— Z silnym akcentem cudzoziemskim, ruskim, niemieckim, czy też szwajcarskim.

— Czy pamiętasz, o której godzinie mówił z tobą?

— Mogło być kwadrans na pierwszą.

Widziałeś go później?

— Widziałem. W chwili gdy pociąg z Calais nadchodził, czekał przy drzwiach, a potem oddalił się z jakimś podróżnym.

— Czyś zauważył, że ten podróżny miał rękę na chustce?

— Nie, panie. Przechodziłem prędko, mając gdzieindziej zajęcie.

— Widocznem się okazało dla wszystkich, że zamieszanie w czasie nastąpiło z powodu opóźnienia pociągu z Calais i że jasnowłosy młodzieniec był jedną i tąż samą osobą.

Urzędnicy pożegnali się z zawiadowcą i odeszli.

XXVI.

Chociaż już było późno, pan de Gibray chciał jeszcze w tym samym dniu udać się do miejsca, wskazanego przez Cadeta, jako ostatni punkt, do którego wczoraj dojechał, to jest do hotelu przy ulicy Montorgueil, przed którym zostawił, jak mu się zdawało, dwóch podróżnych.

— Poznałbyś ten hotel z łatwością? — zapytał Cadeta naczelnik wydziału śledczego.

— Zawiózłbym pana tam z zawiązanemi oczyma; szczególniej dziś, kiedym pił tylko gęsi trunek, to jest wodę.

— Więc w drogę, a spiesz się.

W dwadzieścia minut potem obadwa powozy zatrzymały się przy ulicy Montorgueil naprzeciw domu poznanego przez Cadeta.

— Zdaje mi się, że stąd powinniśmy byli zaczynać — odezwał się nieśmiało komisarz do spraw sądowych.

— Mnie się nie zdaje — odparł pan de Gibray nieco wyniośle. — Bądź pan pewny, że morderca przemknął się tylko przez ten dom. Jeżeli w nim mieszka, albo przynajmniej mieszkał, to jest zanadto zręcznym, aby przypuścić, że tu będzie czekał, aż zostanie aresztowany.

Wysiedli z powozów.

Weszli.

Widząc to najście, gospodarz, który z widzenia znał naczelnika wydziału śledczego, sądził, że to rewizja i doznał żywego wzru-

szenia, pomieszanego ze strachem, chociaż uczciwy, nie miał się czego obawiać.

— Panie — rzekł sędzia śledczy, wymieniwszy kim jest — przychodzę do pana nie ściągać zeznania, lecz prosić o niektóre objaśnienia.

— Jestem ich gotów dostarczyć. O co idzie?

— Czy wszystkie numera w pańskim hotelu są zajęte?

— W tej chwili nie zupełnie, proszę pana... Wcale nie. Mama tylko pięciu lokatorów na dwanaście mieszkań, które powinnyby być zajęte. Czy pan chce poznać imiona, nazwiska i stan mych gości?

— Bezwątpienia.

— Zaraz objaśnię.

Wziął księgę zapisową i mówił dalej:

— Oto są nazwiska osób zapisanych obecnie. Pan Achilles Tourtin, komiwojażer, zamieszkały od dwóch tygodni, lat pięćdziesiąt. Pan Eugenjusz Blanchard, zamieszkały od roku i stołujący się u mnie, urzędnik merostwa, lat czterdzieści dwa. Pan Alfons Damiron, komisant handlu win, przybyły wczoraj wieczorem.

— O której godzinie? — zapytał pan de Gibray.

— O piątej.

— Ile ma lat?

— Sześćdziesiąt.

— Mów pan dalej.

— Pan Izydor Fernel z małżonką z prowincji zamieszkali w Nangis, utrzymujący sklep galanteryjny przybyli do Paryża po zakupy. Są tutaj od dwóch dni.

— Innych podróżnych pan nie masz?

— Nie, panie.

— Ani dziś, ani wczoraj.

— Ale dzisiejszej nocy ktoś tu przychodził nocować?

— Nie, panie.

— Jakto? czym tego pewny? A ot garson, który co noc sypia w tym pokoju na przenośnem łóżku — rzekł gospodarz, wskazując na wchodzącego młodego człowieka w białym fartuchu.

— On może potwierdzić moje słowa.

Garson zbliżył się.

— Czy tu był w nocy jaki podróżny? — zapytał pan de Gibray.

— Nie, panie, ale ktoś jednak około wpół do drugiej przychodził.

— Ktoś? — powtórzył sędzia pokoju.

— Tak, panie. Spałem jak zabity, gdy w tem dzwonek hotelu, znajdujący się jak panowie widzicie, tu, nad biurkiem, obudził mnie swoim brzękiem. Wyskoczyłem z łóżka, włożyłem na siebie ubranie, pociągnąłem za sznur i czekam. Widząc, że nikt nie wchodzi, sądziłem, że jakiś urwisz zażartował sobie ze mnie, jak się to czasem

zdarza. Zabierałem się zamknąć drzwi, gdy wszedł jakiś jegomość i zapytał, czy u nas nie stoją dwie panie, matka i córka, przybyłe przed dwoma dniami z Włoch, które, jak mówił, miały stanąć w naszym hotelu... Dodał, że te panie nazywają się Amati, czy Salenti, dosyć, że na i.... Naturalnie, ja odpowiedziałem, że takich u nas nie ma. Podziękował mi bardzo grzecznie i przepraszając najmocniej, że mnie napróżno budził, wyszedł z kantoru. Odprowadziłem go do drzwi, które zamknąłem za nim i położyłem się spać. Ot i to wszystko.

— Czy ten człowiek wyglądał na cudzoziemca? — rzekł sędzia śledczy.

— Mówił dobrze po francusku, ale obcym akcentem.

— Jakim?

— Zdaje mi się, że niemieckim, lub temu podobnym.

— Czy widziałeś go z twarzy, rozmawiając?

— Niedokładnie. Był zawinięty w wielki szal, dochodzący mu prawie do oczu. Jednakże spostrzegłem, że miał jasne włosy i faworyty i że nosił binokle.

— To ten sam! — zawołał pan de Gibray i dodał: — Czyś zauważył, odprowadzając go do drzwi, że powóz czekał na niego?

— Rzuciłem okiem na ulicę, powozu nie było.

— To szczególne.

— Owszem to rzecz bardzo prosta — odrzekł naczelnik wydziału śledczego. — Pomyśl pan, że mamy do czynienia z łotrem bardzo zręcznym i że ten plan naprzód ułożył. Wysławszy stangreta po drodze, zadzwonił i zostawił drzwi otwarte, aby Cadet był przekonany, że drugi podróżny już wszedł, dokąd i sam zabójca wszedł — otrzymawszy resztę i zapłaciwszy woźnicy poczem odjechał wraz z trupem.

Potrzeba mu było jakiegoś prawdopodobnego pretekstu, dla objaśnienia przybycia do hotelu po nocy i dlatego pytał o dwie panie, które niby przybyły z Włoch.

I wszystko to czynione było z niesłychaną pewnością siebie, ze zdumiewającą zimną krwią.

Ręczę panom, że to nie pierwsza sztuczka tego łotra.

Będziemy z nim mieli jeszcze niemało kłopotu.

Zirytowany bardzo lichym rezultatem swych wypytywań, sędzia śledczy zwiesił głowę i zmarszczył brwi.

— Do zobaczenia jutro! — rzekł, zwracając się do naczelnika policji śledczej i komisarza do spraw sądowych. — Pójdę do domu spokojnie wszystko rozważyć, a panowie ze swej strony bądźcie łaskawi przedsięwziąć środki, jakie uznacie za użyteczne.

W dziesięć minut później komisarz do spraw sądowych i naczelnik policji śledczej znajdowali się razem w gabinecie tegoż ostatniego w prefekturze.

— Co pan o tem myśli? spytał komisarz.

— Ciężko, bardzo ciężko. Mamy do czynienia ze zbrodnią tajemniczą, w którą zamieszana być musi jakaś arystokratyczna rodzina Grobowiec Kurawiewów był miejscem schadzek, w którem udzielano sobie zapewne ważnych wiadomości, a oprócz tego składano tam korespondencję sekretną.

Sanctissimum otwarte i ślady palców na kurzu mówią o tem wyraźnie.

Tatuowanie na ręce zabitego dowodzi jego pochodzenia dość gminnego, ale cienkość bielizny i pewna elegancja w ubraniu pozwalają przypuszczać, że był bogaty, a przynajmniej, że działał na rzecz bogatych.

Mężczyzna ten, jak i druga ofiara, nieszczęśliwa kobieta znaleziona w grobowcu, musieli mieć tajemnicę, którą chciał im wydrzeć trzeci człowiek i człowiek ten jest niezawodnie mordercą.

— Ów blondyn młody z binoklami?

— Bez wątpienia.

— Może to tylko najemny agent.

— Nie. Najęty zbir nigdy nie dochodzi do takiej doskonałości w zbrodni. Morderca sam dla siebie pracował. Twierdzę to stanowczo ale celem jego nie było łupiestwo, bo ofiary nie zostały zrabowane. Można więc przypuszczać jedynie tę zbrodnię, o jakiej mówiliśmy. To uczyni śledztwo bardzo trudnem.

— O! odrzekł komisarz — zbrodniarze pomimo całej przebiegłości, zawsze w końcu bywają ujęci. Nie mogą wszystkiego przewidzieć.

— Dla tego nie zaniedbam niczego.

Najsprytniejsi nasi agenci wysłani będą na wszystkie strony Paryża z rysopisem zabójcy, niestety bardzo niedokładnym, a mogącym się stać jeszcze mniej dokładnym, jeśli złoczyńca ostrzyże włosy, ogoli faworyty i przestanie nosić binokle.

— A do Calais czy pośle pan agentów z fotografją zabitego?

Koniecznie, bo dopóty wątpię o powodzeniu śledztwa, póki nam nie będzie znana osobistość ofiar.

Naczelnik policji śledczej zadzwonił, kazał wezwać agentów, na których czele znajdował się Jodelet oraz Martel i dał im zlecenia, poczem załatwiwszy sprawy bieżące, poszedł na obiad z komisarzem

XXVIII.

Zaproszenie

Rozstawszy się z Verdierem i Cartigues, to jest fałszywym opatem Merisem i z również rzekomym belgijczykiem Termis. Mau-

rycy rozpromieniony, z uśmiechem na ustach, zachwycony sam sobą, wobec ziszczających się najgorętszych marzeń, poszedł na śniadanie do restauracji na bulwarze, poczem wrócił do swego mieszkania przy ulicy Navarin.

Pomimo jednak radości tej czuł jakiś nieokreślony niepokój wewnętrzny, którego nie mógł się pozbyć. Jak to mówią, pił mleko, ale do szklanki dostała się mucha.

Muchą tą była owa spinka od mankietu — która się zarzuciła zeszłej nocy.

Maurycy zapytywał siebie ciągle:

— Czym ja tę spinkę zostawił w mankiecie koszuli, którą spaliłem? A może zgubiłem ją? Zdaje mi się, że ją wyjąłem, a gdyby została w rękawie, znalazłbym ją przecie w wydobytym popiele.

A jeżeli zgubiłem, to gdzie? czy na cmentarzu Pere-Lachaise? czy w karetce?

Byłoby to bardzo przykre, ale to nieprawdopodobne....

Wracając do domu, pomimo woli byłem trochę wzruszony. Wyjąłem tę nieszczęsną spinkę i z roztargnienia gdzieś ją włożyłem.

Ale gdzie? nie mogę sobie przypomnieć.

Mówiąc to do siebie, młodzieniec szukał wszędzie, oglądał meble, przetrząsał szuflady.

Nie znalazł nic.

— Musiałem ją albo zgubić, albo spalić — ciągnął dalej — ale śmiesznem doprawdy byłoby truć się taką drobnostką. Dajmy na to że nawet spinka wpadnie do rąk sprawiedliwości, to i w takim razie czyż czego dowiedzie?

Trzeba tylko odwieść Oktawję od jej głupiego planu! Zanosić tę spinkę do jubilera, zrobić z niej obrączkę do krawata!

Spinkę muszę mieć zwróconą i zniszczę ją!

Rozważywszy dobrze, nie mam się czego obawiać.

Niech najsprytniejsi policjanci na świecie odgadną we mnie owego młodego blondyna, którego powierzchność opisywaną mieć będą przy każdem ze swych śledztw.

Jakże będą mogli przypuścić, że oba zabójstwa popełnione zostały przez tego samego człowieka?

Dopiero kręcić się będą, narobią hałasu — dowiedzą się bardzo mało i nic sobie nie zdołają wyjaśnić w tych ciemnościach, któremi się umiałem otoczyć.

Ostatniemi myślami temi uspokojony Maurycy wziął za kapelusz, wciągnął rękawiczki i udał się do Oktawji, z którą, według obietnicy, zjeść miał razem obiad.

Młoda kobieta mieszkała przy ulicy Comartin na rogu ulicy Bac de Rempart.

Maurycy skierował się przez ulicę Męczenników, doszedł do bulwaru i tuż przed Tortonim spotkał się twarzą w twarz z jakimś młodzieńcem bardzo eleganckim, który wyciągnął doń rękę i zawołał:

— A, to ty, mój drogi, jak się miewasz? od wieku cię nie widziałem, cóż się z tobą działo?

— Pracuję bardzo dużo! — odpowiedział Maurycy.

— Zawsze w „Niedźwiadku"?

— Zawsze.

— Reporterem tam jesteś?

— Tak, ale oprócz tego zajęty jestem pracą poważną. Pracuję nad dramatem, bardzo oryginalnym, całą noc nad nim spędziłem — dodał łotr cynicznie.

— Wybornie, będziesz miał nasze oklaski, urządzimy ci owację — co się zowie. Powodzenia doznasz wielkiego, ogromnego, tyś dla wszystkich tak sympatyczny. No, ale przecie nie po całych dniach i nocach siedzisz przy robocie.

— Naturalnie, i jeśliśmy się tak dawno nie spotkali, to czysto wypadkowo, ja co wieczór jestem w teatrze.

— A ja już od kilka dni nie byłem. No, wolny jesteś?

— W jakiem znaczeniu? — spytał Maurycy z uśmiechem.

— Ażeby przyjąć zaproszenie na obiad.

— Kiedy?

— Dziś!

— O! do licha jaka szkoda, kochany d'Arfeuiles — rzekł Maurycy, gryząc wąsy.

— Dlaczego?

— Z największą chęcią przyjąłbym twe zaproszenie, ale dałem już słowo na dzisiejszy obiad i wieczór.

— Założyłbym się że jakiej kobiecie.

— Nie zakładaj się bo wygrasz.

— Ładnej

— Tak wszyscy utrzymują, i ja także.

— Nowe zwycięstwo

— Nie, to stara już przyjaciółka.

E! to mniejsza o nią! Porzuć ją dzisiaj do jutra i do nas przyjdź. Zabawimy się, słowo honoru! Zapoznam cię z pewnym młodym Rosjaninem, z którym zabrałem znajmomość w Teplitz, a który teraz przyjechał do Paryża używać wszelkich przyjemności przez dwa czy trzy lata. Zastaniesz tam także barona Paskala de Laudilli, Giovella, Tomeraya i kilku jeszcze bardzo przyjemnych młodych ludzi, oraz bardzo sympatyczne, ładne kobietki. Blankę Topin, Pittę, Lucynę Maguiw, Stewart, czarującą Oktawję.

— Oktawję z ulicy Comartin? — zawołał Maurycy wielce zaciekawiony.

— Tak, ją.

— Napewno wiesz o tem, że będzie?

— Mogę przynajmniej tak sądzić. Przyrzekła. Ty ją znasz.

— Znam trochę wszystkie te damy.

— Prawda i skromność nie pozwa[illegible] ci dodać, że wszystkie d[illegible]

my te cenią cię, czego ci składają dowody. Słowem będzie nas ze dwanaście osób. Po obiedzie urządzimy sobie bakkera. Decyduj się. Przyjaciele nasi i przyjaciółki bardzo się ucieszą, gdy cię zobaczą.

Idź wymówić się ze swego obiadu, a ja pójdę obiad zamówić u Brebanta... zgoda?

Maurycy namyślał się, widać, że Oktawja zaproszona została przez d'Arfeuilla i zapewne znajdzie wybieg do zrzeczenia się obiadu, zaprojektowanego zrana.

— I owszem — odpowiedział — będą.

— Brawo! Pyszny z ciebie człowiek!

— O której godzinie?

— O pięć minut przed ósmą, bo punkt o ósmej ostrygi zielone podane będą na stół, a Chateau d'Yquem przed zupą żółwiową.

— Nie spóźnię się.

— Młodzi ludzie uścisnęli sobie ręce i rozeszli się w różne strony

Chociaż Maurycy i Oktawja od dawna się znali, nie było to wiadomem świadkowi bulwarów i hulaków....

Oktawja kochała Maurycego na swój sposób, ale szczerze, nie przeszkadzało to jej jednak wystrzegać się kompromitowania z współpracownikiem lichej gazetki na czem mogłyby ucierpieć jej interesa finansowo-sercowe.

— Ciekawy jestem, jak się Oktawja przedemną wykręci — myślał, uśmiechając się Maurycy. ,

Nie przyspieszając kroku i wyborne paląc cygaro, Maurycy zmierzał ku domowi przy ulicy Comartin.

Oktawja czekała na niego.

Mieszkanie jej, którego opisywać nie będziemy, gdyż wcale nie byłoby to interesującem — składało się z kilku pokojów na pierwszem piętrze, a okna jego wielkie i dość liczne wychodziły jedne na bulwar, drugie na ulicę Comartin.

Umeblowanie było kosztowne, ale jaskrawe, bez gustu. Wszystko było tu dla efektu, nic dla prawdziwego smaku.

Oktawja spoczywała na szeslongu w małym buduarze, którego ściany pokryte były atłasem, takim samym, jak krzesła i fotele.

Czytała romans, paliła papierosa i ziewała.

W mgnieniu oka, gdy otworzyły się drzwi i wszedł Maurycy, młoda kobieta zerwała się z szeslongu, rzuciła książkę, papierosa i podbiegła ku młodemu człowiekowi.

— A! jakiś ty niedobry! — zawołała — tak późno! Dwie godziny czekam już na ciebie!

— Nie gniewaj się moja mała. Byłbym wiele oddał, gdybym mógł był przyjść wcześniej, ale musiałem być na drugim końcu Paryża. Nareszcie uwolniłem się i jestem.

Oktawja westchnęła.

— Co ci to jest? — zapytał Maurycy. — Czy masz jaki kłopot?

— Mam wielkie zmartwienie.

— Jakie?

— Chciałam z tobą spędzić cały wieczór. Wiesz, jak się z tego już naprzód cieszyłam.

— I ja się także cieszyłem. A teraz przeszkoda.

— Niestety.

Rozumiem. Hrabia zawiadomił cię, że przyjeżdzie i Danae czeka na Jowisza.

— Nie, zupełnie co innego, mój drogi... znasz d'Arfeuilla? Wybornie. Jesteśmy przyjaciółmi.

— Otóż d'Arfeuille przyjechał do mnie z zaproszeniem na obiad.

— I ty przekładasz zaproszenie Guy'a d'Arfeuille nad moje?

— O! wiesz, że nie.

— Jakże mogę wiedzieć, kiedy dowodzisz czego innego?

— Mój drogi, pamiętasz, jak się ułożyliśmy — rzekła Oktawja poważnie. — Ty nigdy nie masz być zawadą dla mej przyszłości.

— Nie widzę, jaki jest związek między obiadem wicehrabiego i twą przyszłością?

—A jednakże związek jest bardzo wielki.

— Rozwiąż mi tę zagadkę.

— Dobrze. Obiad będzie u Brebanta. Na obiedzie ma być młody hrabia rosyjski, posiadający około miljona franków rocznego dochodu i ogromnego majątku. Młody Rosjanin przyjechał do Paryża przed kilku dniami i onegdaj był w teatrze Gymnase, gdzie i ja byłam i zdaje się, że sprawiłam na nim ogromne wrażenie...

Zobaczywszy ,że d'Arfeuille, z którym w wielkiej jest przyjaźni, zachodzi do mej loży — prosił go, ażeby został mi przedstawiony. Zapoznanie nastąpi dzisiaj. Widzisz, że idzie tu o moją przyszłość. Rosjanie żenią się.

— Bardzo pięknie i chociaż serce moje musi cierpieć, życzę ci, abyś wygrała tę partję.

— Zawsze pozostaniesz dla mnie najdroższym.

— Ta nadzieja mnie pociesza.

— Obiad będzie o ósmej. Po mnie przyjechać ma Lamouroux.

— Kto to ten Lamouroux?

— E! znasz go zapewne, były podoficer kawalerji, nauczyciel fechtunku. Wszędzie udało mu się wkręcić, w jaki sposób nie pojmuję, bo mnie on się wcale nie podoba, bywa na wszelkich śniadaniach, na wszelkich obiadach, kolacjach i balach, należy do wszystkich zakładów, do wszystkich pojedynków, zawsze go zobaczysz na wszystkich pierwszych przedstawieniach, utrzymują, że grosza nie ma przy duszy. Śmieszny jak rzadko. Podobno d'Arfeuillowi daje lekcje fechtunku i boksowania.

— No, moja mała, sprawię ci wielką niespodziankę.

— Jaką? mówże prędzej!

— Razem z sobą spędzimy wieczór.

— Jakto? ty także będziesz na tym obiedzie?

— Będę. Spotkałem się z wicehrabią, który mnie bardzo uprzejmie zaprosił, a kiedy się dowiedziałem, że i ty tam będziesz, przyjąłem zaproszenie.

— Więc tyś sobie wciąż ze mnie żartował? — wesoło zawołała Oktawja.

— Niby trochę.

Brawo! Zachwycona jestem. Ale głupstw nie rób. Ledwie że się znamy. Spotkaliśmy się dwa czy trzy razy w towarzystwie.

— Bądź spokojna. Zachowywać się umiem. Możesz ostrzeliwać swego Rosjanina, ile ci się podoba. No — dodał Maurycy z udaną obojętnością — cóżeś robiła, rozstawszy się ze mną?

— Dlaczego o to pytasz?

— Tak, przez ciekawość.

— Wróciłam do domu.

— Wprost?

— Tak.

— A śniadanie gdzieś jadła?

— U siebie.

— Toś nie była u jubilera?

— U jubilera? — powtórzyła Oktawja ze zdziwioną miną. — A! — dodała, przypominawszy sobie — miała oddać twą spinkę do przerobienia.

— Właśnie.

— Nie jeszcze. Czy ty to chcesz mieć zaraz? Mogę wstąpić do jubilera, jadąc na obiad.

— Przeciwnie, rozmyśliłem się inaczej.

— Nie chcesz, ażeby obstalowałam dla ciebie obrączkę do krawata?

— Nie!

— A to dlaczego?

— Bo nie będzie stosowna z temi prześlicznemi spinkami, jakie mi podarowałaś dzisiaj.

— Masz słuszność. Każę zrobić taką obrączkę jak te spinki.

— A tamtę spinkę mi oddasz?

— Nie zostawię ją sobie na pamiątkę.

Jedyna to rzecz, jaką będę miała od ciebie.

Maurycy prawie dopiął celu — do którego dążył.

Niebezpieczna spinka zostanie w ręku Oktawji, która oczywiście nie będzie jej pokazywała nikomu.

Nie uważał za potrzebne nalegać, przynajmniej jak na teraz.

— Nie mówmy o tem — rzekła — jeżeli chcesz ją mieć to weź.

Zaczynało się ściemniać.

Oktawja kazała podać światło.

— No, do widzenia, mój drogi — odezwała się do Maurycego.

— Wypędzasz mnie?

— Muszę się ubierać, a i ty przecie powinieneś iść do domu, przebrać się we frak i włożyć biały krawat.

Pożegnali się czule, młodzieniec odszedł, a Oktawja zajęła się ubieraniem.

XXIX.

Pałacyk do wynajęcia.

Lartigues albo Belgijczyk Termis, jak się jeszcze nazywał, wyszedł od Verdiera, tak przebrany, że go poznać nie było można i pojechał, jak wiemy, omnibusem, stojącym na bulwarze Magdaleny.

Chciał wyszukać dla siebie mały pałacyk, będący na sprzedaż, albo do wynajęcia.

Udał się na przedmieście św. Honorego.

Verdier, znający Paryż na palcach, wskazał mu tę dzielnicę, jako najmniej podlegającą dozorowi policji, bo mieszkają tu ludzie przeważnie bogaci i spokojni....

Godzinę przeszło chodząc po tej dzielnicy, Lartigues spostrzegł wreszcie na ulicy Tronchet tabliczkę z napisem:

„Do wynajęcia mały pałacyk, zgłosić się na ulicę Surennes nr."

— Takiby się przydał — rzekł wytrawny łotr do siebie.

Nie tracąc ani chwili, udał się pod wskazany numer.

Dom ten przy ulicy Surennes należał do tego samego właściciela, co i pałacyk przy ulicy Tronchet.

Stróż miał polecenie objaśniać wynajmujących.

Lartigues powiedział mu, że chce obejrzeć pałacyk....

Wyglądał bardzo poważnie, a prawdopodobieństwo otrzymania czegoś na wódkę widocznie nie było dla stróża bez ponęty, bo chętnie poszedł lokal pokazać.

Pałacyk, stojący między mikroskopijnem podwórzem i takiejże wielkości ogródkiem, był rzeczywiście bardzo mały.

Składał się z parteru i pierwszego piętra z tarasem włoskim, otoczonym balustradą.

Na parterze były tylko trzy pokoje i tyleż na pierwszem piętrze.

Kuchnia znajdowała się w suterenach.

Meble już stare — wyglądały jeszcze dobrze, lecz wcale nie okazale.

Ogródek, pomimo rozmiarów maleńkich, miał w sobie dwa bardzo ładne jawory, które dawały gęsty cień i łączyły swe liście z zie-

lenią wyniosłych drzew od ulicy Ville-d'Eveque, oddzielonego od ulicy Surennes parkanem sześć łokci wysokim.

W parkanie tym, bluszczem prawie w całości zakrytym, znajdowała się mała furtka, zabita okuciem żelaznem i opatrzona ogromnym zamkiem.

Obchodząc ogródek, żeby wszystko dokładnie zobaczyć. Lartigues zauważył tę furtkę i zatrzymał się przed nią.

— Tu furtka jest! — rzekł, podnosząc bluszcz, którego szerokie a lśniące liście stanowiły naturalną zasłonę.

— Tak ale zabita.

— Ba! Ale dlaczego była ta komunikacja pomiędzy tym domem a sąsiadem.

— Dla prostej bardzo przyczyny. Mój pan, właściciel tego pałacyku, w którym poprzednio mieszkał, ma jeszcze drugi dom przy ulicy Ville d'Eveque. Bardo naturalnie, kazał wybić tę furtkę, ażeby spacerować po ogrodzie. Kiedy wyjechał stąd, furtkę zabito i to tak mocno, jak pan widzi.

— A w tamtym domu kto mieszka?

— Pani Dubief,

— Któż to ta pani Dubief?

— Nauczycielka. Ma tam pensję dla młodych panien. O! pensja jej bardzo znana i elegancka. Najbogatsi rodzice oddają do niej swe córki.

— Mnie to nic nie obchodzi, bo córek nie mam. Czy, jeżeli się zgodzimy, będę mógł jeszcze dziś się tu sprowadzić?

— A dlaczegoby nie.

— Więc jaka cena komornego? — spytał Lartigues.

—Ośm tysięcy pięćset franków — odpowiedział stróż.

— To drogo.

— O! jak na ceny w tej dzielnicy — to prawie darmo.

— Opuszczą może pięćset franków.

— Na to niech pan nie liczy. Gospodarz jest bardzo bogaty i nie robi żadnych ustępstw.

— Ha! cóż czynić, to dam, ile żądają.

— Muszę pana uprzedzić, że gospodarz zechce spisać kontrakt.

— Myślałem, że z panem można się ułożyć.

— Ułożyć się można, ale nie ostatecznie.

— Gdzie mieszka właściciel?

— W domu przy ulicy Tronchet.

— To chodźmy do niego.

— Chce pan wynająć?

— Tak.

— To mogę zdjąć kartę?

— Może pan.

— Czy nie otworzyć okien dla przewietrzenia?

— I owszem, a jak się załatwię z gospodarzem, poproszę pana napalić we wszystkich pokojach.

— Dobrze.

— Odźwierny otworzył okna i zdjął kartę przybitą nad drzwiami od ulicy.

— Teraz zaprowadzę pana do właściciela — rzekł...

— Ale czy go zastaniemy?

— Jego zawsze można zastać. Cierpi podagrę i jeżeli nie leży, to siedzi na fotelu. Dziwne życie, jak dla takiego bogatego człowieka, nieprawdaż?

— Udali się na ulicę Tronchet.

— Właściciel, schorowany starzec, kilka miljonów posiadający, siedział, a raczej leżał w swym gabinecie, wyciągnąwszy nogę na poduszce przez kominkiem, na którym palił się tak suty ogień, że możnaby przy nim upiec całego wołu.

— Kontrakt chcę zrobić na trzy lata — rzekł, kiedy stróż objaśnił mu, o co idzie.

— Na lat trzy? — powtórzył Lartigues. — Czy to konieczny warunek?

— O! konieczny.

— Zgadzam się, kiedy nie można inaczej.

I dodał Lartigues, wyjmując z puligaresu bilety bankowe:

— Zapłacę panu za rok z góry.

W Paryżu płaci się za pół roku — odparł właściciel...

— Wiem, ale wolę zapłacić panu za rok. Podróżuję bardzo wiele i mogę nie być w Paryżu, kiedy nastanie czas płacenia, a byłoby mi bardzo nieprzyjemnie, gdybym na siebie ściągnął zarzut niepunktualności.

— Jak się panu podoba. Dam panu kwit i każę przygotować kontrakt, który podpiszemy jutro albo pojutrze. Przyślę go panu, jeżeli się pana zaraz sprowadzi.

— Sprowadzę się dziś jeszcze.

— Bardzo dobrze.

— Będzie pan łaskaw powiedzieć swe nazwisko.

— Jestem Walter van Broke.

— Holenderczykiem pan jesteś?

— Tak, a przytem dymisjonowanym kapitanem floty królewskiej.

— Jak pan pisze swe nazwisko?

Lartigues wyjął z kieszeni duży papier, złożony w ośmioro, rozwinął go i podał właścicielowi mówiąc:

— To mój paszport. Najlepiej odpowie on na pańskie pytanie.

Właściciel zanotował nazwisko i stan mniemanego Van-Brock, poczem dał kwit na ośm tysięcy franków.

Schowawszy paszport i kwit, Lartigues pożegnał gospodarza i wyszedł z odźwiernym, wsunąwszy mu do ręki pięć ludorów.

— Ślicznie dziękuję! — zawołał uradowany odźwierny. — Biegnę, jak pan kazał, napalić we wszystkich pokojach.

— A potem przynieście mi klucz od pałacyku; będę tam za dwie godziny.

— Dobrze, proszę pana.

Lartigues wsiadł do omnibusu, wysiadł zeń na placu Bastylji i pieszo udał się na kolej lyońską.

Tu zabrał pozostawione rzeczy, które z polecenia jego złożono na ławce, gdzie kładą pakunki przed braniem do ważenia. Potem poszedł, po karetkę, którą przyjechał na kolej.

Wróciwszy do sali, kazał posługiwaczowi kolejowemu przenieść rzeczy do karetki.

— To pan nie jedzie? — zapytał posługiwacz trochę zdziwiony.

— Przeciwnie, tylko co przyjechałem i zostawiłem tu rzeczy, a teraz je zabieram.

Posługacz spojrzał na walizy, z nalepionemi na nich jak najróżnorodniejszemi kartkami kolejowemi i słowa podróżnego wydały mu się prawdopodobnemi.

Zaniósł pakunki do karetki i otrzymawszy trzy franki na piwo ukłonił się do samej ziemi.

— Dokąd mam jechać? — zapytał woźnica.

— Ulica Bondy nr. 9.

W pół godziny karetka zatrzymała się przed otwartą bramą nr. 9.

Lartigues wysiadł i przy pomocy woźnicy zdjął walizy, które złożone zostały w bramie, a woźnica dostawszy hojną zapłatę, odjechał.

Mniemany Juljusz Termis od dawna znał ten dom. Wiedział, że stancja odźwiernego znajduje się na pierwszem piętrze i że nic nie przeszkodzi w wykonaniu planu, jaki sobie ułożył.

Opuściwszy hotel Niderlandzki, postanowił przeprowadzki swej tak dokonać, ażeby agenci policyjni nie mogli żadną miarą znaleźć jego nowego mieszkania.

Jak tylko woźnica znikł z oczu, Lartigues zawołał chłopca przechodzącego przez ulicę.

Sprowadź mi dorożkę, dostaniesz franka.

Chłopiec poleciał jak strzała na najbliższą stację dorożek.

W tejże chwili odźwierna zeszła ze schodów.

Zobaczyła pakunki w bramie i z ciekawością przystąpiła do stojącego obok nich nieznajomego.

— Pan tu do kogo przyjechał? — zapytała.

Przewidując pytanie, jakie zadane mu być może, Lartigues zawczasu przygotował odpowiedź i rzekł, wcale się nie zmieszawszy.

— Nie, tylko zdarzył mi się wypadek. Jechałem z rzeczami na kolej orleańską, woźnica, prawdziwe bydle, zaczął się ze mną kłócić w drodze, że tak daleko nie pojedzie. Znieść nie mogę kłótni

kazałem rzeczy tutaj złożyć i pierwszego lepszego chłopca tutaj przechodzącego posłałem po inną karetkę.

— Oj, ci dorożkarze! — zawołała odźwierna, machając rękami.

Zajechała karetka, sprowadzona przez chłopca, który też dostał obiecanego franka, i wesoło pośpiewując sobie, pobiegł dalej.

Odźwierna, silna baba, pomogła włożyć rzeczy na kozieł karetki Nieznajomy wsiadł, hojnie obdarzył uczciwą niewiastę i rzekł: do woźnicy:

— Na ulicę Tronchet.

— Który numer?

— Stańcie na rogu ulicy.

Woźnica zatrzymał się we wskazanem miejscu.

Lartigues poszedł do odźwiernego po klucz od pałacyku.

Była tylko odźwierna.

— Mąż nie wrócił jeszcze? — zapytał Lartigues.

— Nie, mówił, że nie można domu bez nikogo zostawić, bo w piecach się pali. Tyle teraz pożarów. Czeka na pana na ulicy Surnnes!

Lartigues powrócił do czekającej karetki, która w trzy minuty później zawiozła go do nowego mieszkania.

Wysiadł z karetki i zadzwonił.

Odźwierny otworzył drzwi od ulicy, wziął pakunki i przeniósł je do pałacyku.

— Może panu pościel posłać i wszystko uporządkować? — zapytał.

— Nie trzeba.

— Ale przecie pan sam nie będzie sprzątał pokoi.

— Naturalnie, czekam właśnie na lokaja, którego ma przysłać mi jeden z przyjaciół.

Odpocząwszy trochę, Lartigues poszedł do Verdiera, ażeby dać swój adres.

— No, a gdzież mój lokaj? — spytał go, przyszedłszy

— Będzie u ciebie o godzinie siódmej.

— Mogę mu zaufać?

— Jak mnie samemun.

— Nie jest ciekawy?

— Skromność uosobiona.

— Nie lubi gadać?

Gdzie tam niemowa!

— To dobrze. Będę o siódmej na ulicy Surennes. Jesz zemną obiad w restauracji?

— Nie. Bardzo ważną jest rzeczą, ażebyś nas nigdy nie widziano razem. Kiedy będziesz chciał ze mną mówić, przychodź tu do mnie i odwrotnie, ja przychodzić będę do ciebie.

— Zgoda.

— Do widzenia.

— Do widzenia.

Wspólnicy uścisnęli sobie ręce i rozstali się.

O trzy kwadranse na siódmą Lartigues, zjadłszy obiad w restauracji, powrócił do domu.

Miniuty jeszcze brakowało do siódmej, gdy ozwał się dzwonek.

Nowy lokator pałacyku otworzył drzwi i zobaczył człowieka przyjemnej powierzchności, w ubraniu lokaja z mieszczańskiego domu.

Podał on Lartiguesowi tabliczkę, na której napisane było szyfrem.

„Nazywam się Dominik. Głuchy nie jestem, tylko niemowa. Przysyła mnie pan opat Meriss do pana Van-Broke na służbę za lokaja i będę starał się mu dogodzić.

— Wejdź, Dominiku i weź się do swej roboty — rzekł Lartigues, przeczytawszy, co było napisane.

Dominik, lat trzydziestu, niemowa od urodzenia, pojęty był, pracowity a prócz tego odznaczał się niezwykłą siłą muskularną.

Nowy pan jego w kilku słowach powiedział mu, co ma robić.

Lokaj odpowiedział na migi, że zrozumiał, odwiązał walizy, rzeczy poukładał w szufladach komód i pozawieszał, włożył drewek do ognia na kominku i zapytawszy zr[illegible]a na migi:

— Czy panu jestem niepotrzebny! — odszedł do swego pokoju, otrzymawszy od pana potwierdzającą odpowiedź.

O godzinie dziesiątej wieczorem kapitan Van-Broke położył się spać, chcąc już odpocząć, czego tak bardzo potrzebował po dniu pełnym wszelakiego rodzaju wzruszeń.

U Brebanta.

O wpół do ósmej wicehrabia Guy d'Arfeuille udał się do restauracji Pawła Brebant, znanej całemu światu bulwarowemu pod nazwą „Restauracji literackiej".

Możnaby śmiało powiedzieć „i sztuk", ponieważ artyści, zarówno jak literaci stałymi gośćmi są tej restauracji, ulubionej również przez modnisiów, giełdzistów, piękne damy, słowem — przez cały Paryż.

D'Arfeuille przystojnym był młodzieńcem lat dwudziestu ośmiu czy dziewięciu; znano go dobrze w świecie, nie opuszczał wyścigów konnych nigdy, ani pierwszego przedstawienia, pochodził z arystokratycznej rodziny, wychowany bardzo starannie, uczciwy, dostatecznie bogaty, dużo wydający na swoje przyjemności, ale nie tyle, ażeby się mógł zrujnować.

W restauracji zamówił obiad na dwanaście osób.

Wszystko było w porządku. Wino bordo grzano, Szampan mrożono.

Wszędzie były kwiaty.

Sto świec w dziesięciu kandelabrach przyświecało na białych obrusach saskim kryształom i srebru.

Wybiła ósma.

Przyjechały dwie osoby, potem jeszcze dwie, potem trzy.

Guy d'Arfeuille przyjmował bardzo uprzejmie, z wytworną grzecznością.

W liczbie pierwszych przybył Maurycy.

Jako współpracownik satyrycznego, a przedewszystkiem skandalicznego dziennika, zaraz zwrócił na siebie uwagę pań obecnych, pragnących się dowiedzieć nowinek, a zwłaszcza pieprznych.

Maurycy nie bez dowcipu opowiedział im wiele rzeczy ciekawych.

Wszyscy czekali na młodego Rosjanina, który był bohaterem bankietu, ponieważ Guy d.Arfeuille wydawał obiad na jego cześć, czekano jednak bez najmniejszej niecierpliwości, racząc się tymczasem przekąskami, zastawionemi na stoliczkach z wódką.

Oktawja przybyła pod rękę z człowiekiem, o którym już słyszeliśmy, z Lamouroux, dymisjonowanym podoficerem kawalerji, nauczycielem fechtunku i boksowania.

Rysy miał człowiek ten dość ordynarne, cerę smagłą, bardzo gęste czarne włosy, wąsy sumiaste, także czarne, wysmarowane szczodrze pomadą węgierską i jakby dzielące twarz na dwie połowy.

Wstążeczka orderu wojskowego widniała w pętelce u fraka.

Szerokie szarawary układały się długiemi fałdami na butach lakierowanych, ozdabiających jego dość zgrabne nogi.

Przystojny był rzeczywiście, ale brakowało mu dystynkcji, a ruchy miał tak swobodne i wszelkiej elegancji pozbawione, że dziwną wydawała się jego obecność wśród wykwintnego otoczenia, w jakiem go znajdujemy.

Kłaniając się uprzejmie, wyrzekł dobitnie: przyprowadzam panom najpiękniejszą z pięknych.

Mężczyźni klaskali w ręce, ale kobiety kręciły się, tytuł najpiękniejszej z pięknych stawił je jakoś niżej, na co żadną miarą przystać nie chciały.

Maurycy bacząc na siebie, w wiadomym nam celu, przywitał swą przyjaciółkę tylko sztywnem uściśnieniem ręki i obojętnem spojrzeniem.

Oktawja powiodła oczami dokoła i widząc tylko znajome twarze, spytała:

— No, a ten grand? Zdaje mi się, że była mowa o grandzie.

— Cóżeś z nim zrobił, d'Arfeuillu

— Powinienby już być tutaj — odpowiedział wicehrabia — niepokoi mnie jego nieobecność i jeżeli za pięć minut nie przybędzie, poślę po niego.

Jednakowoż uczynić tego d'Arfeuillt nie potrzebował, drzwi od salonu otworzyły się i na progu ukazał się młody człowiek, powierzchowności arystokratycznej i nieskazitelnej wytworności.

Wicehrabia żywo podszedł ku niemu.

— Jak się masz, kochany hrabio — rzekł, ściskając go za rękę — jak się masz?

A zwracając się do Oktawji, stojącej obok Maurycego, dodał:

— Kochana Oktawjo, pozwól przedstawić sobie hrabiego Iwana Smoiłowa, mego przyjaciela, a twego zapalonego wielbiciela.

XXXI.

IWAN SMOIŁOW.

Hrabia Smoiłow mógł mieć lat około dwudziestu pięciu.

Wysoki był, szczupły, a twarz jego otoczona jasnemi włosami i faworytami, miała rysy niezwykle regularne i niezrównaną dystynkcję.

Oczy ciemno-niebieskie, prawie czarne, śliczne były i bardzo łagodne, chociaż zasłaniały je nieco binokle, które nosił ciagle, dla słabego wzroku.

Oktawja ukłoniła się i podała hrabiemu rękę, który ujął ją i przycisnął do ust tak namiętnie, że nowy uśmiech przebiegł po ustach młodej kobiety.

D'Arfeuille przedstawił hrabiego innym osobom, a gdy wszystkich obeszli, Rosjanin powrócił do Oktawji.

— Czy uwierzy mi pani — odezwał się akcentem cudzoziemskim — gdy powiem, że chwilę tę uważam za najszczęśliwszą w całem mem życiu?

— Za najszczęśliwszą w życiu pańskiem? — powtórzyła kobieta z udanem zdziwieniem.

— Tak.

— A to dla czego?

— Bo z panią jestem.

Oktawja wybuchła metalicznym śmiechem.

Nie mogę uwierzyć — rzekła następnie.

— Wątpi pani memu słowu? — zawołał hrabia.

— Jak najzupełniej, a gdybym uwierzyła, panie hrabio, czyżbyś nie mógł mnie poczytać słusznie za szaloną?

Pan ze mną nie możesz być szczęśliwym.

Poznałeś mnie pan dopiero przed pięciu minutami.

— Jestem w Paryżu dopiero od tygodnia — odpowiedział Iwan — a widziałem panią już trzy razy.

— Doprawdy?

— Słowo honoru!

— Za pierwszym razem zachwycałem się panią, za drugim razem pokochałem panią.

— Tak?

— Pani wie, że czasem dość jednej iskry, ażeby wzniecić pożar, a jednego spojrzenia, ażeby serce rozgorzało.

Za trzecim razem, gdy spotkałem panią, już uwielbiałem.

— A za czwartym razem, to jest dzisiaj — spytała młoda kobieta tonem, wciąż z lekka drwiącym — za czwartym razem co się stało?

— Stało się to, żem zmysły przez panią stracił i jestem pani zupełnym niewolnikiem.

— E! Niewolnictwo w Europie zniesione!

— Tak, ale ja chcę zachować swe więzy! A pani chce zostać moją władczynią?

— Przyjaciółką... to bardzo poważne pytanie — trzeba pomyśleć, później pomówimy o tem.

A słowa te wymówiła kobieta z wiele obiecującym uśmiechem.

Maurycy ukradkiem przypatrywał się Oktawji.

— Zręczna, co się zowie — pomyślał — postrzeliła Rosjanina i zrobi z niego wszystko, co zechce, ale jednak nie męża.

Damy po cichu wypytywały o majątek hrabiego i dowiedziawszy się, że ma z tuzin miljonów, zazdrosnem okiem patrzyły na Oktawję, i szczęśliwą rywalkę brały na języczki.

Starszy garson uroczyście oznajmił, że podają obiad.

— Czy wszyscy już są? — zapytał d'Arfeuille.

— Nie ma jeszcze Paskala — odpowiedziała Adela de Sivrac.

— Paskal Landilly bardzo jest miły, ale prawdziwe z niego uosobienie niepunktualności — odpowiedział wicehrabia — weźmiemy się do niego, gdy przyjdzie. Przytem sam już będzie w rozpaczy, że panie przez niego czekały. Chodźmy do stołu.

Każdy z gości wicehrabiego, podał ramię jednej z dam i wszyscy parami przeszli do obsbernej sali, gdzie stół był nakryty, i usiedli, jak się komu podobało.

Zbytecznem, zdaje się, będzie nadmieniać, że hrabia Iwan, usadowiony naprzeciw gospodarza, miał za swą sąsiadkę Oktawję.

Początek obiadu mija zwykle w milczeniu.

Każdy, głodny jeszcze, zajmuje się ostrygami, pasztecikami i

zupą. Tu było tak samo, ale okres milczenia niedługo trwał jednak, ożywienie budzić się prawie poczęło dzięki kieliszkom wina i pojedyńcze rozmowy przyłączyły się do ogólnych.

O trzy kwadranse na dziewiątą barona Paskala de Landilly ieszcze nie było.

Musimy dodać, że tylko jedna Adela brak ten odczuwała.

Nareszcie drzwi od sali otworzyły się.

Ukazał się Paskal — rzec możnaby zmarznięty. Na głowie miał kapelusz.

Chude ciało jego osłonięte było paltotem futrzanym, a twarz znikała prawie pod ogromnym szalem. Nieodłączny monokl sterczał w prawem oku.

Powitał go ogólny okrzyk, przerwany głośnym śmiechem.

— A chodźże ty maruderze! — zawołał do niego d'Arfeuille. — Przestaliśmy już na ciebie czekać. Cóż u licha tak się spóźniasz? Zaraz ci przyniosą ostryg!

Paskal ściągnął szal, pod którym znikała większa część jego twarzy, machnął prawą ręką jak przy pływaniu, zakaszlał dwa razy i odpowiedział słabym głosem:

— Miljonkroć przepraszam szanowne panie i panów. Spóźniłem się bardzo. Wiem o tem, ale są okoliczności łagodzące winę i gdy się dowiecie państwo, dla czego się spóźniłem, nie będziecie się gniewali, ale dziwili.

Mówiąc to, Paskal oddał służącemu kapelusz, szal, paltot i pozostał w czarnym fraku i białym krawacie.

Baron tak nadużywał życia paryskiego i rozkoszy, że z prowincjonalnego zdrowia pozostał tylko cień...

Przerażająco był chudy. Czerwone plamy krwawiły zapadłe i blade policzki. Oczy sina okrążała obwódka, słowem wyglądał nad wyraz opłakanie.

Co minuta suchy kaszel przerywał jego słowa.

Dość było spojrzeć na niego i posłuchać, a najwyżej możnaby mu dać jeszcze dwa tygodnie życia, co jemu nie przeszkadzało jednak twierdzić, że jest bardzo silnym.

— Cóż się tak dziwnego stało, baronie? — zagadnął go Maurycy.

— Może pojedynek pan ma? — żywo spytał Lamouroux. — To sobie popracujemy razem jutro. O! nauczę pana komandorskiego pchnięcia — coś w swoim rodzaju zdumiewającego!

Paskal kaszlnął, a potem odrzekł:

— Nie idzie tu o pojedynek.

— A o co?

— O zbrodnię, a raczej o dwie zbrodnie!

— O dwie zbrodnie! — powtórzyło kilka głosów koło stołu.

— Tak, moi drodzy, zdarzyło się coś osobliwszego i strasznego, coś potwornego, znam się przecież na tem. Komu gilotynowano

przyjaciela, pamiętacie w Melun, tego biednego Fabrycjusza Leclerca, strasznego łotra zresztą, ale pysznego chłopca, ten musi znać się na zbrodniach. Wiecie, państwo, to wielki szyk mieć gilotynowanego kolegę.

Maurycy Vasseur drgnął mimowolnie i twarz mu trochę pobladła.

Z łatwością domyślił się, o czem będzie mowa.

— No, Paskalu, przystąpże już do rzeczy! — zawołał amfitrjon. — Widzisz, że panie się niecierpliwią.

Maleńki baron mówił dalej:

— Zaczynam. Historja tego rodzaju. Piłem poncz rzymski w kawiarni Rozmaitości, i już miałem pójść do was, moi drodzy, kiedy moją uwagę zwróciło kilka wyrazów, wymówionych przez dwóch jakichś facetów, obok mnie siedzących. Zacząłem się przysłuchiwać i zostałem.

— Cóż to było tak ciekawego, o czem mówili?

— O podwójnej zbrodni.

— Gdzie i kiedy?

— W Paryżu, dzisiejszej nocy. Dziś zrana przy ulicy Ernestyny w karecie do wynajęcia znaleziono trupa zabitego człowieka, a w grobowcu pewnej rodziny rosyjskiej na cmentarzu Pere Lachaise zwłoki kobiety, także zamordowanej.

Usłyszawszy to ostatnie zdanie, hrabia Iwan zajęty czułą rozmową z Oktawją, nagle podniósł głowę, a dreszcz przebiegł po jego ciele.

— Na cmentarzu Pere Lachaise! — zawołały, kobiety przerażone.

— W grobowcu! czy być może! — zawołała, wzdrygając się czarująca Oktawja.

— Tak — powtórzył Paskal de Landilly. — W grobowcu, nieprawdaż, że to zdumiewające?

Maurycy wyglądał na roztargnionego, ale słuchał, zmarszczywszy brwi.

— Zdaje się, powiedział pan, że w grobowcu pewnej rodziny rosyjskiej? — spytał hrabia Iwan.

— Tak.

— Czy panu wiadomo, jak się ta rodzina nazywa?

Paskal potrząsnął głową.

— Nazwiska nie wymieniono — odpowiedział.

XXXII.

— Wiesz co, kochany Paskalu — odezwał się wicehrabia d'Arleuille — twoje opowiadanie wygląda na bajeczkę. Zanadto dramatyczne, ażeby mogło być prawdopodobnem.

— Wcale nie — zaprotestował baron. — Wątpić nie trzeba. Ci, co rozmawiali przy mnie, najdrobniejsze podawali szczegóły.

— No, to powinno być o tem w gazetach wieczornych.

— Bardzo być może, że jest.

— To się zaraz przekonamy.

Kazano garsonowi przynieść jakąbądź gazetę i podał za chwilę dziennik „France“.

D'Arfeuille rozłożył go i przebiegł oczyma.

— Jest — odezwał się.

I przeczytał głośno następującą wiadomość:

„Zbrodnia na cmentarzu Pere-Lachaise.

Podwójne morderstwo.

„Nocy dzisiejszej w Paryżu popełnioną została podwójna zbrodnia, tem straszniejsze, że tajemnicza.

„Dziś z rana, kiedy robotnicy kamieniarscy przechodzili przez cmentarz Pere-Lachaise, ze zdziwieniem ujrzeli krew pod drzwiami żelaznemi grobowca pewnej rodziny rosyjskiej i w grobowcu tym zobaczyli kobietę, zabitą sztyletem, a jednocześnie prawie stajenny u wynajmującego powozy przy ulicy Ernestyny znalazł w karecie, która powróciła w nocy, trupa zamordowanego człowieka.

Zawiadomieni natychmiast urzędnicy sądowi i policja udali się w te dwa miejsca.

Z podwójnego śledztwa, umiejętnie poprowadzonego, okazało się, że podwójna zbrodnia popełnioną została przez jednego i tego samego złoczyńcę.

Niezbite poszlaki naprowadzają na ślad zbrodniarza, który niebawem znajdzie się w ręku sprawiedliwości.“

Gdy to czytano, Maurycy czuł, że zimny pot występuje na jego czoło, a oddech zapiera się w gardle, żelazną miał jednak wolę i dzięki swej energji zdołał ukryć przed wszystkiemi wzruszenie, które go mogło zdradzić.

— Czego mam się bać? — pytał sam siebie, odzyskując stopniowo zimną krew. Niezawodnie niczego.

Te poszlaki, o których mówią, nie istnieją wcale. Nic zdradzającego nie zostawiłem. Nie podobna wpaść na ślad.

— No i cóż, nie wierzycie jeszcze, moi drodzy? — zawołał Landilly triumfująco. — Widzicie, że miałem słuszność, i że opowiadanie moje było najdokładniejszem powtórzeniem nieskazitelnej prawdy.

— Nikt ani myśli przeczyć temu, kochany baronie — odpowiedział hrabia d'Arfeuille — lepiejbyś jednak uczynił, gdybyś to opowiadanie zachował dla siebie. Na paniach sprawiło ono bardzo przykre wrażenie. Co nam do zbrodni, rzeczywiście strasznych, kiedy ofiar ich nie znamy? Morderce złapią, sądzić będą, osądzą, gilotynowany będzie, na co zasłużył, i wszystko dziać się będzie jak najlepiej na tym najlepszym z światów... Pal djabli smutne wy-

padki! Wypijmy za zdrowie hrabiego Iwana i bądźmy weseli.

Mowa ta spodobała się gościom d'Arfeuilla.

Wypito na zdrowie rosyjskiego hrabiego, pragnącego przemienić się w paryskiego bulwarowca, a który przed kilku chwilami trochę ponury i zasępiony, odzyskał znów zwykły wyraz twarzy i odpowiadał grzecznie na toasty, jakie na jego cześć wznoszono.

Przytem Oktawja nie pozwalała mu się zajmować smutnemi myślami.

Usidlała go ze zręcznością kobiecą i starała się rozdmuchać ogień, jaki, czego była pewną, rozniecila w jego sercu.

Obiad stał się szalenie wesołym.

O drugiej zrana, kiedy przeszli biesiadnicy do salonu, gdzie do gry przygotowano stoliki, niektórym gościom Guya d'Arfeuilla plątały się już języki, oczy błyszczały, a stąpali jakby na pokładzie podczas kołysania się okrętu.

Partja bakkara była ożywiona, jak zwykle wśród ludzi w humorze różowym.

Przegrana wynosiła około stu tysięcy franków.

Walka skończyła się dopiero o godzinie piątej z rana.

Maurycemu szczęściło się ciągle, wygrał dwanaście tysięcy franków.

— Pozwoli pani, że ją odwiozę? — spytał hrabia Oktawję, kiedy gra się skończyła.

Goście zaczęli się rozjeżdżać.

— Nie... nie dzisiaj, kochany hrabio — odezwała się kokietka.

— Gdzie panią zobaczę?

— Nie wiem.

— A ja wiem. Dzisiaj wieczorem, tutaj.

Oktawja chciała odpowiedzieć, ale ją hrabia uprzedził.

— Łaskawe panie i panowie! — odezwał się cudzoziemskim akcentem, który czynił mowę jego oryginalną — przyjaciel mój hrabia d'Arfeuille uczynił mi zoszczyt, że mnie przedstawił państwu i za to będę mu zawsze wdzięczny. — Dzięki jego uprzejmości spędziliśmy kilka godzin, które wydawały mi się czarownemi i które też spieszę wznowić. Pozwólcie mi państwo, że z gościa zostanę gospodarzem; zróbcie mi ten zaszczyt, szanowni państwo i przyjedźcie do mnie dzisiaj o ósmej, tutaj z góry zastrzegam, że odmowa doprowadziłaby mnie do rozpaczy.

Odmowy nie było się czego lękać. Zaproszenie hrabiego przyjęto jednogłośnie.

Przed odejściem Oktawja szepnęła Maurycemu do ucha:

— Przyjadę do ciebie o piątej.

— Dobrze.

Wicehrabia d'Arfeuille i hrabia Iwan ostatni pozostali sami w pustym salonie.

— No, pan się już całkiem zapalił do Oktawji? — rzekł Francuz do Rosjanina.

— O, niech pan tego nie myśli! — odpowiedział hrabia.

— A jednak chciał pan być jej przedstawionym, a tu zachowywał się pan, jak prawdziwy wielbiciel.

— Rzeczywiście. Oktawja śliczna dziewczyna. Podoba mi się, jak ładna kamelja. Ale kamelję zrywa się, lecz jej się nie kocha.

Młodzi ludzie wyszli razem na bulwar Poissonniere i tam rozstali się.

Hrabia wsiadł do karety, która całą noc na niego czekała i kazał się zawieźć do Hotelu Wielkiego, gdzie tymczasowo mieszkał.

Rozbierając się i kładąc do łóżka, myślał nie o pięknej Oktawji, lecz o opowiadaniu barona Paskala de Landilly i o tem, co donoszono w gazecie „France", a co sprawiało na nim tak silne wrażenie, o przyczynie którego dowiemy się niebawem.

Zasnął, zamierzając tegoż dnia jeszcze pojechać na cmentarz Pere Lachaise dla powzięcia bliższych wiadomości.

Sen miał niespokojny.

Śniły mu się okropne rzeczy, jakieś krwawe widziadła.

Maurycy z kieszenią napchaną biletami bankowemi uważał za konieczną ostróżność powrócić doróżką na ulicę Navarin.

W drodze mówił do siebie:

— O! policja twierdzi, że wpadła na ślady zabójcy! i są ludzie, którym dość to powiedzieć, aby uwierzyli.

Głupcy! takie frazesy dobre tylko dla naiwnych!

Szukajcie, szukajcie, moi kochani, zwierzyna od was mądrzejsza!

Nie upolujecie nic i z pustą torbą powrócicie do domu!

Maurycy upadał ze znużenia.

W dwie minuty po położeniu się do łóżka spał twardym snem.

XXXIII.

W tymże dniu, tak pełnym wrażeń, kiedy odkryte zostały dwie zbrodnie przy ulicy Varennes stało się także coś, w innym wprawdzie rodzaju, co niemniej ważnem jest dla naszego opowiadania.

W pośrodku ulicy tej wznosił się i do dziś dnia wznosi się jeszcze niewielki dom jednopiętrowy.

Pierwsze piętro całe zajmowała sypialnia i pracownia, oświetlona dużem, półokrągłem oknem.

Pracownia należała do Gabrjela Servet, znanego już artysty i prawdopodobnie będącego na drodze do rozgłośnej sławy.

Na ścianach, pokrytych gobelinami lub dywanami flandryjskiemi, wisiały obrazy najznakomitszych artystów, różne okazy broni z rozmaitych epok i krajów, tudzież najróżnorodniejsze instrumenty muzyczne, a na półkach stały kosztowne porcelany i fajanse, japońskie i chińskie.

Meble najznakomitszego smaku, a rozmaitego stylu, manekiny i kostjumy zapełniały pracownię w zabawnym i malowniczym nieładzie.

Na trzech stalugach spoczywały szkice portretów i krajobrazów. Na czwartej staludze widać było obraz prawie już skończony. Prześlicznie wykonany, ale niezmiernie smutny, przedstawiał dwie kobiety, jedną bardzo jeszcze młodą, bladą, wątłą, prawie umierającą na łożu choroby; wyciągała ona chudą rękę, niemal przeźroczystą, po szklankę, którą podawała jej druga kobieta, siostra miłosierdzia, przy posłaniu stojąca.

Opłakane wnętrze poddasza, białe łóżko drewniane, okno bez firanek, podłoga ordynarna — brak najniezbędniejszych sprzętów, wszystko znamionowało straszną nędzę.

Twarz chorej wyrażała cierpienie i poddanie się losowi zupełne.

Oblicze siostry miłosierdzia tchnęło łagodnością i dobrocią.

Gabrjel Servet, sam w pracowni siedział przed stalugami, w lewej ręce trzymając paletę, a w prawej pędzel i pracował nad obrazem, który przeznaczył na wystawę.

Kończył szerokie fałdy u pospolitego ubrania siostry miłosierdzia, gdy dzwonek odezwał się u drzwi od ulicy, zwiastując wizytę przyjaciela lub przyjście ucznia.

Nie przerywając roboty, malarz pociągnął za sznurek, przeprowadzony tak, jak u odźwiernego.

Zaraz na schodach dał się słyszeć odgłos szybkich i lekkich kroków.

Drzwi od pracowni otworzyły się i wszedł młody człowiek.

Mógł mieć lat około dwudziestu.

Był to młodzieniec przystojny, zgrabny, średniego wzrostu.

Włosy miał kasztanowate i kędzierzawe — cerę matową i pozłocistą, jak u arlezjanki, nad górną wargą jasne, jedwabiste wąsiki szare, a stalowe oczy harmonizowały z całą fizjonomją i patrzały szlachetnie.

— Dzień dobry, memu mistrzowi! — odezwał się, podchodząc do Gabrjela.

Malarz podniósł głowę i wyciągnął rękę mówiąc:

— Jak się masz, kochany Albercie. Spóźniłeś się dzisiaj, zapewne byłeś na prelekcji w szkole prawnej?

Nie. Dzisiaj prelekcja jest dopiero o godzinie drugiej.

A dla czego nie przyszedłeś wcześniej?

Odprowadzałem ojca do sądu.

Właśnie powierzono mu śledztwo w pewnej bardzo dziwnej i tajemniczej sprawie. Opowiadanie to tak mi się wydawało dziwnem, że nie mogłem się go dość nasłuchać.

— Cóż to za sprawa?

— Podwójna zbrodnia, spełniona przy okolicznościach podobnych do dramatu lub romansu.

— Rzeczywiście?

— Osądź pan sam.

I młodzieniec powtórzył, co ojciec jego, sędzia śledczy, Paweł de Gibray, opowiedział mu o zabójstwie przy ulicy Ernestyny i na cmentarzu Pere Lachaise.

Malarz słuchał z nadzwyczajną uwagą, a od czasu do czasu dreszcz zgrozy przebiegał mu po ciele.

— O! o! — rzekł, kiedy skończył jego uczeń. — Rzeczywiście, to coś tajemniczego i strasznego! Śledztwo zapewne niemałym kłopotem będzie dla pańskiego ojca; ale on doświadczony, zręczny, wytrwały i nie wątpię, iż sprawa ta okryje go chlubnym rozgłosem.

— I ja także spodziewam się tego — odpowiedział Albert, zdejmując paltot i kładąc na siebie czarny żakiet aksamitny, który zostawiał w pracowni.

— Ojciec musi być bardzo zajęty? — odezwał się Gabrjel Servet.

— Nadzwyczaj. Pan wie, że on sędzia od stóp do głowy i że z prawdziwą namiętnością śledzi zbrodnie. Pojmuje bardzo dobrze trudności w tej sprawie, ale go to nie zniechęca.

— Jeżeli mu się nie uda, to chyba już nikomuby się nie udało. Ale da sobie radę.

W czasie rozmowy tej syn sędziego śledczego usiadł przy jednej ze stalug i rozcierał farby na palecie.

— Czy mam dalej malować ten krajobraz? — zapytał.

— Naturalnie.

— Może ma pan jakie uwagi do uczynienia?

— Żadnych.

— Mów, kochany mistrzu. Słuchać będę z wdzięcznością i postaram się z twych rad skorzystać.

Gabrjel Servet wstał na kilka minut od obrazu, którego przedmiot opisaliśmy, stanął przy uczniu swym i wypowiedział uwagi swe i rady wyrażeniami technicznemi, które uważamy za niepotrzebne powtarzać.

— Zrozumiałeś? — zapytał.

— Zrozumiałem i postaram się tego dowieść.

Nauczyciel wrócił znów na swe miejsce, ujął za pędzel i zabrał się gorąco do roboty, a uczeń także pracował przy nim.

Przez kilka minut nikt z nich nie mówili ani słowa. Albert de

Gibray był młodzieńcem, obdarzonym naturą nietuzinkową i wyjątkowym umysłem.

Dziewiętnaście lat mając, ukończył nauki klasyczne ze złotym medalem. Teraz uczęszczał na wydział prawny, ale nie od niechcenia, lecz z zamiłowaniem, bo obierał sobie zawód adwokacki i chciał jaśnieć w pierwszym szeregu.

Hulaszcze życie studentów jego kolegów nie miało dlań żadnego powabu.

Nigdy nie włóczył się po knajpach, ani po balikach. Przekładał po nad nie artystyczne rozkosze i wolne godziny poświęcał pracy około sztuk pięknych.

— Będę adwokatem — mówił do siebie — ale jednocześnie będę malarzem, jedno nie przeszkadza drugiemu.

W ten sposób będę miał dwie cięciwy, zamiast jednej. Fortuna kapryśną bywa.

Gibray niezmiernie kochał syna, który mu się też wywzajemniał takiem samem uczuciem.

Jednakże mieli radości i smutki jednakie.

Ojciec był niepocieszony po stracie swej ukochanej żony, a syn, chociaż bardzo mało pamiętał matkę, bo umarła, gdy kilkoletniem był dzieckiem, zachował dla niej w sercu drogie i święte wspomnienie.

Ojciec z synem nie rozstawali się nigdy. Mieszkali z sobą razem przy ulicy Regue.

Podczas gdy artysta i uczeń pracowali, odezwał się dzwonek.

— Ktoś z gości — rzekł Gabrjel.

— Może amator jaki przyszedł zamówić u pana obraz — dodał Albert z uśmiechem.

Malarz pociągnął za sznurek, otwierający drzwi od ulicy, o którym już mówiliśmy.

Na schodach nic nie było słychać i dzwonienie rozległo się znowu.

— Z pewnością gość jakiś, bo nie zna naszych obyczajów i nie śmiał wejść, nie będąc proszonym — odezwał się Gabrjel — zobacz, kto to taki.

— Zaraz.

Młodzieniec położył paletę i pędzle i wyszedł prędko z pracowni.

Wrócił za kilką minut z mężczyzną pięćdziesięcioletnim i młodem dziewczęciem, najwyżej ośmnastoletniem.

Młode to dziewczę, blondynka, o niebieskich oczach, zgrabne i pełne wdzięku, było iście czarujące.

Towarzysz jej, tłuścioch co się zowie, miał twarz ceglastej cery, a szyję krótką, do apopleksji podatną. Dystynkcji w nim zgoła nie było.

Ruchy jego jednak i sposób, w jaki się ukłonił, dowodziły obycia się ze światem, a oczy wyrażały rozum.

— Czy mam zaszczyt mówić z panem Gabrjelem Servet, znakomitym artystą? — zapytał gość.

— Jestem Gabrjelem Servet — odpowiedział artysta z uśmiechem — ale nie mogę przyjąć zbyt pochlebnego tytułu, jaki pan dodaje do mego nazwiska.

Podał krzesła i mówił dalej:

— Szanowni państwo może raczą usiąść.

Tłuścioch nie dał się drugi raz prosić i usiadł.

Młoda dziewica także usiadła, nieco się zarumieniwszy od pałającego spojrzenia, jakie skierował na nią Albert de Gibray.

Gabrjel mówił dalej:

— A teraz może państwo będziecie łaskawi powiedzieć, czemu zawdzięczać mam ich przybycie

XXXIV.

— Sprowadza mnie rzecz bardzo prosta — odpowiedział gość — i przekonany jestem, że się pan już domyślił. Chciałbym mieć portret mej córki i chciałbym, żeby był doskonałym i dla tego udaję się do jednego z młodszych artystów naszych, którego talent nie ulega wątpliwości, a powodzenie zasłużone jest zupełnie.

Gabrjel skłonił się i nic nie odpowiedział. Te pochwały bezpośrednie pochlebiały mu oczywiście, ale zarazem mieszały go trochę.

Albert de Gibrey usiadł przed stalugami swemi, ponieważ jednak miał naprzeciw siebie młode dziewczę, nie spuszczał z niego oczu, a pędzel jego próżnował.

— Nic pan nie mówi — rzekł otyły jegomość po chwili — czy dla jakiej przyczyny nie może pan przychylić się do naszej prośby?

— Pan nas nie zechce zmartwić, nieprawdaż? — dodało dziewczę głosem łagodnym, prawie błagalnym. — Ojciec i ja tak byśmy się szczycili pańskiem dziełem.

— Nie, wcale się nie waham — odpowiedział Gabrjel. — To prawda, że obciążony jestem robotą w tej chwili, ale wszystko odłożę dla odtworzenia na płótnie szlachetnych rysów pańskiej córki. Taki wzór tylko do arcydzieła się nadaje i wielkie to szczęście dla malarza.

— Więc się pan zgadzasz? — żywo zapytała młodziutka blondynka.

— I owszem.

— O! dziękuję panu, tysiąc razy dziękuję! Portret ten przeznacza ojciec jako niespodziankę dla swej siostry, którą całą duszą kocham — bo prawie zastępuje mi matkę. Ona mnie tak kocha. Toż to dopiero cieszyć się będzie.

— Powtarzam państwu, że pozostaję w zupełności do ich usług. I zwróciwszy się do tłuściocha, dodał:

— Może się wydam panu zanadto wymagającym?

— Jeśli o cenę chodzi, racz pan mi oznaczyć sumę — odpowiedział gość — z góry przystaję. Jakkolwiekbądź będzie, zawsze pozostanę panu wdzięczny i zaraz...

Wyjął z kieszeni gruby pugilares, wypchany biletami bankowemi. Gabrjel Servet powstrzymał go.

— Myli się pan — odrzekł — kiedy mówiłem o wymaganiach, nie miałem na myśli pieniędzy.

— Tylko co?

— Córka pańska będzie musiała przyjeżdżać tutaj. Nie mogę do państwa przenosić wszystkiego, co mi będzie potrzebne, a i światła nie będę miał tam tak dobrego, jak w mej pracowni.

— Tylko to? Bardzo to naturalne, co pan nazywa swemi wymaganiami i wcale mnie nie dziwi. Ja sam byłem budowniczym, zatem także artystą do pewnego stopnia i bardzo dobrze pojmuję, że talent pański wymaga otoczenia, do jakiego pan przywykł. Myślałem już nawet o tem, że jeżeli zgodzi się pan malować portret, potrzeba będzie, aby córka przyjeżdżała do pańskiej pracowni.

Gdy wymieniali między sobą te wyrazy, Albert de Gibray wciąż zachwycał się ukradkiem pięknem dziewczęciem, którego wdzięk czarujący wprawiał go w upojenie.

Kiedy tłuścioch powiedział: „Myślałem już nawet, że jeżeli zgodzi się pan malować portret, potrzeba będzie, ażeby córka przyjeżdżała do pańskiej pracowni“ — poczuł, że serce mu zabiło niezwykle mocno i że jakby wiatr ognisty musnął go po twarzy.

W tejże chwili blondynka, być może mimowolnie, zwróciła głowę ku Albertowi i oczy jej spotkały się z oczami młodego człowieka.

Zadrżała i smuga szkarłatna zastąpiła na dwie sekundy delikatny rumieniec na jej licach.

— Ile pan będzie potrzebował posiedzeń — spytał były budowniczy.

Dwanaście przynajmniej, a najwyżej piętnaście.

— Czy codzień trzeba przyjeżdżać?

— Z początku codzień, ale potem, kiedy zajęty będę akcesorjami, mogę pracować sam i fatygować będę córkę pańską co dwa albo co trzy dni.

— O której godzinie posiedzenia?

— Jak dla państwa dogodniej. Oddaję się całkiem do rozporządzenia.

— Może o dziesiątej z rana.

— Bardzo dobrze.

— Więc już rzecz ułożona.

Albertowi serce zakołatało po raz drugi silniej.

Punkt o dziesiątej przychodził on codzień na lekcje.

Myśl, że znowu zobaczy młode dziewczę, przejmowała go głęboką radością, której nie starał się rozstrząsać.

— Kiedy zaczniemy? — spytała blondynka.

— Chce pani jak najprędzej? — odezwał się Gabrjel z uśmiechem.

— O tak... Może jutro zaczniemy?

— To zależy...

— Od czego?

— Od rozmiarów portretu. Jak sobie państwo życzą, czy to ma być medaljon, czy naturalnej wielkości?

— Naturalnej wielkości.

— W takim razie będę musiał zamówić płótno, a gotowe będzie nie wcześniej, niż pojutrze i to jeszcze nie napewno. Jak tylko zobaczę się z mym dostawcą, napiszę do ojca pani i oznaczę dzień na pierwsze posiedzenie, które, jak pani widzi, nie zależy odemnie.

— Byleby tylko pański dostawca nie marudził — szepnęło dziewczę z niecierpliwością dziecięcą.

— Zwykle jest punktualny, ale polecę mu, ażeby się pospieszył. Jeszcze jedno pytanie.

— Słuchamy.

— W jakim kostjumie życzycie sobie państwo, ażeby malowany był obraz?

— Dziewczę spojrzało na ojca, a ten odpowiedział:

— Marja tylko co ukończyła pensję życzyłbym sobie, ażeby na portrecie przedstawiona była w ubraniu pensjonarki, z szarfą niebieską, wskazującą, że jest w klasie wyższej. Siostrze mojej bardzo się podoba w takiej postaci, a kostjum ten bardzo jest ładny i gustowny.

— I owszem!

— Pozostaje mi tylko dać panu swój adres, ażeby pan mógł do mnie napisać.

Tłuścioch znowu dobył pugilaresu, tak grubo wypchanego biletami bankowemi, otworzył go i wyjął bilet wizytowy, który podał następnie Gabrjelowi Servet.

Artysta wziął go i przeczytał:

Ludwik Bressoles

25 ulica Verneuil.

Bressoles wstał i młode dziewczę również, myśląc, że ojciec odchodzi.

Ale on, zamiast się pożegnać, przystąpił do stalug, przy któ-

rych pracował malarz, a na których spoczywał, jak wiemy, prawie już ukończony obraz.

Blondynka podążyła za ojcem, a przechodząc obok Alberta de Gibray, po raz drugi mimowolnie zamieniła z nim spojrzenie i znowu się zaczerwieniła.

O trzy kroki stojąc przed stalugami. Gabrjel z niepokojem oczekiwał zdania gości o nowym jego utworze.

— Zapewne przeznacza pan ten obraz na wystawę? — spytał były budowniczy.

— Tak.

— Bardzo zajmujący i przepowiadam panu wielkie powodzenie.

— Tak pan szczerze utrzymuje?

— Słowo honoru, kochany artysto, a mam pretensję, że się znam na tem trochę. To wspaniałe. Przekonany jestem, że córka moja podziela me zdanie. Nieprawdaż Marjo?

— O tak, to bardzo ładne, bardzo ładne! — zawołała Marja de Bressoles.

— Tem bardziej, że to rzeczywistość! — odezwał się Gabrjel.

— Więc ten obraz to nie fantazja?

— Nie na nieszczęście.

— Pan widział to, co pan przedstawił.

— Więc to sportretowanie jest ta twarzyczka łagodna, cierpiąca, a pełna rezygnacji?

— Tak i to zupełnie podobny portret. Za model służyła mi biedna, bardzo chora dziewczyna.

— Lecz przecie nie umarła? — spytała Marja niespokojnie.

— Nie, wyszła już nawet z niebezpieczeństwa, przynajmniej jak na teraz wyzdrowienie jej postępuje ciągle, ażeby jednak dojść do zupełnego wyleczenia, potrzebaby jej było troskliwego pielęgnowania, spokojnego życia i trochę wygód.

Wbrew wszelkim przewidywaniom nie umarła, dzięki serdecznej opiece jednej z sąsiadek i przy pomocy pieniędzy, jakich jej dostarczaliśmy, mój uczeń, pan Albert de Gibray, którego mam zaszczyt państwu przedstawić, i ja. Pozostała przy życiu, ale przyszłość jej wydaje mi się bardzo posępną, jeśli tylko ma jaką przyszłość przed sobą.

Przedstawionym będąc tak niespodzianie, — Albert ukłonił się. Bressoles odkłonił mu się i Marja również, zapłoniwszy się znowu.

— Zapewne dziewczę to jest jednem z pańskich modelów? — spytał dawny budowniczy.

— Nie, to bardzo pracowita robotnica.

Siły swe wyczerpuje przy szyciu, a ledwie jest w możności zarobić sobie na kawałek powszedniego chleba.

— Biedna! — smutnie wyszeptała Marja.

— O! i strasznie biedna! Gdyby jeszcze była zdrową!
— Ileż ma lat?
— Dwadzieścia dwa do trzech.

XXXV.

— Zatem rodzice nie mogą jej dopomóc? — zapytał Bressoles.
— Nie ma rodziców — odpowiedział artysta.
— Odumarli ją?
— Nigdy ich nie znała.
W dzieciństwie rzucono ją samą w świat.
Trzeba było natury prawdziwie anielskiej, wrodzonego uczucia godności, męstwa, dochodzącego do bohaterstwa, ażeby jej wieku dojść i oprzeć się zwycięsko wszelkiemu złemu.
— I nikt jej nie dopomaga?
— Starałem się i ledwie mi się udało.
Chciałem jej hojnie zapłacić za te kilka posiedzeń, które jej zaproponowałem do tego obrazu i studjum głowy, jakie namalował, według niej, pan de Gibray.
Nie chciała żadną miarą wziąć wynagrodzenia większego, niż jakie dają malarze swoim modelom.
— Pragnęłabym jednak prosić pana, ażebyś jej odemnie wręczył drobny zasiłek — szepnęło młode dziewczę.
— Nie przyjmie.
— Jakże jej więc dopomóc?
Przecie nie podobna zostawić w nędzy przychodzącą do zdrowia i jeszcze słabą.
— Jest sposób! — wtrącił Albert de Gibray.
— Jaki? — szepnęła żywo Marja.
— Dajcie jej państwo robotę.
— Pewność, że grozić jej nie będzie nędza, podwoi jej siły.
— Ojczulku! — zawołało dziewczę, ujmując Bressola za rękę.
— Przyszło mi do głowy i gdybym tylko śmiała...
— Co takiego, moje dziecko?
— Na naszej pensji szwaczka wyjechała, wychodzi zamąż, miejsce jej dotąd niezajęte.
— Możeby się mogła dostać do niej ta panienka, którą tak protęguje pan Servet.
— To pewna, że jest do tego najzupełniej zdatna — przerwał Gabrjel.
Marja mówiła dalej:

— Zarekomendowana przez pana Servet i przez nas, niezawodnie będzie przyjęta. Pani Dubief taka litościwa, taka dobra, zapewne się nią zainteresuje. Miejsce wyborne, tysiąc dwieście franków na rok, mieszkanie i stół. Biedna panienka mieć będzie życie spokojne, a przyszłość zabezpieczoną.

— Pani aniołem jest miłosierdzia — rzekł Gabrjel — rzeczywiście, będzie to prawdziwem szczęściem dla biednego dziewczęcia.

Ojciec pani może ją polecić. Dowiadywałem się o nią i mogę za nią ręczyć. W dwudziestoletniem jej życiu wiele jest cierpień ale ani jednej plamy.

Albert de Gibray, wzruszony do łez, odezwał się:

— O! jakiż dobry uczynek państwo spełniacie!

— Ale czyż w tem co dziwnego? Któżby na naszem miejscu inaczej postąpił? — odpowiedziała Marja. — Wszak zobaczymy sie ojcze z panią Dubief? — rzekła, zwracając się do Bressola.

— Naturalnie!

— Dziś jeszcze?

— Dziś, jeżeli chcesz, ale...

— Co, papo?

— Wprzód trzeba się dowiedzieć, czy ta panienka, która niedawno była chora, będzie w stanie objąć miejsce, o jakiem mówisz.

— Ej cała robota na tem polega, ażeby doglądać szyjących, którzy zostają pod jej kierownictwem i pracują nad bielizną dla pensjonarek. Widzisz papo, że nic tak bardzo nużącego.

Dobrze, ale czy ta panienka przystanie na to? to rzecz najważniejsza....

— Dlaczegoby nie miała się zgodzić?

— My sądzić o tem nie możemy. Ja także myślę, że to nieprawdopodobne, ażeby się nie zgodziła przyjąć takiego miejsca, wszystko jednak jest możebne i dlatego sądzę, że zanim się zacznie starania, trzeba znać wolę tej, dla której być mają czynione starania.

— Zgodzi się niewątpliwie.

— I ja jestem tak przekonany, lecz ojciec pani ma słuszność.

W tejże chwili dał się słyszeć dzwonek.

— Ktoś przyszedł, — rzekł przysłuchując się malarz.

I prawie natychmiast dodał.

— Znajomy ktoś, słyszę kroki na schodach.

Drzwi od pracowni otworzyły się jednocześnie i na progu ukazała się młoda dziewszyna.

Twarz jej, pomimo bladości, odznaczała się czarującą pięknością. Czarny, wełniany kapturek osłaniał maleńką główkę. Długi szal owijał szczupłą lecz pełną wdzięku postać.

W ręce trzymała jakieś małe zawiniątko.

Marja Bressoles spojrzała na nią, potem na obraz, poznała łagodne i cudowne rysy młodego chorego dziewczęcia i zawołała:

— To pański model, panie Servet.

— Tak odpowiedział artysta — przypadek w porę nam ją zsyła.

Spostrzegłszy w pracowni osoby obce — przybyła zatrzymała się na progu, jakby nie wiedziała, co począć. Przelotny rumieniec zabarwił jej policzki.

— Wejdź, wejdź, Symono — odezwał się do niej Gabrjel.

Symona, tak się nazywała szwaczka, weszła nieśmiało i ukłoniła się, spuściwszy oczy.

Malarz mówił dalej:

— Powinienem cię zburczyć, dziecko, prawda. Jak można, będąc chorą jeszcze, wychodzić z domu na takie zimno. Przecież ułożyliśmy się, że jeżeli będę jeszcze potrzebował dwóch czy trzech dodatkowych posiedzeń, to cię zawiadomię.

— To prawda, panie Gabrjelu — odrzekła Symona z suchym kaszlem, od którego krew rzuciła się jej do twarzy. — Ale tak mi ciepło w kapturku i szalu, że nie czuję zimna. Potem pan Albert dał mi do obrąbienia pół tuzina chusteczek. Skończyłam dziś robotę i chciałam je zaraz odnieść, oto są.

— Usiądźże przy piecu — rzekł malarz do niej, wskazując krzesło. — Przykro mi, że tak nierozważnie narażasz zdrowie, które wymaga jeszcze starannego pielęgnowania, a jednak z drugiej strony bardzo się cieszę, żeś dzisiaj przyszła. Właśnie była tu mowa o tobie i chciano się z tobą naradzić.

— O mnie była mowa, chciano się ze mną naradzić? — powtórzyła Symona z widocznem zdziwieniem, duże oczy podniósłszy na Gabrjela.

Na pytanie to nieme odpowiedziała Marja:

— Tak — rzekła żywo, przystępując do młodej dziewczyny i uśmiechając się do niej — kiedyśmy się oto zachwycali obrazem, do którego pani posłużyła za model, pan Servet mówił nam tymczasem o pani, o chorobie, jaką pani tak ciężko przechodziłaś, o samotnem życiu pani i o męstwie, z jakiem znosisz codzienny niedostatek. Te słowa współczuciem nas przejęły dla pani, podziwem dla jej charakteru i ja wraz z ojcem szukaliśmy sposobu, ażeby uwolnić panią teraz i na przyszłość od samotności tej i biedy.

Głos Marji, gdy mówiła, tak łagodny był, tak wzruszający, że płynął do serca, jak najbardziej harmonijna muzyka.

— Dziękuję państwu z całej duszy, żeście pomyśleli o mnie — odpowiedziała Symona, a panu Servet wdzięczna jestem serdecznie za to zainteresowanie się mną, jakiego już tyle razy mi dał dowód.

Symona zamilkła i spuściła głowę; dwie grube łzy potoczyły się po jej policzkach, potem mówiła dalej:

— To prawda, wycierpiałam bardzo wiele i myślałam niekiedy, że już mi sił zabraknie do życia. Ale teraz już to się skończyło, zdrowie powraca, mogę pracować i nie mam prawa już się skarżyć.

— Czy nie przyjęłabyś dobrego miejsca w porządnym domu? — zapytał Gabriel.

— O, z największą ochotą, ale jestem jeszcze za słaba, ażeby podjąć się stałych obowiązków.

— Nie idzie tu o takie obowiązki, o jakich myślisz. To nie panną służącą będziesz. Pani chciałaby się dla ciebie wystarać o miejsce starszej szwaczki na dużej pensji panien.

Twarz Symony oblała się rumieńcem, oczy przepełnione łzami przed chwilą, zabłysły.

— O! zawołała — to byłoby zanadto dobre, ale to niemożebne! Nigdy ani nadziei mieć nie mogę, ażebym dostała miejsce. Marzenie!

— Marzenie, które ziścić się może — odrzekła Marja — jeżeli tylko uważa się pani za uzdolnioną dostatecznie, ojciec mój i ja dziś jeszcze zobaczymy się z panią Dubief, przełożoną na pensji, gdzie się kształciłam, przyjaciółką jest naszą i w ten sposób pomówi my z nią, że zgodzi się spełnić prośbę naszą. Miejsce jest wolne, a może być lada chwila zajęte. Trzeba się zatem spieszyć.

Symona ujęła rękę Marji Bressoles i podniosła ją do ust.

— O! jaka pani dobra! — wyszeptała. — Jak mam pani podziękować? Jak wyrazić wdzięczność ojcu pani, który się mną także zajął? Tak, zdaje mi się, że jestem dość uzdolnioną, ażeby być szwaczką na pensji, jeżeli będę tyle szczęśliwą, że dostanę to miej sce z łaski państwa, a teraz już czuję w sobie dość siły, bo sama nadzieja mnie pokrzepiła, i osłabienie po chorobie prawie już minęło.

— No, więc rzecz ułożona, i zdaje się, że może pani liczyć na pewno — rzekła Marja. — Udamy się stąd wprost na ulicę Ville d'Eveque, pomówimy z panią Dubief, która rada będzie sprawić nam przyjemność i sama się z panią ugodzi co do wynagrodzenia. Miejsce wyborne, a stosunek z panią Dubief będzie jak najlepszy, to bardzo zacna kobieta.

— O, gdyby się państwu udało! — zawołała Symona, zwracając się do Ludwika Bressoles — nie jestem bynajmniej niewdzięczną, i całe życie, o tak! całe życie pamiętać będę to, co chcecie państwo dla mnie uczynić!

— E! nie mówmy o wdzięczności — rzekł żywo Ludwik Bressoles. — Mojej córce przyjemność to sprawi, jeżeli pani dopomoże tak — że my będziemy obowiązani względem pani. Teraz niech nam pani da swój adres, ażebyśmy mogli natychmiast panią zawiadomić, jeżeli pani Dubief spełni naszą prośbę.

— Mieszkam przy ulicy Gilles-le-Coeur — odpowiedziała młoda dziewczyna.

— Który numer?
— Numer 7.
— Imię pani?
— A nazwisko? — zapytał były budowniczy z niejakiem wahaniem.
— Nazwiska nie mam — szepnęła Symona wzruszonym głosem.
Spuściła głowę i znowu łzy popłynęły po jej policzkach.
Marja Bressoles wzięła ją za obie ręce i rzekła z ujmującą dobrocią:
— Niech pani nie płacze, błagam panią. — Szczęście do pani zawitało, niechże się pani doń uśmiecha.
Symona nie mogła się oprzeć tej wzruszającej prośbie i uśmiechnęła się przez łzy.
Bressoles zapisał sobie adres Symony i skinął na Marję.
— Miej pani nadzieję — mówiła dalej Marja, zwracając się do młodej dziewczyny — niedługo zobaczymy się znowu.
— I licz pani na nas — dodał były budowniczy. Jeżeli pani Dubief przyjęła już szwaczkę, znajdziemy dla pani co innego.
— Dziękuję państwu! — odezwała się wzruszona Symona. — Dziękuję państwu z całego serca, z całej duszy....
Bressoles zwrócił się do Gabrjela i rzekł doń:
— Do widzenia, kochany i wielki mistrzu. Czekać będziemy za wiadomienia pana, ale niech pan nam niedługo da czekać.
— Pójdę zaraz zamówić płótno! — odpowiedział malarz. — Jak tylko będzie w mej pracowni, zaraz do państwa napiszę, że gotów jestem z pierwszem posiedzeniem.
— Sądzi pan, że to może nastąpić jutro?
— Tak sądzę, a zwłaszcza pragnę.
Ojciec i córka wyszli z pracowni. Gabrjel z Albertem odprowadzili ich na schody.
Żegnając się Albert i Marja, zamienili ze sobą przeciągłe spojrzenie, milcząco wymowne.
— Czarujące dziewczę — rzekł artysta, drzwi zamykając. — Złote serce.
— I bardzo ładna — potwierdził Albert, nie tając swego zachwytu. — Prześliczna! Piękność twarzy równa się piękności duszy!
— Ho! ho! — zawołał Gabrjel, patrząc na młodzieńca. — Z jakimże to zapałem mówisz, kochany uczniu. Zdaje mi się, że panna Bressoles sprawiła na tobie bardzo wielkie wrażenie.
— Bardzo wielkie, przyznaję się do tego! I po co mam się z tem taić?
— Ja bez wątpienia zawdzięczać jej będę swe szczęście — szepnęła Symona — jej i panu, panie Servet, bo gdyby nie pan, ta anielska panienka nie zajęłaby się mną, nie wiedząc, czy jestem tego warta. Będę panu tak wdzięczna, że nigdy nie będę w stanie należycie się panu wywdzięczyć.

— E! dosyć już, przestań o tem mówić, a ponieważ tu jesteś, skorzystam z tego, aby coś dodać do mego obrazu.

— Przeto, żeby czasu nie tracić, oddasz potem, coś przyniosła panu Albertowi.

— To niedługo potrwa — rzekła Symona z uśmiechem. Pół tuzina obrąbionych i poznaczonych chusteczek... oto one są.

Z zawiniątka, które trzymała w ręce, wyjęła chustki, ładnie złożone i przewiązane niebieską wstążką.

— Co ci jestem winien, Symono? — spytał młodzieniec.

— Trzy franki!

— Trzy franki! Cóż znowu! to za mało!

— Taka zwykła cena, piętnaście groszy za znaczenie chustki, drożej nie płaci się nigdy.

— Ale ja uważam, że to za tanio i nie chcę ażebyś pracowała dla mnie za takie pieniądze, tem bardziej, że to cyfry wspaniałe! artystycznie zrobione, jakby ręką czarodziejki! Weź dziesięć franków i to jeszcze będzie za tanio!

— Ale...

— Nie ma żadnego ale — przerwał jej Albert. — Niedostateczne wynagradzanie pracy kobiecej jest raną społeczną naszej epoki. Pędzel żywi artystę, igła winna żywić szwaczkę. Weźże te pieniądze. Naprawdę sprawisz mi wielką przykrość, jeżeli odmówisz słusznie należącego ci się wynagrodzenia.

— O! nie.

— Więc przyjmujesz?

— Cóż mam robić?

— No i doskonale!

Symona wzięła dziesięciofrankówkę, spojrzawszy na Alberta de Gibray ze szczerą wdzięcznością. z

— Kochany mistrzu — rzekł Albert do Gabrjela — przyszły artysta odbył już swą codzienną pracę. Szkoła prawna wzywa teraz przyszłego adwokata.

— Odchodzisz?

— Czas na prelekcję.

— Idź mój drogi, a ojcu się kłaniaj. Więc do jutra.

Albert uścisnął rękę Gabrjelowi, potem młodej dziewczynie, przebrał się i wyszedł.

— A teraz, kochana Symono — rzekł artysta do szwaczki, — zacznij pozować, pół godziny, nie więcej.

XXXVI.

Maurycy Vasseur po kolacji u Brebanta, w licznem towarzystwie, wróciwszy do domu, położył się i natychmiast zasnął.

Spał trzy godziny i niewątpliwie sen jego trwałby jeszcze dłużej — gdyby nieprzerwany został głośnem dzwonieniem.

Kto sumienie ma nieczyste, tego wszystko straszy.

Maurycy zerwał się z posłania, ubrał się naprędce i wyszedł do przedpokoju.

Drzwi od sieni zamknięte były na pust podwójny.

Młodzieniec zawsze przewidywał niebezpieczeństwo, jeśli nie prawdopodobne, to przynajmniej możebne.

W razie, gdyby policja odgadła w nim sprawcę podwójnej zbrodni na cmentarzu Pere Lachaise i przy ulicy Ernestyny postanowił nie oddawać się żywym w jej ręce.

Dlatego należało postępować w ten sposób, ażeby się nie narażać na żadną niespodziankę.

Nie otworzył też drzwi, a tylko zapytał:

— Kto tam?

— Ja — odpowiedział głos kobiecy.

— Co za ja?

— Pańska odźwierna.

— Czego chcecie?

— List!

Na te słowa Maurycy natychmiast drzwi otworzył.

Odźwierna powtórzyła:

— List ten przyniósł listonosz, a ponieważ na kopercie napisano „bardzo pilne", pozwoliłam sobie pana obudzić.

— I dobrze uczyniliście.

Pani Benoit odeszła, a Maurycy spiesznie zamknąwszy drzwi, rozpieczętował kopertę.

List ten zawierał w sobie tylko te wyrazy, napisane grubemi literami, widocznie zmienionym charakterem:

„Dziś w południe na ulicy Surennes nr. 18 zapytaj pan o kapitanie Van-Broke. Spal pan ten list".

Zamiast podpisu V i trzy gwiazdki.

— To od Juljusza Termis przemienionego teraz na kapitana Van-Broke. — rzekł do siebie Maurycy. — Ci ludzie mają, zdaje się — niewyczerpane środki.

Po krótkim monologu tym przeczytał po raz drugi wyrazy i po raz trzeci jeszcze potem.

Wyrył sobie w pamięci nowe nazwisko tego człowieka, nazwę ulicy i numer domu, poczem stosując się do rozkazu tajemniczego korespondenta, zapalił świecę i papier obrócił w popiół, następnie ubrał się prędko i ciepło i wyszedł na bulwary.

Godzina schadzki była jeszcze daleko, ale Maurycy zamierzał wstąpić do kawiarni, ażeby napić się czekolady i przeczytać gazety poranne.

We wszystkich dziennikach powtórzona była wiadomość wczorajsza.

Niektóre dodawały od siebie:

„Podwójne śledztwo, rozpoczęte przez sędziego śledczego, Pawła de Gibray, toczy się dalej i dało już rezultaty bardzo ważne. Znane nam są niektóre szczegóły, wielce interesujące. Moglibyśmy o nich donieść prędzej, niż koledzy nasi, ale nie uczyniliśmy jednak tego, ażeby nie przeszkadzać śledztwu".

— Naiwni dadzą się złapać na te stare sztuki — szepnął.

Bo kiedy gazety zapewniają, że nie piszą nic, chociaż wiedzą, to z pewnością nie wiedzą o niczem.

Gdyby wiedziały, powściągliwemi nie byłyby!

Podano czekoladę z koszykiem biszkoptów i bułek.

Maurycy prędko zjadł śniadanie, zapalił cygaro i udał się na ulicę Surennes.

Drzwi od sieni małego pałacyku otworzył mu Dominik, niemowa, przysłany Juljuszowi Termis przez fałszywego opata Meirrissa.

— Kapitan Van-Broke? — zapytał Maurycy.

Niemy usunął się, ażeby gościa przepuścić, potem naprzód poszedł i zaprowadził go do lokalu na parterze.

Minęli przedpokój i pierwszy pokój.

Po raz drugi znalazł się nasz młodzieniec wobec Lartigiusa, którego przebranie znane nam jest.

Ucharakteryzowanie było tak wyborne, że Maurycy cofnął się, myśląc, że się omylił.

— Wejdź kochany Maurycy i siadaj — rzekł Lartigues, wskazując na krzesło.

— Jakto? — zawołał Maurycy ze zdumieniem.—To pan jesteś?

— Tak, to ja!

— Zdaje mi się, że mnie pan nie poznał.

— Naturalnie! czyż podobna pana poznać?

To istny cud takie ucharakteryzowanie!

— Zachwyt pański pochlebia mi, bo widocznie jest szczery, ale to nie żaden cud, tylko zręczność. Uważałem za potrzebne zmienić skórę, przepraszam za wyrażenie — z powodu tej grubej awantury, w jaką nas pan wplątałeś.

Wie pan, że nas wezmą za wspólników pańskich, jeżeli pana zaaresztują.

— Spokojnie panowie żyjcie i śpijcie — odparł Maurycy, sia-

dając — mnie nie zaaresztują.

— Trzeba wszystko przewidzieć.

— Naturalnie, w myśl dawnej nauki moralnej: „Ostrożność jest matką bezpieczeństwa“.

Ale są rzeczy niemożebne, a do takich należy i znalezienie moich śladów.

Ozwał się dzwonek.

— Pań wie, kto to dzwoni? — zapytał Maurycy.

— Może to być tylko opat Meirriss.

Rzeczywiście za kilka sekund Verdier, w stroju opata, wszedł do saloniku.

Lartigues i Maurycy ścisnęli go za rękę.

— Pałacyk jest doskonale wybrany — rzekł Verdier — dobrze ci tutaj?

— Tak! samotne położenie domu czyni niemożebnem wszelkie szpiegostwo sąsiadów.

— Tego właśnie było potrzeba, winszuję ci.

Lartigues mówił dalej:

— Namyśliłeś się?

— Nad czem?

— Co nam czynić należy?

— Czekać będziemy na nowe polecenia. — Pisałem do Londynu, trzeba zaczekać na odpowiedź.

Jednakowoż uważam za pożyteczne, przedsięwziąć pewne środki, lecz zanim to wam wyłuszczę, muszę zmyć głowę naszemu nowemu pomocnikowi.

— Mnie! — zawołał Maurycy zdziwiony.

— Panu!

— Cóż ja takiego uczyniłem?

— I jeszcze nie domyślasz się pan?

— Nie, choć biję się z myślami, nic nie odgaduję.

—Czyż to nie szaleństwo tak hulać tej nocy po dramacie podwójnym nocy zeszłej?

— Pan wie o tem? — zapytał Maurycy zmieszany.

— Wiem, że pan jadł kolację ze złotą młodzieżą i eleganckiemi damami, a potem grałeś pan i grubo wygrałeś.

— I od kogoż to pan wie?

— Przez naszą policję.

— Przez pańską policję?

— Tak, przez policję, która w niczem nie ustępuje rządowej.

Widzisz więc pan, że dobrze jesteśmy zorganizowani.

Pan jesteś dla nas nowym znajomym, kochany nasz przyjacielu. Interesa nasze i najelementarniejsza chociażby ostrożność zaleca nam kontrolować pana i nie zaniedbujemy tego wcale. Uprzedzam pana, że każdy postępek pański, każde słowo pańskie będzie nam wiadome. — Radzę panu działać prosto i nie ściągać na siebie

podejrzeń, bo ostrzegam pana, że agenci nasi sprytniejsi są od policyjnych i nie stracą pana z oczu ani w dzień, ani w nocy. Taki dla pana sens moralny, a teraz posłuchaj mnie pan.

Maurycy pomyślał sobie:

— Ci ludzie strasznie silni, mogą mnie zgnieść!

Czując w sobie nieokreślony niepokój, zaczął prawie żałować, że się wdał w tak niebezpieczne tajemnice.

Verdier mówił dalej:

— Posłuchaj mnie pan, i przejmij się ważnością roli, jaką grać będziesz. Potrzebujesz pan koniecznie zostać sekretarzem domowym dymisjonowan. kapitana marynarki Van-Broke, pracującego nad wielkim dziełem z historji żeglugi morskiej i przybyłego do Paryża dla poszukiwań w archiwum ministerjum marynarki. Gdyby pytano pana, przez kogo otrzymałeś to miejsce, odpowiesz, że znałeś kapitana już dawniej, przypadkowo zabrawszy z nim znajomość, a on, wiedząc o pańskiej zdolności władania piórem, pospieszył zaproponować panu miejsce zaszczytne i korzystne, gdyż kapitan Van — Broke bardzo jest bogaty. Bajeczka ta bardzo prosta i tak naturalna, że nikt ani pomyśli jej przeczyć, a będzie ona miała cel trojaki. Po pierwsze pozwoli ona panu przebywać tutaj stale.

Powtóre staniesz się pan człowiekiem poważnym, godnym większego poważania, niż będąc reporterem skandalicznego świstka brukowego. Wreszcie łatwo będzie objaśnić pańską nieobecność, kiedy trzeba będzie wysłać pana w podróż.

Kapitan każdej chwili może pana posłać dla zebrania wiadomości do Anglji albo gdzieindziej. Zrozumiałeś pan dobrze?

—Jak najzupełniej — dodał Maurycy — i dodam, że to myśl doskonała.

— Miewam czasem nie złe pomysły — odrzekł Verdier.

— A ja co mam czynić? — zapytał Lartigues.

— Ty udaj się natychmiast do ambasady holenderskiej dla zawizowania paszportu. Pokłoń się sekretarzowi ambasady od przyjaciela jego, opata Meirissa.

— Czy już wszystko?

— Tak na teraz wszystko. Przejdźmy do czego innego. Pan Maurycy dziś jeszcze zacznie szukać rodziny Bressolów. Bressoles był budowniczym.

Trzeba zapytać o niego kolegów, którzy musieli przecie o nim słyszeć. Trzeba także udać się do biur adresowo-informacyjnych, które może znają to nazwisko. Trzeba wydostać kopję metryki nieprawej córki, Symony. To będzie łatwo, ale tymczasem wstrzymamy się z dowiadywaniem — gdzie znajduje się ta dziewczyna, póki nie ucichnie wrzawa z powodu zabójstwa Jenny Stahl i Jonathana Wildesa. Wtedy wyślemy pana Maurycego do Ville-sur-Bresne. Tę raz hasłem naszem powinna być „Ostrożność".

— Będę ostróżny — odpowiedział młodzieniec.

— Czytałeś pan dzienniki poranne?

— Czytałem.

— Cóż tam piszą?

— To samo jest, co we wczorajszych wieczornych. Powtarzają wiadomość policyjną, nie dodając od siebie nic ciekawego. Wywnioskowałem stąd, że śledztwo ani na krok nie postąpiło, co zresztą łatwo było przewidzieć.

— Byłeś pan w Mordze?

— Nie, ale zamierzam pójść tam zaraz.

— Bardzo dobrze — odrzekł fałszywy opat. — Teraz obejrzmy pałacyk. Potrzeba koniecznie znać miejscowość.

Poszli we trzech do ogrodu. Verdier, jak poprzedniego dnia Lartigues, zatrzymał się przed zabitą furtką.

— Co to?

— Jak widzisz — odparł kapitan Van-Broke — furtka zamknięta i zabita sztabami.

— Dokąd ona prowadzi?

— Do ogrodu domu, stykającego się z tym, a wychodzącego na Ville — d'Eveque.

— Co to za dom?

Dawniej był tam obszerny pałac, a teraz pensja dla panien pod kierownictwem pani Dubief.

— W jakim celu istniała ta komunikacja?

— Te dwa domy należały, zdaje się, do jednego właściciela.

— Bardzo dobrze. Obejrzę pensję i zobaczę co będzie można skorzystać z tego sąsiedztwa, które dla nas może być użyteczne. Nie masz nic nieprzydatnego na świecie dlatego, kto umie korzystać z najmniejszych drobnostek. Jużeśmy wszystko widzieli?

— Wszystko.

— A więc potrzeba nam się rozstać.

— Czy nie zjedlibyście ze mną śniadania na nowem mieszkaniu?

— Ja już piłem czekoladę! — odparł Maurycy.

— W pańskim wieku żołądek wymaga czegoś pożywniejszego. Liczyłem na was obu i kazałem nakryć na trzech.

Fałszywy opat spojrzał na zegarek.

— Dobrze, zjemy śniadanie — rzekł — ale prędzej: spieszno mi Mogę tutaj zabawić jeszcze najwyżej godzinę.

Udali się do pokoju jadalnego, gdzie na nich czekało śniadanie z zimnego mięsiwa.

Usiedli do stołu, Dominik usługiwał; jedli z apetytem, pijąc sporo za powodzenie wielkiego przedsięwzięcia, które im miało dać miljony.

XXXVII.

Krótkie wiadomości, podane przez dzienniki z powodu podwójnego morderstwa, popełnionego w nocy przez jednego i tego samego złoczyńcę, sprawiły głębokie wrażenie.

Paryżanie z chciwością pragnęli dowiedzieć się o szczegółach i zwiedzali miejsca, będące widownią obu zbrodni, a przyjnajmniej te, gdzie znaleziono trupy.

Cmentarz Pere-Lachaise stał się miejscem wędrówek dla ludzi, łaknących silnych wrażeń.

Przewidując zawczasu, że tak będzie, naczelnik policji śledczej wydał odpowiednie polecenie.

Kordon sierżantów miejskich otoczył grobowiec Kurawiewów i niczem nie wzruszony, nie dopuszczał tłumu ciekawych.

Na ulicy Ernestyny gromadziło się niemniej ludzi.

* * *

Stosownie do planu, jaki powstał w jego głowie przy kolacji u Brebanta, kiedy się przysłuchiwał opowiadaniu barona Paskala de Landilly, hrabia Iwan Smoiłow, zaniepokojony tem, co słyszał o grobowcu, należącym do rodziny rosyjskiej, postanowił sam zobaczyć, co się stało.

Chciał natychmiast wiedzieć, co to jest za rodzina, której nazwiska nie wymieniały gazety.

Zjadłszy śniadanie w hotelu Wielkim, gdzie — jak to pamiętamy — czasowo zamieszkał, spytał, czy przyjechała już kareta, którą wynajmował na miesiąc, a otrzymawszy przeczącą odpowiedź — kazał sprowadzić dorożkę i polecił woźnicy jechać na cmetarz Pere — Lachaise.

Dorożka zatrzymała się przed główną bramą.

Hrabia wysiadł i udał się przez aleję, przepełnioną tłumem, prowadząca do tej dzielnicy, gdzie się znajdował grobowiec rodziny Kurawiewów.

Droga do grobowca była mu widocznie znana, bo doszedłszy do bocznej aleji, ku niej biegnącej, bez wahania puścił się w tę stronę.

W miarę, jak się zbliżał do celu wędrówki, tłum stawał się coraz bardziej ściśniętym i poruszał się wolniej. Przetłoczył się wśród ścisku, a znalazłszy się pierwszym szeregu ciekawych, chciał iść dalej.

Zatrzymał go miejski sierżant słowami:

— Nie można!

— Dlaczego?

—Taki rozkaz!

Młodzieniec przystanął.

— Ale ja tutaj nie jestem przypadkowo i bez celu — mówił dalej po chwilowem namyśle — muszę przejść tędy do grobu zaraz w pobliżu.

— Czy mi nie wolno?

— Dzisiaj nie.

— Przecież można uczynić wyjątek...

— W rozkazie prefektury nie ma żadnych wyjątków.

Hrabia zrozumiał, że wobec tak ścisł. zakazu wszelkie jego usiłowania pozostaną bez skutku. Zaczął więc pytać miejskiego sierżanta, który możeby mu mógł o tem powiedzieć, czego dowiedzieć się pragnie.

— Skądże taki surowy rozkaz?

Sierżant był bardzo grzeczny. Ku wielkiemu zadowoleniu ciekawych, którzy się zbliżyli, ażeby go posłuchać, jął opowiadać straszną historję, którą lepiej znamy od niego samego.

Kiedy skończył, hrabia Iwan zapytał:

— A w którym to grobie spełniono zbrodnię?

— W grobowcu pewnej bogatej rodziny rosyjskiej.

— Wie pan, jak się ona nazywa?

— Wiem.

— Może mi pan powiedzieć?

— Dlaczegoby nie! W grobowcu Kurawiewów.

Usłyszawszy to nazwisko, młody Rosjanin zbladł jak chustka.

— Nie myli się pan? — pytał wzruszonym głosem.

— Nie. Słyszałem to od stróża cmentarnego.

Hrabia Iwan zwiesił głowę i kilka chwil stał w milczeniu, potem podziękował sierżantowi, zawrócił się i zginął w coraz bardziej rosnącym tłumie.

Na jego twarzy malował się wielki niepokój...

— Co znaczy ta zagadka? — spytał sam siebie. — Dziwne zdarzenie, szczególnie, niepojęte. Trzeba jednak to wyjaśnić, muszę się dowiedzieć! z

Przyspieszył kroku, dostał się do wielkiej alei, gdzie mniej było osób niż w bocznej, wyszedł z cmentarza i zaczął szukać dorożki, którą przyjechał.

Dorożka stała po drugiej stronie drogi.

W chwili, gdy hrabia chciał stanąć na stopniu, przechodzący obok człowiek jakiś z czarnym krzyżem drewnianym drgnął, krzyknął z przerażenia, zatrzymał się i rzekł:

— Przepraszam pana, chciałby powiedzieć panu tylko jedno słówko.

Rosjanin obrócił się, wielce zdziwiony i odpowiedział tym samym akcentem cudzoziemskim, o jakim już wspomnieliśmy:

— Czego pan sobie życzy?

Usłyszawszy ten akcent, człowiek z drewnianym krzyżem drgnął ponownie.

— Chciałbym pana tylko zapytać, czy to pan onegdaj na ul. Roguette kupił wianek nieśmiertelników?

— Być może, że i ja, ponieważ onegdaj rzeczywiście kupiłem wianek, ale nie wiem, czy to w pańskim sklepie.

— U mnie — mówił dalej nieznajomy, oglądając się dokoła, — i zaniósł pan ten wianek do grobowca Kurawiewów.

— Może — odrzekł sucho hrabia — ale dlaczego pan o to pytasz?

— Bo kiedy pan odszedł, zauważyłem, że mi pan dał monetę angielską za dwadzieścia pięć franków, a ja myślałem, że to była dwudziestofrankówka i wydałem panu za mało reszty. — Winien więc jestem pięć franków i jako człowiek uczciwy chcę je panu zwrócić.

— Nie potrzeba, daruję je panu, jeżeli rzeczywiście dałem panu monetę angielską, o czem bardzo wątpię.

— Ależ, szanowny panie.

— Jeżeli pan nie chcesz przyjąć, to rozdaj ubogim — przerwał z niecierpliwością hrabia.

Potem wskoczył do dorożki i zawołał na woźnicę:

— Tam, skąd przyjechaliśmy, prędko....

Dorożkarz popędził konia.

— O! — zawołał handlarz rzeczy pogrzebowych, zauważywszy numer dorożki — nie umkniesz mi tak, ażebym cię nie mógł dogonić zbrodniarzu!

— Podbiegłszy do stacji, gdzie czekało kilka dorożek, wsiadł do jednej z nich i rzekł:

— Dostaniesz dwadzieścia franków, jeżeli nie stracisz z oczu tej oto dorożki.

— To niech pan przygotuje dwadzieścia franków, bo je zarobię! — odpowiedział dorożkarz.

I popędził w ślad za powozikiem, którym jechał hrabia Iwan.

Handlarz wianków, wychyliwszy się z dorożki, śledził oczami ściganego, będąc jak najzupełniej przekonanym, że to sprawca podwójnej zbrodni na cmentarzu Pere Lachaise i przy ulicy Ernestyny.

— Wątpić niepodobna — mówił sam do siebie — to ten sam łotr. Poznałem go zaraz po jasnych faworytach, binoklach i akcencie. Przytem nie zaparł się wcale, że kupował wianek, ani tego, że zaniósł go do grobowca Kurawiewów.

Co za szczęście, że właśnie przechodziłem. Nie podejrzewa nic. Wszystko trzeba robić ostrożniej po cichu. Nie odstąpię go wcale, a gdy się dowiem, gdzie mieszka, wszystko pójdzie, jak po maśle.

Wielką przysługę wyświadczę sprawiedliwości mej ojczyzny. Pisać będą o mnie w gazetach i wydrukują mój adres. Wyborna reklama dla sklepu.

Przy tych słowach szanowny kupiec z ulicy Roguette zaczął doznawać niepokoju.

U dorożki hrabiego lepsze były konie niż przy jego i jechała też prędzej; wszelako kupiec nie tracił jej z oczu, pomimo zwiększającej się odległości.

Nieprzewidziana okoliczność wkrótce rozwiała jego niepokój.

Pułk piechoty, wracający z przeglądu wojsk u Chateau d'Eau, nagle zatamował przejazd.

Dorożka hrabiego zatrzymała się, a ta, którą pędziła za nią nadjechała.

— Teraz ją dogoniliśmy — rzekł woźnica, nadchylając się do pasażera.

— Tylko nie daj sobie uciec.

— Bać się nie ma czego, zawsze dogonimy. To numer 2750.

Pułk przeszedł.

Dorożka hrabiego mogła za nim z łatwością podążyć w odległości dwudziestu kroków.

VXXVIII.

Przyjechawszy na ulicę Rogemont, hrabia nachylił się ku dorożkarzowi, pociągnął go za płaszcz i dla zwrócenia jego uwagi zawołał:

— Staniem przed Brebantem.

Woźnica dał znak, że słyszał i zrozumiał.

Hrabia pomimo wzruszenia, którego powód czytelnicy niebawem poznają, bynajmniej nie zapomniał, że dziś wieczorem podejmuje swych nowych przyjaciół i że winien zamówić obiad na dwanaście osób.

Dorożka zatrzymała się we wskazanem miejscu.

Młodzieniec wszedł do restauracji.

Handlarz wianków widział wszystko.

— Stańcie tutaj — rzekł do swego dorożkarza. — Mężczyzna — którego ścigam, wszedł do Brebanta! Zaczekajmy!

— Czy proszę pana będę miał czas dać koniom owsa?

— Nie wiem. Konie później sobie pojedzą; musimy być gotowi każdej chwili jechać dalej.

Upłynęło pięć minut, potem kwadrans.

— Łotr nie zapłacił dorożkarzowi, a zatem wyjdzie niedługo— pomyślał sobie kupiec z ulicy Roguette. — Prawdopodobnie zajada teraz śniadanie. Ładuje sobie żołądek ostrygami i spija dobre wina. Racz się złoczyńco. Będziesz miał dzisiaj obiad tańszy na rachunek rządu.

Kiedy skończył monolog, nic dobrego nie wróżący dla Rosjanina, ten postanowiwszy już, z czego składać się miał obiad, wyszedł z restauracji, wsiadł znowu do dorożki i pojechał przez bulwar.

Zatrzymał się przy hotelu Wielkim.

Uczynił to i handlarz wianków grobowych.

Hrabia wyszedł z dorożki, zapłacił woźnicy i zniknął pod olbrzymią bramą, prowadzącą na podwórze.

Tuż za nim wszedł i jego szpieg.

Jeden ze służących ukłonił się w przejściu Rosjaninowi.

— Znacie tego pana? — spytał kupiec kelnera, który odpowiedział oschle:

— Widzisz pan, że muszę go znać, kiedy mu się kłaniam.

—Czy on tu mieszka w hotelu Wielkim?

— A co panu do tego? Dlaczego pan o to pytasz?

Zamiast odpowiedzi, handlarz wianków wsunął służącemu do ręki dwa franki.

— Bardzo dobrze — rzekł tenże — rozumiem. Pan ten rzeczywiście mieszka w hotelu Wielkim.

— Cudzoziemiec?

— Tak, Rosjanin.

— Dziękuję.

Handlarz dowiedział się, czego chciał. Zwrócił się ku wyjściu, mówiąc do siebie:

— Hrabia Iwan Smoiłow. Zapewne jaki fałszywy hrabia, może zbiegły galernik.

Potem wsiadając w dorożkę, rzekł do woźnicy:

— Zarobiłeś dwadzieścia franków. Teraz biorę cię na godzinę.

- Do prefektury policji, a prędzej!....

- Do prefektury... — bąknął dorożkarz — masz tobie.

Widocznie ścigaliśmy jakiegoś zbrodniarza, a u mnie w dorożce siedzi łapacz. Podejrzewałem to zaraz.

— — — —

Jeżeli na cmentarzu Pere Lachaise tłoczono się bardzo, nie mniejszy także tłum był około Morgi.

Tutaj ciekawi stali takim sznurem, jak przed kasą teatru w dzień przedstawienia sztuki, mającej wielkie powodzenie.

W regularnych odstępach wpuszczano za każdym razem tylko sześć osób, a stojący na straży miejscy sierżanci przestrzegali surowo, ażeby się nikt naprzód nie przecisnął i nikt zatrzymywaniem się ruchu nie tamował.

Oba trupy były złożone na marmurowych ławach tuż przy szklanej ścianie, oddzielającej publiczność od sali wystawowej.

Każdy z widzów mógł się tutaj tylko kilka sekund zatrzymać dla przypatrzenia się trupom.

W grupie sześciu osób, które równocześnie z nami wstąpiły

próg Morgi, znajdowali się dwaj mężczyźni, którzy społem tutaj przybyli.

— Patrzno, patrz, co za los! — szepnął jeden z nich do towarzysza, mogący mieć około pięćdziesięciu lat, w niedbałej odzieży, ze znamieniem proroctwa i występku na twarzy. — Wskazując przy tem ręką na zamordowaną niewiastę dodał:

— Ma dwa znaczki śliczne, jeden na szyji, a drugi pod lewą piersią. Łotr znał się na rzeczy.

— To zygzak! — odrzekł jego towarzysz ochrypłym głosem.

Sąsiedzi dwóch wątpliwej konduity indywiduów, podobniejszych raczej do bandytów, aniżeli do porządnych ludzi, zadrżeli ze zgrozy, uwydatniwszy te uwagi w języku łamanym.

— Dalej postępować, naprzód! — wołali sierżanci.

Łańcuch ludzi poruszył się o kilka kroków naprzód i znowu się potem zatrzymał: zbliżono się do trupa mężczyzny.

— Ten ma tylko jeden znaczek! — mówił podejrzany człowiek dalej — założyłbym się, że pod razami ani nie mruknął. Nieośledniа to ranka. Ale co on też ma na ramieniu.

Ostatnie słowa mówił cichszym już głosem nachylając się do samego ucha towarzysza.

— Zawrzyj sobie paszczę! odrzekł tenże w tym samym tonie — ja go poznaję.

— Ty?

— Tak jest!

— Byłże to więc który z akademji?

— Tak, staruszek z Poissy.

— Ja mu osobiście to piętno na skórze wycisałem; a to była w istocie robota nielada!

Towarzysz uszczypnął go w rękę dla nakazania milczenia.

— Naprzód, naprzód! — upominali strażacy.

Nową grupę sześciu osób jednemi drzwiami wpuszczono, podczas gdy się wcześniejsza innemi oddaliła.

Dwaj bandyci opuścili szybkim krokiem Morgę i poszli przez Quai de la Tournelle w kierunku ogrodu botanicznego.

— Czy się w istocie nie omyliłeś? — zapytał jeden drugiego — jesteś pewny, żeś ty z innymi kumotrami imię to na skórze wypisałeś?

— Więcej niż pewny, jeżeli prawdą jest, że się zowię Sylwanem Cornu. Byłem z kumotrem razem w Poissy, kiedy odbyłem moje pięć lat, jużci odtąd wiele wody do morza popłynęło. — Była to sztuczka, utrzymuję, że należał do bandy...

— To go pomimo to nie obroniła, wyziębnąć pod pewną ręką.

— Ha, musieli mieć pewnie przyczyny do tego.

— Słuchajno!

— No, cóż takiego?

— A gdybyśmy się też do prefektury zgłosili i bąknęli kilka słówek o tej historii — może wyznaczono jaką nagrodę.

— Ślicznie dziękuję, mój stary Gołubecie! Ani mi się o tem nie śniło.

— Wolę zawsze raczej iść ubocznemi drogami, niżli abym miał około prefektury przechodzić, a już do niej samej nie zwabi mię nikt na świecie. Hej, pytająż tam, ściskają i śrubują, niby pętlica człowiekowi gardło sznuruje. Dozwól, niechaj sobie tylko policja sama głowę łamie, my nie potrzebujemy jej powiadać naszych drobnostek. Bierz licho wszelkie donosy!

— Hm, obejrzawszy rzecz przy świetle, masz słuszność.

— Na wszelkie sposób.

— No, może się napijemy kubek wódki?

— Owszem, piszę się na to, to człowieka wewnątrz rozgrzewa.

Dwaj poczciwi poszli drogą ku dawniejszej końskiej targowicy i wstąpili do szynku ostatniego rodzaju.

Policja i sąd karny użyli wszelkich środków do wynalezienia śladów mordercy albo morderców, dotychczas atoli bez najmniejszego skutku a kierownicy sprawy poczęli się już niepokoić i niecierpliwić.

Jeden agent po drugim stawał w prefekturze, atoli ich sprawozdania nie dawały nawet jakiego takiego korzystnego skinienia, nie rozświecały na jotę ciemności, która zdawała się być niezgłębioną.

Dyrektor policji łamał sobie głowę dla wynalezienia środka, aby Jodoleta i Martela na jakiś trop naprowadzić — nie mógł nic skutecznego obmyślić.

Sędzia śledczy Paweł de Gibray, którego ambicję zawikłana w wysokim stopniu sprawa podrażniła, czynił również największe wysilenia dla odszukania kłębka Aryadny, któryby go mógł z labiryntu wyprowadzić, atoli i on nie był w tym względzie szczęśliwszym od policji.

Wydał on rozkaz, ażeby się policjanci w cywilnem ubraniu wciskali między tłumy ludzi, napływające do Morgi, ulicę Ernestyny i cmentarz Pere Lachaise. Wybrano w tym celu ludzi, którzy dla swej dobrodusznej powierzchności mogli wobec ciekawych uchodzić za niewiniątka i dlatego pod tą maską ukryci, zważać czujnie na każde wypowiedziane słowo dla pochwycenia przypadkiem jakiego cennego oświadczenia.

Ten tak pojedyńczy środek przyniósł był już często w podobnych wypadkach dobre owoce.

Jest to znanym faktem, że zbrodniarze zwykle, a nawet prawie zawsze dosyć są niezręczni i odwiedzają zwykle znowu widownię swej zbrodni, albo też przypatrują się trupowi swej ofiary —

zdaje się — jak gdyby ich do tego jaki niewytłomaczony instynkt wbrew rozumowi i woli popędzał.

Atoli i agenci, którym tę sprawę poruczono, powracali ze spuszczoną głową; nie usłyszeli oni nic, jak tylko próżne gadaniny, nic nie znaczące — albo wprost sprzeczne uwagi.

XXXIX

Po południu dnia następnego, właśnie gdy pan de Gibray miał się udać do domu, wezwał go prokurator do siebie, a on do niego natychmiast się udał.

— Czyś się pan o czem nowem dowiedział, kochany panie de Gibray? — oto były pierwsze słowa, jakiemi prokurator wchodzącego sędziego śledczego powitał, — czy panu jego zręczność albo przypadek nie podał do ręki jakiej przewodnej nici?

— Niestety nie! — westchnął pan de Gibray.

— A więc sprawa jeszcze ciągle na pierwotnem stanowisku?

— Wstyd, że to wyznać muszę.

— Ciągle jeszcze w ciemności?

— Tak, a nawet nie chce mi się udać, abym sobie wyrobił sąd o powodach podwójnego morderstwa. Jedno tylko zdaje się być pewnem, że obie zbrodnie jedna i ta sama ręka popełniła. Z początku sądziłem, że mamy szukać mordercę albo morderców w bardzo wysokich sferach, że się tutaj rozchodzi o interes familijny, albo też — że się tutaj chcą za jakąkolwiek cenę straszną tajemnicę wiecznym pokryć pomrokiem.

— A teraz pan tę myśl porzuciłeś?

— Tak, jabym ją porzucił.

— Dlaczego?

— Ponieważ pozór wszelki czyni ją nieprawdopodobną, a przynajmniej bardzo wątpliwą. — Zamordowani nie należą do wyższych stanów, mężczyzna jest tatuowany na ręce i nosił wraz z niewiastą nieznaczoną bieliznę.

— To jeszcze nie znosi pańskiego pierwotnego zdania, zamordowani mogli być służącymi znakomitych domów.

— Przypuszczam; dlaczego atoli mianoby mordować proste sługi?

— Ponieważ działali z polecenia swego państwa; ponieważ byli reprezentantami lub powiernikami familijnej tajemnicy, którą wraz z nimi na zawsze usunąć chciano.

— Służący znakomitych domów są znani bardzo wielu ludziom — a zatem poznanoby trupy ich w Mordze.

- A któż panu powiedział, że to nie nastąpiło?
- Przynajmniej nikt mi nie doniósł, że się to stało.
— Czy napływ ludzi w Mordze był bardzo wielki?
— Niezmierny. Sierżanci miejscy wpuszczali ciekawych zawsze tylko w grupach po sześć osób.
— A między tych widzów wmieszano także agentów policyjnych?
— To się rozumie!
— Któż tam był?
— Jodelet i Martel, obaj bardzo przemyślni ludzie, których prefektura wielce szacuje.
— Przemyślni ludzie; na to się z panem chętnie zgadzam — odrzekł prokurator — bądź co bądź zawsze tylko zwyczajni policyjni agenci, którzy są bardzo pożytecznymi, jeśli mają do czynienia z mordercami z profesji, z których przebiegłością są obznajomieni, których zwyczaje, rozrywki i kryjówki znają, na których rzemiosło, że się tak wyrażę, fabryczny stempel zbrodni bystre oko mają. W obecnym wypadku atoli nie mam zbyt wielkiego zaufania do ich zręczności. Nie mają oni pewności, chodzą omackiem, nie postępują naprzód i nie znajdują niczego dodatniego. Dla naszej sprawy potrzebujemy jednego z owych wyróżniających się policyjnych geniuszów, jakie się od czasu do czasu pojawiają. Tacy ludzie umieją każdą rolę odgrywać, nadać twarzy dowolne rysy i z równą pewnością obracać się tak w wysokich sferach, jak i wobec szanownego społeczeństwa. Posiadają oni dar jednym rzutem oka wyszukać przewodnią nić z powikłanego kłębka.
Węchem znajdują oni trop zbrodni, jak pies gończy trop drobnego zwierza. Z rodzaju rany wnoszą oni, jaka broń i która ręka ją zadała, — słowem zdaje się, iż z natury posiadają dar podwójnego wzroku. Takiego to policyjnego agenta byśmy potrzebowali.
— Takiego Lecoca, Żobena! — mruknął sędzia śledczy — coby naprawdę rychło wyjaśnili ten gruby pomrok zbrodni. Niestety, na razie nie posiadamy takich sił pierwszorzędnych.
Prokurator zapadł na chwilę w zadumę.
— Czy sobie pan przypadkiem nie przypomina jeszcze pani Rosier? — zapytał następnie.
— Pani Rosier? — powtórzył pan de Gibray, przywołując na pamięć przeszłość, która atoli zdawała mu nie dopisywać.
— Może ją sobie pan lepiej przypomina, aniżeli Almee Joubert! — mówił dalej prokurator.
— Nazwa ta jakoś zdaje mi się nie być obcą.
— Jest to naswiskd niewiasty, którą czatańskie machinacje złoczyńcy w takie podało podejrzenie, że musiała stawać przed sądem przysięgłych — oskarżona o morderstwo. Udało jej się z wielką trudnością udowodnić niewinność i została uwolniona. Odtąd przemyśliwała tylko nad tem, aby się pomścić na urzędnika, któ-

ry ją o mało pod szafot nie zaprowadził. Dla łatwiejszego odszukania go weszła w stosunki z policją i okazywała przytem rzadkie, znakomite uzdolnienie. Udało się jej też rzeczywiście znaleźć ślad znienawidzonego na śmierć człowieka i aresztować przez agentów — on atoli wymknął się im i mógł być tylko zaocznie na śmierć skazanym. Czy sobie teraz pan przypomina?

— Całkowicie! Przypominam sobie obecnie nazwisko Aimee. Joubert.

— Biedna niewiasta jest jedną z najuczciwszych, najszanowniejszych osób, jakie kiedykolwiek znałem — mówił dalej prokurator — zasmakowała ona w podniecającem, awanturniczem życiu policjantów tak dalece, że w charakterze pomocnicy została stale w służbie tajnej policji. Nasi ludzie przezwali ją „Kociem okiem", ponieważ nawet najciemniejszą sprawę równie jasno przejrzeć potrafiła, jak są w stanie koty widzieć w nocy. Zasłużyła się ona wielce w wypadkach kryminalnych, jak i w politycznych procesach, mianowicie także w czasie spisku Orsiniego; była ona „naturą", jak dzisiaj zwykle mówimy. Jobin Lecoq uważali ją za równie uzdolnioną, jak oni sami i bardzo ją szanowali. Niestety od 4 czy 5 lat porzuciła całkowicie służbę przy policji.

— A czyżby ją policja nie mogła znowu pozyskać?

— Wątpię o tem. Nalegano na nią wówczas bardzo silnie, aby pozostała nadal, atoli ona stanowczo obstawała przy tem, aby się usunąć.

— A możeby się przecie dała nakłonić do poświęcenia się wyjątkowo obecnej tylko sprawie.

— To co innego, może to uczyni. Na wszelki wypadek można się jej o to zapytać; a jeśli nie zechce wziąć w niej bezpośredniego udziału, przynajmniej nie odmówi swej dobrej rady.

— Czy ona w Paryżu przebywa?

— Mniemam, że tak, przynajmniej była tu przed rokiem jeszcze; wówczas bowiem przyszła do mnie dla zasięgnięcia mej rady w sprawie, która ją bardzo zajmowała. Zawsze zachowuję dla niej najwyższy szacunek, a ona o tem wie dobrze.

— Pan zapewne wywiera wpływ na tę niewiastę?

— Tak, ale tylko do pewnego stopnia.

— O, w takim razie użyj pan tego wpływu do nakłonienia Aimee Jouber, aby nam dopomogła. Uważam to za dobry znak, że pan o niej wspomniałeś. Gdzie Jodelet i Martel omackiem kroczą, tam jej oczy będą jasno widziały.

— Uczynię, co tylko będę mógł i spróbuję dziś jeszcze z nią się rozmówić.

Pan de Gibray powstał, aby się pożegnać, gdy wszedł sługa sądowy i prokuratorowi oznajmił, że dyrektor policji i komisarz sądowy proszą o posłuchanie. Prokurator wydał rozkaz wprowadzenia natychmiastowego tych panów. — oni też weszli w kilka minut

później w towarzystwie męża, którym był nie kto inny, tylko Letellier, handlarz wianków z ulicy Roquette.

— Cóż panowie przynosicie? zapewne dobrą nowinę! — przemówił do nich żywo prokurator.

— Tu jest pan Letellier, panie prokuratorze — przemysłowiec godny szacunku — odezwał się dyrektor policji, przedstawiając swego towarzysza — ten pan był właśnie w mojem biurze i udzielił mi zeznań, według których, jeśli się sprawdzą, dostaniemy w przeciągu godziny w ręce podwójnego mordercę z cmentarza Pere Lachaise i ulicy Ernestyny.

— Czy być może? — zawołał pan de Gibray, który nie mógł uwierzyć dobrej nowinie — czy się pan przypadkiem nie mylisz? — dodał, zwracając się do pana Letelliera.

— Mam wszelką pewność, panie prokuratorze! — odrzekł tenże.

— Na czem się zasadza pańskie przekonanie?

— Oto poznałem odnośnego człowieka, kiedy przed dwiema godzinami opuszczał cmentarz Pere Lachaise i do powozu wsiadał.

— Czy się pan też nie dał uwieźć przypadkowemu podobieństwu?

— Nie, panie prokuratorze, zbliżyłem się do niego i rozmawiałem z nim.

— Dlaczegoż go pan nie kazał natychmiast przyaresztować?

— Oglądałem się naokoło, ale jak daleko można było sięgnąć okiem, nie było widać żadnego miejskiego sierżanta, nadto próba przyaresztowania go byłaby narobiła hałasu, nastąpiło by było zbiegowisko, w którem bandyta mógłby łatwo znaleźć sposobność umknięcia. Uważałem tedy za rzecz rozsądniejszą ścigać go z oddalenia i wywiedzieć się, gdzie mieszka, albowiem on nie przeczuwa, że go odkryto i dlatego nie pomyśli o ucieczce.

— Aż dokąd podążyłeś pan za nim?

— Aż do hotelu Wielkiego.

— A czy on tam mieszka?

— Upewniłem się całkowicie pod tym względem.

— A to w jaki sposób?

— Spytałem się sługi hotelowego.

— Czy on jest Francuzem, czy obcokrajowcem?

— Jest Rosjaninem.

— Rosjaninem — powtórzył sędzia śledczy — to usprawiedliwia niezwykły obcokrajowy akcent, który wszyscy świadkowie u niego zauważyli.

— Jakże się nazywa ten Rosjanin?

— Nazywa się on prawdziwie, czy tylko fałszywie hrabią Smoiłowem.

— Powiadasz pan, że go poznałeś, a więc znałeś go pan poprzednio?

— Poznałem go jako tę osobę, która u mnie kupiła wianek nieśmiertelników, znaleziony w grobowcu.

— No, a on uznał, że ten wianek zakupił — dodał jako objaśnienie sędzia śledczy.

— Wydam natychmiast rozkaz stawienia go tutaj i jeśli to będzie możliwem przyaresztowania go.

— I ja też wydam moje rozkazy! — odparł dyrektor policji.

— Czy agenci, którychbyśmy do hotelu Wielkiego posłali, mają być gotowi do pańskiej dyspozycji, ażeby pochwycono przez pana wskazanego zbrodniarza? — zapytał sędzia śledczy pana Letelliera. — Możesz pan zażądać wynagrodzenia za stratę czasu.

— Nie mów pan o tem, panie sędzio śledczy — odrzekł pan Letellier w tonie bardzo poważnym. — Dzięki Bogu tak zbywa mi na niczem i nie żądam zapłaty. Znajdę nagrodę sowitą w tem, jeśli mi uda się oddać w ręce sprawiedliwości przebiegłego złoczyńcę.

— Dziękuję panu, panie Letellier i wyrażam panu moje uznanie za jego gorliwość i bezinteresowność. Przez pańskie łaskawe pośrednictwo będziemy wkrótce w stanie rozwiązać straszną krwawą zagadkę.

— Nie zapomnij pan przedsięwziąć dokładnej rewizji w pokojach Rosjanina w hotelu Wielkim — zalecił prokurator dyrektorowi policji.

— Bądź pan spokojnym, panie prokuratorze — rewizja będzie dokonana z największą starannością!

— Spiesz się pan, ażeby złoczyńca, zwąchawszy pismo nosem, nie miał czasu do zbiegnięcia.

Pan de Gibray udał się do swojej kancelarji i wydał polecenie przystawienia zbrodniarza dyrektor policji udzielił swym agentom potrzebne rozkazy i po upływie kwadransa ruszyły dwa powozy od pałacu sprawiedliwości ku hotelowi Wielkiemu.

XL.

Według życzenia pod sutanną i nazwiskiem opata Merisa ukrytego Verdiera, zjedli trzej stołownicy u Lartiguesa śniadanie jak najspieszniej i pożegnali się następnie dla zajęcia się rozwiązaniem przydzielonego sobie zadania.

Maurycy, który miał, odnaleźć adres architekta Bresollesa i postarać się o odpis metryki chrztu Symony, naturalnej córki Walentyny. Dharville udał się najpierw do czytelni na pl. Opery i zapytał, czy nie ma roczników czasopisma „Bottin“?

Otrzymał odpowiedź, iż się znajduje trzynaście roczników tego pisma.

— Trzynaście roczników — pomyślał sobie — o, to więcej tego, aniżeli mi do mych poszukiwań potrzeba.

Trzynaście roczników, uporządkowanych według porządkowej liczby lat złożono przed nim na stole, obciągnionych zielonem suknem a Maurycy rozpoczął badanie od najdawniejszego z roczników.

Pierwszy i drugi tom nie dawały żadnego wyjaśnienia. Bresolles albo zapomniał był o wciągnięciu swego nazwiska w księgę 100 tysięcy adresów, albo też go wydawcy w wydaniu nowego rocznika pominęli.

Przy trzecim tomie badacz był szczęśliwszym. Na stronnicach, zawierających adresy architektów, znajdował się wykaz: „Ludwik Bresolles, l. 23. bulwar de Filles du Calvarie".

Od tego czasu wprawdzie upłynęło jedenaście lat, w których pan Bresolles mógł był kilkakrotnie zmienić mieszkanie.

Maurycy zanotował sobie odszukany adres i sięgnął po dalszy tom rocznika „Bottin".

Trzy po sobie następujące tomy zawierały ten równobrzmiący wykaz w niezmienionej formie, w czwartym atoli zniknęło nazwisko z czasopisma.

Maurycy Vasseur odsunął od siebie ten tom ruchem zniechęcenia i wziął inny do ręki. Nazwiska w nim nie było, tak samo i w następnym. — Przejrzał on wszystkie roczniki aż do bieżącego, na ukończeniu będącego roku i nie znalazł już wykazu: „architekt Ludwik Bresolles". Człowiek, który tę nazwę nosił, musiał się cofnąć od interesów i zaprzestał być członkiem stowarzyszenia architektów w Paryżu.

— Miałżeby on osiąść gdzie na prowincji? — zapytał się Maurycy w duchu.

Poczem na nowo w duchu zaczął wertować roczniki, a mianowicie te, które w Paryżu nie zawierały nazwiska Ludwika Bresolles, w rubrykach, dających objaśnienie o przemysłowcach w departamentach. Atoli i tym razem nie doszedł do żadnego dodatniego rezultatu.

Zniechęcony Maurycy zamknął ostatni tom, zapłacił należytość, wsiadł do karetki i kazał się zawieść do domu nr. 23 na bulwarze Filles-du-Calvarie.

Daremna jazda!

Odkąd w domu tym mieszkał Ludwik Bresolles zmieniło się tutaj już trzech odźwiernych.

Obecny odźwierny nie pamiętał nie tylko mieszkania, ale nawet nazwiska Bresolla.

Wielce zmartwiony, zirytowany Maurycy wrócił do karetki, odsyłając do wszystkich djabłów ludzi, zmieniających mieszkania tak, że ich znaleźć nie było podobna, kiedy ich właśnie było potrzeba.

Jeszcze mu jedna pozostawała nadzieja: wpaść na jakiegoś budowniczego, który zachował stosunki z dawnym kolegą i mógłby mu podać jego adres.

Maurycy wstąpił do restauracji, kazał sobie podać piwa i poprosił o Bottina z ostatniego roku, wynotował nazwiska pół tuzina budowniczych i postanowił dowiadywać się o tych wszystkich.

Od pierwszego usłyszał:

— Nie wiem.

Taka sama była odpowiedź drugiego, trzeciego i czwartego.

Piąty wreszcie dał mu wiadomość.

Znał on Ludwika Bresolla i bardzo dobrze go zapamiętał.

Przypomniał też sobie, że jego kolega, otrzymawszy spodek dość znaczny, usunął się od czynności i od kilku lat nic o nim nie było słychać.

— Widocznie Bresolles wyjechał z Paryża i żyje z własnych funduszów na prowincji — dodał — był to człowiek spokojny i poważny.

W takim stanie rzeczy — powiedział sobie Maurycy, że trzeba na razie wstrzymać się z poszukiwaniami w tym kierunku i uciec się do innych sposobów dla odnalezienia męża Walentyny Dharville i ojca Marji Bresolles.

Daremne te poszukiwania zajęły dużo czasu.

Wybiła piąta.

Maurycy przypomniał sobie, że o tym czasie przyjechać ma do niego Oktawia.

Przyjechawszy do domu nie zastał jeszcze Oktawji.

Postanowił zaczekać, a tymczasem korzystając z samotności zdjął z półki w bibliotece pugilares, który położył tam między stosem starych gazet i broszur.

Wiemy, że pugilares ten mieścił w sobie oryginały tych dokumentów, których kopie zachował przy sobie Meris przy pierwszem widzeniu w hotelu Niderlandzkim.

Maurycy otworzył puglares i do spoczywających w nim papierów dodał list i kartkę, którą pokazywał Juljuszowi Termis i fałszywemu opatowi.

— Edgar Poe utrzymuje, że najtrudniej znaleźć rzeczy jak najgorzej schowane — szepnął do siebie — i dowodzi tego, ale ten pugilares, jak się mi zdaje, zanadto już źle ukryty. Trzeba go położyć w miejscu pewniejszem.

Wszedł do ciemnego pokoiku, który mu służył za garderobę.

Maurycy otworzył jedną z leżących tutaj starych waliz podróżnych, rozciął scyzorykiem grube płótno, jakiem obita była wewnątrz i wsunął pod nie cenny pugilares.

Zamknąwszy starannie walizę wrócił do swego gabinetu w tej właśnie chwili, kiedy dzwonek zwiastował, że ktoś przyszedł.

Otworzył drzwi od sieni: a w nich ukazała się Oktawia.

— Przyjechałam, ażeby słowa dotrzymać, rzekła do Maurycego — ale zaraz odchodzę. Cały dzień byłam bardzo zajęta; a teraz czas już ubierać się na obiad do hrabiego Iwana.

— Ciągle myślisz o hrabim! — zawołał Maurycy z uśmiechem.

— Cóż dziwnego, taki bogacz... no, do widzenia za dwie godziny u Brebanta!

Oktawia wyszła.

Maurycy troskliwie zajął się ubraniem, włożył ciepły paltot na frak i poszedł pieszo.

Znalazłszy się przy kościele Matki Boskiej loretańskiej — rzekł do siebie:

— Godzinę jeszcze mam czasu. Możeby odwiedzić poczciwą panią Rosier; tak się ucieszy, gdy mnie zobaczy!

Skierował się na ulicę Victoire.

W domu pod numerem 32 spytał odźwierną:

— Czy jest pani Rosier u siebie?

Niewiasta, która młodego mężczyznę znała, powitała go uprzejmem uśmiechem, odpowiadając: „Tak, tak, panie Maurycy, pójdźno pan tylko na górę, pani Rosier jest u siebie.

Maurycy podziękował i wszedł na drugie piętro; zadzwonił lekko po dwakroć u jedynych drzwi, które się w kilka sekund otworzyły.

— To pan Maurycy! — zawołała stara służąca, która drzwi otworzyła, zwracając głowę ku mieszkaniu, aby być lepiej słyszaną przez kogoś co się w niem znajdował. — Powinnam się była tego domyślić, jego to zwyczaj dzwonić po dwakroć. Proszę wejść panie Maurycy. —

Kiedy Maurycy wszedł do mieszkania, ona za nim drzwi zamknęła.

XLI.

Niewiasta, mogąca liczyć około 45 lat, wybiegła z rozjaśnionem obliczem i otwartemi ramionami na spotkanie gościa, objęła po macierzyńsku jego głowę obiema rękami i ucałowała go kilkakrotnie z namiętną czułością.

— Moje ukochane dziecko! — zawołała — nie spodziewałam się już dzisiaj ujrzeć cię i bardzo się z tego powodu smuciłam. Minęło sześć dni, jak u mnie nie byłeś; ach, czas dla mnie bardzo bardzo powoli upływa.

— I mnie tak samo się zdarza! — odrzekł Maurycy ze wzruszeniem, na pozór szczerem

— Czy to prawda? — zapytała pani Rosier z rozjaśnionemi oczyma.

— Przysięgam Ci!

— A więc dlaczego nie przyszedłeś?

— Bo nie mogłem.

— Człowiek może wszystko, jeśli tylko chce.

— Chciałem, ale natrafiłem za każdym razem w ostatniej chwili na przeszkody.

— Wierz mi i przebacz, dobra przyjaciółko. Pracowałem wiele dla mego dziennika, a oprócz tego miałem wiele zajęcia w ważnej sprawie.

— W sprawie poważnej?

— W sprawie nadzwyczaj poważnej, która mi prawdopodobnie piękny pieniądz przyniesie.

Podczas tej rozmowy prowadziła pani Rosier gościa do przyjemnej, ogrzanej jadalni, gdzie stół był nakryty.

— Tem lepiej, moje dziecko, tem lepiej! — odrzekła pani Rosier, ściskając powtórnie Maurycego. — Bliższe szczegóły opowiesz mi przy stole — bo przecież u mnie będziesz jadł obiad?

— Mocno nad tem ubolewam, że tego nie będę mógł uczynić!

— Dlaczego?

— Jestem zamówiony — będę jadł z przyjaciółmi u Brebanta.

— I z przyjaciółkami! — dodała pani Rosier, na której twarzy odmalował się pewien niepokój — jeden z tych obiadów, który się do północy przedłuża.

— Bądź spokojną; — odrzekł Maurycy z uśmiechem — będę rozsądnym i wcześnie udam się do domu.

— Obiecujesz mi to uczynić?

— Jak najmocniej.

— Staraj się tę obietnicę wypełnić, kochane dziecko, nie trwoń zdrowia, młodości i siły.

Chociażby człowiek był najzdrowszym — jedna nieoględność może najlepszą konstrukcję zrujnować. Jesteś zmęczonym, wyglądasz mi bledszym, niż zwykle.

Mówiąc to badała pani Rosier z gorączkowę uwagą rysy twarzy młodzieńca, w których się w istocie wielkie znużenie odbijało. W jej spojrzeniu widać było czułość, zakłopotanie, prawie trwogę.

Oczy niby łzami zamglone spoczywały na nim, nie, jak to czynią oczy przyjaciółki, lub siostry, ale jakimi matka spogląda na ukochanego syna. Trzymała ona w swojej rękę obok niej siedzącego młodzieńca i uścisnęła ją łagodnie.

Pani Rosier liczyła, jak to już wspomnieliśmy, czterdzieści pięć lat, wydawała się atoli o kilka lat młodszą. Była ona miernego wzrostu i posiadała jeszcze wysmukłą, gibką kibić. Bujny, kasztanowaty włos okalał wprawdzie nieregularne, ale bardzo delikatnie

wykrojone owalne oblicze o równie uroczym, jak rozsropnym wyrazie.

Najosobliwszą cechą tej twarzy atoli były oczy, niezbyt duże, ale cudownie spoglądające. Czasami zdawała się ich źrenica rozszerzać i kryć się w sobie niezmierną głębię. W takich chwilach zdawało się, że te oczy muszą jak kocie oczy w ciemności i w głąb duszy człowieka widzieć.

— Ty masz gorączkę, kochany Maurycy! — odezwała się pani Rosier do młodzieńca, albowiem uczuła, że jego ręce w jej ręku pałały.

— Ależ nie, zaręczam ci.

— Dlaczegóż zapierać? Czuję, że twoja skóra jest sucha, a tętno u ciebie za prędko bije.

— E! trochę znużenia!

— Wysilasz się w pracy i rozrywkach.

— Przyznaję, że mnie coś w ostatnich dniach bardzo zainteresowało. Wesoła wiadomość, którą ci oznajmię, ma z tem związek. Pewien bardzo bogaty Holenderczyk, były kapitan okrętowy, z którym przed rokiem często się stykałem, przybył znowu do Paryża na dłuższy pobyt dla studjowania w archiwum ministerjum marynarki, gdzie ma z polecenia swego rządu napisać obszerne dzieło. Przed dwoma dniami spotkałem się z nim przypadkowo, a on mi uczynił propozycję, abym u niego objął posadę sekretarza z bardzo dobrą płacą. Jest to posada, która mi nie tylko obecnie pieniądze przynosi, ale mi także przyszłość rokuje. Wkrótce nie będzie się mógł obejść bezemnie. Stanę się mu niezbędnym i będę mu wszędzie towarzyszył.

— Czy naprawdę zamyślasz Paryż opuścić? — zapytała żywo pani Rosier, blednąc.

— Na to tylko, oby odbywać chwilowe podróże, albowiem kapitan polubił Paryż i zamierza stale w nim zamieszkać; a więc nieustannie będę tutaj z nim powracał.

— O, takeś mnie tem przestraszył — mówiła dalej poczciwa kobieta z westchnieniem pełnem ulgi. — Widzisz, przyzwyczaiłam się do ciebie, mój Maurycy, kocham cię jak syna i na samą myśl, że przyszłoby się z tobą rozstać, łzy cisną mi się do oczu.

Rzeczywiście, pani Rosier obcierała zwilgotniałe oczy...

Maurycy pocałował ją.

— Nie martw się, kochana opiekunko, nie troszcz się — rzekł. — Przysięgam ci, że Paryża nigdy nie opuszczę na zawsze. Zbyt boleśnie byłoby mi się rozstać z tą, co tak szlachetnie zastąpiła mi matkę, której nigdy nej znałem..

Młody człowiek wymówił te wyrazy ze wzruszeniem, od którego głos mu drżał.

Nie ośmielimy się utrzymywać, aby to wzruszenie było szczere.

ale pani Rosier nie mogła temu nie uwierzyć i zawołała też, całując Maurycego w czoło:

— O! drogie, kochane dziecko, jakże szczęśliwą byłaby twoja matka, widząc cię tak dobrym i tak przywiązanym, tak pracowitym. — Jakże ci błogosławić musi tam z niebios, jak modli się do Boga, aby cię strzegł od wszelkiego złego.

Powściągnęła rozrzewnienie, ogarniające ją i zamieniając przedmiot rozmowy, mówiła dalej:

— Więc zostajesz sekretarzem u tego kapitana holenderskiego?

— Jutro już obejmuję obowiązki.

— A pensja ile wynosi?

— Ośm tysięcy franków.

— Ależ to wybornie! Przy twoich sześciu tysiącach da ci bardzo ładny dochód.

— Będę też odkładał.

Na usta pani Rosier wystąpił lekki uśmiech.

— Odkładać? — powtórzyła. — Co może zaoszczędzić człowiek w twoim wieku, łakomy na przyjemności; pozwól, że temu nie uwierzę. Przytem nie widzę w tem nic złego, że się bawisz, bylebyś tylko umiał zachować umiarkowanie we wszystkiem. Na szczęście praca dobrze hartuje, a ty lubisz pracować, chwała Bogu!... Rozumiesz, że próżniak nie spełnia swego zadania na tym świecie i nie może się mienić uczciwym...

— Naturalnie, że pojmuję i dowodzę tego, żyjąc tak, jak żyję.

— Nie myślisz żenić się? — spytała pani Rosier jakoś niespokojnie

— Wcale nie myślę, przynajmniej tak, jak teraz, a w tem idę za twoją radą. Ażeby się ożenić, trzeba mieć męstwo do pożegnania się ze swobodnem i wesołem życiem kawalerskiem, a ja wyznaję, nie mam tej odwagi. Zobaczymy później...

— Później... tak... później... — szepnęła pani Rosier i czoło jej nagle spochmurniało — a może nigdy — dodała. — Kto wie? może to nawet byłoby dla ciebie lepiej?

— Jednakowoż jeżeli między trzydziestym piątym i czterdziestym rokiem życia znajdę żonę bogatą, zdaje mi się, żeby to wcale nie zawadziło — wtrącił Maurycy.

— Tak, ale jest jeszcze na to czasu dziesięć lub piętnaście lat, to będziemy mogli jeszcze się namyślić.

— O! i bardzo dużo czasu! — odrzekł młody człowiek z uśmiechem.

Spojrzał na zegarek i wstał.

— Idziesz już? — spytała pani Rosier.

— Muszę. O ósmej siadają do stołu, a teraz tylko dziesięć minut brakuje. I tak się trochę spóźnię.

— Kiedy przyjdziesz do mnie?

— Za dwa, albo za trzy dni

— I ziesz ze mną obiad?

— Przyrzekam.

— A potem będziesz częściej przychodził?

— Jak tylko będę mógł najczęściej. Wiesz dobrze, moja droga opiekunko, jaka to dla mnie radość, gdy mogę się z tobą zobaczyć.

— Poczciwe dziecko.

Maurycy pocałował panią Rosier, która mu to odpłaciła z procentem i odprowadziwszy go następnie do sieni, patrzyła, jak ze schodów schodził, a gdy następnie znikł, wróciła do pokoju, upadła na krzesło, oczy zasłoniła rękoma i zapłakała.

Boleść biednej kobiety zwolna przeminęła, ale kiedy łzy jej wyschły, kiedy łkania przestały już wstrząsać piersią, twarz zachowała jednak ślady silnego cierpienia.

— Tak.. tak... potem, a lepiej nigdy... — wyszeptała głucho, dziko oglądając się dokoła.

Jeżeli się ożeni teraz, jeżeli się ożeni kiedykolwiek, trzeba będzie odkryć przed nim tę straszną tajemnicę, trzeba mu powiedzieć, że w więzieniu się rodził z ojca występnego... zabójcy!... że ojciec ten nazywał się Piotr Lartigues, że uciekł z galer, a matka jego, Aime Joubert, teraz znana pod nazwiskiem Rosier, piętnaście lat służyła w policji....

Powiedzieć mu to, mój Boże! Czyż wtedy kochać mnie będzie jeszcze to dziecko? Czy nie pogardzać będzie i przeklinać?

U drzwi zapukano z lekka.

— Wejdź — rzekła biedna kobieta.

Służąca otworzyła drzwi i zapytała:

— Można dać obiad? Późno już...

— Dobrze. Magdaleno, możesz już podać.

Pani Rosier przeszła do pokoju jadalnego i siadła przy stole sama jedna.

XLII.

Niechaj Maurycy jedzie sobie do Brebanta na wielki obiad, na który hrabia Iwan Smoiłow zaprosił w przeddzień gości wicehrabiego Guya d'Arfeuille.

Cofnijmy się trochę wstecz i towarzyszmy karetkom, które wiozły do hotelu Wielkiego naczelnika policji śledczej, komisarza do spraw sądowych, agentów, tudzież handlarza wianków z ulicy Roquette.

O wpół do czwartej obie karetki, ażeby nie zwracać uwagi, zatrzymały się na rogu bulwaru i placu Opery.

Agentom dano wskazówki do działania.

Jeden z nich iść miał z członkami sądu do hotelu.

Innych rola polegała na tem, ażeby pilnować okolic hotelu i przybiec na pomoc, jeżeli sygnał ich wezwie.

Letellier naturalnie towarzyszył naczelnikowi policji śledczej.

Ten wszedł sam do kantoru hotelu Wielkiego.

— Łaskawy panie — rzekł do znajdującego się tam kontorzysty — czy macie tu panowie jakiego podróżnego hrabiego Smoiłowa?

Kantorzysta, nie zajrzawszy nawet do księgi, odpowiedział:

— Mamy, młody Rosjanin, bardzo bogaty.

— Czy jest teraz u siebie?

— Zaraz panu powiem.

Kantorzysta nacisnął dzwonek elektryczny, potem przyłożył usta do tuby akustycznej i wymówił kilka słów, poczem nadstawiwszy ucha do drugiej tuby, rzekł głośno:

— Nie. Hrabia Smoiłow wyszedł przed pół godziną.

— Na pewno?

— Z pewnością. Pytałem dyżurnego na piętrze, gdzie hrabia mieszka.

— Bardzo dobrze. Teraz niech mi pan z łaski swojej pokaże książkę, do której panowie zapisujecie podróżnych.

Kantorzysta z widocznem zdziwieniem spojrzał na mówiącego i zawołał:

— A jakie to prawo ma pan zaglądać do książki?

— Jestem naczelnikiem policji śledczej.

— W takim razie muszę się zastosować do pańskiego żądania. Oto książka.

— Niech pan z łaski swojej wyszuka, co napisane jest o tym Rosjaninie.

— Mam.

— Może pan przeczyta głośno.

— Hrabia Iwan Smoiłow, poddany rosyjski. Przyjechał z Petersburga. Papiery w porządku.

— Kiedy tutaj przyjechał?

— Szesnastego grudnia, więc będzie temu tydzień.

— Znałeś pan dawniej tego człowieka?

— Nie.

— Czy nigdy przedtem nie był w Paryżu?

— Przynajmniej nigdy nie stawał w „Hotelu Wielkim".

— Wie pan, gdzie on jest teraz?

— Jakżeż mogę wiedzieć, kiedy nie wiedziałem nawet, że wyszedł...

Jak pan sądzi, wróci na obiad?

— Chyba, że nie.

— Więc nie jada w tutejszej restauracji?

— Śniadania jada, ale obiadów nigdy.

— A może pan wie, gdzie się on stołuje?

— Nie. Wiem tylko, że wczoraj jadł obiad u Brebanta z przyjaciółmi i wrócił bardzo późno w nocy.

— Pod którym numerem stoi?

— Zajmuje cały apartament pod nr. 53.

— Każ pan mnie tam zaprowadzić.

— Ależ — odezwał się kantorzysta wystraszony.

— Niech się pan o siebie nie lęka — rzekł. — Jest ze mną komisarz do spraw sądowych i działamy z mocy odpowiedniej władzy. Oto rozkaz aresztowania hrabiego Smoiłowa, a ja z innymi agentami odbyć mam rewizję w jego mieszkaniu.

— Jestem posłuszny, zaraz pana zaprowadzę. Ale tu musi być jakieś nieporozumienie, jakaś omyłka.

— Nie sądzę.

— Niepodobna, ażeby hrabiemu Smoiłowi można było coś zarzucić, to dżentelmen prawdziwy, a przytem jaki bogacz!

— Tem dla niego lepiej! Bądź pan przekonany, że niepokoić go nie będziemy, jeżeli ma czyste sumienie.

Kantorzysta znowu trzykrotnie nacisnął dzwonek elektryczny.

Do kantoru wszedł służący.

— Zaprowadź tego pana do mieszkania hrabiego Smoiłowa, pod numer 53 — rzekł kantorzysta.

I dodał cicho, zwracając się do naczelnika policji śledczej.

— Będę pana prosił, abyście panowie działali w sekrecie tak, żeby się nikt nie dowiedział. Rewizja policyjna, pan sam wie, zawsze sprawia złe wrażenie, zwłaszcza w takim zakładzie, jak nasz.

— Bądź pan spokojny, wszystko odbędzie się po cichu, bez rozgłosu, przyrzekam panu. — A pana proszę, jeżeli Rosjanin powróci, kiedy będziemy jeszcze u niego, zatrzymać go na chwilę.

— Liczę na pana tem bardziej, że prawdopodobnie mamy do czynienia z łotrem pierwszego stopnia.

— Hrabia Smoiłow łotr!... — przerwał kantorzysta zdumiony.

— Niema wątpliwości — mówił dalej naczelnik policji śledczej — i jeżeli pan umożliwisz mu ucieczkę, staniesz się niejako jego wspólnikiem.

— O! ani sobie życzę. Mój Boże, komu to już teraz wierzyć?

— Proszę — rzekł służący, — zaprowadzę pana.

Wyszedłszy z kantoru, sędzia śledczy zatrzymał się przy gromadce, złożonej z komisarza do spraw sądowych, Letelliera i agenta Jodeleta.

— Nie ma go w domu — rzekł. — Pan Letellier niechaj zostanie tu z Jodeletem, ażeby go poznać, kiedy wróci i ująć, jeżeli będzie chciał uciec.

— Bardzo dobrze — odpowiedział agent.

— A my tymczasem dokonamy rewizji w mieszkaniu tego pana, którego tu bardzo poważają. Nie traćmy czasu. Chodźmy.

Służący zaprowadził naczelnika policji śledczej i komisarza do spraw sądowych pod nr. 53, kazał dyżurnemu koledze na pierwszem piętrze drzwi otworzyć, a sam odszedł.

Po wejściu do apartamentu, przybyli nic podejrzanego nie dostrzegli.

W przedpokoju wisiało rozmaite ubranie.

Naczelnik policji śledczej obejrzał je uważnie, ale nie mógł znaleźć ani najmniejszej plamki krwi.

Obejrzano meble.

Szuflady w stołach były puste.

Dwa duże kufry podróżne stały otwarte.

W jednym z nich leżały ubrania wierzchnie i futra, w drugim bielizna z cyfrą J. S. i koroną hrabiowską.

Ani papierów, ani broni nie było.

Najściślejsza rewizja żadnych nie dała rezultatów.

Naczelnik policji śledczej przywołał dyżurnego.

— Nie wiecie — zapytał — czy podróżny, który tu mieszka, nie oddawał wczoraj lub dziś zrana bielizny do prania?

— Dziś rano dał trzy koszule dzienne, trzy nocne i sześć chustek do nosa. Sam nosiłem bieliznę do praczki.

— Nie zauważyliście, czy na gorsie koszuli lub na rękawach były plamy czerwone, podobne do krwi?

— O! nie! Hrabia Smoiłow zmienia bieliznę codzień. Koszule jego tak czyste są, gdy oddaję je do prania, jak kiedy je na siebie kładzie.

Naczelnik policji śledczej i komisarz do spraw sądowych wrócili do Letelliera i Jodeleta.

— Pozwoli mi pan naczelnik zapytać, czy znaleźli panowie jakie ślady? — odezwał się Jodelet.

— Żadnych. Mamy do czynienia z łotrem, który o wszystkiem myśli i nie zaniedbuje żadnych ostrożności.

— E! ale będzie musiał wszystko wyśpiewać, jak go złapiemy!

Naczelnik spojrzał na zegarek i rzekł:

— Szósta. Nigdy tu nie jada obiadu. Prawdopodobnie nie wróci.

— Mówiłem panu naczelnikowi — ośmielił się wtrącić handlarz wianków — że widziałem, jak wstąpił do Brebanta.

— A wczoraj jadł tam obiad — zawołał naczelnik policji śledczej — może i dzisiaj tam zajada.

— Bardzo być może.

— Jodelet, siadaj do jednej z naszych karetek i jedź do Brebanta. Tam dowiesz się, czy nie znajduje się taki a taki Rosjanin.

Agent oddalił się pospiesznie.

— A my panowie — mówił dalej naczelnik policji śledczej — uzbrójmy się w cierpliwość i wsiądźmy do drugiej karetki, której każemy podjechać do hotelu, ażeby pilnować wejścia.

Co powiedziano, to uczyniono. Upłynęło pół godziny, trzy kwadranse, wreszcie godzina.

Hrabia Iwan Smoiłow nie wracał i nie widać też było Jodeleta.

Zmrok zapadał. Na bulwarze już wszędzie palił się gaz. Nareszcie zjawił się Jodelet.

— I cóż? — zapytał naczelnik.

— Będziemy go mieli.

— Czy to nadzieja, czy pewność?

— Pewność!

— Brawo! Więc dokąd mamy jechać?

— Do Brebanta.

* * *

Było trzy kwadranse na ósmą.

Wielkie oburzenie panowało w restauracji na bulwarze Poissoniere. W sali, którą czytelnicy nasi już znają, znajdowali się prawie wszyscy młodzi ludzie, co w przeddzień będąc gośćmi wicehrabiego Guya d'Arfeuilla, teraz stali się gośćmi hrabiego Iwana Smoiłowa.

Dwóch tylko osób brakowało, Maurycego, zwykle punktualnego i barona Pascala de Landilly, który zawsze się spóźniał.

Rozmowa toczyła się o błahych rzeczach, goście jedli zakąski, gawędząc o skandalach paryskich, nowych sztukach i maskaradach, które wkrótce zacząć się miały w nowej Operze.

Tylko Rosjanin i Oktawja nie brali udziału w tej ogólnej rozmowie. Siedząc na kanapie obok młodej kobiety, młody Rosjanin wyglądał na bardzo zakochanego.

Oktawja uśmiechając się, słuchała komplementów, jakiemi ją obsypywał z porywającą wymową.

Drzwi się otworzyły od sali i wszedł nareszcie Maurycy z Paskalem de Landilly.

Maleńka ptasia głowa tego ostatniego znikała literalnie w ogromnym szalu i podniesionym kołnierzu paltota.

A, moi drodzy, co za czas, co za czas — rzekł naderwanym

głosem — gotówbym się założyć, że dziś czterdzieści stopni zimna
Człowiek w lód się zamienia.

Maurycy nie mówił nic, tylko uścisnął ręce — które doń si wyciągały.

Starszy garson oznajmił, że podano do stołu.

Każdy z współbiesiadników poprowadził damę pod rękę i prz szli do rzęsiście oświetlonej sali, gdzie był stół nakryty. Zaraz p zupie zawołał Paskal de Landilly:

— Wystawcie sobie, moi mili, że byłem dziś w bardzo intere sującem miejscu. Zgadnijcie! Nie... nie odgadniecie! byłem w Mor dze, słowo honoru pyszna myśl... Widziałem kobietę z cmentarza Pere Lachaise i mężczyznę z ulicy Ernestyny. Bardzo ciekawy wi dok i wierzcie mi bardzo wzruszający. Zimno się człowiekowi robi.. Wystawcie sobie, że ci nieszczęśliwi....

— Ależ dosyć już, dosyć! — przerwała Adela Desirac — któż to o Mordze opowiada przy obiedzie, to apetyt odbiera.

— Dobra jest, słowo honoru, ale ma słuszność! — rzekł Paskal. — Dajmy pokój tej ponurej historji. W nocy Bóg wie, co mi się o niej śniło. Otaczały mnie zewsząd trupy, a później przyszedł komisarz, żandarmi, agenci, cała prefektura.

Ledwie Paskal de Landilly domówił tych słów, gdy otworzyły się drzwi od sali.

Przesasany wstęgą urzędową, wszedł przez nie komisarz do spraw sądowych, potem naczelnik policji śledczej, potem Letellier, Jodelet, a za nimi kilku agentów.

Na widok ich wszystkich biesiadników ogarnęło zdumienie, dochodzące aż do osłupienia.

Maurycy zbladł jak płótno. Po raz pierwszy drżeć począł.

Musiał za krawędź stołu uchwycić się, ażeby nie upaść.

— Gdybym mógł uciec — pomyślał.

Ale ucieczka była niemożebną — niemożebną fizycznie.

Agenci obstawili wszystkie wyjścia i zapewne mieli polecenie nikogo nie wypuszczać.

— Złapałem się — pomyślał morderca — ale mnie żywego nie wezmą. Postawiłem na kartę całe swe życie i przegrałem... co się należy zapłacę... umrę ale nie na rusztowaniu.

Wziął ze stołu nóż, aby zatopić go w sercu, w chwili, gdy dotknie się jego ramienia ręka agenta.

Wszystko to odbyło się o wiele prędzej, niż zdążyliśmy opowiedzieć.

W sali głęboka panowała cisza. Słychać było tylko przyspieszony oddech obecnych.

XLIII.

Hrabia wstał bardzo spokojnie i zwracając się do tego, który szedł pierwszy we wstędze trójkolorowej, będącej oznaką urzędu, zapytał:

— Kto pan jesteś i czego pan sobie życzy?

— Jestem komisarzem do spraw sądowych — odparł tenże — i chciałbym wiedzieć, kto z panów jest hrabią Smołłowem.

— Ja nim jestem! — odpowiedział hrabia Iwan.

— Tak, to on — szepnął Letellier do ucha komisarza.

Ten przystąpił do hrabiego i wyrzekł uroczyście:

— W imieniu prawa aresztuję pana!

Gdyby piorun uderzył w stół wśród biesiadników, nie sprawiłby takiego wrażenia, jak te proste słowa. Z ust wszystkich wyrwał się okrzyk przerażenia.

Tylko jeden Maurycy poczuł niewysłowioną ulgę. Wypuścił nóż, który konwulsyjnie trzymał w palcach i po raz pierwszy od kilku sekund odetchnął pełną piersią.

Hrabia zbladł wielce.

— Ja mam być aresztowany! — zawołał z pogardliwą dumą — oszalałeś pan! Jakiem prawem mnie pan aresztujesz?

— Mam przy sobie rozkaz.

Wicehrabia Guy d'Arfeuille uznał za właściwe się wmieszać.

— Panie komisarzu — rzekł — nikt bardziej odemnie nie szanuje prawa i jego przedstawicieli, ale pozwól pan sobie powiedzieć, że zapewne omyłka jakaś tu zachodzi, podobieństwo jakieś pozorne, które łatwo da się wyjaśnić. Przyjaciel nasz stoi po nad wszelkie podejrzenia i...

— Milcz pan! — przerwał sucho komisarz — Nie będę się z panem wdawał w rozprawy.

— O cóż więc jestem oskarżony? — zapytał hrabia, pozornie zachowując spokój, choć usta i ręce mu drżały.

— Nie do mnie należy mówić o tem panu.

— Ale ja wiedzieć chcę.

— O, bądź pan spokojny, dowiesz się pan wkrótce, kiedy pan udajesz, że nie wiesz o niczem.

— Nie wiem, przysięgam panu.

— Niech i tak będzie.

— Powiedz mi pan przynajmniej, co pan chce ze mną zrobić?

— Sędzia śledczy panu powie. Chodźmy. Najprzód zaw[illegible]iemy pana do aresztu w prefekturze.

— Do aresztu w prefekturze! — powtórzył hrabia ze wstrętem.

— Niedługo pan tam zostaniesz. Proszę z nami.

— Jestem posłuszny, ponieważ trzeba ustępować sile, a siła po stronie panów, ale pozostaje w najwyższym oburzeniu. Aresztując mnie niewinnego cudzoziemca, dopuszczacie się bezprawia! Wstyd i hańba spadną na was! Przyjaciele moi, goście! — zwrócił się hrabia do otaczających go przerażonych mężczyzn i kobiet — okropna omyłka, której stałem się ofiarą, nie może trwać długo. Nie żegnam was, ale tylko mówię do widzenia, do widzenia, i to wkrótce.

Potem zbliżając się do komisarza, rzekł:

— Łaskawy panie, gotów jestem iść.

Wicehrabia Guy d'Arfeuille w milczeniu uścisnął rękę hrabiego, który następnie wyszedł z agentami.

W pół godziny zawieziono go do aresztu w prefekturze.

Wszedłszy do chłodnej ponurej izby więziennej, hrabia zapytał:

— Czy tutaj noc przepędzę?

Nie odpowiedziano mu, tylko drzwi zatrzaśnięto i pozostawiono go samego.

Komisarz do spraw sądowych wychodził wraz z naczelnikiem policji śledczej, gdy podano list jakiś. Sędzia śledczy pisał do niego:

Paweł de Gibray ciekawy był dowiedzieć się o rezultacie rewizji w hotelu Wielkim, a przekonany, że zbrodniarza już aresztowano, donosił naczelnikowi policji, że go zastanie w sądzie w gabinecie, gdzie przez cały wieczór czekać będzie na wiadomości.

Naczelnik policji i komisarz natychmiast pojechali do sędziego śledczego, który powitał ich temi słowy:

— Jak się macie panowie, a co złapaliście zbrodniarza?

— Złapaliśmy — rzekł komisarz.

— Aresztowany?

— Od godziny.

Naczelnik policji śledczej opowiedział, jak aresztowanie odbyło się w restauracji Brebanta podczas obiadu.

— Wzięliście panowie adresy gości tego prawdziwego czy fałszywego hrabiego?

— Nie. Ale nam wiadome ich nazwiska. To są ludzie znani, których w razie potrzeby łatwo będzie znaleźć.

— Czy siedzi w oddziale sekretnym?

— Naturalnie.

— Rewidowano go przy panach?

— Przy nas.

— Przy rewizji nie znaleziono nic ważnego?

— Nie otwieraliśmy jeszcze pugilaresu, który mu odebrano. Przynieśliśmy go panu razem z portmonetką i zegarkiem.

— Dajcie, panowie, pugilares, obejrzymy go razem.

Naczelnik policji położył wszystkie przedmioty rzeczone na stole przed sędzią śledczym.

Zaczęto oglądać pugilares. Był on skórzany, okuty w srebro. Znajdowały się na nim pierwsze litery: J. S. z hrabiowską koroną.

Gibray otworzył pugilares.

W pierwszej przegródce było dwadzieścia pięć biletów banku francuskiego po tysiąc franków każdy, dwa bilety pisane po rusku i kilka biletów wizytowych z nazwiskiem hrabiego Iwana Smoiłowa.

W drugiej przegródce znajdował się klucz.

Paweł de Gibray wziął go do ręki.

— To klucz od grobowca! — rzekł, przypatrzywszy mu się bliżej.

Naczelnik policji śledczej z kolei obejrzał klucz i rzekł:

— I ja tak samo myślę.

— Zaraz się przekonamy — mówił dalej sędzia śledczy.

Zamek od drzwi żelaznych grobowca był odjęty i leżał na biurku z innemi dowodami rzeczowemi.

Gibray bez żadnej trudności włożył klucz w ten zamek, przekręcił go i otworzył z łatwością.

— Widzisz pan, że się nie omyliłem — wyrzekł — to klucz do grobowca. Wątpliwości nie może być najmniejszej. Morderca w naszem ręku.

— W oczy to bije — potwierdził naczelnik policji śledczej.

Obejrzano pugilares do reszty, ale w nim już nic więcej nie znaleziono.

— Dzisiaj pan będzie badał jeszcze przestępcę? — spytał naczelnik.

Gibray spojrzał na zegarek.

— Jedenasta — odrzekł — zdążymy i jutro. Zresztą badanie będzie łatwe, a śledztwo zostanie wkrótce ukończone. Przestępca wobec wszystkich dowodów, przeciw niemu świadczących nie będzie w stanie się bronić!

— O! — szepnął naczelnik policji śledczej — niech pan sędzia na to nie liczy!

— Dlaczego?

— Pomimo wszystko będzie się bronił... i to jak sam szatan. Dziwnie zimną krew ma ten człowiek.

Gibray uśmiechnął się.

— Jeżeli bronić się będzie — tem lepiej! Im więcej trudności, tem cenniejszem jest zwycięstwo.

Portmonetka również skórzana, jak i pugilares, zawierała w sobie dziesięć podwójnych luidorów i dwa bilety po pięćset franków. Były na niej także pierwsze litery srebrne I. K. S. z koroną hrabiowską.

—Takież litery i korona widniały wyrżnięte na kosztownym chronometrze.

— Przestępca w naszem ręku, to rzecz widoczna — mówił da

lej naczelnik policji śledczej — ale ja bądź co bądź nie widzę przyczyny zbrodni.

— O tem dowiemy się wkrótce — odparł Gibray — i wszystko mi mówi, że pierwsze me domniemania były słuszne. Bądźcie panowie pewni, że w tej sprawie kryje się tajemnica jakiejś arystokratycznej rodziny.

— Więc pan sądzi, że morderca jest rzeczywiście Rosjaninem i prawdziwym hrabią?

— Napewno nie wiem, ale dlaczegoby tak nie miało być? W iluż procesach kryminalnych występują ludzie bogaci i z najarystokratyczniejszych rodzin?

Naczelnik policji śledczej uważnie przyglądał się pugilaresowi, portmonetce i zegarkowi.

Mnie jedna rzecz dziwi — rzekł nagle.

— Co takiego? — zapytał sędzia śledczy.

— Człowiek, którego aresztowano, nazywa się, a przynajmniej podaje się za hrabiego Iwana Smołłowa.

— Więc cóż z tego?

— Otóż te trzy przedmioty, które mamy przed sobą, wcale do niego nie należą.

— Dlaczego?

— Dla bardzo prostej przyczyny. Na każdej z tych rzeczy są trzy pierwsze litery, to jest cyfry; otóż jedna z nich K nie oznacza przecież ani Iwana, ani Smołłowa.

— To prawda — rzekł Gibray — muszę to wyjaśnić.

— Da nam pan jakie zlecenia? — spytał komisarz.

— I owszem. Czemprędzej chcę urządzić konfrontacje, będę więc panów prosił wezwać świadków, których listę zaraz napiszę.

— To się zrobi.

W dziesięć minut później rozstali się trzej panowie.

Powrócimy do Iwana Smołłowa.

Wiemy, jak małomównym był wobec niego komisarz i że dotychczas nie otrzymał żadnych wyjaśnień co do przyczyny swego aresztowania.

Przekonany, że jest ofiarą omyłki, możebnego podobieństwa w powierzchowności, lub nazwiska, myślał, że niezawodnie zwolniony będzie nazajutrz, jak tylko zbadany zostanie i przyrzekł sobie, że poda skargę na tych, którzy z lekkomyślnością niemożebną do przebaczenia obeszli się z nim, jak z przestępcą.

Jednakowoż, chociaż sumienie nic mu nie zarzucało, nie mógł poskromić pewnego niepokoju na myśl, że sprawiedliwość ludzka wcale nie jest nieomylną, że zdarzają się omyłki sądowe, że wielu już niewinnych odcierpiało za winnych.

Straszną przepędził noc.

Minuty wydawały się godzinami, i chętnie oddałby wieksza

część swego majątku, ażeby przyspieszyć chwilkę pójścia do sędziego śledczego.

Wkrótce potem, jak rozedniało, usłyszał trzask klucza w potężnym zamku.

Drzwi otworzyły się....

Wszedł woźny.

Iwan zaczął się wypytywać, ale nie otrzymał żadnej odpowiedzi, bo woźnemu nakazano milczenie.

To uporczywe milczenie jeszcze bardziej rozdrażniło hrabiego i z trudnością zdołał hamować swój gniew.

O godzinie dziewiątej przyniesiono mu jedzenie, którego nie tknął.

W dwie godziny później drzwi się znowu otworzyły i wszedł dozorca więzienny z dwoma żołnierzami.

— Czego chcecie? — zapytał Rosjanin.

— Ma pan być zaprowadzony do sędziego śledczego.

A! nareszcie — zawołał młodzieniec — jestem gotów...

Rzucił się do wyjścia.

Dozorca zatrzymał go i rzekł z brutalnym śmiechem:

— Pozwól pan, niech się pan nie spieszy, trzeba wprzód dopełnić maleńkiej formalności.

I z miną drwiącą potrząsał stalowym łańcuchem, który trzymał w ręce.

Hrabia spojrzał na niego i nie zrozumiał.

— Formalność? — szepnął.

— A tak!

— Jaką?

— Włożymy panu kajdanki.

Hrabia zbladł i cofnął się o krok jeden.

— Ja mam włożyć na siebie kajdanki... nigdy!...

— E! tylko pan nie rób grymasów! — sucho rzekł dozorca. — Co tu gadać! tu trzeba robić co każą! Ja także spełniać muszę rozkazy. Rodzonemu ojcu włożyłbym kajdanki gdyby kazano. I panu włożę przemocą, jeżeli dobrowolnie nie zechcesz. No, dawaj pan ręce, a prędzej!

Hrabia, nie posiadając się z gniewu, patrzył na ordynarnego człowieka.

Jak w przeddzień, kiedy go przyszli aresztować, tak i teraz zrozumiał, że wszelka walka z przemocą jest niemożebna i skończyć się może tylko sromotną porażką.

Lepiej było ustąpić i w ten sposób położyć kres strasznemu położeniu.

Nie mówiąc już ani słowa, z pogardliwym uśmiechem podał ręce dozorcy; pomimo jednak zupełnej cierpliwości, w jaką się chciał uzbroić, wzdrygnął się całem ciałem, gdy stal dotknęła jego rąk, pałających od gorączki.

Operacja ta trwała najwyżej sekundę.

— W drogę! — zakomenderował jeden z żołnierzy.

Hrabia idąc naprzód, a za nim żołnierze — przeszedł nieznaczone korytarze i schody, aż wreszcie znalazł się na galerji, przy której mieściły się biura sędziów śledczych.

Otworzyły się drzwi od jednego z gabinetów.

Iwan Smoiłow, którego popchnął naprzód jeden z żołnierzy, przestąpił próg.

Był tu już sędzia śledczy de Gibray i siedział przy stole zawalonym papierami i rozmaitemi przedmiotami.

Pisarz siedział obok przy biurku.

Wszedłszy do pokoju, hrabia zlekka się ukłonił.

Sędzia śledczy bystro spojrzał na powierzchowność obwinionego. Potem wzrok jego zatrzymał się na twarzy człowieka, którego uważał za wielkiego zbrodniarza i którego duszy straszne tajemnice miał wyprowadzić na jaw.

Z twarzy tej bladej nie podobna było nic odgadnąć, wyrażała chłód marmurowy lub żelazny

— Czy znajduję się przed sędzią? — zapytał hrabia z dumną grzecznością.

— Znajdujesz się pan przed sędzią śledczym który winien pana wybadać, a któremu odpowiadać jest pan obowiązany — rzekł Gibray.

— Odpowiadać i owszem — odrzekł Rosjanin. — Dla czegobym odpowiadać nie chciał, kiedy nie mam się z czem kryć. Wprzód jednak pragnąłbym się dowiedzieć, jakiem prawem policjanci pańscy ośmielili się aresztować mnie, wtrącić do więzienia i shańbić, okuwszy mi ręce, jak gdybym był złodziejem lub zabójcą!

Póki Iwan mówił, sędzia śledczy nie spuszczał z niego oczu.

Przekonany, że ma przed sobą nikczemnego sprawcę podwójnego morderstwa na cmentarzu Pere Lachaise i ulicy Ernestyny, dziwił się zimnej krwi, a jednocześnie takiemu cynizmowi.

— Moi policjanci, jak się pan wyrażasz — powtórzył, umyślnie kładąc nacisk na tych dwóch wyrazach — wykonali rozkaz, wydany im w imieniu przedstawiciela sądu i prawa.

— Cóż to za przedstawiciele?

— Ja!

W takim razie przed panem skarżyć się będę na ten oburzający postępek, jakiego się dopuszczono względem mnie, cudzoziemca, i to w kraju słynnym z gościnności.

Wczoraj wieczorem aresztowano mnie wśród przyjaciół, zaproszonych na obiad. Ażeby aresztować szlachcica przy takich nadomiar okolicznościach, trzeba mieć poważną przyczynę.

Ażeby postępować z nim, jak ze złodziejem lub mordercą, trzeba go oskarżyć o kradzież lub morderstwo. A mnie o co pan oskarża?

— Rzeczywiście to rzecz osobliwsza. Role zmieniły się. Łotr zamiast stać ze schyloną głową, sam bada, a ja mam odpowiadać. Co za zuchwalstwo!

Jednocześnie na twarzy jego malowało się oburzenie i pogarda. Podwójny wyraz ten nie uszedł rozumnym oczom Iwana Smołowa, który jeszcze bardziej się przeraził:

— Więc coś ważnego jest? Czyżby istotnie uważał mnie pan za złoczyńcę?

XLIV.

Maurycy dnia tego wstał wcześnie i posłał po dzienniki.

Spodziewał się tam znaleźć, nietylko szczegóły śledztwa w sprawie podwójnego morderstwa, którego był sprawcą, ale i wiadomości o przyczynie aresztowania, które się w przeddzień odbyło w jego oczach.

Jakież było jego zdziwienie, gdy przeczytał tylko niewyraźne wzmianki w ogólnikowych wyrażeniach, donoszące jedynie, że policja ujęła sprawcę zabójstwa na cmentarzu Pere Lachaise i ulicy Montergueil. Gazety nie wymieniały nazwiska aresztowanego.

Maurycy domyślał się, że idzie tu o hrabiego.

— Skąd jednak się wzięła ta omyłka? — pytająco zagadnął sam siebie.

Nagle przyszło mu na myśl, że miał na sobie perukę blond, wąsy jasne, faworyty jasne i binokle tak, jak rosyjski hrabia.

Przejrzałem się kilkakrotnie w lustrze — mówił dalej — i pamiętam, jak wyglądałem, rzeczywiście, byłem zupełnie do niego podobny. Przytem mówiłem akcentem, który choć nie ze wszystkiem był, miał wiele doń podobieństwa. Tak, musiano go wziąć za mnie. Świadkowie oznajmili, że poznali blondyna, którego policja ujęła. Jestem ocalony.

Maurycy potarł czoło i mówił dalej po chwili:

— Ale jakim sposobem złapał się ten Rosjanin w Paryżu przecież bardzo wielu jest blondynów z faworytami i w binoklach. Tego rozumieć nie mogę. Niewinniejszym będąc od nowonarodzonego niemowlęcia, z łatwością dowiedzie, że w tymże czasie znajdował się w innem miejscu, policja go uwolni i znowu poszukiwania rozpocznie. Co mnie to obchodzi. Agenci znów wpadną na ślad blondyna, a ja nie zostawiłem żadnych poszlak po za sobą. Labirynt bez wyjścia, a nitki Aryadny niema!

Maurycy ubrał się i poszedł na ulice Surennes.

Kapitan Van — Broke, albo raczej Lartigues znajdował się w towarzystwie Verdiera, fałszywego opata Merissa.

— Jak się masz młody przyjacielu! — odezwał się doń Lartigues.

— Dobrze, kapitanie.

— Jest co nowego?

— I bardzo wiele!

— O do djabła! Dobrego czy złego?

— Zdaje mi się, że wyborne wiadomości.

— Opowiedz nam, zobaczymy.

Maurycy opowiedział, co się zdarzyło w przeddzień.

— Cóż panowie na to? — spytał następnie.

— Ja tak samo myślę, jak ty, że doskonałe to zdarzenie, a opat również jest tego zdania, widzę, to z jego twarzy. Policja wpadła na mylny ślad, więc jesteś bezpieczny. Postąpiłeś sobie przytem bardzo sprytnie, ostrożności przedsięwziąłeś wyborne, prawdziwej powierzchowności twej nie można poznać. Możemy więc wszelki niepokój od siebie odpędzić i szukać spokojnie krewnych Armanda Dharvilla. Czy zacząłeś się dowiadywać o Ludwiku Bresoles o coś my cię prosili?

— Już!

— Dotychczas żaden.

Młodzieniec opowiedział szczegółowo wczorajszę swe zajęcie, powziętą nadzieję i ostateczne powodzenie.

— Trudno będzie dowiedzieć się o adresie byłego budowniczego, nie jest to jednak rzeczą niepodobną — rzekł Verdier. — Pomyślimy nad tem. Dokonać tego można będzie cierpliwie, gdy pojedziesz pan do Visque sur-Bresne, dla odnalezienia śladów nieprawnej córki Symony. Czy odszukałeś pan jej metrykę?

— Nie, nie zdążyłem jeszcze.

— Zajmij się pan tem dziś jeszcze i bądź pan gotów jechać za dwa dni do Visque sur-Bresne.

— Będę gotów, kiedy panowie zechcecie. Teraz ja z kolei chciał bym panów zapytać .

— O co? — zapytał Verdier.

— O to, co mnie szczególnie interesuje. Czy otrzymali panowie jaką wiadomość z Londynu?

— Otrzymać mogę najwcześniej dopiero jutro, ale nie troszcz się pan, możesz być pewny, że usługi twe przyjęte zostaną przez Michała Bremont. Napisałem do niego w takich słowach, że bardzo rad będzie widzieć pana w liczbie naszych. Od razu bogatym się staniesz, kochany panie. Ale nie wypuszczaj pan z rąk szczęścia, bądź go zawsze godnym.

— O będzie go godnym, ręczę za niego! — zawołał Lartigues, którego sympatja do Maurycego coraz bardziej rosła. — Pewien jestem, że nasz przyjaciel nie zawiedzie naszego zaufania

— I ja mam taką nadzieję — rzekł Verdier — ale młody jest. Niech się strzeże kobiet. Kobieta to zguba dla mężczyzny.

— O bądź pan spokojny! — wykrzyknął Maurycy — i z tej strony nie grozi niebezpieczeństwo żadne. Naturalnie lubię kobiety, ale tak jak się lubi ładne cacka. Zawsze mieć będę władzę nad sercem. Głęboką wzgardę czuję dla wszelkich sentymentalnych głupstw

— To mi się podoba — rzekł z uśmiechem fałszywy opat Meriss. — Ale czy to jest szczere wyrażenie pańskich myśli?

— Ręczę panom. Cobym miał panów oszukiwać?

— To prawda, ale pan możesz łudzić samego siebie.

— Nie lękaj się pan, ręczę za siebie.

— Jeżeli tak, to doskonale. Do jutra, nasz kochany przyjacielu.

— Gdzie?

— Tutaj.

— O której godzinie?

— Zawsze o dziewiątej. Nie zapominaj pan o naszych radach i czekając na wyjazd do Visque sur-Bresne, wymyśl pan jaki sposób dla odnalezienia Ludwika Bresolles.

— Będę się starał, ale wielkiej nadziei nie mam.

Maurycy niezwłocznie udał się do prefektury dla wydostania kopji metryki Szymona Dharvilla.

Szukano długo, bo archiwum spalone było za czasów komuny.

Jednakże znaleziono i obiecano młodzieńcowi nazajutrz dać kopję odpowiednio poświadczoną.

Powróciwszy do domu, Maurycy otrzymał od odźwiernego list — napisany przez barona Pascala de Landilly z zaproszeniem na obiad dnia tegoż do Brebanta.

— Muszę iść — rzekł do siebie, — Bardzo mi to na rękę. Nie wiedziałem, co mam z sobą robić wieczorem. Przytem dowiem się tam szczegółów o aresztowaniu hrabiego Iwana

XIV

Furtka.

Po wyjściu Maurycego fałszywy opat Meriss i zarówno mniemany kapitan Van-Broke pozostali sami.

— Ty się zachwycasz tym człowiekiem, to widoczne — rzekł Verdier do Piotra Lartiguesa. — Strzeż się, mój drogi.

— Czego?

— Maurycy jest bardzo zręczny, przyznaję to jak najbezstronniej. ale ma popędy właściwe młodości i dość nie panuje nad sobą

i obawiam się, ażeby kiedykolwiek nie naraził nas swą nieostrożnością.

Piotr Lartigues wzruszył ramionami.

— Mówiłem ci już i powtarzam — odrzekł potem, — że mam do niego najzupełniejsze zaufanie. Pomimo młodości posiada niezwykle zimną krew. Nic go nie może zmieszać, nic go nie wzrusza. To jeden z rzadkich i cennych przymiotów, jakim obdarzeni są wielcy działacze. — Na widok Maurycego doznaję czegoś nieznanego mi dotąd. Zdaje mi się, że się w nim odradzam. Jakim on teraz jest, takim ja byłem dawniej, a sądzę, żem nigdy nie naraził interesów naszego stowarzyszenia.

— Nie dopisuje ci pamięć, mój drogi. Zapominasz o spra... Kurawiewowskiej.

— Nie zapominam, ale myślę, że nie mam sobie i w tem nic do zarzucenia. Przewidziałem wszystko, prócz mieszania się tej przeklętej baby, która naprowadziła policję na dobrą drogę.

— Tak, Aime Joubert. Byłeś kochankiem tej kobiety. Ta kobieta o mało cię nie zgubiła, a Maurycego zgubi jego kochanka.

— Czy sądzisz, że się on ze wszystkiego jej spowiada?

— Naturalnie, że nie, ale ty wiesz, jak dalece sprytnemi są kobiety. Dość najdrobniejszej wskazówki, aby się dowiedziały o wszystkiem: ich wyobraźnia pracuje i odgaduje to, co utajone jest przed niemi. Przed chwilą mówiłeś o zimnej krwi Maurycego. Czy mamy dowód, że się on na nią zawsze zdobywa?

Nie czuję nieufności do tego młodzieńca, — zgadzam się, że się można na niego spuścić, ale prosta roztropność zaleca baczyć na niego.

Pomyśl tylko, że znaną mu jest nasza tajemnica.

Pomyśl, że nieostróżność z jego strony zniszczyć może nasze stowarzyszenie, że będzie dlań zgubą, bo stanie się niemożebną rzeczą pochwycić spadek po Armandzie Dharville który ma nas wzbogacić i uczynić uczciwymi ludźmi, których otaczać będzie ogólne poważanie, przy ich miljonach, jednających szacunek u ludzi.

— Obawiasz się nieostróżności z jego strony?

— Otwarcie mówiąc tak.

— Dlaczego?

— Bo wczoraj wieczorem ta zimna krew nad którą się tak unosisz, nie dopisała mu wcale.

— W jakim wypadku?

— Kiedy przyszli aresztować hrabiego Smoiłowa, z pośród jego przyjaciół, Maurycy przestraszył się. Zobaczywszy komisarza i agentów, pomyślał, że przyszli po niego zbladł, zadrżał i gotów się zdradzić, wziął nóż ze stołu ażeby się bronić.

— Albo żeby się zabić! — przerwał Lartigues — Maurycy jestem tego pewien, tysiąckroć wolałby śmierć niż więzienie. Ale skąd że wiesz o tem, co się działo wczorai wieczorem. Byłeś tam?

— Nie tam nie byłem. Noel, garson w tej restauracji, opowiedział mi wszystko.

Lartigues drgnął.

— Trzymasz agentów między garsonami i mówisz o zręczności! — zawołał. — Ależ to jest nieostróżność nie do przebaczenia.

— Bynajmniej. Ten człowiek mnie nie zna, nie wie, jak się nazywam, czem się trudnię, jakie są me plany; jemu tylko wiadomo, że nie obcą mi jest tajemnica jego przeszłości, że dzięki tej tajemnicy mógłbym go wyprawić na galery. To nie agent, to niewolnik.

— Wierzę ci, a z tego wszystkiego taki, jednem słowem należy wyprowadzić wniosek, że według ciebie nie powinniśmy Mauryce-mu dowierzać.

— Nie jemu powtarzam, ale jego młodości. Jeśli w szale od wina lub miłości powie słowo jakie nieopatrzne i poznają w nim mordercę — szukanego nadaremnie, zaaresztują go, badać będą, da się złapać w zasadzkę, jaką mu zastawi który z przebiegłych sędziów śledczych i policja dowie się niebawem, że stowarzyszenie Pięciu ma dwóch swoich członków w Paryżu, ukrywających się pod przybranemi nazwiskami kapitana Van-Broke i opata Merissa, mnie dożywotniego galernika, zbiegłego z galer i ciebie, skazanego zaocznie na śmierć .

— Kiedy wpadną na ślad nasz już nas nie wypuszczą, odnajdą nas, jak głupców złapią — co zapewne będzie bardzo upokarzającem, tak dla ciebie jak dla mnie.

— Czyżbyś tchórzem się stał? — spytał drwiąco Lartigues. — Nie ma się tego co obawiać, tobie przynajmniej; bo przy najmniejszym alarmie zniknąć możesz od razu.

Opata Merissa mogą śledzić aż do domu Marchal'ego na bulwarze, mogą drzwi wyłamać — wejść do mieszkania i znaleźć je pustem, bo opat Meriss spuści się na swym niewidocznym przyrządzie do lokalu Martina, a Martin przebierze się spokojnie i wyjdzie na ulicę Beranger, a nikt się w nim nie domyśli Verdiera, dawnego galernika.

— Naturalnie, żem środki ostróżności przedsięwział — odpowiedział fałszywy opat — dowodem tego, że w Paryżu jestem już od lat piętnastu i potrafiłem tak poprowadzić rozmaite grube interesa, że do kasy stowarzyszenia wpłynęły znaczne kapitały, ale i chytrego złapać można kiedyś.

Zresztą obawiam się nie o siebie, lecz o ciebie.

— O mnie! — powtórzył ze zdziwieniem Lartigues.

— Tak.

— Dlaczego u djabła szukać ma mnie policja w skórze kapitana Van-Broke?

— Policja wie, że szuka bezpieczeństwa w przebieraniach.

— No, to niechaj policja znajdzie we mnie Piotra Larguesa. morderce hrabiny Kurawiew.

Pomyśl, żem przez dwadzieścia trzy lata podróżował po Europie pod różnemi nazwiskami, że wszystkie papiery legitymacje, zawsze miałem w porządku.

We Włoszech nazywałem się Jakób Peppi, w Rosji Iwan Merkunów, w Niemczech Franz Mueller, w Belgji Van Amburger, w Londynie John Tompson, w Szkocji William Duc, w Szwajcarji ośmieliłem się przybrać swe właściwe nazwisko na dwa czy trzy miesiące, i uczyniłem to rozmyślnie, chciałem, ażeby policja francuska w razie gdyby mnie szukała, miała powód przypuszczać, że mieszkam w Szwajcarji.

Jeden raz tylko poznano mnie.

— Sam hrabia Kurawiew. Naturalnie usiłował aresztować mnie, ale mu się wymknąłem.

Nieujęty dotychczas, ale trzeba na wszystko być gotowym.

— Tak. I dlatego radziłbym ci urządzić tu sobie jakie skryte wyjścia.

— Już o tem pomyślałem.

— Kiedyś spostrzegł, nieprawda, zabitą furtkę, która dawniej prowadziła z tego ogrodu do ogrodu posesji przy ulicy Ville de-Eveque.

— Właśnie.

— Tak. Otóż tam powinniśmy szukać wyjścia w razie niespodziewanego napadu.

— Czy furtka zamknięta na zamek albo sztabami tylko z tej strony, czy też i od strony posesji?

— Tego nie wiem. Nie wypytywałem o to odźwiernego z ulicy Tranchet.

— Trzeba się jednak dowiedzieć.

— Ale w jaki sposób?

— To jest moja rzecz. Zobaczymy najpierw furtkę od strony twego ogrodu.

— Zaraz?

— Tak.

— To chodźmy.

Lartigues wyszedł z saloniku, gdzie się odbywała niniejsza rozmowa i udał się do ogrodu.

Verdier podążył za nim.

Powietrze było mroźne i suche.

Jasne słońce zimowe rzucało swe złociste promienie do ogrodu małego pałacyku po przez obnażone konary wielkich drzew ogrodu pensji.

Obaj skierowali się ku furtce.

Wiemy, że kryła się ona pod gęstemi i ciemnemi liśćmi bluszczu

Fałszywy opat Meriss uniósł tę roślinną zasłonę i długo się wpatrywał w potężny zamek.

— Masz klucz? — zapytał potem.

— Nie — odpowiedział Lartigues.

— Trzeba natychmiast kazać zrobić.

— E! to byłoby nieostrożne!

— Zgadzam się, że byłoby bardzo nierozsądnie, gdybyś zawołał ślusarza i kazał mu zdjąć formę z zamka. Zacznie się on rzeczywiście wypytywać, po co chcesz chodzić do swego sąsiada. Na szczęście inaczej można uczynić. Odśrubuj sam zamek, potem zanieś go gdzie daleko do ślusarza i zamów u niego klucz.

— Rozumiem.

— Pozostają sztaby. Zardzewiały, ale można je posmarować oliwą.

— Dzisiaj w nocy postaraj się odjąć zamek, tak, ażeby sąsiedzi nie zauważyli.

— O to niema się czego obawiać — odparł Lartigues, wskazując na wysokie ściany domów sąsiednich... Ani jedno okno nie wychodzi na ogród.

XLVI.

— Zdaje mi się, że ta furtka otwiera się po tej stronie — mówił dalej fałszywy opat Meriss.

— Tak — odrzekł Lartigues — ale klucz nie dozwala jej się otwierać.

— Pierwszego dnia, jak będziemy mieli odwilż, zasadź tu z pół tuzina sosen. Zasłonią ci furtkę. Odgarniesz wtedy bluszcz z prawej i lewej strony furtki, ot i po wszystkiem.

— Wszystko to bardzo ładnie — odpowiedział Lartigues — ale zapominasz o jednej rzeczy.

— O czem?

— Że dostawszy się na posesję, trzeba się jeszcze z niej wydobyć. A jakże tego dokazać? Masz na to sposób?

— Nie jeszcze. Ażeby znaleźć ten sposób i podać go tobie, muszę wprzód obejrzeć posesję.

— Jak najprędzej ją obejrzeć.

— O, dzisiaj jeszcze.

— Pod jakim pozorem?

— Nie troszcz się. Moje suknie duchowne dają mi łatwy wstęp do domu.

— Przyjdziesz potem do mnie?

— A jakże, muszę ci przecie powiedzieć, jaką korzyść osiągnę z tej wyprawy.

Verdier udał się ku wyjściu, odprowadzony przez Lartiguesa. Doszedłszy już do bramy, odwrócił się jeszcze.

— Pamiętaj me rady — rzekł — i poważnie nad niemi się namyśl. Z Maurycym bądź ostrożnym.

— Ten młody człowiek rzeczywiście wydaje ci się niebezpiecznym?

— Wtedy trzeba go będzie zgładzić. Wszystko poświęcę dla waszego bezpieczeństwa, chociaż w tym razie ofiara wiele kosztować mnie będzie, bo czuję dla tego młodzieńca wielką sympatję. Chciałbym uczynić zeń godnego mnie ucznia. Zostanie takim, dzięki naszym radom i naukom.

— Potrzeba mu tylko nauki ostrożności — odrzekł Verdier. — Innych mu nie brak. Wcale nie myślę go złagodzić, przynajmniej teraz. Ma on nas w ręku. Potem pomyślimy. Wprzódy niechaj działa. Zobaczymy go przy robocie i ocenimy.

Jutro niezawodnie otrzymam odpowiedź na mój list. Dowiesz się, co myśli Michał Bremont o naszym nowym towarzyszu.

— Również jak ty, zniecierpliwiony oczekuję tego listu.

— Pójdę zaraz na pensję — rzekł fałszywy opat. — Przełożona nazywa się pani Dubieuf — nieprawdaż?

— Tak, pani Dubieuf.

Verdier wyszedł, a Lartigues zamknął drzwi.

Tymczasem były budowniczy Ludwik Bresolles, nie tracąc czasu, zajął się tą słabą pełną wdzięku Symoną, której twarzyczka łagodna i rezygnacja w cierpieniu natchnęła Gabrjela Serveta myślą do obrazu, który na wystawę przeznaczył.

Opuściwszy pracownię przy Varennes Marja uprosiła ojca, aże by ją natychmiast zawiózł do pani Dubieuf dla pomówienia o Symo nie.

Życzenie Marji było dla Ludwika rozkazem.

Kazał stangretowi jechać na ulicę Ville d'Eveque, gdzie znajdowała się pensja.

Miejsce zarządzającej szwaczkami wolne było jeszcze, pani Du bieuf nie chciała go oddać pierwszej lepszej, nie przedstawiającej dostatecznych rękojmi.

Miejsce wymagało zaufania. Można je było powierzyć na mocy dobrej rekomendacji.

Tymczasem sama doglądała bielizny ale to rzecz była mozolna, co czytelnicy nasi zrozumieją z łatwością, gdy powiemy, że na pensji pani Dubieuf przebywało w tym czasie sto sześćdziesiąt panien.

Przełożona ciesząc się, że przyjmuje u siebie jedną z ulubionych wychowanek wraz z ojcem, którego bardzo poważała, spytała uprzejmie, czem może im służyć.

Bresolles wyłożył prośbe w słowach jak najgorętszych.

Do tej przekonywującej rekomendacji Marja dołączyła od siebie wzruszającą prośbę i złożywszy ręce, z oczyma wilgotnemi mówiła z prawdziwem uczuciem o biednem dziewczęciu.

Pani Dubieuf nie wahała się ani na chwilę i obiecała jak najprędzej zobaczyć się z tą, o której jej opowiadano.

— Dziś jeszcze odbierze mój list — dodała.

Ojciec i córka serdecznie podziękowali przełożonej i odeszli uradowani.

Wróciwszy do domu, Marja napisała kilka słów do Symony. Doniosła jej o rezultacie odwiedzin i o tem, że pani Dubieuf przyśle jej list.

Rzeczywiście na list nie trzeba było długo czekać.

Przełożona pensji prosiła szwaczkę, ażeby przyszła nazajutrz.

Symona ledwo wierzyła w tak niespodziewane szczęście.

Życia jakby więcej nabrała od tej nagłej opieki, jaka się nad nią rozciągnęła w jednej chwili.

Po raz pierwszy, jak daleko sięgały jej wspomnienia, przewidywać mogła dla siebie życie spokojne, bez wszelkiej walki, bez wszelkich trosk.

Następnego dnia o godzinie oznaczonej w liście, Symona ubrawszy się w najlepszą suknię, udała się piechotą na pensję.

Bardzo osłabioną czuła się jeszcze i drżała ze wzruszenia.

Im bardziej zbliżała się do mieszkania pani Dubieuf, tem bardziej zwiększało się jej wzruszenie, a serce jej się ściskało.

Zamiast radości i nadziei, jakiemi serce jej powinno było być przepełnione, Symona czuła jakiś smutek, jakąś trwogę bez przyczyny.

Ogarniało ją dziwaczne przeczucie.

Domyślała się jakby, że w tym domu, gdzie ją widocznie czeka szczęśliwa przyszłość, dozna nowych boleści, nowych doświadczać będzie cierpień.

— E! to przecie niedorzeczne — mówiła do siebie — staje się szaloną!

Usiłowała, ale daremnie, odpędzić te czarne myśli.

Tymczasem szła coraz dalej.

Wreszcie przyszła na ulicę Ville d'Eveque i zatrzymała się przed wielkim gmachem okazałym, ale trochę ponurym z powierzchowności.

Furtka była zamknięta w bramie. Symona więc zadzwoniła.

Prawie natychmiast otworzyła się furtka i ukazał się w niej człowiek w szarem ubraniu z posrebrzanemi guzikami.

Był to odźwierny pensji. Stawał się także ogrodnikiem, kiedy zdejmował to szare ubranie i wdziewał płócienną bluzę.

— Czego pani sobie życzy? — spytał Symonę uprzejmie.

— Otrzymałam list od pani Dubieuf — odrzekła młoda dziewczyna. — W tym liście zaprasza mnie do siebie na dzisiaj godzinę drugą.

Mówiąc to Symona, wyjęła z kieszeni list i podała go odźwiernemu, który go jednak nie wziął i rzekł:

— Proszę, niech pani wejdzie, żona moja zaprowadzi panią. Doroto! — zawołał.

Kobieta lat pięćdziesięciu, wcale jeszcze młodo wyglądająca, zbliżyła się, pytając:

— Cóż tam takiego?

— Oto tej panience pani Dubieuf kazała dziś przyjść o godzinie drugiej, trzeba ją zaprowadzić.

— Zaraz, proszę panienkę pójść za mną.

Dorota zaprowadziła dziewczę do przedpokoju, potem do obszernej sali i zlekka zapukała do drzwi, ukrytych w obiciu.

— Proszę — odezwał się głos kobiety.

Odźwierna otworzyła drzwi i rzekła:

— Przybyła tu panienka, do której pani list pisała.

— Gdzie jest?

— Tutaj, ze mną.

— Niech tutaj przyjdzie.

Dorota odstąpiła na bok i przepuściła Symonę, która też weszła do małego pokoju — gdzie pani Dubieuf sprawdzała rachunki.

Żona odźwiernego oddaliła się zaraz i młode dziewczę pozostało samo z przełożoną pensji.

Symona ukłoniła się nieśmiało, ale z wdziękiem. Teraz powierzchowność jej zdradzała wzruszenie i wielkie zakłopotanie, ale nie przedstawiała się ani niezgrabnie, ani śmiesznie.

Nie spuściła głowy i przymusiła się spojrzeć łagodnemi oczyma na panią Dubieuf, a spojrzenia obu kobiet spotkały się wzajemnie.

Przełożona pensji była kobietą lat czterdziestu, blondynka, blada, ani przystojna, ani brzydka, lecz twarz jej odznaczała się wyrazem rozumu i dobroci, jakim nacechowane były jej rysy dość wprawdzie pospolite.

Od razu spodobała się Symonie.

Przełożonej zaś dość było spojrzeć, ażeby wyrobić sobie zdanie o młodej dziewczynie; zrozumiała nieśmiałość, wzruszenie i zdanie jej było stanowczo życzliwe.

— Niech pani siada, bardzo proszę — rzekła wskazując na krzesło.

Symona wolałaby była nie siedzieć, ale bardzo była zmęczona daleką drogą.

— Dziękuję pani — szepnęła i siadła.

— Wszak to pani nazywa się Symona?

— Tak,

— Pan Gabrjel Servet, znakomity artysta, żywo się panią interesuje, jak również moja ukochana uczenica, Marja Bresolles i jej ojciec. Polecili mi panią bardzo gorąco.

— Wiem o tem i całe życie wdzięczną będę tym, którzy mi okazali współczucie, chociażby ich rekomendacja nie odniosła żadnego skutku.

— O tem ja nie myślę — odpowiedziała pani Dubieuf, której do serca przypadły te proste słowa i głos sympatyczny Symony. — Osoby, które się zajmują panią, dały mi jak najlepsze o niej wiadomości. Pan Bresolles przedewszystkiem nic nie zataił. Wiem, że pani rodziny nie ma, a przynajmniej nie znała pani nigdy swoich rodziców.

Wiem wszystko, coś pani wycierpiała i ile potrzeba było męstwa i uczciwości, aby znieść tyle ciężkich doświadczeń i nie zejść z prostej drogi.

To bardzo dobrze i bardzo ładnie i każdy za szczęśliwego powinien się uważać, jeśli dla pani może co uczynić.

— Jaka pani dobra — szepnęło dziewczę głosem urywanym ze wzruszenia — jaką to radość sprawiają mi słowa pani. Ale pochwały pani wprawiają mnie w zakłopotanie, bo jeżeli szłam drogą prostą, moim obowiązkiem to było.

— To prawda — odpowiedziała pani Dubieuf z uśmiechem — spełniać obowiązek wydaje się rzeczą bardzo łatwą, a jednak...

Nie dokończyła zdania i odezwała się po krótkiem milczeniu:

— Umie pani szyć?

— Umiem, a nawet także krajać i haftować. Mogę nawet suknię zrobić, jeżeli fason nie jest bardzo trudny.

— Mówiono pani, o jakie tu miejsce chodzi?

— Tak.

— Potrzebuję osoby, któraby się zajmowała bielizną na pensji i rzeczami pensjonarek. Będzie pani miała pod ręką dużo szwaczek.

Pani rozdawać im będzie robotę i baczyć, ażeby ją wykonywały sumiennie i bez straty czasu.

Każda uczennica ma swój kuferek i z tego kuferka będzie pani brała trzy razy na tydzień bieliznę.

Gotową bieliznę musi pani oddawać praczkom i sprawdzać ich rachunki.

Mnóstwo szczegółów, w które trzeba wglądać, mnóstwo drobiazgów, ale nie jest to znów zbyt męczące zajęcie, trzeba się tylko przyzwyczaić.

Teraz wie pani, na czem polegać będzie pani praca.

Sądzi pani, że może się jej podjąć?

— Mogę, zwłaszcza, jeżeli z początku będę mogła się radzić i prosić o wskazówki.

— Rad nie zabraknie. Pomocnica moja, która przez grzecz-

ność się tem zajmuje, objaśni panią we wszystkiem. Jesteś więc pani przyjętą.

— O! co za szczęście!

— Pozostaje mi tylko powiedzieć, ile pani pobierać będzie. Pensja niewielka, uprzedzam panią, w porównaniu z obowiązkami tak ważnemi.

— Jakakolwiek jest pensja będzie dla mnie dostateczną.

— Dam pani tysiąc dwieście franków rocznie — to jest sto franków miesięcznie, stół i mieszkanie.

Wydawać więc będzie pani tylko na ubranie, a my tutaj wszyscy ubieramy się bardzo prosto.

Będzie pani mogła coś sobie zaoszczędzić.

— O wiele mniej spodziewałam się i nigdybym nie śmiała marzyć o tak świetnem miejscu.

— Cieszy mnie to, że się pani spodobało. Od dzisiejszego dnia jesteś pani u mnie.

Oczy Symony napełniły, się łzami radości. Serce jej silniej zabiło. Znikło ponure przeczucie.

— Jakże mam pani dziękować? — wyszeptała. — Jak mam pani wyrazić wdzięczność?

— Nie dziękuj mi moje dziecko. Jeżeli teraz mnie czujesz się zobowiązaną, wkrótce ja tobie nią będę. Potrzebujesz pracy, ja daję ci ją; cóż może być prostszego?

Przyszłość twoja w twem ręku. Bądź tutaj taką, jaką byłaś dotychczas, a pozostaniesz na tej pensji, dopóki ja sama będę.

— Spełniać będę mój obowiązek, jak zawsze — ile w mej możności.

— Wierzę w to, a raczej przekonana jestem o tem. Kiedy pani może rozpocząć swe zajęcia?

— Jutro z rana, jeżeli pani pozwoli. Zaczęłabym nawet zaraz, ale pragnę wyrazić wdzięczność moim opiekunom i powiedzieć im, jakiej uprzejmości doznałam od pani.

— To bardzo naturalne — sprowadź się pani tutaj zaraz jutro.

— I owszem — odpowiedziało młode dziewczę z odcieniem zakłopotania — ale...

— Cóż takiego?

— Chociaż bardzo jestem biedna, mieszkam nie w pokojach umeblowanych. Wynajmuję mały pokoik, gdzie według kontraktu muszę jeszcze tam zostać przez trzy miesiące.

— A ile wynosi komorne na ten czas?

— Trzydzieści franków.

— Zapłacę je za ciebie. Możesz zostawić swe mebelki i umieścić je w pokoiku, który ci przeznaczam.

— Nie wiem, jak pani za to wszystko dziękować.

Pani Dubieuf mówiła dalej:

— W niedziele po mszy, na której bywać będzie razem z u-

czennicami, możesz na dwie lub trzy godziny iść do tych, którzy ciebie interesują.

Prócz tego co miesiąc będziesz miała jeden dzień do wyjścia; wtedy wolną będziesz zaraz po śniadaniu, aż do godziny dziesiątej wieczór.

Nie później, bo u nas taki jest zwyczaj.

Z uśmiechem odpowiedziała Symona:

— Tem łatwiej stosować się będę do tego zwyczaju, że godziny, pozostawione mi do wyjścia, będą zdawały mi się zbyt długiemi. Nie mam przyjaciół, więc nie mam u kogo bywać, prócz mych opiekunów, których nie chciałabym znów niepokoić memi odwiedzinami.

— Ale w każdym razie powinnaś wychodzić dla ruchu, tego zdrowie wymaga, a na obiad będziesz wracać tutaj.

Rozmowa się skończyła, ktoś z lekka zapukał do drzwi.

— Kto tam? — zapytała pani Dubieuf.

— Ja — odpowiedziała Dorota, znowu ukazując się na progu.

— Czego chcesz?

— Jakiś ksiądz chce się z panią widzieć.

— Proś.

W dwie minuty później żona odźwiernego wprowadziła opata Merisa, który się nisko ukłonił, z pokorą.

Verdier znów się ukłonił i usiadł, rzuciwszy spojrzenie na Symonę, która wstała w tej chwili, gdy wszedł,

— Służę panu — rzekła pani Dubieuf.

— Idź, moje dziecko — dodała, odprowadzając Symonę do drzwi — a przyjdź jutro zrana z rzeczami.

— Przyjdę, dziękuję pani raz jeszcze z całego serca.

Dziewczę skłoniło się pani Dubieuf i mniemanemu opatowi i wyszło tak wesołe, jak przyszło tam smutne.

Chociaż z ulicy Ville d'Eveque na ulicę Varennes bardzo daleko, Symona chciała natychmiast powiedzieć panu Gabrjelowi Servet, że ją przyjęła przełożona pensji.

Na bulwarze Magdaleny wsiadła do omnibusu, który zawieść ją miał na bulwar Montparnasse, to jest niedaleko od mieszkania malarza.

Pozostawmy ją w omnibusie i powróćmy do pani Dubieuf, która została sama z byłym galernikiem Verdier, ukrywającym się pod sutanną i pseudonimem opata Merissa.

— Czemu mam zawdzięczyć wizytę, panie opacie? — spytała przełożona pensji z uprzejmym uśmiechem.

— Okoliczności bardzo prostej. Dano mi do pani zlecenie.

— Do mnie? — powtórzyła pani Dubieuf, trochę zdziwiona a któż to taki?

XLVII.

W ogrodzie.

— Zaraz to pani powiem — odrzekł Meriss

— Słucham pana.

— Najprzód muszę pani oświadczyć, że nie mieszkam w Paryżu. Jestem tutaj w przejeździe i zabawię niedługo. Proboszczem jestem w gminie Ardeche i nie mogę nadużywać zbyt długo grzeczności mego kolegi, który mnie w czasie nieobecności zastępuje.

Mniemany opat zamilkł.

— Pojmuję — rzekła pani Dubieuf, tylko po to, ażeby coś powiedzieć, bo wcale się nie domyślała, do czego jej gość zmierza.

Ten mówił dalej:

— Ludzie w mojej parafji wogóle nie są bogaci. Jeden wszelako stanowi wyjątek. Większość życia w ciężkiej pracy spędziwszy, otrzymał nagle spadek, spadek, spadek dość skromny, lecz jak dla niego znaczny, bo dający mu od dwunastu do piętnastu tysięcy czystego rocznego dochodu.

Pani Dubieuf kiwnęła głową.

Verdier mówił dalej:

— Otóż mój parafjanin ma jedynaczkę, dziesięcioletnią dziewczynkę, ubóstwia ją, pomimo swego bardzo małego wykształcenia, a może właśnie dlatego chciałby, ażeby się nauczyła jak najwięcej, o wiele więcej niż mogłaby na pensji w okolicznych miastach. Słowem pragnie mówić z naiwną dumą: „moja córka kształciła się w Paryżu.

Nowe milczenie.

Nowy znak przytakiwania ze strony pani Dubieuf, która zaczynała już rozumieć, o co chodzi.

Pod wpływem tej niedostępnej myśli, parafjanin mój wypytywał Paryżanów, którzy do nas przyjeżdżali na lato i dowiedział się, że pensja pani należy do pierwszorzędnych.

Prosił mnie, ażebym pomówił z panią i obejrzał pensję, ażeby się przekonać po pierwsze czy rzeczywiście uczenice pani otrzymują wyższe wykształcenie, po drugie, czy dom, który pani zajmuje, istotnie położony jest w dobrych warunkach hygjenicznych.

Oto, co mnie do pani sprowadza, oto zlecenie, jakie mam wypełnić.

— Na mojej pensji udzielane jest wyższe wykształcenie, dowodem czego może to posłużyć, że wiele z moich uczenic zdało egza-

min ze świetnem powodzeniem i otrzymało dyplomy. — Mogę panu wymienić ze dwadzieścia uczenic, które teraz albo same utrzymują pensję, albo są starszemi nauczycielkami w najlepszych zakładach naukowych. Pensja moja wyżej stoi od innych, śmiało to mogę twierdzić, z dumą uzasadnioną zupełnie.

Czy pojętna jest dziewczynka, o której pan mówisz?

— Pojętna i pilna.

— Będzie u nas wzorową uczenicą.

— A wychowanie religijne?

— Bardzo rozwinięte jest u nas, ale nie do przesady. Wychowujemy uczenice na uczciwe i pobożne matki rodzin.

— Tego właśnie potrzeba. Odpowiedzi pani zadowoliły mnie dotychczas. Pozostaje nam zająć się tylko kwestją hygieniczną.

— Pod tym względem pensji mojej żadna inna nie dorównywa. Kamienica, którą wynajęłam na pensję, bardzo jest obszerna. Sypialnie mają wyborną wentylację, a w zimie opalane są z łatwością. Ogród rozległy, drzewa duże, rozłożyste, a spacer przyczynia się wielce do fizycznego rozwoju. Jeżeli pan sobie życzy, pokażę panu klasy, sypialnie, pokój jadalny i ogród.

Tego właśnie pragnął mniemany opat Meriss.

— Jeżeli pani zbyt nie zabiorę czasu — odezwał się — to prosiłbym bardzo. Chciałbym wszystko obejrzeć, ażeby memu parafjaninowi jak najdokładniej opowiedzieć.

— Służę panu. Zaczniemy od klas.

— I owszem.

— Proszę księdza opata.

Verdier poszedł za panią Dubieuf do klas, które jak wszystkie pokoje na pensji ogrzewane były kaloryferami.

Panienki uczyły się przykładnie pod okiem dam klasowych.

Dalej przyszła kolej na sypialnie i pokój jadalny.

Rzeczywiście nigdzie nic nie było do zarzucenia i rzekomy duchowny pochwały też nie skąpił.

Pozostawał do zwiedzenia tylko ogród.

Wiemy, że dla Verdiera to jedynie było ważne, resztę zaś oglądał z musu, jedynie dla lepszego upozorowania.

Pani Dubieuf oprowadzała swego gościa pod stuletniemi drzewami, aż do parkanu, oddzielającego ogród pensji od ogrodu małego pałacyku, w którym mieszkał Lartigues.

I z tej strony mur był opięty bluszczem.

Fałszywy opat bystry miał wzrok.

Z daleka pomiędzy gałązkami spostrzegł, a raczej odgadł furtkę, którą chciał obejrzeć.

Teraz chodziło o to, ażeby się do niej zbliżyć, bez obudzenia podejrzeń. Kilka sekund namysłu podało mu sposób.

— O! to bardzo duży ogród! — rzekł — musi mieć dziewięćdziesiat kilka łokci długości, a siedmdziesiąt kilka szerokości.

— Zdaje mi się, że pan trochę za dużo oblicza! — odrzekła pani Dubieuf z uśmiechem.

—Jeśli się mylę to o bardzo mało. Jestem bardzo pewny swego oka, zresztą przekona się pani.

Stanął przy parkanie i w prostej linji ku zabitej furtce zaczął iść miarowym krokiem, obliczając krok za pół łokcia.

Naliczył ich stodziewięćdziesiąt sześć.

Pani Dubieuf szła za nim z daleka i mówiła sobie z cicha:

— To jakiś oryginał ten opat, ale zdaje się zresztą poczciwy człeczyna.

Verdier zatrzymał się przy furtce i nie dając tego po sobie poznać przypatrywał jej się uważnie.

— Z tej strony nie zabita — pomyślał. — Nic nie przeszkadza jej otworzyć. Tego chciałem się dowiedzieć.

Przełożona pensji podchodziła ku niemu. — Odezwał się więc do niej:

— Nie omyliłem się wcale. Naliczyłem łokci dziewięćdziesiąt sześć.

— To bystry rzeczywiście pan ma wzrok.

— Chlubię się z tego. A u pani wszystko przedstawia się jak najlepiej, jestem prawdziwie zachwycony i niech mi pani uwierzy, że tylko same pochwały usłyszy mój parafjanin. I chyba własnego dobra nie rozumiałby, gdyby nie oddał swej córki na pensję do pani.

— Z góry panu dziękuję.

— Pozostaje mi tylko o jedną rzecz panią zapytać.

— Co do czego?

— Ile się płaci?

— Opłatę pobiera się stosownie do wieku uczenicy i stopnia wykształcenia — od tysiąca do tysiąca ośmiuset franków.

— Bardzo dobrze.

— Może panu zanotować?

— O, to zbyteczne. Mam równie dobrą pamięć jak wzrok. Jutro odjeżdżam do Erdeche, a za kilka dni prawdopodobnie otrzyma pani list od mego parafjanina o przyjeździe nowej dla pani uczenicy, którą przywiezie je matka.

— Przyjmiemy ją z otwartemi rękoma, panie proboszczu.

Rozmawiając tak, pani Dubieuf podeszła do furtki wejściowej wraz z Verdierem.

Ten od kilku chwil trzymał wciąż prawą rękę w kieszeni sutanny.

Znalazłszy się przy furtce, wyjął z kieszeni rękę i położył ją na zamek, jak gdyby drzwi chciał otworzyć, ale ich nie otworzył i zwracając się do przełożonej pensji, rzekł:

— Muszę pani powiedzieć me nazwisko.

Jestem opat Petrole, proboszcz we wsi Vive d'Aique, parafja-

nin mój nazywa się Djonizy Chauffoure, a córce jego na imię Anastazja.

Bardzo mi przyjemnie, panie opacie.

W czasie tej rozmowy Verdier zdążył przyłożyć do zamku wosk, który trzymał w ręku. Odcisk był już gotów.

Otworzył furtkę, skłonił się pani Dubieuf i wyszedł, włożywszy miękki wosk do kieszeni, tak, żeby się wcale nie uszkodził.

Za pięć minut był już u Lartiguesa.

— No i cóż? — zapytał.

W razie nieszczęścia odwrót mamy zapewniony — odparł były galernik.

Furtka ogrodowa nie jest zabita z tamtej strony, a furtkę od ogrodu na ulicę łatwo otworzyć.

— Dobrze, ale potrzeba mieć klucz, bo tam zapewne jest odźwierny, którego przecie nie będę prosił, ażeby mi otworzył.

— Będziesz miał klucz!

— A to skąd?

— Sam go zamówisz. Oto masz odcisk z zamku.

Verdier pokazał Lartiguesowi zdjęcie odciśnięte.

— Cudownie! — zawołał Lartigues. — Ty zawsze myślisz o wszystkiem. Zaraz jutro zamówię klucz.

Umówiwszy się, że się jutro widzieć będą, dwaj łotrzy rozstali się po chwili.

XLVIII.

Walentyna.

Opuściliśmy Symonę, gdy udała się z pensji do Gabrjela Serveta Malarz był sam, — gdy dziewczę weszło do pracowni.

Wzruszającemi słowy podziękowała mu za protekcję, która w połączeniu z prośbą Bressolla i Marji zjednała jej miejsce u pani Dubieuf.

— Kochane dziecko — odpowiedział artysta — nikt na nią nie zasługuje bardziej od ciebie.

Cieszę się bardzo z rezultatu naszych starań. Teraz wolną jesteś na zawsze od wszelkich trosk od wszelkiego niepokoju. Przyszłość masz zapewnioną.

— Pragnęłabym bardzo wypowiedzieć mą wdzięczność panu Bressolowi i jego prześlicznej córce — odrzekła nieśmiało Symona.

— Cóż ci przeszkadza? — zapytał Gabrjel.

— Nie śmiem.

— Dlaczego?

— Czy sądzisz pan, panie Gabrjelu, jeżeli do nich przyjdę, nie wezmą mi tego za złe?

— Przeciwnie, poczytają ci za rzecz bardzo naturalną i jestem pewien, że potrafią to ocenić.

— Jeśli tak to się już nie waham. Pójdę zaraz stąd im podziękować.

— Zdaje mi się, żeś się trochę zmęczyła.

Nie nadużywaj wracających ci sił. Możeby lepiej było dziś odpocząć i wizytę odłożyć do jutra.

— Jutro już obejmuję swoje obowiązki. Obiecałam to pani Dubleuf.

— Jeśli tak, to nie odkładaj. A ja skorzystam z tej sposobności, ażeby poprosić cię o wyświadczenie mi małej przysługi!

— O jakże się zawczasu cieszę! O co chodzi?

— Napisałem kilka wierszy do pana Bressola, że płótno mam już u siebie i że portret jego córki mogę rozpocząć jutro.

Chciałem list przesłać pocztą. Oddaj go z łaski swej i powiedz panu Bressolowi, że jeżeli jutro zacząć nie można, aby raczył mnie zawiadomić.

— Nie zapomnę.

— Oto list. Idź już, idź, bo późno się robi.

— Chciałabym pana o coś prosić — wyszeptało młode dziewczę z widocznem wahaniem.

— O, co takiego, kochana Symono?

— Żebym mogła przychodzić na kilka minut kiedy będę miała dzień wolny, ażeby się dowiedzieć o pańskie zdrowie.

— Pozwalam ci, z całego serca pozwalam, moje dziecko, i bardzo mnie wzrusza ta twoja prośba.

— O! dziękuję panu, dziękuję! Idę już!

Pokłonić się pani będzie łaskawa panu de Gibray.

— Dobrze, zaraz jutro rano, jak tylko przyjdzie.

Symona udała się do Bressolów.

Były budowniczy mieszkał przy ulicy Terneuill, w pałacyku do niego należącym, który z zewnątrz ulicy przedstawiając się skromnie — zawierał wewnątrz nawyszukańsze przyjemności....

Pomimo dość znacznego majątku Ludwik Bressoles żył skromnie i nie trzymał licznej służby.

Przyjaciół lubił przyjmować u siebie, ale zbytkownych obiadów nie dawał, hucznych balów i wogóle prowadził życie wcale nie olśniewające, co wielce nie podobało się jego żonie. Walentynie Bressoles, z domu Dharville—która od kilku już lat żyła z nim w jak największej niezgodzie i głośno nazywała go swoim niedźwiedziem.

Walentyna ku wielkiemu zmartwieniu swemu nie mogła wydawać u siebie świetnych wieczorów, lecz wynagradzała to sobie by-

waniem w świecie, w towarzystwach, gdzie mąż jej nie towarzyszył.

Ludwik Bressoles daremnie walcząc z temi upodobaniami światowemi, pozostawił wreszcie żonie zupełną swobodę.

Nieraz też go dochodziły skandaliczne pogłoski, obiegające po salonach paryskich, o płochości jego żony.

Udawał, że wieściom tym nie dawał żadnej wagi.

Z tego nie należy wnioskować, że mało cenił honor imienia, ani przywiązania, ani szacunku wiedząc, że pozbawiona jest uczucia moralności a zatem niepoprawną — że usiłował więc potykać się z niemożebnością i że nie zwracał uwagi na plotki.

Jednakowoż pewnego dnia zdarzył się fakt, który zniewolił go spojrzeć na rzeczy z innego punktu widzenia.

Było to wyjście z pensji córki jego Marji.

Tego dnia powiedział sobie zdrowo rozumując, a dar ten w wysokim stopniu posiadał, że postępowanie matki może zaszkodzić córce i postanowił myśli te w tym względzie oznajmić pani Bressoles.

Zamiar ten stanowczo powziął, wszelako czuł taki wstręt do omawiania niektórych nałogów, że dotąd jeszcze nie przystąpił do tej rozmowy, aczkolwiek Marja opuściła pensję przed trzema już miesiącami.

Nieśmiałym wcale nie był, ale przewidywał jedną z tych scen gorących, w jakich kobiety brak słuszności starają się zastąpić przebiegłością połączoną ze spazmami i łzami.

A Ludwik Bressoles, powtarzamy, lubił nadewszystko spokój i wiedział, że wszelkie gwałtowniejsze wruszenia zgubnie oddziałać mogą na jego zdrowie.

Niektórzy ludzie sądząc z pozoru, uważali Ludwika Bressoles za patentowanego egoistę.

Ale byli w błędzie.

Były budowniczy cierpiał wiele i nie chciał cierpieć więcej.

Nieszczęśliwy w domowem pożyciu, niezawodnie gorzkoby żałował — że połączył swe życie z kobietą niegodną, gdyby nie córka którą uwielbiał i dla której zapomniał o matce.

Sama Walentyna wywołała rozmowę, od której wciąż się tak uchylał.

Pani Bressoles skończyła już lat czterdzieści, ale można ją było najwyżej liczyć na trzydzieści.

Była bardzo ładna kobieta, wzrostu dosyć wysokiego, kibić miała wysmukłą i zgrabną — włosy złocisto — kasztanowate, niezwykle bujne; rysy delikatne przy ożywionej twarzy, oczy duże, to zamyślone, to wyzywające.

Usta jej nieco grube i czerwone jak dojrzałe wiśnie, rozchylając się, pozwalały widzieć drobniuchne zęby kształtne i olśniewającej białości.

Rączki jej były iście arystokratyczne to też Walentyna lubiła się niemi popisywać, na balach odsłaniając je całe.

Cudem też nazwać się godziło jej nóżki, które śmiało mogłyby zająć miejsce na etażerce wśród drogocennych cacek.

Pod względem moralnym Waletyna przedstawiała szczególne połączenie najgorszych wad z najszpetniejszemi skłonnościami.

Dumna, zazdrosna, chełpliwa, roznamiętniona do zbytków i wszelkiego rodzaju uciech o tyle niezdolną była do rozsądnych myśli, o ile też i do prawdziwego przywiązania.

Zaślubiła Ludwika Bressoles, bo wiedziała, że jest na drodze bogactw i marzyła, że nim rządzić będzie według swego upodobania. — Niedługo czekała na rozczarowanie.

W kilka miesięcy zrozumiała Walentyna, że nigdy los nie połączył z sobą natur więcej niezgodnych jak jej i męża.

Zdecydowała się natychmiast, zaczęła szukać przyjemności po za domem i nie pozostawała obojętną na słodkie słówka wielbicieli.

Przyjście na świat córki zmartwiło ją zamiast ucieszyć.

Powiedziała sobie, że ta córka wyrośnie i włoży na nią obowiązki, od których mąż nie pozwoli jej się uwolnić i zawczasu już obawiała się takiego skrępowania.

Kiedy Marja opuściła pensję, matka była dla niej chłodną, a rzeczywiście prawie nawet wstręt do niej czuła.

Wobec tej ślicznej, zachwycającej ośmnastoletniej dzieweczki, zdawało się jej, że musiała bardzo postarzeć i że już sama obecność córki stanie się dla niej przeszkodą do dalszego takiego życia, jakie prowadziła dotychczas, szalona.

— Trzeba temu, jak można najprędzej poradzić — powiedziała sobie — ale jak? Jeden tylko widzę sposób: trzeba natychmiast córkę wydać za mąż. Do tego potrzebny jest jednak mąż, ażeby męża znaleźć, trzeba bywać w świecie. Niech tylko zobaczą Marję, to najgłówniejsza. Zanadto ładna i bogata, ażeby nie znalazła konkurentów. Pokazać ją światu, łatwo to powiedzieć, naturalnie, że nie będę z nią tam jeździła, gdzie wielbiciele moi mogliby mnie dla niej porzucić. Potrzeba więc, ażeby mój mężulek zrzucił z siebie niedźwiedzią skórę na pewien czas i otworzył dom u siebie. Dla mnie nigdy nie chciał tego uczynić, ale się zgodzi dla córki. — Przytem potrafię go do tego zmusić.

Zamiar ten powziąwszy, Walentyna natychmiast postanowiła przystąpić do wykonania jego.

— Pan jest w gabinecie? — zapytała mężowskiego kamerdynera.

— Przed pół godziną był — odpowiedział służący — i zdaje się, że wyszedł.

Ludwik chociaż porzucił zawód budowniczego, zachował dla niego upodobanie.

Codzień kilka godzin poświęcał na rysowanie planów pałaców, kościołów, teatrów, które istnieć miały tylko na papierze.

Obicia gabinetu znikały pod rysunkami jego i akwarelami wszelkiego rodzaju, nacechowanemi prawdziwym talentem.

W chwili, gdy Walentyna Bressoles otworzyła drzwi do gabinetu, gdzie zachodziła bardzo rzadko, Marja była z ojcem.

XLVIX.

— Mamo — zawołało dziewczę, przybiegłszy do Walentyny i całując ją. — Jakaś dobra, żeś do nas przyszła. Dawno wróciłaś do domu?

— Przed pół godziną — odrzekła pani Bressoles, odpowiadając z wyraźną obojętnością na pocałunki, któremi obdarzyła ją Marja

— Przyszłaś pomówić z nami?

— Z twoim ojcem, tak, moje dziecko.

— O rzeczach jakich poważnych?

— Tak.

— Czyli, że ja nie powinnam być przy rozmowie. Odchodzę, jeżeli jestem tu zbyteczna.

Dziewczę pocałowało ojca i mówiło dalej:

— Pójdę do bibljoteki, a kiedy skończycie ze sobą o interesach mówić, powrócę znów tutaj, ale niedługo rozmawiać będziecie?

Czy Marja kochała swą matkę?

Naturalnie, nie powinniśmy na to pytanie odpowiedzieć przecząco.

Marja zbyt miała dobre serce i zbyt zdrowy rozsądek, aby mogła czuć wstręt do Walentyny; wszelako nie ukrywała przed sobą, że ogromna różnica istniała między miłością, jaką miała dla ojca, a przywiązaniem obowiązku, jakie czuła dla matki.

Wiedziała, że ojciec ją uwielbia, a domyślała się, że matka jej nie lubi.

W głębi duszy bolała ją wielce ta obojętność, ale taiła się z tem cierpieniem.

Wyszła, rzuciwszy na ojca spojrzenie, które tak dało się tłomaczyć.

— Skończ rychlej z interesami, ażebym co rychlej mogła do ciebie powrócić.

Były budowniczy kiwnął głową z uśmiechem.

Drzwi się zamknęły za dziewczęciem.

Mąż i żona zostali sami.

Walentyna rzadko przychodziła do męża, którego pokoje daleko od jej się znajdowały. — Dlatego przybycie jej zdziwiło Ludwika

— Czego odemnie chce? — zapytał sam siebie. — Bądź co bądź sama przyszła do mnie na rozmowę, na którą od trzech miesięcy nie mogłem się odważyć.

Skorzystam z tej sposobności.

— Bezwątpienia dziwi cię to, mój przyjacielu — mówiła Walentyna — że ja, tak lekkomyślna zazwyczaj, przychodzę cię prosić o poważną rozmowę.

— Dziwić ma mnie? — powtórzył Ludwik. — Dlaczego mam się dziwić? Bardzo mię to cieszy, bo sam chciałem z tobą pomówić poważnie. O cóż chodzi?

— Chodzi o naszą córkę.

— Szczególna sympatja! Ja również chciałem o Marji pomówić z tobą.

— Pozwolisz, abym najpierw wypowiedziała swe myśli?

— Pozwalam i proszę — odpowiedział Bressoles zadowolony, że ma odpowiadać tylko, a nie wszczynać rozmowę, która jak przewidywał, mogła się stać burzliwa. — Mów, słucham.

— Marja ma lat ośmnaście, skończyła ośmnaście przed dwoma miesiącami. Poczciwa z niej dziewczyna. Powiedz, że doskonała pod każdym względem! — zawołał Ludwik w uniesieniu! — Dusza jej tak piękna, jak serce tkliwe, a twarzyczka czarująca.

Walentyna zaśmiała się suchym i nerwowym śmiechem i odpowiedziała tonem prawie ironicznym:

— Gotowa jestem zgodzić się, że cudo z niej, jeżeli tego sobie życzysz. Ale oto opuściła już pensję.

— Gdzieby się już nic więcej nie nauczyła — dokończył Ludwik. — Wykształcenie otrzymała zupełne i pani Dubieuf uważa ją za jedną z najlepszych uczenic.

— Teraz trzeba się zająć, że tak powiem, jej domową edukacją i to powinieneś ty wziąć na siebie. Ale ty nie lubisz życia domowego i może uważać to będziesz za zbyt ciężki dla ciebie obowiązek.

— Znam swoje obowiązki i spełniać je będę jak na matkę przystoi — odpowiedziała Walentyna tonem lodowatym. — Tak spełniać je będę pomimo braku upodobania do życia domowego, które nie potrafiłeś uczynić mi przyjemnem.

Z tych słów ostatnich mogła powstać burza.

Tego Ludwik nie chciał.

— Mów dalej — wyszeptał.

— Jakie masz zamiary względem Marji.

— Moja droga — odpowiedział Bressoles z uśmiechem — chciałaś właśnie o tem się rozmówić, więc zacznij pierwsza. Wypowiedz swe myśli, a potem na mnie kolej.

— Dobrze — myśli moje są bardzo proste i doprawdy zdziwiłoby mnie, gdybyś ich nie podzielił. Marja ma lat ośmnaście, wykształcona jest, rozsądna i uposażona dobrze pod każdym względem. Mniemam tedy, że należałoby ją wydać zamąż — co prędzej.

— Taką młodą.

— Ośmnaście lat, to wiek zwykły panny z ładnym posagiem rzadko kiedy później wychodzą zamąż.

— Nie mam wcale zamiaru narzucać córce człowieka, który mnie wydawać się będzie jej godnym, a jej wszakże pobobać się nie będzie. Wyborem jej będę kierował, lecz chce, żeby wybierała sama — rzekł Bressoles.

— Co do tego, tak samo jak ty myślę — odparła pani Bressoles. — Lecz sądzę, że przecie pojmujesz dobrze, iż córka nasza nie może mieć dostatecznego wyboru, gdy poprzestaniemy jedynie na przed stawieniu jej kilku przyjaciołom — których ty przyjmujesz u siebie. Jest ich bardzo nie wielu — a przytem już wszyscy ludzie niemłodzi.

— Do czegoż zmierzają twoje słowa?

— Zdaje mi się, że powinieneś się był domyśleć. Alboż chciałabyś być z Marją w tem towarzystwie, gdzie cię puszczam samą? — spytał Bressoles suchym tonem .

— Tem mniej o tem myślę, iż pragnę, aby Marja wprowadzona była w świat nie przezemnie, lecz przez ciebie. Ojciec zawsze przedstawia córkę.

— Wiesz, że ja nie lubię wychodzić z domu.

— Wiem, ale wiem także, że masz obowiązki względem córki. Jakkolwiekbądź wykształconą jest Marja, — dobrze wychowana brak jej obycia się ze światem, w którym ma przeznaczenie być ze względu na swe pochodzenie, wychowanie i majątek.

Marja powinna bywać w towarzystwach. A my powinniśmy jej to ułatwiać. Nieprawdaż? logiki. — Naturalnie słuszność masz, ale z pewnego punktu widzenia, którego ja jednak nie podziałam. Przyznałbym ci zupełną słuszność, gdy bym dla Marji dobijał się o świetną partję, o jakiego arystokratę lub jakiego znakomitego człowieka, ale ja całe życie byłem prostym mieszczuchem bez pretensji, pracowałem i prowadziłem sam swe interesa. Ja sądzę, że córka nasza będzie zupełnie szczęśliwa, jeżli pozostanie prostą mieszczanką. A ci uczeni ludzie, których z lekceważeniem nazywasz moimi przyjaciółmi, mają przecie synów, a między tymi młodzieńcami dla czegobyśmy znaleźć nie mieli dobrego męża?

— Niech i tak będzie, ale w każdym razie nasza córka musi widzieć tych młodzieńców.

— Nie możemy jej przecie wozić od domu do domu mówiąc:

— Oto nasza córka, chcemy ją wydać za mąż. Jeżeli się wam podoba, starajcie się o jej rękę.

Chociaż słowa te odznaczały się przesadą, ale nie były pozbawione słuszności. Co na to jej odpowiedzieć?

Nie przewidywał wcale, że przebiegła Walentyna w ten sposób poprowadzi rozmowę.

— Wiec cóż uczynić? — wyszeptał raczej do siebie niż do żony.

Walentyna żywo odrzekła:

— Porzucić twe, ulubione domatorstwo przez miłość dla córki, to przecie łatwe.

— Włóczyć się po balach po wieczorkach? — zawołał Bressoles. A najgłówniejsza rzecz przyjmować gości u siebie. To znaczy zrujnować cały swój tryb życia.

Czegoż to chcesz moja kochana?

— Tu idzie o Marję, a ty nie jesteś znów tak stary, ażebyś musiał się już odstrychnąć.

— Tak i nie — odpowiedział Bressoles wahająco bo rozumowaniu Walentyny nie brakła ludzi. Przyjmuj u siebie w domu ludzi, którzy się tobie podobają, twoich przyjaciół!

— Nie mówię o moich, lecz o twoich przyjaciołach, przez ciebie wybranych i o ich synach. Wiem, że to ci zmieni twe przyzwyczajenia, ale postąpić inaczej byłoby egoizmem; czy możesz się wahać, gdy idzie o poniesienie ofiary dla dobra córki?

Trzeba będzie w domu wszystko przewrócić do góry nogami, zwiększyć wydatki, zaprowadzić we wszystkiem etykietę, na której wcale się nie znasz. Pomogę ci w tem radami. Zima tylko co się zaczęła. W ciągu dziesięciu dni podejmuję się zaprowadzić potrzebne zmiany. Będziesz miał jeszcze przeszło dwa miesiące dla przyjęć.

— Bóg wie, ile to kosztować będzie — wyjęknął Ludwik z goryczą.

Walentyna wzruszyła ramionami.

— Wstyd byłoby doprawdy mieszać tu kwestję pieniężną — od parła. — Bogaty jesteś i nie wydajesz całego dochodu.

— Wiesz, że zbieram dla powiększenia posagu córki.

— Na co jej posag się przyda, jeżeli nie uczynisz nic, ażeby ją wydać za mąż?

We drzwi gabinetu zapukano zlleka, potem Marja wsunęła swą śliczną i figlarną twarzyczkę.

— Cóż, czy skończone są już interesa? — spytała.

— Nie, moja pieszczotko — odrzekł Bressoles.

— Więc mam jeszcze wrócić do biblioteki?

— Nie, chodź tutaj. Nie możemy się tu zgodzić z matką pod pewnym względem. Więc ty powinnaś nas pogodzić.

— O! — zawołała Marja, przestępując za próg — niczego bardziej nie pragnę!... Gdybym zawsze mogła was godzić, dopiero byłabym szczęśliwa!

— Przynajmniej tym razem możesz tego dokazać! — odrzekł były budowniczy.

— Potrzebujesz tylko szczerze odpowiedzieć na zapytanie, jakie ci chcę zadać!

— Cóż to za pytanie? — spytało dziewczę.

— Czyż chciałabyś, ażebyśmy bywali w świecie i sami dawali wieczory i bale?

— Jeżeli ty tak chcesz, ojcze, to nie potrzebujesz się pytać o me zdanie. Wszystko, co ty uczynisz, będzie dobrze.

— To znaczy, że wykręcasz się od odpowiedzi, a nie rozstrzygasz kwestji — pochwycił Ludwik Bressoles. — No, powiedz stanowczo, czy pragniesz, ażeby u nas co tydzień był koncert lub tańce? Czy przyjemnie ci będzie, ażebyśmy i my bywali na balach gdzie będziemy proszeni?

— Chcesz, ojcze, ażebym była szczerą? — rzekło dziewczę z uśmiechem.

— Tak.

— To powiem, że wszystko to przyjemnem byłoby dla mnie. Nie jestem wcale dziką i lubię towarzystwo.

— Słowem, życie światowe ma dla ciebie powab

— Tak, ojczulku.

— Kogoż u siebie przyjmować będziemy?

— Nie wiem, to już zależy od mamy i ciebie.

— Jakto? Nie zaproponujesz nam ani jednego gościa?

— Jednego to zaproponuję — odezwało się żywo dziewczę. — Malarza tego, który ma wykonać mój portret. Przyjmiecie go?

— Naturalnie! — odpowiedział Bressoles.

— Bardzo przyjemny i inteligentny. To daje mu podwójne prawo do naszych zaprosin.

Mówiąc o Gabrjelu Serwet, Marja miała swój plan. Zmierzała doń z naiwną przebiegłością. Myślała rzeczywiście nie o nauczycielu — lecz o uczniu, którego nie śmiała jednak wymienić. Pamiętała Alberta de Gibray, wobec którego po raz pierwszy zabiło jej serce i spodziewała się, że za Gabrjelem i on przedostanie się do ich domu.

— Ułożę listę — rzekła Walentyna — i pokażę ją twemu ojcu. Teraz staje się on bardzo rozsądnym i przekonana też jestem, że sie we wszystkiem zgodzimy bardzo dobrze.

— I ja także jestem pewna! — zawołała Marja, klaszcząc w dłonie — co za wyborna myśl przyszła wam obojgu! Muszę cie ojczulku ucałować.

Z miną zakłopotaną przyjął Ludwik Bressoles pocałunek córki. Myślał sobie, że Marja, użyta za pośredniczkę między nim i jej matką — niezawodnie wziąwszy stronę Walentyny, dokona w jego życiu przewrotu zupełnego.

Córka tak postanowiła, musiał się więc temu poddać.

Westchnął głęboko, ale się nie sprzeciwiał.

— No, jeżeli to ma być myśl dobra, urzeczywistnimy ją natychmiast — rzekł tonem, w którym pomimo, że usiłował być wesołym, odzywał się smutek. — Jutro zaraz zarządzę tu roboty i wszelkie przygotowania do przyszłych wieczorów.

— Wszędzie trzeba pozawieszać lustra! — zawołała Walentyna, która widząc swe życzenie spełnionem, promieniała radością.

— Powiesi się lustra! — szepnął były budowniczy — a ja sobie zamówię nowe ubranie!

— A ja zajmę się sukniami Marji — dodała pani Bressoles.

Do pokoju, gdzie się odbywała ta rozmowa, wszedł kamerdyner.

— Czego chcesz? — zapytał Bressoles.

— List do pana od pana Gabrjela Servet z ulicy Varennes. Przyniosła jakaś pani. Chciałaby się zobaczyć z panem i panienką.

— Czy powiedziała, jak się nazywa?

— Tak. Nazywa się Symona.

— Symona! — powtórzyła Marja. — To nasza nowa znajoma... mamo, to ta panienka, o której ci mówiłam, ta biedna, poczciwa panienka, taka pracowita, co to była bardzo chora i którą rekomendowaliśmy na zarządzającą szwaczkami na pensji pani Dubieuf.

— Szwaczka — odezwała się Walentyna pogardliwie. Zapewne przyszła tu prosić o wsparcie. Interesujecie się nią? Ale spodziewam się przecie, że jej tu nie przyjmiecie?

— I owszem, przyjmiemy, dla czegożby nie? — odrzekł Ludwik, — zaręczam ci, że chociaż niskiego jest pochodzenia i żyje tylko z pracy rąk, jest bardzo sympatyczna i może być przyjmowana wszędzie.

— Poproś tę panienkę, — wyrzekł, zwracając się do kamerdynera.

Lokaj wyszedł. Ludwik trzymał list w ręce, przyniesiony przez Symonę.

— Zobacz, ojczulku, co pisze Servet — odezwała się Marja — zapewne oznacza dzień, kiedy mogę przyjechać do rozpoczęcia portretu.

Bressoles zdarł kopertę.

— Rzeczywiście — odpowiedział — jutro pierwsze posiedzenie

— Co za szczęście! — z radością zawołała Marja.

Otwartość opowiadającego zniewala nas wyznać, że najgłówniejszym powodem tej radości była nadzieja zobaczenia znów Alberta de Gibray w pracowni przy ulicy Varennes.

— To ten pan Servet ma talent? — zapytała Walentyna.

— Wielki, a imię jego z każdym dniem coraz większym okrywa się rozgłosem.

— To może portret Marji prześle na wystawę.

— O tem mi nie mówił, alebym sobie tego nie życzył, bo wydaje mi się to niepotrzebnem.

— Niepotrzebnem! — powtórzyła Walentyna ucinkowo. — Jakże ty zabawne masz zdanie o wszystkiem? Ja sądzę zupełnie przeciwnie. — Jeżeli portret ten się uda, jeżeli to ładny będzie utwór.

pragnęłabym, ażeby Servet oddał go na wystawę i żeby nasze nazwisko wydrukowane było w katalogu.

— Pomówimy o tem później — odpowiedział Ludwik, wzruszając ramionami.

Lokaj znowu się ukazał.

Niósł lampę, a za nim szła Symona.

Dziewczę bardzo było wzruszone i skłoniło się nieśmiało.

Marja podbiegła do niej, zawoławszy:

— A jak to ładnie, że pani sama przyniosła ten list; jakże pani jestem wdzięczną.

— Podjęłam się tego zlecenia — odpowiedziała szwaczka — bo dawało mi pretekst do przyjścia tutaj. Inaczejbym nie śmiała.

— To bardzo źle, my bardzo pani jesteśmy przychylni. Zapewne przyszła pani z nami pomówić o pani Dubieuf.

— Tak.

— Czy pisała do pani?

— Pisała do mnie wczoraj. Dziś przyjęła mnie do siebie i właśnie przyszłam państwu podziękować za szlachetną pomoc.

— Więc pani przyjęta?

— Tak, przyjęta jestem.

— O! jakże się cieszę! Kiedy pani obejmuje swe obowiązki?

— Jutro, a ponieważ nie będę miała sposobności dość długo wychodzić, przyszłam podziękować państwu.

Przy tej rozmowie obecną była Walentyna. Obojętnie, chłodno, a lepiej powiedzieć nieprzychylnie i z wyraźną pogardą spoglądała na młodą dziewczynę.

Nie pojmowała wcale, jak mąż jej i córka interesować się mogli tem dziewczęciem, wychudłem od pracy i cierpień.

Wzruszające słowa Symony nie wywołały w duszy Walentyny żadnego wzruszenia.

— To wszystko komedja! — pomyślała sobie. — Szumne zdania zawczasu przygotowane, dla oszukiwania głupich.

Ludwik Bressoles, zarówno jak Marja, szczerze był wzruszony i Symona coraz sympatyczniejszą mu się wydawała.

— Dobrześ pani uczyniła, żeś dzisiaj przyszła — rzekł — niech pani będzie przekonana, że cenimy to wielce. Za każdym razem, jak pani będzie miała kilka chwil wolnych, radzi będziemy widzieć panią u nas.

— Spodziewam się, że pani o tem nie wątpi? — dodała Marja.

— Pani zdaje się sierotą jesteś? — zagadnęła Walentyna.

Symona drgnęła i zaczerwieniła się, usłyszawszy pytanie tej damy, która dotąd patrzyła na nią prawie pogardliwie.

— Tak, jestem sierotą — szepnęła — przynajmniej tak myślę. Rodzice mnie porzucili i nie wiem nawet, czy żyją.

— A! podchwyciła pani Bressoles — więc pani jesteś prawdziwem dzieckiem.

— Tak.

— Co ci do tego? — zapytał Bressoles, ażeby przerwać tę niemiłą rozmowę.

— Daj pokój — rzekła Walentyna — nie z tobą rozmawiam, lecz z tą panią.

I dalej wypytywała:

— Ile pani ma lat?

— Zdaje mi się dwadzieścia dwa.

— Rodziła się pani w Paryżu?

— Nie wiem.

— A gdzie się pani wychowała?

— Na prowincji

— U kogo?

— U mamki, do której mnie oddano.

— Do której rodzice oddali?

— Jakiś człowiek, który w nocy przyszedłszy do wieśniaczki mej mamki, następnie zostawił mnie u niej.

LI.

Usłyszawszy ostatnie słowa Symony, pani Bressoles zmarszczyła mimowolnie brwi.

Potrzebowała zaledwie dwudziestej części sekundy, ażeby ukryć wzruszenie i spytała jeszcze:

— Nigdy nie widziałaś pani tego człowieka?

— Nigdy.

— Ale przecie musiał przynajmniej powiedzieć wieśniaczce. jak się nazywa? Pozostawił zapewne u niej pieniądze, potrzebne na wychowanie pani?

— Rzeczywiście, zostawił jakieś pieniądze, ale ile, nie wiem, i obowiązał się przysyłać jeszcze więcej w oznaczonych terminach, tak przynajmniej mówiła mi wieśniaczka.

— Bez wątpienia, nie dotrzymał obietnicy.

— Przez kilka lat, a potem przestał przysyłać pieniądze. Człowiek ten kazał mej mamce nazywać mnie po prostu Symona.

Walentyna chciałaby wypytywać jeszcze, ale nie mogła wobec męża.

Krótkie opowiadanie Symony obudziło w niej wspomnienia o tem, co zdarzyło się przed dwudziestu dwu laty.

Nie przypuszczała naturalnie, ażeby to dziewczę mogło być jej nieprawną córką, porwaną przez jej brata Armanda Dharvilla, o któ-

rej potem nic nigdy nie słyszała, ale podobieństwo Symony do tej pierwszej jej córki zaostrzało jej ciekawość.

— Wszystko to bardzo interesujące — rzekła, podobne do romansu. Może znajdziesz pani kiedy swych rodziców, chociaż to wydaje mi się dość nieprawdopodobnem. A tymczasem radzę pani, ażebyś się dobrze prowadziła, żeby mąż mój i córka nie żałowali tego, że się panią zajęli. Często pomaga się ludziom, którzy na to nie zasługują, postaraj się więc pani, ażeby tego nie było w tym wypadku.

Symona nie wstrzymała dłużej. Oczy jej napełniły się łzami. Słowa Walentyny, a głównie ton, jakim były wypowiedziane, sprawiły na biednem dziewczęciu jak najprzykrzejsze wrażenie.

Ludwik Bressoles zauważył to i chciał wszystko naprawić.

— Panna Symona jest uczciwem dziewczęciem, dowiodła tego — rzekł. — Nie ma się czego o nią lękać. Będzie postępowała i w przyszłości tak samo, jak teraz. Do widzenia, moje dziecko, dziękuję ci za odwiedziny, i nie zapomnij, że pragniemy widzieć cię u siebie, o ile można, jak najczęściej.

Symona wzruszona, szepnęła jeszcze kilka słów podziękowania i wyszła z Marją, która chciała ją odprowadzić do samego przedpokoju.

— Dlaczego tak ostro obeszłaś się z tem dziewczęciem? — spytał Walentynę Bressoles.

— Mówiłam przecież tylko prawdę!

— Wątpię o tem!

— Naturalnie. Wasza protegowana wydaje mi się zręczną intrygantką i otumaniła was pozorami cnoty.

— Dlaczego ty zawsze wszystkich podejrzewasz?

— Bo nie jestem tak naiwną, jak ty.

— A może dlatego, że nie wierzysz w nic dobrego — szepnął Bressoles z goryczą. — Ustąpiłem pragnieniom twoim.

— Nie moim, lecz Marji.

— Niech i tak będzie, ale ustąpiłem. Zmienię tryb swego życia, bywać będę w świecie, dla którego nie czuję żadnej sympatji, ani szacunku. Poddaję się temu, jeżeli to ma być potrzebnem do wydania córki zamąż. Pożegnam się ze swym pokojem. U siebie przyjmować będziemy gości. Będziemy i w towarzystwie bywać, to już postanowione, ale nie zapominaj, że są rzeczy, których w naszym nowym rodzaju życia nie dopuszczę stanowczo. Od kilku już lat życie twoje schodzi obok mojego, wcale się z niem nie łącząc. Pozostawiłem ci zupełną wolność. Jak z niej korzystasz? Nigdy nie chciałem o tem wiedzieć, a kiedy dochodziły mnie skandaliczne pogłoski, nie chciałem ich słuchać. Teraz tak być nie może, odtąd znów się zaczyna wspólne nasze życie. Młodą jesteś jeszcze, tak jak dawniej, ładną i lubisz, ażeby ci nadskakiwano. Pamiętaj, że ja chcę, ażeby mnie szanowano u siebie i u ludzi, kiedy będziemy

razem. Pamiętaj, że nie chcę być przedmiotem żartów! Słyszysz! ja nie chcę! Pamiętaj to sobie, moja kochana, a inaczej niedźwiedź, jak mnie nazywasz, pokaże swe pazury!

Walentyna wysłuchała tego uniesienia bez zdziwienia i niepokoju.

Kiedy mówił, na ustach jej przesunął się szczególny uśmiech i nozdrza zadrżały.

Chciała coś powiedzieć, ale Bressoles nie dał jej czasu.

— Po co masz mówić? — rzekł. — Dobrego nic nie możesz powiedzieć, wiesz o tem zarówno jak ja, a bardzo łatwo możesz się unieść. Do czego-to wszystko doprowadzi? Do jałowej dysputy, której lepiej uniknąć. Postarajmy się żyć w zgodzie, bo dążyć do jednego mamy celu — do wydania zamąż naszej córki. Kiedy się to uskuteczni, dość jeszcze będziemy mieli czasu postępować względem siebie nieprzyjaźnie, jeżeli przyjdziemy do przekonania, że zgoda stanowczo niemożebna. Mam słuszność?

— Masz.

— No, to bardzo pięknie.

— Zajmiesz się więc przeróbkami w mieszkaniu dla przyszłych przyjęć?

— Od jutra i obiecuję wam, że za kilka dni będzie wszystko gotowe.

Pani Bressoles odeszła triumfująca. Podwójnego celu dopięła — uwolnienia się od córki przez wydanie jej zamąż i ułatwienia wstępu do domu męża swym wielbicielom.

— — — —

Również jak Maurycy i Oktawja, otrzymała list od barona Paskala de Landilly.

List ten bardzo lakoniczny, zapraszał ją na obiad do Brebanta wieczorem, nie donosił wszakże, dla kogo wydany jest bankiet; kto na nim będzie.

Zapytywała siebie, czy ma przyjąć to poufałe zaproszenie.

Młoda dama miała nerwy strasznie rozdrażnione.

Aresztowanie hrabiego, którego serce, jak myślała, podbiła, dotknęło ją wielce jako niespodziewana katastrofa.

Oczu przez całą noc nie zamknęła i ciągle zadawała sobie pytanie:

— Czy to fałszywy Rosjanin, fałszywy hrabia, fałszywy miljoner, słowem awanturnik niebezpieczny, sprawiedliwie aresztowany? Czy jest to przeciwnie, uczciwy i bogaty arystokrata — tylko ofiarą omyłki?

Oczywiście nie mogła na to dać sobie odpowiedź.

Wstała też, całkiem zdenerwowana, jak już wspominaliśmy, opryskliwie traktowała swą pokojówkę, która zresztą wywzajemniała się jej tem samem, śniadanie wydawało się jak najgorszem, zwymyślała kucharkę i stangreta, który przyszedł po rozkazy, oświad-

czyła, że nigdzie nie pojedzie i ubierać się nie będzie, zamknęła się w buduarze i nie kazała wpuszczać nikogo bez wyjątku.

Paskal de Landilly przyjechał sam, ale ponieważ go nie przyjęto, napisał kilka słów i pokojówka pomimo zakazu wchodzenia, ośmieliła się liścik ten zanieść natychmiast swej pani.

Oktawja przeczytała go i rzuciła w ogień, mówiąc do siebie:

— Nie pójdę!

Służąca stała naprzeciw swej pani.

— Na co czekasz? — spytała Oktawja.

— W domu jeść będzie pani obiad?

— A tobie co do tego? Daj mi pokój.

— Tak, ale kucharka chciałaby wiedzieć.

— Jeszcze gadasz... precz!

— Dobrze, proszę pani!

Pokojówka wyszła, przygryzając wargi, ażeby się nie roześmiać.

O wpół do siódmej Oktawja zadzwoniła głośno.

Zjawiła się pokojówka i zapytała spokojnie:

— Czego pani sobie życzy?

— Jest obiad?

— Niema. Pani nie kazała.

— Dobrze. Nie będę jadła w domu. Pomóż mi się ubrać.

— Jaką suknię pani każe?

— Tę, co wczoraj...

— Kazać stangretowi, ażeby zaprzęgał?

— Nie potrzeba. Każ mi sprowadzić karetkę. Ale moja kochana — dodała, nagle ton zmieniwszy — czy cię nie obraziłam troche dziś zrana?

— Trochę a nawet bardzo, proszę pani... tak się pani gniewała.. tyle mi głupstw pani nagadała, a przecież cóżem pani zrobiła?

I pokojówka, wyjąwszy z kieszeni chustkę, obtarła nią oczy zupełnie suche.

— Nie płacz — odezwała się Oktawja — wiesz przecie, jaka jestem, jeżeli się rozgniewam, to krzyczę, ale to prędko przechodzi.

— To prawda, że pani dobra, tylko się pani unosi.

— Daruję ci kostjum niebieski, ten prawie nowy.

— I kapelusz do niego?

— I kapelusz.

— O, dziękuję pani.

— Spodziewam się, żeś zadowolona.

— O! i jeszcze jak?

— No, to pomóż mi co prędzej ubierać się.

— Za pięć minut będzie pani gotowa.

Oktawja zaczęła nucić arję z nowej operetki.

Zły humor przeminął.

O trzy kwadranse na ósmą, młoda kobieta, ubrana tak, jak dnia poprzedniego, wsiadła do najętej karetki i kazała woźnicy jechać do Brebanta.

LII.

Sędzia rozpoczął badanie, przerwane w dniu poprzedzającym z powodu ważnych przyczyn.

Paweł de Gibray chciał od razu zadać ciężki cios.

Odłożywszy na później zwykły wstęp badania, spojrzał Rosjaninowi prosto w twarz i zapytał:

— Co pan porabiał 26. bieżącego miesiąca, to jest przed trzema dniami, począwszy od godziny trzeciej po południu do godziny drugiej zrana?

— Panie sędzio — odparł hrabia chłodno — nie wymożesz odemnie ani jednego słowa, jeżeli wprzód nie powiesz pan, za jakie obwiniają mnie przestępstwo.

— Moim obowiązkiem jest pytać, a pańskim odpowiadać.

— Niech i tak będzie, przynaję, że może mi pan nie powiedzieć, ale nie możesz mnie pan zmusić do tego, ażebym przerwał milczenie.

— Ten łotr żelazną ma wolę — pomyślał sędzia śledczy. — Rzeczywiście milczeć będzie, jeżeli nie ustąpię... lepiej czemprędzej skończyć.

— Oskarżonym pan jesteś o zabójstwo! — rzekł.

Niezmierne zdziwienie odbiło się na czerwonawej twarzy hrabiego.

— O zabójstwo! — wykrzyknął. — Mnie oskarżają o zabójstwo, mnie! Ależ chyba żartuje pan. Doprawdy, śmiesznem wydałoby się takie oskarżenie, gdyby nie było potwornem.

— Niech się pan wyraża oględniej względem sądu — wyrzekł rozkazująco Paweł de Gibray.

— Sąd, który tak dalece się myli, nie może nazywać się sądem — odparł Rosjanin. — A kogoż to zabiłem, pozwoli pan zapytać — mówił dalej.

— Dwóch ludzi, mężczyznę i kobietę.

— Dwóch ludzi! — powtórzył hrabia z nerwowym uśmiechem. — Rzeczywiście, to także jest śmieszne, że zapytuję sam siebie, kogo mam w tej chwili przed sobą, sędziego śledczego, czy warjata.

Gibray powściągnął gniew z trudnością.

— Strzeż się pan — rzekł zmienionym głosem. — Wszelka cier-

pliwość ma swe granice, a pan nadużywasz już mojej. Zuchwalstwa takiego nie mogę dłużej znosić, ani jako członek sądu, ani jako człowiek. Porzuć pan ten swój ton — a jeśli pan uważasz się za niewinnego, dowiedz swej niewinności, a nie, to odeślę pana do więzienia i zaczekam z badaniem, aż się pan uspokoisz. Dla pańskiego dobra radzę inaczej się panu zachowywać.

Iwan zrozumiał, że dla wydobycia się z tego okropnego położenia trzeba poddać się wszelkim jego warunkom.

Usiłował więc zapanować nad sobą, powściągnąć swą dumę i rzekł:

— Niech pan pyta, będę odpowiadał.

— Jak się pan nazywa?

— Iwan hrabia Smoiłow.

— Narodowość?

— Poddany rosyjski.

— Gdzie się pan urodziłeś?

— W Petersburgu.

— Ile pan masz lat?

— Dwadzieścia pięć.

— Rodzice pańscy żyją jeszcze?

Na to pytanie młodzieniec z lekka zadrżał. Oczy stały mu się wilgotnemi.

Potrzebował nowego wysiłku woli, ażeby powstrzymać łzy, gotowe z oczu popłynąć.

— Rodzice moi już nie żyją!... — szepnął głucho.

— Gdzie pan zwykle mieszka?

— W Petersburgu.

— Dawno pan w Paryżu?

— Dziewięć dni.

— Gdzie pan stanąłeś?

— W hotelu Wielkim.

— Prosto z Rosji pan przyjeżdża?

— Nie, z Londynu, gdzie dwa tygodnie byłem, a dokąd przyjechałem z Antwerpji. Przedtem podróżowałem kilka tygodni po Szwajcarji i Włoszech.

— Paszport pan ma?

— Mam.

— Dlaczego nie znaleziono go ani przy panu, ani w pańskich kufrach?

— Oddałem go do ambasady rosyjskiej.

— W jakim celu pan podróżuje?

— Dla przyjemności.

— Bogaty pan jest?

Tak.

— Nawet bardzo bogaty?

— O tyle, że stać mnie na wszelkie potrzeby i kaprysy.

— Skąd pan ma ten majątek?
— W spadku po rodzicach.
— Ma pan prawo nosić tytuł hrabiego?
— Mam.
— To pan należy do starej szlachty rosyjskiej?
— Mój ród sięga kilku stuleci.
— Przyjaciół pan ma w Paryżu?
— To zależy, co pan rozumie pod tym wyrazem. Jeżeli pan mówi o tych, w których towarzystwie byłem w chwili, kiedy mnie aresztowano, odpowiem panu: Nie! To nie przyjaciele, lecz po prostu niedawni znajomi, z wyjątkiem jednego.
— Kogo?
— Wicehrabiego Guya d'Arfeuilla, prawdziwego szlachcica, z którym trzy czy cztery razy spotkałem się przypadkiem zagranicą. Szanuję go bardzo i przekonany jestem, że i on również to samo dla mnie czuje.
— Czy wicehrabia d'Arfeuille jest Paryżaninem?
— Tak.
— Powiada pan, że zapoznał się pan z nim zagranicą, to pan dawniej nigdy nie był w Paryżu?
— Byłem z rodzicami, ale to tak już dawno, że nie pamiętam. Było to przed dwudziestu laty — miałem wtedy dopiero trzy lata.
— Wracam do swego pierwszego pytania: Co pan porabiał po południu i wieczorem 26. bieżącego miesiąca?
Hrabia Iwan przez kilka chwil przypominał sobie w pamięci, wreszcie rzekł:
— O ile pamiętam, poszedłem o jedenastej zjeść śniadanie z wicehrabią d'Arfeuille, na które mnie zaprosił. Rozstawszy się z nim, przechadzałem się po Paryżu, jadłem obiad w restauracji na bulwarach, potem byłem w restauracji Rozmaitości.
— Czy pan sam byłeś, rozstawszy się z wicehrabią d'Arfeuille?
— Sam.
— Do wieczora?
— Do wieczora.
— Co za cel miała pańska, samotna przechadzka?
— Żadnego celu nie miała. Spacerowałem, paliłem papierosy, i przypatrywałem się wystawom sklepowym.
— Tak pan przepędziłeś cały ten czas?
— Zdaje się.
— Kłamiesz pan! — rzekł sucho sędzia śledczy.
— Łaskawy panie! — zawołał Rosjanin, na obelgę tę zapomniawszy o roli oskarżonego.
— Kłamiesz pan! — powtórzył Paweł de Gibray. — W tym czasie jeden postępek jest ważny, ale się starasz go ukryć.
— Nie! — wyszeptał hrabia Iwan, znowu spokojny — pominąłem to dla tego, że nie pamiętam.

Paweł de Gibray wzruszył ramionami.

— Czy pan spodziewasz się mnie oszukać? — zapytał. — Byłeś pan na cmentarzu Pere Lachaise! Ośmieli się pan jeszcze przeczyć?

Iwan Smoiłow drgnął silnie i utkwił w sędziego śledczego spojrzenie, pełne niepokoju.

Ten mówił dalej:

— Zaprzecza pan temu?

— Nie. Nie mam żadnego powodu ukrywać mych postępków, Rzeczywiście byłem na cmentarzu Pere Lachaise.

— A po co?

— Cmentarz ten uważany jest za jedno z najciekawszych miejsc w Paryżu. Ja cudzoziemcem tu jestem, zatem chciałbym zobaczyć wszystko i udałem się tam przez ciekawość.

— Oszukujesz mnie pan. Ja panu pdwiem, po coś pan tam jeździł. Kupiwszy wianek nieśmiertelników w ulicy Roquette, poszedłeś pan prosto do grobowca, do którego też wszedłeś. Nieprawdaż?

— Prawda.

— W grobowcu tym wyznaczyłeś pan schadzkę pewnej kobiecie

— Temu zaprzeczam! — rzekł hrabia żywo.

Nieszczęśliwa przyszła — mówił dalej sędzia śledczy — a pan ją zabiłeś.

Iwan słuchał Gibraya z przerażeniem.

Kiedy go oskarżał o morderstwo kobiety — wstrząsnął się całem ciałem. Ku niebu, jakby biorąc je za świadka, podniósł ręce w kajdanach, a z ust wydarł mu się okrzyk:

— Boże wszechmogący — wyszeptał — co ja słyszę? Czy zrozumiałem? Pan mnie oskarża o zabójstwo w grobowcu Kurawiewów.

Błyskawica radości zaświeciła w oczach sędziego śledczego, Zdaniem jego oskarżony sam siebie zdradził.

— O! — rzekł triumfującym tdnem. — Wiedziałeś pan, że to grobowiec Kurawiewów. To równa się zupełnemu przyznaniu. Zanadto masz pan wiele rozumu, ażebyś tego nie rozumiał. Skończmy więc, na nic się nie przyda wypierać się dłużej. Przyznajesz się pan, żeś tę kobietę zamordował? Zatem według słów pańskich — rzekł Paweł de Gibray do hrabiego Smoiłowa, — czujesz się pan być winnym.

— Przyznać się do występku? — W zabójstwie kobiety? — zawołał młody człowiek w porywie największego oburzenia. — Odrzucam to jak najmocniej. Serce moje krwią zabiega na samo wspomnienie, że jestem obwiniony w tak strasznej zbrodni! Byłem na cmentarzu Pere Lachaise i wchodziłem do grobowca Kurawiewów.

— Od którego posiadałeś klucz — wtrącił sędzia śledczy.

— Pan powinieneś był znaleźć klucz w moim portfelu, który widzę na stole. Przysięgam panu, że w tym czasie nikogo nie było w grobie. Ja nawet nie mogę pojąć, jakim sposobem tam mogła wejść kobieta. Ja również o niczem nie wiem, jednak zostałem aresztowany, obwiniony publicznie o niepojętą dla mnie zbrodnię! Ja nie wiem, co chcą odemnie! Prawdziwie jestem ofiarą jakiejś pomyłki okropnej. — Lecz zapewniam pana, że jeżeli to nieporozumienie dłużej trwać będzie, to oszaleję. W głowie mi się kręci i nie mogę zebrać myśli!

Sędzia słuchał z ciekawością podsądnego, drwiąc sobie w myśli z jego dramatycznego talentu.

— Powiedz mi pan, dlaczego byłeś w grobowcu Kurawiewów — zapytał on po chwili milczenia.

— Dlatego, aby tam położyć wieniec, kupiony na ulicy La Roquette.

— Ja wiem dokładnie, że w grobowcu tym nie jest nikt pochowany.

— O tem nie wiedziałem — z pomieszaniem przemówił hrabia.

— Czy czasem pan nie należysz do rodziny Kurawiewów?

— O nie! — szybko odrzekł młody człowiek.

— W takim razie wszystkie zeznania pańskie są kłamstwem. Jakże mogę im wierzyć? — Niesiesz pan wieniec na grób, w którym nikt nie jest pochowany, nie należysz pan do rodziny Kurawiewów, a posiadasz klucz od grobowca. Przyznaj pan, że to nielogicznie. Jeśli pan rzeczywiście nie należysz do tego zabójstwa, to dowiedz tego; powiedz mi pan, od kogo dostałeś ten klucz i kto polecił położyć wieniec w tym grobowcu?

— Powtarzam panu, że nie jestem zabójcą tej kobiety. Dowiedziałem się o tej zbrodni dopiero na drugi dzień wieczorem, również jak i wszyscy, z gazet.

— Nie bądź pan sprzeczny z sobą! — niecierpliwie krzyknął Paweł de Gibray. — Byłeś pan w grobowcu i nie chcesz się przyznać, żeś widział tam zabitą kobietę.

— Mówię prawdę. Przyszedłem na cmentarz o godzinie trzeciej, a wyszedłem stamtąd o wpół do czwartej.

— Z tego widać, żeś pan działał pod wpływem obcej osoby. — Dlaczego posiadałeś ten klucz, dlaczego złożyłeś wieniec?

— To się tyczy mej osoby! — z dumą wyrzekł hrabia.

— Nie pomyliłem się — pomyślał sędzia śledczy, — kryje się w tem tajemnica rodzinna. Bądź pan przekonany — dorzucił głośno — że zapieranie się pańskie nie doprowadzi do niczego, wszystko to, co pan chcesz teraz ukryć, wyjdzie na jaw wcześniej lub później.

— Być może — odrzekł hrabia.

— Teraz niema już wątpliwości, że pan zabiłeś tę kobietę, również i tego pana, którego oczekiwałeś na stacji drogi żelaznej.

— To ja i tego pana zabiłem? — z gorzką ironją wyrzekł podsądny.

— Przyznajesz się pan do tego, żeś był w nocy na stacji drogi żelaznej?

— Przyznaję; spotkałem jednego z moich przyjaciół, przybyłego z Londynu. Nazajutrz rano musiał jechać do Szwajcarji. Przeprowadziłem go do hotelu, niedaleko od stacji liońskiej drogi żelaznej.

— Jak się nazywa ten hotel?

— Nie wiem.

— O której godzinie rozstałeś się pan z przyjacielem?

— O drugiej.

— Ten pan wasz rodak?

— Tak.

— Jak się nazywa?

— Hrabia Sergjusz Mikołajew.

— Pan utrzymujesz, że on pojechał do Szwajcarji?

— Jestem tego przekonania.

— Gdzie mianowicie?

— Do Genewy.

— Jak długo tam zabawi?

— Dwa tygodnie.

— W jakim hotelu tam stanie?

— W hotelu Bo — Ryważ.

— O wszystkiem przekonamy się przez telegraf. Teraz wyjaśnij mi, jakim sposobem, rozstawszy się o drugiej w nocy z przyjacielem pańskim niedaleko od stacji liońskiej drogi żelaznej, pan w tym samym czasie znalazłeś się na ulicy Montorguell i rozmawiałeś w hotelu z dyżurnym korytarzowym?

— Tego objaśnić nie mogę, oddani panu ludzie z pewnością go oszukali.

— Pytam się, w jakim celu?

— Lub sam się pan omyliłeś.

— Nie możesz mnie pan przekonać, aby tych ludzi w błąd wprowadziło podobieństwo.

— Zupełnie nie. Wyślij pan telegram do hrabiego Sergjusza Mikołajewa do Genewy i przekonasz się, że mówię prawdę.

— Wyślę telegram do naczelnika policji śledczej. Widocznie, że ten przyjaciel, pański współtowarzysz jest w zmowie z panem

— Pozwól pan zadać sobie jedno pytanie.

— Owszem, lecz uprzedzam, że nie jestem w obowiązku odpowiadania na nie.

— Pan posądzasz mnie, iż jestem winnym zabójstwa, nie zważając, że może towarzyskie położenie przedstawia nieprawdopodob-

ność tego twierdzenia. Powiedz pan szczerze, na czem gruntujesz te spostrzeżenia?

— Na zeznaniu świadków, których przedstawię w tej sprawie.

— Pozwolisz pan, że pozostanę w wątpliwości. Jedno z dwóch, albo oni w zeznaniach swoich oszukują, albo też pan sam się myli.

De Gibray zadzwonił i szepnął coś na ucho wchodzącemu urzędnikowi, który niezwłocznie wyszedłszy z pokoju, wprowadził zaraz do gabinetu Kadeta, stangreta z ulicy Ernestyny.

Biedny malec poczerwieniał i zasępiony miął w rękach czapkę.

— Spójrz na tego pana — rzekł, wskazując na hrabiego — i powiedz, czy go nie poznajesz.

Kadet bystro spojrzał na młodego człowieka.

— Mamże go nie poznać! — zawołał — jam dobrze zapamiętał te włosy i faworyty koloru lnianego. Najął mnie w alei Saint Mande; zawiozłem go na ulicę Montorgueil, gdzie posłał mnie, abym mu zmienił monetę czterdziestofrankową. To on, to on, słowo honoru.

— Co na to pan odpowiesz? — spytał de Gibray.

Hrabia Smoiłow, jak piorunem rażony, z trudnością przemówił.

— Ten stangret myli się, powtarzam panu, że w tem kryje się jakieś nieporozumienie. Jestem aresztowany za kogo innego.

— Ja poznałem go nietylko po włosach, lecz i po głosie! — zawołał Kadet.

— Czy myślisz pan odrzucić i to świadectwo? — zapytał sędzia śledczy.

— Bez wątpienia, odrzucam je jak najmocniej.

Kadet nie wytrzymał i głośno krzyknął:

— Tak, to złodziej pierwszego rzędu!

— Możesz pan odejść! — powiedział de Gibray do stangreta.

Wszyscy powołani jeden po drugim świadkowie potwierdzili zeznanie Kadeta. Hrabia pytał sam siebie, czyli nie znajduje się we śnie.

— Widzisz pan, że dalsze zapieranie się na nic się nie przyda. Oznaki pańskiej winy jasne, jak dzień.

— Dowody te są kłamliwe, przekonasz się pan o tem niebawem.

— Pan sam zaraz przekonać się możesz o tem.

— Jakim sposobem?

— Powiesz i pan, dlaczego chodziłeś do grobu Kurawiewów.

— Na to odpowiedzieć nie mogę.

— Mówiłeś mi pan, że się nazywasz Iwanem Smoiłowem — ciągnął de Gibray, przypadkowo zerknąwszy na leżące na stole rzeczy hrabiego — dlaczego na pańskich rzeczach znajdują się cyfry J. S. K.? J. znaczy Jan, S. Smoiłow, co zaś znaczy ta litera K.?

Młody człowiek zamilkł.

— Pan milczysz, ale widzę, że milczenie jest przyznaniem się do winy. Czyż pan tego nie pojmuje?

— Co pan tak upornie obwiniasz mnie o zabójstwo, powiedz, jakież mogłem mieć powody do spełnienia takowego?

— Śledztwo wykryje ten powód.

— Wątpię.

— Ja znów jestem o tem przekonany. Chciej pan podpisać protokół — głośno dorzucił de Gibray.

Już chciał sędzia odesłać podsądnego do aresztu, gdy w tej chwili przybiegł urzędnik i szepnął mu coś na ucho. Sędzia śledczy z podziwieniem spojrzał na hrabiego Smoiłowa.

— Poproś ich pan, aby weszli — rzekł do urzędnika.

Po chwili wszedł do gabinetu starszy sekretarz poselstwa rosyjskiego, książę Włodzimierz Puszkin i wicehrabia Guy d'Arfeilles. Jednego z nich już poznali nasi czytelnicy, drugiego zaś postaramy się opisać w krótkich słowach.

Starszy sekretarz poselstwa rosyjskiego był człowiekiem około lat pięćdziesięciu, wysoki, zgrabny, typ prawdziwy rosyjskiego pana. Długie prawie siwe faworyty otaczały czerwoną twarz jego, noszącą na sobie cechę szlachetnej dumy, ludzkości i ambicji. W pętlicy surduta czerwieniała sprzączka ze wstążeczkami wszystkich znaczniejszych państw europejskich.

Skłoniwszy się sędziemu śledczemu, przyjacielsko podał rękę hrabiemu Smoiłowowi, a ujrzawszy łzy w jego oczach, wyrzekł:

— Nie twórz się, miłe dziecko moje, nieporozumienie, którego stałeś się ofiarą, niedługo się wyjaśni.

— Książę — zapytał Paweł de Gibray — pan zapewne odwiedził tego młodego człowieka w czasie jego aresztu.

— Tak, panie i przedewszystkiem będę go prosił o wyświadczenie mi pewnej łaski.

— Jestem cały na usługi pańskie.

— Każ zdjąć kajdany hrabiemu Smoiłowowi.

— Życzenie pańskie będzie zaraz spełnione — odpowiedział sędzia śledczy i na znak jego natychmiast zbliżył się jeden z otaczających podsądnego żołnierzy i zdjął kajdany z hrabiego.

— Według pańskiego rozkazu aresztowany został hrabia Jan Smoiłow, syn mojego najlepszego przyjaciela — zaczął książę Puszkin, zwracając się do sędziego śledczego. — Nie wiem, o co go obwiniają, ale przyjechałem dla oznajmienia panu, że ręczę za niego, jak za siebie i proszę o uwolnienie go za poręczeniem.

— I ja łączę moją prośbę z prośbą księcia — dorzucił Guy d'Arfeilles.

Paweł de Gibray zachmurzył się; na twarzy jego malowało się mocne pomieszanie. — Prośba tych panów w trudnem stawiała go położeniu.

— Najprzód pozwólcie panowie, abym wyjaśnił powód, dla czego wasz ziomek został obwiniony — odpowiedział.

— Chciej nam wyświadczyć tę łaskę.

— Hrabia Jan Smołłow został obwiniony o podwójne zabójstwo.

— O podwójne zabójstwo? — jednocześnie zawołali.

— Badanie świadków nie pozwala mieć najmniejszej wątpliwości.

— Pozory bywają często mylne, pan sam wiesz o tem — wyrzekł sekretarz poselstwa, zauważywszy uśmiech ironiczny na ustach hrabiego Jana. — Jestem przekonany, że hrabia Smołłow przez pomyłkę został aresztowany.

— Ja to samo mówiłem panu sędziemu śledczemu — rzekł hrabia.

— Mogłeś pan dowieść swej niewinności, lecz sam tego nie chciałeś — dorzucił Paweł de Gibray.

— Pozwól, że się zapytam, jakie w tym razie było zapytanie pana — zapytał książę Puszkin. — Postaram się wpłynąć na mego młodego przyjaciela, aby spełnił, czego żądasz!

Paweł de Gibray w krótkich słowach opowiedział księciu, co wiadomem jest naszym czytelnikom.

— Czy to być może? — zawołał sekretarz. — Pan obwiniasz hrabiego Smołłowa o dwa zabójstwa?

— Obwiniam nie ja, ale fakta. Wina jego niemal zupełna. Nie chce wyznać, dla jakich powodów wchodził do grobowca Kurawiewów.

— Jakto, nie wyznał panu powodu?

— Nie, — uchylił się zupełnie od tego.

— Ależ to nierozsądek z jego strony... Ja panu zaraz...

— Na Boga książę, błagam cię — przerwał hrabia Jan — nie zapominaj, że to tajemnica rodzinna.

— Przyjacielu mój, co znaczy ta tajemnica w porównaniu z ciężkiem twem oskarżeniem? Winieneś pan powiedzieć całą prawdę. Zewnętrzne twe podobieństwo do zbrodniarza, który dopuścił się zabójstwa, mogło wprowadzić w błąd świadków, na zeznaniach których gruntuje się oskarżenie! Zniwecz pan od razu wszystkie podejrzenia. Wyjaw pan prawdę, Jeżeli zaś pozwolisz mówić za siebie, to objaśnię powód przyjazdu pańskiego do Paryża i opowiem, co zmusiło pana do wejścia do grobowca na cmentarzu Pere Lachaise.

LIII.

Silny wewnętrzny niepokój okazał się na twarzy hrabiego Smołłowa;w oczach zabłysły łzy, ręce i usta jego drżały. Po krótkiej przerwie rzekł cichym głosem:

— Mój książę, jeżeli to jest koniecznem, tylko będę prosił pana sędziego śledczego, aby wydalił osoby obce, aby nie były świadkami tej rozmowy.

Na znak de Gibraya protokolista i żołnierze wyszli z gabinetu.

— Dlatego, aby zupełnie oczyścić w waszych oczach mojego przyjaciela — rozpoczął książę Puszkin, zwracając się do sędziego śledczego — wypada mi wyrzec prawdziwe nazwisko jego. — Zwą go hrabią Kurawiew.

— Hrabią Kurawiew! — z podziwieniem wyrzekł Paweł de Gibray.

— On rzeczywiście był na cmentarzu Pere Lachaise 20. grudnia. Ojciec jego powierzył mu klucz od grobowca, prosząc mnie, abym przynosił tam wieniec corocznie, w dniu śmierci zmarłej hrabiny, żony jego. Hrabia Jan będąc w tym dniu w Paryżu, sam chciał dopełnić smutnego tego obowiązku i udał się do grobowca, gdzie spoczywały zwłoki jego matki.

Młody hrabia siedział ze zwieszoną głową: przy tych słowach księcia zapłakał jak dziecko.

— Ja winienem panu oświadczyć, że hrabina Kurawiewowa umarła śmiercią niezwykłą, była zabitą.

— Czemuż pan nie wyjawił mi tego? — zapytał sędzia śledczy hrabiego Smoiłowa. — Czemu pan nie wyznał powodu, który spowodował bytność pana w grobie, w dniu tym dorocznym i nie powiedział mi prawdziwego nazwiska? — Toby zbiło wszystkie podejrzenia i uniewinniło pana przed sądem. Powinieneś pan mówić otwarcie!

— Nie mógł on tego zrobić! — odezwał się sekretarz poselstwa — gdyż nazwawszy się hrabią Kurawiewem, mógł narazić życie swe na niebezpieczeństwo.

— Jakim sposobem? — z podziwieniem zawołał de Gibray.

— Zaraz to panu wyjaśnię. Dwadzieścia trzy lata temu, hrabia i hrabina Kurawiew z maleńkim synem mieszkali w Paryżu i zajmowali ogromny dom na ulicy Cex. Desaunigue. U hrabiego naówczas służył za kamerdynera niejakiś Piotr Lartigues, którego przyjął na rekomendancję jednego z przyjaciół. Ten Lartigues zabił hrabinę skradł jej brylanty wartające kilkakroć stotysięcy franków i uciekł zagranicę. Pozory policji skierowały się ku młodej pokojówce; wszyscy bowiem byli przekonani, że ona była współtowarzyszką zabójcy, będąc jego kochanką. — Zbrodniarza ująć się nie dało, osądzony został zaocznie na karę śmierci, a młoda dziewczyna uniewinniona zupełnie przez sąd, została uwolniona z więzienia. Sprawa ta zainteresowała całą publiczność paryską i wzbudziła wiele baśni i domniemań. Znaleźli się ludzie, co samego hrabiego obwinili o to, jakoby był w spółce ze zbrodniarzem. Szczęściem jednak zeznania owej pokojówki Aimee Joubert wykazały potworność takiego oskarżenia i stary mój przyjaciel, hrabia Kurawiew, został zupełnie ze sprawy tej zwolniony.

— Ja znam tę Aimee Joubert — przerwał księciu sędzia śled-

czy — i mam ją za kobietę uczciwą, niepodobną do popełnienia czego złego, tem bardziej występku.

— Hrabia Dymitry Kurawiew — ciągnął dalej książę Puszkin — w późniejszym czasie, zbiegiem różnorodnych okoliczności, spotkawszy się z Aimee Joubert, dokładnie został powiadomiony — że Lartigues działał tylko z rozkazu pewnej bardzo wysoko postawionej osoby, w rękach której był narzędziem. Wypada panu powiedzieć, iż rekomendujący Lartiguesa przyjaciel hrabiego był zakochany w hrabinie Kurawiew. Ta święta niewiasta odepchnęła go z odrazą, — wówczas jego miłość zamieniła się w jak największą ku niej nienawiść. On przekupił Lartiguesa i ułatwił mu ucieczkę za granicę.

— I władza sądowa nic o tem nie wiedziała! — zawołał de Gibray.

— Dowody przestępstwa wysoko tej postawionej osobistości niespodzianie dostały się do rąk hrabiego Kurawiewa. Półtora roku temu kupił on w Brukseli na licytacji starożytne biurko z szesnastego wieku; w jednej ze skrytek jego znalazł hrabia listy byłego swego przyjaciela, adresowane do Piotra Lartiguesa. Zbrodniarz ten miał zamiar wymódz za pomocą ich ogromne sumy na hrabinie — ale jak pan widzisz, zamiar jego spełzł na niczem. Dowiedziawszy się, kto rzeczywiście był zabójcą jego żony, hrabia pospieszył wkrótce do Rosji, dawszy sobie słowo, że zemści się na nieprzyjacielu. Nazajutrz po przybyciu do Petersburga, udał się do naczelnika tajnej policji, opowiedział mu rzecz całą i pokazał kopje listów. Z uwagą wysłuchawszy całej sprawy, zażądał tenże oryginałów. Wskutek tego żądania sprawę na czas dalszy odłożono.

Nazajutrz Dymitry Kurawiew został znaleziony w łóżku nieżywy. Doktorzy przypisywali śmierć jego anewryzmowi, ale syn jego hrabią Jan poznał prawdziwą przyczynę śmierci ojca swego. Listy zbrodniarza były zabrane! — Było to jasne jak dzień, pomimo tego nie wykryto najmniejszego śladu, przez kogo i jakim sposobem spełnione zostało zabójstwo hrabiego. Nieszczęśliwy młodzieniec był w rozpaczy, jak przystąpić do sprawy. Nie mając dowodów, — czyż może oskarżyć jednego z wyższych urzędników państwa? Pośpiech zbytni nieobecnej okoliczności mógłby zaszkodzić biegowi sprawy. Hrabia Jan przysiągł sobie niezwłocznie szukać Lartiguesa, ująć go siłą i zmusić go do wydania piśmiennych dowodów w spełnionym przez siebie zabójstwie, przy wymienieniu nazwiska osoby, z rozkazu której działał. W celu tym hr. Jan od roku już przeszło po dróżuje po Europie, lecz dotąd nie był w stanie wpaść na trop Lartiguesa. Teraz pan pojmuje, dlaczego on odrzucił właściwe swe nazwisko i podróżował pod nazwiskiem Smołłowa.

Książę Puszkin mówił ze wzrastającem ożywieniem, mowa jego brzmiała z miłością ku rodzinie Kurawiewów a nienawiścią ku zbrodniarzom, którzy ich zgubili.

W końcu zamilkł. W pokoju przez kilka minut zapanowała niezwykła cisza, słuchacze byli przerażeni tajemnicą tego krwawego dramatu.

— Będę panu pomagał ze wszystkich sił — zaczął Paweł de Gibray — niewinność hrabiego Jana w zupełności wykazana; lecz muszę mu zadać jeszcze kilka zapytań.

— Ja będę na nie odpowiadał z taką szczerością, z jaką odpowiedziałbym swemu ojcu, — gdyby tenże wstał z grobu — zawołał młody hrabia.

— Czy rzeczywiście oczekiwałeś pan na swego przyjaciela, hrabiego Mikołajewa, na stacji północnej drogi żelaznej w nocy z 20 na 21. grudnia?

— Tak, panie i zaprowadziłem go do hotelu w bliskości stacj liońskiej drogi żelaznej będącego.

— Ja mogę potwierdzić słowa rzeczone przez mojego młodego przyjaciela — wyrzekł sekretarz rosyjskiego poselstwa — gdyż wiem, że rzeczywiście hrabia Mikołajew w przejeździe był w Paryżu i nazajutrz wyjechał do Szwajcarji.

LIV

Ze dwadzieścia już osób znajdowało się w maleńkim pokoiku obok sali, gdzie aresztowano hrabiego.

Hrabia Iwan, którego wyobrażała sobie w więzieniu Mazas lub Cerciergierie, stał oparty o kominek i opowiadał o nieporozumieniu którego stał się ofiarą.

Maurycy, obecny tu już od kwadransa, słuchał z uwagą tej powieści, a słuchając, mówił sobie, że się nie omylił w domysłach.

Policja poszła fałszywym śladem. Koniecznie chciała, ażeby zabójca miał włosy jasne i faworyty.

Zatem żadne podejrzenie nie mogło paść na Maurycego.

Obiad odbywał się wesoło i przeciągnął się do północy.

W karty nie grano.

Oktawja była dla Rosjanina coraz więcej uprzejma, z czego się szczerze ucieszył Maurycy.

Długo myślał nad rozsądnemi radami opata Merissa.

Mówił też sobie, że dziewięć razy na dziesięć kobiety kompromitują, jeżeli nie stają się przyczyną zguby, a wynikiem rozmyślań był wniosek, że hrabia Iwan wyświadczy mu wielką przysługę, jeżeli zastąpiwszy go przy Oktawji, pozwoli mu zerwać węzły, które za byt uciążliwe już uważał.

Następnego dnia, jak się już umówiono, udał się o godzinie dziesiątej na ulicę Surennes.

Znajdował się już tutaj Verdier.

List otrzymał z Londynu w odpowiedzi napisany o Maurycym i zakomunikował tę odpowiedź Lartiguesowi.

Michał Bremont odzywał się z pochwałami dla sprytu młodzieńca, co nie przeszkadzało mu żałować, iż tenże dowiedział się o istnieniu tajemniczego stowarzyszenia.

Radził jednak, aby go przyjąć, bo innego punktu wyjścia nie było, lecz jednocześnie zalecał, aby go pilnowano jak najbaczniej i bez litości zabito przy najmniejszym oporze przeciw przepisom stowarzyszenia.

Następnie wyrażał życzenie, ażeby poprowadzić bardzo prędko sprawę o spadek Dharvilla.

Spadkobierczynie zniknąć miały bardzo szybko, w celu, ażeby można było podzielić miljony na pięć części.

— I cóż? — zapytał Maurycy, wchodząc — czyście otrzymali list, który miał nadejść z Anglji?

— Mamy.

— A dla mnie pomyślny?

— Wobec tego, com napisał doń o tobie, — odpowiedź niepomyślna być nie mogła, Jesteś przyjęty. Od dzisiaj będziesz miał udział w zyskach stowarzyszenia. To już uchwalone. A teraz weźmy się do sprawy Dharville. Michał Bremont zaleca, ażebyśmy ją prędko przeprowadzili. Czyś dostał kopję metryki Symony?

— Jutro z rana mają mi dać.

— Zatem pojedziesz zaraz do Vique-sur-Bresne.

— Bardzo dobrze, ale zdaje mi się, że niebezpiecznie pokazywać tam metrykę. Ludzie zaczną wnet rozmaicie gadać, jeżeli się rozgłosi wiadomość o spadku.

— To też przedłożysz metrykę tylko w razie koniecznej potrzeby.

— Kiedy mianowicie?

— Jeżeli mamka wypierać się będzie, że nigdy takiego dziecka nie miała u siebie. że nie słyszała o niem nawet, wówczas metryka pozwoli ci zmusić ją do wyznania prawdy. Słowem działaj najostrożniej.

— O! przyrzekam wam ostrożność zupełną!

— Czyś sobie zapisał, jak się nazywa mamka?

— Klaudja Chavais tak ale jest pewna okoliczność, którą trzeba przewidzieć.

Jaka?

- Może ta kobieta już nie żyje.

Zapewne ale chyba pozostali po niej krewni, a przynajmniej

sąsiedzi, od których będziesz mógł powziąć wiadomość. Nieprawdopodobnem nawet nie jest, że sama dziewczyna dotąd mieszka w Vique-sur-Bresne.

— Czy jest tam, czy jej niema, odszukać ją muszę. Pisywać mam do was?

— Nie, nie, listów nie trzeba list może zaginąć i skompromitować. Podróż prawdopodobnie długo nie potrwa. Czekać będziemy na twój przyjazd, ażeby wiedzieć, jak mamy dalej postąpić.

— Dobrze.

— Jeżeli dziewczyny niema już w Vique-sur-Bresne — a będziesz miał wskazówki, że znajdować się może w okolicy, powinieneś tam wszędzie prowadzić poszukiwania.

— Niezawodnie to zrobię — odpowiedział Maurycy.

— W takim razie — ale tylko w takich okolicznościach napiszesz do nas, ażeby nas uspokoić co do opóźnienia twego powrotu.

— Jak adresować list?

— Do kapitana Van Broke, ulica Surennes, a postaraj się, ażeby w liście nie było ani jednego nieostrożnego wyrazu.

— Dla większego bezpieczeństwa użyję do tego kratki, którą mam u siebie, a wy zapewne także posiadacie jej duplikat.

— To będzie bardzo dobrze. Nie zapominaj z sobą wziąć pieniędzy.

— Tak, kilka tysięcy franków może mi dopomódz do rozwiązania języka temu lub owemu.

— Potrzebujesz pieniędzy?

— Nie mam jeszcze. Wydam ze swych, jeżeli będzie potrzeba.

— Dobrze. Podasz nam po przyjeździe rachunek i zaraz go u regulujemy.

— Nic więcej nie macie mi do powiedzenia?

— Nic więcej.

— W takim razie pożegnam was i pojadę jutro.

— Szczęśliwej drogi i powodzenia!

Z ulicy Surennes udał się Maurycy do pani Rosier, bardziej znanej pod nazwiskiem Aimee Joubert

Wiemy, że widział się z nią onegdaj, pomimo to, wyjeżdżając z Paryża choć na czas krótki, chciał się z nią pożegnać.

Siedziała przy śniadaniu, kiedy o jedenastej przyszedł na ulicę Procence.

— Przyszedłeś zjeść śniadanie ze mną, moje drogie dziecko — rzekła, pocałowawszy go.

— Nie, przyszedłem się z tobą pożegnać.

— Jakto? wyjeżdżasz z Paryża? — zawołała pani Rosier, trochę zbladłszy. — Czy wyjeżdżasz z tym Holenderczykiem?

— Nie, jadę sam, podróż długo nie potrwa. Wrócę za dwa lub trzy dni.

— Dokąd jedziesz?

— Do Havru — odpowiedział Maurycy bez wahania

— W jakim celu?

— Ażeby z archiwum marynarki wydostać kilka szczegółów, potrzebnych memu kapitanowi do jego ogromnego dzieła.

Widzimy, że Maurycy przez ostrożność nie wymówił nazwiska, jakie przybrał Piotr Lartigues, ani miasta, dokąd jechał.

Pani Rosier ufała Maurycemu zupełnie.

Wszystko — co do niej mówił, było dla niej prawdą bez skazy. Przytem dlaczegoby go miała posądzać o kłamstwo, kiedy nie mogła się domyśleć celu tego kłamstwa.

— Tylko dwa czy trzy dni nie będziesz w Paryżu? z pewnością? — pytała dalej.

— Niezawodnie,

— Wiem, że niedaleka podróż koleją nie jest wcale niebezpieczna, a jednak czuję jakiś niepokój; wagony się wykoleją, spotkają się pociągi... jak przyjedziesz na miejsce, napisz do mnie.

Maurycy przygryzł wargi.

Przezorność przedsięwzięcia zwracała się teraz sama przeciw niemu.

Pisać było niepodobna, bo powiedział, że jedzie do Havru, a list miałby stemple z Vique-sur-Bresne! Trzeba było znaleźć punkt wyjścia.

— Jeżeli koniecznie chcesz, napiszę kilka słów — rzekł z uśmiechem. — Ale między nami mówiąc, jest to nawet zbyteczne przy wycieczce dwudniowej. Nie wiem nawet, czy dwa dni tam będę. W kilka godzin mogę porobić notatki i powrócić zaraz.

— To nie nalegam — szepnęła pani Rosier. — Masz słuszność, niepokój mój jest śmieszny, ale jeżeli będziesz dłużej niż dwa dni, napiszą?

— To ci przyrzekam — rzekł Maurycy. — Pomyślę, jak uczynić rzekł do siebie w duchu.

— Zjesz ze mną dziś obiad? — zapytała pani Joubert. — O, nie wymawiaj się, bo się zmartwię; tak dawno już nie spędziliśmy razem wieczoru.

— I owszem, z największą przyjemnością. Dzisiaj jestem zupełnie wolny.

— Nie spóźnisz się?

— Punkt o szóstej będę.

— No, zobaczysz, że cię uraczę takim obiadem, jaki lubisz. Wszystko będzie jak najlepsze.

— I owszem, i owszem — odpowiedział — ale nie dlatego przyjdę.

Pani Rosier chciała odpowiedzieć na uprzejme słowa, ale dzwonek nie dał jej mówić.

Prawie natychmiast weszła służąca.

LV.

— Cóż tam takiego? — spytała pani Rosier.

— Posłaniec przyniósł list. Proszę.

Aimee Joubert wzięła kopertę, którą jej podała służąca i spojrzała na adres.

Natychmiast zadrżała lekko, czego nie zauważył jednak Maurycy.

— Na jednym z rogów koperty był znak dla Joubert zrozumiały

— Wiem — rzekła półgłosem, jakby mówiąc sama do siebie — to nic pilnego, ani też ważnego.

Z udaną obojętnością rzuciła list na stół, wcale nie rozpieczętowawszy koperty.

Maurycy wstał i wziął za kapelusz.

— Odchodzisz już? — zawołała pani Rosier.

— Mam dużo jeszcze interesów. Muszę zajść do redakcji.

— Więc do zobaczenia wieczorem!

— Tak wieczorem będę punkt o szóstej.

— Tylko się nie spóźnij.

— Będę punktualnym.

Młodzieniec pocałował panią Rosier w rękę i odszedł.

Ledwie drzwi zamknęły się za nim. Joubert gorączkowo schwyciła list, rzucony na stół, szybko rozdarła kopertę i wyciągnęła znajdujący się w niej papier.

— Z sądu — szepnęła. — Co to znaczy? Czego odemnie chcą?

Przeczytała następujące wyrazy:

Z polecenia prokuratora departamentu sekwańskiego pan Paweł de Gibray, sędzia śledczy, prosi panią Rosier pofatygować się do jego gabinetu w gmachu sądowym dziś punkt o pierwszej.

Bardzo pilny interes. *Paweł de Gibray*".

— Do gabinetu sędziego śledczego! — powtórzyła pani Rosier prawie głośno.

— Po co? żadnego objaśnienia! Prośba podobna do rozkazu! Niepokoi mnie list ten! Ale jestem przecież niezależna, czyż nie mogę odmówić?

Po chwilowym namyśle dodała jednak.

— Dlaczegoż mam atoli odmówić? Zamiast Bóg wie co myśleć, najlepiej będzie się dowiedzieć, czego chcą odemnie. Pójdę do sędziego śledczego.

To postanowiwszy, pani Rosier prędko zjadła śniadanie, ubrała się pospiesznie, zawołała służącą, wyborny zadysponowała jej o-

piad, potem wyszła, wsiadła do dorożki na najbliższej stacji i pojechała do sądu.

Wiedziała bardzo dobrze, gdzie się obrócić w tym gmachu, znała wszystkie przejścia.

Przeszła prosto korytarzem, na który wychodzą drzwi do gabinetów sędziów śledczych i poprosiła woźnego, ażeby ją zaanonsował panu de Gibray.

Ten, licząc na jej punktualność, zaprosił już do siebie naczelnika policji śledczej i komisarza do spraw sądowych.

Pragnął z nią się rozmówić bez hrabiego Iwana i dlatego wyznaczył pani Rosier czas o godzinę wcześniejszy.

Wszedłszy do gabinetu, dokąd ją natychmiast wprowadził woźny, poznała od razu tych dwóch ludzi, znajdujących się u sędziego śledczego.

Wzruszona była wielce.

Przyczyną takiego zebrania musiało być jakieś zdarzenie niezwykłe.

Naczelnik policji śledczej i komisarz do spraw sądowych postąpili kilka kroków na spotkanie przybyłej i wyciągnęli ku niej ręce.

— Kochana pani Joubert — odezwał się naczelnik policji śledczej — od dwóch lat cię nie widzieliśmy. Zachowałem o naszej pracy jak najlepsze wspomnienie i nie mogę dość odżałować, że się przerwała i pragnę, aby się znowu rozpoczęła.

Pani Rosier spojrzała na naczelnika policji śledczej ze zdziwieniem i widocznym przestrachem.

— Pan mówi o wznowieniu przeszłości — rzekła głosem nieco drżącym — czyżby list, który miałam zaszczyt otrzymać od pana sędziego śledczego, miał czegoś podobnego dotyczyć?

Gibray wmieszał się do rozmowy, ale zamiast odpowiedzieć na poprzednie pytanie, odezwał się głosem, o ile mógł najbardziej uprzejmym:

— Niech pani siada, mamy wiele z sobą do mówienia.

Aime Joubert uczuła pewne zakłopotanie, — znalazłszy się między trzema przedstawicielami sądu i policji.

Oczywiście, nie miała się czego lękać, wiedziała o tem dobrze, ale rozjaśniło się nagle w jej myślach, a to, co odgadła przestraszyło ją niezmiernie.

Panując jednak nad sobą, umiała wrażenie to ukryć i usiadła na zaproszenie sędziego śledczego.

Ten mówił dalej:

— Czy pani czytała gazety w ciągu dni ostatnich?

— Naturalnie. Zawsze czytam „Petit Journal“ i „Figaro“.

— Więc pani wiadomo, że popełnione zostało podwójne morderstwo, które nam tyle sprawia kłopotu?

— Czytałam, że zabito kobietę na cmentarzu Pere Lachaise i że

trupa mężczyzny znaleziono w karetce najemnej z ulicy Ernestyny. Zapewne o tem pan mówi?

— Tak o tem.

— Potem zdaje się pisano, że morderca został aresztowany? — mówiła dalej Aime Joubert.

— Pisano, ale omylono się niestety.

— Jednakże aresztowano kogoś?

— Przez omyłkę. Pozory mylne zwróciły podejrzenie na człowieka zupełnie niewinnego, natychmiast go uwolniono.

— Bardzo przykre nieporozumienie! — zawołała Aime Joubert.

— Bardzo przykre ,ale cóż zrobić. Zeznanie świadków, jak wyglądał morderca, wprowadziło agentów na fałszywy ślad.

— Ale złe już powetowane, przynajmniej w części — rzekła dawna agentka — i teraz bez wątpienia agenci pańscy, jak wyżły, porzucą mylny ślad i pójdą za prawdziwym.

Paweł de Gibray kręcił głową.

— E! co do tego bardzo słabą mamy nadzieję — odrzekł.

— Dlaczego?

— Dlatego, że mamy do czynienia z niesłychanemi trudnościami, z niepojętą tajemnicą, ani najmniejszych wskazówek, szukamy i szukamy, a nici przewodniej nie możemy znaleźć.

— Rzeczywiście mamy, jak pani powiedziałaś, zręcznych agentów, ale najprzebieglejsi z nich nie mogą się równać z tymi, co byli dawniej, z tymi do których i ty należałaś.

Aime Joubert poczuła dreszcz.

Domniemania jej przemieniały się w pewność.

— Pan sędzia przez grzeczność zbyt przecenia moje drobne usługi — odpowiedziała — przytem wtedy byłam młodą, energiczną i znajdowałam się w okolicznościach wyjątkowych, o których może panowie nie ze wszystkiem jeszcze zapomnieli.

— O! — zawołał naczelnik policji śledczej. — Gdyby sprawa zajmująca nas teraz, zdarzyła się wtedy, gdy pani znajdowała się u nas, moglibyśmy spokojni być o powodzenie. Ale pani teraz niema niestety.

— Mają panowie Jodeleta i Martina.

Pół tuzina Jodeletów i Martinów nie zastąpi jednej Aime Joubert, której bystry wzrok w jak największych ciemnościach zjednał przydomek „Kocie Oko". Powiedz nam pani, co pani myśli.

— Nic zgoła.

— Nic? To nie podobna.

— I owszem! Nic nie mogę myśleć. Ażeby mieć zdanie jakie, trzeba znać wszystkie szczegóły śledztwa, potrzeba być przy akcji, rozważyć zeznania świadków, zbadać wszystkie drobiazgi. A ja wiem tylko, co napisano w gazetach, dlatego też, powtarzam panom — nie wyrobiłam sobie jeszcze żadnego o tej sprawie pojęcia, chociaż wywarła na mnie silne wrażenie i myślałam o niej wiele z daw-

nego przyzwyczajenia.

— I do czego pani doszła w swych myślach?

— Do jednego.

— Mianowicie?

— Że ten morderca bardzo niezręczny człowiek.

Wszyscy trzej z ciekawością, łatwą do zrozumienia, słuchali tej kobiety, która się ożywiła, że lada chwilę jej instynkt policyjny weźmie nad nią górę.

Ostatnio wymówione przez nią słowa, były tak niespodziewane, że wszystkich przejęły zdumieniem.

Ledwie uszom swym chcieli wierzyć.

— Bardzo niezręczny! — zawołał sędzia śledczy.

— Naturalnie... znać, że nowicjusz, nigdy człowiek zręczny, ani wykwalifikowany już zabójca nie będzie tak głupi, żeby miał w ciągu niespełna dziewięciu godzin zamordować dwie ofiary jednym i tym samym sztyletem. Podobieństwo ran dowodzi, że zabójca był jeden, ułatwia śledztwo i zbrodniarza pozbawia środków ocalenia.

Sędzia śledczy, naczelnik policji śledczej i komisarz do spraw sądowych zamienili z sobą spojrzenie, które mówiło wyraźnie:

— Ma słuszność... a myśmy o tem nie pomyśleli.

Aime Joubert mówiła dalej:

'Wiecie panowie, jaka jest pobudka tej zbrodni?

— Napróżno staramy się odgadnąć — odpowiedział sędzia śledczy Paweł de Gibray.

— Powiedziałem pani i powtarzam, że do dziś dnia, do tej godziny tajemnica pozostaje dla nas niezgłębiona. Błądzimy w ciemnościach. Czy nie zgodzi się pani pomóc nam swemi radami?

LVI

— Mam dopomóc panom memi radami! — powtórzyła pani Rosier.

— Albo, co będzie jeszcze lepszem, wziąć całą sprawę w swe ręce — dodał naczelnik policji.

Pani Joubert z uśmiechem spojrzała na dwóch mówiących.

— Prawie od samego początku rozmowy— rzekła — spodziewałam się tej propozycji. Dlatego mnie pan nie zadziwił.

— I cóż pani na to odpowie? — spytał de Gibray.

— Wiecie panowie, co mnie skłoniło przyjąć — a raczej prosić o zajęcie w policji. Kierowała mną żądza zemsty. Miałam nadzieję że oddam panom w swe ręce człowieka, który mnie podwójnie shańbił, uczyniwszy mnie wspólniczką nieznanej mi zbrodni i matką dziec

ka urodzonego w więzieniu z ojca, skazanego na śmierć. Wiecie także, dlatego porzuciłam to życie, które polubiłam i oddałam mu się cała, bo szlachetnem wydawało mi się to zadanie codzień narażać się na śmierć dla uwolnienia społeczeństwa od zbrodniarzy. Miałam syna i syn ten dorastał. — Bałam się, ażeby się nie dowiedział przypadkowo — że matka jego należy do policji śledczej, a chcąc to sobie wytłómaczyć, szukając przyczyny tego, żeby nie dociekł, że ojciec jego jest podłym mordercą. Udało mi się dotąd. Syn mój nie zna przeszłości i nic nie podejrzewa. Dla niego jestem panią Rosier, najlepszą przyjaciółką jego matki, przed dawnemi zmarłej laty, która powierzyła mi nad nim opiekę. Gdybym przyjęła propozycję panów, przepadłby mój spokój. Dręczyć mnie będą obawy, jak przedtem, ażeby syn nie poznał prawdy. To byłoby ponad me siły.

— Pani przesadza bardzo swe położenie — rzekł Gibray.

— Nie, widzę je tak, jak jest i powtarzam, panom, że mnie ono przestrasza.

— Czy syn mieszka przy pani?

— Nie, żadnego powodu nie ma, ażebyśmy mogli mieszkać sami, bo syn mój uważa mnie tylko za przyjaciółkę swej matki.

— Jeżeli nie mieszkacie razem, nie może tedy wiedzieć, czem pani jest zajęta. Jak on, tak pani zupełnie jesteście swobodni!

— Bywa u mnie bardzo często i niezawodnie dziwiłby się bardzo, widząc zmianę rażącą w trybie mego życia. A od zdziwienia do podejrzenia jeden krok tylko.

— W jakim wieku jest syn pani?

— Ma lat dwadzieścia trzy.

— Czem się trudni?

— Pisze w gazecie. Obrał sobie zawód literacki, a przytem pracuje teraz jako sekretarz prywatny przy Holenderczyku, byłym kapitanie, przygotowującym wielkie dzieło z historji żeglugi morskiej. Syn mój robi dla niego rozmaite studja i styl mu poprawia.

— Sądząc z tego, co pani mówi, syn pani musi dobrze znać świat.

— Często się zachwycam jego przedwczesną dojrzałością. Zdolność i umysł ma rzeczywiście niepowszedni.

— Spodziewam się, że w takim razie jest tyle rozsądny i bynajmniej się nie oburzy, ani nawet zmartwi, gdy się dowie, że pani służy społeczeństwu z zaparciem siebie z narażenem życia. Dumnym tylko z tego być powinien.

— O! — odparła pani Rosier — Pan wie, że do policji istnieje uprzedzenie, dajmy na to, niedorzeczne, ale niezwyciężone! Jeżeli Maurycy dowie się kiedykolwiek, że mnie w prefekturze nazywano „Kociem Okiem", nie będę śmiała pokazać mu się na oczy.

— O tem się nie dowie, a przytem taki wzgląd nie powinien pani powstrzymać, kiedy potrzeba zająć się bardzo ważną sprawą. Po-

zostawiamy pani zupełną swobodę działania, nie będziemy prosili, ażeby zajęła pani poruczone miejsce, walczyć pani będzie nie jako regularny żołnierz, ale jako ochotnik. Prosimy panią o jedno tylko, ażeby się pani wspólnie z nami zajęła tą sprawą, która zgrozą przejęła cały Paryż. — Jak największa ostrożność będzie zachowana, ażeby syn nie mógł podejrzewać zmiany w życiu pani. Damy pani oddzielne pomieszkanie, dokąd przesyłane będą wiadomości na imię przez nią obrane i gdzie pani będzie mogła porozumieć się z agentami, którzy oddani zostaną pani do rozporządzenia. Otworzymy pani w prefekturze kredyt nieograniczony, a ja ręczę za dwadzieścia pięć tysięcy franków nagrody. jeżeli zdoła pani wykryć mordercę, o czem bynajmniej nie wątpię.

— Propozycja pańska pochlebia mi — odpowiedziała pani Rosier — i bardzo jest ponętna...

— Więc się pani zgadza? — zapytał Gibray.

— Nie, odmawiam!

— Ależ tu chodzi o dobro syna pani.

— W jaki sposób?

— Dla niego będzie bardzo korzystną ofiara, na jaką się pani dla nas zgodzi. Zapewnioną mieć będze pani dla niego protekcję prezesa, prokuratora i prefekta policji.

— Proszę, panów, błagam, nie namawiajcie mnie, to daremne.

— A jednak musi się pani zgodzić! — zawołał sędzia śledczy — potrzeba koniecznie. Przeczuwam, że tylko pani rozwiązać może tę straszną zagadkę. Zbrodnia to o tyle tajemniczo, o ile okropno. Musi ona kryć w sobie jakąś potworną tajemnicę rodzinną, tak, jak sprawa Kurawiewów.

Usłyszawszy te słowa, pani Aime Joubert zbladła jak trup.

— O! nie wymawiaj pan tego nazwiska! — zawołała, drgnąwszy całem ciałem. — Ono mi przypomina wstyd niezasłużony i wszystkie me nieszczęścia. Czyż zapomnieliście panowie, że w sprawie, o której pan wspomniał, byłam oskarżoną o zbrodnię?

— Nie zapomniałem i pamiętam również, że pani dowiodłaś zwycięsko swej niewinności. Przytem nazwisko Kurawiewów dlatego mi się z ust wyrwało, że kobietę — zabitą na cmentarzu Pere Lachaise, znaleziono nieżywą w grobowcu tej rodziny.

— W grobowcu Kurawiewów? — powtórzyła pani Rosier ze zdumieniem.

— Tak, czyś pani nie wiedziała o tem?

— Nic nie wiedziałam. W gazetach była mowa o grobowcu ale nie pisano, do kogo on należy, więc to w tym grobowcu — jakże to dziwne!

Aime Joubert zwiesiła głowę na pierś i szepnęła trzykrotnie:

— Dziwne!... dziwne!... dziwne!...

Gibray z wielką ciekawością przypatrywał się byłej agentce. Czytał z jej twarzy, jakby z książki otwartej i odgadywał wiel-

kie wzruszenie, jakie ją ogarnęło przy niespodziewanem wspomnieniu przeszłości.

Powziął myśl, aby z tego wzruszenia skorzystać.

— Gdyby pani ofiarowano terez sposób, a przynajmniej możebność odszukania Piotra Lartiguesa — zapytał nagle — czy przyjęłabyś pani sprawę, którą chcielibyśmy pani powierzyć?

Na imię Lartiguesa Aime Joubert głowę żywo podniosła.

Błysk wściekłej nienawiści zajaśniał w jej oczach.

Brwi zmarszczyły się — usta zbladły i zadrżały ręce.

— Lartigues? — rzekła ochrypłym głosem — Lartigues? pan powiedział?

— Tak, gotowi jesteśmy pani służyć, jeżeli nam się pani wywzajemni.

— Znaleźliście panowie ślady Piotra Lartiguesa?

— Młody hrabia Kurawiew już od dwóch lat szuka tego łotra

— Młody hrabia? — spytała dawna agentka.

— Tak, syn hrabiny, zabitej przez Lartiguesa chce odnaleźć łotra, ażeby mieć dowód piśmienny, że ktoś inny kierował zabójstwem

Z oczu pani Rosier strzeliła błyskawica nienawiści.

— O! — wyrzekła — syn zabitej szuka Piotra Lartiguesa i wpadł na jego ślad.

— Tak i za kilka minut przyjdzie tutaj. — Może się pani z nim zobaczyć pomówić z nim i porozumieć co do sposobów odszukania łotra, który panią znieważył.

— Hrabia będzie tutaj? Będę miała od niego wiadomości, które okupić wszystką krwią moją nie byłoby dla mnie za wiele.

— Ułatwimy pani widzenie się z nim, jeżeli pani zgodzi się pomagać nam w szukaniu mordercy — odezwał się sędzia śledczy.

— No, zgadzam się, jeżeli hrabia Kurawiew może mi dać sposób nasycić się zemstą, uczynię wszystko, czego panowie odemnie chcecie.

— Może.

— Jeżeli tak, to od tej chwili należę do panów.

— Nareszcie! — wykrzyknęli sędzia śledczy, naczelnik policji śledczej i komisarz do spraw sądowych.

— No — mówiła dalej pani Rosier — więc rzecz ułożona, że działać będę, jak zechcę, z takimi agentami, jakich sobie wybiorę.

— Zgoda.

— I od nikogo nie będę zależną?

— Słuchać panią będą.

— Dacie mi panowie lokal oddzielny?

— Zna pani mieszkanie przy ulicy Meslay? — spytał naczelnik policji śledczej.

— Znam.

— Czy dobre będzie dla pani?

— Zupełnie.

Gibray i obaj koledzy spojrzeli po sobie triumfująco.

Dopięli celu, ale nie bez trudności.

XLV.

— A zatem — mówiła dalej Aime Joubert — powinnam wiedzieć wszystko, co wiecie panowie.

— Pokażę pani protokół śledztwa i badanie świadków.

— W kilka chwil je przeczytam, a potem będę panów prosiła o rozmaite objaśnienia.

— Może zanim hrabia Kurawiew przyjdzie zechce pani tu przejrzeć te akta? — zapytał sędzia śledczy.

— I owszem, bo trzeba się spieszyć. Czas szczególnie jest drogi w sprawach policyjnych.

Gibray wziął gruby zeszyt przed nim leżący i podał go pani Rosier, która usiadła przy biurku nieobecnego sekretarza.

— Nie mam przy sobie notatnika ani ołówka — rzekła. — Może mi pan sędzia będzie łaskaw dać trochę papieru, a pióro wezmę z tego biurka.

— Oto notes do rozporządzenia pani — rzekł de Gibray — zupełnie nowy i czysty; dogodniej w nim będzie pani pisać, niż na oddzielnych arkuszach.

Była agentka podziękowała i zaczęła przeglądać akta, chwilami zatrzymując się, ażeby coś zanotować.

Sędzia śledczy, naczelnik policji śledczej i komisarz do spraw sądowych usunęli się tymczasem wgłąb gabinetu i rozmawiali z sobą po cichu, winszując sobie rezultatu.

— Nie dokazalibyśmy tego, gdyby się nie wspomniało imienia Piotra Lartiguesa — rzekł naczelnik policji śledczej.

— Nienawiść i żądza zemsty uczyniła z niej naszego sprzymierzeńca.

— Mniejsza o to, z jakich pobudek się zgodziła — rzekł Paweł de Gibray — najgłówniejsze to, że jest z nami. Czy kazaliście panowie sprowadzić do prefektury, o co was prosiłem, karetkę, w której znaleziono trupa jednej z ofiar?

— Już! Karetka stoi w prefekturze na dziedzińcu.

Kiedy ci trzej mężczyźni tak rozmawiali, — Aime Joubert z natężoną uwagą czytała akta, które leżały przed nią.

Wtem drzwi od gabinetu się otworzyły i wszedł woźny.

— Czego chcesz? — zapytał de Gibray.

— Pan hrabia Kurawiew przyszedł i zapytuje, czy pan sędzia go przyjmie.

— Poproś natychmiast!

Kiedy Jan wszedł, wlepiła w niego swój bystry wzrok, a w oczach jej wyczytać było można pewne rozrzewnienie.

Oczy powilgotniały i łzy o mało co się z nich nie wysączyły.

Hrabia przywitawszy się z sędzią, spojrzał pytająco na siedzącą kobietę.

— To hrabio, jest dzielna nasza pomocnica, o której energii i rozumie tyle panu opowiadałem — pani Aime Joubert, która pana niegdyś, choć bardzo krótko, nosiła nieraz na ręku — odezwała sie była pokojówka, kiedy żyła jeszcze pani hrabina, matka pana.

— Znam dobrze pani nieszczęście — podchwycił Iwan — wiem, ile pani wycierpiała niewinnie, ale ten sam, co panią chciał zgubić nikczemnik ten sam jest mordercą mojej matki. Wspólny to wróg nasz i mam nadzieję że pani stanie mi do pomocy. Razem pójdziemy do celu naszej zemsty i musimy ją nasycić.

— W dniu — kiedy pani w ręce sprawiedliwości odda zabójcę — dodał hrabia — pięćkroć sto tysięcy franków wręczę pani.

— Nie, panie hrabio, za wykrycie tego zbrodniarza nie mogę przyjąć pańskich pieniędzy — widzieć go w ręku sprawiedliwości, już to dla mnie nagroda, to rozkosz!

— Lecz ja pragnąłbym, ażeby pani przyjęła wtedy to odemnie w upominku.

— Nie, panie hrabio, nie przyjmę.

Iwan nalegał jeszcze.

- Zdaje mi się, że mam na to sposób — odezwał się naczelnik policji śledczej. — Otóż jabym poradził panu hrabiemu, że kiedy koniecznie chce ofiarować pani Joubert nagrodę za jej trudy, to niech projektowaną sumę dołączy do dwudziestu kilku tysięcy fran-

ków, jakie przeznaczone są przez władzę za wykrycie sprawcy obecnej podwójnej zbrodni.

— I owszem, jak najchętniej! — zawołał hrabia.

Aime Joubert chciała coś powiedzieć, ale jej sędzia śledczy nie pozwolił.

— Tego nie może pani odmówić, zresztą pomyśl pani o swym synu, dla którego taka suma może mieć wielkie znaczenie.

— Pokonałeś mnie, panie sędzio — rzekła matka Maurycego ze smutnym uśmiechem — dobrze, przyjmuję to dla syna!

Koniec tomu pierwszego.

TAJEMNICA GROBOWCA

Powieść z życia francuskiego

w 3-ch tomach

AGENT POLICJI.

I.

Drzwi Morgi już zamykano, kiedy pani Aime Joubert przybyła z trzema towarzyszami celem obejrzenia jeszcze tam znajdujących się obu trupów.

Reszta publiczności wychodziła.

Noc zapadła.

Zapalono gaz.

Stróż przyniósł świecę od dozorcy i pani Rosier mogła się przyjrzeć tymże.

Trup mężczyzny najprzód zwrócił jej uwagę.

Długo przypatrywała się ranie i chociaż czas zmienił jej formę, bardzo dokładnie zdała sobie sprawę agentka, jak wyglądała pierwotnie.

— Protokół nie omylił mnie — rzekła — tu uderzył sztylet trójkątny, a broń tego rodzaju rzadka i kosztowna. Zwykli zabójcy tego używają. Niezawodnie to amatora... Ażeby poznać tego amatora, trzeba przedewszystkiem dowiedzieć się, kto był ten człowiek, którego ciało tu leży.

Aime Joubert ujęła prawą ręką trupa.

Uważnie przyjrzała się jej kształtowi i obmacała dłoń tuż przy palcach.

— Żadnego stwardnienia — szepnęła — ten człowiek nie trudnił się żadną robotą, ale pochodził z gminu, czego dowodzi kształt jego palców, i jeżeli nie robił teraz rękoma, to robił dawniej, blizna na prawej ręce o tem świadczy.

Pani Rosier wzięła lewą rękę i przyglądała się jej również uważnie, jak prawej.

W tejże prawie chwili krzyknęła.

— Co takiego? — zapytał Paweł de Gibray.

– Ważna wskazówka.

— Jaka.

— Na ręce tatuowanie. Dzięki temu bardzo łatwo poznać tego człowieka.

– Jednakowoż dotąd go nie poznano.

— Nie wiemy jeszcze. Przytem jeżeli go nie poznano jeszcze, to z pewnością poznają.

— Ten nieszczęśliwy — dodała — był żołnierzem, albo aresztantem. Koszary i więzienie były to jedyne miejsca, gdzie bawią się w tatuowanie, nakłuwanie skóry. Trupy są bez wątpienia fotografowane...

— Tak.

— Potrzebuję kilka sztuk z tych fotografji, i to z najlepszych. Teraz — dodała agentka, podchodząc do drugiego trupa — zobaczymy drugą ofiarę.

Prędko obejrzawszy ciało, mówiła dalej:

— To cudzoziemka, dość spojrzeć na twarz. A zapewne musi to być Angielka. Włosy rude, kształt szczęk, zęby długie, nogi szerokie wskazują to widocznie. Tak samo jak mężczyzna, nie należy ona do klasy wyższej, ręce ma robotnicy, niezawodnie służąca.

Agentka mówiła głosem urywanym, prędko, nie wahając się.

Czuć było, że jest pewna tego, co mówi, a pewność jej udzielała się słuchaczom.

Ciągnęła jeszcze:

— Gotowa jestem twierdzić, że ta Angielka znajdowała się w służbie w Paryżu. Człowieka tego widziano w Calais, zatem według wszelkiego pradopodobieństwa przyjechał z Anglji i wiózł ważne papiery, które miał...

Nie dokończyła zdania i pogrążyła się w głęboką zadumę, która trwała chwil kilka.

Potem szepnęła, jakby mówiąc sama do siebie:

— Był niewątpliwie drugi pośrednik i prawdopodobnie on spełnił morderstwo. Miał wziąć papiery, złożone w grobowcu Kurawiewów, tam, gdzie pan sędzia śledczy znalazł ślady palców na kurzu, a papiery te wskazywały, o której godzinie przybędzie podróżny koleją północną z Anglji..., tak, tak... tak być musi. Jeszcze dokoła mnie ciemności, ale wszystko pomału się wyjaśni, czuję to i rozumiem.

— O! nie wątpimy o tem — odpowiedział Gibray — wysnułaś pani cały dramat, który musi być bardzo blisko prawdy, jeżeli samą prawdą nie jest.

Czytelnicy już wiedzą, że sędzia śledczy się nie mylił.

Aime Joubert usprawiedliwiała przydomek swój: „Kocie oko".

Rozglądała się swobodnie wśród ciemności.

— Pani zatem sądzi, że trzeci pośrednik jest zabójcą? — spytał naczelnik policji śledczej.

— Tak.

— Wszyscy świadkowie zeznają, że miał akcent podobny do rosyjskiego.

Aime Joubert wzruszyła ramionami i powiedziała:

— E! co tam mówią świadkowie! oni mówili także, że ów mło-

dzieniec jest blondynem. Oszukani zostali i akcentem i kolorem włosów. Zabójca przewidział wszystko. Jedyną niezręcznością z jego strony było, o ile wiemy dotychczas, zamordowanie ofiar jedną bronią. Nie wiem, czy bardzo jeszcze młody ale zdaje się, że w pełni życia. Ażeby obmyśleć w ten sposób zbrodnię, mając lat dwadzieścia pięć, potrzeba być jednym z tych potworów, z tych wyrzutków społecznych, jacy, chwała Bogu, zdarzają się bardzo wyjątkowo.

Mówiąc w ten sposób, pani Joubert zajęła się dwiema ranami, które spuchnięte i zsiniałe widziała na trupie kobiety.

To pewna, że ta sama broń zabiła obie ofiary i podwójne morderstwo musiało mieć jeden i ten sam cel. Jeżeli się nie mylę, mamy do czynienia ze zbrodnią, dawno przygotowaną. Do czego zmierzała ona? Co było celem dla złoczyńcy? Tego jeszcze nie wiem. O! gdybym posiadała choć najmniejszą wskazówkę. Gdyby znaleziono przy którym z trupów choć drobny świstek, wiersz jeden, słowo... ale nie znaleziono nic, nieprawda?

— Nic — odpowiedział Paweł de Gibray.

— Panie sędzio — wmieszał się dozorca, a ten papierek, złożony w ośmioro, który znaleźliśmy w kieszonce kamizelki u zabitego, czy pan sędzia nie mówił pani o tem?

— Na tym świstku nie ma nic napisanego, jest więc zupełnie bez znaczenia — odpowiedział sędzia śledczy.

Aime Joubert nadstawiła uszy.

— Kto wie? — zawołała. — Czy pan sędzia ma papier, o którym wspomina pan dozorca?

— Mam w sądzie, w moim gabinecie.

— Teraz nie mamy nic do roboty, wrócę więc z panem sędzią do sądu i poproszę o ten papierek, chciałabym się koniecznie mu przypatrzeć....

— Służę pani — odrzekł Paweł de Gibray.

— Czy mogę jutro zrana pochować trupy? — spytał dozorca Morgi.

Sędzia śledczy spojrzał pytająco na Aime Joubert.

— Ani o tem myśleć — odezwała się — potrzebuję ich jeszcze.

— Trup kobiety nie może pozostać tak długo, jak trup mężczyzny. Obawiam się, aby nie uległ zupełnemu rozkładowi.

— To każ pan pochować kobietę, ją panom oddaję. Ale z trupem mężczyzny inna sprawa. Musi on tu pozostać przynajmniej 5 dni.

— To zostanie.

— W ciągu pięciu dni, jeżeli informacje agentów będą dokładne człowiek ten będzie poznany.

— Co pani zamierza przedsięwziąć?

— Dowie się pan wkrótce

Cztery nasze działające osoby opuściły Morgę i udały się do sądu.

Pani Rosier, pogrążona w zadumie, nie myślała o Maurycym, a była już godzina piąta.

Agentka, która w ciągu lat ośmnastu trzymała w ręku przeszło sto spraw, w większej części ważnych, odzyskała teraz cały swój zapał.

Przechodząc od wiadomego do niewiadomego, roztrząsała wszystko, namyślała się, szukała, łamała sobie głowę.

Umysł jej w bezczynności nie stępiał.

Bystry był i pomysłowy tak, jak dawniej i byłej agentce mogło się zdawać, iż nigdy nie rozstawała się ze swemi czynnościami.

Jednakowoż między brwiami jej zjawiła się głęboka zmarszczka.

— Czy panią co kłopoce? — zapytał de Gibray.

— O! i bardzo! — odpowiedziała.

— Cóż takiego?

— Szukam nasamprzód związku, jaki może łączyć hrabiego Kurawiewa ze sprawą, którą się teraz zajmujemy.

— Więc pani tak samo jak ja, utrzymuje, że jest w tem pewien związek.

— Wydaje mi się to niewątpliwem. Gdyby inaczej nie było, to dlaczegoby grobowiec Kurawiewów wybrano na skład tajemniczej korespondencji?

II.

— A mnie zdaje się — rzekł naczelnik policji śledczej — że ludzie szukający miejsca na skład, przypadkowo grobowiec ten wybrali, tem bardziej, że tam nikt nie pochowany.

— A zatem nikt tam nie przychodził — dodał komisarz.

— Zatrzymuję panów na tem — rzekła triumfująco agentka. — Własne słowa panów stwierdzają słuszność moich domysłów. Tak, zwłoki hrabiny Kurawiew wydobyto przed dwudziestu trzema laty i przewieziono do Rosji. Odbyło się to jednak tajemniczo, ażeby nie zwrócić uwagi publiczności. W ówczesnych dziennikach wcale nie pisano o tem, któż więc znać mógł owe szczegóły?

— To prawda, tylko jeden hrabia Iwan.

— Powtarzam znowu, że osoba hrabiego nie powinna być wcale wmieszana do śledztwa w tej zbrodni! — przerwała pani Joubert dość niecierpliwie. — Młody Rosjanin nie winien, wcale nie winien, wszystko się odbyło bez jego wiedzy. Jest jeszcze drugi człon-

wiek, łotr, który dobrze wiedział, czy z daleka musiał się dowiadywać wszystkich szczegółów dotyczących zabitej hrabiny. Człowiek ten, którego mi nieomylnie wskazuje instynkt nazywał się Franc Mueller w Berlinie i zuchwalstwo do tego stopnia doprowadził, że w Szwajcarji zapisał się pod swem prawdziwem nazwiskiem.

— Lartigues! — zawołali wszyscy trzej jednogłośnie.

— Dowodów na to nie mam, ale gotowam przysiądz, że tak jest. Kiedy w mej głowie przedstawia się myśl tak wyraźnie i tak uporczywie, bardzo rzadko bywa błędną; a w tym razie prawdopodobieństwo przechodzi dla mnie w pewność. Poprzednie poszukiwania dowiodły mi, że Piotr Lartigues należy do stowarzyszenia tajnego, którego zadaniem jest wyzysk na wielką skalę. Skądże wiecie panowie, że teraz nie znajdujemy się wobec tej bandy, której jednym z głównych członków musi być Lartigues, jeśli nie samym naczelnikiem, bo mistrzem bywa w pomysłach. Niezawodnie wskazał grobowiec Kurawiewów za odpowiednie miejsce do składania korespondencji jego spólników i rzeczywiście nie podobna lepszego wynaleźć, gdyż trudno podejrzewać mężczyznę lub kobietę, przybywających ze smutną miną na cmentarz i wchodzących do grobowca z wiankiem nieśmiertelników w ręce. Któż, nie będąc uprzedzony, mógłby co złego o tem pomyśleć?

Wszystko, co mówiła Aime Joubert odznaczało się tak nieprzepartą logiką, że ani Gibray, ani jego koledzy nie mogli jej ani słowem nic zarzucić.

Myśli agentki im się też udzielały. Pogląd, jaki na rzecz miała, do nich także przechodził.

Dziwiło ich tylko jedno, zdumiewająca przenikliwość, instynkt prawie proroczki tej kobiety, która zaledwie przed dwiema godzinami poznała zagmatwaną sprawę i już światło zaczęła rzucać tam, gdzie oni same tylko ciemności widzieli.

Czytelnicy wiedzą, o ile domysły Aime Joubert zbliżone były do rzeczywistości, pojmują więc to tem bardziej.

Po chwilowym namyśle agentka mówiła dalej:

— Wszystko potwierdza me przypuszczenia. Lartigues podróżował zagranicą. Widziano go w rozmaitych krajach. Celem podróży było porozumienie się ze swymi wspólnikami. Potem przybywa do Brukseli, zbliża się do Paryża i przyjeżdża tu wreszcie, ażeby popełnić, albo polecić komu nową zbrodnię.

I okrutnym tonem Aime Joubert dodała:

— O! gotowam myśleć, że Pan Bóg ułatwia mi zemstę! Przedawnienie, uwalniające go od kary, za dawne jego czyny, za morderstwo hrabiny Kurawiew istnieć nie może wobec nowej zbrodni. Będę mogła żądać nad nim wymiaru sprawiedliwości!

Kareta zatrzymała się.

Przyjechano do sądu.

Wybiło pół do szóstej.

Pani Rosier, zobaczywszy, która godzina, przypomniała sobie nagle, że Maurycy obiecał jej przyjść na obiad punkt o szóstej.

— Bardzo mi się spieszy — rzekła do Gibray'a — czekają na mnie w domu o godzinie szóstej. Możebyśmy się pospieszyli.

— Załatwimy się za kilka minut.

Prędko przeszli do gabinetu, dobrze nam już znanego i sędzia śledczy wyszukał ćwiartkę papieru, powycinaną i złożoną, którą uważał za całkiem niepotrzebną.

Podał ją Aime Joubert.

Rozwinęła papiertk i krzyknęła z radosnem zdziwieniem.

— Cóż to takiego? — zapytał Gibray.

— Powiada pan, że ten papierek nie ma żadnej wartości!

— A czyż ma jakąś wartość, dla mnie nieznaną?

— Czy ma? I jaką jeszcze!... To może być światło w ciemnościach. Nitka Arjadny u wejścia do labiryntu.

— Co pani w tym papierku widzi?

— Dziwię się, że się pan nie domyślił! Czyż by pan po tem wycinaniu nie poznał, że to jest zwykły sposób do czytania korespondencji dyplomatycznych ambasady? Przecież to jest kratka!

— Kratka? — powtórzył Paweł de Gibray. — Czyżby to była kratka?

— Niezawodnie. I jutro dam panu dowód, sama ją zastosowując. Kratka ta, znaleziona przy zabitym, coraz bardziej potwierdza moją pierwszą myśl. Tak, do czyznienia mamy ze stowarzyszeniem łotrów i jeden ze wspólników po prostu zamordował dwóch ze swoich kolegów. Przed chwilą odezwałam się z domysłem, że Lartigues uczestniczy w tej bandzie, teraz twierdzę to stanowczo. Przed dwudziestu pięciu laty widziałam w jego pugilaresie taki sam papierek i jak pan dzisiaj, nie nadawałam mu żadnego znaczenia. Doświadczenie przekonało mnie później, żem się myliła. Lartigues nie dawno przyjechać musiał do Paryża. Jeżeli go nie ma, to znowu przyjedzie, bo sądzi i może się uważać za niezagrożonego żadnem niebezpieczeństwem. Nikt go nie zna, — tak sobie mówi — nic mu nie grozi... łotr zapomniał o mnie! To Bóg natchnął panów myślą, żeście zażądali mej pomocy! Panie Gibray, niech mi pan z łaski swej pozwoli wziąć z sobą ten papierek, muszę mu się przyjrzeć, gdy będę miała głowę swobodniejszą!

— Proszę, niech pani weźmie!

— Jutro chciałabym obejrzeć grobowiec Kurawiewów na cmentarzu Pere Lachaise.

— Pojadę z panią!

— Chciałabym także zobaczyć karetkę, — gdzie znaleziono zabitego.

— Karetka stoi na dziedzińcu prefektury.

— Bardzo dobrze. Jacy agenci śledzili w tej sprawie?

— Jodelet i Martel — odpowiedział naczelnik policji śledczej.

— Niech pan każe im i jeszcze sześciu innym ludziom przejrzeć dziś w książkach policyjnych i we wszystkich hotelach paryskich nazwiska podróżnych, którzy wyjechali 31 grudnia. Jutro o godzinie dziesiątej czekać będę na Jodeleta i Martela w domu przy ulicy Meslay, i proszę o klucz od mieszkania.

— Zaraz go pani dam, gdy stąd wyjedziemy — odezwał się komisarz.

Aime Joubert mówiła dalej:

— Tam powiem im, co mają czynić. Potem przyjdę tutaj i prosić będę, ażeby panowie pojechali ze mną na cmentarz.

— Będę gotów.

— Może mi pan dać fotografje, o które pana prosiłam?

— I owszem, oto są, niech pani z nich wybierze najlepsze.

Uczyniła to też policjantka i wyszła z gabinetu sędziego śledczego z naczelnikiem policji i komisarzem do spraw sądowych.

Ten wręczył jej klucz od mieszkania przy Maslay i zawiadomił Jodeleta i Martela, że ich oczekuje.

Pani Rosier wsiadła do karetki i zawołała do woźnicy:

— Ulica Victoire! Sto su! Prędko!

Przyjechano na ulicę Victoire.

Aime Joubert wysiadła, zapłaciła woźnicy i odprawiła go.

Chociaż jechali prędko, było już kwadrans na siódmą.

Maurycy od dwudziestu minut czekał w saloniku przed sutym ogniem na kominku.

Wstał na spotkanie pani Rosier, pocałował ją w oba policzki i zawołał wesoło:

— Dzisiaj nie będziesz mnie już łajała. Sama się spóźniłaś.

— Raz jeden się nie liczy! — odpowiedziała takim samym tonem agentka.

Potem ujęła w obie ręce czarnowłosą głowę Maurycego i pocałowała go w czoło.

Biedna kobieta! biedna matka! człowiek, którego całowała z takiem uczuciem, był zabójcą, którego powinna była szukać i oddać na rusztowanie, a zabójca ten był własnym jej synem.

Jednak nic jej nie niepokoiło. Nie ostrzegał jej żaden instynkt.

Służąca otworzyła drzwi od jadalnego pokoju i rzekła:

— Do stołu podane.

— To chodźmy.

Aime Joubert wzięła pod rękę swego syna, który patrzał na nią z uśmiechem i poprowadziła go do stołu, gdzie czekał na nich smaczny obiad.

Rozmowa była ożywiona, ale obiad niedługo trwał.

O dziesiątej Maurycy pożegnał się z tą, którą nazywał drogą opiekunką.

— Pamiętasz, co obiecałeś? — spytała Aime Joubert, odprowadzając Maurycego do sieni.

— Co do czego?

— Obiecałeś napisać do mnie, w razie, jeżeli nieobecność twoja w Paryżu potrwa dłużej niż trzy dni.

— Nie zapomnę.

— Liczę na to; bardzobyś mnie zmartwił, gdybyś nie dotrzymał słowa.

Maurycy przygotował walizę na dzień następny, zebrał notatki, z któremi jechać miał do Vique-sur-Bresne i schował je do pugilaresu wraz z „kratką", podług której pisać winien był do kapitana van Broke w razie potrzeby.

Pugilares włożył do torby podróżnej, a potem zasnął w łóżku.

Zostawmy go śpiącego.

* * *

Natychmiast po dejściu Maurycego pani Rosier włożyła na głowę kapelusz, zarzuciła na siebie mantylę i wyszła.

O dwadzieścia kroków od domu Aime Joubert zatrzymała niezajętą karetkę i kazała zawieźć się na bulwar św. Marcina pod numer 61.

Tutaj odprawiła karetkę i weszła do domu.

Na środku korytarza zatrzymała się przed drzwiami, włożyła klucz do zamku, otworzyła i weszła do sypialni.

Z sypialni weszła do innego pokoju z ogromnemi szafami.

Otworzyła je.

W szafach znajdował się wielki zbiór najróżnorodniejszych ubiorów kobiecych dla wszystkich stanów.

Były tu i wspaniałe stroje bogatej modnisi i łachmany żebraczek, kaftany przekupek i habity zakonnic.

— Wszystko tak dobrze jest zachawane, jak dawniej — mówiła do siebie pani Rosier — nic się nie zmieniło.

Zamknęła szafy, wróciła do saloniku, oświetlonego ogniem na kominku i przystąpiła do stoliczka, na którym leżał papier różnego formatu, koperty rozmaitej wielkości, kałamarze, pióra, lak różnorodnego koloru itd. itd.

Na stole tym postawiła lampę, usiadła na wygodnem krześle i wyjęła z kieszeni notes, — który jej podarował sędzia śledczy.

W notesie prócz zapisanych uwag i wiadomości z protokółów śledztwa mieściła się także „kratka", znaleziona przy tatuowanym mężczyźnie.

— Jutro — rzekła do siebie Aime Joubert — przejrzę raz jeszcze papiery Gibraya. Dziś muszę odczytać notatki i znaleźć klucz do zrozumienia tej kratki, którą mam u siebie.

Wzięła powycinany papierek, rozwinęła go, położyła przed sobą i zaczęła mu się przypatrywać z głęboką uwagą.

Wycinki były podłużne i wszystkie jednakowej wielkości.

Na rogach widniały czarne punkciki, odbijające od białego papieru.

— Kratka musiała już być używana — rzekła agentka — pióro zawalało rogi wycinków. Muszę poszukać, czy jest tu u mnie polinjowany w kwadraciki papier, jakiego się używa właśnie w takich razach?

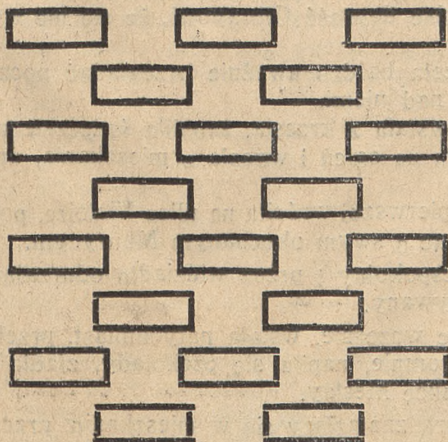
Kratka, jaka w tej chwili znajdowała się przed oczami pani Rosier, ma grać dość ważną rolę w opowiadanej przez nas historji.

Dlatego uważamy za potrzebne wytłomaczyć czytelnikom naszym sposób używania kratek, które dozwalają pisać największe tajemnice, pozostające całkiem niezrozumiałemi dla wszystkich, co nie wiedzą, jak dają się one czytać.

Kratka, znaleziona przy trupie tatuowanego mężczyzny, była wielkości ćwiartki papieru listowego.

III.

Powycinane prostokąty, tworzące kratkę, przedstawiały się następująco:



Dodać należy nieodzownie, że kratka miała dwadzieścia takich podłużnych prostokątów.

Pani Rosier położyła ją na ćwiartkę papieru listowego, takiejże wielkości, na brzeg jej linijkę stalową, ażeby papier się nie ruszał, potem zaś w odcinkach kratki napisała słowa następujące:

Podróżny, ręka na temblaku, północ na kolei Północnej, wiezie sto tysięcy franków, nie trzeba, żeby je oddał pod adresem, czekaj na niego.

Napisawszy to agentka zdjęła kratkę i na ćwiartce papieru pozostały wyrazy na pozór oddzielone, bardzo zrozumiałe mające znaczenie.

Wziąwszy znowu pióro, w pustych miejscach między oddzielnemi wyrazami napisała inne jeszcze słowa, i z tego wszystkiego, wyszło, co następuje:

Bordeaux, 20 grudnia 1876 r.

Kochany przyjacielu, dziś zrana był u mnie nasz *Podróżny*, jego *ręka* w tej chwili *na temblaku*, wskutek wypadku jaki się zdarzył wczoraj o *północy na kolei Północnej*, boję się teraz jechać tą koleją. *Wiezie* weksel na Dom Francuski w Paryżu. Weksel wystawiony na *sto tysięcy franków*, których jak sądzę *nie trzeba* zaraz używać na nasze interesa. Jestem zdania, *żeby je* bezzwłocznie *oddał pod* właściwym ich *adresem*, to jest do banku Francuskiego lub Dyskontowego. *Czekaj* na mnie, a nie *na niego* w czwartek w przyszłym tygodniu

Twój J. T.

List był skończony.

Widocznie pani Rosier nie zapomniała swego dawnego zawodu i znała sposób używania „kratek".

Skończywszy list ten , w którym znaczenie oddzielnych wyrazów zmieniało się bardzo zręcznie, zaniosła ćwiartkę tę wraz z kratką, obiecując sobie dowieść Gibrayowi, że się nie omyliła w przypuszczeniach.

Potem zaczęła bardzo uważnie przeglądać poczynione notatki i namyślać się nad niemi.

O północy wstała z krzesła, zapaliła świeczkę, zagasiła lampę, narzuciła popiołu na ogień i wyszła z mieszkania, drzwi zamknąwszy na klucz.

O wpół do pierwszej wróciła na ulicę Victoire, położyła się spać i zasnęła , myśląc o swym ukochanym Maurycym.

Sen był niespokojny i przez widziadło odurzającej natury kilkakrotnie przerywany.

Obudziła się wcześnie, wstała natychmiast, przebrała się prędko i bardzo skromnie, napiła się czekolady, zjadła parę bułeczek i pojechała na ulicę Meslay.

Aime Joubert, znalazłszy się w mieszkaniu, przeszła wprost do pokoju z kostjumami.

Otworzyła szafę, wybrała habit zakonnicy, zaraz włożyła go na siebie, usiadła przed tualetą, umalowała sobie twarz rozmaitemi kosmetykami jak doświadczona aktorka i tak zmieniła swe rysy, że niepodobna jej było poznać.

Wkrótce po godzinie dziewiątej dzwonek u drzwi oderwał ją od roboty.

Poszła otworzyć. Na progu stał Jodelet i Martel.

Zobaczywszy siostrę z zakonu świętego Wincentego a Paulo, zupełnie im nieznaną, obaj agenci cofnęli się w tył.

— Przepraszamy cię, siostro — niezawodnie się omyliliśmy — odezwał się Jodelet zmieszany.

Agentka uśmiechnęła się.

— Nie, moi przyjaciele, — odparła. — Nie omyliliście się, Chodźcie.

Aime Joubert zamknęła drzwi i zaprowadziła przybyłych do saloniku.

— Więc razem będziemy pracowali — rzekł Jodelet wesoło.

— Tak, mój przyjacielu. Panowie członkowie sądu i prefektury prosili mnie, ażebym wam dopomogła.

— Czy przynieśliście mi wszystkie nazwiska podróżnych, którzy wyjechali z hotelów dnia następnego po tym, kiedy zbrodnia została spełniona?

Karetka.

— Niepodobieństwem było we wszystkich hotelach obejrzeć książki, gdyż czasu brakło. Ale teraz agenci zajmują się tem bez przerwy, to zaś, co zdałano spisać od godziny siódmej do północy przyniosłem już pani.

— W ilu okręgach obejrzano hotele?

— W ośmiu. A do wieczora zobaczą jeszcze w dwudziestu.

— Dużo już macie nazwisk?

— Ze dwadzieścia najwyżej.

Jodelet podał pani Rosier ich listę.

— Bardzoś dobrze pan uczynił — odrzekła. — Zaczekam na resztę, które proszę panów przynieść mi dzisiaj wieczorem o dziesiątej tutaj.

— Wielu teraz jest recydywistów w więzieniu?

— Około stu dawnych galerników i więźniów.

— Dobrze. Potrzebuję nazwisk, bo chciałabym wiedzieć, czy nie ma między nimi jakich starych moich znajomych.

— O! zapewne się znajdą!

— Bardzo dobrze. Każcie panowie śledzić tych ludzi, żebym jak najprędzej dowiedzieć się mogła o ich zwyczajach.

— To i wszystko na teraz. Muszę iść do prefektury.

— Zatem do wieczora?

— Do wieczora.

Agenci udali się celem wykonania otrzymanego zlecenia.

W pół godziny później Aime Joubert otwierała drzwi od gabinetu naczelnika policji śledczej.

Widząc przed sobą siostrę miłosierdzia, naczelnik zrazu nie poznał agentki i dopiero, gdy się odezwała, wiedział, co ma o tej osobie myśleć.

Minęło dziesięć minut, po upływie których sędzia śledczy i komisarz weszli do gabinetu.

Mniemana siostra miłosierdzia i na nich sprawiła takie samo wrażenie, jak na naczelniku policji śledczej i na agentach.

Potem, wielu komplementami ją obdarzywszy, za osobliwą rzeczywiście umiejętność charakteryzowania się mistrzowskiego, Gibray dodał:

— Zaczniemy od karetki, nieprawdaż?

— Tak, jeśli panowie sobie życzą.

— Karetka jest tutaj na podwórzu — odezwał się naczelnik policji.

— To chodźmy.

Karetka, należąca do Bineta, stała obok wozów więziennych.

Taką zupełnie była i teraz jaką widzieliśmy ją na podwórzu domu przy ulicy Ernestyny.

Aime Joubert rewidowała ją tak długo i szczegółowo, że Gibray zawołał:

—E! kochana pani Rosier! Jużeśmy wszystko oglądali szczegółowo i nic nie znaleźliśmy!

— Źleście panowie szukali! — wykrzyknęła pani Rosier, nachyliwszy się ku podłodze karetki.

Podłoga ta przybita była kilku gwoździami.

Jednego z gwoździ brakowało od niepamiętnych czasów i pozostała niegłęboka szczelina wielkości półfrankówki.

W rozszczepieniu tem leżał jakiś metalowy przedmiot jeszcze lśniący pomimo pokrywającej go warstwy błota.

Aime Joubert zaczęła paznokciami tę rzecz wyjmować.

— Cóż to takiego? — jednogłośnie spytali obecni.

— Mnie się to wydaje bardzo interesującem, a jednak uszło to uwadze panów.

Następnie prawie natychmiast dodała:

— Wyjęłam, zobaczcie panowie i osądźciet sami, czy nie jest to rzeczą dosyć ważną?

Była to spinka od mankieta w oprawie złotej, przedstawiająca podkowę z sześciu maleńkiemi turkusikami zamiast gwoździ.

Jednego turkusika brakowało.

Ta spinka należała nie do ofiary, ale niezawodnie była własnością zabójcy.

— Trzeba odfotografować spinkę i reprodukcje przesłać do

wszystkich jubilerów, ale uprzedzić ich zarazem, że chodzi tu jedynie o prostą kradzież.

— Chcecie panowie, ażebym się zajęła sama rozdaniem fotografij spinki?

— Będziemy pani bardzo wdzięczni — rzekł Gibray.

Aime Joubert włożyła spinkę do portmonetki i zamknęła karetkę.

— A teraz — rzekła agentka — jeżeli panowie sobie życzycie pojedziemy na cmentarz Pere Lachaise.

IV.

— Jedźmy — odpowiedział sędzia śledczy.

W chwili, kiedy czworo naszych osób działających wyjechało z prefektury, spotkała się z fiakrem karetka.

Hrabia de Gibray spostrzegł w niej hrabiego Iwana i kazał woźnicy przystanąć.

— Hrabia do mnie? — zapytał Gibray.

— Jechałem do pana z prośbą o pozwolenie...

— Jedziemy właśnie na cmentarz — odezwał się sędzia — może się pan przyłączy do nas? Powiem panu potem, czy będę mógł uczynić zadość pańskiemu życzeniu, czy też wszystko musi tam pozostać w obecnym stanie aż do końca śledztwa.

Hrabia wsiadł do swej karetki i kazał woźnicy jechać za fiakrem.

Pogoda była sucha, piękna, mroźna, konie biegły prędko.

U wejścia na cmentarz wszyscy wysiedli z karetek.

Komisarz do spraw sądowych poszedł po dozorcę i ślusarza.

Gibray zdjął pieczęcie woskowe, a ślusarz, sprowadzony przez dozorcę, otworzył zamek w drzwiach żelaznych.

Wszystko znajdowało się tu zupełnie w takim stanie, jak w chwili, kiedy odkryto tutaj trupa kobiety, w której agentka poznała angielkę.

Skoro drzwi się obróciły na zawiasach, — Paweł de Gibray skinął zapraszająco na hrabiego, ażeby wszedł pierwszy.

Młodzieniec skłonił się, przestąpił przez próg, zawiesił wianek na haczyku, umyślnie na to wbitym w ścianie, potem ukląkł i twarz ukrywszy w dłoniach, zmówił krótką modlitwę.

Aime Joubert i jej towarzysze podążyli za nim.

Agentka odezwała się potem:

— Pozwól mi pan, że tu dopełnię równie szczegółowych oględzin, jak w karetce Bineta, które tak mi się powiodły.

Gibray, naczelnik policji śledczej, komisarz do spraw sądowych, hrabia Iwan i dozorca osunęli się za próg, ażeby nie przeszkadzać poszukiwaniom agentki.

Ta przestawiła krzesła i podniosła dywan.

Nagle krzyknęła, uklękła i z pośród szpar posadzki podniosła kamyczek niebieski, wielkości siemienia konopnego.

— Co pani znalazła? — skwapliwie spytał Gibray.

— Turkusik, którego brakowało w spince.

— Doprawdy?

— Niech pan zobaczy!

Aime Joubert wstała, wyjęła z portmonetki spinkę i w puste miejsce włożyła turkusik.

— To nam dowodzi, że spinka należy do mordercy — rzekła — zresztą nie wątpiłam o tem. Moje poszukiwania są tu już ukończone — proszę panów, ale czasu, zdaje się, nie straciłam na darmo.

Hrabia Iwan wziął spinkę do ręki i przez binokle przyjrzał się jej ze wszystkich stron.

— To rzecz elegancka i wykwintna — wyrzekł.

— Bardzo wykwintna, a zatem łatwo ją poznać, co czyni przedmiot ten nieoszacowanym — odpowiedziała pani Rosier, chowając tę drobnostkę do portmonetki.

— Czy pan dziś ma czas, panie hrabio, o jedenastej? — dodała.

— Mam.

— To niech pan z łaski swej przyjedzie karetką dziś wieczorem o jedenastej na róg ulicy Meslay i św. Marcina.

— Będę o oznaczonej godzinie we wskazanem miejscu! — odrzekł hrabia Iwan.

Kiedy opuszczono grobowiec, hrabia Iwan odezwał się do Pawła de Gibray:

— Teraz, kiedy pan wszystko widział, czy pozwoli pan na to, o co proszę?

— Nie wiem, dlaczego miałbym panu odmówić — odpowiedział sędzia śledczy. — Panie dozorco! — dodał — robotnicy, przysłani przez hrabiego, poczynią w grobowcu poprawki, jakie uzna hrabia za stosowne.

— Dziękuję! — odrzekł Iwan i oddalił się.

Reszta pozostałych udała się do kancelarji dozorcy.

Aime Joubert znalazłszy się sama z trzema swymi towarzyszami, wydobyła z pugilaresu list, który napisała w przeddzień i podała go sędziemu śledczemu.

— Niech pan będzie łaskaw przeczytać go głośno — rzekła.

— Co pan widzi w tem?

— Oto list kupiecki, napisany bardzo lichym stylem przez jakiegoś handlującego.

— Nic w tem niema podejrzanego.

VII.

Aime Joubert się uśmiechnęła.

Wzięła list z rąk Gibray'a, rozłożyła go na stole, przyłożyła następnie kratkę do papieru i kilka wiadomych nam słów ukazało się w wycinkach.

— Niech pan teraz czyta — dodała agentka.

Sędzia śledczy nachylił się i przeczytał:

Podróżny, ręka na temblaku, północ na kolei Północnej, wiezie sto tysięcy franków, nie trzeba, żeby je oddał pod adresem, czekaj na niego.

— Rozumiem! — zawołał Paweł de Gibray — złoczyńcy, których istnienie odkryliśmy, niezawodnie posługiwali się tym sposobem, ażeby pisywać do siebie z wszelkiem bezpieczeństwem.

— Teraz wierzę w powodzenie pani, bo pani budzi we mnie nieograniczone zaufanie.

— Wszelkiemi siłami postaram się je usprawiedliwić.

Aime Joubert pożegnała się ze swymi naczelnikami, którzy wrócili następnie do sądu.

Pozostawmy na chwileczkę naczelników sądu, prefektury oraz agentkę, a zajmijmy się innemi działającemi osobami opowiadanego przez nas dramatu.

Symona objęła obowiązki u pani Dubief.

W trzy dni po przybyciu na pensję, energicznie zarządzała robotą szwaczek, z których nie jedna dwa razy starsza była od niej.

Wszystkie słuchały jej z poważaniem i lubiły ją.

W domu przy ulicy Verneuille rozpoczęto już roboty, nieodzowne do przyszłych balów.

Ludwik Bressoles jako budowniczy z powołania doglądał tego przekształcenia w mieszkaniu.

Codziennie także zawoził Marję do Gabrjela Servet i przyjeżdżał po nią w czasie, kiedy się posiedzenie miało kończyć.

Dziewczę spędzało dwie godziny przy ulicy Varennes wraz z malarzem i jego uczniem Albertem de Gibray. Syn sędziego śledczego nie opuścił ani jednej lekcji.

Zapraszamy czytelników do pracowni nazajutrz po pierwszem posiedzeniu.

Wybiła dziesiąta zrana.

Nauczyciel i uczeń byli jeszcze sami. Gabrjel rozcierał farby. Albert pracował z widocznem roztargnieniem nad obrazem, przed kilku dniami zaczętym.

VIII.

Nagle dały się słyszeć na schodach ciężkie kroki dawnego budowniczego i lekkie młodego dziewczęcia.

Gabrjel pospieszył na ich spotkanie.

Po przywitaniu i krótkiej rozmowie rzekł wreszcie budowniczy:

— Muszę wstąpić do tapicera, porozumieć się z nim. To trochę długo potrwa, obawiam się więc bardzo, ażeby Marja nie czekała.

— Jeżeli będę musiała na ciebie czekać, to tem lepiej — wesoło odrzekło dziewczę. — W przyjemnem będę towarzystwie i słyszeć będę rozmowę o czem innem, niż o tapetach, meblach, mierzeniu, przegródkach, które trzeba usunąć, o rozszerzeniach drzwi.

— Prawda, kochany artysto — mówił dalej Bressoles — za dwa tygodnie rozpoczynamy przyjęcia, spodziewam się, że uczynisz mi zaszczyt i przyjemność swoją obecnością?

Przyjmuję z największą przyjemnością.

Marja wyjęła z kieszeni elegancki notesik — oprawny w kość słoniową i wziąwszy ołówek, zawołała:

— Zapiszę pana pierwszego na liście zaproszonych.

Marja zamknęła notesik.

— Chowasz już notes do kieszeni — zawołał Bressoles — a zapomniałaś do nazwiska szanownego mistrza naszego dodać nazwisko pana Alberta de Gibraya! to nie do wybaczenia!

Marja od samego początku rozmowy myślała ciągle o Albercie, ale nie śmiała pierwsza go zaprosić.

— Przepraszam -- rzekła — byłam roztargniona, lecz to już naprawione — dodała.

— Mnie pilno odezwał się znowu Bressoles. — Zabierz się więc pan, panie Servet do roboty, a ja tymczasem pobiegnę do tapicera!

Bressoles pocałował córkę w czoło i wyszedł.

— Niech pani będzie łaskawą zacząć pozować — rzekł artysta do Marji.

Posiedzenie rozpoczęto.

IX.

Aime Joubert udała się do fotografa i oddała mu spinkę, prosząc, ażeby w jak najkrótszym czasie odfotografował ją w dwustu egzemplarzach. z

Następnie powróciła na ulicę Maslay, gdzie jak wiemy, poleciła przyjść Jodeletowi i Martelowi.

Obaj nie omieszkali się stawić.

O oznaczonej godzinie przynieśli wyciągi z ksiąg policyjnych hotelowych z wykazami nazwisk podróżnych, którzy wyjechali z Paryża dnia 21 grudnia.

Prócz tego przyniósł Martel nazwiska recydywistów, siedzących w obecnej chwili w więzieniach paryskich.

Wreszcie dowiedział się, gdzie przebywali zwykle Galoubet i Sylwan Cornu.

Jodelet zapytał:

— Dziś nic więcej nie będzie do roboty?

— Nic.

— Co pani zleci na jutro?

—Jutro przyjdź do mnie, panie Jodelecie, o dziewiątej zrana.

— A ja? — spytał Martel.

— Niech pan idzie na ulicę Montorgueil i w pobliżu hotelu niech pan każe obejrzeć wszystkie mostki uliczne; może zabójca wrzucił pod który swoją broń...

Jutro wieczorem przyjdź pan tu do mnie o szóstej dla zdania sprawy z tych poszukiwań.

— Zrozumiałem.

— Teraz może pan odejść. Ale niech pan Jodelet zostanie.

— Teraz — rzekła do Jodeleta, usiadłszy znów przy biurku, na którem leżały przyniesione wykazy — przyjrzyjmy się razem nazwiskom podróżnych, którzy opuścili Paryż dnia 21 grudnia.

Wziąwszy papiery, zaczęła je układać. z

W pierwszym okręgu znajdowały się tylko dwa nazwiska, komisanta wędrownego, mieszkającego w Lyonie i młodej kobiety z Bourget z dwojgiem dzieci i służącą.

Nad tem nie było co długo myśleć.

Potem przeczytała agentka głośno:

— Hotel Niderlandzki, ulica Garmont. Termitt (Juljusz), właściciel domu, urodził się w Ixelles, Belgijczyk, lat pięćdziesiąt. Przyjechał 8 grudnia, wyjechał 21. Papiery: paszport belgijski, wydany w Brukseli pod datą 5. grudnia.

Aime Joubert, skończywszy czytać, spojrzała na Jodeleta.

— No, w tem nie ma nic szczególnego — rzekł — to stanowczo nic. Przecież ten Juljusz Termitt nie może się tylko dlatego wydawać podejrzanym, że jest Belgijczykiem.

— A mnie to uderza i bardzo nawet — rzekła agentka.

— Dlaczego?

— Dlatego, bo wiem, że złoczyńca, którego podejrzewam, miesiąc temu znajdował się w Brukseli. Stąd wyjechał do Szwajcarji. Zresztą jutro się dowiemy, zanotuj sobie pan nazwisko i resztę i jutro w prefekturze poproś naczelnika policji śledczej, ażeby telegraficznie zapytał jednego z naszych agentów, czy dnia 5. XII wydany został paszport znanemu w Brukseli właścicielowi domu Juljuszowi Termitt i żądaj odpowiedzi również drogą telegraficzną.

Jodelet wypisał z wykazu wszystko, co dotyczyło Juljusza Termitt.

— Czy będziemy czytali dalej? — spytał.

— Nie. Skończę to sama. Potrzeba koniecznie, ażeby depesza wyprawioną została jutro zrana, jeżeli teraz już za późno.

— Pójdę czemprędzej.

Wziął za kapelusz i wyszedł.

Aime Joubert znów się zajęła przeglądaniem wykazów.

Nic podejrzanego jeszcze nie znalazła, gdy do drzwi ktoś zapukał.

Agentka wstała, ażeby otworzyć.

Na progu znajdował się hrabia i agent policyjny.

Aime Joubert wprowadziła Rosjanina do pokoju, a Jodelet tym czasem zbiegł ze schodów, udając się do prefektury.

— Powiedziałam już — rzekła agentka — powiedziałam i powtarzam, że podejrzewam Piotra Lartigues o przyczynienie się do podwójnej zbrodni na cmentarzu Pere Lachaise i ulicy Montorgueli. Pan może mi wiadomości dostarczyć, prawdopodobnie opisane panu dokładnie, jak wyglądał człowiek, który w Berlinie podawał się za France Muellera, poddanego szwajcarskiego, a w Szwajcarji podpisał się zuchwale własnem nazwiskiem Piotra Lartiguesa.

— Z łatwością. Rysopis Franca Muellera w Berlinie i Lartiguesa w Genewie zupełnie jest jednakowy. Obaj mieli około pięćdziesięciu lat, — wzrost średni, rysy regularne, nos zlekka orli, ruchy dość niepewne i odznaczali się namiętnością do gry i dobrego jedzenia. Taki mi dano rysopis fizyczny i moralny.

— To on! to on! — zawołała Aime Joubert — portret zupełnie podobny. Mówiono panu co o włosach?

— Tak, włosy miał kędzierzawe, tylko że ciemne, ale przez dwadzieścia pięć lat mogły posiwieć.

— I powiada pan, że w Brukseli stracił pan jego ślad?

— Tak, w hotelu, gdzie zapisany był pod nazwiskiem Williamsa Tompsona.

— A rysopis jego jaki wtedy był?

— Taki, jak i poprzedni.

— To więc zawsze nasz Lartigues. Mówił on kilku językami. Nie wiem dlaczego, ale jakiś instynkt uprzedza mnie, że Thompson to Juljusz Termitt z hotelu Niderlandzkiego.

Potrzeba, aby pan bywał w domach gry i sam był tam bardzo czynnym.

— W jakim celu?

— Aby spotkać Piotra Lartiguesa.

Alboż on tam będzie?

— Niezawodnie, zawsze był szulerem, a i teraz odznacza się namiętnością do gry. Lartigues nie może być przyjmowany w klubach — uczęszcza więc do domów gry. Być może, iż w tych zakładach pokątnych spotka pan i mnie; jeżeli mnie pan pozna, czego nie jestem pewna, nie powinieneś nawet okazać po sobie, żeśmy się kiedykolwiek widzieli.

— Będę o tem pamiętał i żadnej nieostrożności nie popełnię.

— Dziś nie mam już o niczem więcej z panem do mówienia odprowadzę pana do karety.

zaproponował jej, że ją do domu odwiezie.

Nie przystała na to, zawołała dorożkę i pojechała na ulicę Victoire.

Nazajutrz o dziesiątej zrana przyjechała na ulicę Meslay.

Jodelet przyszedł też do niej niebawem.

Kostium i powierzchowość agenta zupełnie się zmieniły od wczorajszego wieczora.

Teraz podobnym był do ospałego Belgijczyka, namiętnego amatora piwa.

— Domyśliłem się dokąd chce mnie pani z sobą zabrać — rzekł agent — i uważałem za korzystne wleźć w skórę belgijską.

Aime Joubert udała się do pokoju, który możemy nazwać garderobą.

Za dziesięć minut wyszła stąd jako Belgijka od stóp do głowy, trzymając w ręce podróżną torbę.

Stanowiła z Jodeletem taką dobraną parę, że niktby im nie mógł zaprzeczyć pochodzenia belgijskiego.

W dwadzieścia minut później mniemani Belgijczycy wysiedli z dorożki przed bramą Hotelu Niderlandzkiego przy ulicy Gramont.

Jodelet i Aime Joubert weszli do hotelu.

Na ich spotkanie wyszedł służący i zapytał:

XI.

— Zapewne chcą państwo zająć numer?

—Tak... tak... na kilka dni — odrzekła Aime Joubert. Ale chcielibyśmy się wprzód dowiedzieć, — czy tu stoi nasz przyjaciel, który wskazał nam pański hotel, gdzie sam ma jeszcze mieszkać.

— A jak się nazywa?

— Juljusz Termitt.

— Pan Termitt, właściciel domu w Brukseli z siwemi kędzierzawemi włosami, przez które starszym się wydaje, niżli jest.

— Tak, to portret naszego przyjaciela, jak dwie krople wody. Jest tutaj jeszcze?

— Nie. Pan Termitt już nas opuścił. Odjechał.

— Kiedy?

— Przed czterema dniami.

— Napewno przed czterema dniami.

— Może przed pięciu, napewno nie pamiętam, ale mogę państwu powiedzieć dokładnie — zajrzawszy do książki.

— Czy nie wrócił do Brukseli?

— O nie!

— Skądże wiecie o tem?

— Sprowadzałem mu karetkę i najął ją na kolej lyońską.

Jodelet i pani Rosier bystro spojrzeli na siebie

— O, co za szkoda! co za szkoda! — wykrzyknęła agentka płaczliwie. Takeśmy się spodziewali go tu zastać. Mówił nam, że przynajmniej z miesiąc zabawi w Paryżu.

— Rzeczywiście miał pobyć bardzo długo, bo najął numer z wszelkiemi wygodami — rzekł służący, — ale przyszło do niego dwóch mężczyznń, którym wskazałem jego numer i tegoż dnia postanowił odjechać.

— Dwóch mężczyzn — to zapewne ich znajomi, jeżeli to jego przyjaciele — podchwyciła Aime Joubert.

— Nie wiem — odparł służący — nigdy ich przedtem nie widziałem. Był to opat i jakiś młody człowiek.

— Opat — powtórzył Jodelet.

— No wiesz, to jego kuzyn, opat Gulden, proboszcz z ulicy Edvuermoisse — przerwała Aime Joubert, która uważała za rzecz niezręczną okazywać jakiekolwiekbądź zdziwienie.

Mówiła dalej:

— A drugim gościem był młody blondyn, nieprawdaż?

— Tego nie mogę pani powiedzieć; na schodach było ciemno, nie mogłem mu się przypatrzeć, a on tak prędko wbiegł na górę do numeru 17, gdzie mieszkał p. Juljusz Termitt.

— Czy numer ten obecnie wolny?

— Wolny.

— No, to go weźmiemy.

Służący wszedł do kantoru po klucz i mniemanych Belgijczyków zaprowadził na drugie piętro, gdzie znajdował się numer w którym przed dwunastu dniami znajdował się Piotr Lartigues.

Skoro się drzwi za nimi zamknęły, Aime Joubert rzuciła się do biurka i obejrzała wszystkie szufladki.

— Bierz pan ze mnie przykład, panie Jodelet — odezwała się agentka najszczegółowszą odbądźmy rewizję. Trzeba zobaczyć, czy nie zostawiono tu przypadkiem czego ciekawego.

Poszukiwania, pomimo ich całej gorliwości, nie przyniosły żadnego rezultatu. Wszystkie szuflady i wszystkie szafy były zupełnie puste.

— Czy pani przekonana, że ten Juljusz Termitt jest owym człowiekiem, którego pani podejrzewa?

— Tak, zupełnie tak sądzić mogę z tego, jak go opisał służący.

— No, Juljusz Termitt wymknął się nam z pomiędzy palców.

— Rzeczy jego zawieziono na kolej lyońską

Aime Joubert roześmiała się.

— Stara sztuka, kochany Jodelet — odrzekła — zapewne zawiózł tam rzeczy, a w godzinę później przyjechał po nie i zabrał.

— To prawda.

— Bądź pan spokojny, przekonamy się o tem. Teraz możemy

stąd wędrować. Pobyt nasz w hotelu Niderlandzkim nie bez korzyści, bo otrzymałam dowód, że Juljusz Termitt ma wspólników.

Pani Rosier odniosła do kantoru klucz i dała zdziwionemu służącemu dziesięciofrankówkę.

— Jedziemy na kolej po rzeczy — powiedziała — za godzinę wrócimy.

O sto kroków od hotelu Aime Joubert odezwała się do Jodeleta·

— Teraz musimy się rozstać.

— Jaką mi pani da robotę?

— Pójdzie pan do konsulatu belgijskiego i dowie się pan, czy istotnie wizowany był przed dwunastu dniami paszport na imię Juljusza Termitt, a ja tymczasem postaram się odnaleźć ślady tego łotra. O szóstej wieczorem zobaczymy się na ulicy Meslay.

Jodelet oddalił się szybkim krokiem, a pani Rosier, wsiadłszy do dorożki, kazała się zawieźć na kolej lyońską i wprost poszła tam — gdzie się oddaje rzeczy.

Nic to jednak nie pomogło.

Przez dzień setki biletów wydawane są na pakunki, a nikt nie zapisuje nazwisk i nie zwraca uwagi na podróżnych.

Aime Joubert nie mogła powziąć żadnej wiadomości.

XII.

Było to dla agentki dotkliwą porażką.

Aime zwiesiwszy głowę, udała się do prefektury, gdzie oznajmiła naczelnikowi policji śledczej o swych poszukiwaniach i niepowodzeniu.

— Mojem zdaniem, kochana pani Joubert — odezwał się naczelnik policji śledczej — bardzo uważnie jej wysłuchawszy — należałoby szukać w innym kierunku.

— Dlaczego?

— Bo nic nie dowodzi, ażeby ten Juljusz Termitt był Piotrem Lartigues.

— O! to niezawodzie on! — zawołała pani Rosier. — Odpowiedź z Brukseli będzie dla nas dowodem. Straciłam jego ślad, ale muszę go odnaleźć. Inaczej nie byłabym „Kociem okiem".

— Przekonana pani jesteś, że Lartigues — jeżeli to on ukrywa się pod imieniem Juljusza Termitta — nie odjechał z Paryża koleją lyońską dnia 21 grudnia?

— Stanowczo jestem o tem przekonaną. Jakąbądź łotr w tej sprawie odgrywa rolę, musi go ona bardzo obchodzić. Nie przypuszczam, ażeby się z Paryża wydalił.

W tejże chwili do gabinetu przyniesiono telegram.

— A to zapewne odpowiedź, której oczekujemy — odezwał się naczelnik policji śledczej — to niezawodnie od naszego agenta brukselskiego.

— Prawdopodobnie — wtrąciła pani Rosier — musiał czasu nie tracić. Niech pan naczelnik przeczyta.

I cóż? — spytała pani Rosier, a głos jej drżał z niecierpliwości.

Naczelnik policji rozpieczętował kopertę i czytał głośno:

„Żadnego paszportu nie wydano w Brukseli na imię Juljusz Termitt. Musi to być osoba zmyślona, bo podaje się za właściciela domu w Brukseli, gdy tu wcale takiego niema. Paszport jest więc sfałszowany“.

— Miałaś pani słuszność! — dodał naczelnik policji.

— Co pani teraz pocznie?

Jeszcze nie wiem. Myśli me pracują. Staram się znaleźć sposób — rozważam... kombinuję. Ale przyjdzie natchnienie i przysięgam panu, że celu dosięgnę.

Agentka pożegnała się i wstąpiła potem do fotografa prefektury.

Tu gotowych już było sto sztuk fotografji spinki od mankiet.

Aime Joubert kazała je natychmiast odesłać do naczelnika policji, ażeby następnie rozdane zostały pomiędzy jubilerów paryskich.

Niezawodnie który z nich pozna tę spinkę i będzie mógł udzielić wiadomości, komu ją sprzedał.

Zbliżała się chwila oznaczonego widzenia się z Jodeletem i Martelem.

Obaj agenci byli punktualni. Z uderzeniem godziny szóstej na zegarze miejskim zjawili się na ulicy Meslay razem choć z przeciwnych stron.

Jodelet był po wiadomości w konsulacie belgijskim.

Paszport na imię Juljusza Termitt wizowany był dnia 8 grudnia — widocznie podrobiony, gdyż nie mógł być wydany w Brukseli, — gdzie wcale nie znano Juljusza Termitt.

Z kolei Martel zdał sprawozdanie z powierzonego mu zlecenia.

Z pustemi wrócił rękami.

W kanale na ulcy Montorgueil poczyniono najstaranniejsze poszukiwania — ale daremnie. — Nie znaleziono nic.

Obaj agenci, będąc zdania, że wszystko jak najgorzej idzie, nie patrzeli na agentkę, ani nawet na siebie.

Pani Rosier wstała.

— Do jutra, moi panowie — rzekła. — W prefekturze o tej godzinie, kiedy przypada zdawanie raportu.

Jodelet i Martel ukłonili się i odeszli. Aime Joubert znowu padła na krzesło i zatopiła się w myślach.

XIV

Co się stało z Maurycym tymczasem, kiedy pani Rosier — matka jego zawzięcie śledziła mordercę i jego wspólników?

Wstawszy wcześnie rano w dniu oznaczonym dla odjazdu, zapakował rzeczy w walizę, poszedł do restauracji w pobliżu prefektury, — gdzie miał dostać kopię metryki Symony.

O godzinie 9-tej dobrze się najadłszy, zjawił się w prefekturze, gdzie mu wydano ów dokument, należycie poświadczony przez władzę.

Opuściwszy Paryż w południe, Maurycy przybył do Joigny o trzeciej.

Starodawna kurjerka czekała na podróżnych.

Landarą tą przyjechał o piątej do Vique-sur-Bresne, gdzie stanął w hotelu „Pod koniem".

Umywszy sobie twarz i ręce, Maurycy zeszedł na dół ze swego numeru i w kuchni hotelowej zastał właścicielkę, wdowę Huirot.

— Myślę o pańskim obiedzie — rzekła. — Na dworze chłodno. Czy chce pan jeść obiad w małej salce, czy mam panu nakryć tutaj w kuchni przed ogniem na kominie?

— Zjem tutaj obiad — odrzekł. — Dobrze mi będzie przy ogniu.

Służąca nakryła niewielki stolik.

Wdowa Huiret spytała na pozór od niechcenia:

— Zapewne pan pierwszy raz jest w tych stronach. Jeszcze nie miałam przyjemności nigdy pana tu widzieć. Podróżuje pan dla przyjemności.

— Niezupełnie.

— To zapewne dla interesów?

— Tak, i może będę mógł powziąć od pani jaką potrzebną dla mnie wiadomość.

— Czy pani w Vique-sur-Bresne lub okolicy nie zna niejakiej pani Charvais?

— Charvais? — powtórzyła wdowa. — Tu mamy wielu Charvais. Nawet jedni z nich są moi krewni. Tylko o których pan mówi?

— Kiedy nie wiem o których. Wyborny rosół.

— Bardzo mi przyjemnie, że panu smakuje. Jeżeli pan wie, jak na imię tej Charvais, o którą pan pyta, to może będę wiedziała.

— Klaudyna jej na imię.

— Ta, co dzieci brała na wychowanie?

— Właśnie.

— To bardzo porządna kobieta. Wszyscy Charvais są porządni. Widywałam ją códziennie, kiedy jeszcze mieszkała w Vique-sur-Bresne.

— Więc tu już nie mieszka? — spytał Maurycy pośpiesznie.

— Lat temu już pięć wyprowadziła się stąd po śmierci jej męża

— A teraz gdzie mieszka?

— O, niedaleko stąd, w wiosce Puisy.

— Mniej więcej — jak daleko stąd?

— Około pięciu kilometrów. W trzy kwadranse można tam zajść. Czy pan nie przyjechał czasem po to, aby jej oddać dziecko na wychowanie? Ma ona i w Vique i w Puisy, gdzie mieszka, domek i kawał gruntu, a do wszystkiego tego doszła w uczciwy sposób. Klaudyna kobieta porządna jedno jej tylko szkodzi.

— Cż takiego?

— Córkę ma ladacznicę w Paryżu i od czasu śmierci nieboszczyka Charvais żadnych o niej nie dostała wiadomości.

— Przykra to rzecz naturalnie — odparł Maurycy — ale temu przecie niewinna pani Charvais.

Zjawiło się kilka gości i rozmowa została przerwana ku wielkiemu zadowoleniu Maurycego, który już nie miał o co więcej się dowiadywać.

Zjadłszy obiad i napiwszy się kawy z trzema kieliszkami likieru, wypalił cygaro i poszedł spać.

Nazajutrz już o dziewiątej zrana był na nogach. Obfite spożywszy śniadanie i znowu uraczywszy się winem, które mu doskonale smakowało, wyszedł z hotelu i wypytał o drogę, prowadzącą do Puisy.

W trzy kwadranse też przybył do wsi a raczej do miasteczka, gdzie mieszkała Klaudyna Charvais. Spostrzegłszy jakiegoś człowieka przed domem Maurycy podszedł do niego i zapytał:

— Czy może mi pan powiedzieć, gdzie mieszka pani Klaudyna Charvais?

— Na samym końcu miasteczka — odpowiedział tenże. — Pójdzie pan prosto. Jak pan zobaczy na lewo dom, przed którym rosną cztery orzechy, niech pan tam wejdzie, bo tam właśnie mieszka Klaudyna Charvais.

— Dziękuję panu.

W dziesięć minut później znalazł się młodzieniec przed dworkiem z drzewami orzechowemi.

XV.

Poszedł do sieni i z lekka zapukał do drzwi.

— Proszę wejść — zawołał ktoś z wewnątrz.

Przed kominkiem taczało się na podłodze dwoje tłustych dzieciaków pod okiem kobiety pięćdziesięcioletniej i młodej szesnastoletniej dziewczyny, przedstawiającej typ skończonej brzydoty.

—Mam z panią do pomówienia o bardzo ważnej rzeczy, ale chciałbym sam na sam.

Spojrzała na przybysza z pewnem niedowierzaniem.

Ponieważ jednak wyglądał przyzwoicie, ubrany był elegancko, niedługo się wahała i rzekła do służącej:

— Genowefo, weź dzieci, idź do Marcina Girard i powiedz mu, że jeśli jutro piec będzie, przyślemy mu chleb do pieczenia.

Zamiast odpowiedzi, służąca coś mruknęła i odeszła z dziećmi.

— Mówił pan, że chce ze mną pomówić o jakiejś ważnej rzeczy.

— Tak.

— O cóż chodzi?

— O dziecko, które pani powierzone było. Pożądanem byłoby wiedzieć, co się stało z tem dzieckiem.

— O dziecku, które mi powierzono — powtórzyła Klaudyna. — To chyba nie wiele wiem. Tyle ich miałam... Trzeba, ażeby pan naprzód powiedział, które....

— Chodzi mi o dziewczynę, która miała na imię Symona.

— Symona! — zawołała Klaudyna. — Mówi pan o Symonie! O tem małżeństwie, które przyniesiono do mnie wśród okropnej niepogody wieczorem 17 listopada roku 1854?

Twarz gościa zajaśniała radością.

Widzę, że pani ma dobrą pamięć, winszuję tego pani — odrzekł z uśmiechem. — Rzeczywiście 17. listopada roku 1854 wieczorem przyniesiono pani małą Symonę, trzy dni mającą dopiero i oddano ją pani wraz z sumą trzydziestu tysięcy franków.

— Tak było to 17. listopada — odezwała się głosem, w którym starała się zachować spokój. z

— Pamiętam tak dobrze — jakby się to stało onegdaj

— Przyszedłem zapytać panią — odezwał się — co się stało z Symoną?

— O! — odrzekła Klaudyna Charvais. — Już od pięciu lat nic o niej nie wiem.

— Jakto? — wykrzyknął młodzieniec z nagłym niepokojem. — Jakto? Czyżeś pani jej nie zatrzymała przy sobie?

— Nie.

— Ależ przecie dano pani trzydzieści tysięcy franków na jej wychowanie. Za taką sumę można ją było nauczyć rzemiosła jakiego i dać jej gospodarstwo choćby skromne.

— Że dobrze ją wychowano, za to mogę panu ręczyć. Umie czytać, pisać i rachować, jak rejent w Vique-sur-Bresne, nauczono ją szyć, i szwaczką jest, a jaką ani pan sobie wyobrazić nie może.

Ale kto tam da radę z młodemi.

Usłyszawszy od tutejszych dziewcząt, które bywały w Paryżu, że tam wszystko jak najpiękniej i że kto tam raz pojedzie, ten chciałby do końca życia tam pozostać, pojechała razem z moją córką, a jej mleczną siostrą.

— Słowem Symona porzuciła panią?
— Tak! i to nas bardzo zmartwiło.
— Dlaczego ją pani puściłaś?
— A jakże ją miałam trzymać! przecie nie jesteśmy jej matką, żadnego prawa nie miałam do niej!
— Czy przynajmniej dała jej pani pieniądze?
— Pieniędzy! Jakich pieniędzy? Siedmnastoletnia dziewczyna je, pije, ubiera się przecie, z trzydziestu tysięcy franków nic nie zostało — jeszcześmy ze swoich dołożyli.
— Później o tem pomówimy. Najprzód niech mi pani odpowie, czy Symona jest w Paryżu?
— Tak. Odjechała, już będzie temu półszósta roku, na pół roku przed śmiercią mego biednego męża.
— A wie pani, co porabia w Paryżu?
— Wiedziałam od mej córki, jeszcze kilka miesięcy temu, prawie przed rokiem. Ale od tego czasu nie mam o niej wiadomości. Córka pogniewała się z Symoną i przestały się widywać.
— Więc pani nie wie, co się z nią teraz dzieje?
Pani Charvais pokiwała głową.
— Nawet gdzie mieszka? — pytał dalej młody człowiek.
— Nic a nic nie wiem.
— Lecz przecie mogłaby pani o tem wiedzieć?
— A skąd?
— Od córki! Ona jest w Paryżu. Niech pani do niej napisze i przyśle pani adres.

XV.

Klaudyna Charvais wybuchła płaczem.
— Moja córka — wyjąkała przez łzy mocno wzruszona Klaudyna. — Nie wiem, gdzie ona teraz i co z nią się dzieje. Syn naszego rejenta, panicz, lubiący pohulać za pieniążki ojcowskie, opowiadał mi, że jak był w Paryżu, spotkał moją córkę w wielkiej cukierni na bulwarze. Nie nazywają już jej Joasią, ale Oktawją, piękną Oktawją.
Maurycy podskoczył na stołku.
— Oktawją! piękną Oktawją! Czy syn rejenta słyszał dobrze
— Tak mówił.
— I nie omylił się? Może to nie była pani córka?
— O nie, nie mógł się omylić! Zna Joasię od dziecka i na kilka dni przed wyjazdem do Paryża widział u nas jej fotografię, którą przysłała razem z fotografją jej siostry mlecznej, Symony.
Mam u siebie fotografię. Chociaż córka nie zasługuje, ażebym ją kochała, zachowam na zawsze jej fotografię, ale trzymam ją w kuferku; wstydziłabym się ją powiesić na ścianie.

— Może mi ją pani pokazać? — zapytał Maurycy.

— Pocóż mam przed panem kryć, kiedy o wszystkiem panu mówię?

Klaudyna wyjęła z kuferka pugilares skórzany, z pugilaresem ła szukać fotografji.

Maurycy bardzo był uradowany, czego oczywiście nie chciał po sobie pokazać.

Czy ta Joasia, córka Klaudyny Charvais, istotnie jest Oktawją, jego kochanką?

Wyjaśni to fotografja.

Klaudyna wyjęła z kuferka puligares skórzany, z puligaresem kopertę, zawierającą dwie fotografje, potem znów zapłakała, patrząc na rysy swej córki.

Maurycy wziął fotografję, którą mu podała Klaudyna.

Była to fotografja wykonana doskonale w jednym z najlepszych zakładów paryskich.

Od pierwszego rzutu oka poznał swą przyjaciółkę.

— To ona — pomyślał — wszystko idzie jak najlepiej.

— A druga fotografja, to Symony?

— Tak!

— Proszę! Chociaż Symona też nie brzydka, to do Joasi przecież jej porównać nie można.

— Pomoże mi ona w poszukiwaniach, które mam przedsiębrać dla odnalezienia Symony, której adresu w Paryżu nie może mi pani wskazać. Zatem niech mi pani odda tę fotografję, dla ułatwienia mi starań, do których zniewala mnie pani niedbalstwo. Gdybyś pani lepiej pilnowała Symony, nie potrzebowałbym jej teraz szukać.

Rozkazujący i dumny ton głosu przestraszył panią Charvais.

— I sądzi pan, że z tą fotografją może się pan dowiedzieć, co się stało z Symoną? — spytała ulegle.

— Mam nadzieję, a nawet pewny jestem.

— To może i ja za pomocą drugiej fotografji odnajdę Joasię?

— A dlaczegożby nie?

— E! ale Paryż taki wielki!

— To prawda! Ale jeśli się ma fotografję, to znowu nie tak trudno odszukać.

— No, weź pan fotografję, a może kiedy pan do mnie napisze, że mi ona przebacza, żem pozwoliła memu nieboszczykowi mężowi puścić ją do Paryża.

— To znaczy, że się teraz pani przyznajesz, iż źle postąpiłaś?

— Nie ja, tylko mój nieboszczyk.

— Wie pani o tem, że pani odpowiedzialną jest za to dziewczę, bo pani zapłacono za to, ażeby jej pilnowała.

— Wszystkiemu winne te pieniądze. Nieboszczyk mój bał się — ażeby od niego nie zażądano rachunku.

— Pamiętaj pani, że mam prawo żądać rachunku z trzydziestu tysięcy, które państwu dano przed dwudziestu laty, że mogę się domagać wiadomości, jak pani postępowała z Symoną? Jeśli sam jej nie odnajdę, panią zmuszę do odszukania dziewczęcia, które pani powierzono! Tymczasowo sam działać będę. Teraz nawet nie będę się zajmował pieniędzmi, za które, jak przekonany jestem, kupiliście dom i grunt. Ale pod jednym tylko to uczynię warunkiem.

— Pod jakim? — spytała Klaudyna, składając ręce.

— Pod takim, że nie powiesz pani nikomu nigdy, co było powodem mej bytności. Słyszysz pani nikomu!

— O! przysięgam, że będę panu posłuszna! — wykrzyknęła Klaudyna Charvais.

— Więc jeżeli panią kto spyta, po co tu byłem co pani powiesz?

— Powiem, że chciałeś mi pan oddać dziecko lecz, że mam już dwoje, więc nie przyjęłam.

— Dobrze, takie objaśnienie wystarczy. Nie szukaj pani innego.

— Mogę panu dać adres tych państwa, u których służyła moja córka.

Rozpatrzywszy się tam, może się pan dowie, gdzie znajduje się teraz, a kiedy ją pan odszuka, może pan odszuka i Symonę... wtedy...

Maurycy z łatwością odgadł myśl wdowy.

— A wtedy — przerwał — będę mógł napisać, co się stało z córką pani Joasią, która wyszła na „piękną Oktawię".

Wróciwszy do kufra, wzięła znowu pugilares z którego wydobyła już fotografie i wyjęła z niego kilka listów, które podała Maurycemu, mówiąc:

— To są listy, niech pan z łaski swej przeczyta, ja czytać nie umiem. W jednym z nich jest adres.

Młodzieniec wziął machinalnie pierwszy list i przeczytał datę: 15 marca r. 1873.

— Czy ten?

— Tak, to ostatni. Musi tam być adres.

Gdy doszedł do końca drugiej stronicy, ogarnęło go niezmierne zdziwienie.

— Znalazł pan? — spytała Klaudyna.

— Tak — odpowiedział wciąż jeszcze wlepiając oczy w ostatnie wiersze listu.

— Niech mi pan to przeczyta, to powiem, czy to samo?

Maurycy przeczytał:

— Kochana mamo, możesz pisać do mnie pod noym adresem: u pana Ludwika Bressoles ulica Verneuille nr. 25.

— Tak, to właśnie — odrzekła Charvais.

Łatwo sobie wyobrazić zdumienie Maurycego na tę niespodziankę.

Przyjechał do Vique-sur-Bresne, dla szukania Symony, której tam jednak nie znalazł a szczególnym trafem, choć napozór dość naturalnym, powziął wiadomość, o pozyskanie której daremnie się starał w Paryżu.

Wycieczka dała mu świetne rezultaty.

Napotkał ślad jednej ze spadkobierczyń, Armanda Dharvilla, której dziedzictwo, składające się z dwunastu miljonów, należeć będzie do niego i wspólników, jeśli obie sukcesorki nie dożyją dnia przeznaczonego na podział zapisanego testamentem mienia.

W tejże chwili służąca powróciła z dzieciakami.

Maurycy pożegnał Klaudynę, znowu jej obiecawszy, że ją niezawodnie zawiadomi o rezultacie swych poszukiwań.

W trzy godziny w Joign wsiadł na pocią do Paryża.

W trzy godziny w Joign wsiadł na pociąg do Paryża.

XVI.

Ulica Fossees — Saint Victoire należy do tych, które jeszcze niezupełnie przekształcono.

I teraz jeszcze w Starym Paryżu znaleźć można takie domy.

Na parterze jednej z wiekowych kamienic istnieje szynczek, z nizkim sufitem i zczerniałemi ścianami.

Szynk ten składa się z trzech pokoi.

W pierwszym gdzie mieści się bufet — siaduje gospodarz Wincety Belavoine, przezwany wujaszkiem zrzędą, za swój miły charakter.

W trzecim pokoju nareszcie dwa tylko stoły podpierały ściany, na których były nawet obicia.

Tu się zbierali „goście z szykiem", mający więcej groszy i nie chcący się o „prostych" ludzi ocierać.

Pokój ten zwał się „gabinetem ministrów"

Gaz oświetlał każdą izbę, ale bardzo słabo, gdyż wujaszek „Zrzęda" człowiek oszczędny i ponury do połowy tylko wypuszczał światło.

W chwili, gdy wprowadzamy czytelnika do szynku pod godłem „Doskonała wódka", mogła być godzina ósma wieczorem.

Wszystkie stoły obsiedli goście rozmaitego gatunku: słomiankarze, gałganiarze, handlarze starzyzny, grajkowie uliczni obojga płci, wogóle klienci z małemi zasobami pieniędzy, a z ogromnym apetytem.

Ratowały ich jednak bardzo niskie ceny u wujaszka Zrzędy.

Przy drugim stole trzech ludzi raczyło się skromniej, rozmawiając z dwoma sąsiadami.

Rozmowa toczyła się nad zbrodnią na cmentarzu Pere Lachaise i czyniono rozmaite przypuszczenia, uzupełniając w ten sposób brak wiadomości w gazetach, które nie otrzymując z prefektury żadnych informacyj, milczały roztropnie.

Dwaj goście — spożywający sutą ucztę, nie całkiem są nieznani czytelnikom naszym, którzy z łatwością w nich poznają nierozłącznych Galoubeta i Sylwana Cornu.

Wódka wujaszka Zrzędy rozwiązała im języki i chociaż powciągali się do niektórych szczegółów, głośno się odzywali z dziwacznemi zdaniami.

XVII.

Po chwili otworzyła drzwi kobieta lat pięćdziesięciu, w ciepłym kapturku, w starym szalu, którego końce spadały na perkalikową suknię, w półbucikach z ogromnemi podeszwami i z pękiem związanych ubrań na plecach, co wskazywało jej zawód.

— Gołąbki moje, czy macie tu jeszcze miejsce dla damy? — spytała ochrypłym głosem. — Tam już wszystkie miejsca zajęte.

—A jakże, matko, — odrzekł uprzejmie jeden z trzech razem siedzących. — Chodźcie, płeć piękna zawsze pożądana, a wy jesteście jej przedstawicielką, nie mówiąc już o tem, że macie jakąś paltocinę, którą odstąpicie mi niedrogo — skorzystamy z tego, ażeby ubić targ.

— Ustąpię ci mój tłusty gołąbku — odpowiedziała ze śmiechem tandeciarka. — Wyglądasz mi na dobrego chłopca, zrób mi miejsce przy sobie po lewej stronie obok serca.

Obróciwszy się w stronę, gdzie mieściła się kuchnia, handlarka syknęła ochrypłym głosem:

— Dajcie mi jajecznicy i potrawkę z kartoflami.

Wydawszy to zlecenie, zamknęła drzwi i usiadła na miejscu, gdzie ustąpił jej gość, nazwany przez nią dobrym chłopcem.

Był to chudy chłop, lat dwudziestu czterech czy pięciu, z bladą twarzą i oczami zapadłemi, ciemną okrążonemi obwódką.

Suchy kaszel pozwalał go zaliczyć do suchotników bez nadziei.

Dwa lata odsiedział on niedawno w głównym więzieniu w Poisy.

Przynieśli jajecznicę, potrawkę, chleba za sześć cent. i wódkę w glinianym garnku.

Rozmawiając i sadowiąc się, spojrzała na Galoubeta i Sylwana Cornu, którzy kończyli królika i wychylali już czwarty kieliszek.

— To oni są — pomyślała sobie — poznaję ich dobrze.

Ze swej strony czytelnicy nasi, jeżeli nie poznali, to przynajmniej odgadli Aime Joubert.

Nalała sobie wódki, trąciła się z trzema sąsiadami, od razu wypiła wstrętny trunek, wcale się nie skrzywiwszy i odważnie zabrała się do postawionego przed nią jedzenia.

Apetyt macie wyborny odezwał się jeden z jedzących obiad.

— Gdzie tam, moje dzieci! — odparł. — Dotąd nic nie miałam w ustach od godziny dziewiątej, ani jednej wolnej chwili.

— To handelek więc tak dobrze idzie?

— Gdzie tam! nawet mówić nie warto. Kiepsko, bardzo kiepsko! Cały garnitur za trzydzieści pięć franków, a nawet taniej i to z prawdziwego sukna. Ciężkie czasy, ciężkie czasy.

— A nowe rzeczy kupujecie? — spytał Sylwan Cornu.

Kupuję wszystkie rzeczy z garderoby — rzekła mniemana handlarka, mając usta napchane jedzeniem — ze mnie dobra kobieta, moje dzieci, i się nie pytam, od którego krawca to pochodzi, bylebym mogła sprzedać.

— No — rzekł Galoubet — to może co zaraz urządzimy.

— Jak panowie chcecie — spokojnie odpowiedziała Joubert. — Wasze zdrowie!

Spełniwszy toast, agentka wyjęła z kieszeni „Petit Journal" i rozłożyła go przed sobą.

XVIII.

— Ho! ho! matko! — odezwał się ze śmiechem jeden z trzech sąsiadów — widocznie sprzykrzyła się wam robota z nami i wolicie gazety.

— Więc lubicie, matko, czytać o zawikłanych wypadkach? — spytał jeden z jedzących.

— I jak jeszcze.

— To zapewne czytaliście także o tem, co się stało na cmentarzu Pere Lachaise?

Mniemana tandeciarka powściągnęła mimowolnie wzruszenie, a oczy jej zaświeciły się z radości.

— O, moje dzieci! — rzekła, załamując ręce i udając przerażoną — to ci wypadek, aż skóra marznie, gdy o tem pomyśleć. Wystawcie sobie: mężczyzna i kobieta! oboje prawie o jednym czasie, w grobowcu i w karecie! Ho, ten, co to zrobił, to nielada majsterek!

— A jednak złapał się! — wtrącił suchotnik.

— Złapał się! — powtórzyła agentka, patrząc na Galoubeta i Sylwana Cornu. — Złapałby się dopiero wtedy, gdyby go schwytano.

— E, to go nie minie, zobaczycie! — odezwał się Galoubet.

— Jakże go mają złapać? — podchwyciła pani Rosier.

— Niechaj tylko poznają którego z trupów w Mordze, zaraz to ich na ślad naprowadzi.

— Mnie mówiono — żywo wtrąciła Aime Joubert — że mężczyznę w Mordze poznano, że to ma być dawny żołnierz, który

potem był za służącego u jakiegoś bogatego pana.

Galoubet parsknął śmiechem.

— Gadaniny! — zawołał — żołnierz kamerdynerem bogatych państwa! e! pani matko, nieboszczyk był takim żołnierzem, jak ja, a takim kamerdynerem, jak wy margrabiną.

Oczy pani Rosier znowu się zaświeciły.

— To chyba musicie coś wiedzieć? — spytała z miną jak najdobroduszniejszą.

Sylwan Cornu kopnął Galoubeta pod stołem, co znaczyło: „milcz, przeklęty gaduło!"

Galoubet zrozumiał i sam w myśli przyznał koledze najzupełniejszą słuszność, bo czuł, że się zbyt nieostróżnie odezwał.

Starał się też to zatrzeć.

— E! znać go nie znam — odrzekł — gdybym go znał, poszedłbym zaraz o tem powiedzieć. Każdy myśli, że mu się widzi, otóż ja sobie myślę, że ten człowiek wcale nie patrzy na dawniejszego żołnierza, ani na kamerdynera.

— Dobrze, dobrze — pomyślała sobie Aime Joubert — czepiaj się płota, jak pijany, a ja już wiem, że ty będziesz musiał wszystko wyśpiewać.

Nalała sobie i rzekła, składając gazetę i chowając ją do kieszeni:

A czybyście nie pomówili o naszym interesie?

— Nie, lepiej już jutro.

— No, ale gdzie się zobaczymy, mój synku?

— Tutaj, jeśli chcecie!

— Dobrze.

— Przyniosę z sobą towar.

— Kiedy?

— Jutro zrana.

— O której?

— O ósmej. Zalejemy robaka wódką.

— Już tu czekać na mnie nie będziecie, a żebyście wiedzieli, jak chciałabym zawiązać z wami stosunki handlowe, dziś funduję całej kompanji.

Uraczyła jeszcze towarzyszy wódką i zapłaciła rachunek.

To samo uczynili Sylwan Cornu i Galoubet.

Trzej inni zamierzali część nocy spędzić przy kartach.

Agentka i dwaj złodzieje razem wyszli na ulicę.

— A dokąd pójdziecie?

Aime Joubert odpowiedziała nie chybił trafił pijanym głosem

— A na ulicę św. Ludwika idę.

— A to akurat, jak my — zawołał Galoubet. — Daj mi mamusiu łapkę, to cię odprowadzimy. Nasze mieszkanie na ulicy Miedzianej.

Ani na chwilę nie zawahała się agentka

Trzy nasze działające osoby doszły razem do rogu ulicy de Ponts.

— No i już w domu pani jesteś. Ulica de Ponts przerzyna ulicę św. Ludwika — rzekł, zatrzymując się Galoubet. — Cóż teraz, lepiej z nóżkami?

— Tak, odrobinkę, powietrze mnie orzeźwiło, za pięć minut już będę w domu. Dziękuję wam, koledzy, do widzenia do jutra.

— Do jutra — powtórzyli obaj.

Aime Joubert weszła na ulicę de Ponts — zataczając się po chodniku.

Sylwan Cornu i Gloubet skręcili na lewo i poszli wybrzeżem Orleańskiem, o dwadzieścia kroków Galoubet przystanął.

XIX.

— Idź, stara wiedźmo spać — mruknął, zwracając się w stronę ulicy, gdzie znikła mniemana tandeciarka. — Wypijemy za twe zdrowie.

Z triumfem pokazał portmonetkę, którą, gdy otworzył przy świetle lotarni gazowej błysnęło złoto.

— Oporządziłeś ją? — spytał Sylwan Cornu.

— Tak, stary. Nie trzeba pieniędzy zostawiać pijaczkom. One im na złe wychodzą.

— Ile też jest?

— Pięć żółtych i trochę drobnych.

— Schowaj to wszystko do kieszeni, a portmonetkę rzucaj do wody.

Galoubet usłuchał tej rady i portmonetkę pustą rzucił do rzeki.

— Nie ma potrzeby chyba jutro nosić jej gałgany — rzekł — szkoda, żeśmy jej powiedzieli, że tu mieszkamy.

— Głupiś! Jutro stara już o niczem pamiętać nie będzie. Tak się zalała, że do drzwi nie trafi.

Tymczasem Aime Joubert na rogu ulicy św. Ludwika i Miedzianej schowała się we wgłębieniu przed bramą jednej z kamienic i wzrokiem śledziła łotrów.

— Okradłeś mnie łotrze — pomyślała agentka, która poczuwszy poprzednio rękę Galoubeta w swej kieszeni, wcale go nie powstrzymała — gdyby nie to, możebym się jutro nad tobą ulitowała, ale teraz będzie inaczej.

Sylwan Cornu i jego nieodłączny kolega wciąż szli dalej.

Nagle zatrzymali się przed starym, niepozornym domem.

Galoubet wyjął klucz z kieszeni, otworzył furtkę w bramie i obaj znikli w ciemnem wejściu.

Zatrzaśnięcie drzwi dało znać pani Rosier, że złodzieje dostali się już do swego legowiska.

Skradając się wzdłuż ścian kamienic, doszła do tego domu i przyjrzała mu się uważnie.

Sylwan i Galoubet mieszkali rzeczywiście w jednym z tych ohydnych domów, gdzie przestąpić progu nie może żaden uczciwy człowiek bez strachu.

Dowiedziawszy się, czego chciała, agentka szybko się oddaliła. Cornu wraz z kolegą swym mieszkał na trzeciem piętrze.

Policzywszy pieniądze, wyjęte z portmonetki, a było ich sto trzynaście franków, obaj złodzieje położyli się spać.

— Sto trzynaście franków — mruknął Sylwan — zła liczba.

— Dlaczego?

— Trzynaście przyniesie nam nieszczęście.

— Jakiś ty głupi! — odpowiedział Galaubet, wzruszając ramionami. — Zabobony dobre tylko dla bab! Ja tam ani w trzynastkę nie wierzę, ani w piątek! Ja jestem filozof, mój panie, słyszysz? Nie pleć bredni, a śpij, to będzie lepiej.

W dziesięć minut później zacni towarzysze chrapali.

Była godzina dwunasta w nocy.

O pierwszej Galoubet nagle się przebudził.

Pewny, że słyszał pukanie do drzwi, podniósł się na łóżku, przetarł oczy i jął się przysłuchiwać.

Cornu wciąż spał.

Znowu się dało słyszeć pukanie.

— Kto tam? — zapytał Galoubet. — Czego potrzeba?

— W imieniu prawa otwórzcie.

— Jeżeli nie otworzycie, wyłamiemy drzwi — rzekł grożący głos.

— Zaczekajcie chwilę, panowie, nie ma jeszcze u nas światła

— Ale my mamy, otwó zcie!

Sylwan drżąc na całym ciele, obrócił klucz w zamku.

Drzwi się otworzyły i pokój wnet oświetlony został blaskiem świecy, niesionej przez gospodarza domu, któremu towarzyszył komisarz policyjny i kilku agentów.

Przerażeni tym widokiem, obaj złodzieje usiedli na łóżkach.

Komisarz wszedł do pokoju.

— To wy się nazywacie Sylwanem Cornu? — zapytał starszego z łotrów.

— Do pańskich usług, tak, panie komisarzu.

— A wy — mówił dalej tenże — jesteście Narcyz Cartier, przezwany Galoubetem?

— Tak, panie Komisarzu.

— W imieniu prawa aresztuję was obu.

Póki złodzieje kończyli się ubierać rękami nieco drżącemi, komisarz policyjny odbywał rewizję w pokoju.

Tu znaleziono cztery zupełnie nowe garnitury, które niewątpliwie skradzione były w jakimś magazynie.

Agenci zabrali te rzeczy i komisarz rozkazał ruszyć w drogę.

We dwadzieścia minut obaj łotrzy znajdowali się w areszcie.

— Dobrze — szepnął Galoubet Sywanowi do ucha — komisarz nie zabrał nam „pieniędzy" i to bardzo dobrze.

— Schowałeś żółte?

— Ba! będzie za co pocieszać się wódką!

Koledzy znaleźli wreszcie dwa miejsca na łóżku.

Położyli się obok siebie i szepcąc sobie dalej, spędzili resztę nocy na nieprzyjemnych rozmyślaniach.

O dziewiątej zrana drzwi się otworzyły, ukazał się dozorca i zawołał:

— Do sędziego śledczego!

Czekali na nich żołnierze.

Sylwan szedł za Galoubetem.

Włożono im kajdanki i zaprowadzono do gabinetu Pawła de Gibray.

Ten czytał raport policji.

Naretszcie Gibray podniósł głowę i skierował na nich wzrok chłodny i przenikliwy.

— Który z was nazywa się Galoubet? — zapytał sędzia śledczy.

— Ja — odpowiedział Cartier tonem jak najpokorniejszym.

— Sądzeni byliście już kilka razy, tak zapisano w waszych aktach.

— O! nie poszczęściło mi się...

— Trzy lata siedzieliście w Poisy, sześć miesięcy w Roquette, dwa lata u św. Pelagii, rok w Mazas, o! to niemałe macie zasługi! Macie prawo, ażeby was mianowano oficerem między złoczyńcami.

Galoubet zwiesił głowę i nic nie odpowiedział.

Gibray zwrócił się do drugiego łotra.

— Sylwan Cornu?

— Tak.

— Macie jeszcze większe zasługi, niż wasz kolega. Siedmnaście lat przebyliście w rozmaitych więzieniach.

— Siedmnaście i pół — poprawił Cornu nieśmiało.

— W którym roku zamknięto was w Poisy?

— W 1847.

— I wyszliście?

— W 1853.

— A więc w roku 1849 byliście tam jeszcze?

— A juści.

— Czy tam poznaliście się z Cartierem, — przezwanym Galoubet?

Galoubet odpowiedział:

— Tak. W roku 1851 odebrałem trzy lata w Poisy.

Gibray przez kilka minut milczał, poczem nagle zapytał Sylwana:

— Pamiętacie swych towarzyszy w więzieniu głównem?

— Nie wszystkich ale wielu.

— Możecie mi ich wymienić z nazwiska? — Cóż, nie odpowiadacie? — zapytał sędzia po chwili.

— Bo to bardzo trudno.

— Dlaczego?

— W więzieniu zna się numery i przezwiska. Myślałem, że pan sędzia mówi o twarzach, o których pamięta się tutaj.

Sylwan końcem palców dotknął się czoła.

XX.

Sędzia śledczy się uśmiechnął:

— O! — odezwał się — więc głównie pamiętacie twarze?

Począł czegoś szukać w szufladzie biurka.

—Tak, głównie — odpowiedział Sylwan Cornu.

Paweł de Gibray znalazł, czego szukał.

—No, jeśli tak — rzekł, podając złodziejowi fotografję — to z pewnością musisz poznać tego człowieka.

Sylwan nachylił się nad fotografją i przyjrzał się jej z wielką uwagą.

— Nie można dobrze rozpoznać — wyszeptał. — Rysy twarzy zbite jak gdyby u trupa.

— Nie omyliliście się, ten człowiek umarł rzeczywiście śmiercią gwałtowną, został zabity, ale go musicie znać.

— Ale ja go wcale nie znam. Im bardziej się przyglądam, tem bardziej nie mogę sobie przypomnieć ani nazwiska, ani nawet numeru tego człowieka.

Paweł de Gibray znowu się uśmiechnął.

— Wczoraj to nie tak mówiliście! — odezwał się ironicznie.

—Wczoraj? — powtórzył Sylwan ze zdziwioną miną.

— Tak, wczoraj w szynkowni przy ulicy Bonnes Puits.

— Złapałem się! — bąknął Cornu, spoglądając na Galoubeta.

Sędzia śledczy mówił dalej:

— Jeżeli nie poznajecie go z fotografji, to niezawodnie poznacie trupa.

— O jakim trupie pan sędzia mówi, czy nie o tym, co leży w Mordze? tego człowieka, który zabity został w karetce, jak piszą w gazetach?

— O tym samym. Przecieżeście go widzieli i poznali.

Sylwan poruszył się na miejscu.

Paweł de Gibray nie dał mu czasu na odpowiedź i mówił dalej:

— Poznaliście go, bo przecie znaliście go dawniej, jestem tego pewny.

— Ale proszę pana sędziego.

— Nie przerywajcie mi, a słuchajcie. Aresztowano was tej nocy za kradzież ubrań z magazynów.

— Panie sędzio, niewinny jestem, jak nowonarodzone dziecko.

— W tej chwili jeszcze nie mamy przeciw wam żadnych dowodów rzeczowych.

— Widzi pan sędzia.

— Ale będziemy je mieli niedługo z łatwością. Powiedzcie mi, co to za człowiek znajduje się w Morgue, a ja być może, umorzę waszą sprawę i każę was uwolnić.

Zdaje mi się, że poznałem tego człowieka, ale potrzebowałbym go widzieć zbliska, aby się przekonać, czym się nie omylił.

— To z łatwością można będzie uczynić — odpowiedział Gibray.

Napisał kilka wyrazów na kawałku papieru, włożył go do koperty i zaadresował.

Potem zadzwonił.

Weszli żołnierze.

— Weźcie ten list — rzekł Paweł de Gibray, — oddajcie to dozorcy Morgi, dokąd odprowadzicie tych oto aresztantów. Kiedy już nie będą tam potrzebni, przyjdziecie z nimi tu napowrót.

W Morgue dozorca wskutek listu de Gibraya'a zaprowadził Galoubeta i Cornu do sali, gdzie odbywają się sekcje nad trupami.

Sylwan kręcił się około zwłok, przyglądał się tatuowaniu, które sam zrobił, jak ręczył, potem przypatrywał się lewej stronie twarzy i zawołał:

— Nie, nie omyliłem się, jeden z kolegów w kaźni ukąsił go w gniewie i odgryzł lewą część ucha. Patrz, oto ta blizna.

— Więc nie mamy już co więcej tu robić! — podchwycił Galoubet. — Chodźmy.

Pod konwojem dwóch żołnierzy wrócili do sądu.

Idąc wzdłuż wybrzeża, Galoubet wznowił z swym kolegą po cichu rozmowę.

— Jeżeli wstąpimy do policji dla dostarczania wiadomości, to dadzą nam pensję?

— Naturalnie. Przecież nie możesz żyć powietrzem, jak się wyrzeczesz swego fachu! Będziesz dostawał i stałą płacę i nagrody, jak przez ciebie złapią jakiego złodzieja lub zbiega.

— No, jeśli mnie wezmą za szpiega, to już ja się z tym rozprawię, jeżeli go spotkam.

— A z kim to takim?

— Znasz tego fałszywego opata, cośmy go to spotkali z Joinville-le-Point. Powiedział mi, że go biorę za kogo innego, że się mylę i nie dał mi trzech franków. Nie, ja się wcale nie omyliłem, a jeśli nie zrobiłem wtedy skandalu, to tylko dlatego, że się bałem sam dostać po skórze. A wtedy byłoby kiepsko. No, teraz gdybym go spotkał! Był pod dozorem policyjnym, ale niezawodnie musiał im uciec. Bardzobym nawet chciał wstąpić do policji. Człek nie taki już młody, a to dałoby kawał chleba na starość

Weszli do gabinetu sędziego śledczego.

— I cóż? — zapytał sędzia.

— To ten sam, którego znałem. Siedział w Poisy razem ze mną w roku 1849. Wytatuowałem mu na ręce dwa pałasze na krzyż, wianek laurowy i rok, w którym się poznajomiliśmy. — To mu nadało szyku. Dostał ośm lat więzienia z drugim kolegą — obaj byli skompromitowani za usiłowane zabójstwo.

— Jak się nazywał?

— Gustaw Perier, a chytry był, co się zowie. Nigdybym nie przypuszczał, że na niego przyjdzie taki koniec. No, widać, spotkał od siebie chytrzejszego.

— Jak się nazywał ten jego wspólnik, o którym mówiliście?... ten, co siedział razem z nim o jedną sprawę.

— Michał Bremont.

— Cóż to za Michał Bremont? zwyczajny złodziej?

— O nie, to człowiek wykształcony; mówił kilku językami, tak samo, jak Perier. Skazany był na pięć lat. Obaj należeli do jednej bandy.

Gibray nadstawił uszu.

— Do jednej bandy? — powtórzył — czy doprawdy?

— O! z pewnością, panie sędzio!

— Skądże o tem wiecie?

— Słyszałem, jak o tem mówili, a prócz tego znalazłem jakiś dokument, należący do Michała Brement, gdzie wypisane były nazwiska członków bandy?

— Wielu ich było?

— Bardzo dobrze, chociaż nie schowałem tego papieru, bo mógłby mnie kompromitować.

— No, jakie, powiedzcie!

— A oto takie: Gustaw Perier, Michał Brement, Verdier, przezwany „panem opatem“, bo często przebierał się za księdza, Chauvin i jeszcze jeden, który był skazany na śmierć zaocznie.

— Zapewnie Piotr Lartigues,? — wtrącił Gibray.

— Właśnie, Piotr Lartigues, przezwany „kędzierzawym“, bo mu się włosy kręciły, jak u barana.

XXI.

Sędzia śledczy zapytał

— Znam Michała Bremont i Gustawa Perier zabitego — odpowiedział Sylwan.

— A ja znam „pan opata“ — żywo podchwycił Galoubet. — Przed trzema laty spotkałem się z nim w Joinville-le-Points i mogę się założyć, że musi być niedaleko od Paryża.

— Piotra Lartiguesa nie znacie?

— Nie — odpowiedzieli obaj złodzieje jednogłośnie.

— Dlaczego jesteście tak pewni, że człowiek w Mordze jest Gustawem Perier? — mówił dalej sędzia śledczy.

— Po pierwsze jego twarz, potem niepodobna się omylić co do tatuowania, no i brak mu kawałka lewego ucha. Przytem może się pan sędzia przekonać co do jego osoby, wziąwszy rysopis Gustawa Periera z więzienia głównego.

— Dobrze.

Paweł de Gibray zadzwonił i kazał zawołać żołnierzy.

— Odprowadźcie tych ludzi do aresztu — rzekł.

Żołnierze wyszli ze złodziejami, gwałtownie rozgniewanymi.

Ledwie drzwi się za nimi zamknęły, gdy otworzyły się boczne i z przyległego pokoju wszedł naczelnik policji śledczej, a z nim Aime Joubert.

— Widzicie panowie, żem się nie omyliła — rzekła agentka — widzicie panowie, że banda istnieje. Człowiek z Morgi, Gustaw Perier, należał do tej bandy. Niezawodnie zabity został przez jednego ze stowarzyszonych, może przez Piotra Lartiguesa lub zbrodniarza, przebierającego się za opata, ażeby go nie poznano. Stowarzyszenie potajemne istnieje i działa w samym środku Paryża. Bez wątpienia nowe jeszcze zbrodnie są przygotowane. Trzeba tych zbrodniarzy ścigać bez miłosierdzia. Trzeba ich ująć i zdemaskować.

— Trzeba nietylko dotrzymać obietnicy, uczynionej tym dwom łotrom przez pana, którzy stąd przed chwilą wyszli, trzeba nietylko uwolnić ich, ale przyjąć do policji.

— Alboż mogą się nam przydać? — zapytał Paweł de Gibray.

— Dla mnie są niezbędni.

— Dlaczego?

— Jeden z nich zna Verdiera, fałszywego opata, drugi zna Michała Bremonta. Widzicie panowie, że te nazwiska pozostały mi w pamięci i ja ich nie zapomnę.

Verdiera spotkał przed trzema laty. Nic nie dowodzi, ażeby się tenże teraz nie znajdował w Paryżu z Michałem Bremont.

Ci ludzie mogą więc nam ich wskazać.

Hrabia Iwan znów i ja znamy Lartiguesa.

Trzej więc z czterech są znani i uda nam się pochwycić choć jednego z tych trzech, chybaby nie było już Opatrzności. A miejmy tylko jednego, to wnet dobierzemy się do innych.

Widzicie więc panowie, że Sylwan Cornu i Galoubet będą dla nas wybornymi sprzymierzeńcami.

Podpisz pan rozkaz uwolnienia tych ludzi.

— Proszę — rzekł, podając arkusz naczelnikowi policji śledczej — reszta pana dotyczy.

— Wezwij pan tych łotrów i ułóż się z nimi.

— Z niecierpliwością czekam tej chwili, kiedy wpadniemy na

ślad, gdyż dzienniki dość cierpko już piszą o naszej bezczynności i nazywają ją bezsilnością.

W pół godziny później Galoubet i Sylwan Cornu przyprowadzeni zostali do gabinetu naczelnika policji śledczej.

Pierwsze dwa słowa naczelnika policji śledczej były:

— Sylwan Cornu, Galoubet, jesteście wolni. Ale pod warunkiem, którego zapewne sami się domyślacie.

— Którego się domyślamy? — powtórzył Galoubet. — Ba, naturalnie, wiemy, że warunek ten to taki, że mamy być nie zwierzyną, ale myśliwymi. I owszem, to nawet było mojem marzeniem i Sylwana także.

— Tak, panie naczelniku, przyszła nam chęć zostania uczciwymi ludźmi. Niech wielmożny pan będzie spokojny, nie będzie pan naczelnik tego żałował. Będziemy pomagali. Żaden z dawnych kolegów naszych nie ujdzie, znamy ich i napędzimy w sieci. Górą wojna z dawnymi zbrodniarzami! niechaj drżą wszyscy złodzieje!

Rozmowa ich z naczelnikiem policji śledczej potrwała długo.

Dopiero w godzinę później wyszli z gabinetu, spokojni, zadowoleni.

Życie wydawało im się dobrem, przyszłość widzieli w różowych kolorach i ciągle się macali po kieszeniach, w których spoczywało sto franków, jako zaliczka na rachunek pensji.

Niezmiernie byli uradowani, że stali się „ze zwierzyny myśliwymi".

Znaczną nagrodę przyobiecano temu z agentów lub ich pomocników, przy współdziałaniu których nastąpi aresztowanie sprawcy morderstwa na cmentarzu Pere Lachaise i na ulicy Montorgueil, albo jego wspólnika.

XXII.

Na drugi dzień po powrocie do Paryża poszedł Maurycy wprost na ulicę Suresnes, gdzie oczekiwać mieli z niecierpliwością jego powrotu kapitan Van Broke i opat Meriss.

Rzeczywiście dwaj stowarzyszeni znajdowali się tam...

Verdier dnia tego nie miał na sobie kostjumu opata.

Wyglądał na bardzo uczciwego starego mieszczanina.

— No, kochany nasz przyjacielu! — zawołał. — Cóż przywozisz? Podróż była pomyślna?

— Nie mam co narzekać! — odrzekł Maurycy, — bo dwóch zajęcy ubiłem od razu, szukając Symony, znalazłem Bressolów.

— No, jeżeli tak, to wszystko idzie cudownie — rzekł Verdier — dość piękną Oktawię wypytać zręcznie tak, żeby nie obudzić w niej żadnego podejrzenia i niewątpliwie dostanie nam się adres Symony,

Trzeba się więc dowiedzieć, co to są za ludzie ci Bressołowie, jak żyją, trzeba odkryć ich namiętności i występki.

Czy pędzą życie domowe, czy bywają w towarzystwach. O tem wszystkiem chciałem się dowiedzieć od Oktawji, która zanim została gwiazdą półświatka, była pokojówką u tych ludzi, a teraz dla mnie na nieszczęście stała się niewidzialną.

— Ja jestem tegoż zdania — zauważył Verdier — trzeba się koniecznie widzieć z Oktawją i wypytać tę osóbkę.

Stosownie do tych wiadomości, jakie Maurycy od niej mieć będzie, ułożymy cały plan działania.

Maurycy pożegnał się z Lartiguesem i Verdierem i poszedł raz jeszcze na ulicę Comatin.

XXIII.

— Czy pani jest w domu? — zapytał odźwiernego, który go znał.

Otrzymawszy potwierdzającą odpowiedź, młodzieniec udał się na pierwsze piętro i zadzwonił silnie.

Drzwi otworzył wspaniały lokaj, którego nigdy jeszcze nie widział.

— Czego pan sobie życzy? — zapytał lokaj.

— Mogę się widzieć z panią Oktawją?

— Pani nie przyjmuje.

— To już formalne zerwanie — pomyślał Maurycy — jeżeli tylko hrabia Iwan nie je śniadania z Oktawją. Jednakowoż muszę się z nią widzieć, trzeba na to wymyśleć sposób.

— Pozostawiam wam mój bilet wizytowy — rzekł do lokaja. — Pokażcie go pani Oktawji jak będzie można

— Dobrze.

Maurycy zeszedł ze schodów, przeklinając kaprysy córek Ewy, które dziś uwielbiają, a jutro nam drzwi zamykają przed nosem.

Maurycy poszedł zjeść śniadanie na bulwarach w restauracji, potem wrócił na ulicę Navarin.

Tu go czekała niespodzianka: Odźwierna wręczyła mu list od Oktawji, napisany na wyperfumowanym papierze.

Przeczytamy ten list, naturalnie poprawiwszy ortografję:

„Kochany piesku, nie jestem wolną, bo małżeństwo na dobrej drodze. Chcę się jednak z tobą widzieć. Bądź pojutrze na maskaradzie w Operze. Będę miała na sobie domino różowe, z białą wstęgą na lewem ramieniu i u stanika.

Twoja na całe życie
Oktawja.

Był to początek maskarad w sali nowej Opery.

Cały Paryż chciał być na tej maskaradzie i loże sprzedawano bardzo drogo.

Maurycy zapłacił trzydzieści luidorów za lożę.

W sobotę zaraz po północy młodzieniec nasz ubrał się w czarne domino z zieloną wstążką i udał się do Opery.

Tu już znajdowali się Lartigues i Verdier.

Obaj łotrzy mieli na sobie takie same domina, jak i Maurycy. Odmiennego tylko koloru wstążki na każdem ramieniu pozwalały jednego od drugiego odróżnić. Zeszli się wszyscy trzej.

— Przyjechała już? — zapytał Maurycy.

— Nie, przynajmniej nie widzieliśmy różowego domina z białemi wstążkami.

— Rozejdźmy się i przypatrujmy. Co pół godziny zejdziemy się tutaj, a jeżeli napotkacie domino różowe, zaraz dacie mi znać.

— Dobrze.

Tłum przepełniał schody, korytarz i loże. — Orkiestra pracowała zawzięcie. Rozlegały się głośne dźwięki instrumentów. Kłęby kurzu unosiły się pod żyrandole, płonące oślepiającym blaskiem gazu. W jednej z framug stała nieruchomo z dwoma zamaskowanymi „mężczyznami w stroju „doktorów molierowskich", kobieta w czarnem dominie z czerwoną wstęgą na ramieniu.

Dwaj ci mężczyźni nie opuszczali jej, jakby cień, gdy ona tymczasem oczami, błyszczącemi w otworach maski, patrzała na tłum, snujący się wszędzie.

Zobaczywszy, że czarne domino z zielonemi wstążkami rozmawia z dwoma dominami o różnokolorowych wstążkach, drgnęła i rzekła do siebie cicho:

— Ten młody człowiek zupełnie podobny do Maurycego. Czy to nie on?

Nasi czytelnicy poznali w niej panią Rosier. Dwoma towarzyszącymi jej doktorami molierowskimi byli nowi agenci Sylwan Cornu i Galoubet, bardzo zdumieni tym nieznanym dla nich widokiem; pomimo jednak zdumienia tego bardzo uważni na wszystko.

Przecisnąwszy się przez tłum, wszedł Maurycy do swej loży.

Czarne domino z różnokolorowemi wstążkami, którem był Lartigues, zbliżyło się do niego.

— Przyjechała! — szepnął Maurycemu do ucha.

— W chwili, kiedym ją zobaczył, otwierano jej lożę przy scenie po prawej stronie.

Maurycy, przecisnąwszy się wśród tłumu z wielką trudnością, skierował się ku wskazanemu miejscu.

W chwili, gdy tam dochodził, Oktawja opuszczała już lożę.

— To ja! — szepnął.

Oktawja drgnęła, usłyszawszy jego głos, ale wzięła go pod rękę i zapytała prędko.

— Masz lożę?

— Mam.

— Z gabinetem?

— Tak. Nikt cię nie zobaczy.

— Chodźmy prędzej.

Maurycy wprowadził Oktawję do małego gabinetu, gdzie jej nie można było widzieć z sali.

— O! — rzekła, zdejmując maskę aksamitną i odrzucając kapturek. — Jak przyjemnie mieć pięć minut swobody, kiedy się od niej musisz odzwyczaić.

— Niewolnicą więc zostałaś?

— Jak najzupełniej, ale mnie nie całkiem rozumiesz? Nudzę się śmiertelnie, ale mnie podtrzymuje nadzieja świetnej przyszłości. Kiedy hrabia przekona się zupełnie, że go uwielbiam, ożeni się ze mną, a kiedy zostanie mym mężem, nie będę go potrzebowała już oszczędzać i poprowadzę go za nos. Zobaczysz! Ale dość o mnie, pomówmy teraz o tobie! Cóż porabiasz odtąd, jak zmuszona byłam cię nie przyjąć?

— Odbyłem maleńką podróż.

— Tak sobie dla przyjemności?

— Nie, jeździłem za interesami, i wystaw sobie, spotkałem w Hawrze człowieka, który niedawno cię widział w Paryżu i dobrze cię zna. Długo też mówiliśmy o tobie.

Na twarzy młodej kobiety zjawił się niepokój.

— Więc któż to taki?

— Notarjusz z Vique-sur-Bresnes.

Mówiąc to, Maurycy uważnie się przypatrywał Oktawji. Widział, że najprzód zbladła, a potem twarz jej stała się szkarłatną.

— A! — odrzekła pomieszana — on o mnie z tobą mówił?

— Czy ci co złego powiedział? — przerwała Oktawja.

— Nie.

— Coś bardzo złego, jestem tego pewna. Opowiedzieć ci musiał, żem porzuciła rodziców i przyjechała bawić się do Paryża żem zabrała z sobą mleczną siostrę Symonę... mówił ci o tem?

— Ha! — daremnie byłoby się zapierać! — odpowiedział Maurycy z uśmiechem.

Niezmiernie rad był, że rozmowa sama wpadła na ten przedmiot, na jaki chciał ją naprowadzić.

Oktawja mówiła dalej:

— Słowo honoru! Zdaje mi się, że słyszę tego starego, musiał mnie ładnie przed tobą opisać!

— Tak, że musiałem mu powiedzieć, żeby przestał.

XXIV.

— Zły na ciebie, za co?

— Bo temu staremu lowelasowi, temu świętoszkowi, wpadła w oko Symona i wściekał się, kiedy wyjechała ze mną.

— Dał mi też i to do zrozumienia, chociaż zataił oczywiście prawdziwą przyczynę swego gniewu i interesował się tylko, jak powiedział, moralnością twej siostry mlecznej. Ale i cóż się z nią stało? Czy zmieniła nazwisko i znaną jest? Bogata teraz?

Oktawja wzruszyła ramionami.

— Symona miałaby być bogatą? — powtórzyła. — Nigdy! zanadto głupia! Kiedy mnie się sprzykrzyła robota i postarałam się o jedwabie, aksamity i brylanty, nagadała mi tyle morałów, niczem ksiądz jaki, że aż mnie zdenerwowała. Porzuciłam ją i każda z nas poszła w swoją stronę.

— Dawno to było?

— Prawie przed czterema laty.

— I nic nie słyszałaś o niej?

— Nic.

— Z czego się utrzymywała?

— Z szycia.

— A gdzie szyła?

— W magazynie przy ulicy Vivienne wtedy, gdyśmy się z sobą pożegnały; ale zdrowie miała liche, może już umarła.

Oktawja mówiła dalej:

— Cóż ci jeszcze powiedział ten głupi notarjusz? czy nie wspomniał o mej matce?

— I owszem, mówił mi, że twoja matka, pani Charvais, mieszka już nie w Vique-sur-Bresnes, lecz w sąsiedniej wsi Puissy, gdzie kupiła sobie domek i kawałek ziemi.

— Matka ma się dobrze. Napiszę do niej w tych dniach. Ucieszy się bardzo, gdy się dowie o mem małżeństwie.

— A ona pisuje do ciebie?

— Nie. Nie ma mego adresu. Nie wie, gdzie mieszkam, odkad porzuciłam miejsce u Bresolów.

W Maurycego oczach zabłysła radość.

— U Bressolów? — spytał z miną obojętną. — Któż to są ci Bressolowie?

— Byłam u nich za „pannę do towarzystwa“ — odpowiedziała młoda kobieta, trochę się zaczerwieniwszy — osobliwsza rodzina, mój drogi. Mąż — prawdziwy niedźwiedź, lubi siędzieć w domu, a kiedy poprawia drzewo na kominku lub gra w karty ze swoimi starymi znajomymi, żona tymczasem włóczy się po teatrach, ba-

lach i wieczorach. Można ją wszędzie spotkać. dziwię się jednak, że ty jej nie znasz?

— Dzieci zapewne nie mają?

— Jedną mają córkę, śliczną dziewczynę, i to jest jedyny kłopot dla pani Bressoles. Matka wobec dorastającej córki musi wydawać się starszą. Córka zapewne skończyła już lat siedmnaście i jestem pewna, że moja pani nienawidzi jej potężnie.

— Ale przecież bywa w towarzystwach z córką?

— Wtenczas, kiedy byłam u nich, dziewczyna była na pensji, a jeżeli była kiedy w domu — ojciec nie pozwalał żonie zabierać jej ze sobą, bo przecie pani Bressoles nie krępuje się wcale i wszędzie się włóczy. Bardzobym się dziwiła, gdyby jej tu nie było.

— Tu. Na maskaradzie? — zawołał Maurycy.

— Tak. Za moich czasów nie opuszczała ani jednej i pewna jestem, że i dzisiaj tu jest.

Gdybym się nie bała, że hrabia przyjedzie i rozgniewa się, gdy mnie nie zastanie w swej loży, przeszlibyśmy się razem po sali i pokazałabym ci ją.

— Ale musiałabyś wprzód wiedzieć, jak jest ubrana.

— Nie, ona się zawsze jednakowo ubiera. Bierze na siebie maskę i domino, bo taki zwyczaj, ale tak to robi, że jej przyjaciele i wielbiciele mogą ją poznać od pierwszego spojrzenia. Zawsze ma kostjum jednaki: niebieskie domino atłasowe, trzy wstążki z boku i białą atłasową maskę z niebieską koronką.

Maurycy niezmiernie pragnął poznać panią Bressoles i kiedy słuchał Oktawji, zaczął mu się w głowie snuć plan.

— Pamiętaj więc, domino niebieskie, wstążki żółte, biała maska atłasowa z koronką niebieską. Omylić się niepodobna.

— Poszukaj pięknej Walentyny Bressoles i wymień jej Orsivala, hrabiego de Lussan, grubego Natier, małego Brichet, Pawła Avrila, Jerzego Guerin. Zobaczysz, jak ją tem zaintrygujesz. Będziesz pamiętał te nazwiska?

Maurycy wyjął z kieszeni notes i pod dyktandem Oktawji napisał sobie nazwiska wielbicieli Walentyny Bressoles. Następnie Oktawja i Maurycy rozeszli się.

Młodzieniec poszedł do garderoby i wziął domino koloru perłowego.

Napotkał nieznajomą z czerwonemi wstęgami i w masce z czerwoną koronką, w towarzystwie dwóch „doktorów molierowskich" i poczuł jej wzrok na sobie.

— Ta kobieta zna mnie — rzekł do siebie. — Któż to może być? Nie wiem.

Poszedł dalej.

W tejże chwili Jodelet, przebrany za pajaca, przystąpił do maski z czerwoną koronką. Aime Joubert, jak czytelnicy już wiedzą.

— Nic nowego? — zapytała.

— Nic — odpowiedział Jodelet — co pani każe?

— Nic. Do pana już należy reszta nocy. Niech pan powie Martelowi, że i on jest już także wolny.

— Kiedy mamy się z panią widzieć?

— Jutro.

— Gdzie?

— U naczelnika policji śledczej. W gabinecie.

— O której?

— O dziesiątej.

Jodelet skłonił się i oddalił.

— A czy i na maskaradzie ma pani nadzieję znaleźć jego ślad? — zapytał hrabia Iwan.

— Przyszłam tu na wszelki wypadek, ale bez nadziei.

Hrabia Iwan, który się dał widzieć na sali, podążył za wicehrabia Guyem d' Arfeuille, który rozmawiał właśnie na schodach z kilku przyjaciółmi.

— Pójdę do Oktawji! — rzekł doń hrabia półgłosem. — Zjesz z nami kolację?

— Nie, dzisiaj tu nie zostanę — odpowiedział d'Arfeuille.

— Więc do jutra?

— Do jutra!

Rozstali się i hrabia udał się do Oktawji.

— A! jesteś nareszcie! — zawołała z miną radosną młoda kobieta, zobaczywszy hrabiego. — Tak się spóźniłeś, mój drogi Juanie, czas mi się wydawał tak długim.

— Widocznie musisz się nudzić? — zapytał hrabia.

— Nie może mi być wesoło, gdy ciebie niema. A przytem nie lubię tych hucznych zabaw.

— Czy pragniesz do domu powrócić?

— Chcę, czego ty chcesz. Jedźmy.

Oktawja wstało, pożegnała się z przyjaciółkami, które przywiozła ze sobą, wzięła hrabiego pod ramię, wyszła z nim z loży i oboje skierowali się ku schodom.

W pięć minut Maurycy wrócił do swych wspólników.

Maurycy stanął z nimi we framudze okna.

— I cóż? — zapytał go Verdier.

— Mówiłem z Oktawją.

— I dowiedziałeś się od niej czegoś.

— Bardzo niewiele.

— Otrzymałem dokładne wiadomości o rodzinie Bressolesów i spodziewam się, że teraz bardzo łatwo będę mógł ich odnaleźć.

— W jaki sposób?

— Pozwól, że na to nie odpowiem zaraz. Prawdopodobnie napotkam tu panią Bressoles, poznam ją po niektórych szczegółach kostjumu i zawrę z nią znajomość.

— Kto cię przedstawi?

— Nikt. Zdaje się, że z tą panią znajomość łatwa. Przytem maskarada ma swoje przywileje.

— Czy nie dlatego zmieniłeś kostjum, ażeby rozmawiać z panią Bressoles?

— Nie.

— Więc dlaczego?

— Dlatego, ażeby zmylić kobietę w czarnem dominie z czerwoną wstęgą i w masce z czerwoną koronką, ja jej nie znam, a ona mnie zna.

— Czarne domino w masce z czerwoną koronką — powtórzył Lartigues. — To musi być ta kobieta, która nas ściga błyszczącemi oczyma....

— Pewny jesteś, że cię poznała? — spytał Lartigues.

— Jak najzupełniej. Powiedziała moje imię, a wcale mi nieprzyjemnie, że ktoś mnie szpieguje.

— Pojmuję to tem bardziej, że nieznajoma owa wydaje mi się podejrzaną! Patrzy ona na nas jakoś bardzo dziwnie.

— Zapewne widziała was ze mną i to obudziło jej ciekawość Chciałbym z nią pomówić, — wypytać.

— Któż ci przeszkadza to uczynić?

— Pozna mnie po głosie, a przytem muszę zająć się panią Bressoles. Ale dlaczego który z was nie ma za mnie tego uczynić.

Roześmiał się Verdier

— Bierzesz to na siebie? — zapytał Lartigues.

— I owszem — odparł tenże — chętnie poromansuję.

— Bardzo dobrze — rzekł Maurycy — lecz bądźże zręcznym. Zmień swe wstążki różnokolorowe i staraj się dowiedzieć, co to jest za domino. Ja zaś opuszczę was i rozpocznę swoje poszukiwania.

— Gdzie i kiedy mamy się zejść?

— Jutro przy ulicy Suresnes, bo nie wiem, czy będę mógł się z wami widzieć jeszcze tej nocy.

— Więc do jutra.

Maurycy znikł w tłumie, Lartigues i Verdier przypięli do ramion zamiast różnokolorowych wstążek, jednokolorowe, w które

się poprzednio zapatrywali roztropnie. Potem Lartigues zaczął szukać tajemniczego domina.

— Jeśli się spotkam z tą kobietą, pójdę zaraz do domu, bo mi się spać chce ogromnie — rzekł Verdier, rozstając się z Lartiguesem.

— Dobrze, zobaczymy się jutro na ulicy Suresnes.

Maurycy wrócił do swej loży, skąd mógł się rozglądać na wszystkie strony, szukając domina niebieskiego z żółtemi wstążkami i w białej masce z niebieską koronką.

Nagle wykrzyknął radośnie. Po drugiej stronie sali, w korytarzu, prowadzącym do amfiteatru, zauważył kostjum, opisany przez Oktawję, kostjum tak charakterystyczny, że się niepodobna było omylić.

Czemprędzej wybiegł z loży, przecisnął się przez tłum i przystąpił do Walentyny Bressoles — ona to rzeczywiście była w niebieskiem dominie. Stała w środku gromadki młodych ludzi. trochę już podchmielonych, którzy traktowali ją nieco za swobodnie.

— Ja jestem jej towarzyszem, moi panowie — odezwał się Maurycy, odtrącając jednego z napastników, który stał najbliżej przy niebieskiem dominie. — Radzę iść spać!

— Chodźmy — dodał, zwracając się do Walentyny.

Walentynie Bressoles serce biło silnie, przycisnęła się do Maurycego i szepnęła:

— O! jakem się przestraszyła!

— Czego?

— Bałam się, ażeby ci łotrzy nie pokłócili się z panem.

— Widziała pani przecie, że gotów byłem rozprawić się z nimi wszystkimi.

— I to dla kobiety, której pan nie zna.

— Albo trzeba koniecznie znać kobietę, ażeby jej bronić? To obowiązek każdego przyzwoitego człowieka.

I nachyliwszy się ku Walentynie, Maurycy, ściskając jej rękę, dodał:

— A skąd pani wie, że jej nie znam?

Syn Aime Joubert miał głos słodki, harmonijny, tkliwy, kiedy tego chciał.

W uszach wrażliwej Walentyny Bressoles wydał się on cudną melodją.

— Pan mnie zna? — spytała, podnosząc nań duże oczy, rzucając płomieniste błyskawice przez otwory maski.

— I bardzo dobrze — odpowiedział młodzieniec.

— Żartujesz pan.

— Przysięgam, że nie żartuję!

— No, to powiedz mi się jak się nazywam.

Rozmawiając w ten sposób, Walentyna wciąż prowadzona pod rękę przez Maurycego, blisko już była jego loży.

Młodzieniec zatrzymał się, otworzył drzwi, i mówił dalej, wskazując na gabinet:

— Niech pani raczy tu wejść, zaraz pani powiem.

Była to niespodzianka dla Walentyny, awanturka maskaradowa, jakie lubiła.

Drżąc zlekka, usiadła na kanapie w gabinecie.

Maurycy usiadł obok niej i ująwszy jej rękę, przycisnął do ust.

— Panie! — krzyknęła Walentyna obrażonym tonem, ale nie cofając ręki. — Co pan czynisz?

— Czym panu pozwoliła?

— Nie, ale i nie zabroniła pani.

— No, to zabraniam panu. Przestań pan i pomówmy.

— Bardzo tego pragnę, byleby rozmowa zaczęła się od słów „kocham cię pani".

— Pan mnie kochasz?

— Namiętnie.

Zaśmiała się Walentyna Bressoles.

— W ciągu pięciu minut rozkochałeś się pan i to wcale mnie nie znając?

— Znam panią blisko już od roku.

— No, jeżeli tak — szepnęła Walentyna — jeżeli jestem panu znaną, to pan wie...

— Że pani mężatką? — przerwał Maurycy.

— Naturalnie, że wiem, ale co mnie obchodzi mąż, który nigdy nie umiał pani zrozumieć, który pani nie kocha, a pani kochać go nie może. Co mnie obchodzi Ludwik Bressoles.

Alboż to dla takiego człowieka stworzoną pani jesteś, który jest sobie poprostu tylko egoistą ociężałym?

Czy taki cudny motylek, jak pani, może przy nim żyć? Niechaj nigdy o nim nie będzie mowy, gdy z panią będę. Zapomnijmy o nim i myślmy tylko o sobie. Ja panią kocham, Walentyno, i zawsze kochać panią będę. A mnie czy pani kocha? Czy będzie mnie pani kochała?

— Czy pana kocham? — zawołała Walentyna Bressoles, niemało, jak łatwo zrozumieć, zmieszana. — Ależ ja pana nie znam. Pragnę wierzyć, że jesteś pan prawdziwym przyjacielem — ale być też może, że chce pan tylko zażartować sobie ze mnie, wyśmiać mą łatwowierność i naszą przygodę wziąć za przedmiot do skandalicznej anegdotki.

— O! — zawołał Maurycy. — Pani tak nie myśli. Czyż głos mój nie ma w sobie szczerości, miłości?

— Głos pański wzrusza mnie, lecz przeciw temu wzruszeniu walczę. Są kłamliwe głosy. Powtarzam raz jeszcze, że pana nie znam. Kto pan jesteś? Jeżeli mnie pan już cały rok kocha, jeżeli cały rok chodzi pan za mną, nie może być ażebym pana nie widzia-

la, ażebym pana nie zauważyła choćby w lasku, na wyścigach, albo w teatrze.

Walentyna mówiła dalej:

Pokaż mi się pan z twarzy, która zapewne znaną mi jest, ona mi powie, czy mam panu wierzyć, a oczy pańskie powiedzą, czy mam zawierzyć miłości, o której mówią pańskie usta.

— A pani także zdejmie maskę? — spytał Maurycy tonem namiętnym. — Pozwoli mi pani zachwycać się temi rysami, które tak uwielbiam?

— Dobrze! — szepnęła Walentyna.

Maurycy zdjął maskę.

Wiemy, że był bardzo przystojny. Walentyna poczuła, że serce jej mocniej, niż kiedykolwiek bić zaczęło.

Oczy jej utonęły w płonących źrenicach młodzieńca.

Uśmiech przemknął po ustach Maurycego. Pomyślał sobie:

— Grać komedję miłości bardzo przyjemnie ale nie zawadziłoby jednak widzieć twarzy tej, która jest przedmiotem mych zapałów.

I wyciągnął rękę ku masce — ażeby ją Walentynie zdjąć. Pani Bressoles nie dozwoliła tego jednak i sama zdjęła białą atłasową półmaskę.

Maurycy drgnął, zdumiony pięknością, której kusicielskiego wdzięku wcale nie przypuszczał.

W tej chwili dwa razy zapukano do drzwi loży. Walentyna zerwała się z kanapki i odskoczyła od Maurycego.

XXVII.

Gdy w loży Maurycego odgrywała się powyżej opisana scena, inny znów epizod odgrywał się w innej stronie sali.

Piotr Lartigues przystąpił do czarnego domina w masce z czerwoną koronką, które okrągłem okienkiem wyglądało na salę.

Verdier znajdował się właśnie przy nawpół otwartej loży, gdzie się zebrały jakieś maski i kłóciły się zawzięcie.

Udawał — że całą uwagę zwraca na tę sprzeczkę, lecz starał się nie spuszczać z oczu ani domina, ani Lartiguesa.

Ten poszedł do nieznajomej i bardzo poufale objął ją wpół.

Zaczepiona obróciła się w mgnieniu oka i zmierzywszy pogardliwym wzrokiem zbyt zuchwałego galanta, zawołała:

— Co znaczy to zuchwalstwo? Idź pan sobie, widocznie za kogo innego mnie pan bierze.

Odpowiedź ta wcale nie ośmieliła Lartiguesa.

— E! piękna pani — odrzekł, nie dbając o zmianę głosu. —

Czego się tak bać zaraz bez żadnego powodu? Na maskaradzie wiele rzeczy uchodzi i zbyt okrutna skromność wcale tu nie na miejscu. Pani jesteś sama i ja sam. Możemy być dla siebie towarzystwem. Zgoda?

Aime Joubert chciała czemprędzej odejść, nie chcąc słuchać zuchwalca, ale głos jego głos przykuł ją na miejscu.

Dreszcz przebiegł po jej ciele, serce zabiło z siłą straszną. Krople potu wystąpiły na czoło.

Tego wrażenia Lartigues nie zauważył, ale nie uszło ono uwagi Verdiera.

Aime Joubert milczała. Gdyby w tej chwili maskę z niej zdjęto — twarz jej wydawałaby się straszną.

Nie słuchała, co mówił Lartigues, nie słyszała jego słów.

Ją uderzył tylko dźwięk tego głosu, co rozlegał się w jej uszach, jak dzwon pogrzebowy.

Zęby szczękały jej z przerażenia. Mówiła sobie w myśli:

— Przecież nie śpię... przecież nie zwarjowałam... to mówi on.... to on!... Lartigues! Niepodobna, ażeby kto inny miał taki głos, jak on!

Wspólnik Verdiera mówił dalej:

— Dlaczego piękne domino milczy? Pewny jestem, że jesteś pani cudną. Bądźże grzeczną i odpowiadaj mi... Chodzi tu o sto luidorów! Założyłem się, że pani jesteś kobietą uczciwą, żeś mężatka i żeś przyjechała tu po to jedynie, ażeby męża złapać na gorącym uczynku, nieprawdaż? Wygrałem, czy przegrałem?

W ciężkiem była agentka położeniu.

Jak najzupełniejszą miała pewność, że przed nią stoi Lartigues, śmiertelny wróg, którego od tak dawna szukała, którego znaleźć pragnęła za jakąbądź cenę.

Tuż przy niej był i nie mogła nic z nim uczynić, bo dobrowolnie rozstała się z pomocnikami swymi, Jodeletem, Martelem, Sylwanem Cornu i Galoubetem.

Drżąc z przerażenia, wzięła pod rękę człowieka, w którym poznała Lartiguesa.

— Przekonam się, czy się nie mylę — pomyślała. — Nędznik, który mię zgubił, miał bliznę na wielkim palcu u lewej ręki.

I zmienionym zupełnie głosem wyszeptała:

— A! pan się założyłeś, że jestem mężatką i że przyjechałam tu jedynie z zazdrości?

— Tak, i cóż, wygrałem?

— Być może.

To nie odpowiedź!

— A co mówił pański przeciwnik?

— Że pani szuka przygód. Cóż, przegrał?

Zamiast odpowiedzi, Aime Joubert spytała:

— Zakład o sto luidorów?

— Tak!

— I chcesz pan sto luidorów wygrać!

— Chcę wygrać głównie dla satysfakcji, bo jestem bogaty i jeżeli dzięki pani wygram, zamierzam prosić panią, ażeby mi wolno było podzielić wygraną pomiędzy nami.

Piotr Lartigues tak mówi, Joubert powtarzała sobie w myśli

— To on! To niezawodnie on! Niepodobna, ażeby dwóch ludzi miało jednakowy głos, a jego głos nie zmienił się po latach dwudziestu trzech.

Lartigues pytał dalej:

— I cóż zgoda? Wygrałem, podzielimy się

XXVIII.

Wszystko zawisłem było od Aime Joubert od przedłużenia rozmowy.

Kto wie, czy który agent nie przyjdzie jej niespodziewanie na pomoc, jeśli skorzysta na czasie? W tym celu zapytał:

— No, przypuśćmy, żeś pan wygrał, ale kto tego dowiedzie?

— Pani zapewne nie — odpowiedział Lartigues.

Agentka potrząsnęła głową.

— Moje zapewnienie niczego jeszcze nie dowiedzie. Pański przyjaciel ma prawo nie wierzyć memu słowu i zażądać innych dowodów.

— No, to zdejm pani maskę, weźmiemy za pośrednika pierwszego, kto się pani ukłoni.

Aime Joubert wzruszyła ramionami.

— Szalona propozycja! — rzekła.

— Czyż pan rzeczywiście przypuszczasz, że przyjechawszy tutaj śledzić mego męża, zgodzę się na zdjęcie maski przed pierwszym lepszym; zresztą zakład pański jest tylko pozorem, który mnie jednak nie wyprowadzi w pole.

— Pani mnie podejrzewa? — spytał Lartigues zdumiony wielce

— Że mnie pan namawia po to zdjąć maskę, ażeby się dowiedzieć, czy młoda jestem i przystojna.

—Pewny jestem, że naprzód odgaduje.

— Co za dowód?

— Serce moje bije przy pani silniej, a tegobym nie doznał, gdybyś pani było brzydką; takie wrażenia nigdy mnie jeszcze w życiu nie zawiodły.

Agentka wybuchła śmiechem...

— Doprawdy! — zawołała. — Szczególny pan jesteś w swoich latach, unosisz się, jakby jaki młody człowiek!

— A skąd pani wie, że nie jestem młody? — żywo zapytał Lartigues? Czy pani mnie poznaje po głosie, po mych włosach?

— Nie, tylko widzi pan, ja wiem, że pan przystojny.

— Czy pani nie jasnowidząca? a może kabalarka, wróżka?

— Po trochu, a nawet więcej jeszcze, gdyż przy swym podwójnym wzroku, o którym mówiłam, rozróżniam rysy pańskie pod maską i postać pańską pod zasłaniającem ją dominem. Gdybym się postarała, łatwoby mi poszło rozmówić się z panem o pańskiej przeszłości i przyszłości.

— To niemożliwe.

— Zaraz panu dam dowód. Proszę o rękę.

— Którą? — spytał Lartigues ze śmiechem.

— O lewą. Niech pan zdejmie rękawiczkę.

Wspólnik Verdiera zciągnął rękawiczkę i wyciągnął do zamaskowanej kobiety rękę białą, wydelikatnioną, której jednak krótkie i grube palce znamionowały złe popędy.

Aime Joubert schwyciła za tę rękę i nie mogła się powstrzymać od lekkiego dreszczu.

— Blizna jest tu — pomyślała — to on... mam go... ujść mi nie powinien.

I cóż pani mówi ma ręka? — zapytał.

Bardzo wiele.

— Chętniebym się choć czegoś dowiedział.

Ma pan lat przeszło pięćdziesiąt, włosy siwawe i kędzierzawe, wełeś pan podróżował i jesteś badzo namiętny.

— I cóż więcej? — zapytał Lartigues zaciekawiony i zdumiony.

— Więcej nie mogę panu powiedzieć, przynajmniej tutaj.

— A gdzie pani powie?

W takiem miejscu, gdzie będziemy sami, gdzie nikt nas nie może usłyszeć.

— Pokój oddzielny będzie dla nas dogodny, jeżeli pani przyjmie kolację, na którą panią zapraszam.

— Czemu się pani waha? — mówił dalej Lartigues. — Niema się pani czego mnie bać, jestem człowiekiem porządnym i pani ma wzrok podwójny, zaczynam w niego wierzyć — powinien panią o tem upewnić.

– Dobrze, zgadzam się.

— Chodźmy.

— Niema się czego spieszyć, niech mi pan poda ramię, przejdziemy się kilka razy po sali i później dopiero wejdziemy.

— Służę pani...

Aime Joubert, zadrżawszy, wzięła Lartiguesa pod rękę i razem z nim odeszła.

Agentka miała jeszcze nadzieję, że spotka którego agenta policji śledczej, że da mu znak, dlań zrozumiały, dla zbioru z dziesięciu agentów gotowych pospieszyć jej z pomocą.

Ze swego obserwacyjnego stanowiska Verdier wszystko widział Kobieta w czarnem dominie dziwną mu się wydała.

To, co się stało, było niezwykle w jego oczach podejrzanem. Dlaczego Lartigues zdjął rękawiczkę i pokazał rękę? Dlaczego nieznajoma zadrżała, spojrzawszy na tę rękę? Wszystko to było jakoś nienaturalne. Verdier śledził wzrokiem tę parę i chciał za nią iść, kiedy kilka słów, powiedzianych przy nim przez dwóch ludzi w kostjumie doktorów molierowskich, zwróciło jego uwagę.

— O! o! — mówił z nich jeden, którym był Galoubet. — Nasza naczelnikowa złapała jakiegoś wielbiciela i zdaje się, że dlatego nas zwolniła. To osobliwa kobieta!

— Oni znają tę kobietę — pomyślał Verdier, nastawiając uszu. Koledze odpowiedział Sylwan Cornu.

— Nie miała po co sprowadzać nas do opery. Chce tutaj złapać majsterka z cmentarza Pere Lachaise.

— Wolałbym iść pod czarną kulę! Tam weselej.

— Proszę, wybredniś!... A ja jestem kontent, że mogę już bywać wszędzie. Chciałbym do końca życia służyć przy naczelnikowej. Przy niej człowiek może się napatrzeć różnych rzeczy.

— Każdy ma swój gust. Ja wolę „Czarną Kulę".

Verdier nie słuchał już dłużej molierowskich doktorów.

Z pierwszych ich słów zrozumiał, że są to policjanci pod dowództwem kobiety, którą Lartigues w tej chwili prowadził pod rękę.

Więc mniemanemu kapitanowi Van Broke groziło nieuniknione niebezpieczeństwo.

Ani sekundy nie tracąc, Verdier rzucił się w ślad za tą parą, ażeby uwolnić Lartiguesa z rąk niebezpiecznej towarzyszki.

Lecz para ta znikła. Verdier szybko zbiegł ze schodów na korytarz pierwszego piętra, zapchany tłumem.

Przechodząc obok Maurycego loży, dwukrotnie zapukał do drzwi.

— To właśnie stuknięcie przerwało upojenie — pod wpływem którego znajdowała się Walentyna Bressoles i młody człowiek.

Maurycy rzucił się do drzwi, lecz poznawszy tego, kto pukał, zapytał nieco wzruszonym głosem: — Co?

Verdier nachylił się do niego i szepnął mu kilka słów.

Syn Aime Joubert bardzo zbladł i zadrżał.

Zwrócił się do Walentyny i rzekł do niej:

— Przepraszam panią, muszę na chwilę odejść, ale zaraz wrócę

Wyszedł, zamknął drzwi za sobą i pociągnął Verdiera za rękę, szepcąc:

Na wymienienie tych osób, trzy osoby drgnęły
Marja z radości.
Maurycy ze zdziwienia, połączonego ze strachem.
Walentyna z przerażenia.
Radości Marji nie potrzebujemy objaśniać. Syn Aime Joubert nadrżał na widok sędziego śledczego, który prowadził sprawę podwójnej zbrodni na cmentarzu Pere Lachaise i na ulicy Montorgueil.
Człowiek ten trzymał w ręku los mordercy, a mordercą tym był Maurycy.
Przyczynę przerażenia Walentyny podamy w następnym rozdziale.

XXXII.

Gdy Walentyna Bressoles usłyszała niespodziewanie imię Pawła de Gibray, przypomniała sobie odległą przeszłość, jak tego człowieka kochała, jak go porzuciła, jak od dwudziestu lat straciła go z oczu i jak nieraz wspomnienie o nim wywoływało u niej myśli o dziecku, które jej porwał Armand Dharville.
Przerażenie ogarnęło ją na myśl, że mąż przedstawi ją Gibrayowi.
Paweł poznał ją od pierwszego spojrzenia.
Ale to jeszcze nie wszystko. Czy dawny jej kochanek nic mówić nie będzie o przeszłości? — Czy nie zechce się dowiedzieć, co się stało z dzieckiem?
Pod każdym względem okoliczności były niebezpieczne, straszne.
Walentyna postanowiła jednak zachować zimną krew i nie poddawać się burzy, jakaby mogła wybuchnąć.
Sędziemu śledczemu dość było zamienić kilka słów z Ludwikiem Bressoles, ażeby powziąć o nim opinję.
Dodajemy skwapliwie, że opinja ta wypadła pomyślnie.
— Poczciwy człeczyna — pomyślał — dobry musi być z niego ojciec. A co do Marji, nie mylił się Albert, nazywając ją uroczą.
Dawny budowniczy i nowi jego goście znajdowali się już tylko o cztery kroki od pani domu.
Nagle głowę schyloną podniósłszy do góry, Walentyna odważnie poszła na ich spotkanie, — gotowa stawić czoło katastrofie, którą przewidywała.

— A jeśli mnie jednak zapomniał — pomyślała — jeśli mnie nie pozna!

Sędzia śledczy, widząc, że podchodzi do nich jakaś dama, domyślał się, że to zapewne pani Bressoles i ukłonił się jej, nie zdążywszy jeszcze spojrzeć.

Ludwik przedstawił Pawła de Gibray i Gabrjela, dodając:

— Pan Servet, którego imię i talent ci są znane, maluje teraz właśnie portret Marji dla nas — a będzie to utwór znakomity.

— Bardzo wdzięczna jestem panom — odpowiedziała Walentyna.

— A ja, mamo, — odezwała się Marja — przedstawię ci ucznia pana Serveta, pana Alberta de Gibray, który bardzo pragnął cię poznać.

— Pochlebia mi wielce życzenie pańskie — odpowiedziała Walentyna z uśmiechem.

Młodzieniec się skłonił.

Matka Marji wydała mu się bardzo piękną, ale nie nazbyt sympatyczną.

Walentyna Bressoles prawie się uspokoiła. Gibray pozostał obojętny. Nie drgnął na dźwięk jej głosu.

Może zapomniał już jak wyglądała. Jednakże spojrzał na panią Bressoles w chwili, gdy oczy na niego skierowała. Spotkały się ich spojrzenia. Gibray zmienił się nagle na twarzy, zbladł bardzo i rękę podniósł do czoła, na które wystąpiły duże krople potu.

Spostrzegłszy bladość i wzruszenie Pawła, Walentyna na chwilę odrętwiała, ale znów odzyskała zimną krew....

Trzeba było zapobiec, aby Bressoles nie zauważył tego wzruszenia i nie wytłómaczył go sobie w swój sposób.

— Zdaje się, że panu niedobrze? — odezwała się do sędziego śledczego tonem najwyższego współczucia. — Może pan potrzebuje odetchnąć świeżem powietrzem.

— Dziękuję pani — odpowiedział Paweł nie dość pewnym głosem — to nic, maleńkie znużenie, a może i gorąco, ale to już przeszło....

— Naprawdę? — spytał troskliwie Albert

— Tak, tak...

— Tak zbladłeś nagle, żem się przestraszy...

— Uspokój się, mój drogi, już mi zupełnie d...

XXXIII

Wtem orkiestra zagrała preludjum do kontredansa.

Walentyna zostawszy sama z dawnym kochankiem, nie traciła przytomności, lecz powtarzamy, odzyskała zimną krew wszystką.

— Panie de Gibray — odezwała się z uśmiechem. — Czy raczy mi pan podać rękę? Przejdziemy się razem po salonach. — Potem dodała: Trzeba nam z sobą o wielu rzeczach pomówić.

Sędzia śledczy utkwił w niej spojrzenie, wyrażające zdumienie tylko, dochodzące do wysokiego stopnia.

— Tak pani sądzi?

— Bardzo sobie życzę.... i życzę sobie także, ażeby nas nikt nie słyszał. Chodźmy.

Paweł de Gibray pozwolił się poprowadzić i teraz.

Wiemy już, że Maurycy szpiegował wszelkie ruchy sędziego śledczego i Walentyny.,

Wymknął się do małej cieplarni, łączącej się z salonikiem.

Znienacka nie mogli go tutaj zobaczyć, bo z tyłu drzwi zabezpieczały mu odwrót.

Ledwie się schował tutaj, drzwi od małego saloniku otworzyły się i wszedł Paweł de Gibray z Walentyną Bressoles.

— Tutaj będziemy mogli swobodnie pomówić — rzekła żona budowniczego — podglądać nas nikt nie może.

Maurycy przyłożył ucho do dziurki od klucza i nie stracił ani jednego słowa.

Chwilowe milczenie nastąpiło po pierwszych słowach Walentyny.

Potem Paweł de Gibray rzekł głosem poważnym, ale spokojnym:

— Więc się nie omyliłem i to, co mi się wydawało niemożliwem — jest przecież prawdą!

— Nie omylił się pan — odpowiedziała Walentyna. — Poznaliśmy się oboje od pierwszego wejrzenia, chociaż przeszło dwadzieścia lat upłynęło od ostatniego widzenia.

— Ja, Walentyna Dahrville, jestem teraz mężatką i szanowaną matką rodziny.

Widzisz pan teraz nie Walentynę Dharville, słabą i lekkomyślną córkę Ewy, która pana kochała, a przynajmniej myślała, że pana kocha — ale kobietę, która opamiętała się już przez długie rozmyś-

lania i skruchę, ma pan przed sobą żonę i matkę. Wiem, żeś pan zacny i uczciwy człowiek.

W imię uczciwości pańskiej, w imię honoru, zaklinam pana, ażebyś ani słowa nie wymówił o występnej przeszłości, błagam, ażebyś pan sam nawet zapomniał, jak ja zapomniałam, żeśmy się znali kiedyś. Czy pan mi to przyrzeka.

— Nie — odpowiedział Paweł de Gibray suchym tonem. Później może się zobowiążę do tego, o co pani prosi, ale wprzód muszę panią wybadać. — Obecnie teraźniejszość dla mnie święta. Przeszłość zostaje przy mnie. Pani Bressoles nie ma się czego mnie lękać, jeśli Walentyna Dharville, moja dawna kochanka, zgodzi się powiedzieć, co uczyniła z naszą córką?

— Dowód! — powtórzyła Walentyna, wlepiwszy oczy w sędziego śledczego niedowierzające i nieśmiałe spojrzenie.

— Tak, dowód, bo z początku śledziłem cię, pani, i dopiero później straciłem cię z oczu zupełnie. Znalazłem kobietę, która cię pielęgnowała i której proponowałaś cynicznie zgładzić ze świata to dziecko, które ci mogło zawadzać.

Walentyna Bressoles nie myślała już wcale się zapierać.

— O, więc o tem pan wie! — rzekła. — Jeśli tak, to musi pan także wiedzieć, że w trzy dni po przyjściu na świat mej córki ktoś mi ją wykradł.

Rzeczywiście mówiono mi, że porwał ją brat pani i wywiózł do Francji. A pani nawet nie postarałaś się dowiedzieć, gdzie się ten brat podział.

— Dwadzieścia lat przeszło i żadnego wspomnienia o zniknem dziecku! Żadnego wyrzutu sumienia.

— Daj mi pani dowód, że córka moja rzeczywiście została wywieziona, inaczej oskarżę panią, żeś ją zgładziła rozmyślnie, ażeby ci nie zawadzała.

— Żem ją zgładziła? — powtórzyła Walentyna. — Spróbuj mnie pan oskarżyć. Ale dajmy temu spokój. Na co się to panu przyda? Po pierwsze, oskarżenie będzie fałszywe, powtóre przedawnione.

— Odszukam pani brata i potrafię zmusić go do wyznania prawdy. Teraz oznajmiam pani, jak się nazywa ten dziwny przypadek, co mnie tutaj sprowadził.... miłość....

— Miłość? — powtórzyła Walentyna ze zdumieniem.

— Tak, miłość mego syna do pani córki.

— Pański syn kocha Marję? — zawołała Walentyna.

— Kocha ją do szaleństwa. Chciał, żebym ją poznał i prosił mnie, ażebym tu przyjechał. — Zobaczyłem ją i pojąłem. Duszę i serce ma z ojca. Ale twoja to pani córka. Łagodna, kochająca, poczciwa, ale twoja to córka! Szlachetna, niewinna, ale twoja to córka, i chociażby Albert umarł z żałości, nigdy nie będzie mężem córki Walentyny Dharville.

— I pan powiesz swemu synowi dlaczego zabraniasz mu kochać Marję! — wyjąkała żona Ludwika. Ależ to skandal... zgnieść mnie pan chcesz brzemieniem przeszłości....

Powiedziałem pani, że będę milczał, aż nadejdzie dzień kary. Znajdę sposób, ażeby nie kompromitować honoru pani. Znajdę inne powody. Teraz już nic nie mamy sobie do powiedzenia. Zachowamy się tak, jak gdybyśmy się dziś widzieli po raz pierwszy! Wróćmy na bal!

Gibray z twarzą obojętną, pod maską bladą, podał ramię Walentynie, która ujęła je z zimną, jak lód, ręką.

Wolnym, rzec można automatycznym krokiem poszła ku drzwiom, otworzyła je i wróciła do tłumu wraz z sędzią śledczym.

— Ten człowiek nieubłagany — pomyślała — zgubi mnie, a przynajmniej będzie się o to starał, jeżeli się nie obronię.

Ledwie dawni kochankowie opuścili mały salonik, Maurycy wyszedł zaraz z cieplarni.

— Szukaj, panie sędzio śledczy, szukaj, jak ci się podoba! — szepnął półgłosem — spodziewam się, że Symonę prędzej, niż ty znajdę! Kiedy ją pan odszukasz, żyć już nie będzie i przekonasz się pan, że nie matka ją zabiła.

ZAKOCHANI.

Po przetańczeniu Marja i Albert, rozmawiając doszli do saloniku, który przed chwilą opuściła Walentyna i Paweł de Gibray.

— Wejdźmy tu — odezwała się Marja, drzwi otwierając — tu niezawodnie nie tak gorąco, jak w salonie.

Albert wszedł za nią i usiadł obok na okrągłej kanapce, nad którą wznosiły się drzewka pomarańczowe kwitnące.

To samo zajęli miejsce, na którem przed kilku minutami siedzieli pani Bressoles i Paweł de Gibray.

Dziwny i niespodziewany kontrast.

Syn i córka zastąpili teraz ojca i matkę.

Naiwna, czysta, pełna wiary miłość zamiast wstrętnych wspomnień i nieprzejednanej nienawiści.

Świetna przyszłość miasto ponurej przeszłości.

W pokoju napełniała atmosferę woń kwiecia.

— Panie Albercie — rzekła Marja, nieco głos zniżywszy — chciałabym panu zadać pewne pytanie.

— Pospieszę na nie z odpowiedzią.

— O tem nie wątpię. A czy będzie szczera?

— Ręczę pani!

— Nawet gdyby pan przypuszczał, że szczerość ta może mnie obrazić?

Albert widocznie się zawahał.

— Trzeba przyrzec — nalegała Marja.

— Dobrze... W każdym razie odpowiem szczerze.

— Bardzo ładnie. Wszyscy wiedzą, że moja matka bardzo ładna, o wiele odemnie piękniejsza. Ale dajmy pokój stronie plastycznej, a powiedz mi pan, jakie wrażenie sprawiła na panu moja matka od pierwszego wejrzenia.... Powiedz pan, a pamiętaj, żeś przyrzekł mi być szczerym.

— Uderzyła mnie sprzeczność jej chłodnych oczu z czarującym uśmiechem. Wprawdzie, kiedy mnie pani jej przedstawiała, słowa jej dla mnie były bardzo grzeczne, ale ton wymuszony czynił je prawie nieżyczliwemi. Wydawało mi się, że pani Bressoles nieprzyjemną jest moją obok pani obecność.

— Skądżeby się wzięła taka antypatja; matka moja nie znała pana.

— Antypatja trudno się daje tłómaczyć! — żywo odpowiedział Albert. — Powstaje ona sama przez się, podobnie jak miłość. Dlaczegom ja, kiedym panią, po raz pierwszy ujrzał w pracowni Gabrjela Servet, uczułem, jak serce me drgnęło. Dlaczego sercem mojem i duszą owładnął taki zachwyt? Gdybyś pani nawet prosiła mnie o wytłomaczenie, nie byłbym w stanie objaśnić...

— A ja mogę — rzekła Marja, spuściwszy oczy — to sympatja — to przyjaźń.

— Nie, Marjo! — zawołał młodzieniec z mimowolnem uniesieniem. — To miłość.... miłość mną owładnęła... pani wie, że ja panią kocham....

— Wiem o tem, bo sama to czułam, co i pan.

— Jakto, Marjo, Marjo moja droga! — rzekł Albert, nie posiadając się z radości — jakto, więc i ty mnie kochasz?

Panna Bressoles spojrzała na młodzieńca i rzekła doń prawie niedosłyszalnym głosem:

— Albercie, oboje jesteśmy bardzo młodzi, oboje znamy mało życie i może daremnie mówimy w ten sposób.

— Marjo, Marjo! dlaczego daremnie? — gorączkowo mówił Albert, przyciągając dziewczę do serca. — Młodzi jesteśmy, to prawda, ale tem lepiej, bo się kochamy. Razem spędzimy długie lata szczęścia, kiedy zostaniesz moją żoną!

Głosem, jak oddech słabym, wyszeptała Marja:

— Twoją żoną! o to marzenie!...

Jednocześnie śliczną główkę złożyła na piersi Alberta. Młodzieniec wycisnął na jej czole gorący a czysty pocałunek.

Marja drgnęła i powtórzyła:

— Twoja żona!

— Jeżeli ojciec mój przyjechał na ten bal — odpowiedział syn sędziego śledczego — to dlatego, ażeby ciebie zobaczyć, ażeby poznać twą matkę, bo się przed nim nie kryłem z moją miłością i wkrótce prosić rodziców o twą rękę.

— O mą rękę prosić?! — powtórzyła Marja tonem, w którym czuć było wzruszenie.

— Tak.

— I panu się wydało, żeś się pan nie spodobał mej matce... cóż więc będzie, jeżeli odmówi swego pozwolenia?

— To naszemu małżeństwu nie przeszkodzi, bo ojciec twój, jestem tego pewien, będzie po mej stronie i uczyni co zechce. To jego prawo i obowiązek.

— O! ojciec mój bardzo dobry, dla mnie tylko żyje, ale matka!.

— Matka pani będzie musiała być posłuszną! — przerwał Albert. — Przecie mnie kochasz, Marjo?!

— Czy cię kocham? O, z całej duszy!

— I przysięgniesz mi, że nie będziesz niczyją, tylko moją żoną?

— Niczyją, prędzejbym umarła — rzekło dziewczę, zbladłszy.

Młodzieniec przycisnął ukochaną do piersi i usta jego po ra drugi dotknęły się jej włosów.

Marja podniosła się z miejsca.

— Trzeba wracać do salonu — wyrzekła.

— Chodźmy, moja droga!

Marja ujęła Alberta pod rękę i młodzi ludzie upojeni miłością, nadziejami, szczęściem, wyszli z saloniku, i połączyli się z tłumem.

Paweł de Gibray i Ludwik Bressoles długo rozmawiali z sobą we framudze okna.

Budowniczy uczuł sympatję do prawnika, jeszcze młodego, którego twarz jednak postarzała od pracy, kłopotów, a może i cierpień.

Sędzia śledczy, po strasznej scenie, przy której byliśmy obecni, bardzo był rad, przekonawszy się w rozmowie z Ludwikiem Bressoles, że nie omyliło go pierwsze wrażenie.

Gibray, rozsądny człowiek i sędzia śledczy od stóp do głowy, posiadał w wysokim stopniu umiejętność badania, które mógł zręcznie prowadzić, nie dając tego poznać.

XXXIV.

Serdecznie też żałował Ludwika Bressoles i Marji, z których pierwszy nie zasługiwał na tak złą żonę, a druga na tak złą matkę.

Po skończeniu rozmowy odszukał oczami Alberta i spostrzegł go idącego pod rękę z córką budowniczego.

Podszedł zaraz z Ludwikiem Bressoles do młodej pary.

Trzeba nam jechać! — rzekł do Alberta.

— Już!? zawołała Marja z naiwnym wdziękiem. — Przecie nie ma jeszcze dwunastej nawet.

— To prawda! — odparł Paweł de Gibray — ale czas u mnie jest bardzo ograniczony. Roboty co niemiara, jeżeli więc nie odpocząłbym kilka godzin, jutro sił do niej nie miałbym.

— To jedźmy! — rzekł skwapliwie Albert.

— Nie śmiem panów zatrzymywać — odezwał się budowniczy. — Wiem, że się do obowiązków zupełnie stosować należy. Ale niech że przynajmniej panowie raczą nam przyobiecać, że będziemy mieli przyjemność widzieć panów u siebie innym razem.

— Nie mogę dać słowa! — odpowiedział sędzia śledczy z pewnem zakłopotaniem.

— Dlaczego?

— Musiałem opuścić rozmaite zajęcia, ażeby dziś przyjechać do państwa. Nie wiem otóż, czy będę wolny.

— Ale dla pana Alberta nie istnieją przecież takie nieprzezwyciężone przeszkody, ażeby nas nie mógł odwiedzać — szepnęło dziewczę, spuszczając oczy, a szkarłatny rumieniec zabarwił jej twarzyczkę.

Sędzia śledczy drgnął.

— Dla przyczyn nam znanych uważał małżeństwo Alberta z Marją za niemożebne.

Odpowiedział więc tylko:

— Mój syn jest wolny!

Krótkie te słowa, wypowiedziane suchym tonem, ugodziły biedną Marję w serce i sprawiły na niej bolesne wrażenie.

Albert, oddając się marzeniom o szczęściu, nie dojrzał w słowach tych żadnej myśli wstecznej, którąby w nim obudzić mogła niepokój.

Ująwszy ręce Marji, uścisnął je serdecznie.

Chętnie podniósłby je do ust — ale nie śmiał.

— Wytłómacz nas pan z łaski swojej przed panią Bressoles — mówił dalej sędzia śledczy, — nie śmiem ani na chwilę odrywać jej od obowiązków pani domu.

— O, jest i mama! — rzekła Marja, zauważywszy matkę.

Podbiegła do niej, wzięła ją za rękę i przyprowadziła ją do ojca i panów de Gibray:

— Pan de Gibray nas opuszcza.

— Cieszy mnie, że pana widzę jeszcze przed pańskim odjazdem i spodziewam się, że przecie zajrzy pan do nas — rzekła Walentyna swobodnie.

Paweł de Gibray w milczeniu się skłonił i wziąwszy Alberta za rękę, skierował się ku wyjściu.

Marja ścigała ich wzrokiem, a oczy jej zapełniły się łzami.

— Tak mi się zdaje, że szczęście moje oddala się i już nie powróci! — myślała.

Od tej chwili cały bal wydawał się jej nudnym.

Około godziny drugiej goście zaczęli się rozjeżdżać.

Maurycy przyszedł się pożegnać z Walentyną.

— Kiedy się z panią zobaczę? — zapytał z cicha, po ceremonjalnym ukłonie.

— Czekaj pan! — odpowiedziała również z cicha.

I skinąwszy nań, przystąpiła do Bressola, którego tonem jał najbardziej uprzejmym spytała:

— Czy masz, mój drogi, jakie projekty na jutro?

— Dotąd żadnych! — odpowiedział budowniczy.

— To nic ci nie przeszkadza zgodzić się na propozycję pana Maurycego Vasseur, który pragnie pojechać z nami jutro do lasku Vincennes na ślizgawkę...

— I owszem, jeśli tobie i Marji sprawi to przyjemność.

Maurycy uścisnął rękę Bressolowi, skłonił się Walentynie, potem Marji i odszedł; salony były już prawie puste.

XXXVIII.

Ulicą Rivoli jechała pusta kareta.

— Na ulicę Surennes! — rzekł Maurycy i wskoczył do karetki.

W kwadrans karetka przyjechała na wskazane miejsce.

Maurycy wysiadł pieszo poszedł do pałacyku kapitana Van-Broka i zadzwonił do furtki.

Klucz zgrzytnął, furtka otworzyła się od ulicy i Maurycy zobaczył mniemanego kapitana.

Ten zapytał go głosem dość cichym i przelękniony:

— Cóż cię tak ważnego sprowadza o tej późnej godzinie, czy co źle idzie?

— Przeciwnie.

Lartigues zaprowadził gościa do mieszkania gdzie niemowa Dominik, zupełnie ubrany, czekał na rozkazy swego pana, który go obudził, usłyszawszy dzwonek.

— Powiedz mi czemprędzej, w jakim celu tu przyszedłeś? — zapytał zaciekawiony kapitan.

— Nic wam teraz nie powiem — odrzekł Maurycy — tylko włóżcie czemprędzej na siebie ubranie, jakiego dajmy na to kamieniarza, tak, żebyście się zmienili do niepoznania.

— Mamy gdzie iść?

— Tak.

— Przecież teraz noc!

— Właśnie dlatego! Dajcie i mnie podobne ubranie. Jak widzicie, jestem jeszcze w stroju balowym.

Lartigues otworzył wielką szafę, w której wisiały rozmaite ubrania i wyjął odzież, stosowną dla wyrobników.

W kilka minut łotrzy byli już przebrani zupełnie.

— Brak nam jeszcze jednej rzeczy — odezwał się Maurycy.

— Czego?

— Widziałem niedawno skrzynkę z narzędziami, których Dominik używa do rozmaitych potrzeb. Gdzież ta się znajduje?

Lartigues wyszedł z pokoju i wrócił niebawem ze skrzynką, podobnej do stolarskiej.

Były w niej różnego rodzaju narzędzia.

— To najpotrzebniejsze — rzekł Maurycy, wyjmując niewielką piłę, jaką ogrodnicy odejmują uschłe gałęzie na drzewach owocowych.

— Ale to jeszcze nie wszystko — rzekł — potrzeba mi i świdra.

Lartigues wyjął świder z pudełka.

— Nic już więcej? — zapytał.

— Zdałaby się bardzo oliwa. Czy macie?

— I oliwa jest — odparł Lartigues i znów wyszedł z pokoju, przyniósł następnie butelkę z oliwą prowancką.

— To już dość! — odezwał się młodzieniec.

Maurycy wziął piłkę w rękę, a świder schował na piersiach za kamizelkę.

Butelkę z oliwą dał Lartiguesowi, który patrzał nań z wielką ciekawością i łamał sobie głowę, ażeby choć cokolwiek z tego zrozumieć.

— Idziemy? — spytał, kiedy już przygotowania były ukończone.

— Idziemy.

— Teraz mogę zapytać, dokąd?

— I owszem! Idziemy do lasku Vincennes....

Mniemany Van Broke aż skoczył ze zdziwienia.

— A to po co?

— Własnemi się przekonacie oczami.

— Ależ...

— O! ani słowa więcej, chodźmy!

— Poczekaj! — rzekł Lartigues.

Wyjął z szuflady stołu dwa klucze różnego rodzaju, włożył je do kieszeni, a poszedł za młodym człowiekiem, którego dziwnemu wpływowi poddawał się mimowoli.

XXXIX

Przy bulwarze, o tej porze zupełnie pustej stacji omnibusów, na placu Magdaleny stały dwie dorożki.

Maurycy zbudziwszy woźnicę na koźle, — wsiadł z Lartigue-sem do jednej z nich, kazał jechać do Bercy, hojny obiecując napiwek.

Z placu Magdaleny daleko do Bercy. W godzinę jednak dorożka przyjechała do Grande Pinte.

Maurycy trącił towarzysza.

— Tutaj wysiądziemy — rzekł. — Resztę drogi przejdziemy.

Kazał dorożkarzowi stanąć. Wysiedli, a woźnica otrzymawszy pół franka na wódkę, odjechał.

Maurycy i Lartigues prędko podążyli do stawu w lasku Vincennes i przybyli tu we dwadzieścia minut.

Dwie godziny jeszcze brakowało do świtu, do brzasku dnia zimowego, ciemnego i chmurnego.

Lartigues z prowadzącym go towarzyszem skręcili na prawo i brzegiem stawu doszli do mostu drewnianego, stanowiącego komunikację z wysepką, przyozdobioną altankami.

Maurycy na dwie sekundy zwolnił kroku i zdawał się namyślać, poczem znów ruszył prędko.

Przybywszy na miejsce, gdzie staw tworzy większe wgłębienie, młodzieniec zatrzymał się nagle.

— Przyszliśmy — rzekł cichym głosem do mniemanego Van Broke. — Teraz musimy iść po lodzie.

— Po lodzie! — powtórzył Lartigues zdumiony.

— Tak!

— E! do djabła! ale może to niebezpieczne?

— Lód musi mieć przynajmniej od 12 do 15 centymetrów grubości. Powozem możnaby jeździć po nim; śmiało możesz iść ze mną.

Młodzieniec wszedł na lodową powierzchnię ostrożnie, ażeby się nie pośliznąć.

Lartigues podążył za nim, chociaż nie zbyt chętnie.

Maurycy szedł pewnym krokiem. Mniemany kapitan marynarki przeciwnie z wielką trudnością zachowywał równowagę.

— Siądźmy — rzekł do Lartiguesa, sadowiąc sie na skale — tylko bez hałasu. Muszę się zaraz zabrać do dzieła.

— Cóż mamy więc uczynić.

— Zaraz zobaczysz.

Odpowiadając Lartiguesowi, Maurycy rozglądał się dokoła.

Na prawo i na lewo widniały skały, wznoszące się malowniczo. Przed nim w odległości czterech metrów znowu skały, ale między pierwszym i ostatnim szeregiem tych mas granitowych znajdowała się wolna przestrzeń półtora metra szerokości, a od dziesięciu do dwunastu metrów długości.

— Tam... — szepnął młodzieniec, sam wskazując na tę przestrzeń — do dzieła.

Wstał, doszedł do obranego miejsca i spojrzał na rzekę.

Jak daleko wzrokiem mógł dosięgnąć, wszędzie było głucho i pusto pod niebem obwisłem i posępnem.

Młodzieniec wyjął z pod roboczej bluzy — którą miał na sobie, niewielką piłkę i świder i ukląkł na lodzie.

Lartigues, który postępował za nim, pomyślał sobie, czy nie zwarjował nowy człowiek „Pięciu".

— Daj mi butelkę z oliwą — odezwał się Maurycy.

— Jest... cóż z nią będziesz robił.

— Zobaczysz, ale ani słowa teraz.

Maurycy nasmarował oliwą ostrze świdra i przyłożywszy je do lodu, zaczął wiercić.

Lód przeświderowany przeraźliwie skrzypiał.

— Zanadto wiele hałasu — rzekł młodzieniec i zwrócił się do Lartiguesa: — Nalewaj oliwę, kroplę po kropli, w prześwidrowany otwór.

Lartigues natychmiast to uczynił.

Lód przestał skrzypieć.

Maurycy kręcił świdrem ze zdumiewającą szybkością. Wkrótce lód był przedziurawiony w całej swej grubości. Woda pokazała się na powierzchni otworu.

— Daj mi piłę rzekł Maurycy.

Lartigues spełnił życzenie i odezwał się ze śmiechem:

— No, czyś czasem nie zawarł kontraktu z jaką cukiernią paryską na dostarczanie lodu i może chcesz robić konkurencję lodowniom Saint Quan?

— Właśnie — odpowiedział młodzieniec, wsuwając piłę w wyświdrowany otwór.

Począł piłować w prostej linji.

Zębate ostrze, na które mniemany Van Broke nalewał oliwę kroplami, cuda czyniło, ze zdumiewającą równością rozdzielając zamarzłą warstwę.

Prędzej niż w godzinę Maurycy podpiłował lód na przestrzeni metra kwadratowego i odzielonemu kawałowi napuszczona oliwa z piły nie pozwoliła przyrość do reszty lodu, tak, że się chwiał przy najlżejszem dotknięciu.

— No, już gotowe — rzekł Maurycy.

— Więc wszystko już skończone? — zapytał Lartigues.

Nie teraz trzeba ten kawał lodu wepchnąć pod warstwę, pokrywającą staw. Zawińmy rękawy.

Lartigues posłusznym był biernie. Powietrze było mroźne, ale Maurycy cały był spocony i grube krople potu spływały mu po czole. Mówił dalej:

— Oprzyj się na jednym końcu, ja na drugim i tak obrócimy ten kawał, ażeby jeden z rogów dostał się pod lód.

— Dobrze! — odparł Lartigues. — Zaczynajmy.

Ale nie było to rzeczą łatwą. Lód podtrzymywany wodą od dołu, stawiał silny opór.

Wreszcie trudnego dzieła dokonano.

XLI.

— Zbierzmy nasze instrumenta — odezwał się młodzieniec — i zmykajmy, farsa już odegrana.

— No, ależ choć teraz wytłomaczysz mi, co to wszystko znaczy — rzekł Lartigues.

— Przyjdzie tu ślizgać się Marja Bressoles, jedna z dwóch dziedziczek po Armandzie Dharville. Jak sądzisz, czy dowcipnie obmyślany ten figiel?

Lartigues z zachwytem patrzał na Maurycego.

— A czy woda dość głęboka, ażeby można utonąć?

— Dobrze, żeś mi przypomniał. Zapomniałem zmierzyć głębię. Zaraz ten błąd naprawię.

Mówiąc to, Maurycy wyjął z kieszeni kłębek sznura, który zabrał z ulicy Surennes.

Przywiązawszy koniec sznura do świdra, rzucił go do wody, która zaczęła się już pokrywać cienkim lodem, jak ćwiartka listowego papieru.

Sznur spadł na dno stawu.

Wtedy Maurycy wyciągnął go i zmierzył.

— Około trzech łokci — rzekł. — Więcej. niż potrzeba. A chociażby nawet dziewczynę wyciągnięto żywą, kąpiel na takie zimno niezawodnie wywoła gwałtowne zapalenie płuc. Matka z taką troskliwością pielęgnować będzie córkę, że nie wyzdrowieje.

Ale po tym wypadku niezawodnie wytoczone będzie śledztwo.

—Zapewne.

— Zobaczą, że lód był podpiłowany.

— Rzeczywiście.

— I nie obawiasz się?

— Ani trochę — przerwał Maurycy. — Któż mnie lub ciebie będzie mógł oskarżyć!

— To prawda, że nikt.

— Wszystko zwalą na złodziei, kradnących ryby.

Koledzy ostrożnie podążyli do brzegu.

Maurycy spodziewał się w Saint Mande znaleźć dorożkę i rzeczywiście nie omylił się w swych przewidywaniach.

Powrócili do domu.

XLI

Zaprzężona kareta stała już przed bramą.

Punktualnie o pierwszej przyszedł Maurycy.

— Zdumiewająco jest pan punktualny! Dziękuję panu! — zawołała Walentyna. — A i my także już jesteśmy gotowe.

Maurycy zamienił kilka ogólnikowych frazesów z budowniczym, potem podał ramię Walentynie i poprowadził ją do karety.

Matka i córka usiadły na tylnej ławeczce, młodzieniec naprzeciw nich i stangretowi polecono jechać do lasku Vincennes.

W drodze Maurycy był niezwykle miłym.

Wiemy, że nie brakło mu sprytu i że umiał poprowadzić rozmowę.

Wszyscy rozmawiali w najlepsze, kiedy kareta wjechała w aleję, prowadzącą wzdłuż stawu.

Maurycy wskazał stangretowi miejsce, gdzie ma stanąć, ażeby go można było następnie z łatwością odnaleźć.

Walentyna, Marja i towarzysz ich przeszli przez łączkę, przykrytą śniegiem, do miejsca, — gdzie ze dwudziestu łyżwiarzy popisywało się zręcznością wobec małej gromadki ciekawych widzów.

Troje naszych nowych przybyszów zaraz też włożyło łyżwy na nogi i poszło na ślizgawkę.

W chwili, kiedy się kareta zatrzymała, Maurycy, pomagając wysiąść matce i córce, nie zauważył dwóch starych jegomościów, którzy się przechadzali w długich paltotach futrzanych.

Spostrzegłszy młodzieńca, poczciwi staruszkowie zwolnili kroku i szeptem powiedzieli sobie kilka słów...

Czytelnicy domyślają się zapewne, że był to Lartigues i Verdier, którzy przyszli przyjrzeć się, jak będzie wykonany plan młodego ich wspólnika, zbliżywszy się na brzeg stawu, przyłączyli się do ciekawych widzów.

Obie łyżwiarki nasze i łyżwiarz cudów dokazywali.

Marja, z początku nieśmiała, odzyskała wnet pewność siebie i

lekko ślizgała się obok matki i Maurycego, oboiga dość zręcznych.

Młodzieniec skierował się w stronę kaskady. Oczy jego zdala szukały już miejsca, gdzie lód podpiłowany, powinien był się zwalić.

Ta część niewielkiego stawu, jak Maurycy przewidział zeszłej nocy, była zupełnie pusta.

Szatański uśmiech wykrzywił wargi Maurycemu pod delikatmi, jedwabistemi wąsami — lecz, pomyślawszy, że trzeba jeszcze trochę poczekać wrócił na środek stawu, między ślizgających się łyżwiarzy.

Walentyna i Marja biegły za nim w jednej linji bardzo prędko.

Tymczasem w końcu stawu dwóch łyżwiarzy biegło na ich spotkanie.

Byli to młodzi ludzie, a zręczność ich znamionowała nawyknienie do ślizgania się i siłę.

Marja patrzyła na nich machinalnie.

Nagle zwolniła bieg i serce zabiło jej niezwykle silnie.

Wydało jej się, że poznaje jednego z młodzieńców, lecz bała się, czy się nie myli.

— Cóż to, Marjo? — spytała ją matka, widząc, że pozostaje w tyle. — Dogoń nas!

Marja była posłuszną, ale machinalnie.

Dwaj łyżwiarze zbliżali się z szybkością błyskawiczną.

Przelecieli obok Maurycego i Walentyny, nie spojrzawszy na nich.

Marja nie mogła się powstrzymać, ażeby nie zawołać radośnie:

— Pan Albert!...

Syn sędziego śledczego — bo to on był rzeczywiście — poznał młode dziewczę, skierował się ku niej i podbiegł.

— Co za szczęśliwe spotkanie! — rzekł.

Marja przystanęła.

— Bardzo szczęśliwe — szepnęła — i niespodziewane!

— Skądże pani tutaj?

— Ja z matką tu jestem i z panem Maurycym Vasseur. Oto i oni.

Wskazała na Walentynę i młodzieńca, którzy, nie widząc jej przy sobie, biegli do niej właśnie.

— A pan ma z sobą towarzysza? — spytała Marja.

— Byłem u jednego z mych przyjaciół, oficera artylerji i zaproponowałem mu pójść na ślizgawkę.

— A ojca pańskiego tu niema?

Uśmiechnął się Albert.

— Nie — odpowiedział — a nawet nie mogę sobie wyobrazić, ażeby ojciec mógł brać udział w takiej rozrywce.

Walentyna i Maurycy nadbiegli w tej chwili do Marji.

Zobaczywszy Alberta, którego od pierwszego spojrzenia poznali, zmarszczyli brwi.

Albert im się ukłonił.

— Pobiegnijmy zobaczyć kaskadę — rzekł Maurycy — i załóżmy się, kto będzie pierwszy.

— I owszem, trzymam zakład.

I pobiegła prędko, uśmiechnąwszy się do Alberta de Gibray.

Albert słyszał, jak Maurycy powiedział: „pobiegnijmy zobaczyć kaskadę".

— Zobaczę ją jeszcze — szepnął.

Potem, skinąwszy na przyjaciela skierował się ku wspomnianym przez nas skałom, ale z przeciwnej strony tak, ażeby niby przypadkowo spotkać się z ukochaną.

Albert biegł tak szybko, że towarzysz z trudnością mógł go dogonić.

Marja szybko mknęła po lodzie, jakby lotem jaskółki.

Maurycy ledwo ją wyprzedził, lecz dziewczę lada chwila miała go dogonić.

Walentyna pozostała w tyle przynajmniej na jakie dwadzieścia kilka łokci.

Widzowie ciekawi, stojący nad brzegiem stawu, z zajęciem patrzeli się temu wyścigowi i jak na gonitwach konnych, jedni trzymali zakład za młodzieńcem, inni za młodą łyżwiarką. Tych ostatnich było więcej. Z brzegu dolatywały głosy:

— Ona będzie pierwsza!

Zachęcona temi okrzykami pochlebiającemi, Marja jeszcze bardziej przyspieszyła biegu.

Dogoniła i wyprzedziła Maurycego, który widocznie już osłabł, ale nie chcąc się uważać za pokonanego, jeszcze biegł tuż po za łyżwiarką.

Wyrachowanie łotra było bardzo proste i Marja Bressoles miała biedz przed nim, ażeby się pod nią pierwszą ląd załamał.

Lartigues i Verdier przypatrywali się przez lunety i widzieli jak najdokładniej każdy szczegół tych zapasów.

Marja docierała już do skał, do tego miejsca, gdzie czekała ją śmierć.

Nagle z poza zakrętu skał szybko wybiegł jakiś łyżwiarz i zapuścił się w to samo wąskie miejsce.

Maurycy zadrżał. Czy łyżwiarz prędzej dobiegnie niż Marja wpadnie w przerębel i dziewczę ujrzy niebezpieczeństwo tak, że będzie mogła go uniknąć? A może oboje wpadną pod lód.

W tejże chwili syn Aime Joubert poznał w łyżwiarzu Alberta de Gibray.

— Gdyby oboje razem utonęli — pomyślał — to byłby bal!

Łyżwiarz i łyżwiarka dobiegali do siebie ze stron przeciwnych

Marja również poznała Alberta i uśmiechała się doń ustami i oczami. W rozpędzie biegu nareszcie się spotkali.

Nagle rozeszły się dwa krzyki, na które odpowiedziały i krzyki z nad brzegu.

Albert de Gibray wleciał w przerębel, a Marja straciwszy równowagę z przestrachu, upadła tuż przy otworze załamanego lodu.

— Ocalił ją — pomyślał Maurycy. — Nie udało się, trzeba na nowo zacząć.

Rzucił się ku dziewczęciu, nieruchomo leżącemu. Straciła przytomność.

Podbiegła i Walentyna, tłum ciekawych także się już w dali pokazywał na lodzie.

— Co to? — wykrzyknęła Walentyna. — Co się stało?

— Lód się załamał pod panem de Gibray — odpowiedział Maurycy — i o mało co pani córka nie wpadła do stawu.

Z przestrachu zemdlała. Nachyliła się nad córką, jakby chciała ją podnieść i dodała żywo.

— Krew? z czego krew?

— Głową zapewne uderzyła o skałę — odpowiedział Maurycy. — Małe skaleczenie.... Nic jej nie będzie... Trzeba posłać po karetę.

— Zawołam karetę, proszę państwa — rzekł jakiś chłopczyna.

— Pobiegnij prędko.

— W tej chwili.

Młody oficer, przyjaciel Alberta, nadbiegł do kaskady w tej chwili, gdy przybyli ludzie, nie bez trudności wyciągnęli syna sędziego śledczego z przerębli, w której o mało co nie zginął.

Pierwsze słowa Alberta były:

— Panna Bressoles czy się nie zraniła?

— Małe skaleczenie tylko — odpowiedział Maurycy.

— A ty? — odpowiedział Alberta oficer.

— Ramię bardzo mię boli.

— Drżysz! — mówił dalej młody artylerzysta. — Nie rozmawiajmy tu, ale czemprędzej udajmy się do mnie; położysz się do łóżka i rozegrzejesz, inaczej dostaniesz zapalenia płuc.

Rada była dobra. Albert, któremu łyżwy zdjęto skłonił się pani Bressoles i rzucił tkliwe spojrzenie na Marję, która się ocuciła i pobiegł ze swym przyjacielem ku Vincennes.

Kareta pokazała się na brzegu jeziora. Marja czuła się jeszcze słabą. Maurycy zaniósł ją na rękach do karety, posadził pomógł Walentynie wsiąść. Potem naprzeciw matki i córki karetka potoczyła się ku Paryżowi.

Oficer pomógł Albertowi się rozebrać i położyć do łóżka, poczem natychmiast posłał do chirurga wojskowego, który wkrótce też nadszedł i orzekł, że ręka wywichnięta została skutkiem silne-

go uderzenia. Przedsięwziął też niezbędne dla leczenia środki i zalecił jak najzupełniejszy spokój.

Albert zażył lekarstwo i zasnął tak twardo, że się przez całą noc ani razu nie obudził.

Nazajutrz zrana doktor zaopiniował, iż stan zdrowia Alberta jest pomyślny i pozwolił mu powrócić do Paryża, jednakowoż nadmienił, że chory nie wyzdrowiał jeszcze całkiem i przez kilka dni nie powinien z domu wychodzić.

Kiedy oficer i Albert przyjechali do Paryża Pawła de Gibray nie było w domu.

Albert kazał napalić w piecu w swoim pokoju i położył się do łóżka.

Tymczasem Marja czuła się bardzo dobrze, prócz lekkiego bólu głowy, skutkiem wstrząśnięcia przy upadnięciu na lód stawu. Maurycy udał się do pałacyku przy ulicy Surennes. Już się tu znajdowali Lartigues i Verdier.

Chociaż rezultat nie odpowiadał powziętym nadziejom, pochwalili młodzieńca za śmiałe usiłowanie.

— Wszystko zdawało się zapewnić ci powodzenie — rzekł mnie many opat Meriss — ale fatalność!

— Gdyby nie Albert de Gibray, byłoby się udało — odrzekł Maurycy z gniewem. — Dziewczyna wpadłaby pod lód i nie wyszła stamtąd żywa. No, do drugiego razu!

— Wymyśl coś jak najprędzej — mówił Verdier — Michał Bremont w Anglji traci cierpliwość.

— Nie łamcie sobie głowy. Mam sposób!

— To powiedz nam co to za sposób?

— Powiem, kiedy cały plan będę miał gotów.

— A gdy będziesz miął plan gotowy, czy zaraz od teorji przejdziesz do praktyki?

— Zaraz na pierwszym wieczorze, jaki dany będzie przez Bressolów, a zatem w końcu tego tygodnia.

— No, ta zwłoka będzie niedługa.

— Zwłoka mnie wcale nie niepokoi co do Marji — odpowiedział Maurycy — tylko co do Symony.

— Zebrałem o Symonie wiadomości, ale dopiero do tego czasu, kiedy pracowała w magazynie przy ulicy św. Marcina, a to już półtora roku temu — rzekł Verdier — ale tu wszelkie ślady ustały.

— Ja wierzę w swą gwiazdę. Wierzę, że jeśli nie dziś, to jutro przypadek jaki wyprowadzi nas z tych trudności. Tylko niechaj wprzód się załatwię z Marją Bressoles. Potem się zajmę Symoną.

Trzej wspólnicy rozstali się tutaj, opuszczając pałacyk przy ulicy Verneuille. Maurycy poprzysiągł odszukać córkę i zemścić się na Walentynie.

Powiadają, że rano mędrsze niż wieczór. Sędzia śledczy przez

całą noc nie zamykał oczu. Myślał, w jaki sposób po latach dwudziestu trzech odnaleźć ślady Armanda Dharville, który, dobrowolnie wyjechał z Francji na zawsze. Wydało mu się to istotnie bardzo trudnem zadaniem. Dokąd się udał Armand Dharville, opuściwszy Francję? W jakim kraju, czy w mieście lub miasteczku osiadł? Czy jeszcze żyje?

— Prawie nie można liczyć na dobry rezultat — wyszeptał — jednak spróbuję.

Zresztą nie było to dlań jedyna troska. — Przestraszyła go najbardziej miłość Alberta do córki Walentyny. Jak wyrwać z młodego serca miłość czystą, zakorzenioną już głęboko? Wyrywając ją, czy nie można i serca rozedrzeć?

Paweł de Gibray dobrze znał swego syna, którego wychował w zupełnem poszanowaniu dla obowiązków.

Wiedział, że ma charakter szlachetny, wiedział i o tem jednak, że jest nieugięty. Kochając z zapałem po raz pierwszy w życiu, duszą i sercem, uczuciu się temu oddawszy, czyż zapomni o uwielbianem dziewczęciu, któremu on, ojciec, mógł to tylko zarzucić, że jest córką takiej matki....

Podobne przypuszczenie wydawało się niemożebnem.

A jednak Paweł de Gibray pomyśleć ani mógł, ani chciał, ażeby Albert wszedł do rodziny Walentyny Dharville, która była kiedyś niegodną kochanką, występną matką.

Po nocy bezsennej sędzia śledczy wyszedł z domu z podwójnem postanowieniem szukania Armanda Dharvilla i zwalczania wszelkiemi sposoby miłości Alberta ku Marji Bressoles.

Zamknąwszy się w gabinecie sądowym, — wsparł głowę na ręku i zaczął plany obmyślać.

Wiedząc, że ojciec Walentyny pochodził z Chalons, wziął blankiet i napisał do mera tego miasta z zapytaniem, czy nie wie, gdzie przebywa Armand Dharville.

— Po odebraniu odpowiedzi przystąpię do działania.

Później zajął się rzeczami bieżącemi, miał z naczelnikiem policji śledczej dość długą rozmowę o szczegółach śledztwa w sprawie zbrodni z cmentarza Pere Lachaise i ulicy Montorgueil i wrócił do domu około godziny piątej wieczorem.

— Syn jest? — zapytał lokaja.

— Jest.

— W swoim pokoju?

— Tak, pan się już położył do łóżka.

Do łóżka! — powtórzył sędzia śledczy zaniepokojony. — Czy chory?

— Nie, chory pan nie jest... mały wypadek... ale nic złego, pan Albert kazał nie zawiadamiać pana.

Sedzia śledczy nie dosłyszał już ostatniego zdania,

Jak tylko lokaj powiedział wypadek, rzucił się natychmiast do pokoju syna.

Zobaczywszy Pawła de Gibray, artylerzysta, siedzący przy łóżku, wstał i ukłonił się.

Albert wyciągnął do ojca wolną rękę. Oczy błyszczące i uśmiech młodzieńca zaraz uspokoiły Gibray'a, mówiąc mu, że w istocie niema nic niebezpiecznego.

Spytał jednak ze wzruszeniem, od którego głos mu drżał:

— Ale co się z tobą stało, mój drogi?

— Prawie nic — odpowiedział Albert — upadłem na ślizgawce, a raczej wpadłem pod lód; kąpiel troszkę za chłodna, i stłukłem sobie ramię, ale dość lekko.

— To wszystko bardzo niebezpieczne — zawołał Gibray.

— Mogło być niebezpiecznem — odezwał się przyjaciel Alberta. — Na szczęście przykrych następstw nie będzie, a i owszem, są bardzo szczęśliwe skutki. Uratowało to życie....

— Komu? — zapytał sędzia śledczy, ściskając porucznika za rękę.

— Pewnej prześlicznej młodej osobie.

— Młodej osobie? — powtórzył Gibray.

— Którą ojciec zna — pośpiesznie dodał Albert i opowiedział, o czem już czytelnicy wiedzą.

XLII.

Gibray usłyszawszy imię Marji Bressoles i Walentyny, nie mógł zapanować nad sobą, nie mógł wstrzymać się od okazania swą miną wielkiego niezadowolenia.

— Umówiłeś się z temi paniami, że się z niemi spotkasz w lasku Vinceńskim?

— Nie — odrzekł Albert, którego uwadze nie uszło, że ojciec zmarszczył brwi. — Stało się to tylko przypadkiem. Wiesz, że pojechałem do przyjaciela mego Oktawiusza, on mi zaproponował pójść na ślizgawkę, na co się też zgodziłem, bo zapalonym jestem amatorem łyżwiarstwa. Dopiero na stawie spotkaliśmy się z panią i panną Bressoles, oraz Maurycym Vasseur.

Nazwisko to, przez Alberta wymówione, — zwróciło uwagę jego ojca.

— Z Maurycym Vasseur? — powtórzył.

— Tak, to ten młody człowiek, co był na wieczorze u Bressolów.

— Czem on jest?

— Zdaje się, że dziennikarzem.

Sędzia śledczy więcej się nie wypytywał.

— Który doktor udzielił ci pomocy?

— Wojskowy, sprowadził go Oktawjusz. Powiedział, że niema się czego lękać, że za kilka dni wszystko przejdzie i spodziewam się, że będę mógł być na przyszłym wieczorze u Bressolów.

Paweł de Gibray powtórnie zmarszczył brwi.

— Co ojcu jest? — zapytał młodzieniec, znów uderzony zmianą wyrazu twarzy. — Jak się tylko odezwę o Bressolach, zdaje się, że ojcu nieprzyjemnie.

Sędzia śledczy niezwłocznie byłby mu to wytłómaczył, gdyby nie obecność porucznika Tamisier, przyjaciela syna.

Pomimo to nie bez goryczy odpowiedział:

— Wątpię, czy co dobrego może wyniknąć z twej znajomości z tą rodziną.

Albert drgnął. Ojciec mówił dalej:

— Masz na to już dowód. Spotkanie w lasku Vinceńskim wcale nie było szczęśliwe.

Na ustach Alberta zjawił się wymuszony uśmiech.

— Ojciec tego poważnie nie mówi.

— Bardzo poważnie!

— Czyżby ojciec stawał się zabobonnym?

— Wcale nie, ale mam przekonanie, że są ludzie, którzy zawsze przynoszą nieszczęście.

Rozmowa ta bardzo się nie podobała Albertowi. Postanowił ją przerwać i rzekł:

— Wstanę.

— Czy to ci nie zaszkodzi? — spytał ojciec z wielką troskliwością.

— E, ani trochę; czuję się już bardzo dobrze. Oktawjusz zostanie u nas na obiedzie, a ja także usiądę do stołu. Mam ogromny apetyt, a doktór wcale mnie na dietę nie skazał.

Obiad przeszedł wesoło. Około godziny dziewiątej porucznik artylerji pożegnał się z Gibray'ami i odjechał do Vincennes.

Ojciec z synem pozostali sami. Albert z niecierpliwością oczekiwał tej chwili.

— Teraz jesteśmy sami — zaczął mówić młodzieniec, — a przeczuwam, że ojciec chce ze mną mówić o Bressolach.

— Nie mylisz się, kochane dziecko — odrzekł ojciec — rzeczywiście mam ci powiedzieć coś ważnego, ale chyba lepiej odłożyć to będzie na kiedyindziej.

Jesteś chory, osłabiony jeszcze. Potrzeba ci spokoju. Połóż się i uśnij. Pomówimy jutro.

— Przestraszą mnie ojciec! — wykrzyknął młodzieniec — jakakolwiek jest prawda, zawsze lepsza, niż niepewność. Nie jestem

już dzieckiem. Niech mi ojciec powie wprost otwarcie, co ojca martwi?

— To ciebie bardziej jeszcze zmartwi.

— Będę miał dość męstwa, aby to przenieść — Domyślam się już, że ojcu się Marja Bressoles nie podoba.

— Bóg mi świadkiem, że nie mam żadnego do niej uprzedzenia. Jest ona dla mnie jak najsympatyczniejsza.

— Więc nie o niej będzie ojciec ze mną mówił.

— O niej.

Albert poczuł dreszcz.

— Błagam ojca, niech mi ojciec powie wszystko! — zawołał — niepokój ten dla mnie jest męczarnią! Kocham Marję, wiesz o tem, ojcze, bo ci już mówiłem. Cóż jej możesz zarzucić? Muszę, chcę wiedzieć.

Gibray uczuł, że mu się serce ścisnęło na widok niepokoju syna. Zasłonił twarz rękoma i przez kilka sekund milczał. A tymczasem myślał:

— A jednak trzeba powiedzieć... Milczeć niepodobna!

Albert mówił dalej:

— Odpowiedz mi, ojcze, mów, dlaczego wahasz się i zwlekasz... a może masz oznajmić mi coś strasznego.

Sędzia śledczy podniósł głowę i oczy utkwił w Albercie.

— Więc kochasz bardzo to dziewczę? — wyszeptał smutno.

— Kocham ją całem sercem, całą duszą, ze wszystkich sił i czuję, że bez niej nie mógłbym być szczęśliwym na ziemi!

Gibray wzruszył ramionami.

— Wysłuchaj mnie mój drogi — rzekł Paweł de Gibray po chwili milczenia — a gdy wysłuchasz, postanowisz, jak masz postąpić.

— Mów ojcze — odparł młodzieniec — czekam twych słów, jak wyroku życia lub śmierci.

— Musisz pamiętać, że kilka dni temu oddałem ci list zapraszający, który Bressoles przysłał mnie i tobie i kiedyś wyznał przed mną miłość swą ku jej córce, chciałem ostrzec cię, jakie bywają pierwsze uniesienia serca i ażeby cię przekonać, opowiedziałem ci wypadek z mojej młodości.

— Tak, pamiętam. Dowiedział się ojciec niespodziewanie, że ta, którąś uważał za szlachetną, nikczemnem jest stworzeniem, gotowem nawet zbrodnię popełnić, byleby się pozbyć swego dziecka. Zgrozą mnie przejęło to opowiadanie.

— Pamiętasz chyba również, że nie znając rodziny Bressolów, i żyjąc zdala od świata, nie chciałem pójść na ten wieczór, na który mnie zapraszali i tylko skutkiem twych próśb tam się udałem.

— Nie zapomniałem i o tem i jeszcze raz dziękuję ojcu.

— No, mój drogi, wyobraź sobie moje zdumienie, przerażenie

moje, gdym znalazł potwora w tej rodzinie, z którą się chcesz połączyć.

— Potwór! — przerwał Albert, zbladłszy.

— Wyrażenie nie jest za silne! Znalazłem tę kobietę niegodną, którą niegdyś kochałem. Nazywała się wtedy Walentyna — teraz nazywa się pani Bressoles.

— To matka Marji!

Albert zerwał się z krzesła i w tejże chwili powalił się na nie, jakby rażony gromem i rękę przyłożył do serca.

— Marja jest córką tej kobiety! — jęknął złamanym głosem. Głowa mu opadła na piersi, a łzy potoczyły się z oczu. Nagle Albert podniósł głowę.

— Więc jestem skazany — wyszeptał — i Marja również skazana tak, jak ja. Ona niewinna, ale matka jej jest kobietą nikczemną i dlatego, że anioł urodził się z istoty nikczemnej mamy być rozłączeni na zawsze! Ale czy słusznem to jest, że dzieci odpowiadać mają za postępki, których nie popełniły i za nie mają być karane! O! przecie tak być nie może! Tak być nie powinno! Skądże ojciec wie przytem, że ta matka się nie poprawiła, gdy została żoną, nie odkupiła przeszłości późniejszem życiem bez skazy?

— Niech tak będzie — odrzekł sędzia śledczy. — I na to przypuszczenie się zgadzam. Ale niechaj mi powie, co uczyniła z ma córką, niechaj mi ją odda, a ja jej przebaczę.

— A ojciec pytał ją o tę córkę?

— Pytałem.

— I cóż ojcu odpowiedziała?

— Że wziął ją brat, Armand Dharville.

— I po tem, co ci powiedziałem, czy się jeszcze odważysz pomyśleć o ożenieniu się z Marją?

— Dlaczegóżby nie? Dziewczęciu, które kocham, nic zarzucić nie można, jest ono godne ciebie i mnie...

— Ja ci nakazuję zerwanie — rzekł sędzia śledczy — bez względu na skutki.

— Więc skazujesz mnie, ojcze, na rozpacz?

— Rozpacz byłaby słabością charakteru, a ja chcę, żebyś był niezłomny, jakim powinien być człowiek honorowy.

— Zabijasz swego syna — szepnął Albert.

Głowa opadła mu w tył, a twarz przyoblekła się bladością śmiertelną. Straciwszy siły zgnębiony wzruszeniem, boleścią zemdlał. Sędzia śledczy zadzwonił na lokaja. Obaj zanieśli zemdlonego Alberta do jego pokoju, położyli go do łóżka i otoczyli staraniami.

Omdlenie trwało zresztą niedługo. W kilka minut przyszedł do siebie, lecz w tejże chwili opanowała go gorączka. Niezwłocznie wezwany lekarz zapisał mu uspokajające lekarstwo.

— Czy jest niebezpieczeństwo? — spytał Gibray ze drżeniem.

— Dotychczas nie — odpowiedział doktor — ale może nastąpić. Pański syn ma usposobienie nerwowe, wrażliwe... potrzebny mu wielki spokój... zbyteczne wzruszenie może niebezpieczeństwem zagrozić jego życiu.

Doktór odjechał, sam podawszy przepisane lekarstwo.

Albert zasnął. Sędzia śledczy z duszą pełną niepokoju, który łatwiej zrozumieć, aniżeli opisać, spędził noc przy łóżku syna, oczu nie zamknąwszy ani na chwilę. Nazajutrz choremu było o wiele lepiej.Doktór zabronił jednak wszelkiej pracy, oraz zalecił spokój i dietę. Gibray ani wspomniał, o czem mówiono w przeddzień.. Czule pocałował Alberta i poszedł do sądu, gdzie go wzywały obowiązki.

Na myśl, że się z Marją już nie zobaczy, — młodzieniec doznał nadzwyczaj silnego cierpienia moralnego. Rozdrażniła go nieugiętość ojca, oburzony był jego niesprawiedliwością.

Godziny upływały powoli i smutno. Poprzedniego dnia Bressoles przychodził dowiadywać się o jego zdrowiu.

— A czy dzisiaj przyjdzie? Jeśli go zaś nie odwiedzi, czyż nie będzie to można przypisać pogorszeniu zdrowia Marji?

Nastał wieczór. Bressoles ani sam nie był, ani nikogo nie przysłał. Niepokój Alberta wzmógł się do szczytu. doktór zastał większą gorączkę i zmarszczył brwi. W tej chwili,choroba się pogorszyła i lekarz zapowiedział początki choroby serca, lecz obiecał energicznie ją pokonywać. Gdy właśnie pisał nową receptę wszedł lokaj.

— Czego chcesz? — zapytał sędzia śledczy.

— Do pana bilet wizytowy... czekają.

Gibray spojrzał na bilet, podany mu przez lokaja i poruszył się z widocznym gniewem.

— Dobrze — odezwał się — idę.

Albert zobaczył gniewny wyraz twarzy ojca. Domyślił się.

— Ojcze — zawołał błagającym głosem — jeśli tym gościem, jak przeczuwam, jest pan Bressoles, poproś go tu z łaski swej, chcę się z nim zobaczyć, zapytać go o..

Zamilkł. Imię które wymówić chciał, zamarło na jego ustach. Serce biło mu silnie.

Doktor spiesznie przystąpił do niego i rzekł do sędziego tonem prawie rozkazującym:

Poproś pan osobę, która przyszła. Potrzeba mi przyjrzeć się wzruszeniu, jakie w synu pańskim obudzi obecność tego gościa.

— Nie mogę — odezwał się sędzia śledczy.

Albert mu przerwał:

— Ona jest tutaj! — szepnął, składając ręce.

— Ona jest tutaj... jestem tego pewny. Odgaduję ją... zdaje mi się, że ją widzę.

— Chodźmy, panie doktorze — wyrzekł de Gibray,

i wyprowadził doktora z pokoju.

— Cóż takiego? — zapytał tenże, gdy wyszli z pokoju.

— Albert odgadł... przyszła tu panna Marja Bressoles z swoim ojcem.

— Więc cóż z tego?

— On kocha tę pannę, a ja dla względów rodzinnych nie mogę na tę miłość przystać..., mam inne plany.

— Strzeż się pan... te plany nie dojdą do skutku. Jeśli pan nie przychyli się do życzeń jego serca, serce go zabije.

— Więc — szepnął przestraszony ojciec — muszę ustąpić, aby nie zostać mordercą syna! Muszę pomimo oburzającego się mnie sumienia, pomimo wszystkiej mej woli, muszę zezwolić na ten wstrętny związek. Niech pan doktor będzie łaskaw do niego powrócić...

— A pan tymczasem...

— Ja posłusznym się stanę nauce i rozkaz jej spełnię.

Doktor powrócił do pokoju pacjenta. Gibray udał się do saloniku, dokąd lokaj wprowadził Ludwika Bressola i Marję. U drzwi zatrzymał się drżąc jeszcze z niepewności. Potem zdecydował się nagle i otworzył drzwi. Zobaczywszy go, Bressoles i Marja podnieśli się z krzeseł. Budowniczy poszedł na jego spotkanie i wyciągnął doń rękę. Sędzia śledczy ujął ją i uścisnął z udaną serdecznością, potem skłonił się Marji, która blada i drżąca nie śmiała się poruszyć

— Niech nam pan wybaczy, żeśmy nalegali na to, ażeby się z panem zobaczyć.. lecz nie widząc wczoraj nigdzie Alberta, postanowiliśmy dowiedzieć się od samego pana, lękając się, czy wypadek na łodzie nie był tak fatalny, że aż syn pański nie może wychodzić z domu.

— Tysiąckrotnie dziękuję państwu za współczucie, jakie okazujecie państwo Albertowi — odpowiedział Paweł de Gibray. — Wpadnięcie do stawu nie było wcale niebezpiecznem i syn zdrów byłby już zupełnie, gdyby nie nastąpiła w stanie jego zdrowia niepokojąca komplikacja.

— Niepokojąca — powtórzyła Marja, zachwiawszy się i zbladłszy. — Więc pan Albert chory, bardzo chory? To wpadnięcie do wody lodowej, któremu ja życie zawdzięczam, sprowadziło nań może śmiertelne niebezpieczeństwo. O! niech pan powie, proszę pana, błagam... niech pan powie prędzej.

Ludwik Bressoles ze zdziwieniem patrzył na córkę. To pomieszanie, to silne wzruszenie, tem bardziej go dziwiły, znał bowiem powściągliwy i niezłomny charakter Marji.

— Syn chory — odpowiedział sędzia i bardzo chory.

— O, Boże mój, Boże! — szepnęło dziewczę.

Tajemnica grobowca...

Szlochanie, którego nie była w stanie powściągnąć, wydarło się z jej ust.

— Marjo, moje dziecko, uspokój się! — żywo zawołał budowniczy. — Ty jesteś przyczyną nieszczęścia, jakie spotkało na łodzie syna pana de Gibray, wiem o tem, ale stało się to bez twej woli i nie masz sobie nic do wyrzucenia.

Potem zwracając się do sędziego, zapytał:

— Czy możemy na chwilę widzieć się z panem Albertem?

Paweł de Gibray zawahał się z daniem odpowiedzi i o mało co nie odezwał się odmownie, lecz spojrzał na Marję, na twarzyczce której malowała się wzruszająca boleść. Pomyślał o cierpieniach, doświadczonych przez Alberta, przypomniał sobie także ostatnie wyrazy doktora, rzekł więc:

— Zaprowadzę państwo do pokoju Alberta. Zastaniemy przy nim doktora. Służę państwu.

Poprowadził gości.

Otworzyły się drzwi. Wszedł Gibray z Ludwikiem i jego córką. Przestąpiwszy przez próg, Marja rzuciła się ku choremu, ale wstrzymało ją uczucie wstydu dziewiczego, silniejsze nawet niżeli miłość.

Zobaczyła Alberta bladego, zmienionego.

Wyciągnął do niej ręce. Serce się jej ścisnęło, z oczu trysnęły łzy. Albert płakał również. Ujął za ręce ojca, który doń przystąpił i rzekł doń głosem drżącym:

— O, dziękuję ci, dziękuję... ojcze, jakiś ty dobry!... jaki ja szczęśliwy.

Jednocześnie doktor szepnął do ucha sędziemu śledczemu:

— To jest wyzdrowienie... czego nauka nie potrafi, ta panienka uczynić może.

Wzruszenie obojga młodych było tak wzruszające, tak przejmujące, że doktór nie był w stanie go nie podzielić. Ujął Marję Bressoles za rękę, poprowadził ją do Alberta i posadził przy łóżku. Ojcowie obaj patrzyli na te piękne dzieci, tak siebie godne i wzajemnie tylko dla siebie żyjące i mimowolnie spojrzeli na siebie.

Wizyta trwała ledwie kilka minut z woli doktora, który obawiał się zmęczenia dla chorego, ale, odchodząc, Marja czuła się szczęśliwą, a uspokojony Albert już myślał o prędkiem wyzdrowieniu. Gdy już wyszła z pokoju Alberta, Marja Bressoles rzuciła się na szyję ojcu i ucałowała go serdecznie.

— Co tobie dziś, moje dziecko? — spytał ją poczciwy Ludwik Bressoles. — Nie jesteś taką, jak zwykle.

— Ojczulku — szepnęła Marja, tuląc twarzyczkę do piersi ojca. — Czyż się nie domyślasz? Ja go kocham!

— — —

Maurycy był ciągłym gościem u Bressolów. Zjednał sobie poważanie u ojca i sympatję u córki, okazując jak najwyższe współczucie dla Alberta Gibray'a, o którym wiedział dobrze, że go kocha Marja. Lekkomyślna Walentyna namiętnie w Maurycym rozkochana, nie opierała się tej nowej miłości, radziła się młodego człowieka we wszystkiem.

Następnego tygodnia odbyć się miał u Bressolów bal. Syn Aime Joubert doradził, ażby salony przekształcić w ogrody zimowe. Potrzeba było ubrać je tylko w rzadkie rośliny i zasłonić obicia wspaniałą podzwrotnikową roślinnością. Efekt stąd powinienby być wielkim. Walentyna z zapałem uchwyciła się tego projektu. Maurycy, upoważniony zupełnie przez panią domu, cuda poczynił w urządzeniu salonów i sam wszystkiego doglądał.

Dzień tylko brakowało do balu, zapowiadającego się świetnie. Pokoje przekształciły się w obszerne oranżerje, pełne duszącej woni roślinności indyjskiej.

Maurycy udał się do pałacyku przy ulicy Surennes. Zastał tam Verdiera, naradzającego się z Piotrem Lartiguesem. Mniemany kapitan Van Broke i rzekomy opat Meriss spędzali ze sobą większą część dnia pozą daremnemi poszukiwaniami Symony.

— Co słychać? — spytał Verdier młodzieńca.

— Nic.

— Więc jak zawsze, pojutrze?

— Tak. Czyście rozważyli ułożony przezemnie plan, o którym kilka słów powiedziałem wam wczoraj?

— Długo myślałem nad tym planem.

— Jak uważasz, czy można go będzie wykonać?

— Niezawodnie, ale trudno nam będzie znaleźć głównego aktora tego dramatu.

— Przeciwnie, nic łatwiejszego... znajdę go, kiedy zechcę.

— Gdzie?

— W Fontaeinebleau.

— Byleby ci się lepiej udało przy ulicy Verneuil, niż w lasku Vinceńskim.

— Uda mi się z pewnością. Albert de Gibray wciąż chory jeszcze i tym razem już nie przeszkodzi mym planom.

— Dzisiaj czy jutro pojedziesz do Fontainebleau? — zapytał Lartigues.

— Jutro.

Ale zaraz po balu przyjdę wam opowiedzieć o wszystkiem. Do widzenia!

Wróciwszy do siebie na ulicę Navarin, zdziwił się wielce, zastawszy list od Oktawji. Od maskarady w Operze nie widział córki Klaudyny Charvais i nic o niej nie słyszał. Zresztą nie starał

się też wcale do niej zbliżyć. Gdyby Oktawja była, jak dawniej wolna, przeszkodziłaby tylko jego planom.

— Czego ona chce odemnie? — zapytał sam siebie, idąc po schodach do swego mieszkania.

XLIII.

Wszedłszy do pokoju, Maurycy rozpieczętował list... Był on następujący:

„Mam z tobą do pomówienia o ważnych rzeczach, ale niepodobna mi być u ciebie, bo mogłoby to zaszkodzić memu małżeństwu.

„W naszym domu gaszą gaz o północy. Przyjdź o wpół do pierwszej. Dam ci dwa klucze. Jeden od furtki w bramie, drugi od mego mieszkania. Wchodząc do bramy, nie budź stróżki, a odrazu idź na schody — niebezpieczeństwa nie będzie żadnego“.

— Ho, ho! — rzekł do siebie Maurycy, krzywiąc się znacząco, kiedy przeczytał list. — To mi się bardzo nie podoba. Wchodzić ukradkiem w nocy... to bardzo brzydko. Odźwierny może się nagle obudzić, wziąć mnie za złodzieja, narobić hałasu i będzie wcale niezabawnie. Nie pójdę.

W tejże chwili ktoś zadzwonił. Maurycy rzucił list w ogień i poszedł otworzyć. Była to odźwierna.

— Przyniesiono to ot dla pana — rzekła, podając lokatorowi niewielkie pudełko, starannie zawiązane.

Maurycy rozwiązał pudełko. Były w niem dwa klucze. Młodzieniec położył je na stole, a pudełko spalił.

— Jakie to nudne — wyszeptał.

Po kilku minutach włożył klucze do kieszeni, włożył na siebie ciepły paltot, wyszedł, zjadł obiad w restauracji na bulwarze, wieczór spędził w teatrze Rozmaitości, wypalił dwa cygara po przedstawieniu i na kilka minut przed wpół do pierwszą udał się na ulicę Comartin, gdzie mieszkała piękna Oktawja.

Okiennice wewnętrzne w mieszkaniu jej na pierwszem piętrze zamknięte były tak, że nie można było widzieć światła, choćby się nawet świeciło w pokojach. Maurycy wyjął klucze, otworzył furtkę od ulicy, zamknął ją również ostrożnie, bez hałasu i poszedł na górę ciemnemi schodami. Zaledwie kilka schodów przeszedł, kiedy drzwi na pierwszem piętrze otworzyły się i ukazała się Oktawja z lichtarzem w ręce.

— Chodźże prędzej — rzekła po cichu. — Bardzo jesteś dobry, żeś przyszedł, mam cię o coś prosić.

— I owszem — odpowiedział młodzieniec — ale z początku nie chciałem przyjść.

— Dlaczego?

— Bo to z twojej strony bardzo nieroztropnie.

— Wcale nie. Hrabia Juan na dwa dni wyjechał. Sługi śpią na drugiem piętrze. Nie ma się czego obawiać. Drzwi zamykają się od wewnątrz.

— Tylko o ciebie mi chodzi. No, a teraz powiedz, czego odemnie chcesz.

— Widzisz, ty możesz przyśpieszyć małżeństwo moje z hrabią Juanem. Wydrukuj w gazetach artykuł, że teraz w modzie, ażeby znakomici cudzoziemcy żenili się z pięknemi paryżankami, aktorkami, nawet z półświatka, dodaj, że takie małżeństwa są najszczęśliwsze, przytocz kilka przykładów. Trzeba tylko tego Rosjanina zachęcić, podnieść, a z pewnością ożeni się ze mną.

— No, jeśli tak, to zgoda.

— A zresztą nic już poważnego nie masz mi do powiedzenia?

— A! jeszcze. Wiesz, spotkałem tę, o której mówiliśmy na maskaradzie.

— Kogo?

— Moją mleczną siostrę, Symeonę!

— Kiedy?

— W niedzielę.

— To ona w Paryżu?

— Naturalnie, jeśli ją widziałem. Ale co tobie? Ja mówię ci o Symeonie, a to sprawia na tobie szczególne wrażenie.

Maurycy w pierwszej chwili zdumienia nie panował nad sobą. Przygryzł wargi i odpowiedział tonem obojętnym:

— Jakież wrażenie może to na mnie sprawiać? Wiem o istnieniu Symeony tylko stąd, że rejent z Vique-sur-Bresne powiedział mi o niej kilka słów w Havrze. Tyś myślała, że ona już nie żyje... Gdzieś ją spotkała i co do ciebie mówiła?

— Mówiła, że była bardzo, bardzo biedną, i że możeby już umarła z głodu, gdyby się nią nie był zajął pewien malarz, który też z niej namalował obraz na wystawę.

— Biedne dziewczę! — rzekł Maurycy z miną litościwą.

— O! niema jej czego żałować. Odtąd wszystko poszło dla niej jak najlepiej i dzięki protekcji malarza, żyje sobie bardzo szczęśliwie — otrzymała dobre miejsce.

— Co to za miejsce?

— Nie wiem i wcale nie pragnę się dowiedzieć.

Maurycy myślał: Teraz mam dowód, że Symeona jest w Paryżu. Muszę ją odnaleźć i zaraz się tem zajmę, jak się załatwię z Marja Bressoles.

Rozmowa była skończona. Młodzieniec pożegnał dawną sw.

przyjaciółkę serdeczną, wziął dorożkę na bulwarze i około godziny drugiej nad ranem wrócił na ulicę Navarin.

Położył się, przespał się do godziny ósmej, ubrał się bardzo skromnie, włożył na głowę okrągły kapelusz podróżny, z rozmaitych drobnostek, stojących na etażerce, wziął szkatułkę żelazną w stylu XVI wieku, z kilku tworami, — wsunął ją do torby podróżnej i wyszedł.

Krzyknął na dorożkarza i kazał się zawieźć na kolej ljońską. Kupił bilet pierwszej klasy do Fontainebleau.

XLIV.

O wpół do pierwszej Maurycy przyjechał do Fontainebleau. Syn Aime Joubert wstąpiwszy tutaj do pewnej kawiarni i napiwszy się grogu, wyjął z torby szkatułkę żelazną, o której już mówiliśmy, i włożył ją do kieszeni paltota.

Szkatułka ta, bardzo niewielkich rozmiarów i zamykana na mikroskopijny zameczek sekretny, była prawdziwem cackiem sztuki.

Ukrywszy starannie szkatułkę, poprosił gospodynię zakładu, ażeby torbę jego podróżną przechowała u siebie na godzinę lub dwie.

Maurycy wyszedł i wzdłuż parku dostał się do drogi, prowadzącej przez kamieniołomy. O ile wzrokiem mógł sięgać naprzód i w tył, droga była pusta. Maurycy zapukał do drzwi jednego z dworków po lewej stronie. Otworzyły się drzwi i wyszła stara wieśniaczka.

— Do kogo to? — zapytała.

— Przepraszam panią, czy tu mieszka ojciec Djonizy?

Wieśniaczka spojrzała na Maurycego ze zdziwioną miną.

— Ojciec Djonizy? — powtórzyła. — A czem się on trudni?

— Łapaniem żmij.

Potrząsnęła głową.

— Żmije wielu łapie, ale żadnego Djonizego tu niema.

— A jak się nazywają ci, co łapią?

— Betin mieszka w mieście, Gachet mieszka przy ulicy Papyskiej, Wawrzyniec Violet, tam het, pod lasem, w chałupie.

— Pani się zapewne co do nazwiska omyliła. Ten, do którego mam interes, mieszka właśnie pod laskiem.

— Więc to niezawodnie Wawrzyniec Violet. O! to sprytny chłop! z nim w łapaniu żmij nikt się nie może porównać. Wysyła też je do Paryża i na wszystkie strony, zarobek ma spory. Mieszka jak panu już mówiłam, pod lasem.

— Dziękuję.

Wieśniaczka zamknęła drzwi, a Maurycy poszedł wskazaną mu

drogą. Łatwo się domyśleć, że jedynym celem tych pytań było otrzymanie adresu. Maurycy prędko doszedł do ścieżki, mającej prowadzić do chaty Wawrzyńca Violet.

Wkrótce też rzeczywiście spostrzegł domek bardzo czysto wyglądający, jednopiętrowy, stojący pośród ogródka, graniczącego z lasem. Ogród otaczał parkan od strony drogi. W pośrodku parkanu znajdowała się furtka. Syn Aime Joubert otworzył ją, przeszedł do ogrodu, zapukał do drzwi w sieni. Pokój był obszerny i starannie utrzymany. Przy stole siedział mężczyzna i kobieta, naprzeciwko siebie i jedli obiad.

Na widok nieznajomego mężczyzna wstał i ukłonił się.

— Pan jesteś Wawrzyńcem Violet, myśliwym żmij? — zapytał Maurycy.

— Tak.

— Mam do pana interes.

— Pan może przyszedł kupić?

— Tak.

— I może się panu śpieszy?

— Nawet bardzo.

— Da mi pan pięć minut czasu do dokończenia obiadu?

— I owszem.

Wawrzyniec Violet przysunął krzesło.

Maurycy usiadł.

Łapacz jadł dalej.

— Co panu potrzeba, wężów czy żmij?

— Żmij, a raczej tylko jedną.

— Zapewne potrzebuje pan dla rzeźby.

— Dla odlewu.

— Zaraz się domyśliłem... widać po panu, że pan artysta. A samicę pan chce, czy samca?

— Na to nie mogę odpowiedzieć. Alboż nie wszystko jedno, czy samiec, czy samica?

— Nie. Samiec ma sploty wydatniejsze i lepiej wychodzą one w odlewie. Ale muszę zarazem pana uprzedzić, że samiec jest niebezpieczniejszy.

— To już mi wszystko jedno. Będę ostrożnym.

— Wziął pan ze sobą jakie pudełeczko?

— Mam.

Maurycy wyjął szkatułkę z kieszeni, podał ją Wawrzyńcowi Violet i dodał:

— Chyba taka będzie dobra?

— Dobra — odpowiedział łapacz żmij. — Powietrza będzie dość. Od chłodnego metalu zdrętwienie potrwa dłużej, a ja nałożę mchu. — Ale nie radzę panu tej szkatułki kłaść potem do kieszeni.

— Dlaczego?

trzebna żmija, jeśli pan szkatułkę trzyma w chłodnem miejscu w pokoju.

— Alboż byłoby niebezpieczeństwo, gdybym zrobił inaczej?

— Jeśli gad się obudzi, rozdraźni go to, że zamknięty i kiedy pan ze szkatułki wierzch zdejmiesz, natychmiast rzuci się i ukąsi pana w rękę, albo w twarz... a pan wie przecie, że taka rana jest śmiertelna, jeżeli się jej nie wypali żelazem, albo natychmiast nie wyssie krwi z rany — dodał łapacz żmij.

XLV.

— Więc pan mówi, że pomaga zarówno wypalenie, jak i wyssanie?

— Nie, bo wypalenie działa bardziej zewnętrznie i nie dochodzi do tej części jadu, która znajduje się głębiej. Wyssanie o wiele jest lepsze.

— Postaram się obejść i bez wypalenia — odpowiedział młodzieniec ze śmiechem.

— Ale już gotów jestem na pańskie usługi. Niech mi pan da swoją szkatułkę.

— Proszę.

Maurycy podał szkatułkę łapaczowi, który włożył długie buty, wziął na siebie ubranie z bardzo grubego sukna, podbitego skórą i również grube rękawice.

— Widzi pan — rzekł do młodego człowieka. — Chociaż nie przewiduję żadnego niebezpieczeństwa, przedsiębiorę jednak wszelkie ostrożności. Gdyby żmiji przyszła ochota mnie ukąsić, nie mogłaby żądła zostawić w ciele.

— Ale twarz ma pan odsłoniętą.

— O twarz niema się czego lękać. Żaden gad na takie zimno nie będzie miał siły podnieść się i skoczyć tak wysoko.

Wawrzyniec Violet nałożył mchu do szkatułki, potem udał się do grodu, a Maurycy za nim.

Obaj po kilku krokach doszli do skalistego pagórka, w którym widać było otwór zagrodzony kratą, zamkniętą na kłódkę.

Za kratą schódki prowadziły w nieprzejrzaną otchłań.

Wawrzyniec Violet otworzył kłódkę, wlazł przez otwór, zamknął za sobą kratę, zszedł na dół po schodach i znikł.

Po chwili wyszedł po kilku stopniach ku górze i jak tylko już trochę widniej było, przyjrzał się swej niewolnicy.

— Samiec! — krzyknął Maurycemu, który nachylił się nad kratą i patrzał. — Wspaniały samiec! Patrz pan! Bestyjka wydaje się spokojniutką! Ale niechno ją pan zostawi przez godzinę w ciepłym pokoju, no!

Syn Aime Joubert poczuł dreszcz. Wawrzyniec mówił dalej:

— Dalej, bestyjko, do klatki.

Zwinął żmiję w kłębek i wsadził ją do nowego więzienia, do szkatułki i dodał:

— Szczęśliwej podróży, adieu.

Zamknąwszy szkatułkę, stary łapacz podniósł kratę, wyszedł z przedmiotem i rzekł do Maurycego, podając mu szkatułkę:

— Masz pan! Możesz się pan pochwalić, że masz pysznego samca! Lepszego niema nawet w ogrodzie botanicznym.

Maurycy znów zadrżał.

— Co panu jestem dłużny?

— Dwadzieścia franków... za bezcen.

Młodzieniec wyjął z portmonetki dwudziestofrankówkę i podał ją Wawrzyńcowi.

— Dziękuję — tenże odrzekł. — Nie zapraszam pana do siebie. Tam zanadto gorąco. Zawiąż pan szkatułkę w chustkę od nosa i nieś pan w ręce.

Maurycy usłuchał rady łapacza i odszedł. Wróciwszy do kawiarni, zabrał swą torbę podróżną, schował w nią szkatułkę i udał się na kolej. O piątej wieczorem był już w domu przy ulicy Navarin.

— Dwadzieścia franków... — szepnął, wyjmując z torby szkatułkę — za usunięcie spadkobierczyni sześciu miljonów, to doprawdy nie za drogo.

Postawił szkatułkę na oknie i poszedł na obiad, a po obiedzie do pałacyku przy ulicy Suzennes. Chciał Lartiguesowi i Verdierowi opowiedzieć wiadomości o Symeonie, jakie od Oktawji usłyszał, a przytem jeden z nich był mu potrzebny.

Bressoles i Marja kilka razy odwiedzali Alberta. Młodzieńcowi nie groziło już niebezpieczeństwo i zdrowie jego polepszało się prędko. Jednakże nie mógł być jeszcze na balu przy ulicy Verneuille — doktór stanowczo zabronił. Paweł de Gibray czuł niewysłowioną boleść moralną. Uczucie rodzicielskie nie dozwalało mu objawić swej woli, bo znowu narazić mógł życie syna, ale to, na co patrzył, dręczyło go niezmiernie. Jak się to skończy? — mówił do siebie z przestrachem. Na dwa dni przed balem Walentyna zapytała męża przy córce:

— Masz jakie wiadomości o Albercie de Gibray?

Marja zarumieniła się. Ludwik odpowiedział dyplomatycznie:

— Dowiadywałem się... Lepiej mu znacznie. Przychodzi do zdrowia, ale jeszcze osłabiony. Pojutrze ani on, ani jego ojciec nie będą u nas.

Walentyna odetchnęła swobodniej. Postraszyła ją myśl, że znowu zobaczy Pawła de Gibraya. Naturalnie, mogła przypuszczać, że po tem, co między nimi zaszło, nie przyjdzie, ale obecnie pozyskana pewność, usuwająca obawy wszelkie, uszczęśliwiła ją, pozwoliła myśleć swobodnie. Walentyna nie wiedziała wcale, że

mąż jej i córka odwiedzali chorego Alberta. Budowniczy chciał trzymać w tajemnicy do czasu miłość młodych ludzi, a Marja wcale nie była skłonną zwierzać się przed matką. Walentyna mówiła dalej:

— A czy będzie u nas przynajmniej artysta, Gabrjel Servais?

— Obiecał — odpowiedział Ludwik.

— To dobrze. Ludzie znani, głośni, o których wszyscy mówią, nadadzą ton naszemu domowi, a u nas właśnie brak znakomitości. Poproszę Servaisa, ażeby z sobą przywiózł swych przyjaciół i to najsłynniejszych, o których piszą w gazetach. Zresztą nasz bal zapowiada się świetnie. Rozesłałam nowe zaproszenia... Będziemy mieli bardzo szykowną młodzież... Chyba zadowolona będziesz, Marjo.

XLVI.

— O! — zawołała Marja tonem, którego szczerości nie można było podejrzewać. — Nie lubię tej szykownej młodzieży i zdaje mi się, że na tym twoim balu, matko, tańczyć będę mniej, niż na pierwszym.

— Dlaczego? — spytała zdziwiona matka.

— Nie bardzo lubię tańczyć. Nie podoba mi się ta młodzież... nudni, jeśli nie głupi!

— E! przesadzasz!

— O, nie, moja mamo!

— Przecie nie wszyscy młodzi ludzie są podobni do siebie, musisz chyba z nich wyróżniać choć jednego, albo dwóch?

Usłyszawszy to poniekąd zapytanie, Ludwik Bressoles, który czytał gazetę, podniósł oczy i spojrzał na Marję. Oczy dziewczęcia skierowane były na niego; zaczerwieniła się. Mrugnął nieznacznie, dając tem znak, aby nic nie mówiła. Walentyna pytała dalej:

— No, cóż, nic nie odpowiadasz?

Marja milczała.

— Milczenie twoje dowodzi, że się nie omyliłam — rzekła jeszcze pani Bressoles — przekonana jestem, żeś już uczyniła wybór.

Żona Ludwika Bressoles wiedziała bardzo dobrze od samego Gibraya, że Albert kocha Marję. Widziała, jak Marja uśmiechała się wymownie do Alberta i nie wątpiła, że dziewczę odpłaca młodzieńcowi wzajemnością, chciała jednak nabrać w tym względzie zupełnej pewności.

Miłość ta mogła mieć dla niej, Walentyny, tylko...

stępstwa. Sędzią śledczy nie cofnie się zapewne przed niczem, byleby nie dopuścić małżeństwa syna swego z córką swej dawnej kochanki.

Trzeba było zatem stłumić tę miłość, zanim spotężnieje.

Walentyna obmyśliła plan zupełnie jej godny, a zatem nikczemny, który według przewidywań miał zabezpieczyć jej spokój.

Marja prędko opanowała wzruszenie, jakie w niej obudziły pytania matki i odpowiedziała:

— Zaręczam mamie, że się mama myli... Naturalnie, że są i między tą młodzieżą bardziej interesujący, ale tak mało zwracałam na nich uwagi, że nie zapamiętałam żadnego nazwiska, ani też niczyja twarz nie pozostała mi w pamięci.

— Przesadzasz, albo zanadto jesteś wybredna. Wicehrabia d'Arfeuille naprzykład jest zachwycający. A Albert de Gibray...

Wymawiając to nazwisko, Walentyna wlepiła wzrok w oczy Marji.

Dziewczę pozostało obojętne.

— Bardzo przystojny — rzekła — ale... Trochę za poważny, tak mi się zdaje... a zresztą i nie myślę o wyjściu zamąż.

— Nie myślisz o wyjściu zamąż? Dlaczego? W twoim wieku należy już o tem myśleć. — Cóżbyś na to powiedziała, gdybym ja dokonała już dla ciebie wyboru, którego ty sama uczynić nie potrafisz?

— O kim mama mówi? — zapytało dziewczę.

— Mówię o zachwycającym młodzieńcu, eleganckim, rozumnym, który niezawodnie zyska sobie wielkie uznanie pracami literackiemi, a ciebie wielce szanuje i widocznie wielką znajduje przyjemność w naszem towarzystwie, bo bywa u nas codziennie.

— Ależ to Maurycy Vasseur — zawołała Marja — ażeby mi się nie podobał...

— Więc chętnie wyjdziesz za niego?

Marja chciała gorąco zaprzeczyć. Ludwik Bressoles nie dał jej na to czasu.

— Czy Maurycy Vasseur oświadczył się przed tobą? — zapytał Walentynę, zmarszczywszy brwi.

— Formalnie pan Vasseur jeszcze się nie oświadczył, ale zdaje mi się, że mogę stanowczo powiedzieć, żem wyczytała z jego twarzy, iż bywa tu tak często dla Marji.

Biedne dziewczę zadrżało od stóp do głowy. Ojciec pospieszył ją uspokoić.

— Bardzo dobrze — rzekł. — Pozwólmy się panu Vasseur oświadczyć, a Marja niech sama swobodnie uczyni wybór według swego serca, chcę, żeby wybrała sama.

Czas płynął. Była godzina dziesiąta wieczorem. Trzy wymienione osoby rozeszły się do swych pokoi. Bal odbyć się miał nazajutrz. Od rana przyszli tapicerzy, ażeby ustawić meble, a potem

ogrodnicy z kwiatami. Maurycy przybył bardzo wcześnie, ażeby z budowniczym doglądać wykonania rozmaitych zleceń, które sam poradził. Bressoles nie mając żadnej sympatji do młodzieńca, oddawał mu sprawiedliwość zupełną co do wytwornego gustu.

Syn Aime Joubert nie spuścił z uwagi żadnego pokoju w pałacyku. Salon, przystrojony zielonością roślin, był dla niego przedmiotem szczególnych starań, zarówno jak i mała cieplarnia, do której można było wejść z podwórza tylnemi schodami i przez korytarz, omijając pokoje.

Maurycy kazał w tych dwóch pokojach postawić duże doniczki z kwiatami, zaopatrzone w gęsty mech dla przykrycia ziemi. Bressoles szedł za Maurycym, podziwiając jego zapał, dowcip i wesołość, tak że już zaczynał go uważać za nadzwyczaj miłego.

— Z tym młodzieńcem — pomyślał — nie można się nudzić.

Budowniczy chciał przez grzeczność zatrzymać młodzieńca na śniadanie. Maurycy wytłómaczył się pilnem zajęciem i opuścił pałacyk, nie zobaczywszy się ani z Walentyną, ani z Marją.

O dziewiątej wieczorem zapalono światło w żyrandolach i wkrótce pierwsi goście ukazali się w pokojach, przekształconych na cały szereg ogrodów zimowych.

Walentyna jaśniała pięknością w ślicznym kostjumie, który uwydatniał wszystkie jej plastyczne wdzięki. Marja, bardzo elegancko, ale bardzo skromnie ubrana, smutną była i zamyśloną. Myśl, że w całym tłumie tym nie zobaczy Alberta de Gibray, dobywała łzy z jej oczu.

Matka zaćmiewała ją zupełnie. Wiedziała o tem i nie było jej przykro bynajmniej.

XLVII.

W miarę, jak się napełniały pokoje, dał się słyszeć gwar pochwał, przerywany pochlebnemi wykrzyknikami.

Zachwycano się uprzejmością pani domu i wytwornym smakiem nowym i oryginalnym upiększeń.

Zwolna zjeżdżać się zaczęli znani czytelnikom naszym goście: Guy d'Arfeuille, Paskal de Landilly, Gabrjel Servais, który ukłoniwszy się budowniczemu i jego żonie, oczami szukał Marji, która właśnie z pośród gromadki młodych pań z roztargnieniem przysłuchiwała się światowym rozmowom, zupełnie dla niej obojętnym.

Przypadkiem jednak spojrzawszy dookoła, — spostrzegła matarza, podeszła doń z uśmiechem, podała mu rękę i zapytała:

— Ma pan jaką wiadomość o swym uczniu, panu de Gibray?

— Mam...

— Czy dobrą?

— Wyborną... Widziałem się z nim dziś rano. Daleko mu lepiej i prosił mnie, ażebym się od niego pani pokłonił, z zapewnieniem o jego szacunku i gorącej przyjaźni. Jeżeli więc to o niego

me[illegible] pani twarzyczkę, niech pani [illegible] z niej tę chmurkę.

— Jaki pan dobry, bardzo panu jestem wdzięczna — odpowiedziała Marja, — żadnego niepokoju nie czuję, będąc pewną, że Albertowi niebezpieczeństwo nie grozi.

— A dlaczego pani taka smutna?

— Doprawdy sama nie wiem, dlaczego doświadczam jakiegoś nieokreślonego uczucia, serce bije mi, jakby miało się ze mną stać coś przykrego, boję się czegoś.

— Boi się pani! — powtórzył Gabrjel Servais. — W tym tłumie? Pośród tych kwiatów, ognia, muzyki? Czego się pani lęka, mój Boże?

— Sama nie wiem czego... jakieś dziwne, niedorzeczne przeczucie, zapewne chorobliwe. Ręce mam zimne, jak lód, a jednocześnie gorączkę czuję. Uśmiecham się, a płakać mi się chce...

— Gdybym doktorem był, powiedziałbym pani, że to chwilowe podrażnienie nerwów, które trzebaby uspokoić, o ile można jak najprędzej...

— Uspokoić... ale czem?

— Zwalczyć samą siebie, przyłączywszy się do ogólnej wesołości. Oto i pierwsze dźwięki walca, a walc zdaje się wybornem jest lekarstwem na nerwy.

— Może pan ma słuszność...

— Nie może, ale z pewnością.

— Więc niechże doktor zastosuje zalecone przez siebie lekarstwo — rzekło dziewczę z uśmiechem. — Przetańczmy walca, jeśli pan zechce.

— Właśnie chciałem panią o to prosić.

Bardzo ładna kareta zatrzymała się z kolei przed podjazdem. Na koźle siedział stangret i lokaj, których twarze prawie nakryte były kołnierzami futrzanemi od płaszczów. Z karety wysiadł Maurycy. Lokaj otworzył i zatrzasnął drzwiczki.

— Czekaj tam, gdzie ci kazano — rzekł młodzieniec do stangreta, a zwracając się do lokaja, rzekł:

— A ty chodź za mną.

Maurycy przesunął się pośród karet na tylne schody, wychodzące na korytarz, którym można się było dostać do małej oranżerji, służącej za buduar dla pań.

Schody oświetlał jeden rożek gazu. Korytarz był stosunkowo ciemny i pusty, gdyż służba nie miała co robić po tej stronie. Syn Aime Joubert doszedł do maleńkiej oranżerji, nie spotkawszy żywej duszy.

— Daj mi szkatułkę — rzekł do lokaja.

Lokaj wyjął z pod długiego surduta znaną nam szkatułkę żelazną.

— Proszę. — powiedział, podając ją Maurycemu.

— Teraz — odezwał się Maurycy — idź i stań tak, ażebym z łatwością mógł cię znaleźć.

Lokaj skłonił się na znak, że rozumie, zawrócił się i znikł. Maurycy pozostawszy sam, ucho przyłożył do drzwi buduaru. Słychać było tylko zdala dolatującą muzykę orkiestry. Młodzieniec rękę położył na klamce i ostrożnie nacisnął. Otworzyły się drzwi.

Maurycy przestąpił próg, przeszedł przez oranżerję cichemi krokami, zbliżył się do portjery i uchylił ją, ażeby zajrzeć do saloniku. Tu także nie było nikogo. Wtedy przystąpił do jednej z większych doniczek z roślinami podzwrotnikowemi, wysłanej mchem i nacisnął na sprężynę żelaznej szkatułki.

Dał się słyszeć trzask i podniosło się wieko. Przy rzęsistem oświetleniu żółta i pstra łuska gadu błysnęła złowróżbnym blaskiem. Żmija poruszyła się zlekka.

Maurycy przewrócił szkatułkę i żmija wypadła na mech.

— Obudź się i zabij! — wyszeptał.

Wyszedł z oranżerij, mówiąc do siebie cicho.

— Walentynę potrafię ustrzec od niebezpieczeństwa, a Marję zdołam zniewolić, ażeby tu przyszła.

Lokaj, — którym był Verdier — włożył do kieszeni szkatułkę żelazną i wyszedł na ulicę, Maurycy zaś skierował się do podjazdu i udał się na górę głównemi schodami. Za kilka sekund oznajmiono w salonie:

— Pan Maurycy Vasseur.

Budowniczy uścisnął mu rękę, pani Bressoles powiedziała mu z uśmiechem, szczególne mającym znaczenie:

— Jakże to późno, kochany panie Maurycy.

— To prawda, alem niestety musiał w redakcji poprawiać korektę jednego z moich artykułów.

— Niech mi pan poda rękę — mówiła dalej Walentyna — obejdziemy pokoje i usłyszysz pan zasłużone pochwały, gdyż przyozdobienia, poczynione za radą pańską, wyglądają przy świetle czarodziejsko!

Maurycy wmieszał się w tłum wraz z Walentyną.

— Muszę z panem pomówić — rzekła doń Walentyna.

XLVIII.

Maurycy zaprowadził Walentynę do okna, gdzie zupełnie od dzieleni byli od tłumu, choć tylko o dwa łokcie.

— Teraz mów pani prędzej — rzekł — o co chodzi?

— Idzie mi o to — odpowiedziała pani Bressoles — ażebyś był dzisiaj bardzo uprzejmym dla Marji... słowem, żebyś pan nadskakiwał. Wiem, że nie kochasz Marji, bo mnie kochasz, proszę cię więc, w imię naszej miłości, ażebyś udawał w niej zakochanego

— Będę pani we wszystkiem posłuszny, lecz co to znaczy? — zapytał Maurycy.

— Powtarzam ci raz jeszcze, że nie tu miejsce dla objaśnień. Wiedz tylko, żem znalazła sposób, ażeby się z tobą nie rozstawać... zaraz pójdę do oranżerji, poczekam tam na ciebie i powiem wszystko, czego się chcesz dowiedzieć...

Maurycy zadrżał.

— Ona nie może iść do oranżerji — odezwał się. — Gdzie pani mąż?

— Tylko co był w pokoju, gdzie grają w karty.

— Zobacz pani, czy jest tam jeszcze, postaraj się, ażeby zauważył obecność pani i nie opuszczaj go, póki tam nie przyjdę.

— Może masz słuszność. Ale prędko przyjdziesz?

— Jak tylko dozwoli roztropność!

Walentyna ukradkiem ścisnęła Maurycego za rękę, rzuciła nań płomienne spojrzenie i odstąpiwszy od okna, przyłączyła się do tłumu gości. Poszła do pokoju, gdzie grano w karty, ażeby za radą Maurycego zobaczyć, czy mąż siedzi jeszcze przy zielonym stoliku. Maurycy spojrzał na zegarek. Wskazówki oznajmiały godzinę wpół do dwunastej.

— Już czas! — szepnął złoczyńca — zajmijmy się sukcesorką Armanda Dharville!

* * *

Jeśli Marja Bressoles głęboko zasmucona była nieobecnością Alberta, jeżeli przeczucia złowróżbne trapiły jej duszę, nie mniejszą melancholją ogarnięty był sen sędziego śledczego i miał niemniej ponure przeczucia.

Smutek zwiększał się bardziej, w miarę, jak zbliżała się chwila balu w pałacyku Bressolów. Zdawało mu się, że widzi Marję wśród tłumu wielbicieli, pochlebców, czuł zazdrość, którą choć nieokreśloną była i bez wyraźnych, pewnych przyczyn, niemniej dręczyła go okrutnie. Prosił doktora, ażeby mógł wyjechać wieczorem, chcć na jedną tylko godiznę. Doktór wyjazd uważając za bardzo niebezpieczny, odmówił prośbie chorego i pozostał nieubłaganym. Znużony marzeniami na jawie, młodzieniec zasnął. Sen jego, zrazu spokojny, gorączkowym się stał, pełnym widziadeł przykrych i złowróżbnych kombinacyj. W ciągu dwóch godzin, Albert, pocąc się, oddychając z trudnością, męczył się ze snem, gorączka jeszcze się bardziej wzmogła. Nagle zerwał się i głucho krzyknął:

— Jezus! Marja!... Co za okropny sen... — szepnął, obcierając zroszone potem czoło — znajdowałem się obok Marji w jakiemś dziwnem miejscu, dokoła nas były krzewy i kwiaty... wielkie niebezpieczeństwo groziło Marji, ale jakie nie mogłem odgadnąć... Wołała mnie na ratunek. A ja nogi miałem jakby przykute do miejsca. Nie mogłem rzucić się jej na pomoc. Widziałem, jak padła, spojrzawszy na mnie raz ostatni.

Straszna myśl przebiegła mu przez głowę.

— Czy to nie z nieba ostrzeżenie, ten sen? — rzekł do siebie. — Może Marja rzeczywiście jest w niebezpieczeństwie? Może ona mnie wołała na ratunek i za kilka minut może się dowiem, że zginęła, nie doczekawszy się pomocy? Lepiej życie swe tej nocy narazić dla ratowania Marji, niż jutro umrzeć z rozpaczy i wyrzutów sumienia.

Odrzuciwszy z siebie kołdrę, Albert wstał z łóżka i ubrał się powoli. Albert przedsięwziął wszelkie ostrożności, ażeby bez hałasu drzwi od pokoju otworzyć i nie obudzić ojca... Wyszedł na palcach, rachując się z każdym krokiem i wstrzymując oddech. Szczęśliwie przebył wszystkie pokoje i otworzył drzwi do sieni. Może nawet nie całkiem się obudziwszy, odźwierny machinalnie targnął za sznurek, otwierający furtkę.

— No, wolny jestem! — pomyślał syn sędziego, wybiegłszy na ulicę i zastrzaskując za sobą furtkę.

XLIX.

Albert chciał prędko iść, a raczej biedz, lecz chociaż ubrany był ciepło, przejęło go zimno.

Zaledwie kilka kroków uszedł, nogi się pod nim ugięły. Zmuszony był oprzeć się o ścianę, ażeby nie upaść. Na szczęście przejeżdżała dorożka. Albert krzyknął na woźnicę. Ten natychmiast zatrzymał konie.

— Dokąd mam jechać? — zapytał woźnica.

— Na ulicę Verneuil.

Woźnica zaciął konie i rzekł do siebie, głośno się śmiejąc:

— A to ci się urżnął.

Wziął pasażera za pijanego. Albert wcisnął się w kąt karety, spodziewając się trochę rozgrzać, bo trząsł się całem ciałem z gorączki.

* * *

W pałacyku Bressolów, Maurycy Vasseur przystąpił do Marji w tej chwili, kiedy Gabrjel Servais odprowadził ją na miejsce, po przetańczonym walcu. Ujrzawszy Maurycego, dziewczę z uśmiechem podeszło na jego spotkanie i podało mu rękę.

Łotr ujął tę rękę i obłudny, jak Judasz, uścisnął z pozorną życzliwością.

— Pan tak późno! — odezwała się doń Marja uprzejmie. — Był pan u nas i dziś rano, a jak ojciec pana prosił, żebyś na śniadanie został, to pan nie chciał; bardzo to brzydko z pańskiej strony.

— Sam bardzo żałowałem, ale nie mogłem korzystać z łaskawych ojca pani zaprosin. Dużo teraz pracuję i nie jestem panem swego czasu. Ale pani mi przebaczyła?

— Przebaczyłam!

— Czy mogę prosić o dowód?

— Jaki?

— Że pani ze mną przetańczy polkę. Dobrze?

— I owszem. Zdaje się, orkiestra zacznie zaraz grać.

Maurycy mówił do siebie:

— Po przetańczeniu polki musi iść do oranżerji, przekształconej na buduar. Postaram się o to, ażeby w czasie tańca popsuć uczesanie włosów, tak, ażeby potrzebowała koniecznie przejrzeć się w lustrze i poszukać szpilek.

Orkiestra grała pierwsze takty polki.

Pary podniosły się z miejsc.

Kończąc już tańczyć, Maurycy urządził tak, że wpadła na niego druga para.

Popchnięty, zaczepił niby przypadkowo spinką od mankietu o wstążkę, przytrzymującą wianek z kłosów i polnych kwiatów, a kiedy spuścił rękę, ruchem tym ściągnął i wianek.

Marja krzyknęła rozgniewana i obie ręce podniosła do głowy.

Maurycy zdawał się być zrozpaczonym.

— Przepraszam panią — wyjąkał — za niezręczność z mojej strony.

— Pan wcale nie jest winien — odrzekła Marja. — Winien jest ten, co na nas wpadł, ale i on też nie naumyślnie to uczynił.

Jedna z młodszych panienek przystąpiła do Marji i chciała jej poprawić kwiaty.

— Dziękuję pani — odpowiedziała, śmiejąc się Marja — dość będzie dwóch lub trzech szpilek, ażeby całe nieszczęście naprawić. Pójdę do oranżerji, gdzie jest wszystko przygotowane na takie wypadki, zaraz powrócę.

— Pani się na mnie nie gniewa? — zapytał Maurycy.

— O! ani trochę!

Marja pobiegła do oranżerji. Maurycy ścigał ją oczyma i poczuł dreszcz na całem ciele, widząc, jak uchyliła portjerę i znikła.

Kiedy portjera opuściła się znowu, usta jego wyszeptały:

— No, więc cóż? Cel usprawiedliwia środki!...

Poszedł do pokoju, gdzie grano w karty. W tej samej chwili wychodzili stamtąd budowniczy i Walentyna.

Maurycy chciał się do nich zbliżyć, kiedy nagle drgnął i stanął na miejscu. Lokaj, oznajmiający przybycie gości, zawołał właśnie:

— Pan Albert Gibray!

— O! znowu on! — pomyślał Maurycy. — Ale tym razem za późno przybywa.

Syn sędziego śledczego straszliwie był blady. Szedł zwolna i zataczał się przy każdym kroku.

Ludwik Bressoles spiesznie do niego przystąpił. Maurycy zbliżył się do Walentyny, która patrzyła na nowego gościa z nietajonem zdziwieniem.

— Kochany panie Albercie, skądże pan tutaj? — zapytał gospodarz. — Ależ to szaleństwo! Ledwo się pan trzymasz na nogagach!

— Gdzie panna Marja? — zapytał młodzieniec głosem prawie niezrozumiałym ze wzruszenia.

— Jest, tylko co tańczyła.

Albert schwycił Ludwika Bressoles za rękę. prędzej! Niech pan ją z łaski swej odszuka. Czemprędzej! Niech pan jej, nie zostawia samej.

— Dlaczego?

— Niebezpieczeństwo jej grozi...

— Nie wiem, ale niebezpieczeństwo śmiertelne... odszukaj czemprędzej!...

Maurycy usłyszał to i od stóp do głowy zadrżał.

— Co to znaczy? — zapytał sam siebie. — Nikt na świecie nie może o tem wiedzieć....

— Ależ mój drogi panie, w malignie pan jesteś — rzekł Bressoles, myśląc, że Albert dostał paroksyzmu gorączki. — Jakim sposobem może grozić Marji niebezpieczeństwo w domu ojca?

Zbliżyło się kilka osób i wszyscy patrzyli na Alberta ze zdziwieniem i prawie strachem. Zapadłe policzki i oczy, usta blade czyniły go podobnym do trupa.

— Szukajcie jej... — powtórzył. — Szukajcie... przysięgam państwu, że niebezpieczeństwo jej grozi.

Maurycy poczuł chłodny pot na skroniach.

Walentyna pytała sama siebie, czy Albert nie zwarjował i przypuszczała, że dostał obłąkania. Takiegoż zdania był i Bressoles.

Wtem krzyk przejmujący, straszny, okrzyk konania, śmierci rozległ się w jednym z najdalszych pokojów.

— Słyszycie? — zawołał Albert — słyszycie? A czym nie mówił!...

Marja opuściwszy za sobą ciężką portjerę, przystąpiła do lustra między dwoma drzewkami pomarańczowemi.

Koronki z wstążkami ozdabiały ramę. Po obu stronach dwanaście świec paliło się w dwóch kandelabrach.

Prócz tego świece w kinkietach, przybitych do ściany rzęsiście oświetlaly oranżerję, pełną podzwrotnikowych krzewów.

Temperatura była bardzo wysoka i nasycona odurzającą wonią Podchodząc do lustra, Marja potrąciła coś miękkiego i giętkiego, ale z początku wcale na to nie zwróciła uwagi. Usłyszała gniewne syczenie. syczenie dziwne.

Wzrok jej padł na dywan. Cofnęła się, tracąc przytomność z przestrachu, usta otworzywszy z przerażenia. Przed sobą zobaczyła żmiję, która podnosiła się groźnie i syczała ciągle.

Była to żmija z Fontainebleau, którą Maurycy położył do doniczki na mchu.

Gorąco, w pokoju panujące, bardzo prędko wyprowadziło żmiję z odrętwienia, gad wypełzał z doniczki, wił się, kręcił się, patrzał.

L.

Przerażające syczenie wzmagało się. Żmija wijąc się, drgnęła jak sprężyna stalowa i rzuciła się na dziewczę, leczześlizgnęła się z jedwabnej materji sukni.

Marja chciała uciekać. Żmija w dwóch skokach znalazła się przed nią, z rozwartą paszczą, z oczami błyszczącemi jak dwa ciemne djamenty. W żyłach nieszczęsnego dziewczęcia krew się ścięła; drżały jej ręce, ze strachu głos w gardle zamarł. Żmija rzuciła się drugi raz. Dostałą się do ręki, okręciła się około dłoni i żądło puściła w ciało. Straszny ból od ukłócia uczuwszy, drżąc z obrzydzenia, gdy gad niby żywa bransoletka obwił się około jej ręki. Marja zdołała nareszcie głos odzyskać.

Krzyknęła i ten to właśnie okrzyk pełen rozpaczy, wołanie o pomoc, doleciał do salonów. Potem padła na dywan, wszyscy rzucili się ku miejscu, skąd dało się słyszeć to żałosne wołanie. Kiedy Albert usłyszał głos Marji, natychmiast wróciły mu siły. Szedł, a raczej biegł pierwszy. Za nim podążył Bressoles, który, już sam nie wiedząc, co się z nim dzieje, powtarzał ciągle:

— Mój Boże, mój Boże, co się stało?

Za nimi pospieszyła Walentyna, Maurycy i cały tłum gości. Syn sędziego śledczego zerwał portjerę, bo wydawało mu się, że nie prędko ją rozchyli i wbiegł do oranżerji. Tu ujrzał dziewczę bez przytomności leżące na podłodze. Około obnażonej ręki Marji okręciła się żmija.

— Mój Boże! — zawołał trudnym do opisania głosem. — Serce mnie nie zawiódł! — dodał, klękając przy Marji. — Nożyczek, prędzej! prędzej!... na miłość Boską.

Walentyna nic nie rozumiejąc, spełniła machinalnie rozkaz i wyjęła z szufladki duże nożyczki, które podała następnie Albertowi. Ludwik, dusząc się, z oczami nabiegłemi krwią, ze szkarłatną twarzą, podobny był do człowieka, rażonego atakiem apopleksji.

Tłum przerażony gromadził się w cieplarni. W pierwszym rzędzie Maurycy, stojąc obok Walentyny, patrzał z nienawiścią na Al-

berta de Gibray. Albert, którego poruszenia śledzili wszyscy, odciął łeb żmiji. Konwulsyjnie się wyginając, ciało odkręciło się, poczęło pełzać, skakać, jak to zwykle bywa z gadami po odcięciu im łba.

Syn sędziego śledczego, schwyciwszy łeb żmiji, maleńkie oczki której wciąż jeszcze błyszczały i zdawały się być żyjącemi, oderwał ją od rany i rzucił na doniczkę kwiatów, potem — przyłożywszy usta do rany, z której sączyły się kilka różowych kropel, zaczął ją ssać, wypluwając za każdym razem krew, która poczęła też iść obficie. Wszyscy zrozumieli teraz, jakiemu niebezpieczeństwu podległa Marja. Walentyna uważając za konieczne odegrać wobec licznej publiczności komedję uczucia rodzicielskiego, padła na kolana obok córki i zaczęła jęczeć, starając się choć kilka łez wycisnąć z suchych oczu. — Ludwik Bressoles, padłszy na krzesło, patrzał na wszystko oczami osłupiałemi i jakby nie rozumiał, co się działo.

— Zwarjował na dobre! — pomyślał Maurycy. — Walentyna może być niedługo wdówką!

— Doktora potrzeba! — zawołał Guy d'Arfeuille.

Ktoś odpowiedział:

— Widziałem doktora Dufrena przy kartach.

Kilku mężczyzn pobiegło do wskazanego pokoju. Albert ciągle ssał ranę. W dwie sekundy później wszedł doktor. Zobaczywszy go, Bressoles nagle oprzytomniał. Wstał i odezwał się do doktora wskazując na Marję:

— Ocal ją, mój drogi, ocal ją!

— Co się stało?

— Ugryzła ją żmija!

— Żmija! — zawołał doktór.

— Ratuj! ratuj!

— Nic więcej nie mogę uczynić nad to, co pan de Gibray już uczynił. Jego poświęcenie ocaliło pannę Marję. W takich razach wyssanie tysiąc razy jest lepsze od wypalenia. Dajcie mi tylko spirytus i szarpi.

— Słyszałaś Walentyno! — krzyknął rozkazująco budowniczy — dalże prędzej!

Walentyna wstała i wyszła.

— Jak tu mogła dostać się żmija — zapytał doktór.

— To bardzo łatwo wytłomaczyć — odpowiedział Bressoles — przynoszono tu ziemię, mech, zapewne więc i zabrano z tem żmiję odrętwiałą z zimna. Odrętwienie minęło od goraca w oranżerji i biedna moja Marja stała się ofiarą.

Budowniczy zapłakał.

Wróciła Walentyna, a za nią służący niósł szarpie i spirytus.

— Potrzeba nam powietrza — bardzo dużo powietrza — rzekł doktór. — Proszę więc państwa wrócić do salonu.

Wszyscy zrozumieli konieczność stosowania się do tego rozkazu.

W kilka sekund przy Marji pozostał tylko ojciec, doktór, Walentyna i Albert.

Nie przychodzi do siebie! — wykrzyknął Bressoles, znów tracąc przytomność.

— Cierpliwości, mój drogi, nie trwóż się.... — wyrzekł doktór — Dość będzie, panie de Gibray — dodał. Spełnił pan swe zadanie z poświęceniem, które ocenią wszyscy ludzie z sercem... Teraz ją muszę wymyć ranę, a pan tymczasem wypłucz sobie usta tem oto...

Doktór wziął ze stoliczka szklankę, napełnił ją czystą wodą, nadał do niej trochę spirytusu i podał młodemu człowiekowi.

Albert spełnił polecenie. Doktór wlał do miednicy resztę spirytusu, długo obmywał ranę, a potem obwiązał bandażem, umoczonym także w spirytusie. Marja poruszyła się zlekka.

— Zaraz przyjdzie do siebie — odezwał się doktór. Niech ją czemprędzej zaniosą do jej pokoju i położą na łóżku.

Natychmiast dano polecenie. Dziewczę zwolna przychodziło do siebie. Błędnemi oczami powiodła po oranżerji. Zobaczyła ojca, matkę, doktora i Alberta de Gibray. W chwili, gdy zbaczyła Alberta, twarz jej zmieniona zajaśniała radością. Wyciągnęła do młodzieńca drżące ręce, westchnęła i znów zemdlała. Na westchnienie Marji drugie odpowiedziało westchnienie. Albert również zemdlał.

— Kochają się! — pomyślała Walentyna. — Wywzajemnia mu się miłością, nie omyliłam się wcale.

Przyszły dwie panny służące i pod dozorem Walentyny zaniosły Marję, ażeby ją rozebrać i położyć do łóżka, według polecenia doktora. — Doktór spiesznie przystąpił do Alberta, obejrzał go, pomacał puls i zawołał:

— Pan de Gibray bardzo chory!

— Tak, chory! — powtórzył budowniczy.

— Skądże się tu wziął?

— Zerwał się z łóżka i tutaj przyjechał, śniło mu się, że Marji grozi niebezpieczeństwo.

— Trzeba pana de Gibray wsadzić do karety i czemprędzej zawieźć do ojca.

— Sam go odwiozę — rzekł Ludwik Bressoles — jeżeli mi pan powiesz stanowczo, że Marja już nie podlega żadnemu niebezpieczeństwu.

Mogę pana upewnić. Jedź pan natychmiast. Pragnąłbym, ażeby ten młodzieniec jak najprędzej leżał w łóżku

LI.

W pięć minut Albert ciepło ubrany, siedział w karecie obok Ludwika Bressoles, który kazał stangretowi jechać na ulicę Reine v ile można najprędzej.

Smutkiem okrył się teraz pałacyk przy ulicy Vernueille.

Goście rozjeżdżali się po cichu. Doktór Duffrin także odjechał, doczekawszy się, że Marja przyszła do siebie i zasnęła snem głębokim, zażywszy narkotyczne lekarstwo.

Maurycy poszedł do rzekomego lokaja, to jest do Verdiera, który czekał nań na rogu ulicy z karetą i strasznie już przeziąbł i pojechał z nim na ulicę Surennes, gdzie Lartigues z niecierpliwością na nich czekał. Oznajmił mu prędko niepomyślne rozwiązanie nowego planu Maurycego, planu, który w nim budził taki zachwyt.

— Ten Albert dla nas fatalny!... zawołał Verdier.

— Trzeba go usunąć!... — rzekł Lartigues.

—Ja się na to nie godzę — odpowiedział fałszywy opat Meriss. — Sądzę, że mamy pewny sposób, nie tykając wcale tego młodzieńca.

— Co za sposób?

— Murycy musi ożenić się z Marją Bressoles; nazajutrz po ślubie nie trudno dopiąć nam celu.

— Łatwo ci powiedzieć! — odparł Maurycy — ale ożenić się trudno... są przeszkody wielkie! Zapominacie o moim rywalu!

— Rywal niebezpiecznym nie jest, leży w łóżku, bardzo chory i może długo jeszcze nie ruszyć się z domu. Zresztą jeśli wyzdrowieje i przeszkadzać będzie, zawsze jeszcze czas, ażeby go usunąć.

— Marję Bressoles ukąsiła żmija — rzekł Maurycy. — Nie wiadomo jeszcze, czy nie umrze od rany.

—O! z pewnością nie umrze! — odparł Verdier. — Wyssanie natychmiastowe ocala. Co robić? Tymczasem wyjaśnij sobie tajemnicę urodzenia swego i przygotuj swe dowody legitymacyjne, na wszelki wypadek.

— Dobrze! — odpowiedział Maurycy — spróbuję, ale za powodzenie nie ręczę.

Maurycy wyszedł z pałacyku przy ulicy Surennes. O wpół do czwartej po północy wrócił na ulicę Navarin i położył się spać.

* * *

W tym czasie, gdy się wydarzyły te ostatnie wypadki, śledztwo w sprawie podwójnej zbrodni na cmentarzu Pere Lachaise i ulicy Montorgueille wcale się nie posuwało naprzód.

Zniechęcenie poczęło ogarniać wszystkich członków policji, którzy uważali już, że niczego w tej sprawie nie dokażą. Tylko Aime Joubert silna nieubłaganą nienawiścią dla Lartiguesa, zemstę mając na celu, dążyła ciągle naprzód i nie dopuszczała zwątpienia do swych myśli. Codzień Martel i Jodelet, Galoubet i Sylwan Cornu przychodzili do mieszkania jej przy ulicy Meslay, ażeby narzekać na niepowodzenie.

— Ani weź... — powiadali — Z takimi sztukmistrzami nic nie poradzisz.

Na to się odzywała Aime Joubert:

— Szukajcie panowie i szukajcie!... Przypadek może was lada chwila naprowadzić na złoczyńcę, przebierającego się za opata, a przez niego dostaniemy i innych...

— Chcę państwu podać jeden projekt — rzekł nagle Martel.

— Mów pan dobrodziej... — zawołała pani Rosier.

— Zapewne pani zna charakter pisma Lartiguesa?

— Znam. Mam u siebie jego listy. Łatwo poznać jego pismo.

— Pewną jest pani, że niektórzy członkowie stowarzyszenia, do którego on należy, mieszkają zagranicą? — pytał dalej Martel.

— Tak.

— Więc możnaby dać próbkę pisma każdemu z urzędników, przykładających na kopertach stempel, to będzie rzecz możebna i łatwa do poznania jego ręki.

Aime Joubert pomyślała.

— Rozmówię się natychmiast z naczelnikiem policji śledczej — rzekła. — Niezawodnie Lartigues jako jeden z głównych członków bandy, często musi pisywać zagranicę. Myśl dobra... zaraz o tem pomówię.

Projekt Martela, udzielony potem przez nią naczelnikowi policji śledczej, podobał się mu, jednakowoż nie taił przed agentką, że trudno będzie uzyskać pozwolenie.

LII.

Aime Joubert znów wzięła dorożkę, ażeby od naczelnika wrócić do siebie na ulicę Victoire. W chwili, gdy wysiadła z powoziku i płaciła woźnicy, zobaczyła Maurycego, który podchodził ku niej i z uśmiechem wyciągał rękę.

— Przyszedłeś zjeść ze mną śniadanie? — zapytała.

— Nie, kochana opiekunko, chociaż pragnąłem się z tobą widzieć, bo chciałbym mieć z tobą bardzo poważną rozmowę.

Maurycy pozostawił ją bardzo zafrasowaną. bardzo zaniepoko-

joną, wsiadł do dorożki i kazał się zawieźć do pałacyku Ludwika Bressoles. Tutaj dowiedział się, że niebezpieczeństwo u Marji minęło, a na pytanie o położeniu Alberta, odrzekł Bressoles:

— Stan jego wczoraj był niebezpieczny. Pojadę dowiedzieć się jak noc przepędził, poczciwy młodzieniec, z takiem poświęceniem.

— A przywieź dobre nowiny — rzekła Walentyna.

Budowniczy wyszedł Walentyna i Maurycy pozostali sami.

— Czyś rozważyła to, o czem mówiliśmy? — zapytał Maurycy.

— Wiesz o co mi chodzi! Domyślasz się, jakiej ofiary czekam od twojej dla mnie miłości... mówię o projektowaniu małżeństwa twego z Marją. Sztuka, którą widziałam kiedyś w teatrze, dała mi myśl do tego małżeństwa.

— Nie licząc już tego — odpowiedział Maurycy ze złośliwym uśmiechem — że wybawię cię ze strasznego kłopotu.

Przypadkiem na pierwszym balu znajdowałem się niedostrzeżony przy rozmowie, twej z p. Pawłem de Gibray, który spotkawszy cię po dwunastoletniej rozłące, z pogróżkami domagał się od ciebie swej córki. Albert de Gibray kocha Marję. Ojciec jego, wiesz o tem również dobrze, jak i ją — nie zgodzi się nigdy, ażeby syn jego wszedł do twej rodziny. Boisz się, czy nie powie Bressolesowi, dlaczego sprzeciwia się małżeństwu tak dobranemu z pozoru pod każdym względem, a bez wahania to uczyni, jeśli go zniecierpliwią. Tymczasem kiedy córka twa zostanie moją żoną, Albert de Gibray będzie musiał zaniechać swych zamiarów i zniknie wszelka przyczyna kolizji... Czym się dobrze domyślił?

— No tak — odpowiedziała Walentyna ze zdziwieniem, oczarowana i zdumiona przenikliwością Maurycego. — Małżeństwo to będzie dla mnie ratunkiem.

— Jeżeli tylko zgodzi się Marja, która kocha Alberta.

Zniewolę ją do tego.

— A to jak?

— Nie wiem jeszcze, ale znajdę na to sposób.

Rozmowa z godzinę trwała. Ludwik Bressoles wrócił.

—I cóż? — zapytała go Walentyna — cóż z Albertem de Gibray?

— Trochę mu lepiej — odpowiedział budowniczy. — Ale kiedy przyjdzie do zdrowia? Tę kwestję sam tylko czas może rozwiązać... w każdym razie jeszcze nie tak prędko, może za tydzień, a może nawet za miesiąc.

Walentyna i Maurycy spojrzeli po sobie. Póki Albert poleży w łóżku, będą mogli działać swobodnie.

* * *

Piękna Oktawja żyła teraz w wielkiem odosobnieniu. Wierzyła jak najpoważniej, że może wyjść zamąż za hrabiego Juana i pędziła też życie jak najprzyzwoiciej chcąc przekonać hrabiego, że tylko dla niego żyje.

Mimowolnie stała się Oktawja oszczędną, a ponieważ hrabia Juan, bardzo bogaty, był dla niej bardzo też hojny, odłożyła już sobie u notarjusza dość pokaźną sumkę.

W chwili, gdy powracamy na ulicę Comartin, do córki Klaudyny Charvais, młoda kobieta sama siedziała w buduarze przed stołem, na którym rozłożone były wszelkiego rodzaju przedmioty, zegarki, branzoletki, pierścionki, łańcuszki i t. d., które Oktawja układała symetrycznie.

W małej szkatułce srebrnej znajdowały się inne jeszcze przedmioty, ale te chciała zachować bo otrzymała je od hrabiego Juana. Oktawja chciała się pozbyć zbyt licznych wspomnień z przeszłości, wymienić wszystkie te świecidełka na brzęczącą monetę i i przyłączyć ją do kwoty, która się zaokrąglała u notarjusza.

Wezwała do siebie jubilera. Był to handlarz z lekkiem sumieniem, który z zasady szacował o połowę taniej, kiedy sam nie miał kupić, a gdy chciano mu sprzedać dawał czwartą część ceny. Nazywał się Mueller.

— Chciałabym — rzekła Oktawja do niego — ażeby pan się przyjrzał tym rzeczom i oszacował je najdokładniej.

Wyjął z kieszeni szkło powiększające, przystąpił do stołu i rzekł z widocznym zachwytem.

— Ho, ho! bardzo ładne cacka. Bardzo eleganckie. Co za gust. Słowem, wszystko to warte jest szanownej pani.

LIII

— Niech pani otwarcie powie, czy mnie pani wezwała tylko po to, ażeby dla przyjemności dowiedzieć się chętnie odemnie, ile to wszystko warte, czy pani myśli sprzedać?

— A gdybym myślała? — odrzekła Oktawja — czybyś pan kupił?

Jubiler myślał sobie:

— Jeśli mi sprzeda za tę cenę będę miał przeszło dwadzieścia tysięcy franków czystego zysku — i odrzekł:

— Dlaczego nie!

— Za ile?

— Dam pani gotówką trzydzieści ośm tysięcy franków.

— Bądź pan rozsądny, jeśli chcesz pan zrobić interes.

— A pani ile żąda?

— Czterdzieści pięć tysięcy za wszystko.

— Razem z połamanemi rzeczami, z kawałkami złota i srebra w tej szkatułce hebanowej?

— Nie... tamte kawałki, jak pan nazywa, warte przynajmniej dwa do trzech tysięcy franków.

Mueller wysypał na stół wszystko ze szkatułki hebanowej i z właściwą sobie „sumiennością" począł oglądać kamienie i oprawę.

— Śliczna spinka! — rzekł nagle. — Bardzo oryginalna!

Spinka ta — znana czytelnikom — przedstawiała podkowę z turkusikami zamiast gwoździ.

— Drugą pani zgubiła? — zapytał jubiler.

— Tak odpowiedziała Oktawja — przez pomyłkę włożyłam tu tę spinkę, bo ją zachowam i nie sprzedam.

Odłożyła podkowę zdala od innych rzeczy.

— Dam czterdzieści pięć tysięcy, jeżeli pani doda te kawałki.

— Nie, czterdzieści sześć....

I niezawodnie zaczęłaby się targować, ale drzwi się otworzyły i hrabia Juan Smoiłów wszedł do buduaru.

— Co to porabiasz? — zapytał hrabia. — Co to znaczy? — dodał, wskazując rzeczy rozłożone na stole.

— Mój drogi — odrzekła Oktawja — wykonywam plan zamierzony oddawna. Dla mnie wartość mają tylko te rzeczy, któreś ty podarował, inne sprzedaję.

— A! bardzo dobrze! kończ, jak gdyby mnie tu wcale nie było.

Hrabia machinalnie patrzył na rzeczy, leżące na stole. Nagle drgnął i śmiertelnie zbladł. Spinkę spostrzegł, spinkę w kształcie podkowy z turkusikami. Wziął ją do ręki i przez kilka sekund przypatrywał się jej bardzo uważnie.

— Czy i ta rzecz włączona? — zapytał brabia spokojnie, pokazując spinkę, którą trzymał w ręce.

Oktawja drgnęła i przygryzła wargi.

— Nie, panie hrabio — odpowiedział jubiler — to pani Oktawja chce zachować dla siebie:

Oktawja pospieszyła odpowiedzieć:

— Bardzo ładna, zgubiłam drugą spinkę i chciałabym dobrać do pary.

Hrabia pozostał obojętnym, lecz zamiast położyć spinkę na stole, wciąż jeszcze trzymał ją w ręku i wciąż się jej przypatrywał.

— Zgadza się pani? — spytał jubiler.

— Czterdzieści sześć tysięcy, albo nie mamy o czem mówić.

— No, co robić, dam. Zostawiam pani zadatku dwa tysiące, a za godzinę przyniosę resztę i zabiorę rzeczy.

— Wystarcza mi pańskie słowo. Będę pana czekała za godzinę.

Jubiler pokłonił się i wyszedł. Oktawja poszła go odprowadzić do przedpokoju. Hrabia Juan na chwilę pozostał sam.

— Omylić się niepodobna — pomyślał — spinka zupełnie taka, jak ta, którą Aime Joubert znalazła w karetce, gdzie leżało ciało zabitego. Spinka ta niezawodnie należała do mordercy. — Wypadły turkus, znaleziony na cmentarzu Pere Lachaise, w moim gro-

bowcu rodzinnym, widocznie tego dowodzi. Ale jak wytłómaczyć obecność tej spinki w ręku Oktawji?

Właśnie w tej samej chwili wróciła młoda kobieta, Hrabia przybrał minę uśmiechniętą.

— Ho, ho! moja śliczna przyjaciółeczko — odezwał się — prowadzisz interesa wybornie! winszuję ci! Gdzież swe kapitały umieścisz?

— U mego notarjusza, kochany hrabio.

— Nie żal ci tych rzeczy?

— Wcale nie żal, a nawet rada będę, gdy ich już nie będzie... Nie cierpię ich, bo nie od ciebie pochodzą.

— E! przesadzasz... Utrzymujesz, że chcesz zachować to tylko, co ja ci podarowałem, a zatrzymujesz ot to...

I hrabia pokazał spinkę, którą trzymał w ręce. Oktawja zarumieniła się.

— To drobnostka — odrzekła młoda kobieta odzyskawszy przytomność umysłu.

— Drobnostka, a tak! Ale drobnostka ta jest bezwątpienia przyjemnem wspomnieniem!

Hrabia, mogący bardzo dobrze grać komedję, kiedy chciał, nadał głosowi swemu odcień zazdrości.

— Jak ty to mówisz? — zawołała Oktawja, usiłując się uśmiechnąć. — Nie dowierzasz mi?

— Jak najzupełniej i nie dowierzać będę tem bardziej, jeśli mi zaraz nie dasz objaśnień, których mam prawo od ciebie wymagać.

— Objaśnień. — Jasnych... dokładnych.... — Kto ci tę rzecz podarował?

— Nikt!

— Co znaczy to kłamstwo?

— To wcale nie kłamstwo, sama za swoje pieniądze kupiłam te spinki do mankiet, bo mi się spodobały na wystawie u jubilera.

Hrabia myślał: Bezczelnie kłamie.

Gdzieżeś zgubiła drugą spinkę, której brakuje? — zapytał.

Oktawja odpowiedziała wzruszając ramionami:

— Doprawdy, panie hrabio, bardzo mi trudno to powiedzieć; pewnego wieczora, rozbierając się, zauważyłam, że u jednego mankieta brak spinki, ale później już o tem nie myślałam.

LIV

— Aj — pochwycił hrabia — więc cię nie obchodziła ta zguba.

— Nie — odpowiedziała Oktawja, zdziwiona tak uporczywemi pytaniami hrabiego.

— A przecież to rzecz dość droga. I nie szukałaś wcale.
— Gdzie miałam szukać?
—Tam, gdzie tego dnia byłaś.
— Pamiętam, że jeździłam do lasku bulońskiego, a wieczór spędziłam w teatrze Bouffes.
— Dawno to było?
— Ze sześć miesięcy temu.
— Dziwię się bardzo, że nic nie przedsięwzięłaś dla znalezienia rzeczy, którą tak cenisz, że chcesz zachować jedną spinkę, która przecie na nic ci się nie może przydać.
— Rzeczywiście bardzo ją cenię.
— I zamierzasz drugą do niej dobrać?
— Tak.
— Chcesz mnie to polecić?
Hrabia owinął spinkę w kawałek papieru i włożył ją do pugilaresu; potem spojrzał na zegarek i pożegnawszy Oktawję, opuścił mieszkanie.

LV.

Maurycy pożegnawszy towarzyszy, odwiedził Aime Joubert. Po zwykłem przywitaniu, zapalił papierosa i rzekł:
— Pamiętasz moja opiekunko, jak przyszedłem ci powiedzieć, żem dostał miejsce u kapitana marynarki holenderskiej?
— Pamiętam bardzo dobrze.
— Zapominiałaś o głównej rzeczy w naszej rozmowie?
— O bardzo wielu rzeczach mówiliśmy.
— Tak, ale najbardziej o jednej.
— Czy nie masz tego na myśli, żeś powiedział, że długo jeszcze chcesz korzystać z kawalerskiej niezależności, zanim przyjdzie ci ochota do ożenienia?
— Tak. I zgodziliśmy się na to, że ożenić się zawcześnie byłoby niedorzecznie.
Maurycy wypuścił kłąb dymu z papierosa i odpowiedział:
— Przeciwnie, moja przyjaciółko, mówić w podobny sposób byłoby niedorzecznością.
— A przed kilku jeszcze tygodniami tak chciałeś swobody?
— Bom wtedy jeszcze nie znał tej, którą kocham.
— Kochasz się?
—Do szaleństwa.
— I w kim się kochasz?
— W czarującem dziewczęciu... kocham jak szalony i kiedy

poznasz tę anielską istotę, sama na nią przeniesiesz większą część przywiązania, jakie masz dla mnie.

— Urojenie chwilowe bierzesz za miłość głęboką, a to marzenie zniknąć może, jak sen, w chwili obudzenia.

Maurycy potrząsnął głową.

— Nie myśl tak, moja droga przyjaciółko — rzekł. Mam już dwadzieścia trzy lata i życie znam. Jestem usposobienia poważnego i umiem się zastanowić, niezdolny więc jestem oszukiwać siebie, urojenie poczytując za miłość: żeniąc się z tą, którą kocham, znajdę nietylko szczęście dla serca, ale i świetne stanowisko na świecie, rodzinę....

— Ot i niebezpieczeństwo — pomyślała — ale będę walczyła. Cóż to za rodzina? — spytała?

— Ojciec jest budowniczy, bardzo bogaty i cieszy się ogólnym szacunkiem, nazywa się Bressoles... ma przeszło sto tysięcy rocznego dochodu i duży posag daje za swą jedynaczką Marją...

Boję się, mój drogi, czy się nadaremnie nie łudzisz?... jakim sposobem ty, nie mając stanowiska i tylko sześć tysięcy franków rocznego dochodu, możesz się ożenić z taką bogatą panną? Mnie się to wydaje nieprawdopodobnem.

— A jednak bardzo to prawdziwe i przyjdzie niezawodnie do skutku.

— Czyś się już oświadczył o rękę Marji Bressoles?

— Nie oświadczyłem się i łatwo domyślisz się dlaczego, nie chcę nic uczynić bez twojej rady....

— Dziwię się temu i pytam się siebie, czyś przy zdrowych zmysłach?

— Nie wątpijże o tem, moja przyjaciółko — odrzekł młodzieniec, uśmiechając się i biorąc za ręce Aime Joubert. — Małżeństwo, o którem ci mówię i które niezawodnie przyjdzie do skutku, wbrew powątpiewaniom twoim, otwiera mi przyszłość, jakiej z rąk nie powinienem wypuszczać. Pomyśl tylko, jaki ze mnie teraz człowiek, kiedy nawet urodzenie me okrywa tajemnica. Nie mam stanowiska na świecie, ani majątku. Otóż nastręcza mi się sposobność. Trzebaż przecie skorzystać z tej sposobności. Dotychczas całą ufność pokładałem w tobie — mówił dalej — żyłem, nie troszcząc się o to, kto jestem... teraz inna rzecz. Będę musiał złożyć dowody mego pochodzenia. Wiem, że się nazywam Maurycy Vasseur — ale nigdy nie miałem metryki, ani aktu zejścia ojca mego i matki i dlatego przyszedłem prosić cię, kochana przyjaciółko, abyś oddała mi papiery moje, jeśli je posiadasz, a w przeciwnym razie, ażebyś mi powiedziała, skąd i jak ich dostać mogę. Słowem, proszę cię, ażebyś uchyliła zasłonę tajemniczą, która okrywa moje urodzenie i przeszłość mej matki.

Pani Rosier wciąż słuchała Maurycego. — Twarz jej blada by-

ła, ręce zimne jak lód, wszystka krew zbiegła jej do serca. Kiedy młodzieniec zamilkł, podniosła głowę i rzekła:

— Mój drogi, to małżeństwo jest niemożebnem.

Maurycy drgnął.

— Niemożebnem! — powtórzył. — Dlaczego?

Aime Joubert załamała ręce..

— Boże mój! — szepnęła prawie nieświadomie. — Mój Boże, co za nieszczęsny los!

— Uspokój się moja droga przyjaciółko — rzekł Maurycy łagodnym głosem. — Wzruszenie twoje, pomieszanie, zamiast rozpraszać me podejrzenie, bardziej jeszcze je wzmaga... przestraszasz mnie! Czy wiesz, że te słowa: „małżeństwo to niemożebne" zdają się jakby mówić, że tajemnicą urodzenia mego okryta jest hańbą? Mógłbym pomyśleć, że ojciec mój był zbrodniarzem, a matka nędznicą!

Pani Rosier jęknęła i zaczęła szlochać, strumienie łez spływały po jej twarzy.

Widząc tę rozpacz, Maurycy zrozumiał, że wypowiedziane przez niego domysły zgadzają się z prawdą. Wzmogła się w nim jeszcze bardziej chęć poznania prawdy.

— Poco te łzy, po co te łkania? — zawołał. — Mnie nie łez trzeba, lecz odpowiedzi, której żądam! Ukrywasz przedemną nazwisko i przeszłość mej matki... Czyż tak dalece była występna, że hańba okrywa ją i po śmierci?

Pani Rosier nagle się wyprostowała i do Maurycego przystąpiła groźnie, ze strasznym wyrazem oczu i rzekła tonem rozkazującym:

— Milcz! nie znieważaj twej matki!

— Jeśli ją znieważam, to twoja wina! Milczenie twe doprowadza mnie do rozpaczy. Powiedzże mi, kto była moja matka, powiedz, że cierpiała wiele, a wtedy obciążać jej nie będę. Wtedy, żałować ją będę, ale powiedz mi wszystko.

— Chcesz wiedzieć? — odezwała się Aime Joubert.

— Tak, chcę!

— Więc słuchaj!

VI

Pani Rosier przez kilka minut zbierała myśli, potem w te słowa zaczęła.

— Matka twoja, chociaż rodzice jej nie mieli majątku, otrzymała jednak staranne wychowanie. Przeznaczono ją do nauczy-

cielskiego zawodu. Po śmierci ojca, dla dopomożenia schorowanej matce, przyjęła miejsce nauczycielki na pensji w Dijon. Przy oszczędności i odmawianiu sobie wielu rzeczy, mogła się jako tako utrzymać wraz z matką. Biedna staruszka zaniemogła. W miesiąc później umarła twoja babka na jej ręku i matka twoja została sierotą w dziewiętnastym roku życia, bez żadnych środków do życia, oprócz swej pracy. Z krewnych żył jeszcze stryj. Udała się doń, prosząc o pomoc i opiekę. Stryj ten, stary, zimny egoista, nie ulitował się wcale nad córką swego brata, samotnem dziewczęciem, które raz po raz poniosło tak straszne ciosy i odepchnąwszy ją chłodno i prawie okrutnie, podarował jej pięć luidorów i rzekł do niej:

— Jedź do Paryża, zarabiaj i pracuj na utrzymanie, tylko próżniacy umierają z głodu!

A przecież bogatym był bo posiadał dwakroć sto tysięcy franków rocznego dochodu i nie był żonaty. O ile okrutnym był stryj, o tyle dumną była jego synowica; jałmużny nie przyjęła, choć jej pozostała bardzo maleńka kwota, a miejsce, które miała w Dijon, oddane już było komu innemu; pojechała do Paryża, gdzie spodziewała się odnaleźć dawną przyjaciółkę matki, wyszłą w Paryżu za mąż. Tym razem nie doznała zawodu.

Przyjaciółka matki przyjęła ją z otwartemi rękami, pocieszyła ją, dodała odwagi i umieściła u pewnej bogatej rodziny, gdzie też przez dwa lata żyła spokojnie, jeżeli nie całkiem - szczęśliwie.

Na nieszczęście śmierć pana domu wywołała wielkie zmiany. Twoja matka musiała opuścić miejsce, ale list polecający dał jej wstęp do innej rodziny. Spodobała się żonie znakomitego Rosjanina, która przyjęła ją za główną garderobianą i lektorkę. U tej to szlachetnej, zacnej pani zaczęły się nieszczęścia w jej życiu.

Dotąd matka pozostawała cnotliwą, czystą i Bogu wiadomo, jak uczciwą była jej natura. — Otrzymując rozsądne rady, mając dobre przykłady przed oczyma, nie podejrzywała wcale istnienia złe, go i wszelki ją występek przerażał. Na nieszczęście w tym czasie, kiedy poczęła służyć u tej rodziny rosyjskiej, łotr pewien, nikczemnik, szatan z ludzką twarzą, został przybocznym kamerdynerem samego pana hrabiego Kurawiewa.

Usłyszawszy nazwisko to, którego się nie spodziewał, Maurycy drgnął i słuchał jeszcze uważniej.

Matka twoja, zobaczywszy go po raz pierwszy, ani podejrzywała, że stanie się on sprawcą jej późniejszych nieszczęść.

Łotrowi wielce zależało, ażeby pozyskać sprzymierzeńca domu, gdzie z nim weszła zbrodnia i nieszczęście. Umiał tak zręcznie odegrać komedję miłości, mówił o małżeństwie z takim zapałem, że biedna matka twoja przywiązała się do niego namiętnie, ani na chwilę nie podejrzewając jego szczerości. Została kochanką tego człowieka!

— Kochanką! — powtórzył Maurycy.

— Tak, kochanką — odpowiedziała pani Rosier tonem głuchej wściekłości. — Łotr splamił czystą duszę, ślepo mu wierzącą! Syn shańbionego dziewczęcia nie miał nigdy nosić nazwiska swego ojca!

— A tym synem jestem ja? — przerwał Maurycy.

— Ty — odpowiedziała pani Rosier. — Ale nie wiesz jeszcze wszystkiego! Słuchaj słuchaj jeszcze!

Wkrótce potem, gdy uwiedziona została twa matka, hrabinę Kurawiew znaleziono nieżywą w łóżku, zamordowaną dwoma pchnięciami sztyletu. Kamerdyner zabił hrabinę, poczem uciekł — pozostawiwszy jednak fałszywe poszlaki, które miały naprowadzić podejrzenia na twą matkę. Nieszczęśliwą kobietę aresztowano i wsadzono do więzienia.

Maurycy znów zadrżał. Twarz Aime Joubert powlokła się bladością śmiertelną i nabrała okrutnego wyrazu. Ponury ogień błyskał w jej oczach. Mówiła dalej głosem gorączkowym, ochrypłym i urywanym.

— Wyprowadzono śledztwo, matkę twoją poczytywano za nikczemną istotę, wspólniczkę łotra, który spełniwszy zbrodnię, znalazł sposób uiścia przed sprawiedliwością.

Czas upływał wolno. Na tydzień przed posiedzeniem, na którem los jej miał być rozstrzygnięty a zabójca skazany na śmierć zaocznie, — matka twoja porodziła syna.

— Mnie! — zawołał Maurycy po raz drugi. — Takie przeznaczenie! — dodał z goryczą. — Chrzczony jestem we krwi. Jak nazywał się mój ojciec morderca?

— Piotr Lartigues!

— A moja matka? co się stało z moją matką?

— Udało się jej dowieść niewinności w sposób jasny, stanowczy, była uniewinnioną.

— Więc na jej nazwisku nie pozostało krwawej plamy, sprawiedliwość ludzka ogłosiła jej niewinność?

— Plamy nie pozostało.

— A po uniewinnieniu co uczyniła moja matka?

— Przysięgła zemścić się na łotrze, który nietylko ją oszukał i shańbił, ale o mało co nie zaprowadził na rusztowanie.

— Zemścić się?... w jaki sposób? cóż mogła uczynić?

— Sama uczynić nic nie mogła, a przecie za jakąbądź cenę chciała odnaleźć zbrodniarza, wydać go w ręce sprawiedliwości i przyczynić się do ukarania go śmiercią. Udała się do prefekta policji, błagała jak o łaskę i otrzymała miejsce w policji śledczej... piętnaście lat w niej służyła.

— Ona? moja matka? — wyszeptał Maurycy, zakrywszy twarz rękami.

Po kilku sekundach podniósł głowę.

— Co mi do tego? — rzekł. — Matka moja umarła, życia jej nie zaczną rozgrzebywać. W metryce mej chyba nie jest zapisane, żem się urodził w więzieniu. W akcie zejścia mojej matki również nie może być mowy o tem, że należała do policji...

— Twoja matka nie umarła! — odpowiedziała pani Rosier.

Maurycy drgnął, jak ukąszony przez żmiję.

— Matka moja nie umarła? — powtórzył zdławionym głosem.

— Nie, żyje ona jeszcze i chociaż dostała dwakroć sto tysiecy franków w spadku po stryju, który tak okrutnie odmówił jej niegdyś wszelkiej pomocy, znowu wstąpiła do policji śledczej. Ściga ona jeszcze Piotra Lartiguesa, twego nikczemnego ojca, który jest niezawodnie wspólnikiem zabójcy na cmentarzu Pere Lachaise i na ulicy Montorgueil. Przysięgła, że obu odda pod gilotynę, na którą zasłużyli!

Dreszcz przebiegł po ciele Maurycego. Zimny pot wystąpił mu na czoło.

— A teraz — mówiła dalej pani Rosier — idź prosić ojca Marji Bressoles o jej rękę. A gdy zechce się dowiedzieć, kto jesteś, powiedz mu: „Jestem synem nieprawym Piotra Lartiguesa, mordercy, skazanego zaocznie na śmierć i Aime Joubert, uniewinnionej przez sąd przysięgłych, a po uniewinnieniu należącej do agentów policji. Takim jestem. Proszę pana o rękę pańskiej córki.

LVII.

— Moja matka, moja matka... — zawołał Maurycy. — Gdzież ona jest, chcę ją zobaczyć, ja się z nią zobaczę, ona potrafi mi przyjść z pomocą, jak ty mi pomagałaś dotychczas!

Pani Rosier upadła na kolana i wyciągnąwszy do młodzieńca ręce drżące, odpowiedziała:

— Ja jestem twoją matką! Czyż nie domyśliłeś się tego, widząc, jak cię kocham?

Maurycy zamiast porwać ją w objęcia i przycisnąć do piersi, cofnął się w tył ze zgrozą.

— Ty? — wyszeptał. — Ty jesteś moją matką? I ty służysz w policji? i ty chcesz oddać pod gilotynę mego ojca i zabójcę na cmentarzu Pere Lachaise, którego uważasz za jego wspólnika?

— Tak — odpowiedziała nieszczęśliwa kobieta, szlochając. — Nie przeklinaj mnie, dziecko moje, nie odtrącaj, ja cię tak kocham i nienawiść twoja i pogarda zabija mnie.

Wspólnik kapitana Van Broke i opała Merissa jakby skamieniał.

Najlżejszy popęd serca nie pociągał go do tej kobiety, która dla niego była tak czułą, tak przywiązaną i którą nazywał „poczciwą opiekunką“ poniekąd nawet z pewną miłością, kiedy nie wiedział, że jest jego matką.

Jedno tylko budziło w nim strach i literalnie wprawiało w przerażenie, a mianowicie okoliczność, że służy w policji jego matka, że szukała go, mordercę, ażeby oddać pod gilotynę. Na tę myśl obłąkania dostawał.

Jedno słowo, jeden ruch nieostróżny mogą mnie zdradzić, a onaby mnie wydała.

Stopniowo jednak spokój powracał w jego myślach, a zastanowienie się całkiem dodało mu odwagi.

— Kocha mnie, uwielbia, dla niej wszystkiem jestem — mówił sobie zbrodniarz. — Gdybym się nawet zdradził, nie wydałaby mnie... nie mam się czego lękać!

Zaszła w nim zupełna zmiana. Stał się znów pierwszorzędnym komedjantem, jakim był zawsze. Ujął za rękę p. Rosier, podniósł ją, przyciągnął do piersi i całując z obłudną tkliwością, zawołał:

— Jabym cię nienawidzieć miał i pogardzać tobą, szlachetna i nieszczęśliwa męczennico. Ażali sądzisz, mylisz się, a jeśli tak myślisz, za jakiego potwora niewdzięczności mnie masz? — Kochałem cię już, nie wiedząc, czem dla mnie jesteś, widząc w tobie uosobienie przywiązania! Teraz wiem wszystko, wiem, ileś wycierpiała i miłość moja zwiększyła się od tych cierpień twoich. Sto razy bardziej cię kocham i szanuję tak, jak cię kocham!

Aime Joubert płakała, ująwszy w obie ręce głowę syna i pokrywając czoło jego pocałunkami, w których tonęła cała jej dusza.

— Więc to prawda? — wyszeptała. — Przebaczasz mi to, co uważałam za swój obowiązek?

Pani Rosier ledwie oddychała, tak wzruszona była radością tą nagłą.

— O! Maurycy... o! moje dziecko — mówiła głosem ledwie zrozumiałym. — Jakżeś mnie uspokoił... ile szczęścia dają mi twoje słowa.

Młodzieniec znów objął matkę posadził ją, sam usiadł i wznowił rozmowę.

— Więc wciąż jeszcze szukasz tego człowieka?

— Szukam i szukać będę nieustannie, nie zrażając się niczem.

— Czyś wpadła już na jego ślad?

— Tak... wiem, że jest w Paryżu, widziałam go, mówiłam z nim, trzymałam go w ręku! W chwili stanowczej szatan wziął jego stronę i wymknął mi się!

— A czyś pewna, że to on?

Pani Rosier skinęła potwierdzająco. Maurycy pytał dalej:

— I sądzisz, że to on dopuścił się podwójnej zbrodni, która teraz zajmuje cały Paryż?

— Jeżeli głównym sprawcą nie jest, to musi być wspólnikiem

— Z czego to wnioskujesz?

— Z rozmaitych wiadomości z całego szeregu prawdopodobieństw!

— Powiedziałeś mi, że ten człowiek nazywa się Piotr Lartigues?

— Tak.

— Czy to nie będzie jeden z pięciu — pomyślał Maurycy — znajdę go bez trudności — dodał również w myśli.

Pani Rosier wciąż trzymała syna w objęciu.

— Kochane dziecko — rzekła — więc nie wyrzekasz się swych projektów?

— Wcale się nie wyrzekam.

— To ty bardzo kochasz to dziewczę?

— O bardzo, ale o tem pomówimy później. W tej chwili jedno mnie niepokoi, twa służba w policji. Czyż przez miłość dla mnie nie zgodziłabyś się ją porzucić?

W tej chwili to niepodobna.

— Dlaczego?

— Zobowiązałam się jak najzupełniej, przytem dla twego dobra dla twego majątku muszę wytrwać.

— Dla mego dobra? dla mego majątku?

— Tak, dla twej przyszłości. Bardzo znaczna suma — pięćkroć sto tysięcy franków — doręczona mi będzie za nagrodę przez młodego hrabiego Kurawiewa w dniu, kiedy schwytam i wydam Lartiguesa. Młody hrabia, posiadający ogromny majątek, chce od Lartiguesa mieć dowody.

— Więc działaj dalej, matko — rzekł Maurycy — i niech cię Bóg prowadzi, niech ci powodzenie ześle, tego ci gorąco życzę.

— Drogie dziecko, twe słowa podwajają mą energię. Nadziei mi dodają i wiary, tak, Bóg mnie poprowadzi! Tak, wyśledzę złoczyńców, schwytam ich i oddam na rusztowanie... a ty będziesz wtedy szczęśliwy.

Maurycy poczuł na szyji coś zimnego. Zdawało mu się, że go dotknął nóż gilotyny. W tej chwili do drzwi pokoju, gdzie znajdowała się agentka z synem, dwa razy zapukano.

— Wejdź — odezwała się pani Rosier, przypuszczając, że służąca.

Rzeczywiście drzwi otworzyła Magdalena. W ręce trzymała bilet wizytowy.

— Przepraszam cię, mój drogi, — wyrzekła biedna matka pomieszana. — Muszę cię na kilka minut opuścić. Tego pana nie mogę nie przyjąć.

— Magdaleno, poproś go do saloniku.

— Dobrze.

— Tylko ze mną nie rób ceremonji, moja matko — odpowiedział Maurycy. — Pożegnam cię.

— Więc do widzenia! tylko przyjdź wkrótce, nie daj na siebie czekać.

LVIII.

Maurycy dwa kroki postąpił ku drzwiom — wrócił się jednak.

— Zanim odejdę, proszę cię, abym mógł u ciebie napisać kilka słów, które poślę przez komisjonera.

Przy naszej rozmowie dość długiej zapomniałem się widzieć z pewną osobą i teraz muszę coś napisać dla usprawiedliwienia mej nieobecności.

— Jesteś tu, jak u siebie, moje dziecko — odrzekła pani Rosier. — Na tym stoliku znajdziesz wszystko do pisania, a ja tymczasem pójdę do gościa.

Agentka pocałowawszy syna, poszła do hrabiego Iwana, bo to od niego przyniosła bilet Magdalena.

— Dowiem się, kto jest ten gość — pomyślał Maurycy — tu wszystko wydaje mi się podejrzanem.

Zbliżywszy się po cichu do drzwi bocznych, które prowadziły do saloniku. Maurycy przyłożył ucho do dziurki od klucza.

— O! pan hrabia — odezwała się pani Rosier, wchodząc — zapewne ma pan mi do powiedzenia coś ważnego, kiedy pan przyjechał tutaj.

— Coś bardzo ważnego! — odpowiedział hrabia.

Oboje mówiący starali się głosu nie podnosić, jednakowoż Maurycy nie stracił ani słowa.

— Wszystko słyszę — szeptał. — Ale kto może być ten hrabia, jak go matka tytułuje?

— Niech pan raczy usiąść; słucham pana.

Iwan Smoiłow mówił dalej.

— Czy ma pani jeszcze u siebie tę spinkę, którą pani znalazła w najemnej karetce przy ul. Ernestyny, a która według wszelkiego prawdopodobieństwa należy do zabójcy?

Maurycemu włosy stanęły na głowie.

— Tak, mam ją u siebie.

— Tutaj?

— Tutaj.

— Może mi ją pani pokazać?

Pani Rosier wyjęła klucz z kieszeni, otworzyła szufladę biurka i wzięła stamtąd spinkę, którą podała hrabiemu.

Długo się jej przypatrywał, potem wydobył z pugilaresu tę spinkę, którą zabrał Oktawji i położył ją obok pierwszej.

— Niech pani porówna obie spinki — rzekł do Aime Joubert.

Zobaczywszy przedmiot, przyniesiony przez hrabiego, agentka drgnęła, wzięła go do ręki i poszła mu się przyglądać. Maurycy patrząc przez dziurkę od klucza, śledził miny mówiących. Twarz gościa była dotąd dlań niewidoczną. Jemu samemu przestrach powlókł twarz śmiertelną bladością. Ręce mu drżały i krople potu występowały na skronie. Po minucie odezwała się Aime Joubert.

— Te dwie spinki podobne są do siebie, jak dwie krople wody.

—To mnie też uderzyło od pierwszego spojrzenia — odpowiedział hrabia. — Dla mnie zupełnie jest pewnem, że spinka ta stanowi parę z tą, którą pani ma u siebie, a zatem wpadliśmy na ślad zabójcy.

Znalazłem ją u pewnej młodej osóbki, która mnie obdarza względami, a którą w półświatku nazywają piękną Oktawją.

Maurycemu potrzeba było całej siły woli, ażeby powstrzymać się od okrzyku przerażenia, który miał mu się już z piersi wydrzeć.

— Poznałem ten głos — pomyślał — to hrabia Iwan...

I znów jął nasłuchiwać. Hrabia szczegółowo opowiedział agentce, co zdarzyło się przed godziną u Oktawji.

— I nie pytałeś pan tej kobiety — zagadnęła agentka.

— I owszem, obsypałem ją pytaniami, udając, że jestem zazdrosny, ale pewny jestem, że kłamała. Trzeba ją będzie aresztować. U sędziego śledczego prędzej co powie.

Maurycy poczuł dreszcz na całem ciele. W głowie mu się kołowało.

—Masz pan słuszność, to należy przedsięwziąć — odpowiedziała pani Rosier. — Areszt jest konieczny, lecz bez skandalu. Obawiać się niema czego. Oktawja nie podejrzywa nic i ani myśli o ucieczce. Zresztą, dodaję, wcale nie uważam jej za wspólniczkę. Zna tylko mordercę, może go wskazać.

— Zginąłem — pomyślał Maurycy. — Czeka mnie nie bogactwo, lecz szafot.

— Nie wszystko jest stracone — szepnął potem Maurycy i opuścił swe obserwacyjne stanowisko; po cichu wyszedł do przedpokoju, otworzył drzwi na schody, udał się niemi na dół, a Magdalena nawet nie zauważyła, jak wychodzi potem. Wkrótce i hrabia pożegnał agentkę, która włożyła kapelusz, salopę i czemprędzej podążyła do pierwszej stacji karet.

— Gdzie jechać? — zapytał woźnica.

— Do prefektury policji — odpowiedziała.

Maurycy również wziął karetkę i pojechał na ulicę Surennes. Drzwi od pałacyku otworzył mu Dominik. Młodzieniec obok niego

przeleciał jak strzała i wbiegł do pokoju mniemanego kapitana Van Broke. Lartigues i Verdier siedzieli przy stoliku. Ujrzawszy Maurycego, pomieszanego, bladego, patrzącego dziko, krzyknęli ze zdziwienia.

— Co się stało? — zapytał Verdier.

Maurycy padł na krzesło i krzyknął:

— Zginęliśmy!

— Zginęliśmy! — powtórzyli obydwaj zbrodniarze, zbladłszy pomimo całej swej zimnej krwi.

— Przynajmniej ja!

— Mówże prędzej!

— Wy wprzód mi odpowiedzcie — rzekł Maurycy, wstając.

— Jeśli chcesz nas o co zapytać, to pytaj, ale po krótce — odpowiedział Lartigues.

— Jednego i drugiego z was znam — zaczął młodzieniec — tylko pod przybranemi nazwiskami. Juljusza Termann, kapitana Van Broke i opata Merissa. To są nazwiska wymyślone, a prawdziwych waszych nie znam, tak samo, jak i dwóch jeszcze innych członków stowarzyszenia „Pięciu“... Dotąd wszystko mi to było jedno, a teraz nie.... Potrzeba mi powiedzieć, którego z „Pięciu“ sąd przysięgłych skazał zaocznie na karę śmierci za zabójstwo hrabiny Kurawiew, który się nazywa Piotr Lartigues?

Gdy młody człowiek, oddech tracąc, prawie z obłąkaniem na twarzy wymawiał przytoczone przez nas zdania, Verdier rzucił na mniemanego kapitana Van Broke znaczące spojrzenie, którem zalecał mu milczeniem. Uważał on, że Maurycy godzien jest należeć do ich stowarzyszenia, choć zresztą sam się narzucił, jak wiadomo, lecz bał się, ażeby młodzieniec przez nieostrożność nie wystawił wszystkich na niebezpieczeństwo, dlatego sądził też, że przed nim zdejmować maski nie należy.

— Piotr Lartigues, o którem mówisz, już nie żyje — odezwał się. — O tem sam powinieneś jak najlepiej wiedzieć.

— Jak najlepiej? — powtórzył Maurycy pytająco.

— Tak, bo krył się on pod nazwiskiem Gustawa Perrier i zabity został przez ciebie w karetce na ul. Montorgueil, w chwili, gdy przybył do Paryża.

— Wysłaniec Michała Bremont. Człowiek, któregom ja zabił, nazywał się Piotr Lartigues? — rzekł urywanym głosem Maurycy.

— Tak... ale dlaczego jesteś tak wzruszony?

Maurycy głucho krzyknął:

— Jaki ja nieszczęśliwy — jęknął, chwytając się za głowę. — Zabiłem ojca!

KONIEC TOMU DRUGIEGO.



TAJEMNICA GROBOWCA

Powieść z życia francuskiego

w 3-ch tomach

TOM III

Syn

I.

Okrzyk Maurycego: „Jaki ja nieszczęśliwy, zabiłem swego ojca"... — rozległ się w małym saloniku przy ulicy Surennes.

— Twego ojca! — zawołał oszołomiony Lartigues - twego ojca!... o!... ależ!... Wytłomacz się lepiej...

Maurycy wziął ze stołu karafkę, nalał wody w dużą szklankę, wypił całą duszkiem i odzyskał zimną krew, tak, że mógł opowiedzieć zdziwionym słuchaczom, co usłyszał od pani Rosier.

Zakończył opowiadanie na tem, jak hrabia Iwan przyszedł wieczorem do Aime Joubert. Verdier i Lartigues słuchali Maurycego i ze zdumieniem i z przestrachem. Lartigues nie mając śmiałości ani się odezwać, tłomaczył sobie teraz w myśli tę szczególną sympatię tajemniczą, którą od pierwszego widzenia poczuł do młodego człowieka — syna swego — i patrzył na Maurycego z wyrazem rozrzewnienia i zachwytu.

— O! o! — rzekł Verdier po chwili milczenia. — Syn hrabiny Kurawiew znajduje się w Paryżu i stał się sprzymierzeńcem Aime Joubert — która służy w policji i szuka Lartigua! to rzecz ważna dla nas i istotnie niebezpieczna!

— Trzeba nam się uwolnić od Aime Joubert — przerwał Lartigues.

— Uwolnić! jak? — zapytał Maurycy.

— Zabić!

— Nie zabijecie jej! — zawołał Maurycy.

— A któż nam przeszkodzi?

— Ja... to moja matka... Bronić jej będę. — Nie chcę, abyście ją zamordowali.

— Wolisz, ażeby nas zgubiła?

— To moja matka! — powtórzył Maurycy. — I tak już dość, że ojca zabiłem, nie dozwolę wam tknąć się mej matki.

— Dosyć tych czczych gadanin — rzekł rozkazująco Verdier. — Zdołaliśmy dotąd ujść przed poszukiwaniami Aime Joubert i hrabiego Kurawiewa, potrafimy się im wywinąć i na przyszłość. Bądźmy ostrożni, podwójmy baczność i przezorność, pracujmy bezustannie nad wykonaniem naszego wielkiego planu, a jak tylko miljonerami zostaniemy, pojedziemy do Ameryki, — gdzie nie będziemy już się niczego obawiać.

— Nie wszystko jeszcze wiecie — mówił dalej Maurycy —

niebezpieczeństwo nie tylko w tem... bo jest ono od nas już o wiele bliżej i może jutro będzie już za późno z niem walczyć.

— Jutro! — powtórzyli razem Lartigues i Verdier.

— Tak, bo jutro Oktawja, dawna moja kochanka, teraz ulubienica hrabiego Iwana, aresztowana będzie; ona wszystko wyśpiewa, ja zginę i wszystkie plany nasze przepadną.

— Oktawja? hrabia Iwan? — wyjąkał Verdier — cóż to znów znaczy?

Maurycy opowiedział historję spinki.

— Do krocset djabłów! — zawołał Lartigues. — Jeżeli zacznie śpiewać, a zdaje mi się, że to nastąpi i wyśpiewa wszystko, nasz Maurycy rzeczywiście w wielkiem będzie niebezpieczeństwie. Ja byłbym za tem, ażeby dziś jeszcze wyjechał z Paryża.

— Uciekać, wszystko to jedno, co przyznać się do winy — odparł Verdier.

— Cóż więc w takim razie uczynić?

— Oktawja nie powinna powiedzieć, do kogo należy ta spinka! — rzekł Verdier i wyjął z pugilaresu grubą, złotą igłę, długości dwudziestu centymetrów.

Pokazał Maurycemu tę igłę i mówił dalej:

— Pójdziesz zaraz do Oktawji... a to ci zapewni jej milczenie. Kiedy jutro zrana przyjdą ją aresztować, znajdą ją nieżywą.

Maurycy wzdrygnął się z przerażenia.

— Zabić ją — wyszeptał — popełnić tak nikczemną zbrodnię, na to nigdy się nie zgodzę.

Verdier wzruszył ramionami i odrzekł:

— Jeżeli dozwolisz Oktawji opowiedzieć wszystko, czeka cię szafot, wybieraj między życiem jej a swojej.

Maurycy drżał, ale wywody Verdiera odniosły zwycięstwo nad jego chwilowem wzburzeniem.

— Fatalne przeznaczenie mnie popycha! — wyszeptał. — Oktawja nie powie nic.

Schował igłę złotą do pugilaresu i rozstawszy się ze wspólnikami, wrócił do karetki, która go przywiozła i czekała na niego i kazał jechać na ulicę Navarin.

— Jest list do pana! — zawołała odźwierna, gdy go zobaczyła.

Młodzieniec wziął list i poznał pismo Oktawji. Wszedłszy do pokoju, zapalił świecę, rozerwał kopertę i przeczytał.

— Czeka na mnie — szepnął paląc list — sama się na śmierć skazuje.

Włożywszy na siebie ubiór podróżny, znacznie zmieniający jego powierzchowność, wziął oba klucze, przysłane mu przed kilku dniami przez Oktaję i wyszedł spokojny, chłodny, stanowczy, słowem taki, jakim go przedstawiliśmy czytelnikom na początku opowiadania.

* * *

Opuśćmy obu złoczyńców i powróćmy do Aime Joubert, która pojechała do prefektury policji. Naczelnik policji śledczej natychmiast ją przyjął. Opowiedziała mu o wszystkiem, a on poprosił ją, ażeby nazajutrz o ósmej zrana czekała w karetce na rogu ulicy Comartin na wypadek, gdyby jej obecność była potrzebną.

Naczelnik policji śledczej wezwał komisarza i długo ze sobą rozmawiali.

II.

Po odejściu agentki i komisarza naczelnik policji śledczej zajrzał do agentów. W izbie dyżurowało sześć „numerów".

— Jodelet jest? — zapytał naczelnik, stanąwszy we drzwiach

Agent Martel, siedzący tuż przy drzwiach, odpowiedział:

— Nie... jest na straży.

— Gdzie?

— Na rogu ulicy Comartin.

— Taką samą, jak ja miał myśl — pomyślał naczelnik — ale skąd mu to przyszło do głowy?

Chciał już zapytać, gdy Martel rzekł:

— Posłała go pani Rosier!

— Ona o wszystkiem myśli! — szepnął naczelnik z uśmiechem, potem dodał:

— O której godzinie poszedł?

— Krótko przed jedenastą.

— Chodź ze mną Martel, poszukamy Jodeleta.

Agent udał się za naczelnikiem policji. Powietrze było brzydkie. Chłodna, gęsta mgła powlokła cały Paryż. Naczelnik policji zatrzymał przejeżdżającą, niezajętą dorożkę, kazał Martelowi usiąść obok siebie i w drodze opowiedział mu, o co chodzi. Potem z agentem wysiadł z karetki na rogu bulwaru i ulicy Comartin. Tuż przy nich na chodniku dał się słyszeć lekki trzask, błysnęło światełko i prawie zaraz zgasło.

— To Jodelet zapala cygaro — rzekł Martel.

— Co słychać? — zapytał naczelnik policji, zbliżywszy się do niego. — Zauważyłeś coś podejrzanego?

— Dom, o którym mowa, ot tam... wchodzi się do niego bez pomocy odźwiernego. Przed pół godziną widziałem, jak dwóch ludzi otworzyło furtkę w bramie. Jeśli to lokatorzy, pozostaną w domu. Jeżeli zaś są obcy, co przyszli dla jakich podejrzanych powodów, to nie zostaną... i dlatego za pierwszym, który wyjdzie przed świtem, podążę ——— ———

— Jak najzupełniej to pochwalam — odpowiedział naczelnik — i sami też zostaniemy z tobą, bo mogą wyjść obaj, jeden za drugim, a kiedy ty podążysz za jednym, Martel śledzić będzie drugiego, a ja zostanę na straży.

— Mgła bardzo przeszkadza — rzekł Jodelet.

— Tak, ale za to dobra, że nie pozwala nas widzieć, a bulwary są puste. Rozejdźmy się. Niech każdy z was stanie o dziesięć kroków od bramy na prawo i lewo. Mieszkanie tej panny jest zdaje się na pierwszem piętrze?

— Tak.

— Zauważyliście światło?

— Żadnego nie widać. Wszystko pozamykane hermetycznie.

— Zajmijmy nasze stanowiska.

Naczelnik policji, nie oszczędzając siebie, jak na wodza przystoi, i obaj agenci, stanęli na umówionych miejscach. Martel znajdował się na prawo od ulicy Comartin, Jodelet od strony bulwaru, a naczelnik stanął wprost kamienicy.

Mgła coraz bardziej gęstniała i wkrótce nasi strażnicy stali się już niewidzialnymi dla siebie. Zostawmy ich drżących od zimna, na wilgotenem powietrzu, a sami przejdźmy się za próg pilnowanego przez nich domu.

Maurycy, podchodząc do domu, nie dostrzegł człowieka, nieruchomo stojącego po drugiej stronie ulicy, a gdyby był nawet zauważył, nie obudziłoby to w nim żadnej nieufności. Oktawja czekała Maurycego nietylko z niecierpliwością, ale z niepokojem. Oczekując nań przy niezamkniętych drzwiach od przedpokoju, wpuściła młodzieńca i zaprowadziła do pokoju, zasunąwszy rygiel u drzwi wchodowych. Pomiędzy przyjaciółmi zawiązała się poufna rozmowa, przy końcu której Oktawja rzekła:

— Koniecznie postanowiłam zostać hrabiną Smoiłow i nic na świecie nie może mnie zmusić do wyrzeczenia się tej myśli. Wystaw sobie, jak będę wyglądała, gdy zostanę hrabiną, prawdziwą hrabiną z krociami rocznego dochodu!... Matka moja dopiero cieszyć się będzie!... to, teraz się już uspokoiłam.. pomówimy z sobą, ty jesteś rozumny, chcę ci się więc poradzić, jak mam postępować, ażeby mieć zawsze wpływ na hrabiego Iwana i zniewolić go do małżeństwa?

— Najnaiwniejsza córka Ewy lepiej się na tem zna, od wszystkich rozumnych mężczyzn — odpowiedział Maurycy ze śmiechem. — Ale gotów ci jestem służyć. Dobrze, pomówmy.

Rozmowa ciągnęła się długo. Około drugiej w nocy Oktawja znużona wzruszeniami, niedawno doznanemi, poczęła drzemać. Oczy jej się zamknęły, głowa pochyliła się na pierś i zasnęła mocno.

— Teraz już czas — pomyślał Maurycy, wyjmując pugilares, a z niego złotą igłę.

Potem zaszedłszy z tyłu krzesła, nachylił się ku Oktawji, przysłuchał się jej oddechowi, podniósł igłę ku tyłowi głowy, gdzie się zaczynała szyja i nagle z całą siłą wetknął igłę w ciało, w którem też znikła zupełnie, nie zostawiając ani kropli krwi. Oktawja nawet nie otworzyła oczu. Drgnęła tylko i nic więcej. Igła przebiła mózg i śmierć nastąpiła natychmiast. Maurycy obojętnie patrzał na swoje dzieło.

Był może trochę bledszy niż zwykle, ale twarz jego nie wyrażała przerażenia, ani przestrachu nawet, które u najzatwardzialszych zabójców następują nieomal zawsze po spełnieniu zbrodni.

— To było konieczne! — wyszeptał.

Z przerażająco zimną krwią rozebrał martwe ciało, zaniósł na łóżko, położył pod kołdrę i umyślnie przygniótł poduszki. Potem wyszedł z pokoju, zamknąwszy drzwi za sobą i zwolna zeszedł ze schodów na ulicę.

III.

Pomimo całej ostrożności skrzypnięcie furtki doszło do uszu naczelnika i agentów. Wszyscy trzej pomyśleli:

— Ktoś z domu wyszedł.

Powstrzymali oddech, ażeby lepiej słyszeć. Maurycy skręcił w tę stronę, gdzie stał Martel. Przyspieszył kroku. Martel szedł za młodzieńcem, którego sylwetkę ledwie widać było wśród gęstej mgły. Naczelnik policji śledczej zbliżył się do Jodeleta.

— Martel śledzi człowieka, który wyszedł? — odezwał się.

— Tak — odpowiedział, — i mnie to wyjście wydaje się podejrzanem. Ale my chyba zostańmy na straży. Może on nie był sam.

— W każdym razie, choćby był tylko sam, dowiemy się, gdzie mieszka i poprosimy go, ażeby objaśnił, po co przyszedł do tego domu i dlaczego w nocy — odezwała się nagle jakaś kobieta, która nadeszła niedostrzeżenie dzięki mgle.

— Pani Rosier! — zawołał Jodelet, poznawszy ją po głosie.

— Sza! nie wymawiajcie mego nazwiska, zwłaszcza tak głośno. Ja tutaj jestem już przeszło od godziny. Widziałam panów i sama także stałam na straży.

— Widziała pani człowieka, którego śledzi Martel?

— Przeszedł tuż obok mnie, ale wśród tych ciemności trudno było widzieć.

— Martel umie wybornie tropić! — rzekł Jodelet. — Nie straci go z oczu.

Policjanci, stojący na straży przed domem przy ulicy Comartin, tracili cierpliwość od tak długiego i widocznie bezpożytecznego pilnowania, bo furtka w bramie pozostawała wciąż zamknięta. Wybiła godzina trzecia, czwarta, potem piąta. Na ulicach zaczęły się ukazywać powozy, robotnicy szli do pracy, otwierano sklepy, mleczarki stawiały swe blaszanki pod kranami.

Naczelnik policji dał znak. Aime Joubert i Jodelet natychmiast się do niego zbliżyli.

— Możemy odejść — rzekł do pani Rosier. — Jodeleta zaś zostawię na straży, aby miał baczność na dom.

Agent skłonił się. Pani Rosier odeszła z naczelnikiem i udała się na ulicę Meslay, gdzie się przebrała za roznoszącą pieczywo. Za godzinę wróciła i skinęła na Jodeleta, który poszedł za nią do podrzędnej restauracji, gdzie zjedli śniadanie w oczekiwaniu na przybycie członków sądu. O godzinie ósmej zrana, dwie karety zatrzymały się na bulwarze, przy rogu ulicy Comartin.

— Czy wejdziemy, panowie? — rzekł komisarz, który miał przy sobie rozkaz aresztowania, podpisany przez sędziego śledczego, Pawła de Gibray.

— Służymy!

Członkowie sądu i agenci weszli do bramy, od której otworzono im furtkę.

— Czego panowie chcą! — krzyknęła odźwierna zadziwiona i przerażona tem rannem najściem.

— Najprzód zamknijcie furtkę i nie wpuszczajcie nikogo — rozkazał naczelnik policji śledczej — przybywam tu w imieniu prawa

Odźwierna była posłuszna, drżąc cała.

— Czy mieszka tu panna Oktawja? — spytał komisarz.

— Tak.

— Czem się trudni?

— Mój Boże, jakby to powiedzieć... zdaje się, że niczem... widzi pan ładna jest, dlatego nazywają ją też piękną Oktawją.

— Na którem piętrze mieszka ta panna?

— Na pierwszem.

— Jest teraz w domu?

— O, tak!... nawet bardzo wcześnie wróciła wczoraj wieczorem.

— Czy nikt do niej nie przychodził wieczorem lub w nocy?

— Nikt.

— Wie pani o tem napewno?

— Napewno, mąż mój może to poświadczyć.

— Zaprowadź nas pani do niej.

Odźwierna poszła na pierwsze piętro i zadzwoniła. Pokojówka otworzywszy drzwi i zobaczywszy całą ludzi czeredę, cofnęła się o trzy kroki.

— Do kogo to panowie? — wyjąkała z widocznym przestrachem.

— Niech się panienka nie boi — odpowiedział naczelnik policji śledczej. — To tylko prosta formalność. Przychodzimy w imieniu prawa. Oto pan komisarz policji. Niech panienka powie swej pani, że pragniemy z nią pomówić.

— Nie można.

— Idź i obudź panią. Rozkazuję ci w imieniu prawa.

Pokojówka skłoniła głowę i poszła drzwi nie zamykając za sobą. Nagle dał się słyszeć krzyk przerażenia, dziewczyna wróciła, ledwie trzymając się na nogach, blada jak śmierć. Padła na ławeczkę w przedpokoju przestraszona, drżąca i wyszeptała urywanym, ledwie zrozumiałym głosem:

— Moja pani!... moja biedna pani!...

— Co takiego? co się z nią stało? — spytali jednocześnie komisarz i naczelnik policji.

Pokojówka załamała ręce i odpowiedziała tak słabym głosem, że raczej trzeba było odgadywać, niż można było słyszeć jej słowa:

— Pani nie żyje!...

IV.

— Nie żyje! — powtórzyli komisarz i naczelnik.

— Tak... umarła — wyszeptała pokojówka — twarz zsiniała, sztywna, oczy otwarte.

Komisarz i naczelnik policji śledczej, zapomniawszy o powadze, jaka przystała ich urzędowi, pędem pobiegli do sypialni. Agenci, również zaciekawieni, udali się za nimi. Naczelnik przystąpił do łóżka, gdzie, jak wiemy, zgoła nie było żadnego nieładu, spojrzał na zsiniałą twarz i dotknął się chłodnych i sztywnych rąk.

— Rzeczywiście — rzekł — ta kobieta nie żyje. A śmierć musiała nastąpić na początku nocy.

W tej chwili nowa osoba ukazała się na progu pokoju. Był to hrabia Iwan.

— Umarła Oktawja! — zawołał. — To dziwne! to bardzo dziwne!

I zwolna poszedł do trupa.

— Wczoraj — mówił dalej — pełna jeszcze była życia, siły zdrowia. Jakiż mógł być powód jej śmierci?

Na to pytanie nikt odpowiedzieć nie mógł.

— Trzeba po doktora posłać! — rozkazał naczelnik po...

— Biegnę — odrzekł Jodelet i wyszedł.

Komisarz odkrył jedwabną kołdrę i odsłonił cienką bieliznę. Przyglądał się ciału.

— Nie widzi kolega żadnej rany? — zapytał naczelnik policji.

— Żadnej.

Pokojówka oprzytomniawszy już, weszła do sypialni.

— O której godzinie pani położyła się spać? — spytał komisarz.

— Dokładnie nie wiem.

— Jakto?

— Pani powiedziała mi o jedenastej, że już jestem jej niepotrzebną i że mogę pójść się położyć, zaraz też poszłam do swego pokoju.

— Jak wyglądała, kiedyś ją widziała po raz ostatni, przed odejściem do swego pokoju.

— Zdawało mi się, że jest z czegoś zmartwiona.

— Odchodząc, zamknęłaś wszystkie drzwi?

— Jak zawsze na klucz.

— Dziś zrana czyś przyszła pierwsza?

— Tak, przed lokajem i kucharką.

— Czy drzwi były w takim stanie, jak je zostawiłaś?

— Zupełnie.

— W pokojach nie zauważyłaś żadnego nieładu?

— Żadnego, wszystko było w porządku.

— Pani Oktawja dużo przyjmowała gości?

— Dawniej dużo.

— A w ostatnich czasach?

— Nikogo, oprócz hrabiego, a czasem, ale bardzo rzadko, przyjaciela hrabiego, wicehrabiego Guya d'Arfeuille.

— O wpół do trzeciej zrana z domu tego wyszedł jakiś człowiek... od kogo?

Nikt na to nie mógł odpowiedzieć i nie odpowiedział.

— Ja i mój mąż nic nie słyszeliśmy — mruknęła odźwierna — otwieramy drzwi wtenczas, kiedy nas zawołają, a nikt nas nie woła.

— Dobrze... śledztwo wszystko wyjaśni.

W tej chwili przyszedł Jodelet z doktorem i panią Rosier. Na wezwanie komisarza doktór przystąpił do łóżka i obejrzał trupa.

— Może nam pan powiedzieć, skutkiem czego umarła ta kobieta? — zapytał naczelnik policji śledczej.

— Od uderzenia krwi do mózgu.

— Czy to tylko domysł, czy pan tego pewny?

— Jestem pewny, gdyż wskazuje mi to zsiniała twarz nieboszczki.

— Więc pan nie przypuszcza, ażeby w tem była zbrodnia jaka?

— Sądzę, że niema żadnej. Tu niema żadnego zabójstwa — powtarzam. Uderzenie krwi do mózgu było przyczyną śmierci.

—Przekonamy się o tem dokładnie, bo zażądam sekcji — rzekł naczelnik policji śledczej.

— Sekcja panu nic więcej nie powie.

— A może...

V.

Miesiąc upłynął od sceny, którą przedstawiliśmy naszym czytelnikom. Na żądanie sędziego.śledczego Pawła de Gibray ciało pięknej Oktawji poddane zostało sekcji. Igła złota, znaleziona w głowie, świadczyła o zbrodni.

Zbrodnia ta łączyła się niezawodnie z poprzedniemi i poniekąd jakby z nich wynikała — nowego jednak światła nie dostarczyła policji. Lokaj aresztowany — uwolniony był dla braku dowodów. W prefekturze panowało jak największe zamieszanie. Pomimo tylu niepowodzeń Aime Joubert nie traciła ani energji, ani nadziei. Teraz, kiedy Maurycy wiedział o wszystkiem, nie potrzebowała przedsiębrać żadnych przed nim ostróżności, ażeby prawdę ukrywać i często też całemi godzinami przebywała po za domem, ku wielkiemu zmartwieniu wiernej służącej Magdaleny.

W pałacyku Bressolów nie wszystko szło pomyślnie. Marja, chociaż niebezpieczeństwo skutkiem ukąszenia żmiji już nie groziło, czuła się jednak bardzo osłabiona, co nawet dziwiło i niepokoiło lekarza domowego, pana Duffrin. Walentyna tyle była okrutna, że bez litości mówiła swej córce, iż Albert skazany jest na śmierć przez doktorów i że lada dzień umrze. Usta Marji milczały, ale myśl jej odpowiadała:

— Jeżeli umrze, to i ja pójdę za nim, rozłączeni tutaj na ziemi, połączymy się w niebie.

* * *

Jednego z ostatnich dni zimowych, które bywają czasem niezwykle ciepłe, tak, że podobne są do dni wiosennych, trzech ludzi rozmawiało przechadzając się na słońcu w małym ogródku za pałacykiem przy ulicy Surennes, obok dużego ogrodu pensji, pani Dubief. Ludźmi tymi byli Piotr Lartigues, Verdier i Maurycy.

— Miesiąc już — mówił Verdier — jak policja bardzo się kręci, ale naprózno. Zabójstwo Oktawji połączyła ze zdarzeniem na cmentarzu Pere Lachaise i na ulicy Montorgueil, lecz sprawcy nie znajazła i nie znajdzie. Podjałeś się uwolnić nas od Marji Bressolles, a ta spadkobierczyni po Armandzie Dharville jeszcze żyje

— Ale umiera.

— Tak, lecz z osłabienia, które pociągnąć się może jeszcze tydzień, miesiąc, a może i rok, a my tak długo nie możemy czekać.

— Cóż więc czynić?

— Skończmy już raz.

— Ale w jaki sposób?

— Nad tem razem się naradzimy.

VI.

Lartigues przemówił:

— Oto uczeni twierdzą, że jeżeli młodą dziewicę gad jakiś ukąsi i nie wyleczy się ona zupełnie, a za mąż wyjdzie i zostanie matką, dziecko pochłonie w sobie jad i matka jest uratowana. Albo się bardzo mylę, albo gdy podsuniesz doktorowi myśl tak prostą i praktyczną, czemprędzej doradzać będzie wyjście zamąż. Ojciec, który dla córki tylko żyje, uchwyci się tego, jak pijany płotu, nie mając pod ręką inego męża, bo Albert de Gibray umiera, a przytem sędzia śledczy sprzeciwia się temu małżeństwu, zacznie cię błagać, ażebyś czemprędzej ożenił się z jego córką i wtedy nic już nie przeszkodzi nam wykonać tego, co postanowiliśmy.

— A to jak? powiedźże nareszcie.

— Pracowałem nad chemją i dam ci kwasu pruskiego, kiedy będziesz potrzebował. Jak się ożenisz, żonie śpiącej przyłożysz tylko do nosa flakonik specjalnej formy, który ci dam. W ten sposób działać będziesz z wszelkiem bezpieczeństwem i powetujemy sobie dwa niepowodzenia, na łodzie i ze żmiją przy ulicy Verneuille.

Po chwilowym namyśle odpowiedział Maurycy:

— Dobrze, zajmę się tem.

— I musimy, o ile można najprędzej, bo rzecz to bardzo pilna. Otrzymałem z Anglji list, bardziej jeszcze nalegający, niż poprzednie. Michał Bremont nie może pojąć naszej powolności i twierdzi, że wszystko przepadnie, jeśli się nie pospieszymy.

Łotry poszli do jadalnego pokoju, gdzie ich czekało wyborne śniadanie, bo wszyscy trzej lubili zjeść, a Dominik celował w sztuce kulinarnej.

VII.

Spodziewamy się, że czytelnicy nie zapomnieli, jak przed dwoma miesiącami Symeona objęła na tej pensji obowiązki doglądania

bielizny. Spotykamy się z dziewczęciem w sobotę. Porzucona córka Walentyny odzyskała teraz zdrowie i siły. Na policzkach jej zjawił się rumieniec. Zręczna, wesoła, niestrudzona, chodziła ze składu do sypialni i na łóżku żelaznym każdej pensjonarki rozkładała bieliznę na niedzielę. — Dwie szwaczki pomagały jej w tem zajęciu. Z dołu zawołał nagle czyjś głos:

— Panno Symeono! Jest list dla pani.

Dziewczę szybko zbiegło z trzypiętrowych schodów do odźwiernego, który w ręce trzymał list. Symeona wzięła list. Na połowie drogi między pierwszem a drugiem piętrem zatrzymała się, rozpieczętowała kopertę prędko i przebiegła osnowę listu. Oczy jej napełniły się łzami, a wargi drżały.

— O, poczciwa! o, biedna!

List napisany drżącą ręką, był od Marji Bressoles. Oto, co w sobie zawierał:

„Dowiedziałam się, kochana Symeono, żeś kilkakrotnie przychodziła zapytywać o me zdrowie, ale nie mogłaś się widzieć ani ze mną, ani z ojcem. Chora byłam... bardzo chora — teraz, chociaż jeszcze nie wyzdrowiałam, trochę mi już lepiej. Bardzo będę rada cię uściskać, kochana Symeono. Jutro w niedzielę masz wolny dzień. Jeśli będziesz mogła, przyjdź do nas, sprawisz mi wielką przyjemność, bo wiesz, jak jestem do ciebie przywiązana."

„Szczęśliwaś!... wyzdrowiałaś, teraz na mnie kolej być chorą, wyzdrowiałaś... a ja umrę może. Do jutra więc, nieprawdaż? Życzliwa ci

Marja Bressoles".

Symeona dwa razy przeczytała ten list z gorącemi łzami.

— Umrzeć ma! — szepnęła, usiłując wstrzymać się od płaczu. — Ona mówi o śmierci! o! to niepodobna! Bóg byłby zbyt okrutny, gdyby zabrał do siebie tego anioła, który sieje dobrodziejstwa na swej drodze życia. Naturalnie, że pójdę jutro i poproszę pani Dubief, aby mi pozwoliła iść od samego rana.

W tej właśnie chwili ukazała się pani Dubief, która szła oglądać sypialnie, co czyniła każdej soboty. Zadowolona z wzorowego porządku, pocieszyła strapioną Symeonę, udzieliła jej potrzebnego pozwolenia i odeszła. Chociaż ciężko było jeszcze na sercu Symeonie, uśmiechała się na myśl, że zobaczy swych drogich protektorów.

VIII.

W pokoju państwa Bressolów zeszedł się doktór z Maurycym, który się u niego wywiadywał o zdrowie Marji.

— Czy pan zna prace doktorów amerykańskich — zapytał następnie Maurycy — którym częściej niż ich kolegom europejskim

przychodzi mieć do czynienia z jadem gadów? Między środkami, które John Brown zaleca, czy który nie zwrócił szczególniejszej uwagi pańskiej?

— I owszem.

— Mianowicie który?

Dotyczy małżeństwa dziewczęcia, które ukąszone było przez gad, którego cząsteczka jadu pozostała we krwi.

— Właśnie na ten środek leczniczy chciałem pańską uwagę zwrócić. Czy uważa pan środek ten za praktyczny?

— Tak, bo przemawia za nim nietylko doktór amerykański, ale i wielu innych ze znakomitszych lekarzy francuskich.

— Czy pan mówił o tem z p. Bressolem?

— Naturalnie, że nie.

— Dlaczego?

— Po co mi o tem mówić, czego wykonać niepodobna?

— Niepodobna, a to z jakiego powodu?

— Panna Bressoles zdaje mi się być bardzo zakochaną w Albercie de Gibray, który tak dzielnie dowiódł jej swego przywiązania. Albert de Gibray chory, bardzo chory, i słyszałem od doktora, który go leczy, że wyzdrowienie nader jest wątpliwe. Nie można zatem myśleć o nim jako o mężu, przypuściwszy nawet, że panna Bressoles, ustępując prośbom ojca i w chęci wyleczenia się od męczącej choroby, podkopującej jej zdrowie, zgodzi się na inne małżeństwo, lecz gdzie znaleźć człowieka, któryby zechciał wziąć za towarzyszkę życia biedne wychudłe dziewczę, ledwie trzymające się na nogach.

— O, taki człowiek znajdzie się! — zawołał żywo Maurycy.

— Ho, ho! — odezwał się doktór — jakżeś pan to gorąco powiedział, czyżby...

Nie domówił...

— Tak — odpowiedział syn Aime Joubert — dawno już kocham pannę Bressoles i kocham ją z całej duszy, a jeśli taiłem przed nią swą miłość, jeśli się z tem nie przyznawałem jej ojcu, to dlatego, żem wiedział, iż serce komu innemu oddała. Ten chory jest niebezpiecznie i sam pan przed chwilą mówił, że wyzdrowienie jest mniej niż prawdopodobne. — Bóg mi świadkiem, że gdyby Albert de Gibray w kwiecie lat i zdrowia uratować mógł Marję, żeniąc się, milczałbym i nadal, jako dotąd. W głębi duszy ukryłbym tajemnicę miłości mojej.

— Ale Albert de Gibray umiera...

— Więc mówię, najgorętszem życzeniem mojem uratować życie pannie Bressoles, zostając jej mężem....

— Bardzo się cieszę, żem się o tem dowiedział! — odpowiedział Duffrin. — Ma pan szlachetne serce! Daj mi pan swą rękę. Teraz mi nic nie przeszkodzi wprost pomówić z panem Bressoles w tej drażliwej kwestji, której ledwie śmiałem dotknąć

IX

Maurycy udał się do pokoju Marji i wypytał się o jej zdrowie, omawiał z nią program koniecznych dla niej rozrywek, jakie jej dok tór zalecił. Lekarz zaś został w pokoju do palenia, — gdzie wnet przyszedł ojciec Marji.

— Mówże panie doktorze prędzej! — odezwał się — stoję jak na rozpalonych węglach!

— Ja też nie będę pana męczył. Czy bardzo pan kocha swą córkę.

— Nad wszystko w świecie!

Nie cofniesz się pan przed żadną ofiarą, ażeby ją wyleczyć?

— Bez najmniejszego wahania oddam cały mój majątek.

— O majątek tu nie chodzi, idzie nie o to, ażeby córkę pańską zrujnować, lecz ażeby ją wydać zamąż.

— Wydać zamąż? — powtórzyli jednogłośnie budowniczy i Walentyna.

— Tak.

— Teraz?

— Chwila najlepsza.

— Wytłómacz się panie doktorze.

— Dość mi chyba będzie zapewnić, że dla choroby wyczerpującej, spowodowanej ukąszeniem gadu, jeden jest tylko pewny środek, małżeństwo, a raczej przyjście na świat dziecka, w które jadwnika i ocala matkę.

Ludwik Bressoles zwiesił głowę i milczał.

— W wieku Marji serce samo nie wie, czego pragnie. Prędko się pociesza, prędko zapomina. Przytem romantyczna miłość Marji może istnieć tylko we wspomnieniach, ponieważ doktorzy skazali na śmierć tego, którego kocha i wie ona o tem....

— Niech i tak będzie — mówił z rezygnacją pan Bressoles. — Przypuśćmy to wszystko, to jednak przeszkody, o jakich tylko co mówiłem, jeszcze nie całkiem będą usunięte. Kto zechce siebie narazić, biorąc za żonę dziewczę chore i wątłe, ażeby owdowieć w pół roku po ślubie? Z pewnością nikt!

— A może — odpowiedział doktór — a może się znajdzie człowiek, co od dawna kocha pańską córkę, nie mówiąc o tem, i siebie poświęci — ażeby ją ocalić.

— Takiego człowieka nie ma.

— Jest!

— Zna go pan doktór?

— Znam... i pan go także zna! Bardzo miły i zacny młodzieniec, uwielbia pańską córkę, a pana szanuje jak ojca.

— Jak się nazywa?

— Pan Maurycy Vasseur. To pewna, że córka państwa nie kocha się w Maurycym, lecz zdaje się, że go lubi. A od przyjaźni do gorętszego uczucia jeszcze tylko krok jeden. Maurycy zacznie od tego, że będzie obmyślał rozrywki dla panny Marji, która niebawem nie będzie mogła bez niego się obejść. Dla podjęcia tego rezultatu mianowałem Maurycego urządzającym rozrywki dla naszej kochanej chorej, czy źlem uczynił?

— Naturalnie, że dobrze — odpowiedział budowniczy, ściskając doktorowi rękę. — Zupełne uznanie mam dla pańskich jak najzacniejszych zamiarów, panie doktorze, jak prawdziwy nasz przyjaciel postępujesz.

— Więc pan zgadza się na samą myśl co do tego małżeństwa.

— W zasadzie tak.

— Przyjmuje pan Maurycego za zięcia?

Ludwik Bressoles westchnął ciężko, zanim odpowiedział:

— Nie jegobym wybrał, ale przy okolicznościach obecnych nie sposób wywzajemnić się odmową za jego przywiązanie... dziś jeszcze pomówię z Marją.

— Więc do widzenia, jutro.

— Do widzenia!

X.

W jednym z rodziałów poprzednich jużeśmy powiedzieli, że koniec zimy podobny był do początku wiosny. Słońce grzało ziemię, a na drzewach pokazywały się przedwczesne pączki. Po południu Lartigues i Verdier, z którymi Maurycy się rozstał, udając się na ulicę Verneuille, pojechali razem na stację kolei Vincennes. W chwili, gdy wchodzili na stację — Verdier zapytał:

— Jedźmy do Port — Creteuille?

— Tak, wysłaniec Michała Bremont ma czekać na mnie w Port Creteuille.

— O której godzinie?

— O trzeciej.

— Więc masz dosyć czasu, wiesz co, zmieńmy marszrutę.

—Wystrzegam się tych stacyj kolejowych, gdzie mogą być rozstawieni agenci, mający twój rysopis. Pojedziemy statkiem do mostu Charenton, tam wysiądziemy.

— A czy możemy przejechać przez rzekę, zamiast iść naokoło przez most?

— Możemy. Restaurator utrzymuje przewóz. Zawołamy i przyjadą po nas.

— To chodźmy.

Szlachetni wspólnicy, zamiast wejść do dworca Vincennes skręcili na most Austerlicki i wsiedli na parowiec, który się zatrzymuje naprzeciw Ogrodu Botanicznego. Droga zaprojektowana przez Verdiera ocaliła ich rzeczywiście. Gdyby byli jechali na Vincennes, znaleźliby w sali na dworcu trzy osoby, które pomimo przebrania bardzo dobrze mogłyby ich poznać.

Była to pani Rosier, Galoubet i Sylwan Cornu. Pani Rosier była przebraną za maślarkę, z okolic Paryża, w czepku czerwonym z białemi wstążkami w starej spódnicy, z dużym fartuchem niebieskim, wyblakłym już i wymiętoszonym. Na plecach dźwigała koszyk, w którym spoczywały kawałki masła, pozawijane w zielone liście. Gaulobet i Sylwan Cornu przebrani byli za wieśniaków, twarze mieli ogorzałe i ruchy prawdziwych chłopów, zajętych uprawą roli, od rana do wieczora.

Dokąd się udawali ci agenci?

Właśnie do Port-Creteuille, dokąd jechali Lartigues i Verdier.

Kiedy złoczyńcy zbyt energicznie są ścigani w Paryżu, wówczas okolice Paryża dają im liczne schronienia. Pani Rosier znała przyzwyczajenia złoczeńców. Przytem powiedziano jej w prefekturze, że Port — Creteuille nawiedzane bywa teraz przez wiele podejrzanych osobistości — które tu wyznaczają sobie schadzki. Wszyscy trzej wsiedli do wagonu klasy trzeciej.

W 40 minut później wysiedli w Saint Maure les Fosses, skąd udali się do Port - Creteuille, małej wioski na brzegach Marny, gdzie mieszkają przeważnie ekskupcy, którzy niewielkiego dorobiwszy się mająteczku, przyjeżdżają tu odpocząć po mozołach dawnego życia. Tu i ówdzie znów domki letnie, wynajmowane są na trzy miesiące, na miesiąc, na dwa tygodnie, a nawet na jeden.

Prócz tego w Port Creteuille spotkać można ludzi, którzy w wielkim byliby kłopocie, gdyby ich zapytać, skąd biorą pieniądze, wydawane przez nich pełnemi garściami. Przy ostatnim domku we wsi zatrzymała się pani Rosier.

— Słuchajcie! — rzekła do Sylwana Cornu i Galoubeta — pójdę w kilka miejsc niby chcąc sprzedać masło. Czekajcie mnie w ostatniej karczmie na końcu wsi. Gospodarz nazywa się Cabusson. Gadatliwy to dziad i lubi do kieliszka zaglądać. Spijcie go, ale sami pozostańcie trzeźwi. Jak sobie głowę zaleje, język mu się zaraz rozwiąże. Wy wyciągajcie go na słówka. Da on wam dokładne wiadomości o ludziach, znajdujących się obecnie na brzegach Marny. Zna on ich wszystkich dobrze.

— Rozumiemy! — rzekł Galoubet.

XI.

Lartigues i Verdier, pojechawszy wodą, a nie koleją żelazną, pozostali daleko po za panią Rosier. Obeszła już wiele miejsc, kiedy oni dopiero znaleźli się przy pierwszych domach, otaczających drogę, nieopodal od kanału Saint-Maure, na drugim brzegu Marny, obok drogi do Creteuille.

— Ot i łódka -- rzekł Verdier, wskazując na łodzie, stojące u brzegu.

—A naprzeciwko karczmy — dodał Lartigues — zawołamy o pomoc.

— A potem się napijemy — dodał Verdier. — Od chodzenia, pić mi się chce wściekle.

Obaj koledzy podążyli do karczemki, która należała do marsylijczyka Cabussona. Galoubet i Sylwan Cornu siedzieli na otwartem powietrzu w altance, jeszcze nie zarosłej winem, a gospodarz z kuflem w ręce opowiadał im z zapałem dykteryjki. Przyboczni Aime Joubert śmiali się z opowiadań Cabussona, podniecając gadatliwość obfitemi kolejkami wina. Zobaczywszy dwóch nowych gości, marsylijczyk wcale się nie trudził — ażeby wstać. Krzyknął tylko głośno, stuknąwszy o stół kuflem:

—Hej, pani Cabusson! goście, do djabła!... Uważaj lepiej, stara! — i ciągnął dalej rozpoczętą rozmowę.

— Piwa! — odpowiedział Lartigues.

— W sali — czy w ogrodzie?

— W ogrodzie.

— Zaraz panu służę.

Pani Cabusson przyniosła butelkę i dwa kufle, które postawiła na prostym, niepomalowanym stole. Galoubet i Sylwan Cornu siedzieli tyłem do Verdiera i Lartiguesa, wcale się nie interesując ich obecnością. Zdarzyła się jednak pewna okoliczność, która zmieniła w tym względzie usposobienie Galoubeta i nakłoniła go, ażeby się na inne miejsce przesiąść.

— Ta przechadzka rozwiązała mi nogi — mówił Verdier, popijając piwo strasburskie z kufla. — Zadowolony jestem, żeśmy tą drogą pojechali.

Słowa te były nic nie znaczące, ale dźwięk głosu nakłonił Galoubeta do nadstawienia uszu. Obrócił się więc zwolna i spojrzał na człowieka, który te słowa wypowiedział. Verdier ucharakteryzowany i w ubraniu podobnym do kapitalisty z Marais, wcale nie podobny do fałszywego opata, którego rysy Galoubet tak dobrze znał.

—Ho, ho! — pomyślał policjant — ja nie po raz pierwszy ten głos słyszę.

— Tu słońce zanadto w oczy zagląda — rzekł głośno, wstał, wziął stołek swój, obszedł dokoła stołu i usiadł obok Cabussona, który wymachiwał rękami, wciąż opowiadając niestworzone rzeczy. Na nowem miejscu Galoubet znajdował się jak raz naprzeciwko Verdiera, w którego wlepił oczy. Nie poznając człowieka, którego głos go uderzył, zaczął niedowierzać pamięci. Verdier, rozmawiając, machinalnie zatrzymał na nim oczy. Galoubet zrozumiał niebezpieczeństwo.

Jeśli pierwsze domysły nie zawodzą go, mogliby go poznać! Wtedy człowiek ów wymknie się mu zanim zdąży zawołać:

— Trzymaj go!

Czemprędzej oparł się więc o stół i podparł ręką, ażeby zasłonić część twarzy.

Za późno! Verdier już widział jego twarz i poznał.

— Zapłać i chodźmy!

— Już?

— Zapłać, mówię ci co prędzej, policjanci są tu... nie obracaj się... przejdziemy mostem — zamiast się przez Marnę przeprawiać. Marsylijka wzięła od gości pięciofrankówkę i wydała resztę. Lartigues i Verdier z jak najspokojniejszą miną wyszli ze swej altanki.

— Masz tobie! — mruknął Galoubet.

Potem zapłaciwszy, poszedł spiesznie drogą z Sylwanem Cornu. Dwaj podejrzani ludzie byli już o sto kroków od karczemki. Teraz szli prędko.

— Powiedz mi, o co chodzi? — spytał Sylwan Cornu.

— Pewien jestem, że jeden z nich, to fałszywy opat. Poznałem go po głosie. On mnie poznał z twarzy, widziałeś, jak wzięli nogi za pas!

— Jeżeli pewien jesteś, trzeba lecieć za nimi, dogonić, zatrzymać, wezwać pomocy i dopóty ich nie puszczać, póki pani nie przyjdzie.

Szli przez pięć minut, milcząc, nagle Galoubet krzyknął z radości:

— Ot i nasza pani! — rzekł. — Patrz, spotkała się z nimi, przyglądała się im, idzie dalej, więc ich nie poznała. Gdyby jednym z nich był Piotr Lartigues, przezwany kędzierzawym, nie przeszłaby obok niego, nie powiedziawszy ani słowa.

Galoubet i Sylwan Cornu przybiegli do agentki.

— Cóż takiego? — zapytała, zdziwiona takim pośpiechem swych podwładnych.

— Pani spotkała tylko co dwóch ludzi— rzekł Galoubet ledwie mogąc oddychać.

XII.

— Czy zwróciła pani uwagę na tego, który był niższy? — odsapnął Galoubet.

— I w okularach? — zapytała pani Rosier.

— Tak.

— Więc cóż?

— To musi być fałszywy opat, a towarzysz jego to może Piotr Lartigues.

— Lartigues! — powtórzyła — o! ja nieszczęśliwa! Spotkałam Lartiguesa i nie poznałam go! Ale to niepodobna! Wam musiało się przywidzieć! Ubrdało się wam — zaprzątnęliście sobie głowę Lartiguesem i teraz wszędzie go widzicie!

— Nie będę przy swoim obstawał — bąknął Galoubet tak najpokorniej — powiedziałem, co mi się wydawało, ot i wszystko. Myślę jednak, że byłoby dobrze śledzić tych ludzi.

— Co do tego masz słuszność, niech jeden z was pobiegnie za nimi.

— Biegnę i nie stracę ich z oczu! — zawołał Galoubet.

I rzeczywiście pobiegł. Ubiegłszy jednak dziesięć kroków zatrzymał się nagle.

— Zapóźno! — rzekł zgnębiony — przeprawiają się na drugą stronę.

Wskazał na łódkę, która już się znajdowała na środku Marny.

— Zapewne jadą na kolej — rzekła pani Rosier. — Trzeba ich śledzić z daleka.

— Z wielką jednak ostrożnością — dodał Galoubet — bo jeśli człowiek w okularach jest fałszywym opatem, to mnie poznał i mają się na baczności.

— W każdym razie przeprawimy się przez rzekę, jak można najprędzej rozkazała agentka i zdążymy na kolej przed odejściem pociągu — zwiążemy ich od stóp do głowy.

— Cabusson ma łódki! — zawołał Sylwan Cornu. — Biegnę po łódkę.

Popędził do karczmy. Marsylijczyk zmożony winem i gadulstwem, spał, głowę położywszy na stole. Sylwan zwrócił się do gospodyni, która napróżno starała się obudzić męża, trzęsąc nim za ramię.

— Proszę wioseł! — rzekł. — Biorąc jedną z waszych łódek — zapłacę ile chcecie!

Pani Cabusson odpowiedziała:

— Wiosła w szopie, w ogrodzie, łódki nie przywiązane; wybierz pan, która ci się podoba

— Dziękuję.

Sylwan Cornu wziął dwa wiosła i przybiegł do miejsca, gdzie stały łódki. Tu była już pani Rosier i Galoubet, śledząc oczyma łódkę, wiozącą Lartiguesa i Verdiera na drugi brzeg. Łódka wpłynęła w jedną z łach Marny, ciągnącą się między dwoma wyspami, wprost ku drodze, — prowadzącej na stację.

— Przybija do brzegu! — zawołała agentka — pędźmy prędzej.

Skoczyła do łódki, a Sylwan Cornu z wiosłami, podążył za nią z Galoubetem. Ten zdjął sznur, niedbale okręcony około kołka, wbił tego na brzegu i odepchnął łódkę na środek rzeki. — Sylwan umiał wiosłować, ale wtem miejscu Marna była ściśnięta dwoma brzegami, miała prąd silny, który ich unosił w dół rzeki, pomimo usiłowań wioślarza.

Trudno będzie! — rzekła Aime Joubert — płyniemy z wodą!

— To nic nie znaczy! bylebyśmy się dostali na tamten brzeg — odpowiedział Sylwan Cornu.

— Na drugim brzegu, czy trochę bliżej, czy trochę dalej będziemy od stacji, to jeszcze nie wielkie nieszczęście.

Wiosłował dalej. Żyły mu nabrzmiały na szyji i skroniach. Wiosła trzeszczały, tak mocno niemi robił. Zbliżał się do przeciwległego brzegu, ale prąd wody wciąż odciągał łódkę. W tejże chwili zdaleka słychać się dał odgłos pociągu i wkrótce gwizdanie lokomotywy oznajmiło przybycie jego na stację.

— Pociąg, już pociąg! — rzekła pani Rosier, zaciskając zęby — odjadą do Paryża, a my się nawet nie dowiemy, czy się Galoubet nie omylił.

— Nie — odparł Sylwan Cornu. — Oni na pociąg nie zdążą i będą musieli na inny zaczekać.

— Jeżeli poznali Galoubeta, czekać nie będą.

— Stracimy ich ślad! no, Cornu, jeszcze zbierz siły, wiosłuj, wiosłuj prędzej!

Sylwan Cornu wziął się do wioseł z podwójną energią. Nagle dał się słyszeć trzask i wioślarz przewrócił się do góry nogami. Złamało się jedno z wioseł i płynąć było niepodobna....

— O! sam szatan musi im pomagać! — rzekła Aime Joubert głuchym głosem. — Dostańmy się na brzeg, prąd nas unosi!

Rzeczywiście łódka szybko teraz płynęła w dół rzeki. Zanim przytłoczony i oszołomiony Sylwan podniósł się, Galoubet schwycił drugie wiosło i starał się skierować łódkę ku któremubądź brzegowi ale nie mógł tego dokonać.

Silny prąd ich unosił, przejechali już przez kanał Marny. Marna coraz w tem miejscu głębsza i węższa, a przez to z pędem gwałtowniejszym, niosła ich prosto na skały, sterczące u ujścia kanału,

między Charenton a Grenelle. Pani Rosier widziała niebezpieczeństwo pośród mgły która się podniosła z zapadnięciem zmroku.

— Rozbijemy się — rzekła do Galoubeta, który jej na to odpowiedział:

— Skały podejmuję się ominąć tylko musimy się strzec wiru.

Byli już u skał nadwodnych, Galoubet, zgarbiony nad swojem wiosłem, odepchnął łódkę, która przeleciała, jak strzała między skałami, tworzącemi coś w rodzaju tamy i wpadła z całym pędem w wir, który ją zaraz też pochwycił. Nieszczęsna łódka, do połowy zatopiona, zakręciła się, potem popłynęła dalej, ale bardzo wolno.

— Baczność! — krzyknął Sylwan Cornu. — Prąd unosi nas ku wierzbom, które tam widzicie. Łódka lada chwila zatonie. Uchwyćmy się gałęzi, jak tylko do nich podpłyniemy.

Troje osób naszych stanęło na przodzie łódki, która coraz bardziej pogrążyła się w wodzie pod ciężarem ich ciała i niby konwulsyjnie drgała, jak gad zdychający. Nagle nowa fala nadpłynęła, łódka napełniła się wodą po brzegi i poszła na dno. Pani Rosier tyle była przytomną, że uchwyciła się mocnej gałęzi i do połowy tylko pozostała w wodzie, Galoubet i Sylwan Cornu zniknęli na minutę, ale prędko wypłynęli dość daleko od siebie, wodę wyrzucając nozdrzami, jakby definy.... obaj wybornymi byli pływakami, ale gwałtowny prąd stawał im na przeszkodzie. Przytem paraliżowały ich niemało długie bluzy wieśniacze i buty grube, z ciężkiemi podeszwami.

— Hej! Galoubet! — zawołał Sylwan

— Sylwan, hej! — odpowiedział Galoubet.

— Płyńmy z wodą, mój stary, inaczej potopimy się jak kociaki. Przy drugim brzegu widzę sitowie, to nie musi być głęboko. Płyńmy tam!

W pięć minut agencn opadłszy z sił, ledwie odychać mogąc, do stali się na wysepkę, do połowy zatopioną, skąd nie było już widać tego miejsca gdzie łódka poszła na dno.

— Uf! — odetchnął Galoubet — o mały włos nie utonęliśmy.

— Od utopienia wyratowaliśmy się — odpowiedział Sylwan — ale boję się zapalenia płuc.

— Dlatego, żeś nogi zamoczył?

— Tak.

— E! to tylko baby są takie delikatne! a my z wapna i piasku nie jesteśmy. Ale gdzie biedna pani Rosier?

— Widziałem, jak uczepiła się gałęzi wierzby.

— Więc znowu popłyniemy wpław — rzekł — tylko że tu nie ma bystrego prądu, bezpiecznie dostaniemy się na brzeg. Dalej!....

Śmiało wskoczył do wody, a Galoubet równocześnie prawie za nim.

XIII.

Wkrótce Sylwan Cornu i Galoubet wygramolili się na dość stromy brzeg, tam otrząsnęli się, jak psy po wyjściu z wody i pobiegli coprędzej do Maison — Alfort.

Opuścimy ich, a powrócimy do pani Rosier, która uczepiła się gałęzi wierzby, tak, że się zgięła pod ciężarem jej ciała. Aime Joubert chciała się podnieść, lecz przestrach paraliżował ją. Nagle gałąź — podtrzymująca ją, złamała się i pani Rosier z głuchym krzykiem zniknęła pod wodą. Ciało Aime Joubert wpadło do rzeki. Agentka wypłynęła po chwili, walcząc z unoszącym ją wirem. Głowa jej uderzyła o kawał skały — krew pociekła jej z czoła i zalewała jej oczy. Znowuby znikła pod wodą, gdy wtem poczuła pod ręką jakiś pływający przedmiot i uchwyciła się go z energją, właściwą tonącym.

Było to wiosło zatopionej łódki. Utrzymywało ono teraz panią Rosier na powierzchni wody, tak, że nie bojąc się już, popłynęła z biegiem rzeki. Upłynęło kilka minut, długich jak wieki. — Nagle wiosło zatrzymało się nieruchomo. Zaczepiło się ono o jedną ze skał, w jakie obfituje koryto Marny. Aime Joubert rzuciła dokoła bystre spojrzenie.

Nie trapiła ją myśl o śmierci. Myślała o swym synu, Maurycym, którego z całej duszy kochała i pragnęła jak najprędzej zobaczyć, a ta myśl sił jej dodawała, ażeby się ratować, bo wcale się jeszcze nie mogła za ocaloną uważać. Z jednej strony widziała bystrą wodę, jak potok płynacą, która lada chwila mogła ją unieść, z drugiej tuż blisko, skały pokryte karłowatemi krzakami.

— Gdybym tylko mogła się do nich dostać — pomyślała. — Krzaku uchwyciłabym się z łatwością i wyszłabym z wody na ziemię

Pani Rosier, przygotowana już na wszystko, puściła wiosło i ze wszystkich sił rzuciła się do brzegu. Ciało na chwilę wydostawszy się z wody, znów ciężko w nią wpadło, ale ręce uczepiły się rozpaczliwie jakiegoś krzaku. Podniosła się na wystający odłam skały i nogami stanęła na ziemi. Krzaczki na skale służyły jej jakby za drabinę i wyszła na małą ścieżkę wydeptaną na trawie, wzdłuż brzegu Marny. Tu, zanim odetchnęła oswobodzona, uklękła i podziękowała Bogu, który jej pozwala jeszcze zobaczyć syna.

Biedna kobieta! biedna kobieta!

Wstała i postąpiła kilka kroków, chwiejąc się na nogach. Krew ciąż płynęła jej z czoła. Ciało miała skostniałe. Nogi się uginały.

Chciała zebrać resztę sił, a jeszcze bardziej osłabła. Oczy zaszły jej mgłą i upadła straciwszy przytomność.

* * *

Lartigues i Verdier, zrozumiawszy, że agenci policyjni czynią poszukiwania w Port — Creteuill — czemprędzej wynieśli się z szynkowni marsylijczyka Cabussona.

Widzieliśmy, jak prędko podążali do mostku Creteuille.

Na zakręcie drogi Verdier zauważył jakiegoś ogrodnika nad brzegiem rzeki, zamierzającego przeprawić się w łódce przez Marnę. Ogrodnik brał już za wiosła, gdy Verdier krzyknął:

— Czterdzieści trzygroszniaków za przewiezienie nas! a co? most daleko, a nie chcemy się spóźnić na pociąg.

— Niech panowie siadają — odpowiedział ogrodnik. — Przewiozę panów i za darmo. Przecie na tym świecie ludzie muszą sobie wzajemnie pomagać.

Koledzy wsiedli w łódkę, ogrodnik odbił od brzegu i zaczął silnie robić wiosłami. W drodze Verdier i Lartigues rozmawiali o rzeczach obojętnych, ażeby nie zdradzić trwogi lub niepokoju. Verdier nie spuszczał jednak z oczu tego miejsca, gdzie zostawili Galoubeta i Sylwana Cornu. Za kilka sekund zobaczył, jak obaj z ożywieniem zaczęli mówić do kobiety, ubranej w stroju wiśniaczki z okolic Paryża.

Lartigues zaraz powiedział sobie:

— To Aime Joubert! Omało co nie złapaliśmy się, na szczęście nie poznała nas.

W tejże chwili łódka skręciła w kanał Marny, prowadzący do kolei żelaznej, a Verdier zobaczył, że agentka i jej pomocnicy wsiadają do łódki Cabussona.

— Pojadą za nami — pomyślał — na nic się im to nie zda.... Zanadto ich wyprzedziliśmy... Nie mamy się czego lękać.

Przybili do brzegu. Spólnicy odeszli, ale zamiast skręcić na lewo ku kolei, podążyli na prawo.

— Ścigają nas! — mruknął Verdier.

Wiem — odpowiedział Lartigues. — Cóż poczniemy? Ja koniecznie muszę się widzieć z wysłańcem Bremonta, który ma interes od tego hrabiego hiszpańskiego, wiesz tego, co to się dostałem przez niego do Kurawiewów i dla niego tę babę wyprawiłem na tamten świat.

— Wiem i będziesz mógł się z nim rozmówić. Już noc. Godzina schadzki się zbliża. Już nawet ten, którego się spodziewasz, musi być na umówionem miejscu.

— Będą nas przedewszystkiem szukać na kolei i w ten sposób zbijemy policjantów z tropu. Głowę dam jeżeli w tej chwili nie biegną na stację.

— Ale kto nas ściga? — zapytał Lartigues.

— Ci ludzie, którzy byli na maskaradzie i twoja dawna...

Wspólnicy przyśpieszyli kroku i przyszli do restauracji na brzegu otoczonej lipami, gdzie w niedzielę bywa dużo rybaków, a również tu drobniejsi kupcy obchodzą wesela.

Nastała noc. W restauracji zapalono gaz. Lartigues przystąpił do okna, przytknął twarz do szyby i po przez firanki zajrzał do sali.

XIV.

— I cóż? — zapytał Verdier, widząc, że kolega ma minę zadowoloną.

— Jest — odpowiedział Lartigues.

— Wejdź, zobacz się z nim i niech tu wyjdzie z tobą. Nie mamy czasu do stracenia.

Lartigues otworzył drzwi, prowadzące do sali biljardowej. Człowiek przybyły na schadzkę usłyszał szelest otwieranych drzwi, zwrócił ku nim głowę i spojrzał. Lartigues dał mu znak — więc wstał, zapłacił należność w bufecie i poszedł do dwóch kolegów. Uścisnąwszy im ręce zaczął z Lartiguesem rozmowę w języku hiszpańskim:

— Co to za kolega z tobą? — zapytał, patrząc na Verdiera.

— Dobry przyjaciel, wiedzący o wszystkich moich tajemnicach.

— Więc można na nim polegać?

— Stanowczo.

— To będziemy mówili po francusku, bo w takim razie, gdy jest pewny, nie potrzeba się przed nim kryć.

Lartigues przedstawił wysłańca który był Hiszpanem i wyprawiony był do Michała Bremonta przez hrabiego hiszpańskiego i dla tego nie z Verdierem, lecz z Lartiguesem miał do załatwienia interes. Nazywał się Jose Golano.

— Za blisko jesteśmy dworca — odezwał się Lartigues — mogą nas szukać. Jakoś koleją wracać byłoby niewłaściwie. Wróćmy do Paryża wodą. Chodźcie za mną, bo dobrze znam tę okolicę.

— Alboż nas kto ściga?

— Tak. Nieszczęśliwym wypadkiem spotkaliśmy się z najniebezpieczniejszą naszą nieprzyjaciółką, kobietą, którą i wy od dawna znacie.

— Któż taki?

— Aime Joubert!

— Aha! rzeczywiście to niebezpieczna kobieta, ale chyba zbiliście ją z tropu.

— Jak na teraz spodziewamy się, że nas nie schwyta.

W ten sposób rozmawiając, doszli na brzeg Marny. U brzegu stało ze trzydzieści rozmaitych łódek, z których jedne należały do osób prywatnych, inne do właściciela restauracji, który je wynajmował swoim gościom. Przy tej przystani maleńkiej, stała niewialka budka, której drzwi otwierały się za naciśnięciem główki gwoździa Lartigues znał ten sekret dość zresztą prosty. — Wszedł do budki, wziął stamtąd dwa wiosła, powrócił do Verdiera i Hiszpana i rzekł do nich, wybierając dużą łódź, przywiązaną do brzegu zwyczajnym sznurem.

— Siadajcie, przejedziemy się i pomówimy swobodnie!

Wsiedli do łódki, wyprowadzili ją na środek rzeki i wówczas rzekł Lartigues:

— Teraz pomówmy z sobą, ale po cichu.

Zaledwie na prawo i na lewo widać było brzegi. Wtedy wszczęła się taka rozmowa.

— Więc hrabia list mój otrzymał? — zapytał Lartigues.

— Przed dwoma tygodniami — odpowiedział Jose Golano — i widzisz, że nie tracąc czasu, posłał mnie naprzód do Bremonta, bo niedaleko stąd od Londynu, a potem do ciebie. Więc hrabia Iwan Kurawiew przebywa teraz w Paryżu?

— Od grudnia po przybraniu nazwiska Iwana Smoiłow. Dowiedziałem się o tem dopiero przed miesiącem i zaraz dałem znać hrabiemu.

— I w tym właśnie celu Iwan Kurawiew przyjechał do Paryża, jak pisałeś do hrabiego, mego pana?

— Tak. Uroił sobie, że mnie dogoni i pieniędzmi lub siłą wydobędzie odemnie dowody, że hrabia należał do zabójstwa jego matki, hrabiny Kurawiew.

— Wiesz o tem napewno?

— Tak.

Lartigues, zręcznie umiejąc kierować wiosłem, szczęśliwie wyminął skały, potem wpłynął w jeden z kanałów Marny, który pokryty był przy wysokim brzegu sitowiem i innemi roślinami wodnemi.

— Tutaj staniemy — rzekł doskonały wioślarz — tu nam nikt nie przeszkodzi. W nocy nikogo niema w kanale.

Wiatr ustał zupełnie, księżyc wypływał na sklepienie niebios, a chociaż co chwilę zasłaniały go obłoki, ciemności jednak były już nie tak gęste. W chwili, gdy Lartigues przywiązał łódkę do krzaka, który do połowy wystawał po nad wodą, ze stromego brzegu dał się słyszeć szelest trawy i gałęzi, ale tak cichy, że nikt go z trzech podróżnych nie dosłyszał. Ktoś czołgał się, jak żmija po trawie rosnącej na brzegu. — Dwie ręce bardzo ostrożnie odgarnęły gałązki krzaku. Czyjaś głowa nachyliła się ku kanałowi i wo-

je dziwnych oczu jakby kocich zaświeciło w ciemności. Pani Rosier przyszła już do siebie po omdleniu, ale przemarzła i czuła się potłuczoną; gdy jednak usłyszała plusk wioseł, instynkt śledczy się w niej obudził i zapominając o sobie, zajęła się tem tylko, co się działo tuż przy niej. Widziała łódkę, którą kierował Lartigues. Przeczucie powiedziało jej, że zobaczy ludzi, którzy się jej wymknęli w tejże chwili, gdy była pewna, że ich pochwyci.

VX.

Kiedy łódka zatrzymała się tuż przed nią, Aime Joubert ledwie powstrzymać zdołała krzyk — wyrywający się z jej drżących ust.

— Tylko prędko — Jose Golano. Chciałbym jutro pojechać zrana pierwszym pociągiem.

— Słucham cię — odpowiedział Lartigues.

Usłyszawszy te słowa, Aime Joubert poczuła, że krew jej ścina się w żyłach. Wątpić było niepodobna. Poznała głos.

— Po pierwsze i przedewszystkiem pan hrabia pyta się, czy chcesz przysiądz, że nigdy nie wyjawisz hrabiemu Iwanowi tajemnicy śmierci jego matki.

— Przysięgam! a zresztą dla wszystkich i dla sędziów, którzy mnie skazali na śmierć, tylko ja jestem winien. Trzeba wyjechać z Paryża najpóźniej za trzy dni.

— To niepodobna.

— Dlaczego?

— Mam bardzo ważne interesa, których nie mogę porzucić.

— Jak długo będziesz potrzebował pozostać jeszcze w Paryżu?

— Przynajmniej miesiąc.

— A jeśli tymczasem pochwyci cię policja?

— Ha! tem gorzej dla mnie! Ja ryzykuję wszystko dla wszystkiego. Zarobek może być tak ogromny, że się wcale nie waham.

— Dobrze, ale jak skończysz swe interesa?

— Wtenczas będę służył twemu panu.

— Mój pan wyznaczył ci trzy dni, bo zdaje mu się, że to będzie dla ciebie dość czasu do wykonania jego projektu. Ty chcesz tę rzecz odłożyć na miesiąc, niech i tak będzie, ale ażeby to już przed miesiącem było wykonane.

— O co chodzi?

— Hrabia Iwan Kurawiew powinien przestać być niebezpiecznym.

— Ile twój pan płaci za jego śmierć?

— Dwieście tysięcy franków.

Pani Joubert zimny pot wystąpił na czoło.

— A ja tu sama jestem! — pomyślała — poraniona, bezsilna! Szatan jakiś mnie prześladuje, ale zbrodniarze mówić jeszcze będą, może się dowiem przynajmniej, gdzie mają swoją norę.

— Ej! — odpowiedział Lartigues — jakże chcesz, ażeby się wziął do tego młodego człowieka, kiedy go ma w swej opiece prefektura. Nieostróżna próba może nas zgubić.

— Ja to rozumiem, ale kiedy się kto chce pozbyć wroga, są na to przecie inne sposoby, jak sztylet i trucizna, są rozmaite jeszcze fatalne wypadki, nieszczęśliwe spadnięcie z konia, pojedynek ze zręcznym przeciwnikiem.

— Pomyślę o tem: zgoda!

Wysłaniec wyjął z kieszeni pugilares a z niego jakiś papier, który podał następnie Lartiguesowi.

— Oto macie przekaz na Rotszylda, sto tysięcy franków — rzekł. — Drugą połowę otrzymacie po przyjeździe do Madrytu.

Aime Joubert zadrżała z radości.

— Mam ich w ręku — pomyślała. — Idźcie po pieniądze do Rotszylda, a już ja tam będę.

Jakkolwiek pani Rosier ledwie się poruszyła, już jednak przez to kamyczek oderwał się od brzegu i wpadł do wody. Agentka usłyszała to i zadrżała teraz całem ciałem. Verdier, zdziwiony tem niespodziewanem pluśnięciem, jął się przysłuchiwać. Pani Rosier zrozumiała, że ją znajdą i chciała wstać, ażeby uciec.

— Tu ktoś jest — rzekł Verdier głucho — ktoś nas podsłuchuje.

— Napewno pan to wiesz? — zapytał Golano.

— Cicho — nakazał Lartigues.

Aime Joubert była w niewysłowionym strachu. Chciała iść, nogi ugięły się pod nią, z jękiem zwaliła się na ziemię i znowu zemdlała.

— Słyszeliście? — szepnął Verdier.

— Słyszałem — odpowiedział Golano — jakieś ciche stąpanie, jak i upadnięcie ciała.

XVI.

Trzej ludzie weszli na odłam skały i wkrótce znaleźli się na łące, ciągnącej się wzdłuż Marny.

Wtem Lartigues ledwie stłumił swój okrzyk i wskazał ciemną masę, leżącą na trawie o kilka kroków. Zbliżył się do tej masy.

— Kobieta! — zawołał — kobieta zemdlona.

— Co to? — spytał Verdier zdumiony — czy znasz ją?

— Znam! Przecie to ona! Aime Joubert!

— Agentka!

— Tak! nasz najniebezpieczniejszy, a raczej nasz jedyny wróg niebezpieczny.

— Szatan nam dopomaga — rzekł Verdier, zacierając ręce. — Nie żyje, a Maurycy nie może nas posądzać o jej śmierć! Zostawimy ją tutaj.

Podnieśli ciało i złożyli je na wysokim, spadzistym brzegu. Potem Lartigues kopnął je nogą i ciało znikło w ciemnościach z głuchem pluśnięciem w toniach Marny.

— A teraz w drogę!... szatan nas wyręcza!

Wszyscy trzej oddalili się spiesznie.

—o—

Nazajutrz po katastrofie pani Aime Joubert, była to niedziela, przyszli Galoubet i Bornu o dziewiątej zrana do naczelnika policji śledczej.

Ten wiedząc, że już byli w przeddzień, kazał ich natychmiast wpuścić, pomimo, że w tej chwili znajdowali się u niego dla raportu Jodelet i Martel. Pierwsze jego słowa były:

— Dobre nowiny macie?

— Gorszych chyba nie może być! — nieszczęścia... Pani Rosier nie żyje!

Naczelnik, Jodelet i Martel krzyknęli z zdziwienia i przerażenia.

— Mówcie — rzekł naczelnik głuchym głosem.

Galoubet opowiedział wszystko, o czem już czytelnicy wiedzą. Słuchacze literalnie osłupieli. Opowiadanie już się skończyło, a naczelnik dopiero po chwili zapytał:

— I sądzicie, że biedna kobieta nie mogła się wyratować z Marny?

— Słyszeliśmy, jak jej ciało wpadło do wody, gdyśmy sami walczyli z prądem.

W tejże chwili do gabinetu wszedł agent, a na zapytanie: „Czego żąda“ odpowiedział:

— Z Saint-Maure żandarm przyniósł list, który ma panu naczelnikowi do rąk oddać.

Wprowadzono żandarma.

— Panie naczelniku — rzekł, ukłoniwszy się. — Przysyła panu list pan komisarz z Saint-Maure. Prosi, ażeby pan zaraz tam przyjechał.

— Co się stało?

— Na pewno nie wiem, ale podobno jakąś kobietę znaleziono na brzegu Marny. Zapewne pan komisarz o tem pisze.

Naczelnik rozpieczętował list i przeczytał, co następuje:

„Panie Naczelniku policji śledczej! Obecność pańska jest po-

trzebna w Saint-Maure les-Fosses, dla śledztwa z powodu trupa kobiety, przy której znaleziono bilet policyjny. Jeżeli pan sam nie będzie mógł nas zaszczycić swoją obecnością, uprzejmie proszę pana naczelnika o łaskawe nadesłanie mi zleceń, jak mam postąpić.

Pozostaję i t. d.

— Prawda! Aime Joubert nie żyje! — szepnął naczelnik, zwijając list — co za fatalny los! Wracaj do Saint-Maure, zaraz tam przyjadę!

Żandarm wyszedł.

— Wy, Galoubet i Sylwan — mówił dalej naczelnik — czekajcie tutaj. Pojedziecie do Saint-Maure!

Poszedł do komisarza do spraw sądowych.

— Teraz najpilniejsza rzecz być w Saint-Maure; jadę tam zaraz.

— I ja z panem jadę — rzekł komisarz. — Chciałbym jak najprędzej dowiedzieć się szczegółów.

Pojechali. Dwunasta biła, gdy zajechali przed kancelarję żandarmerji w Saint-Maure. Komisarz policyjny i brygadier żandarmerji wyszli na ich spotkanie.

— Przepraszam najmocniej, żem panów trudził — odezwał się komisarz. — Zdawało mi się, że to jakiś ważny wypadek, o którym powinienem panów zaraz zawiadomić.

— I nie omylił się pan — odpowiedział naczelnik policji śledczej. — Rzeczywiście, to jedna z naszych najlepszych agentek i bardzo bolesną dla nas jest jej śmierć.

— To muszę panów pocieszyć — rzekł żywo komisarz — ta kobieta nie umarła.

Twarze przybyłych zajaśniały radością.

— Chwała Bogu! — zawołał naczelnik policji. — Niewymownie nas cieszy to, co nam pan powiedział. Więc żyje.

— Żyje — odpowiedział brygadjer — z łaski doktora, który ją uratował, a myśmy już myśleli, że umarła. Gorączkę ma tylko i nie może odpowiadać na pytania.

— Gdzież ona?

— W moim pokoju, a nawet na mem łóżku, bo myślałem, że to jest moim obowiązkiem.

— To jej nie wydobyto z Marny?

— Dwoje naszych oglądało okolicę jednego z kanałów Marny, gdzie złodzieje rzeczni często w nocy łapią ryby. Idąc brzegiem Marny, jeden z nich zauważył łódkę w miejscu, gdzie się kanał zaczyna, spuścili się obaj ze skały i oto w łódce zobaczyli tę biedną kobietę, którą tu przynieśli, nie dającą znaku życia.

Przybysze z miejscowymi zwierzchnikami udali się do izby, gdzie leżała chora Aime Joubert, która się właśnie teraz poruszyła

zlekka i westchnęła. Zaraz zrobiła się cisza i oczy wszystkich skierowały się na chorą.

Podniosła ręce i jakby z kim walczyła. Potem usta jej się otworzyły i z zaschniętego gardła wyrwały się jej ledwie dosłyszalne wyrazy.

— Słuchajcie, słuchajcie! — szepnął naczelnik policji.

— Puśćcie mnie — mówiła Aime Joubert słabym głosem. Nie zabijajcie!... To Lartigues! To Verdier! Hiszpan rozkazuje... zabić chcą hrabiego Iwana. Mnie nie zabijają... coś im przeszkadza... Pojedynek — zabijają w pojedynku... Sto tysięcy franków, U Rotszylda...

Głos pani Rosier nagle zamilkł, ręce opadły. We drzwiach ukazała się nowa osoba.

— To kobieta — odezwał się nowoprzybyły — prawdopodobnie była obecną przy jakiejś strasznej scenie.

Wszyscy się obrócili.

— To doktor — rzekł komisarz policyjny i przedstawił przybyłego naczelnikowi policji i komisarzowi do spraw sądowych.

Obaj podziękowali doktorowi za ratunek, z jakim pospieszył pani Rosier.

— Nie macie się panowie czego lękać — odpowiedział doktor. — Ręczę za tę kobietę. Życiu jej niebezpieczeństwo nie grozi. Gorączka ustanie jutro, chora przyjdzie do siebie i będzie w stanie opowiedzieć dramat, którego była świadkiem i ofiarą.

Doktor zbliżył się do pani Rosier, uważnie ją obejrzał i dodał:

— Tak, jutro już usunę gorączkę i chora bardzo prędko stanie już na nogi.

— Przyjedziemy znów jutro — rzekł naczelnik policji śledczej — a tu pozostawimy tych dwóch ludzi do rozporządzenia pańskiego, na wypadek, gdyby pan chciał mnie zawiadomić o czemś nieprzewidzianem.

Wskazał na Sylwana i Galoubeta i dodał, wyjmując z pugilaresu papier bankowy i podając go Galoubetowi:

— Tu jest sto franków dla was i dla naszej chorej. Do jutra.

W pięć minut później naczelnik policji śledczej i komisarz do spraw sądowych odjechali do Paryża. Gdy na drugi dzień znowu przybył naczelnik policji z temi samemi osobami, co wczoraj do chorej, której znacznie się polepszyło, Aime Joubert zwolna wysilając jeszcze osłabioną pamięć, ażeby nie opuścić żadnych szczegółów, opowiedziała, co uczyniła, co wycierpiała i co słyszała od tej chwili, kiedy zatonęła łódka, którą jechała z Galoubetem i Sylwanem.

— Ani słowa nie straciłam z ich rozmowy — mówiła dalej głosem osłabionym ze znużenia. — Wtem kamyk osunąwszy mi się pod ręką, wpadł tuż przy nich do wody i zbudził ich podejrzenie. Chcieli wyjść na brzeg, wyszukać mnie i na zawsze mnie się po-

zbyć. Poczęłam uciekać, siły mnie zawiodły, padłam bez czucia.

— Zbrodniarze wzięli panią za umarłą — rzekł naczelnik policji śledczej — i wrzucili do wody. Ale zamiast zwalić się do Marny, wpadłaś pani szczęśliwym trafem w łódkę, którą oni opuścili. Wszystko teraz jasne!

— Jeden z was panowie, musi co prędzej wrócić do Paryża — mówiła dalej Aime Joubert. — Wczoraj była niedziela, więc wszystkie banki były zamknięte. Zapewne nikt jeszcze nie odbierał pieniędzy na przekaz. Możecie panowie bezpiecznie aresztować tego, który przyjdzie do kasy Rotszylda, bo jeżeli nie będzie to Lartigues, ani Verdier, to przynajmniej ich wspólnik.

— Ja pojadę — rzekł komisarz do spraw sądowych, zwracając się do naczelnika policji — pod nieobecnością pańską przedsięweźmię potrzebne środki. Lepiej, że pan jeszcze zostanie przy pani Rosier, która zapewne opowie panu jeszcze bardzo wiele. Jeżeli będzie potrzeba, przyślij pan po mnie Galoubeta lub Sylwana.

— Przyślę. Sprawę z przekazem powierz pan Jodeletowi i Martelowi.

Komisarz czemprędzej udał się na kolej.

— Chcą w pojedynku zabić hrabiego — spytał teraz naczelnik policji.

— Zdaje się, że to ostatecznie postanowili, ale może co innego jeszcze wymyślą.

— Bądź co bądź — mówił dalej naczelnik — jeżeli hrabiego Iwana wyzwie kto na pojedynek, wiedzieć będziemy, że przeciwnik ten należy do bandy Piotra Lartiguesa. Pożądaną więc byłoby dla nas rzeczą, ażeby ci zbrodniarze plan swój wykonali.

Nic już nie zatrzymywało naczelnika policji śledczej w Saint-Maure, pośpieszył więc dowiedzieć się, czy komisarzowi do spraw sądowych powiodło się przy kasie Rotszylda.

Dlatego pożegnał się z agentką, zostawiając przy niej Galoubeta i Sylwana.

— Bądźcie wierni pani Rosier — rzekł do nich, odjeżdżając — a nie pożałujecie.

— Niech pan naczelnik będzie spokojny, — odpowiedział Galoubet — już my się starać będziemy.

XVII.

Cały dzień w niedzielę Maurycy był przy Marji Bressoles. Towarzyszył dziewczęciu i jej ojcu w powozie do lasku bulońskiego, jadł obiad u nich i odjechał dopiero o dziewiątej wieczorem, przypominając, że jutro mają jechać na wystawę.

Dzięki stosunkom z dziennikami, mógł się wystarać o bilety wejścia, albowiem oficjalnie dopiero za dwa dni miała być wystawa otwartą.

Wróciwszy do siebie, zastał list od Lartiguesa. Pisał doń lakonicznie co następuje:

„Jutro zrana przyjdź pan o dziewiątej.

Van Broke".

Nazajutrz o oznaczonej godzinie stawił się Maurycy przy ulicy Surenes, gdzie nań już czekali obaj wspólnicy. Zobaczywszy go uśmiechniętego i wesołego, bystro spojrzeli na siebie. Widocznie młodzieniec nie wiedział, co się stało na brzegach Marny, a zatem nie słyszał jeszcze o tragicznej śmierci matki. Czytelnicy nasi pojmują, że Lartigues i Verdier mogli sądzić, że Aime Joubert nie żyje. Maurycy przywitał ich uściśnięciem ręki i rzekł:

— Cóż słychać? Znaleźliście Symeonę?

— Niestety nie. Ale teraz nie o tę Symeonę chodzi — odpowiedział Verdier.

— A o co?

— Trzeba nam się pozbyć niebezpiecznego człowieka.

— Jak się nazywa?

— Hrabia Iwan Smoiłow Kurawiew. Ma on za co mścić się na nas, żeśmy zabili ojca jego w Hiszpanji.

— To zmienia postać rzeczy. Ale przecie o wszystkiem tem wiedzieliście przed miesiącem, skądże taka raptowna zmiana?

— Bo przed miesiącem śmierć jego nie przyniosłaby nam żadnego zysku.

— A teraz?

— Teraz da nam dwakroć sto tysięcy franków, z których sto tysięcy już w przekazie na okaziciela otrzymaliśmy i nasz niemowa Dominik odbiera je w tej chwili u Rotszylda.

— Toście się chyba widzieli z owym hrabią hiszpańskim, nieprzyjacielem Kurawiewa?

— Widzieliśmy się z jego wysłańcem.

— Kiedy?

— Onegdaj!

— I żąda jego śmierci?

— Żąda, płaci za nią, a prócz tego ofiarowuje nam w Hiszpanji swoją protekcję i bezpieczne schronienie, kiedy uznamy za potrzebne uciec przed policją francuską.

— Bardzo dobrze. Jakiejże rady spodziewacie się odemnie w tej sprawie, która was tylko dotyczy?

— Ona i ciebie tak, jak nas dotyczy, bośmy z sobą związani umową i wszystko musi być między nami wspólne.

— Niech i tak będzie. Lękacie się go w sprawie, wprost was osobiście dotyczącej, załatwijcie się z nim. Kiedy mnie będzie zawadzał, wtedy ja się do niego zabiorę.

— Więc nam swego współudziału odmawiasz? — gniewnie zawołał Verdier.

Maurycy uśmiechnął się chytrze.

— Moi kochani — rzekł — znam bajkę Lagontaina bardzo trafną i wy ją także znacie.

— Cóż to za bajka?

— Tytuł jej zdaje się „Małpa i kotka". Kotka wyciąga kasztany z ognia i opala sobie łapy. Małpa czeka, aż ostygną, obiera je i wtedy zjada, drwiąc sobie z kotki. Każdy dla siebie. Zabijając ludzi, ażeby dlatego komu sprawić przyjemność i wybawić go z kłopotu... padam do nóg. Jeżeli nic już dodać nie macie, przestańmy o tem mówić. Ale, potrzeba mi pieniędzy. Możecie mi dać dziesięć tysięcy franków?

— A jakże! — odrzekł Lartigues, wstając.

Wyjął ze swego biurka paczkę biletów bankowych i podał ją Maurycemu.

— Bardzo dziękuję! — rzekł młodzieniec. — A teraz muszę was pożegnać!

— Kiedy się zobaczymy?

— Jutro, jeżeli będę miał jaką nowinę.

W tejże chwili wszedł Dominik.

— Cóż, odebrałeś? — zapytał Lartigues.

Niemy skinął potwierdzająco. Potem wyjął z kieszeni pugilares i położył go na stole. Znajdowało się w nim sto tysięcy franków biletami bankowemi.

— Dostaliście już połowę zapłaty — rzekł Maurycy z uśmiechem. — Wierzcie mi, odeszlijcie te pieniądze jak najprędzej temu, kto je wam dał. Będzie to o wiele rozumniej, niż zabijać hrabiego Iwana.

Wyszedł. Dominik dał znakami teraz do zrozumienia swemu panu, że śniadanie podane.

XVIII.

Pożegnawszy Lartiguesa i Verdiera, Maurycy udał się do pałacyku przy ulicy Verneuille,, — gdzie go czekano ze śniadaniem. Potem miał towarzyszyć na wystawę obrazów Walentynie i Marji. Bressolowi wypadł jakiś pilny interes i nie mógł z nimi jechać. Śniadanie nie trwało niedługo. Marja była bardzo ożywiona. Na twarzyczce jej nie było widać zatrważającej bladości, jak dni poprzednich. Żywy rumieniec powlekał jej policzki. Gorąco pragnąć zobaczyć obraz swego przyjaciela Gabrjela Servais. dziewczę znajdowało się w gorączkowem usposobieniu.

Dnia tego rozdane były bilety bezpłatne artystom drzeworytnikom, przyjaciołom artystów i dziennikarzy, a kiedy pani Bressoles, Marja i Maurycy przyjechali do pałacu Przemysłu, liczny już tłum napełniał salę kwadratową i galerję. Znakomitych okazów nie brakło, jak się zwykle zdarza, ciekawi tłoczyli się przed kilku utworami głośnych pędzli lub przed dziełami, prawdziwej oryginalności i zalet. Walentyna spotkała wielu znajomych. Wszyscy zdziwili się, że tak się zmieniła Marja Bressoles, którą prowadził pod rękę Maurycy Vasseur. Pomimo ożywienia, którego znamy przyczynę, Marja bardzo była mizerna i łatwo było widzieć, że choroba podkopuje życie dziewczęcia. Marja patrzyła na obrazy bez ciekawości, zupełnie machinalnie.

Jednakowoż zatrzymała się nagle, a na ustach jej zjawił się uśmiech.

— Oto obraz pana Gabrjela Servais — powiedziała, wskazując na płótno, które zaraz przed nią zasłoniła gromadka ciekawych osób, ciągle się tu zmieniających.

Dawały się słyszeć głośne pochwały i pełne zapału wykrzykniki, ażeby się zbliżyć do obrazu, trzeba było czekać z pięć minut. Nareszcie troje naszych osób znalazło się w pierwszym rzędzie. Maurycego uderzyły rysy chorej.

— Tę twarz znam — rzekł do siebie — ale gdzie ją widziałem?

Usiłował przypomnieć sobie. Nagle zadrżał całem ciałem i wzrok jego z dziwnem wejrzeniem skierował się na oblicze umierającego dziewczęcia.

— Jakie jest pańskie zdanie, panie Maurycy — zapytała Marja, która ożywiwszy się na widok obrazu, zapomniała chwilowo o swem cierpieniu. — Czy przesadzałam w pochwałach? Czyż się pan nie zachwyca wzruszającym a pełnym rezygnacji wyrazem tej cudownej twarzyczki?

Syn Aime Joubert zapanował nad sobą.

— Rzeczywiście — odpowiedział — obraz ten znakomity i znać, że pan Servais ma ogromny talent. Jaką musi mieć szczególną wyobraźnię, że stworzył na płótnie tę cierpiącą i smutną główkę.

— O! co do tego myli się pan! — żywo rzekła Marja — z wyobraźni nic nie stwarzał.

— Jakto?

— Brał z natury.

— Alboż ta chora istnieje?

— Istnieje i mógł się pan z nią spotkać wczoraj u nas, bo była jednocześnie z panem.

— Ta panienka była u państwa? — zawołał zdumiony Maurycy.

— Tak, niema w tem nic naturalniejszego, przyszła mnie odwiedzić. Biedaczka bardzo była nieszczęśliwa, chociaż na wielkie zasługuje szczęście! Ale chwała Bogu, zmartwienie jej już ustało!

Pomieściłam ją przy pomocy ojca, jako dozorującą nad szwaczkami u pani Dubief, na pensji, gdzie się kształciłam, przy ulicy Ville de Eveque.

XIX.

Maurycy uważał na każde słowo Marji. Walentyna nie słuchała córki.

— A jak się nazywa ta rzeczywiście interesująca osoba? — zapytał młodzieniec, a serce mocno mu biło.

— Symeona!

Usłyszawszy to imię, Maurycy nie bez wielkiego wysiłku powściągnął okrzyk radości, jaki tylko co nie wyrwał się z jego ust.

— Nareszcie ją mam! — pomyślał — to ona... w wychudłych od choroby rysach poznaję twarz z fotografji, którą mi pokazała Klaudyna Charvais. Przytem wszystko się zgadza. Marja powtórzyła tylko to, co mi powiedziała Oktawja. I dodał głośno:

— Więc ta biedna panienka teraz dozorująca szwaczkami była na tej samej pensji, gdzie pani?

— Tak, u poczciwej pani Dubief, która się zachwyca jej pracowitością. Gdyby pan teraz zobaczył Symeonę, z trudnością by pan poznał, że to ta sama, co na obrazie. Teraz ona zdrowa i wesoła i wcale nie wygląda na umierającą sierotę, której wzruszający portet odtworzył pan Servais z takim talentem.

Maurycy zamyślił się. Szukał sposobu skorzystania jak najprędzej z tego, czem mu się przypadek przysłużył . Marja widocznie znowu doświadczała wielkiego znużenia. Troje naszych opuściło tedy wystawę i pojechało karetą, która czekała na nich przed pałacem Przemysłu. Dochodziła piąta, gdy powracali do domu. Marja poszła zaraz do swego pokoju. Walentyna i Maurycy pozostali sami na chwilę.

— Hrabia Iwan Smoiłow wydaje mi się niebezpiecznym — rzekł Maurycy do żony budowniczego — chce Alberta de Gibray uratować i mówi o tem z takiem przekonaniem, że aż mnie przestrasza. A jeśli mu się uda?

— Wszystko przepadnie wtedy — odpowiedziała Walentyna. — Albert zechce żenić się z Marją, a ojciec jego, ażeby przeszkodzić temu małżeństwu, odważy się na skandal.

— Trzeba mój ślub przyspieszyć.

— Bezwątpienia, ale to nie odemnie zależy.

— A od kogoż?

— Od doktora, on ma na mego męża większy wpływ.

— To ty wpłyń znów na doktora.

— Dobrze, zacznę działać od dziś, a najpóźniej od jutra.

W tejże chwili wszedł budowniczy i poprosił Maurycego na obiad.

Młodzieniec wymówił się pod pozorem, że ma się widzieć z jednym ze znajomych swoich, a nie może sprawić mu zawodu, obiecał jednak, że wcześnie powróci, ażeby paniom towarzyszyć do teatru na operę komiczną.

— Wystawa i teatr — rzekł budowniczy, — boję się, czy to nie za dużo na jeden dzień, czy nie będzie dla Marji za wiele zmęczenia.

— Wiesz, mój drogi, że doktor uważa zmęczenie za dobre lekarstwo, — odparła Walentyna. — Jego zdaniem tylko znużenie może dać Marji dobry sen.

— Niech i tak będzie, ale we wszystkiem unikać należy przesady, nie będąc jednak doktorem, nie będę się sprzeciwiał.

— I masz słuszność — rzekła żona, wzruszając ramionami. Do widzenia, panie Maurycy.

Syn Aime Joubert wziął dorożkę i kazał się wieźć na ulicę Surennes, gdzie zastał Lartiguesa samego.

— Masz co nowego? — zapytał rzekomy kapitan Van Broke.

— Mam.

— Cóż takiego?

— Symeonę znalazłem.

— Doprawdy? — spytał Lartigues zdziwiony i uradowany.

— Słowo honoru!

— Rzeczywiście pyszna wiadomość.. no, a teraz opowiedz szczegółowo.

Maurycy pokrótce opowiedział o zwiedzeniu wystawy, gdzie poznał młodą dziewczynę na obrazie Gabrjela Servais.

— Rzecz w gruncie bardzo prosta — dodał — ale jest w tem jedna okoliczność, jakby wymyślona przez romansopisarza lub dramaturga, okoliczność zdumiewająca.

— Jaka?

— Wszystkich wiadomości, jakich potrzeba mi było o Symeonie, udzieliła mi jej siostra...

— Jej siostra? — powtórzył Lartigues.

— Naturalnie! Marja Bressoles... przecie siostrami są dla siebie, córki jednej matki.

— A Marja Bressoles zna Symeonę?

— Zna. Ona i ojciec jej opiekują się nią.

— Ale nie wiedzą o tajemnicy jej urodzenia?

— Ma się rozumieć. Sama pani Bressoles, dawna Walentyna Dharville, choć kilka razy widziała Symeonę, uważa ją jednak za obcą.

— Gdzie ją widziała?

— W samym pałacyku przy ulicy Verneuille.

— Masz słuszność, kochany Maurycy! — zawołał Lartigues. — Rzeczywiście dziwne są losu koleje! Gdzie mieszka Symeona?

— W naszej dzielnicy. Niedaleko stąd na pensji, przy ulicy Ville de Eveque.

— Na pensji przy ulicy Ville de Eveque! — powtórzył mniemany kapitan, drgnąwszy. — A wiesz, kto trzyma tę pensję?

— Jakaś pani Dubief.

Lartigues uderzył pięścią w stół.

— Pani Dubief — powtórzył zacierając ręce. — Napewno wiesz, że tak się nazywa przełożona?

— Napewno.

— No, mój drogi, możemy sobie powinszować osobliwszego, niesłychanego, prawie nieprawdopodobnego szczęścia!

— Skądże się tak zapalasz? — zapytał Maurycy z uśmiechem.

— Ogród pensji pani Dubief graniczy z naszym, a jak wiesz, mamy klucz, którym możemy otworzyć furtkę.

— Więc rzecz prawie już gotowa! — rzekł Maurycy.

— Czem jest Symeona na pensji.

— Dozorczynią szwaczek.

— Wybornie!

— Zaczynam myśleć, kochany mój wspólniku, że miljony Armanda Dharville wkrótce już będą w naszem ręku.

— Tak — bąknął Lartigues, zmarszczywszy brwi — i wtedy rozstaniemy się, jakeśmy mówili.

— Alboż naprawdę myślisz, że w moim wieku, przy takim majątku, który pozwoli mi zaspakajać wszelkie namiętności i zachcianki, że byłbym tak głupi, iżbym miał opuścić Francję? Żyć można tylko w Paryżu.

— A niebezpieczeństwo dla ciebie nic nie znaczy?

— O jakiem niebezpieczeństwie mówisz?

Maurycy zmienił nagle przedmiot rozmowy.

— Ale — rzekł — mam wiadomość o hrabim Iwanie.

— Tak? — rzekł mniemany kapitan.

— Tak, spotkałem się z nim i rozmawiałem.

— I cóż?

— Ha! może zmienię dawne zdanie.

XX

Szczery przyjaciel Alberta, chcąc go ochronić od rozpaczy, udał się do jego ojca i prosił o rozmowę.

— Bardzo młody jestem — zaczął hrabia Iwan — i dla tego wiem. że nie mam prawa ani pana wypytywać, ani panu radzić, a

jednak i na jedno i drugie odważę się przez wzgląd na szczerą przyjaźń, jaką czuję dla pańskiego syna!

Sędzia śledczy drgnął.

— Chce pan ze mną mówić o Albercie? — zapytał.

— Tak.

— I bez wątpienia również i o tej, którą on kocha?

— Głównie o tej, którą on kocha! Wiem, jak pan miłuje Alberta, sądzę, iż życie oddałby pan dla niego, ażeby go uratować i ażeby go widzieć szczęśliwym.

— Bez wahania, bez żalu , życie dla niego oddam i Bóg mi świadkiem!

— I wszystko pan dla niego poświęci?

— Wszystko na świecie.

— Nawet nienawiść swą ku Walentynie Bressoles, nienawiść, przyczyny której nie znam i nie chcę wiedzieć?

— Błagam pana o odpowiedź szczerą bez żadnej wstecznej myśli, błagam, żeby pan nietylko mi to powiedział, ale i zaprzysiągł!

— Dlaczego pan żąda odemnie tej przysięgi?

— Bo pan w ręku swem trzyma życie dwojga istot dobrych, szlachetnych, które umrą, jeśli pan się sprzeciwi ich związkowi! Niech pan przeczyta ten list!

Hrabia Iwan podał sędziemu śledczemu list Marji Bressoles do Alberta.

Paweł de Gabray wziął z rąk hrabiego Iwana list, przeczytał go ze wzruszeniem, od którego łzy mu wystąpiły w oczach.

— Biedne dziecko! biedne dziecko! — wyszeptał potem. — Jak ona go kocha!

— Żałuje pan jej? — spytał hrabia, sam bardzo wzruszony.

— Czyż podobna nie żałować?

— Nie znam pani Bressoles — mówił hrabia Iwan — i nie chcę poznać, przekonany jestem wszelako, że to bez serca matka, wcale swej córki nie kochająca. Przekonany jestem, że zazdroszcząc jej młodości i urody, pragnęłaby ją wszelkiemi sposobami od siebie oddalić, i że temu dziewczęciu, umierającemu z miłości dla Alberta narzucić chce wstrętne małżeństwo.

— Małżeństwo? — powtórzył sędzia śledczy.

— Tak.

— Myślałem, że panna Bressoles chora, nawet bardzo chora.

— Rzeczywiście jest chorą, ale cóż to obchodzi okrutną matkę.

— Wydadzą ją i tak zmąż. Wiem, że to już ułożone. Dobry uczynek trzeba spełnić, panie de Gibray, trzeba Marję Bressoles uratować od śmierci i dać jej za męża pańskiego syna, który upewniwszy się, iż zgadza się pan na jego małżeństwo, niezawodnie żyć zechce, a zatem nie będzie się przyczyniał do swej śmierci.

— Albert przyczynia się do swej śmierci! — zawołał zdumiony ojciec.

— Tak utrzymuję. Pan tylko umoże go ocalić, wróciwszy mu nadzieję, zabiłoby go wzruszenie!

— Wszystko to okropne! — wyszeptał Gibray z rozpaczą, chwytając się za głowę. — Nikczemna ta kobieta zabija nietylko swą córkę, ale i mego syna jednocześnie! Gdyby nie ona, zarazbym poszedł prosić o rękę Marji dla Alberta!

— Idź pan, pomimo wszystko! — zawołał hrabia z zapałem. — Zapomnij pan o wszystkiem i tylko o tem pamiętaj, że Albert musi żyć i że Marję Bressoles trzeba wydrzeć Maurycemu Vasseur.

— Maurycemu Vasseur — powtórzył sędzia.

— Tak, takiego męża dla niej przeznaczają. Śpiesz się pan, spiesz, bo wkrótce będzie już zapóźno!

— Ale syn mój nie z miłości umiera — odparł sędzia śledczy — doktor utrzymuje...

— Zrzecz się pan tego doktora i na mnie pan polegaj. Ja odpowiadam za wszystko, jeśli mi pan przysięgnie, że pozwoli pan Albertowi ożenić się z Marją Bressoles, wtedy powrócą mu siły i zdrowie.

— No, dobrze, zapomnę o wszystkiem, pogrzebię w sobie nienawiść, pogardę, gniew! — zawołał sędzia śledczy, unosząc się miłością ojcowską. — Jeżeli Marja Bressoles zostanie mą córką, nigdy nie będzie się widziała z nią. Ocal pan mego syna, a przysięgam panu, że pojadę prosić dlań o rękę Marji!

Hrabia wyciągnął ręce do sędziego śledczego i zawołał:

— Uściskaj mnie, panie de Gibray! Albert będzie ocalony!

Uścisnęli się serdecznie.

— Teraz — mówił dalej hrabia — przyjmuję łaskawą propozycję, jaką mi pan dawniej uczynił. Przeniosę się do pana na kilka dni ,i tym sposobem będę też mógł ciągle doglądać pańskiego syna.

— Powtórz mi pan, że go ocalisz.

— Tak, powtarzam i to z zupełną pewnością... Idę do Alberta.

— Każę, ażeby panu przygotowano pokój.

Rozeszli się. Hrabia Iwan wszedł do chorego z wesołą miną, z uśmiechem na ustach.

Albert wyciągnął doń obie ręce i odezwał się słabym głosem:

— Nareszcie przychodzisz!

— Jakże się czujesz, mój drogi? — spytał Rosjanin.

— Jak człowiek, który się nudzi śmiertelnie, cały dzień cię nie widziałem!

— Byłem tobą zajęty, mój drogi.

— Tak. Czy ciągle mnie jeszcze kocha?

— Nawet jeszcze bardziej. Bardzo jeszcze słaba, ale o wiele jej lepiej. Wyzdrowienie niezawodne.

Alberta opanował nagle smutek, głowę spuścił na piersi, oczy mu zaszły łzami i głucho wyszeptał:

— Ona wyzdrowieje, a ja umieram. Po co żyć? Jeden tylko cel ma życie moje. Znasz ten cel i wiesz zarówno, że go nie osięgnę!

— A może!

Syn sędziego śledczego ze zdziwieniem spojrzał na swego przyjaciela.

— Mówisz bez żartów? — zapytał.

— Całkiem poważnie!

— Sądzisz więc, że małżeństwo moje z Marją może się stać możebnem?

— Nie tylko myślę tak, ale jestem pewny; tak, że ożenisz się z tą, którą kochasz; ale trzeba w takim razie zupełnie mi zaufać, na nie zdać się całkiem, a samemu usilnie pragnąć wyzdrowienia i niczem się nie trwożyć, cokolwiekbądź słyszałbyś lub widział. Przyrzekasz mi to?

— Przyrzekam i obietnicy dotrzymam, ale ci się nie uda przemódz nienawiści, jaką ojciec mój czuje dla pewnej osoby.

— A jeżeli nienawiść ta już przezwyciężona? Ojciec twój dał mi słowo, że w dniu, kiedy wstaniesz z łóżka silny i zdrowy, pojedzie prosić dla ciebie o rękę Marji.

— Przysięgasz mi, że tak jest?

— Przysięgam.

Tym razem wzruszenie zbyt wielkie było, serce zabiło Albertowi z niezwykłą gwałtownością, twarz rozgorzała, potem śmiertelnie zbladła. Młodzieniec opuścił głowę na poduszki i stracił przytomność.

Hrabia Iwan nie przestraszył się tem omdleniem, które przewidział, a które wcale go nie dziwiło. Umaczał serwetkę w zimnej wodzie i przyłożył do skroni Alberta, który prawie że natychmiast przyszedł do siebie.

— Widzisz, jakiżeś nierozsądny, mój drogi — rzekł — niepodobna nic dla ciebie zrobić, kiedy zamiast przemódz wzruszenie, poddajesz mu się zupełnie.

— Z radości nikt nie umiera! — wyszeptał młodzieniec — a ja z radości zemdlałem. Teraz chcę żyć i zobaczysz, jak silnym będę.

— Nasamprzód wypocznij.

— Już odchodzisz?

— Tak, ale niedługo przyjdę.

— Dziś jeszcze?

— Wieczorem.

Hrabia rozstał się z przyjacielem, wsiadł do swej karety i kazał się zawieść na ulicę Opery.

Kamienica, przed którą kazał się woźnicy zatrzymać, wyglądała tak wspaniale, że najmniejsze tu lokale musiały kosztować z

półtora tysiąca franków. Wszedł do pokoju, przez odźwiernego zajmowanego, a umeblowanego jakby salon, i spytał odźwiernego, podobnego z okazałej postawy i ubrania do jakiego szwajcara przy ministerjum.

— Czy doktor Juanes jest w domu?

— Jest na pierwszem piętrze.

— Wiem.

Hrabia wszedł na schody, pokryte aksamitem, zatrzymał się na pierwszem piętrze pod drzwiami z czarnego drzewa z ozdobami mosiężnemi i zadzwonił.

XXI.

Lokaj, bardzo elegancko ubrany, otworzył hrabiemu i wprowadził gościa do gabinetu, umeblowanego bardzo bogato i z wytwornym smakiem.

Wysoki młodzieniec, lat trzydziestu, blondyn, przystojny, z poważną miną, z rysem twarzy otwartym i rozumnym, wyciągnął rękę do hrabiego i zawołał:

— Witam kochanego hrabiego!

— Był to doktor Juanos, doktor hiszpański, niezwykłej wiedzy i zdolności, który od trzech lat mieszkał w Paryżu i zaraz wszedł w modę. Codzień wzrastała liczba bogatych jego klientów tak, że można powiedzieć, iż miał dochodów tyle, ile chciał.

Siadaj pan, panie hrabio i powiedz, co cię do mnie sprowadza?

— Przyjechałem z panem pomówić o chorym.

— I cóż?

— Ha, kochany doktorze, zastosowałem się do twej rady i wymogłem na ojcu obietnicę, że pozwoli mu się ożenić z dziewczęciem, które kocha.

— To już najgłówniejsze. Radość i nadzieja mu więcej pomogą w wyzdrowieniu, niż wszelkie lekarstwa na świecie.

— Teraz, kochany doktorze, pragnąłbym, ażeby zobaczył Alberta de Gibray. Usunąłem od niego doktora, bardzo poczciwego człowieka, ale nieśmiałego, bez żadnej przedsiębiorczości. Czy będzie pan miał jutro czas o dwunastej?

— Będę!

— Więc będę prosił pana doktora o przybycie na ulicę Regue do pana de Gibray, którego ma pan adres; będę i ja tam i przyjmę pana.

— Przyjadę. Wiesz przecie, panie hrabio, że możesz na mnie we wszystkiem liczyć.

Uścisnęli się za ręce i hrabia Iwan udał się do hotelu Wielkiego, gdzie zjadł obiad i skąd zabrał kufer z bielizną i ubraniem.

— Jeżeli kto o mnie zapyta w kancelarji hotelu, proszę powiedzieć, że wyjechałem z Paryża na dni kilka.

W godzinę później zajął pokój, przeznaczony dlań przez sędziego śledczego, obok pokoju Alberta. Młody człowiek jaśniał radością na myśl, że hrabia Iwan będzie przy nim przez kilka dni. Nazajutrz o dziewiątej zaraz przyjechał, jak zwykle nadworny doktor Gibrin. Wszedł z sędzią śledczym do pokoju Alberta.

Hrabia Iwan czytał już gazety swemu przyjacielowi, aby go rozerwać. Doktor przystąpił do łóżka, zadał kilka pytań, zobaczył puls u chorego, pokręcił głową, zapisał nową receptę i wyszedł przekonany, że uczciwie zarobił honorarjum za swą codzienną wizytę.

Odprowadził go hrabia i sędzia.

— I cóż doktorze? — zapytał go biedny ojciec, bardzo strwożony owem kręceniem głowy.

— Ha, cóż! — odpowiedział doktor z miną smutną. — Pełen hartu pan jesteś, powinieneś się więc uzbroić w męstwo.

— Czy gorzej synowi? — zapytał sędzia.

— Nie można powiedzieć, żeby było gorzej, ale i nie lepiej. Jeżeli wyzdrowieje, jeżeli będę miał szczęście go uratować, nastąpi to nieprędko, bardzo nieprędko.

Gibray zbladł i spojrzał na hrabiego Iwana. Uśmiech ironiczny wykrzywił Iwanowi usta. Doktor odjechał, oddawszy receptę lokajowi i poleciwszy zanieść ją do apteki, ażeby przyrządzono tam miksturę jak najprędzej. Gibray zaprowadził hrabiego do swego gabinetu.

— Słyszał pan? — zapytał.

— Słyszałem.

— A widziałem, żeś się pan uśmiechnął.

— Rzeczywiście.

— Zatem nie wierzy pan doktorowi?

— On sam sobie nie wierzy.

— To pocóżby miał mnie naprożno trwożyć?

— Ażeby nadać sobie większe znaczenie w oczach pańskich.

— Ależ to stary przyjaciel naszej rodziny.

— Czy mu to przeszkadza brać w końcu roku honorarjum za swoje wizyty!

— Naturalnie, że nie, ale cóż może być słuszniejszego od przynależnego wynagrodzenia.

— Tak, ale wcale nic nie ma przeciw zaokrągleniu tego wynagrodzenia przynależnego, dalej składając wizyty i pozostawiając chorego w tym samym wciąż stanie, poczciwy doktor nie czyni nic, ażeby zdrowie chorego polepszyć!

— Jakto nic! napisał receptę! w tej chwili nowe przyrza...

lekarstwo! Lekarstwo to przyniosą i zobaczymy, jak poskutkuje. Powiedziałeś mi kochany panie de Gibray, że zdajesz się całkiem na mnie.... wierz mi pan więc, ja ręczę za życie Alberta. Chodźmy na śniadanie!

Zimna krew i pewność siebie, jaką okazywał hrabia, uspokoiły nieco Gibraya, który usiadł też przy stole ze swym gościem, poczem zaraz po śniadaniu, uściskawszy syna, pojechał do sądu. Lokaj przyniósł lekarstwo, zapisane przez doktora. Hrabia włożył buteleczkę do kieszeni.

— Od dzisiaj — rzekł do lokaja — pozostaję przy waszym młodym panu i sam dawać mu będę lekarstwo.

— Dobrze, proszę pana.

Hrabia zaniósł lekarstwo do swego pokoju, zamknął do szafy, a potem poszedł do lokaja. W południe lokaj przyniósł hrabiemu jakiś bilet wizytowy. Kurawiew spojrzał i wyczytawszy nazwisko doktora Juanosa, kazał natychmiast poprosić gościa.

— Kochany Albercie — rzekł hrabia z uśmiechem, skoro lokaj wyszedł. — Przyrzekłeś mi niczemu się nie dziwić. Teraz nastała chwila spełnienia obietnicy.

— Jeszcze raz ją ponawiam i przyrzekam dotrzymać.

Drzwi otworzyły się i doktór hiszpański ukazał się w pokoju. Iwan poszedł na jego spotkanie, uścisnął go za rękę i przyprowadził do łóżka Alberta, mówiąc:

— Dziękuję panu kochanemu za punktualność. Oto kochany pacjent, o którym panu mówiłem. Zobacz go pan i sam osądź.

Juanos usiadł przy łóżku i zwrócił się do młodzieńca z mnóstwem zapytań, które dla czytelników naszych nie byłyby ciekawe i dlatego ich nie przytaczamy.

Po pytaniach tych doktór długo opukiwał Alberta, przysłuchiwał się oddechowi i robił notatki, poczem prosił, ażeby mu pokazano recepty lekarza domowego. Hrabia podał je Juanosowi, które je przeczytał. Kilkakrotnie podczas czytania brwi mu się zmarszczyły i usta zacisnęły. Wreszcie rzucił recepty pogardliwie na stół.

— Jakiego pan jest zdania? zapytał hrabia.

— A takiego, że te recepty jak najniedorzeczniejsze.

— Może są nawet niebezpieczne?

— Naturalnie, bo w lekarstwach wszystko co nie przynosi pożytku, musi tylko szkodzić. Prosiłbym o pióro i atrament.

Hrabia podał mu wszystko potrzebne do pisania. Juanos prędko nakreślił kilka wyrazów podał hrabiemu zapisany papier i rzekł:

— Każ pan z łaski swej, ażeby to przy panu przyrządzono i sam dawaj choremu.

— Może pan na mnie polegać.

— Teraz, kochany pacjencie, — mówił dalej doktór hiszpański i zwrócił się do Alberta — zacznę pana leczyć na prawdę. Przy

jaciel nasz wspólny, hrabia Iwan, wezwał mnie, bez wiedzy pańskiego ojca. Położenie moje bardzo jest wtedy drażliwe i nawet trochę dwuznaczne może. Przy wszelkich okolicznościach innych ni gdybym się na coś podobnego nie zgodził, ale hrabiemu niczego odmówić nie mogę i spodziewam się przytem, że usprawiedliwi mnie pomyślny rezultat.

— Więc mnie pan doktór wyleczy? — żywo zapytał Albert.

— Z Bożą pomocą i hrabiego Iwana.

— I prędko mnie pan wyleczy?

— Za trzy tygodnie będzie pan już na nogach.

— O, doktorze, doktorze! jakże będę panu wdzięczny — zawołał młody chory.

— Tylko spokojnie, bez wzruszeń; co do wdzięczności, jeżeli pan się do niej poczuwa, to chyba nie ku mnie winna być ona zwrócona, lecz ku hrabiemu. Ja jestem lekarzem, leczyć chorych nietylko jest moim zawodem, ale i obowiązkiem! Teraz zalecam panu unikać wszelkiego wzruszenia, jak najspokojniejszym być i ślepo słuchać tych, którzy chcą, ażebyś pan żył.

— Będę się wystrzegał wzruszeń, panie doktorze — odpowiedział Albert. — Będę spokojny i posłuszny.

— To wszystko pójdzie dobrze.

— Kiedy pana d[illegible] znów zobaczę?

— Jutro.

— Więc do jutra.

Juanos uścisnął rękę młodzieńca i wyszedł.

Hrabia odprowadził go na ulicę i udał się do apteki, nie chcąc nikomu powierzać recepty, którą doktór Juanos zapisał.

XXII.

W pałacyku przy ulicy Verneuille odbywała się prawie jednocześnie scena zupełnie w innym rodzaju. Doktor Duffrin przyjechał wcześnie i udał się z panem Bressoles do chorej Marji. Wstała już ona dawno i ubrana leżała na szeslongu. Myślała o Albercie, którego prawie nie miała nadziei widzieć. Pytała sama siebie, czy Gabrjel Servais oddał list temu, co tak bohatersko przywiązanie swe udowodnił i umierał teraz przez nie. Słowem, najczarniejsze myśli ogarniały jej duszę, głęboka melancholja znajdowała się na jej łagodnej twarzyczce. Przyjście ojca i doktora wyrwało ją z zadumy. Przyjęła z uśmiechem obu gości. Bressoles podszedł do niej prędko i pocałował ją w czoło.

— Jak się czujesz dziś, moje dziecko? — zapytał doktór

— Zdaje się, że trochę lepiej.

— A cóż z twemi czarnemi myślami?

Nie chcąc powiedzieć, co się w niej dzieje, Marja odrzekła, rumieniąc się za kłamstwo:

— Już nie tak często mnie trapią.

— A gorączka?

— Nie wiem, czy to gorączka, ale czasem mi się zdaje, że krew kipi mi w żyłach i rzuca się do twarzy, potem prawie w tejże chwili czuję nagle dreszcze, jakby się krew ścinała lodem.

— Moje dziecko, — odezwał się znów doktór po chwilowem milczeniu — z tego, coś mi panienka powiedziała, nabrałem przekonania, że jesteś poniekąd jeszcze pod działaniem jadu, który się do krwi przedostał przy ukąszeniu przez żmiję.

— Tak pan sądzi? — zawołała Marja bardzo wzruszona.

— Nawet pewny tego jestem, ale nie trzeba się trwożyć. Nigdybym z panienką nie mówił z taką prawie gburowatą otwartością, gdyby nie było lekarstwa na tę chorobę.

— Więc jest lekarstwo?

—Naturalnie.

— To ja mogę wyzdrowieć?

— To już całkiem od panienki zależy. Dość będzie, jeśli panienka będzie chciała, a przyjdzie do zdrowia.

— A to jak? Ale czego odemnie wymagacie? Co mam czynić?

— Wyjść zamąż! — odpowiedział Duffrin. Dziewczę drgnęło od stóp do głowy, jakby poraz wtóry jadowite żądło gadu wpiło się w jej ciało.

— Wyjść zamąż? — powtórzyła ze strachem.

— Koniecznie.

— I to jedyny środek przeciw chorobie, która mnie zwolna toczy?

— Tak, środek jedyny, jedyne wyjście. Nie ja sam tak twierdzę, ale luminarze nauki. Zostań pani żoną, a ocaloną będziesz.

— Lecz ten, którego kocham, który mnie kocha, także chory, jak ja, bardzo chory i nie może żenić się ze mną! — zawołało dziewczę z niewysłowioną rozpaczą.

— To też nie o nim mowa!

— Zdaje mi się, że tracę zmysły. Innego mam mieć męża, nie Alberta, nie, to być nie może.

— Moje dziecko! nie wpadaj w rozpacz! — szepnął Ludwik Bressoles, błagalnie składając ręce. — Oddal z serca marzenie, które śmierć rozstąpi, które może już roztrąciła w tej chwili.

Marja zbladła jak trup i z rozpaczą rękoma schwyciła sie za włosy, które w nieładzie rozpuściły się jej na ramiona

Wymówiła tylko te dwa słowa:

— Albert umarł!

— Albo umrze! — rzekł doktór.

— Nie żyje już Albert — mówiło dziewczę w uniesieniu — a wy żądacie, żebym zapomniała o nim! O, nigdy, nigdy! Jeżeli on umarł, ja chcę iść za nim!

Bressoles podniósł głowę.

— Dobrze! — rzekł tonem ponuro stanowczym. — Już więcej cię nie błagam. Idź za nim... ja pójdę za tobą.

XXIII.

Marja była jakby nieprzytomną. Ale gdy usłyszała ostatnie słowa ojca, wyraz jej twarzy zmienił się nagle i stał się spokojnym.

— Wszystko się skończyło... znikąd nadziei — szeptało dziewczę głuchym głosem, jakby sama mówiąc do siebie. — Jeżelim nie umarła z tych wszystkich wrażeń, z tych cierpień wszystkich, to znaczy, że Bóg chce, ażebym żyła. Każe mi żyć dla ojca.

Spojrzała na starca, wciąż jeszcze klęczącego, wciąż zalewającego się łzami, ujęła go za ręce, podniosła i rzekła:

— Nie płacz, ojcze, ofiara spełniona, nie będziemy mówili o przeszłości... przyrzekam ci, że wyzdrowieję. Za jakąbądź cenę ma być okupione zdrowie, wyzdrowieję... dla ciebie.

Ludwik Bressoles z trudnością powstał, pochwycił córkę w objęcia i okrył ją pocałunkami, Marja mówiła dalej:

— Powtarzam, ofiara spełniona. Możecie mówić bez trwogi, ja słuchać będę tak spokojnie, jakby to nie o mnie była mowa. Kogoż przeznaczacie mi na męża?

— Maurycego Vasseura — odpowiedział doktór

— Domyślałam się. Mam go za uczciwego człowieka. Będę dla niego uczciwą żoną. Spełnię swe obowiązki, ale więcej niech odemnie nie wymaga.

— Zgadzasz się? zawołał budowniczy, a dusza przepełniała mu się smutkiem i radością.

— Tak, ojcze, zgadzam się. Kiedy będzie nasz ślub?

— Myślę, że za miesiąc.

— Po co zwlekać? — zapytał doktór. — Dla czego nie skończyć wszystkiego, o ile najprędzej pozwalają przepisy?

— Byłoby to rzeczywiście lepiej — rzekł Bressoles — ale Marja...

— O mnie się nie troszczcie — przerwało dziewczę — działajcie, jak chcecie najprędzej, wszystko co uczynicie, będzie dobrze.

— I szczerze to mówisz, gołąbko moja?

— Przysięgam!

Biedny ojciec znowu uściskał córkę, przytulił do serca i tkliwie ucałował, szepcąc:

— O, moje kochane dziecko, drogi skarbie mój, jedyna miłość ojca na tym świecie, tobie zawdzięczać będę szczęście na starość, obetrzyj oczy i chodź ucałować matkę.

Marja była posłuszna. Widząc ją spokojną, przynajmniej z pozoru, Walentyna myślała, że ojciec i doktór nie mówili z nią o zamążpójście. Wielkie było zdumienie jej, kiedy się Ludwik odezwał:

— Już wie o wszystkiem... zgadza się...

W tejże chwili służący oznajmił Maurycego. Walentyna uczuła w sercu straszny cios. Myślała sobie: Jakto? myśl o małżeństwie ani jednej łzy nie wycisnęła z jej oczu? Uśmiecha się prawie, zrzekając się miłości ku Albertowi. Czyżbym się omyliła? Kochałaż by Maurycego?

Maurycy wszedł. Walentyna, zmarszczywszy brwi, rzuciła nań zazdrosne spojrzenie. Marja wyciągnęła doń rękę.

— Panie Vasseur — rzekła — powiem panu nowinę.

— Nowinę? — powtórzył Maurycy.

— Tak.

— A czy przyjemną?

— Niech pan sam osądzi. Ojciec tylko co mi powiedział, że za miesiąc nosić będę nazwisko pańskie.

— A pani co na to odpowiedziała? — zawołał młodzieniec, oszołomiony tą wiadomością..

— Odpowiedziałam, że zgadzam się i dziękuję panu z całego serca za pańskie przywiązanie.

— Za moje przywiązanie? — wyszeptał syn Aime Joubert zaczerwieniony.

— Naturalnie — odpowiedziało dziewczę — ja się nie łudzę. Pan idzie za popędem swego szlachetnego serca, powoduje panem litość dla mnie. Żeni się pan, ażeby mnie uratować.

— Wynagrodzony będę za to — odpowiedział Maurycy, odzyskując zuchwały cynizm. — Teraz pani cierpieć już będzie niedługo.

Nikt, prócz łotra, który te słowa wymówił, nie zrozumiał strasz liwego ich znaczenia. Walentyna z wściekłością przygryzła sobie wargi.

— Zjesz z nami śniadanie, doktorze? — odezwał się Ludwik.

— Z wielką przyjemnością — odpowiedział doktór. — Pierwszy chcę wypić za zdrowie i szczęście przyszłych państwa młodych.

Budowniczy mówił dalej, zwracając się do Maurycego:

— Po śniadaniu, mój drogi, pomówimy z sobą.

Syn Aime Joubert skłonił się. Skoro się śniadanie skończyło, a trwało niedługo, Bressoles zaprowadził Maurycego do swego gabinetu i rozpoczął rozmowę w te słowa:

— Jeśli chcesz, mój kochany synu, pozwolisz, że cię już tak nazywać będę, zajmiemy się przyszłością twoją i Marji. Znam cię niedawno, lecz zdaje się, znam cię już o tyle, że mogę powiedzieć z przekonaniem, że czynisz córkę mą szczęśliwą. Nie mogę wątpić o przywiązaniu, którego dowiodłeś wielkiem poświęceniem; kochasz Marję, a ona zawdzięczać ci będzie swe ocalenie, tego już dość, abym ja ciebie kochał: chciałbym tylko poznać całą twoją przeszłość. Opowiedz mi o swych rodzicach.

— Wprzód muszę panu uczynić wyznanie — rzekł Maurycy.

— Czy co do wykroczenia jakiego? — spytał Ludwik przestraszony.

— Nie co do nieszczęścia.

— Jakiego?

— Jestem synem nieprawym.

To rzeczywiście nieszczęście, ale nie zbrodnia, więc nie mogę ci z tego uczynić zarzutu. Ojciec twój, który sam tylko zawinił, żyje jeszcze?

— Nie, umarł.

— A matka żyje?

— Żyje... najlepsza z matek i najuczciwsza z kobiet, która raz tylko uległa przez podłość nikczemnika. Matka moja wkrótce przyjedzie podziękować panu za wielki zaszczyt, jaki wyświadczasz jej synowi.

— Przyjmę ją z wielką przyjemnością. Teraz inne pytanie — zapewne nie masz nic, prócz tego, co zarabiasz własną pracą?

— Przepraszam.. matka daje mi sześć tysięcy franków rocznie, co w połączeniu z tem, co zarabiam piórem, pozwala mi żyć dodatnio.

— Rzeczywiście dla młodego człowieka to bardzo dostatecznie... Aurea mediocriatas", ale tego nie dość dla mego zięcia. Zajmuj się literaturą, bardzo to pięknie, ale w chwilach wolnych, dla swej własnej przyjemności, ale nie po to, ażebyś się miał z pióra utrzymywać. Dam córce swej pięćkroć sto tysięcy posagu. To uczyni dwadzieścia tysięcy rocznego dochodu.

— Jakże panu jestem obowiązany!

— Niczem mi obowiązany nie jesteś! Spełniam ojcowski obowiązek. Teraz mam cię o coś prosić, co może niebędzie ci zbyt przyjemnem.

— Życzenie pańskie bardzo jest naturalne — przyjemnem, na każde z nich zawczasu się zgadzam .

— Pragnę, żebyście moje dzieci, gdy się pobierzecie, nie opuszczali tego pałacyku, ażebyście mieszkali przy nas, ażebym nie był pozbawiony widoku córki.

— Życzenie pańskie bardzo jest naturalne— odpowiedział Maurycy — sprzeciwiać mu się nie mogę. Dodam nawet, że z najwięk-

szą radością przyjmuję propozycję mieszkania z panem w jednym domu.

— Dziękuję ci, mój synu, każę przygotować intercyzę. Pięćkroć sto tysięcy franków otrzymasz w przekazie na bank francuski zaraz w dzień ślubu, a dzień ten trzeba przyśpieszyć, jak tylko będziesz mógł najprędzej. Przygotuj więc wszystkie potrzebne dokumenta, urządź wszystko, jak należy i razem udamy się do merostwa. Pragnę, abyś jak najprędzej został mym zięciem.

— Jutro albo pojutrze, najpóźniej przygotuję konieczne papiery i razem z matką przywieziemy je tutaj.

— Dobrze. Akt ślubny podpiszemy za dwa tygodnie. Nic nie masz przeciwko temu?

— Naturalnie, że nic.

— Zgadzasz się więc we wszystkiem. Uściskaj mnie, mój synu.

Starzec otworzył ramiona. Maurycy rzucił się na szyję z udanem rozrzewieniem i bez odrobiny wstydu, jak Judasz pocałował uczciwego człowieka, którego oszukiwał. Ludwik mówił dalej:

—Teraz pozwól, że zajmę się innemi rzeczami, które muszę załatwić przed pójściem do notarjusza, a ty idź do kobiet.

Syn Aime Joubert usłuchał tej rady. Marja wróciła do swego pokoju, aby się spokojnie wypłakać. W salonie siedziała Walentyna.

— Maurycy — rzekła tonem pełnym wściekłości. — Ja nie wierzę, boję się.

— Czego?

— Marja przystała za prędko.

— Więc cóż z tego? Doktór wpoił w nią to przekonanie, że jeśli umrze, ojciec nie przeżyje jej śmierci, poświęca się tedy. Ale ona bardzo chora, nic jej nie może uratować. W kilka dni po ślubie zostanę wdowcem, a zatem wolnym już będę, a zamieszkam przytem tu u was w domu i nie usunę się stąd nigdy.

— I zawsze będziesz mieszkał? — spytała Walentyna, nieco już uspokojona.

— Tak.

Maurycy wziął za kapelusz.

— Już odchodzisz? — zawołała Walentyna.

— Muszę, masa interesów, przyjdę na obiad.

— Więc do widzenia.

— Do widzenia!

— Do widzenia!

XXIV.

Tegoż dnia zrana Lartigues opowiedział Verdierowi wszystko, co się o Symonie dowiedział. Dzięki jak najszczęśliwszemu

przypadkowi, który tak pomyślnie sprzyjał poszukiwaniom Maurycego, dziewczę znalazło się i wiadome już było jej mieszkanie. Nie tracąc ani minuty, Verdier jął obmyślać plan działania.

— Symeona mieszka na pensji pani Dubief — rzekł — to bardzo dobrze, ale pensja wielka. Trzeba dowiedzieć się, w której części domu znajduje się jej pokój.

— Maurycy tego samego jest zdania — odrzekł Lartigues.

— Ale żeby znaleźć ten pokój, trzeba koniecznie dostać się znowu do pani Dubief.

— Naturalnie, ale w jaki sposób?

— Trudno wymyślić.

W tejże chwili dwa razy zapukano do drzwi.

— Proszę! — krzyknął Lartigues.

Drzwi się otworzyły i wszedł Maurycy.

— Chodźże prędzej, kochany nasz przyjacielu — odezwał się doń Verdier. — Winszuję ci, winszuję. Masz szczęście djabelskie i węch ogromny.

— Rzeczywiście — odpowiedział Maurycy z uśmiechem. — Symeona w naszem ręku, a ja za dwa tygodnie podpiszę akt ślubny.

Verdier aż się rozśmiał.

— Za trzy tygodnie ożenisz się, za miesiąc owdowiejesz, wszystko wybornie się składa! — rzekł. — Tym razem stanowczo już dosięgamy celu. Mnie jednak jedna rzecz niepokoi.

— Co takiego?

— Jak się dostać na pensję p. Dubief, ażeby się dowiedzieć, gdzie jest pokój Symeony.

— A w jaki sposób zamierzacie usunąć tę niepotrzebną spadkobierczynię?

— W ten sam sposób pozbędziemy się jej, jak i Marji Bressoles. Po co wysilać wyobraźnię. Co dla jednej dobre, przyda się i dla dwóch.

— Oddychanie kwasem pruskim?

— Tak.

— Już przyrządziłeś?

— Nie jeszcze. Spieszyć się nie ma po co. Ale zaraz zabiorę się do roboty.

— Czy w nocy działać będziesz?

— Naturalnie. Symeona musi spać. Przytem w dzień dostać się do niej niepodobna. Podejmuję się sam wszystkiego, byleście znaleźli sposób, ażeby zdjąć plan wnętrza domu.

— Mam już projekt.

W kilku słowach syn Aime Joubert opowiedział plan, jaki obmyślił.

— Pomysł szczególny, ale bardzo praktyczny! — zawołał Ver-

dier zachwycony. — Jesteś niepospolitym młodzieńcem. Rzecz do końca doprowadzę ją z kapitanem Van Broke.

— Tylko bądźcie ostróżni!

— Przestroga zbyteczna! Możesz na nas polegać. Najprzebieglejsi nas nie poznają!

— Bardzo pięknie. Teraz muszę was opuścić.

— Wracasz na ulicę Verneuille?

— Nie, idę do matki, z którą się już od kilku dni nie widziałem. Chcę od niej potrzebne papiery wziąć dla zapowiedzi.

Lartigues i Verdier zamienili z sobą spojrzenie, w którem znać było ogromny niepokój. Maurycy odszedł. Jak tylko drzwi się za nim zamknęły, Verdier zawołał:

— A ja zapomniałem. Nie był już od kilku dni u matki i ani nie podejrzewa, że umarła. Ot co może opóźnić, a nawet bardzo odwlec małżeństwo.

— A dlaczego prefektura nie dała mu znać?

— Kto wie, czy znaleziono trupa? Może policja nie wie, co stało się z Aime Joubert.

— A ci dwaj ludzie co z nią byli?

— Zapewne także utonęli. A ponieważ Aime Joubert przez długi czas taiła przed synem, że służy w policji śledczej, czekają może, aż sam się zgłosi.

Jeszcze jedno przypuszczenie wydaje mi się prawdopodobnem.

—Jakie?

— Nie mają adresu Maurycego.

— O adresie mogli się byli przecie dowiedzieć u jego matki. Służąca musi wiedzieć.

— Pozwólmy rzeczom iść swoją koleją. Jeżeli Maurycy dowie się dziś o śmierci, a przynajmniej o zniknięciu pani Rosier, niezawodnie dziś jeszcze zobaczymy go tutaj. Póki zaś nie nadejdzie, dopóty nie potrzebujemy się niepokoić. Wszystko idzie jak z płatka, to główne. Zaraz napiszę do Michała Bremonta.

— Miej się na ostrożności.

— Dlaczego?

— Nie dowierzam poczcie, która z rozkazu prokuratora może list przejąć!

— Jużem o tem pomyślał, chociaż zdaje się, nie potrzeba się lękać i przedsięwziąłem odpowiednie środki. W ostatnim liście Michał Bremont prosił mnie, ażebym pisał doń poste restante do filji poczty przy ulicy Regenta i ażebym listy znaczył X. Y. Z. 21. Otóż i ja go poproszę, ażeby odpowiadał mi w ten sam sposób poste restante do oddziału pocztowego przy ul. Enghien, pod znakami I. J. K. 50. Na pocztę nie potrzebuję sam chodzić. Mogę kogo po list posłać.

— To dobry pomysł. Pisz więc do Michała Bremonta

— Dziś napiszę, że wszystko kończy się dla nas pomyślnie.

Przyszedłszy do zdrowia o jedenastej przedpołudniem wróciła do mieszkania przy ulicy Victorie, pani Rosier. Maurycy uprzedzony w przeddzień, już się tam znajdował. Nie podobna opisać radości Magdaleny, gdy zobaczyła swą panią. Płakała z rozrzewnienia, obsypywała ją pytaniami i agentka bardzo przyjaźnie ją uściskawszy, poprosiła ją wreszcie, ażeby wyszła do drugiego pokoju, gdyż matka chciała sama pozostać z Maurycym.

Przy Magdalenie Aime Joubert mówiła o spadnięciu z wagonu. Ale przed Maurycym, który wiedział o jej stanowisku w policji, taić się z prawdą nie mogła. Opowiedziała więc wszystko młodzieńcowi, a przynajmniej prawie wszystko, — nie wspomniała tylko umyślnie o Lartiguesie i Verdierze, ani o Golanie, nie dla braku zaufania, lecz że nieprzyjemnie byłoby jej wdawać się przy synu w niektóre szczegóły.

Kiedy przyznała się synowi, że służy w policji, Maurycy. domyślając się, że matka coś przed nim ukrywa, zaczął ją też wybadywać pytaniami. Daremnie. Aime Joubert powiedziała to tylko, co chciała powiedzieć.

— Moja matko! — rzekł młodzieniec — trzeba porzucić to zajęcie, które codzień ściąga niebezpieczeństwo na twe życie.

— Wiesz, że to niepodobna! — odparła pani Rosier.

— Niepodobna! a to dlaczego?

— Bo moja wola zgadza się z przyjętym obowiązkiem; zaczęłam i muszę skończyć. Nigdybym sobie nie wybaczyła, gdybym żadania swego nie doprowadziła do skutku.

— Ale ci, których szukasz, są nieujęci. Dowody masz na to.

— Nie ujęłam ich wczoraj, ale czy nie pochwycę ich jutro? Mam nadzieję, że dopnę tego celu. Ale prosiłam cię już raz, ażebyś ze mną nie mówił o tych rzeczach i teraz ponawiam prośbę.

— Przeciwnie, chcę ją nawet powiększyć — odparł Maurycy z uśmiechem — powiem mamie dobrą nowinę.

— Jaką?

— O mojem małżeństwie.

— Ciągle jeszcze o tem myślisz? — rzekła smutnie.

— A nawet jeszcze bardziej. Rzecz już postanowiona. Przyjęty już jestem przez rodziców i pragnę właśnie, ażebyś jutro pojechała ze mną do Bressolów i prosiła dla mnie o rękę ich córki.

— Chcesz, żebym prosiła dla ciebie o rękę panny Bressoles? — zawołała pani Rosier.

— Tak, moja mamo.

— Po co? przecieś już przyjęty został przez rodziców.

— Inaczej nie wypada, taki już zwyczaj. — Bądź spokojna, przyjmą cię jak najlepiej. Mogę nawet śmiało dodać, że cię oczekują. Nie potrzebujesz mówić o interesach majątkowych. Bressoles wszystko już ze mną ułożył.

— Ułożył!... jak?

— Wszystko na moją korzyść. Ja daję sześć tysięcy rocznego dochodu, który mi wyznaczyłaś, a mój przyszły teść daje z córką pół miljona, widzi więc mama, że położenie moje będzie wcale nie złe.

Aime Joubert uścisnęła syna.

— Pojadę jutro z tobą, jeśli koniecznie potrzeba — rzekła — ale wolałabym to odłożyć jeszcze na kilka dni.

— Dlaczego.

— Przecie nie wypada z tą raną na czole, jeszcze bardzo widoczną, bo ledwie zagojoną; — szpeci nadto.

— E, mamo! to tylko próżność z twej strony — odrzekł Maurycy ze śmiechem. — Noga ci się pośliznęła, gdyś wychodziła z wagonu, uderzyłaś czołem o stopień — cóż naturalniejszego, więc nie może być żadną przeszkodą... Czas ucieka. Mamy podpisać akt ślubny 26 bieżącego miesiąca. Ślub w trzy dni później. Dziś mam być z Bressoles u rejenta i u mera. Ale, dobrze, żem sobie przypomniał, potrzeba mi papierów, które znajdują się zapewne u ciebie, moja matko!

Aime Joubert drgnęła.

— Papiery — wyszeptała — prawda, papiery są potrzebne... metryka twoja... ale, gdy ją przeczytają, dowiedzą się, żeś nieprawe dziecko. Nie boisz się tego?

— Niczego się nie boję — przerwał Maurycy — powiedziałem już o tem. Bressoles wie o wszystkiem.

— O wszystkiem? — powtórzyła pani Rosier przerażona.

— Uspokój się, mamo, o wszystkiem, co powinien wiedzieć, ażeby nie żałował i poważał.

XXV.

— Żałować... poważać... — boleśnie szepnęła Aime Joubert, zasłaniając twarz rękoma. — O biedne dziecko moje, ja byłam winna — winna żem była słaba przynajmniej.

— Matko — odpowiedział Maurycy czule— ja po to tylko żyję, ażeby cię kochać.

Pani Rosier uścisnęła młodzieńca i namiętnie przytuliła do serca, mówiąc:

— O, czuję, że Bóg przebaczył mi błąd młodości. Murycy, mój drogi synu, ty będziesz chlubą i radością mej starości!

Po chwilowem milczeniu, podczas którego Aime Joubert przezwyciężyła swe wzruszenie mówiła dalej:

— Jakie dokumenta są ci potrzebne?

— Metryka dla ślubu cywilnego i świadectwo chrztu dla ślubu kościelnego.

Pani Rosier znowu zbladła. Ręce jej nerwowo zadrżały.

— Świadectwo chrztu — powtórzyła ledwie zrozumiałym głosem.

— No tak!

— Nieszczęśliwy chłopcze, tyś urodził się w więzieniu św. Łazarza. Ochrzcił cię kapelan więzienny i po to świadectwo chrztu twego trzebaby się udać do św. Łazarza, a ona dowie się, ktoś ty i czem ja byłam.

Teraz Maurycy zbladł.

— Biada mi! — wymówił przez zaciśnięte zęby — przeklęte niech będzie moje urodzenie!

— Maurycy, Maurycy, co ty mówisz? — szepnęła pani Rosier, płacząc.

— Powiadam — odrzekł młodzieniec, unosząc się — że okoliczność chrztu na pozór drobna, zniweczy cały mój plan i zmarnuje mi życie.

— Nie, zdaje mi się, że będzie można tak uczynić, iż Bressoles nie dowie się o niczem.

— A to w jaki sposób?

— W merostwie nie potrzebujesz składać świadectwa, potrzebne ono tylko w kościele. Udaj się sam do proboszcza w tej parafji, gdzie masz brać ślub, opowiedz mu wszystko, poproś o dochowanie tajemnicy, a możesz być pewnym, że się on zgodzi na to niezawodnie.

— Tak — rzekł Maurycy uspokojony. — masz słuszność. Tak też uczynię. Moja matko, przebacz mi uniesienie.

— O, drogie dziecko! to ja tylko potrzebuję przebaczenia. A inne dokumenta mam u siebie. Zaraz ci je dam.

Pani Rosier poszła do swego pokoju i przyniosła stamtąd papiery, które Maurycy schował do pugilaresu.

— Teraz muszę mamę pożegnać. Miałem być u Bressolów zrana, a teraz już południe. I tak się spóźniłem.

— Kiedy przyjdziesz?

— Jutro.

— O której godzinie?

— Będę o wpół do dwunastej. Zabiorę mamę do Bressolów, ażeby przedstawić ci narzeczoną.

Nie będziemy towarzyszyli Maurycemu na ulicę Verneuille, ani do rejenta, ani do merostwa. Nawet nie zniewolimy czytelników do obecności na wizycie, jaką pani Rosier złożyła budowniczemu i Walentynie.

Teraz szybkim już krokiem postępować musimy do rozwiązania tej długiej opowieści. Dość więc będzie powiedzieć, że matka

Maurycego bardzo uprzejmie przyjął Bressoles, Marja, a nawet Walentyna. Przy odjeździe z pałacyku Bressolów, Aime Joubert kochała już Marję, jakby własną córkę. Na bramie merostwa można było czytać w okratowanej szafce, przeznaczonej dlatego rodzaju ogłoszeń, zapowiedź małżeństwa Maurycego Vasseura z Marją Henryką Bressoles.

U rejenta warunki intercyzy były już gotowe. Pozostawało tylko podpisać akt, a na to nie trzeba było wiele czasu. Dnie następowały po dniach. Pani Rosier, całkiem przyszedłszy do siebie, odzyskała siły zupełnie, objęła znów czynności swe w policji, podniecona coraz większą żądzą zemsty, podwajała swe usiłowania przy pomocy Jodeleta i Martela, Galoubeta i Sylwana Cornu, zwiedzając każdą dzielnicę i wszelkiemi siłami starając się znaleźć ślady Lartiguesa i Verdiera.

Maurycy dowiedział się, że matka znowu wzięła się do dzieła, ostrzegł swych wspólników. Ci, usłyszawszy, że Aime Joubert, którą uważali za umarłą, żyje i jeszcze jest niebezpieczniejszą, zadrżeli. Obaj łotrzy stali się jeszcze ostrożniejszymi. Pewnego poranku, w dziesięć dni jakoś po bytności Bressola i Maurycego u mera, hrabia Iwan, siedząc przy oknie w pokoju Alberta, czytał gazetę. Młody chory, zażywszy lekarstwo, zapisane przez doktora Juanosa, spał snem spokojnym i głębokim.

Przerzuciwszy najbardziej zajmujące wiadomości w gazecie, Iwan Smoiłow spojrzał przypadkiem na trzecią stronę właśnie na miejsce, gdzie był dział nekrologji i ogłoszeń o małżeństwach. Nagle drgnął. W oczy wpadły mu nazwiska Maurycego Vasseura i Marji Bressoles. W pierwszej chwili sądził, że jest ofiarą złudzenia.

— Przeoczyło mi się! — wyszeptał. — Muszą być nazwiska podobne!

Gdy jednak znowu spojrzał, przekonał się, że nie było to złudzenie, mówił więc dalej:

— A jednak to niepodobna! Nie uwierzę w to nigdy: On żeni się z Marją Bressoles! Więc chyba ją zmuszają! Oszukują ją! Jeżeli się zgodziła, to chyba sądzi, że wolną się stała przez śmierć Alberta. Gdyby wiedziała, że on żyje, to zacne i szlachetne dziewczę nie cofnęłoby słowa, danego dobrowolnie. Jakże jej dać znać, że Albert nie umarł, że będzie żył, że uratowany i że ten cud spełnił się tylko dla niej tylko dla niej! Nie, to małżeństwo nie przyjdzie do skutku — nie powinno! Ja tego nie chcę! ale jak temu przeszkodzić?

XXVI

Dwaj porządnie ubrani mężczyźni w charakterze urzędników zapowiedzieli wizytę u pani Dubief, która wciąż jeszcze przyglądała się uczennicom.

— Czego chcesz Justyno?

— Chcą się z panią widzieć.

— Panie?

— Nie, dwaj jacyś panowie.

— To zaprowadź ich do mego gabinetu. Zaraz przyjdę.

W kilka minut później goście wprowadzeni byli do gabinetu przełożonej pensji.

— Niech nam pani wybaczy, że panią niepokoimy — odezwał się jeden z wesołym uśmiechem — odwołujemy się do pobłażliwości pani, bo ministerjum nasze zmusza nas do natręctwa.

— O cóż chodzi panom?

— Rzecz bardzo prosta. W chwili, kiedy mówię, w rozmaitych dzielnicach Paryża odbywa się rewizja okien i drzwi. — Po ukończeniu tych oględzin dopełniony będzie nowy podział podatku, który podniesiony będzie dla właścicieli domów i dla lokatorów o jedną piątą.

— Ależ to projekt doskonały! — zawołała pani Dubief.

— Niezaprzeczenie. Przyszliśmy więc z prośbą do pani, ażeby nam pani pozwoliła wykonać zlecenie i kazała nas zaprowadzić do każdego pokoju w tej kamienicy.

— Sama panów oprowadzę!

— O, pani zanadto uprzejma, zanadto!

Obaj otworzyli teki, wyjęli papier, kałamarzyk kieszonkowy poczem ten, który już mówił dodał, kłaniając się:

— Zaczniemy po porządku. Zaczniemy od tego pokoju, w którym się znajdujemy teraz.

— Ten pokój, pierwszy na parterze, jest moim gabinetem — rzekła pani Dubief.

— Kochany Billiot, — odezwał się urzędnik do swego towarzysza, który jeszcze ust nie otwierał — bądź łaskaw policzyć drzwi mów, a ja będę pisał.

Billiot jak go nazwał kolega, rzekł chrapliwym głosem:

— Parter, gabinet, okno na ogród, drzwi... dokąd prowadzą?

— Do przedpokoju — odpowiedziała przełożona pensji.

Urzędnik napisał na papierze polinjowanym w rubryki, co mu Billot podyktował. Z gabinetu przeszli do przepokoju, stąd z pokoju do pokoju na całym parterze. Następnie p. Dubieuf zaprowadziła urzędników na pierwsze piętro. Zapisując drzwi i okna, jak mu Billiot dyktował, urzędnik wypytywał przełożoną pensji o przeznaczenie każdego pokoju. Ponieważ czynił to z uniżoną grzecznością, pani Dubieuf więc chociaż myślała, że trochę jest za ciekawy, odpowiadała mu dobrodusznie.

Z pierwszego piętra gdzie znajdowało się mieszkanie przełożonej, pokoje dam klasowych i różne inne, udano się na drugie piętro, — zajęte ono było prawie w całości na sypialnie. Symeona i robotnice pod jej kierownictwem były przy swem zatrudnieniu sobotniem, kładły na każde łóżko czystą bieliznę i ubranie, które uczennice włożyć miały na siebie przy niedzieli.

— A! Symeono! — rzekła pani Dubief do dziewczęcia, obok przechodzącego — zapomniałam ci powiedzieć, panna Perier odjeżdża.

— Dobrze, proszę pani. Wszystko będzie gotowe.

Usłyszawszy imię Symeony, obaj urzędnicy pozostali obojętni z pozoru, ale nozdrza roszerzyły się im w tej chwili, a z pod rzęs wypadła przelotna błyskawica. Uważnie spojrzeli na młodą dozorczynię szwaczek, z którą rozmawiała pani Dubief, a potem popatrzyli na siebie.

Spis prowadzony był dalej. Drugie piętro składało się z dodatkowych sypialni, składów bielizny, garderoby i z kilkunastu niewielkich pokoików, które były przeznaczone dla szwaczek i służących. Pokoje te zwiedzano kolejno. Jeden z nich umeblowany był skromnie, lecz prawie zalotnie.

— Miły kącik — zagadnął Billiot chrapliwym głosem — gospodyni tego pokoju zasługuje na nagrodę za porządek i schludność.

— To prawda — odpowiedziała pani Dubieuf. — Tu mieszka moja dozorczyni nad szwaczkami, mająca bardzo wiele zalet.

— Jako stara panna naturalnie — rzekł urzędnik z uśmiechem.

— Przeciwnie, moja dozorczyni młoda i bardzo przystojna. Tylko co widzieliście ją panowie. To Symeona, z którą rozmawiałam w wielkiej sypialni....

Podczas gdy urzędnik rozmawiał z przełożoną pensji, Billiot patrzył na prawo i na lewo, jak gdyby miał sporządzać spis inwentarza.

Nagle drgnął, spostrzegłszy na komodzie list rozłożony. Podszedł czemprędzej; list zawierał kilka wierszy. Jednem spojrzeniem szybkiem przeczytał jego osnowę, poczem obrócił się plecami oparł się o komodę w tył ręce założywszy.

— Cóż tutaj jest? — zapytał pisarz.

— Tylko jedno okno i jedyne drzwi.

— Przejdźmy do następnego pokoju.

Poszli, pisarz pierwszy, a za nim pani Dubief, i Billiot.

Na komodzie już nie było listu. Przełożona przymknęła drzwi za sobą.

— Nie wyjęła pani klucza ze drzwi? — zapytał Billiot.

— O, u mnie służą ludzie nieposzlakowanej uczciwości.

Spis skończył się bardzo prędko. Urzędnicy dziękowali pani Dubieuf tak uprzejmie, że ich odprowadziła aż do przedpokoju. Zamiast jednak wyjść do następnego domu dla załatwienia czynności, które tak gorliwie spełnili na pensji, udali się na ulicę Varennes i zatrzymali się przed furtką małego pałacyku, gdzie mieszkał rzekomy kapitan Van Broke. Billiot wyjął z kieszeni klucz — otworzył drwi i wraz ze swym towarzyszem znikł we wnętrzu. Czytelnicy domyślają się już, co to byli za ludzie, którzy podali się za urzędników, delegowanych do spisu drzwi i okien. Lartigues i Verdier, doskonale przebrani i ucharakteryzowani wybornie, wykonywując ściśle plan przez Maurycego ułożony, zwiedzili pensję od piwnicy do strychu i obejrzeli pokój Symeony.

— I cóż powiesz — rzekł Verdier — dobrze odegraliśmy nasze role?

— Tak, — odpowiedział Lartigues — i lepiej nawet, niż myślisz.

Wyjął z kieszeni jakiś papier.

— Co chcesz przez to powiedzieć?

— Wiemy teraz, gdzie się znajduje Symeona, i mamy dowód, że hrabia Iwan jest w Paryżu.

— Jakto?

— Przeczytaj ten list!

Lartigues oddał wspólnikowi list, skradziony w pokoju Symeony. List ten znany jest naszym czytelnikom. Prosił w nim hrabia Iwan Symeonę, ażeby przyszła do Gabrjela Servais w niedzielę koło południa.

— Ho, ho! — rzekł Verdier — to mi się wydaje dziwnem! mowa tu o Albercie de Gibray i Marji Bressoles, a Symeona wmieszana jest w to wszystko, co się koło nas dzieje. Gdzie się ukrywa hrabia Iwan, o którym myśleliśmy, że daleko od Paryża przebywa? Te tajemnice wyjaśnić należy. Od tego zawisło nasze położenie.

— Pojmowałem to i dla tego zabrałem list.

— Co to za jeden ten Servais?

— Malarz, u którego Symeona była za modelkę i przyjaciel Alberta de Gibray.

— Czy czasem nie ocalał Albert, chociaż doktorzy na śmierć go skazali? może co knują przeciw Maurycemu?

— Nic nie wiem, ale wydaje mi się to możebnem, prawie prawdopodobnem. Trzeba się koniecznie z Maurycym zobaczyć. Trzeba z nim koniecznie pomówić, trzeba raz postanowić, kiedy zacząć działać przeciw Symeonie.

— Im prędzej, tem lepiej.

— Naturalnie, ale musimy się ułożyć z Maurycym. Napiszę kilka słów i poślę przez posłańca.

XXVII.

Wiemy, że pani Rosier, według powziętego planu zwiedzała wszelkie dzielnice. Tego dnia przy pomocy Jodeleta i Martela, Galoubeta i Sylwana Cornu oglądała dzielnicę Terque. Około godziny siódmej pozwoliła odejść Jodeletowi i Martelowi, którzy całą noc poprzednią przepędziwszy na nogach, potrzebowali wypoczynku. Zostawiła przy sobie tylko Sylwana i Galoubeta. Od samego rana ciągle Aime Joubert upadała ze znużenia, ale starała się je przemódz i jeszcze, przed powrotem do domu, chciała zajrzeć do dwóch czy trzech znanych sobie domów przy ul. Roale i zasięgnąć wiadomości od zwykłych gości, mających z policją tajemne stosunki.

Pani Rosier ucharakteryzowała się, lecz była ubrana dostatnio i prawie elegancko, jak bogata mieszkanka. Sylwan Cornu miał na sobie mundur sternika. Galoubet przebrany był za majtka. W tem trojgu osób nikt nie byłby w stanie domyślić się trzech agentów policji śledczej. Wieczór był prześliczny. Wszyscy troje szli zwolna. Pani Rosier wspierała się na ręku Sylwana, bardzo przyzwoicie wyglądającego w ubiorze marynarza. Galoubet szedł obok nich. Rozmawiali półgłosem o różnych rzeczach i zamierzali iść przez ulicę Pantierres. O godzinie jedenastej w nocy na bogatem przedmieściu św. Honorego prawie wszystkie sklepy były już pozamykane.

Ulica wyglądała okazale, ale zarazem i posępnie. Nagle Galoubet zauważył dystrybucję.

— Bardzo dobrze — rzekł — kupię sobie tytoniu za pół franka, a państwo idźcie ;założę fajkę i zaraz dognam!

— Pójdziemy bulwarem — odpowiedziała pani Rosier, idąc dalej z Sylwanem; a Galoubet wstąpił tymczasem sam do dystrybucji, gdzie sprzedawane były również i rozmaite trunki.

W sklepie nie było nikogo z kupujących.

— Proszę o paczkę tytoniu za pół franka — rzekł Galoubet.

— Przepraszam pana — odezwała się właścicielka sklepu do mniemanego marynarza — zabrakło mi, ale zaraz będzie.

— Nic nie szkodzi, poczekam.

— Niech pan usiądzie.

W tejże chwili nawpół uchylone od ulicy drzwi dystrybucji otworzyły się i na progu ukazał się stary ksiądz z siwemi włosami, zgarbiony, podpierając się laską o dużej gałce z kości słoniowej. Galoubet rozkładając kapciuch, spojrzał od niechcenia na przybyłego.

XXVIII.

— Czego ojciec dobrodziej sobie życzy? — spytała właścicielka sklepu starego księdza, który odpowiedział:

— Proszę o markę za dwadzieścia pięć centymów.

Głos mówiącego był chrapliwym i dziwnym się wydawał Galuobetowi, tak, że tenże spojrzał znów na księdza. Stary opat położył na bufecie swój brewiarz. Wyjął z niego długą kopertę i przylepił na niej markę za dwadzieścia pięć centymów.

— Dziękuję! — rzekł następnie, wychodząc z dystrybucji.

Galoubet, który mu się dalej przyglądał, zobaczył oknem, jak wrzucił kopertę do skrzynki pocztowej. W tej samej chwili wróciła właścicielka sklepu, przynosząc ze dwa tuziny małych paczek z tytoniem. Agent wziął jedną z nich, zapłacił, wsypał tytoń do kapciucha i wyszedł, nakładając fajeczkę. O dwadzieścia kroków przed nim podążał opat, jeszcze bardziej zgarbiony i bardziej jeszcze podpierający się laską.

Wtem od strony przedmieścia św. Honorego nadjechała doróżka. Ksiądz zatrzymał się i krzyknął na dorożkarza, ale już nie chrapliwym głosem, lecz donośnym i dźwięcznym, Galoubet drgnął i przystanął.

— Tam do djabła! — pomyślał — ten sam głos słyszałem u Cabussena w Port-Creteuill.

Wspomnienie to przebiegło mu przez głowę z szybkością iskry elektrycznej, ale opat zdążył już wejść na środek ulicy i wsiąść do dorożki. Odjechał.

— To wspólnik Lartiguesa! Opat Meriss! I znów nam się wymyka — rzekł do siebie Galoubet i puścił się pędem za dorożką.

Dorożka jechała bardzo prędko. Galoubet zatrzymał się.

— Jakie ze mnie bydlę! — mruknął bijąc się w czoło. — Na co mi za nim pędzić. I tak go dostaniemy.

Galoubet prędkim krokiem skierował się ku bulwarowi i tuż przed kantorem omnibusów zobaczył panią Rosier i Sylwana Cornu, którzy tu sie zatrzymali, ażeby nań poczekać.

— Jak się nie wiedzie, to się nie więdzie! — rzekł do nich, podchodząc — znowu!...

Przy blasku latarni gazowej agentka spostrzegła, że Galoubet ma twarz rozgorączkowaną, zapytała go też żywo:

— Co?

— A to, żem bydlę i że gotów sobie jestem wydrzeć wszystkie włosy z tego głupiego łba.

— Dlaczego?

— A bo widziałem tego oszukańca opata i rozbójnik wyślizgnął im się z pomiędzy palców.

— Verdier! — zawołała agentka z niezmiernem wzruszeniem.

Tak, przebrany za proboszcza wiejskiego. Poznałem go po głosie. Ale już za późno.

Galoubet opowiedział, co go spotkało. Gdy skończył, pani Rosier zapytała:

— Powiadasz, że wrzucił list do skrzynki pocztowej obok dystrybucji?

— Tak jest, list w żółtej kopercie, poznałbym go pomiędzy tysiącem innych, z marką dwudziestopięciocentymową!

Agentka zamyśliła się przez kilka sekund.

— Niech jeden z was — rzekła — idzie natychmiast do apteki i kupi trochę lepu.

— Lepu!... — powtórzył Sylwan, nic nie rozumiejąc.

— Takiego, na jaki się łapie ptaki.

— Tak, ale nie wiem, czy jeszcze która apteka otwarta.

— To każ sobie otworzyć... powiedz, że jesteś agentem policji śledczej, masz przy sobie bilet?

— Mam.

— To ja pobiegnę — rzekł Sylwan Cornu.

— Znajdziesz nas na rogu przedmieścia św. Honorego.

— Dobrze.

Agent odszedł.

— A ty Galoubet — mówiła dalej Aime Joubert — postaraj się o miotłę w kantorze omnibusów i wyrwij z niej kilka długich i giętkich prętów.

— Bardzo dobrze.

Po niejakim czasie szybkie kroki rozległy się na chodniku i znajoma postać zarysowała się w półcieniu. Był to Sylwan.

— Cóż, przyniosłeś, czego potrzeba?

— Tak, ale nie bez trudności. O, jakem się nabiegał. Nareszcie mam, przyniosłem.

Sylwan podał garnuszek fajansowy, zawinięty w gruby papier.

— Dobrze, teraz chodźcie ze mną.

Pani Rosier i jej podwładni udali się przedmieściem św. Honorego ku dystrybucji.

W drodze agentka rzekła do swych pomocników:

— Dopuścimy się maleńkiego bezprawia, do którego nie jestem upoważniona, ale są chwile, kiedy drogi prawowite wydają się zanadto długiemi. Do jutra szanse, jakie się nam uśmiechają tej nocy, mogą zupełnie zniknąć. Do nowego jednak rozporządzenia zachowajcie w tajemnicy nasze usiłowania.

— Może pani na nas liczyć — odpowiedzieli.

Przyszli do dystrybucji. Była już zamknięta. W antresoli nad sklepem świeciło się jeszcze.

— Muszą tu nie spać — rzekła agentka — mogą nawet przypadkiem otworzyć okno. Poczekajmy, póki nie zasną. Przejdźmy się trochę.

Aime Joubert, Sylwan Cornu i Galoubet zwolna doszli do cyrkułu policyjnego, mieszczącego się w gmachu Elizejskim. Na dyżurze stał sierżant miejski. Zobaczywszy tych spacerowiczów nocnych, popatrzył na nich bardzo uważnie. Agentka i pomocnicy jej wrócili się, potem po raz drugi zbliżyli się do sierżanta miejskiego, którego widocznie niepokoiła ta przechadzka. — Sylwan to zauważył.

— Sierżant ma nas na oku — rzekł do pani Rosier.

— Widzę — odpowiedziała — a ponieważ nie chcę, ażeby nam przeszkodzono, wejdźmy tu i powiedzmy, kto jesteśmy.

Skierowała się ku bramie cyrkułu, a gdy sierżant zapytał ją, czego chce, wyjęła z kieszeni bilet swój policyjny i pokazała.

— To idźcie — rzekł sierżant.

Weszli. Dozorca rozmawiał z brygadjerem sierżantów miejskich. Pani Rosier przystąpiła do niego i przedstawiła się jako agentka.

— Mamy interes na przedmieściu św. Honorego — rzekła — przyszłam prosić pana, ażebyś pan nie puszczał tam patrolu nocnego, póki nie przyjdę powiedzieć, żeśmy już skończyli.

XXIX.

Dozorca odpowiedział agentce:

— Bardzo dobrze. Brygadjer da odpowiednie zlecenie.

W samej rzeczy brygadjer sierżantów miejskich zmienił kierunek patrolu, a pani Rosier, upewniona o tem, wyszła z cyrkułu wraz z Galoubetem i Sylwanem.

— No — rzekła — teraz nam nic nie przeszkodzi działać swobodnie.

Wrócili do dystrybucji i zatrzymali się przed sklepem. Światło w antresolach już zgasło, widocznie kupcy spali już spokojnie.

— Galoubet — odezwała się pani Rosier — stań o dziesięć kroków od nas, patrz i przysłuchuj się na wszystkie strony i daj znak, gdyby kto nadchodził.

— Bądź pani spokojną, będę uważny.

Agentka umoczyła w lepie koniec wici brzozowej i powoli, ostróżnie wsunęła go w wąski otwór skrzynki.

— Niech mię djabli porwą! — rzekł Sylwan Cornu z zachwytem — co za wspaniała myśl!.

— To już nie mój pomysł — odpowiedziała Aime Joubert z uśmiechem. — Wielu złodziei używa tej sztuczki codzień dla okradania skarbonek kościelnych.

Agentka zwolna wyciągnęła pręcik brzozowy ze skrzynki, a na jej końcu pokazał się przylepiony list; ale koperta była biała.

— To nie ten — szepnęła pani Rosier z pewnym gniewem.

Znowu umoczyła witkę w lepie, znowu wpuściła ją do skrzynki i znów wyciągnęła list. Ledwie zdołała się postrzymać od okrzyku radości na widok żółtej koperty.

— Mamy! — rzekła.

— Doskonale! — dorzucił Sylwan.

Pani Rosier wrzuciła napowrót do skrzynki pierwszy list, cisnęła zdala od siebie niepotrzebne witki i kazała Sylwanowi zawiązać garnuszek z lepem.

— Galoubet — odezwała się następnie — idź do cyrkułu i powiedz, żeśmy już w tej dzielnicy skończyli robotę. Zaczekamy na ciebie tutaj. Tylko wracaj prędko.

Nogi agenta były tak czynne, że za pięć minut był już z powrotem.

Na placu Magdaleny trzy stały karetki. Agentka wraz z swymi podwładnymi wsiadła do jednej z nich i kazała woźnicy jechać na ulicę Meslay. Przyjechano tu o dwadzieścia minut później. Pani Rosier otworzyła bramę znanego nam domu i weszła ze swymi pomocnikami do mieszkania, oddanego do jej rozporządzenia przez policję. Skoro drzwi zamknięto, zapaliła światło, nic nie mówiąc.

Galoubet i Sylwan Cornu równie gorączkowo usposobieni, śledzili oczyma wszystkie jej ruchy. Aime Joubert wzięła z biurka lampkę spirytusową i postawiła na niej mały garnuszek miedziany, napełniony wodą i przykryty pokrywką. Wkrótce można było słyszeć, jak się woda gotuje, a później gdy pani Rosier podniosła na chwilę przykrywkę, para wybiegła obficie.

W tejże chwili agentka wzięła kopertę, zaadresowaną, jak czytelnicy pamiętają w ten sposób: „Londyn, ul. Regenta. Poste restante. Panu X. Y. Z. 21".

— Ostróżnie — szepnęła pani Rosier. — Domyślam się tajemnicy. Jeżeli Galoubet się nie omylił, zgubi to łotra

Przystawiła kopertę do otworu garnuszka i para zwilżyła klej. Po chwili położyła list na stole i delikatnie, końcem cieńkiego nożyka kościanego otworzyła kopertę. Galoubet, który się przypatrywał uważnie i z wielką ciekawością, nie mógł się powstrzymać od okrzyku:

— Udało się!

Pani Rosier wyjęła skwapliwie list z koperty, rozłożyła go i spojrzała na podpis. Wyczytała ze zdziwieniem: P. Martin.

— Omyliliśmy się! — rzekła.

— O nie! — odparł Galoubet — to ten sam list, ręczę za to.

Tymczasem agentka chciwie czytała list, który Verdier napisał przy ulicy Surennes.

— A jednak musiałeś się omylić — odezwała się z gniewem do Galoubeta. — To list jakiegoś poczciwego mieszczanina. Żadnego znaczenia nię ma.

— Nie może być, bo przecie ten, co go wrzucił, jest fałszywym opatem.

Pani Rosier czytała list po raz drugi. Nagle krzyknęła.

— Co takiego? — zapytali ze zdziwieniem obaj agenci.

— Ten list napisany jest kratką.

Agentka spiesznie wyciągnęła szufladę biurka.

— Z kratką? — powtórzyli Galoubet i Sylwan, dla których te słowa były całkiem niezrozumiałe. — Co to znaczy?

— Zobaczycie — rzekła agentka, biorąc papierek złożony w kilkoro. — Zobaczycie i zrozumiecie.

Rozwinęła „kratkę", znalezioną w kieszeni mężczyzny, zabitego na licy Montorgueil i wystawionego w Mordze, potem przyłożyła ją do pierwszej stronnicy listu.

Wtedy wyróżniły się wyrazy, stanowiące rzeczywistą treść listu:

„Tu wszystko idzie dobrze, jak już pisałem poprzednio. Na początku miesiąca czerwca skończymy wszystko. Będziemy mieli w ręku akta zejścia. Napisz, czy mamy po załatwieniu sprawy do ciebie przyjechać, a naszego młodzieńca zostawić w Paryżu dla wyjęcia aktów. Potem do nas przyjedzie do Londynu."

Stronnica kończyła się temi słowy. Aime Joubert przełożyła stronnicę, przyłożyła kratkę do następnej i czytała dalej.

„Agentka ściga nas nieustannie. Szukają nas i trzeba zniknąć im jak najprędzej. Czekam na odpowiedź w środę. Pójdę po nią na pocztę przy ulicy Enghien, pisz do mnie pod I. J. K. 50."

Pani Rosier wstała z rozpromienioną twarzą — z oczyma błyszczącemi.

— Nareszcie! — zawołała. — Nareszcie są w naszem ręku! Napróżno się kryjecie, zbrodniarze i sądzicie, żeście bezpieczni. W środę was pochwycę! W środę będziecie w mem ręku!

Zamilkła na dwie sekundy, potem mówiła z zapałem:

— Wiedziałam, że mają wspólnika, którym się posługują, którego wysuwają naprzód. To ten młody człowiek, o którym mowa. Ale co znaczą te akta zejścia. Co za zbrodnia kryje się pod temi wyraźnemi, a zarazem zagadkowemi słowy. Obyśmy tylko zdołali nie dopuścić nowej zbrodni.

Po małym przestanku mówiła dalej:

— Jeśli nam Bóg dopomoże, ja im przeszkodzę, wydam Lartiguesa w ręce sprawiedliwości i stare rachunki między nami będą ukończone.

Galoubet i Sylwan drżeli, słuchając tej, którą nazywali swą lyrektorową. Głos jej ostry i metaliczny — nigdy nie słyszeli, ażeby takim głosem mówiła — ścinał im krew w żyłach ze strachu. Z nozdrzami drżącemi, zmarszczywszy brwi, z oczami, ciskającemi płomienie, żywem wydała się uosobnieniem sprawiedliwości, gotowej wymierzać karę.

— Teraz trzeba ten list znowu włożyć do koperty — mówiła dalej pani Rosier.

Zanotowawszy sobie adres londyński i pierwsze litery, pod któremi miała nadejść odpowiedź do kantoru pocztowego przy ulicy Enghien — agentka wsunęła list do koperty, poczem ją zalepiła.

— Wrzucimy ten list do skrzynki pocztowej — dodała. — Chodźmy.

Wszyscy troje wyszli z domu przy ulicy Meslay, gdzie Sylwan i Galoubet pozostawili swe kostjumy i pani Rosier, wrzuciwszy kopertę do skrzynki, wróciła do siebie na ulicę Victoire.

XXX.

Lokaj państwa Bressolów zapowiedział wizytę Symeony, a p. Bressoles odezwał się:

— Kochane dziewczę przyszło dziś do nas na mą prośbę. Pisałem do pani Dubieuf. Bardzobym pragnął, ażeby Marja, wyszedłszy zamąż, wzięła ją do siebie.

— I jabym także pragnęła bardzo — odpowiedziała Marja. — Dziękuję ci, ojcze, za myśl tak doskonałą.

Maurycy zmarszczył brwi. — Symeona weszła. Ujrzawszy się wobec nieznajomych osób, młoda dziewczyna zmieszała się z początku. — Marja podniosła się z krzesła, przystąpiła do niej i serdecznie pocałowała.

— Jakże się cieszę, kochana Symeono, żeś przyszła do nas. Siadajże między ojcem a mną. Mamy z sobą wiele do pomówienia.

Życzliwe słowa te ośmieliły trochę Symeonę. Ukłoniła się siedzącym przy stole i zbliżyła się do Bressola, który uścisnął ją za rękę i posadził przy sobie.

Walentyna patrzyła na Maurycego, którego oczy nie mogły się oderwać od Symeony. Pani Rosier również się przyglądała młodemu dziewczęciu i zachwyconą była zarówno jej urodą, jak i skromnym wyrazem twarzy.

— Bardzo się cieszę, żeś nie zwlekała z przyjściem na me zaproszenie — odezwał się budowniczy — chcę ci, moje dziecko, uczynić propozycję, która zdaje się, nie będzie dla ciebie przykrą.

— Zgadzam się na wszystko, co pan mi zaproponujesz — odpowiedziała Symeona. — Wiem, że pan tylko moje dobro mieć może na celu.

— Masz słuszność, że o tem nie wątpisz.

— O cóż chodzi?

— Nic mi nie przeszkadza powiedzieć ci zaraz, tu wszyscy swoi.

— Przechodzę do propozycji, którą chciałem ci uczynić. Marja kocha cię z całego serca i ty szczerze do niej jesteś przywiązana. Nieprawda?

— O, i jak!

— Więc dla was obu przyjemnie byłoby się zbliżyć.

— Dla mnie nic nie byłoby przyjemniejszego, ale czyż podobna?

— Podobna i łatwo.

— Jakim sposobem?

— Marja potrzebować będzie rozumnej, czynnej, przywiązanej osoby, która zastąpiłaby ją w tysiącach drobiazgów i podjęła zarządzenia gospodarstwem. Takie więc miejsce proponuję tobie.

— I cóż, Symeono? — spytał Bressoles. — Dlaczego nic nie mówisz? Możnaby myśleć, że się wahasz.

— Oj, nie, nie waham się. Propozycja państwa przejmuje mnie radością i wdzięcznością! Nic na świecie nie mogłoby mnie bardziej uszczęśliwić, ale....

Zamilkła.

— Więc jest jakieś ale — rzekł Bressoles.

— Niech pan sam osądzi, czy mogę tak niewdzięcznie opuścić panią Dubieuf, która przyjęła mnie do siebie, tak serdecznie i tak szlachetnie postępuje sobie ze mną...

— O to się nie kłopocz, kochana Symeono, chociaż drażliwość taka przynosi ci zaszczyt. Pisałem już o tem do pani Dubieuf.

— A!

— I przez wzgląd na życzliwość dla Marji zgadza się zwrócić ci wolność. Pomów z nią o moich planach, a zobaczysz, że chociaż żałować cię będzie, powie ci: „Idź". Namyśl się nad tem, jak można najprędzej. Pewny jestem, że Marja z niecierpliwością pragnie cię u nas widzieć.

— Dziś nawet, jeśli można — potwierdziła Marja

— Samabym tego pragnęła, ale nie można.

— Dlaczego?

— Pani Dubieuf musi mieć przecie trochę czasu, ażeby znaleźć kogo na moje miejsce.

— To prawda — rzekł Bressoles. — Ale do czwartku znajdzie.

— I ja się też spodziewam!

Maurycy pozostał obojętnym, jakby go wcale nie obchodziła ta rozmowa. Ale spokój pozorny nie przeszkadzał mu być bardzo zatrwożonym i niepokoić go wielce.

XXXI.

Trwoga i niepokój Maurycego miały ważne przyczyny. Pobyt Symeony w domu Ludwika Bressoles niweczył wszelkie ułożone plany, a przytem zagrażał Walentynie ciągłem niebezpieczeństwem. Kto wie, czy Paweł de Gibray nie odgadnie w niej swej córki, widząc ją obok matki, która z twarzy podobna była nieco do Symeony. Kto wie, może drobna okoliczność jaka wyprowadzi całą prawdę na jaw, a wtedy wszystko przepadło. Marja nachyliwszy się ku Symeonie, coś jej szepnęła.

Maurycego już i to niepokoiło. Jak przeszkodzić rozmowie dwojga dziewcząt, rozmowie niebezpiecznej, nie wątpił bowiem Maurycy, że hrabia Iwan dał Symeonie jakieś zlecenie.

— Wpół do trzeciej — rzekł nagle, spojrzawszy na zegarek. — Może panna Marja sobie przypomni, że mamy jechać z mamą pani do Maison Lafitte o wpół do czwartej.

— Prawda — rzekła Marja — zapomniałam.

Symeona wstała. Prawą rękę włożyła do kieszeni sukni i palcami dotknęła list hrabiego Iwana. Wiedziała, że nie może pozostać sama z Marją, a jednak trzeba było ten list oddać koniecznie, bo pojmowała to Symeona, że biedne dziewczę zgadza się na to małżeństwo przymuszone.

— A zatem, kochana Symeono, postarasz się wszelkiemi siłami, ażeby sprowadzić się do nas na początku przyszłego tygodnia.

— Tak. Mam nadzieję, że będę obecna przy szczęściu pani.

— Przy mojem szczęściu — powtórzyła Marja z uśmiechem, pełnym goryczy. — Tak, przy mojem szczęściu.

Ujęła rękę, którą wyciągnęła do niej Symeona i między palcami poczuła zwinięty papier. — Drgnęła i pochwyciła papier. Symeona stała tyłem do stołu; wszystko to stało się niepostrzeżenie. Marja wsunęła list do kieszeni, potem odprowadziła Symeonę do drzwi pokoju jadalnego. Tu pocałowawszy ją, spytała szeptem:

— Dobrą mi nowinę przynosisz?

— Dobrą! — odpowiedziało dziewczę takimże tonem — o panu Albercie de Gibray.

Wyszła. Maurycy przypatrywał się bacznie obu panienkom. Zobaczył, jak Marja zbladła, zachwiała się, a potem nagle zaczerwieniła się mocno. Zrozumiał, że coś sobie powiedziały i z wściekłością zacisnął pięści. Marja, ochłonąwszy już z silnego wzruszenia, tkóre ją ogarnęło, wróciła do stołu.

— Mamo — odezwała się — zaraz się przebiorę; za pięć minut tu powrócę.

Poszła do swego pokoju, spiesznie zamknęła drzwi, ażeby nikt jej niespodziewanie nie zaskoczył i rozpieczętowała list, jaki jej dała Symeona. Ledwie pierwsze wyrazy przeczytała, — łzy, tym razem łzy radości, popłynęły jej z oczu.

Upadła na kolana, złożyła ręce i podziękowała Bogu. Po tem uniesieniu znów wzięła list do ręki, przeczytała go do końca, zrozumiała jego znaczenie i twarz jej zajaśniała, a dusza napełniła się upojeniem.

— Żyje — szepnęła — żyje i prędko wyzdrowieje... I ja także chcę żyć.... chcę wyzdrowieć. Chcę być szczęśliwą! Uczynię, o co mnie prosi hrabia Iwan, ten niewiadomy przyjaciel Alberta. Wierzę mu.

Zapaliła świecę, w płomieniu jej zniszczyła list, ubrała się prędko, postanowiwszy stanowczo odgrywać do dnia wyzwolenia tę rolę, jaką jej zalecano w imieniu Alberta. Nie pytała się siebie, co za sposoby użyte będą do jej wyzwolenia. — Nie troszczyła się o to i tylko powtarzała sobie:

— Wierzę.

W saloniku, dokąd przeszli z pokoju jadalnego, pani Rosier rozmawiała z Bressolem. Biedna matka czuła się podwójnie szczęśliwą, uważając syna swego za szczęśliwego i słysząc od budowniczego pochwały dla ukochanego jedynak°. — Maurycy wzrokiem dał do zrozumienia Walentynie, że chce z nią pomówić. Pierswsza też wyszła ona z saloniku. W kilka sekund później młodzieniec przyszedł do niej do cieplarni, gdzie, jak wiedzieli, nikt nie mógł im przeszkodzić. Przytem rozmowa nie mogła być długa.

— Chcesz mi co powiedzieć? — spytała Walentyna.

— Tak.

— Coś ważnego?

— Nawet bardzo ważnego.

— Przestraszasz mnie. Mówże prędzej!

— Noga tej faworytki Marji, tej Symeony, nie powinna tu postać od dnia dzisiejszego. Marja nie powinna się wcale widywać z tą dziewczyną.

— Dlaczego? — spytała Walentyna.

— Bo Symeonę nasyła hrabia Iwan, przyjaciel Alberta, i obawiam się spisku.

— Symeonę nasyła hrabia Iwan i Albert de Gibray? — zawołała pani Bressoles.

— Tak.

— Ale czyż to być może?

— Rzecz pewna, mam dowody, ale jeszcze nie wszystko.

— Mój Boże, cóż jeszcze!

— Obecność Symeony w waszym domu sprowadzić może katastrofę, a dla ciebie stanie się ciągłem niebezpieczeństwem!

Zdumienie i przestrach Walentyny rosły.

— Ciągłem niebezpieczeństwem... — wyjąkała.

— Tak.

— Jakiem?

— Czy wiesz, kto jest Symeona?

— Dziecko porzucone, nieprawe, sierota. Ale cóż to nas może obchodzić? Dlaczego do mnie zwracasz się z tem pytaniem?

— Dla tego, że Symeona jest córką Pawła de Gibray i tej, która naówczas nazywała się Walentyna Dharville. Rozumiesz teraz?

Walentyna obumarła prawie.

— Moja córka! — rzekła zdławionym głosem — to moja córka!

— Tak, to twoja córka i na to mam dowody.

— Teraz rozumiem, że chociaż nie wiedziałam o tem, już sam jej widok przejmował mnie instynktownym strachem.

— Tak i dlatego noga jej nie powinna postać w tym domu. Okoliczności, których niepodobna przewidzieć, a zatem i unikać, podnieść mogą zasłonę, okrywającą przeszłość. Wtenczas zgubioną będziesz niepowrotnie.

— Masz słuszność! Ale jeżeli ją nasłał hrabia Iwan i Albert, to chyba muszą wiedzieć, kto ona jest.

— O niczem nie wiedzą — przerwał Maurycy — spotkali się ze sobą przypadkowo. Na szczęście Symeona nie ma się czego lękać, nie zna nazwiska swej matki; lecz mogą ją wypytywać, a z odpowiedzi może wykryć tajemnicę i odgadnąć jej przeszłość zręczny sędzia śledczy, jakim jest ojciec jej Paweł de Gibray.

Walentyna była prawie nieprzytomna.

— O! — wyjąkała głosem, ledwie zrozumiałym — fatalny los oddał ją w ręce nieprzyjaciół naszych i zbliżył ją do nas. Kiedy pomyślę sobie, że Marja została jej protektorką, jej przyjaciółką!

— Nic naturalniejszego! — odparł Maurycy ze złowrogim uśmiechem — to jej siostra, — odezwał się głos krwi.

— Ale jakże temu przeszkodzić, ażeby nie wróciła tu więcej ta dziewczyna, co przyszła na świat po to, ażeby być dla mnie nieszczęściem! Jakże zamknąć przed nią nasz dom?

— Nie wiem, nie mogę kierować wolą twego męża. To już twoja w tem głowa. Pamiętaj, że wszystko może być stracone, jeżeli Symeony nie oddalisz!

XXXII.

Pani Rosier udała się do prefektury w poniedziałek, w dzień składania raportów, wespół z Galoubetem i Sylwanem. Naczelnik policji przedewszystkiem zapytał:

— Macie co nowego?

— Mamy.

— Czegoście się dowiedzieli? Pani ma jakie wiadomości?

— Tak, jestem pewna, że fałszywy opat, — którym jest poprostu Verdier, bywa na przedmieściu św. Honorego. Powinniby więc agenci pilnować tam w dzień i w nocy.

Spotkała pani Verdiera?

— Ja nie, ale Galoubet widział go w dystrybucji.

— Czemu go nie schwytał?

— Niestety, poznał go już za późno, kiedy zbrodniarz wsiadł do dorożki; nie mógł go dogonić.

— Sprawa nie idzie naprzód, ale na mnie odpowiedzialność ciąży.

— Niech pan nadziei nie traci — odpowiedziała agentka. — Już bliscy jesteśmy celu.

— Oby Bóg panią wysłuchał. Każę rozciągnąć dozór nad przedmieściem św. Honorego. — Czy potrzebuje pani Martela i Jodeleta?

— Nie. Wystarcza mi Galoubet i Sylwan.

— Chciałabym, ażeby Galoubet, jako znający Verdiera z powierzchowności, przyłączył się do tych, którzy będą pilnowali przedmieścia.

— Jeśli mi go pan zabierze, pozostanę sama jedna z Sylwanem

— Czy pani co szkodzi?

— I bardzo.

— Jakto, czyżby pani zamierzała działać z innej strony, niż my?

— Tak.

— Ma pani do wyśledzenia coś pewnego?

— Tak.

— Coś pewnego?

— Tak, sądzę. Niech pan zda się na mnie i tylko niech mi pan zostawi Galoubeta i Cornu.

— Dobrze. Niech ich pani zatrzyma.

— Chciałabym mieć jeszcze dwóch jakich silnych ludzi. Czy

sprytni będą, to mniejsza. Potrzeba tylko, ażeby byli silni, dla pomocy przy aresztowaniu.

Naczelnik spojrzał pani Rosier prosto w oczy.

— Przy aresztowaniu? — powtórzył.

— Tak.

— Czyżby pani tak bliską była celu?

— Nie mogę nic stanowczego powiedzieć, ale przepraszam... dziś mamy poniedziałek.

— No, tak!

— Więc jeżeli w środę wieczorem nie dostawię panu jednego z tych, których szukamy, dowód to będzie, żem na fałszywy ślad wpadła, i że brakło mi już owej przenikliwości i tych zalet, które przypisywał mi pan dawniej.

— W środę wieczorem! — zawołał ze zdziwieniem naczelnik.

— Tak. Jeśli w środę wieczorem jeszcze mi się nie powiedzie, przyjdę powiedzieć panu, że jestem do niczego i zrzeknę się zadania nad me siły i podam się do dymisji.

— Dobrze, dam pani dwóch silnych ludzi.

— Kogo?

— Massona i Grandehampa. Czy dobrzy będą?

— Jak najlepsi.

— Zaraz dziś wydam rozkaz.

— O więcej nie proszę. Dziękuję panu.

— Do widzenia!

Aime Joubert skłoniwszy się naczelnikowi, skinęła na Galoubeta i Sylwana i wraz z nimi udała się do dzielnicy Elizejskiej.

XXXIII.

Lartigues wraz z Maurycym przyjechał na ulicę Berangera przed znany nam dom z dwoma wyjściami. Lartigues zapukał do drzwi pana Martina. Pukanie mniemanego kapitana miało znaczenie sygnału.

Verdier otworzył natychmiast. Obecność Maurycego dała mu do myślenia, że musi się dziać coś nadzwyczajnego. Spytał i młodzieniec opowiedział mu, co zaszło u Bressola i że ten zamierza wziąć do siebie Symeonę. Urzeczywistnienie tego zamiaru mogło lada chwila przenieść Symeonę z pensji Dubieuf i wtenczas cały plan by przepadł.

Verdier wysłuchał wszystko z miną jak najspokojniejszą, a gdy Maurycy skończył opowiadanie. rzekł ze strasznym uśmiechem:

— Byleby tylko tę noc spędziła na pensji, to jutro zrana nie będzie już niebezpieczną.

— Czyżbyś skończył robotę?

— Już. Wczoraj cały wieczór spędziłem przy retortach. Dziś w nocy spałem tylko dwie godziny i znów wziął się do roboty. Teraz pozostaje nam tylko spróbować kwasu pruskiego.

— Spróbować! — zawołał Maurycy. — A to jak?

— Zaraz zobaczycie, bądźcie tylko cierpliwi.

Verdier wyszedł i za kilka sekund wrócił z małą psiną, która się łasiła do niego i lizała po rękach.

— Oto osobnik, na którym wykonam doświadczenie. Ten ładny bulończyk zgubił swego pana i przyplątał się do mnie na bulwarze. Przyprowadziłem go tu umyślnie dla doświadczenia.

— Biedne stworzenie! — rzekł Maurycy.

— Nie ma go co żałować! — mówił Verdier. — Jeżeli mi się uda, jak myślę, psina wcale męczyć się nie będzie. A to trucizna — rzekł, pokazując trzymaną flaszeczkę. Ażeby ją otworzyć, dość nacisnąć ten guzik metalowy. Jak tylko odejmie się palec od guzika, flaszeczka zamyka się hermetycznie.

System ten nie przedstawia żadnego niebezpieczeństwa. Fałszywy opat Meriss usiadł na krześle i zawołał na pieska, biegającego po pokoju. Verdier pogłaskał ją, przytrzymał za łeb i nacisnął guzik. Dwudziesta część sekundy nie przeszła, a biedny bulończyk przewrócił się bez życia.

— Cóż, udało mi się? — zapytał Verdier triumfująco.

— Osobliwie! — zawołał Maurycy.

— A zauważcie — mówił dalej fałszywy opat — że zabójstwo nie pozostawia śladów. — Trzeba być tylko ostróżnym, ażeby samemu nie ulec zabójczemu wyziewowi. Najlepiej też trzymać flaszeczkę w pudełeczku safianowem, jeśli nadejdzie potrzeba jej użycia. I wyjąwszy z kieszeni czarne pudełko safianowe, włożył do niego flaszeczkę, poczem Maurycemu podał, mówiąc:

— Weź.

Maurycy nie dotknął się wyciągniętej ku niemu ręki Verdiera.

— Jakto? — zapytał, nie biorąc flaszeczki — czy to zawsze będzie kolej na mnie? wy zawsze mnie wybieracie; dlaczego ja mam działać, a nie wy?

Lartigues i Verdier spojrzeli na siebie ze zdziwieniem. Maurycy mówił dalej:

— Obaj oglądaliście pensję pani Dubieuf, — wiecie zatem, jak się tam najlepiej dostać. Wiecie, gdzie się znajduje Symeony pokój. Tym razem wy powinniście działać.

— O, a ty się boisz! — rzekł Verdier tonem ironicznym.

— Bardzo dobrze wiesz, że się nie boję!

— To dlaczego się wahasz?

— Dlatego, bo dość już narobiłem i pragnę, ażeby we wspólnej sprawie i wyście wzięli na siebie część odpowiedzialności.

— Zdaje się, że zapomniałeś, że podpatrzywszy naszą tajemnicę, oddałeś się nam całkiem do rozporządzenia i oświadczyłeś, że gotów zawsze będziesz spełniać wszelkie nasze rozkazy.

— Nic nie zapominam. Pamięć mam wyborną i zdaje się dowiodłem już tego dostatecznie. Kiedy trzeba było działać jawnie, zawsze byłem gotów, pojmowałem i pojmuję teraz, żeście się lękali policji, która was zna i której musicie zatem unikać. Ale teraz chodzi o działanie w ciemnościach, o zabójstwo tajemnicze, które spełnione będzie po cichu, po ciemku i jeden z was odegrać może tę rolę, którą znowu mnie chcecie narzucić.

— Wczoraj odmawiałeś wyzwania na pojedynek hrabiego Iwana, a dziś znowu odmawiasz posłuszeństwa? Buntujesz się jawnie przeciwko nam, przeciw władzy, której używam w stowarzyszeniu „Pięciu".

— Wcale się nie buntuję, tylko się sprzeciwiam i mam do tego prawo, bo nigdy się nie wyrzekłem swobody woli. Wykazuję tylko, że fakt i logika po mojej stronie. Dlaczego zgładzenie Symeony na siebie nie bierzecie?

— Ależ...

— Powiedzcie otwarcie — przerwał Maurycy — albo twierdzić będę, że się boicie, o co mnie obwiniał opat Meriss przed pięciu miesiącami.

Mnie nie przystoi tłomaczyć się, ale rozkazywać. Jestem naczelnikiem i rozkazuję.

— Naczelnik nie powinien siebie oszczędzać na równi z podwładnymi.

— Ależ, do diabła, nie kłóćcie się! — krzyknął Lartigues. — Czy się kłócić będziemy w chwili, gdy ostateczne powodzenie leży w naszem ręku? Jest sposób, ażeby wszystko pogodzić.

— Jaki?

— Ciągnijmy losy.

— To znaczy zrzec się mamy swego prawa.

— A ja tylko na to przystanę — rzekł Maurycy.

— No, dobrze, — odpowiedział Verdier. — Ciągnijmy losy. Włóżmy do kapelusza trzy nazwiska i ten, czyje wyciągniecie, będzie pierwsze, będzie musiał działać.

— Więc zacznijmy.

Verdier napisał trzy nazwiska na karteczkach, które zwinął potem i włożył do kapelusza. Maurycy wsunął rękę do tego nowego rodzaju urny. Wyjął papier i rozwinął. Na papierku było jego nazwisko.

— Dawajcie flaszeczkę. Djabel po waszej stronie. Pójdę dzisiejszej nocy na ulicę Ville d' Eveque, Verdier oddał mu flaszeczkę.

— Teraz jeszcze jedną rzecz musimy załatwić — mówił dalej syn Aime Joubert.

— Jaką?

— A z hrabią Iwanem?

— To bardzo trudno — mruknął Lartigues. — Jakby się go pozbyć? W domu Gibray nic mu zrobić nie możemy.

Maurycy wzruszył ramionami.

— Czyś znalazł sposób oddać hrabiego Iwana w nasze ręce? — skwapliwie spytał fałszywy opat.

— Tak i sposób ten wam podam, gdy mi powiecie, kto z was tym razem weźmie to na siebie.

— Ja! — odpowiedział Lartigues.

— Dziś wskażę wam godzinę i miejsce, gdzie go samego spotkacie.

XXXIV

— Dobrze — odrzekł Verdier — zgadzam się. Ale pozwólcie zapytać, jakim sposobem zwabicie go do jakiegoś tam Marchais, którego nazwiska nawet nigdy nie słyszał?

— To prawda! — mruknął Lartigues, — to najgłówniejsze. Jaki wabik będzie do zasadzki?

— List — odpowiedział Maurycy — list bardzo zwyczajny.

— Pomyśl tylko — zawołał Verdier — że list wpaść może do rąk trzeciej osoby, a wtedy ślad łatwy będzie do odszukania.

— Nie, bo hrabia niezawodnie list zachowa przy sobie.

—Nie rozumiem, dlaczego.

— Zaraz się wytłomaczę, gdy napiszę.

Syn Aime Joubert usiadł przy biurku kapitana, wziął arkusz papieru i cienkiem podłużnem pismem, które na pierwszy rzut oka możnaby wziąć za kobiece, skreślił następujące wyrazy:

„Panie hrabio!

Racz pan pofatygować się wieczorem we wtorek punkt o jedenastej do pana Marchais, na bulwarze Temple, pod nr. 41. Jeśli ośmielam się wyznaczyć panu tę schadzkę to dlatego, że chodzi tu o szczęście pana Alberta i panny Marji. — Ważne nowiny mam dla pana, a mogę powiadomić ustnie. Okoliczności odemnie niezależne nie pozwalają mi widzieć się z panem u p. Gabrjela Servais, jak ostatnim razem. Przyjm, panie hrabio, zapewnienie szacunku. Symeona“.

- To odda hrabiego w twe ręce bezbronnego — rzekł.

Verdier wziął list i przeczytał go na głos.

— Doskonale! — wykrzyknął Lartigues — Bardzo sprytnie. List hrabiego Iwana, znaleziony w pokoju Symeony daje prawo Symeonie w ten sposób pisać! A niema w tem nic nieprawdopodobnego, że pragnie z nim pomówić z hrabią o Marji Bressoles i Albercie de Gibray.

— Ale to nie obala uwagi mojej — odparł Verdier.

— Jakiej uwagi?

— List podaje nazwisko i adres. Jeżeli hrabia list zostawi w swem mieszkaniu, znajdą go później, gdy Rosjanin zniknie, przyjdą więc tym śladem do Marchais pod nr. 41 na bulwarze Temple, wpakują się do mnie i krach!

— Hrabia nie zostawi listu w mieszkaniu—zaprzeczył Maurycy.

— A skądże możesz wiedzieć?

— Wiedzieć nie wiem, ale jestem pewny. — Idąc na schadzkę, Iwan weźmie z sobą list, bojąc się, czy nie zapomni adresu lub nazwiska. Zdaje się, że to bardzo logiczne.

— Dobrze. Ale...

— Co za ale?

— List nie napisany jest charakterem Symeony, a może hrabia zna jej pismo, w takim razie będzie miał się na ostrożności.

— On w liście jedno tylko widzieć będzie — szczęście Alberta i Marji — żywo odparł Maurycy. — O niczem innem nie będzie myślał. A choćby nawet znał charakter pisma Symeony, nie może podejrzywać zasadzki, bo nie przypuszcza nawet, żeśmy odkryli jego tajemnicę, Taki mój wniosek. Zaraz po zabiciu hrabiego opuść swe podwójne mieszkanie, zabierając co kosztowne, oraz wszystkie papiery i nie wracaj. Przypuśćmy, że hrabia zostawi nawet list w domu, przypuśćmy, że nawet weźmie kogo z sobą, to cóż stąd?

—Po zabiciu nic łatwiejszego, jak uciec, bo nikt nie wie o łączności między dwoma mieszkaniami, a gdyby się nawet dowiedziano kapitan Van Broke będzie już daleko.

— Niech się stanie, co się ma stać! — rzekł Verdier. — Poślij list!

Maurycy włożył list do koperty i zaadresował: „Jaśnie Wielmożnemu Hrabiemu Iwanowi Smoiłowi, u pana de Gibray, 129, ulica Regne, Paryż".

— Już sam ten adres wystarcza do odwrócenia podejrzeń, jeśli mu się nasuwa — rzekł młodzieniec.

— Czy pocztą prześlesz ten list? — zapytał Lartigues.

— Nie. Jeden z was jutro pośle go przez posłańca.

— To ja poślę — rzekł mniemany kapitan.

I rozstali się trzej wspólnicy.

Maurycy powrócił do domu. Rzekomy opat poszedł na ulicę Berangera. Zamierzał podczas nocy przebrać papiery i schować je w pewnem miejscu. Kostjumów swoich nie chciał zostawiać dla po-

licji, która niezawodnieby je znalazła przy rewizji. Biednego bułowczyka, otrutego kwasem pruskim wyniesiono na ulicę.

Verdier włożył ubrania, peruki i papiery do trzech dużych kufrów, na których wypisane było na przyklejonych papierkach: „Londyn. Pozostawić na stacji do zażądania".

Zrana Verdier poszedł powiedzieć odźwiernemu, że wyjeżdża. W kilka minut później odesłał kufry, pozostawiwszy ze wszystkich ubrań tylko trzy kostjumy, panów Marchais, Martina i opata Merissa. Kufry zapisane zostały na kolei pod zmyślonem nazwiskiem jakiegoś artysty dramatycznego jadącego do Londynu. Przedsięwziąwszy tę ostróżność, Verdier wrócił do domu, przywdział ubranie opata, które wydawało mu się najbezpieczniejszem i udał się na ulicę Surennes.

W poniedziałek naczelnik policji śledczej wydał rozkazy. Cała dzielnica przedmieścia św. Honorego oddana została pod dozór agentów, przebranych po cywilnemu, którzy przechadzali się po ulicach z dobroduszną miną, ale z nadstawionemi uszami i natężonym wzrokiem.

W przeddzień Verdier i Lartigues przeszli obok nich, Lartigues w kostjumie kapitana Van Broke, Verdier przebrany za Martina i w ludziach tak przyzwoicie wyglądających agenci nie domyśleli się po szukiwanych złoczyńców.

Pani Rosier, Galoubet i Sylwan Cornu cały dzień i część nocy pilnowali agentów, uwijających się po dzielnicy. Agentka było niezadowolona. Zaraz spostrzegła, że policjanci zamiast wstępować do bawarji, kawiarni i śledzić zewnątrz i wewnątrz, zanadto się kręcili na chodnikach i drepcąc na jednem miejscu, musieli koniecznie ściągnąć na siebie uwagę.

Jakby umyślnie chcieli dać do zrozumienia mieszkańcom, że policja osaczyła dzielnicę. — pomyślała Joubert. Agentami kieruje jakiś ispektor, bardzo niezgrabny, albo też chcący mi dokuczyć. Naczelnik policji zawsze dla mnie tak uprzejmy, teraz jest bardzo sztywny. Widocznie przestał mi ufać i chce mnie zmęczyć, ażebym się sama wszystkiego zrzekła. Ale zobaczymy. We wtorek zrana udała się do prefektury i prosto weszła do naczelnika.

— Witaj, kochana pani Rosier — rzekł — czy ma pani dla mnie jakie nowiny?

— Nie — odpowiedziała Aime Joubert — pamięta pan, żem prosiła o czas do środy?

— Cóż więc panią sprowadza?

— Przyszłam się poskarżyć.

XXXV.

— Poskarżyć się? — zawołał naczelnik. — Na co?

— Na to, jak wczoraj odbywał się nadzór nad przedmieściem św. Honorego — odpowiedziała agentka bez wahania.

— Zdaje się, że nie prosiłem pani o doglądanie tego — odezwał się naczelnik ostro.

— Prawda, ale ponieważ byłam w tej stronie, mogłam była widzieć, co się dzieje i przekonałam się, że agenci jakby umyślnie zwracali na siebie uwagę przechodniów, a pan naczelnik lepiej wie odemnie, że jest to zachwianie najprostszych przepisów dobrej policji.

Pan pozbawił mnie swego zaufania i oddał je teraz Jodeletowi. A stało się to chyba nie bez przyczyny. Czy pan powziął względem mnie jakie podejrzenia?

— Ależ uchowaj Boże! — zawołał naczelnik tonem, o którego szczerości nie można było wątpić.

— A więc sądzi pan, że me zdolności nie mogą podołać zadaniu, którego się podjęłam na pańską prośbę.

— Odpowiem pani szczerze.

— Bez ceremonji, panie naczelniku. Wcale się nie obrażę.

— Ja uważam panią tak zajętą obecnie synem, jego szczęściem, jego przyszłością, że nie możesz pani poświęcać nam teraz wszystkich myśli, wszystkiego czasu. Miłość macierzyńska pochłania panią.

— Zapewne pan mówi o zbliżającem się weselu mego syna?

— Tak.

— Zaledwie kilka godzin tylko oddałam na przygotowanie do tego małżeństwa.

— Być może, ale zajmuje ono pani myśli i to właśnie zatraca w pani niepospolite zdolności, któreśmy znaleźli w pani i którym tak słuszny hołd składaliśmy.

— Słowem, według pana, nie jestem już przydatną.

— Nie, ale....

Naczelnik zamilkł.

— Musiałem dać miejsce inspektorowi Jodeletowi, którego proteguje... mniejsza kto. Pani dam ludzi, o których mnie pani prosiła wszystkich agentów, jeżeli potrzeba, ale niech pani nie porzuca śladu, który pani uważa za dobry...

— O! niech pan będzie spokojny, nie zarzucę go! Pozostawia mi pan swobodę działania samej?

— Zupełną swobodę i tylko jedno pani zalecam...

— Co takiego?

— Osiągnąć pomyślny rezultat.

— Z Bożą pomocą i to nastąpi. Niech mi pan naczelnik z łaski swej przyśle dwóch agentów o ósmej zrana na ulicę Meslay.

— Przyślę. A niech pani nie zapomina, żeś mi obiecała dobre wiadomości w środę.

— I obietnicę ponawiam.

Pani Rosier wyszła z gabinetu i powróciła do Galoubeta i Sylwana, którzy czekali ją na umówionem miejscu nieopodal od refektury.

— Tych dwóch — pomyślała — i tych dwóch, których jutro odda mi do rozporządzenia, będzie dosyć.

— I cóż? — zapytał Sylwan.

— Sami będziemy doglądali dzielnicy Elizejskiej — odpowiedziała.

— To i lepiej. Przyszła mi myśl do głowy.

— Mów.

— Ot, żebyśmy się nie ruszali z przedmieścia św. Honorego. Tam spotkaliśmy fałszywego opata. On tamtędy musi przechodzić.

— Bardzo być może — rzekła Aime Joubert — staniemy w pobliżu od siebie na ulicy Królewskiej. Jeżeli obok nas przejdzie, przepuścimy go i wyśledzimy, gdzie mieszka.

— Dobrze, jeżeli pieszo pójdzie — rzekł Galoubet — a jeśli łotr wsiądzie do karetki, to cóż zrobimy?

— Ja także mam plan — odparł Sylwan. — Ty, Galoubecie, stój sobie, przyglądaj się przechodniom, patrz na przejeżdżające karetki. Pani Rosier także niech tak stanie, żeby cię nie straciła z oczu, a ja będę jako woźnica siedział na jakim powoziku. Jeżeli zobaczycie fałszywego opata w karetce, dacie mi znak, wsiądziecie do mego powozu i wszyscy troje pojedziemy za nim. Dwoje zostanie na straży przed bramą, a trzeci pójdzie po posiłki. Cóż na to pani dyrektorowa?

Aime Joubert odpowiedziała:

— Ja sądzę, że myśl dobra i łatwa do wykonania.

— Więc plan mój przyjęty?

— Bez zarzutów. No, to weźmy jaką karetkę — mówiła dalej pani Rosier — pojedziemy na ulicę Meslay, przebierzemy się, a potem na stanowiska.

W dwie godziny później jakaś karetka zatrzymała się na rogu przedmieścia św. Honorego i stangret zapalił fajeczkę. Nieco opodal handlarka ciągnęła wózek z owocami. Jeszcze dalej jakiś człowiek sprzedawał pierścionki i dewizki. Byli to Sylwan Cornu, Aime Joubert i Galoubet.

XXXVI.

O ósmej agentka i jej pomocnicy znów byli na swych stanowiskach. O dziewiątej Lartigues Verdier i Maurycy zebrali się w saloniku małego pałacyku. Wszyscy byli jakoś chmurni. Fałszywy opat szeptał coś do Lartiguesa, a Maurycy w milczeniu przyglądał się rozkładowi mieszkania pani Dubieuf, narysowanym przez Verdiera. O wpół do dziesiątej Lartigues wstał z miejsca, włożył długi czarny surdut, prawie aż do pięt mu dochodzący, w rodzaju sutanny, perukę siwą z długiemi włosami, okulary niebieskie, Zmienił się w tem ubraniu do niepoznania.

— Bardzo dobrze! — rzekł Verder, przypatrując mu się uważnie. — Dziesięć razy mógłbym się z tobą spotkać na ulicy i z pewnością anibym podejrzewał, że to ty. Masz oto klucze od mieszkania na drugim piętrze. Jak się załatwisz, zamknij wszystko na klucz i klucze wrzuć do kanału ulicznego. Mebli już nie zabiorę, mniejsza o nie!

— Bardzo dobrze! — odpowiedział Lartigues — to bardzo rozsądnie; w ten sposób możemy uniknąć wszelkiego niebezpieczeństwa.

— Spodziewam się!

Lartigues włożył klucze do kieszeni.

— Pamiętasz, jak się naciska podłoga ruchoma?

— Tak.

— To idź bo już czas.

— I tego cacka nie zapomnę, rzekł mniemany kapitan, biorąc ze stołu nóż z rękojeścią rogową — klingą twardą i ostrą, jednego uderzenia dość.

— Tego właśnie potrzeba; do widzenia, pomyślności!

— Pomyślności! — powtórzył Maurycy, ściskając za rękę Lartiguesa, który drgnął mimowolnie.

Coś ohydnego było rzeczywiście, jak syn życzył ojcu powodzenia w nowej zbrodni. Lartigues wyszedł, szukając oczyma karetki.

Na ulicy Anjou wpadł na jakąś kobietę, idącą z przeciwnej strony.

— Przepraszam — rzekł, przykładając rękę do szeroko-skrzydłego kapelusza.

Poszedł dalej, a kobieta zatrzymała się w miejscu. Powiedzmy zaraz, że była to p. Rosier. Głos przechodnia rozległ się jakoś dziwnie w jej uszach.

— Szczególna rzecz — wyszeptała — głos jakby Lartiguesa. Ale może łudziła mnie wyobraźnia.

Przeszedłszy czemprędzej na drugą stronę ulicy, przyjrzała się wzrostowi, postawie i chodowi człowieka w okularach i wzmogły się w niej podejrzenia. Wtem zobaczyła, jak zatrzymał się przy karetce Sylvana.

— Wolny? — spytał improwizowanego woźnicy.

— Nie, odpowiedział Sylwan — czekam na pasażera.

Lartigues odstąpił gniewnie i poszedł dalej. Aime Joubert nie spuszczając go z oczu, zbliżyła się do dorożki.

— Gwizdnij na Galoubeta — rozkazała Sylwanowi — i jedź za mną, nie tracąc z oczu tego człowieka, który do ciebie mówił.

— Czy to fałszywy opat?

— Nie, ale gotowam przysiądz, że to Lartigues.

— O, to nie marnujmy czasu!

Agentka rzuciła się w ślad za złoczyńcą — Sylwan gwizdnął, jak się nawołują agenci policyjni, zarówno jak złodzieje. Minutę później przystąpił Galoubet i zapytał:

— Co takiego?

— Siadaj. Zdaje się, że będziemy mieli już jednego.

Galoubet zręcznie wskoczył do karetki. Cornu pojechał zwolna za panią Rosier, która o cztery łokcie była od człowieka śledzonego. Na ulicy Królewskiej przejeżdżało kilka karetek, człowiek w okularach wsiadł do jednej.

— Nie ma co wątpić! — szepnęła agentka, drżąc ze wzruszenia. — To on... to niezawodnie on! Nareszcie go mam!

Lartigues siedział już w karetce, gdy pani Rosier wróciła do Sylwana i zapytała:

— Widziałeś go?

— Widziałem. Niech pani siada prędzej, ażebym go z oczu nie stracił.

Agentka siedziała już obok Galoubeta. Sylwan tak popędził konia, że zaraz mógł dogonić i jechać za karetką, wiozącą Lartiguesa. Kolega Galoubeta służył wprzód u wynajmującego powozy i dla tego umiał wybornie prowadzić.

Umiejętności tej nie zapomniał jeszcze i z łatwością też wymijał omnibusy i wszelkie wehikuły, pozostając w tyle tylko o kilka łokci. Na rogu ulicy Furbigos i bulwaru zatrzymała się karetka Lartiguesa. Sylwan pojechał prędzej przyglądając się człowiekowi w okularach niebieskich, który wysiadł, zapłacił woźnicy, podążył dalej bulwarem i przystanął przed domem nr. 41 na bulwarze Temple. Z kozła widział Sylwan, jak wyjął z kieszeni klucz i otworzył bramę.

W jednym z rozdziałów poprzednich jużeśmy nadmienili, że w domu tym nie było stróża od strony bulwaru. Lokatorów mieszkało tu niewielu i każdy miał swój klucz od bramy.

Z takiego przywileju nie korzystali mieszkańcy budynków wewnętrznych. Ci musieli obchodzić pasażem Vendome, gdy nie był zamknięty, albo ulicami Berangera, Turbigot. Charlou.

Sylwan zatrzymał karetkę na bulwarze. — Tylko on głowę miał na równi z chodnikiem, bardzo wysokim w tem miejscu. Pani Rosier spuściła szybę karetki i spytała półgłosem:

— Cóż on porabia?

— Otwiera furtkę kluczem, wyjętym z kieszeni — wchodząc — zamyka drzwi.

— Więc musi tu mieszkać — zawołała.

— Czy to Lartigues? — szepnął Galoubet.

— On, wątpić nie podobna! Wyjdź, Galoubecie i nie odstępuj furtki, patrz dobrze, kto wyjdzie. Widziałeś tego człowieka, poznasz go i śledź, jeżeli znów ukaże się na ulicy, co mi się nie zdaje, ale wszystko trzeba przewidzieć.

— Dobrze, pani dyrektorowo.

— A ja spieszę do naczelnika policji śledczej po agentów — mówiła dalej pani Rosier. — Jeżeli was tu nie zastanę, będzie to znaczyło, że ścigacie tego człowieka. W takim razie poczekam...

— O, — rzekł nagle Sylwan, który słuchając agentki, nie spuszczał z oczu kamienicy.

— Co? — zawołała Aime Joubert.

— W oknach na drugiem piętrze ukazało się światło.

— Otwierają je — dodał Galoubet.

Rzeczywiście otworzyły się dwa okna, jedno po drugiem i człowiek w okularach zamknął okiennice.

— Wiemy już wszystko, co chcieliśmy wiedzieć — rzekła agentka. — Pilnujcie dobrze, schwytamy go w mieszkaniu.

Pobiegła na pobliską stację karetek, zajęła jedną z nich i powiedziała do woźnicy:

— Dwadzieścia franków, jeżeli w dziesięć minut zawieziesz mnie pod nr. 9. na wybrzeże Orfevre. Tam mieszka naczelnik policji śledczej.

— Niech pani przygotuje woreczek — odrzekł woźnica — mam dobrego konia, popędzimy jak wiatr.

XXXVII.

Lartigues wszedłszy do pomieszkania, zajmowanego przez verdiera pod nazwiskiem Marchais, zapalił świecę, otworzył okna i pozamykał okiennice. Nagle twarz mu się zasępiła, a z ust wyrwał mu się wykrzyk!

— Niech djabli wezmą! — zawołał głośno. — Kiedy hrabia przyjdzie, zastanie bramę zamkniętą od strony bulwaru, a stróża nie ma! A tośmy głupcy! Ha, cóż robić trzeba czemprędzej zejść ze schodów otworzyć furtkę i pozostawić ją na wpół uchyloną. Idę [Wyszedł, otworzył furtkę — przymknął ją tylko, wrócił następnie do mieszkania i usiadł przy stole, zawalonym książkami i gazetami które też zaczął przeglądać dla zabicia czasu.

Iwan Smoiłow otrzymał o jedenastej przed południem list, napisany przez Maurycego. Syn Aime Joubert nie omylił się przypuszczając, że hrabia nie będzie podejrzywał zasadzki.

Przekonany, że list od Symeony pochodzi, hrabia wielce zapragnął się dowiedzieć, co za nowe niebezpieczeństwo grozi Albertowi i Marji i z niecierpliwością wielką czekał godziny oznaczonej na schadzkę przez oficjalistkę pani Dubieuf. Wyszedł z domu przy ulicy Regne o dziesiątej i wziął karetkę, która go przywiozła przed nr. 41 na bulwarze Temple.

Wysiadł — zapłacił woźnicy, który nie chciał poczekać, tłomacząc się, że musi koniowi dać wypocząć, szkapa ledwie trzyma się na nogach i zbliżył się do kamienicy, do której wszedł Lartigues.

O godzinie jedenastej wieczorem ten zakątek bulwaru bardzo jest ożywiony, zwłaszcza, że z sąsiedniego teatru wychodzi tu tłum publiczności w czasie antraktów.

Widząc ten gwarny ruch na bulwarze, hrabia Iwan nie mógł podejrzewać, że idzie pod nóż mordercy. Gdyby nawet taka myśl przyszła mu do głowy, zniknęłaby prędko.

W domu pod numerem 14 poszukał dzwonka przy bramie, nie zastał go, ale zobaczył furtkę nawpół uchyloną, otworzył ją i wszedł

Galoubet przechadzał się tam i napowrót po trotuarze. Widział, jak hrabia wszedł, ale nie znając go, wziął go za lokatora, wracającego do domu i nie zwrócił nań większej uwagi.

— Łotr może się przebrać i w tym nowym stroju jakim wymknąć się nam może między palcami. Oczy więc na wierzch!

Hrabia wszedłszy do domu, zamknął za sobą furtkę i począł szukać stróża. Wiemy, że nie było tu stróża. Hrabia znalazł się w niemałym kłopocie. Schody były oświetlone, ale słabo, bo gospodarz kazał gazu oszczędzać. Iwan nie mógł przecie pukać do każdych drzwi na każdem piętrze i zapytywać o pana Marchais.

Ani jeden z trzech wspólników nie pomyślał o tem, jak niezręcznie było wyznaczać schadzkę, w podobny sposób, bo łatwo można było przypuścić, że hrabia, nie wiedząc, do kogo się zwrócić, odejdzie i ukartowana zbrodnia spełźnie na niczem. Tak się jednak nie stało.

Hrabia tak wielce pragnął dowiedzieć się, co znów zagraża miłości Alberta, że cierpliwości nie tracił i nie ustąpił przed pierwszą napotkaną trudnością. Na dole w tej kamienicy znajdowała się dy-

strybucja. Iwan wstąpił do tego sklepu, przy kantorku siedziała kobieta.

— Czy w tym domu niema stróża? — spytał.

— Jest — odpowiedziała dystrybutorka — ale mieszkanie ma od ulicy Berangera. Jeżeli panu chodzi o kogo z lokatorów mogę pana objaśnić.

— Chciałbym się dowiedzieć, czy w tym domu mieszka pan Marchais?

— Pan Marchais... tak, bardzo mało mówiący, ale porządny człowiek.

— Na którem piętrze?

— Na drugiem, ale myślałam, że pana Marchais niema w Paryżu

— Musiał chyba powrócić, bo mam dziś być u niego.

— Niech pan pójdzie na drugie piętro. Omylić się nie można, bo pan Marchais sam tylko mieszka na tem piętrze.

Hrabia podziękował kupcowej i znowu wszedł do bramy. Kiedy wychodził, Galoubet przyglądał mu się trochę niespokojnie, widząc jednak, że wraca i furtkę za sobą zamknął, agent uspokoił się zupełnie.

Hrabia Iwan według wskazówek dystrybutorki poszedł po schodach i ręką pewną szarpnął za dzwonek u jednych drzwi na drugiem piętrze. Za temi drzwiami czekał Piotr Lartigues

* * *

Na ulicy Surennes także działano. O wpół do jednastej Verdier i Maurycy wyszli do małego ogrodu pałacyku.

Poprzez parkan, opięty bluszczem i przedzielający ogród ten od parku pensji, starali się dojrzeć wśród gałęzi drzew okna siedziby pani Dubieuf... Na górnych piętrach we wszystkich oknach było ciemno, z wyjątkiem jednego. Verdier szukał na swym planie, do jakiego pokoju należało to okno.

— To pokój Symeony! — odezwał się po kilku minutach.

— Tak sądzisz?

— Wiem napewno.

— Dziewczyna jeszcze nie położyła się spać.

— A przynajmniej nie śpi, bo lampa nie zagaszona. Trzeba więc będzie poczekać.

— Poczekajmy.

Maurycy przechadzał się po ogródku, niezwykle wzburzony. Pierwszy raz w życiu czuł, że mu się serce ściska. Nigdy w chwili spełniania zbrodni — a wiemy, że ich wiele miał na sumieniu — nie doświadczał podobnego wzruszenia. Verdier nie spuszczał oczu z okna Symeony.

— O! — wyrzekł nagle.

Światło zgasło i w tejże chwili wybiła jedenasta.

— Co takiego? — zapytał Maurycy.

— Symeona zagasiła lampę.

— Teraz trzeba zaczekać, ażeby zasnęła.
Wybiło wpół do dwunastej. Maurycy spospępniał.
— Chodźmy — rzekł Verdier.
Syn Aime Joubert drgnął.
— Czas o Symeonie pomyśleć — mówił dalej Verdier.
— Gdzie ślepa latarka?
— Tu.
Maurycy wziął latarkę tak małą, że można ją było schować do kieszeni, zapalił ją i zamknął tę część, przez którą padało światło.
— Masz flaszeczkę? — zapytał Verdier.
— Mam. Trzeba ci tylko będzie otworzyć furtkę od parku.
— Chodź za mną.
Młodzieniec prześlizgnął się jak wąż pomiędzy bluszczem i dostał się za furtkę, w ten sposób zasłoniętą, że niepodobna ją było znaleźć temu, kto o jej istnieniu nie wiedział.
W parku pensji Maurycy zatrzymał się i badawczo obejrzał się dokoła. Zadowolony z rezultatu tych oględzin poszedł, nie wahając się, ku gmachowi, gdzie mieściła się pensja. W oknach sypialni widać było słabe światło lampek nocnych. Wcale to nie przestraszyło łotra. Wkrótce doszedł do placyku, przedzielającego stary pałac od zadrzewionej części parku.
Placyk był wybrukowany. Wiedział o tem Maurycy i dlatego przez ostróżność miał na nogach kamasze z podeszwami wojłokowemi, które zupełnie głuszyły jego kroki. Znów jął się przysłuchiwać. Wszędzie panowała cisza. Wówczas skierował się ku dużym drzwiom oszklonym, które były od sieni, skąd schody prowadziły na piętra.
Zapamiętawszy dobrze plan, narysowany przez Verdiera, Maurycy ani na minutę się nie zawahał. Ręką pewną ujął klamkę, nacisnął ją i połowa drzwi zwolna się uchyliła. Wszedł tylko je przymknąwszy. Na schodach panowały głębokie ciemności. Maurycy otworzył ślepą latarkę i nie bojąc się wpaść na cokolwiek, prędko przeszedł po schodach i dostał się na trzecie piętro.
Tu zatrzymał się na kurytarzyku, na który wychodziło kilkoro drzwi. Porachował je i poszedł prosto do pokoju Symeony. Klucz był w zamku. Maurycy nachylił się, przyłożył ucho do drzwi wstrzymując oddech, słuchał. Wewnątrz było całkiem cicho. Obrócił klucz w zamku i drzwi się otworzyły. Młodzieniec wszedł do pokoju, zasłaniając światło latarni. Symeona spała głębokim snem. Wśród ciszy nocnej Maurycy słyszał jej oddech spokojny. Dwie czy trzy sekundy poczekawszy, wypuścił z latarki cienki snopek światła, ażeby mógł widzieć drogę i nie obudzić dziewczęcia.
Zobaczył obnażone jej ręce wyciągnięte na kołdrze, śliczną główkę z rozpuszczonemi włosami, uśmiech na ustach.
Maurycy uczuł dreszcz w żyłach. Przysiąpił jednak do tego łoża dziewiczego, ukląkł na dywaniku wyjął z kieszeni pudełko z

flaszeczką napełnioną kwasem pruskim, otworzył pudełko, podniósł flaszeczkę do nozdrzy dziewczęcia i nacisnął.

Całe ciało Symeony drgnęło, jakby od silnego prądu elektrycznego. Ręce się podniosły, oczy otworzyły, potem ręce opadły, powieki się zamknęły, oddech ustał.

— Umarła — rzekł do siebie Maurycy, przykładając ręce do serca, już nie bijącego.

Schował flaszeczkę do pudełka z czarnego safianu, potem wyjął z kieszeni papier jakiś, złożony we czworo i włożył go do szuflady nocnego stoliczka.

— W ten sposób — wyszeptał — dowiedzą się, kto ona była, a to konieczne, bo potrzeba nam mieć akt zejścia.

Papierem schowanym teraz do szuflady była kopja metryki dziewczęcia, w której zapisana była jako Symeona, nieprawa córka Walentyny Dharville i niewiadomego ojca.

Dokonawszy tego, Maurycy wziął latarkę swoją, wyszedł z pokoju, zamknął drzwi i zeszedł ze schodów. Verdier czekał go na tem samem miejscu poza bluszczem.

— I cóż? — zapytał.

— Udało się — odpowiedział Maurycy.

Obaj wrócili do pałacyku. Jednocześnie prawie, gdy przestępowali za próg, ozwał się dzwonek u furtki od ulicy.

— To Van Broke — rzekł Verdier z radością — nareszcie oddycham.

Dominik pośpieszył otworzyć. Lartigues przyłączył się do dwóch wspólników, którzy czekali nań z taką niecierpliwością. Verdier zapytał go tak, jak Maurycego przed chwilą:

— I cóż?

Lartigues tak samo odpowiedział jak Maurycy:

— Udało się!

I dodał:

— Od jednego uderzenia. A tu wszystko dobrze?

— Bardzo dobrze.

— Cóż Symeona?

— Umarła.

— Brawo! —

— Widzicie — rzekł Maurycy — że moje przewidywania były słuszne!

— To prawda — odrzekł Lartigues. — Jakoś mówił, tak się też stało. Punkt o godzinie jedenastej przyszedł hrabia z listem w ręce, zapytując o pana Marchais i pannę Symeonę. Wpuściłem go do pokoju i powiedziałem, że Symeona czeka w pokoju sąsiednim, otworzyłem drzwi i przez grzeczność przepuściłem go naprzód, a gdy przechodził, natychmiast z tyłu wpakowałem mu sztylet. Krzyknął i przewrócił się na nos. Biedny hrabia przeniósł się do wieczności.

— A list? — żywo spytał mniemany opat. — Spodziewam się żeś listu nie zostawił przy nim.

— List jest — odpowiedział Lartigues, kładąc go na stole. — Spalcie go.

Maurycy wrzucił list w ogień na kominku.

Lartigues mówił dalej:

— Teraz odpocznijmy trochę. Diabelnie jestem znużony.

— I ja także — rzekł Maurycy. — Spać będziemy wybornie, bo interesa, jakieśmy załatwili dzisiejszej nocy zapewniają nam spokój. Teraz pozwólcie sobie dać dobrą radę.

— Prosimy.

— Zamknijcie się tu obaj i nie wychódźcie, dopóki nie pojedziecie do Anglii.

— Rada rzeczywiście dobra i zastosujemy się do niej — rzekł Lartigues. — Ale jutro powinienbym iść do biura pocztowego przy ulicy Enghien po list, którego się spodziewam z Londynu.

— To ja pójdę — rzekł Maurycy. — Nasze wspólne interesa wymagają, ażebyście się już nie pokazywali w Paryżu.

— Dobrze, ale jeżeli tak, to weź to.

Lartigues wyjął z pugilaresu jakąś kopertę i podał ją Maurycemu, mówiąc:

— To koperta od listu, który już odebrałem w biurze poczty. List, który zabierzesz jutro, taki sam będzie miał adres. Pokażesz tylko tę kopertę, a zaraz ci list oddadzą.

— Bardzo pięknie! — rzekł Maurycy, kładąc kopertę do kieszni.

— Muszę jak najprędzej mieć list z Londynu — dodał Lartigues

— Bądź spokojny. Przezemnie nie będziesz długo czekał. Przyniosę tutaj list wprost z poczty. A teraz dobrej nocy i do jutra. Między milionami a nami pozostała już tylko jedną przeszkoda bardzo słaba i ta usunięta będzie za tydzień.

Lartigues odprowadził młodzieńca do furtki i tu się rozstali przy uściśnięciu ręki powtarzając sobie wzajemnie:

— Spokojnej nocy! Do jutra!

XXXVIII.

Czytelnicy bez wątpienia nie zapomnieli, że pani Rosier pojechała do naczelnika policji śledczej. Zobaczywszy ją, naczelnik policji zawołał:

— Cóż się stało, kochana pani Rosier?

— Nadzwyczaj ważne rzeczy. Czemprędzej do prefektury. Potrzeba tylko ludzi — Lartigues w naszem ręku.

— Ależ powiedz mi pani...

— Tu ani słowa. Minuty tyle warte co godziny. W drodze panu opowiem.

Naczelnik wziął kapelusz i poszedł za agentką. W prefekturze zastali dyżurnych agentów i pojechali na bulwar Temple.

W drodze Aime Joubert opowiedziała po krótce i skończyła temi słowy:

— Widzi pan, że miałam słuszność, gdym prosiła o pilnowanie przedmieścia św. Honorego.

Naczelnik sam to zaraz przyznał w myśli, ale nic nie odpowiedział.

Na końcu bulwaru ulicy Turbigot, obok bulwaru, Aime Joubert kazała stanąć karecie w której jechali agenci. Wyszli.

— Meunier — rzekł naczelnik do inspektora — weź czterech ludzi i idź do domu pod nr. 18 na ulicy Berangera, to będzie poza domem nr. 41 od bulwaru Temple. W tym domu są dwa wyjścia. Pilnujcie z tej strony, ażeby nikt nie wyszedł. Uprzedźcie stróża.

— Dobrze panie naczelniku — odpowiedział inspektor.

Wziął czterech ludzi i poszedł spełnić polecenie naczelnika. Naczelnik znów wespół z panią Rosier i innymi agentami poszedł na bulwar. — Sylwan Cornu i Galoubet znajdowali się wciąż jeszcze na swych stanowiskach.

— Jest co nowego? — spytał naczelnik, podchodząc do nich.

— Nic — odpowiedział Galoubet. — Nic się nie ruszyło. Nikt nie wyszedł.

— Napewno to wiesz?

— Tak, ani na minutę nie spuszczałem oczu z bramy.

— No, to będziemy go mieli.

Naczelnik policji śledczej stanął przy bramie pod nr. 41; była zamknięta. Przechodnie na ulicy coraz rzadszymi się stawali. Teatr się skończył, zamykano kawiarnie. Naczelnik dwa albo trzy razy zapukał do drzwi trzciną, mówiąc przez zęby:

— Pamiętam, że od tej strony nie ma odźwiernego, że Meunier usłyszy, jak się dobijam i przyśle go, ażeby otworzył.

W tejże chwili na pierwszym piętrze otworzyło się okno i wyjrzała głowa jakiegoś lokatora. Naczelnik usłyszawszy otwieranie lufciku podniósł głowę i spytał:

— Zapewne pan u siebie w domu?

— Tak.

— Czy tu stróża nie ma?

— Niema. Stróż jest od ulicy Berangera dla obu bram.

W tejże prawie chwili otworzyły się drzwi. Inspektor policji kazał odźwiernemu otworzyć od strony bulwaru.

Kiedy furtkę otworzono, naczelnik policji wszedł z panią Rosier i agentami i rzekł do odźwiernego.

— Wiesz, kto jesteśmy?

— A wiem.

— Nie, nie wiem, ale się domyślam. Na rewizję zapewne, tylko nie wiem do kogo.

— Dobrze. Zaprowadź nas do mieszkania pana Marchais.

Odźwierny miał przy sobie lampkę i zaraz też poszedł na schody.

— Zapalcie swe latarki — nakazał naczelnik agentom.

Ci natychmiast wyciągnęli z kieszeni ślepe latarki i zapalili je. Przyszli na drugie piętro. — Naczelnik przystąpił do znanych nam drzwi i zadzwonił. Słychać było, jak dzwonek rozległ się głośno wewnątrz mieszkania. Poczekawszy kilka sekund wśród ciszy głębokiej, naczelnik drugi raz szarpnął za dzwonek.

Nikt nie odpowiedział.

— Trzeba zapewne będzie zamek wyłamać mruknął naczelnik zmarszczywszy brwi.

I znów zadzwonił gniewnie, Pani Rosier ledwie oddychała.

— Może wyszedł — szepnęła

— Zaraz się dowiemy — rzekł naczelnik i dodał, zwracając się do jednego z agentów.

— Gentille, otwórz te drzwi!

— Ależ proszę pana! — zawołał odźwierny — ja na to nie mogę pozwolić.

— Rozkaz od sądu. Biorę wszystko na siebie. Gentille, czyś słyszał?

Agent wyjął z kieszeni pęk kluczów i włożył wytrych do zamku. Zamek nie ustąpił. Gentille chciał drzwi otworzyć. Drzwi się nie otworzyły.

— Do djabła! — rzekł — taki ostrożny. Tam jeszcze zasunięty jest rygiel.

— Trzeba drzwi wyłamać i odwieźć kurki rewolwerów - rzekł naczelnik.

Trzech agentów naparło drzwi plecami i dał się słyszeć trzask. Drzwi pękły i wypadły. Agenci z rewolwerami w ręku wbiegli zaraz do pokojów; za nimi Aime Joubert i naczelnik.

Z tyłu szedł odźwierny, trzęsąc się jak w febrze. Przeszli przez przedpokój. Agent, który był na przodzie, przestąpił próg saloniku i zatrzymał się z głuchym okrzykiem. Na pokrwawionym dywaniku leżał jakiś człowiek bez życia.

— Zamordowany ktoś! — zawołała pani Rosier.

Uklękła, ażeby zobaczyć twarz zabitego i nagle zerwała się przerażona.

— Hrabia Iwan! — rzekła ochrypłym głosem. — Hrabia Iwan!

Naczelnik policji pochylił się nad ciałem. Zimny pot wystąpił mu na skronie.

— To on!... to on!... To Lartiguesa dzieło! Szukajcie, szukajcie wszędzie! Drzwi zamknięte były z wewnątrz! Morderca musi tu być!

XXXIX

Agenci rozbiegli się po pokojach, prócz Sylwana Cornu, który teraz ukląkł przy rzekomym trupie i przyłożył rękę do jego serca.

— Ten człowiek nie umarł! — zawołał — serce jeszcze bije.

— Tak, to prawda, chwała Bogu! — rzekła pani Rosier. — Usta się poruszają, powieki się podnoszą, hrabia patrzy na nas.. widzi! Hrabia rzeczywiście otworzył oczy, a ręce się jego poruszały. Podniósł się trochę.

— Doktora — rzekł ledwie zrozumiałym głosem — mego przyjaciela... Juanosa... ulica Opery nr. 7.

Hrabia Iwan nie mógł już więcej mówić, — brakło mu sił. Oczy mu się zamknęły i upadł.

— Prędzej, prędzej! — rzekł naczelnik. — Niech jeden z was wsiądzie do naszej karety i popędzi do doktora Juanosa w imieniu hrabiego Smoiłowa.

Jeden agent natychmiast pobiegł. Moskala położono na łóżko, zdjęto z niego część ubrania i odszukano ranę. Była ona na plecach, wąska i widocznie głęboka.

Krew się jeszcze sączyła. Tymczasem policjanci oglądali mieszkanie, lecz poszukiwania ich żadnego nie miały rezultatu. Przyszli powiedzieć o tem naczelnikowi, a ten z gniewem, tupnąwszy nogą, krzyknął:

— Czy znowu się nam wymknie?

I zwróciwszy się do odźwiernego, zapytał:

— Czy do tego mieszkania nie prowadzą jeszcze inne schody?

— Nie.

— Więc drugiego niema?

— Niema drugiego.

— To łotr powinienby tu jeszcze być, schował się gdzieś. Tysiąc franków nagrody temu, kto go znajdzie! Szukajcie! Przetrząśnijcie wszystko!

Agenci rewidowali z podwójnym zapałem, podnosili dywany, oglądali podłogi, mierzyli grubość ścian. Aime Joubert blada była z gniewu. Nagle jeden z „numerów" brygady śledczej krzyknął triumfująco. Znalazł jedno miejsce, gdzie odgłos wskazywał próżnię w ścianie.

— Wybijcie ścianę! — rozkazał naczelnik.

Walić poczęto młotkami i drągiem żelaznym i w kilka minut pokazał się przyrząd rodzaju windy. Odźwierny rozdziawił usta wobec tego odkrycia, które bardziej go dziwiło niż wszystkich, bo od lat dwudziestu mieszkał w tym domu i myślał, że go zna od góry do dołu. Zdziwienie jego bardziej jeszcze wzrosło, gdy agenci wprawili przyrząd w ruch, a winda spuściła się z trzeciego piętra do mieszkania Martina. — Spóźniono się!

Czytelnikom wiadomo, że Lartigues był już w miejscu bezpiecznem. Naczelnik, którego zrozpaczenie łatwiej pojąć, niż opisać, padł na krzesło, zwiesiwszy głowę. Pani Rosier podeszła do niego.

— Niech pan ma nadzieję — szepnęła mu do ucha. — Przyrzekłam i przyrzeczenia dotrzymam... Już po północy, więc mamy już środę. Niech pan poczeka do wieczora.

W tejże chwili wrócił agent, posłany na ul. Opery i przywiózł z sobą doktora Juanosa.

* * *

Nazajutrz po tej nocy okropnej pani Rosier prędko się przebierała. Wybiła godzina 6-ta zrana. Agentka wybierała się na ulicę Meley, dokąd przyjść mieli do niej dwaj agenci policyjni, przyobiecani przez naczelnika. Straszne zdarzenie wczorajsze przerażało ją niezmiernie.

Biedna kobieta padła na kolana i gorąco pomodliła się do Boga, prosząc, ażeby jej dopomógł i zesłał powodzenie, bo w dobrej walczyła sprawie. Modlitwa uspokoiła ją nieco.

Powstała pokrzepiona nadzieją, wypiła filiżankę czekolady, którą przyniosła Magdalena. W minutę później wszedł Maurycy uśmiechnięty, z wesołą miną.

— Tak wcześnie, kochane dziecko! — zawołała pani Rosier, całując Maurycego.

— Czy to mamę dziwi?

— Trochę, co prawda.

— Z domu wyszedłem już wcześnie i wstąpiłem do ciebie.

— Chciałem mamie przypomnieć, że jutro podpisuję akt ślubny. Ułożyliśmy sobie, że tego dnia będziemy na obiedzie u Bressolów.

— Jutro prawdopodobnie będę miała bardzo dużo do roboty — odrzekła matka — i nie wiem, czy będę mogła być na obiedzie przy ulicy Verneuille. Gdybym nie mogła, przeproś za mnie i powiedz, że przy podpisywaniu aktu bezwarunkowo będę, ale teraz muszę cię już pożegnać; mam się z kimś zobaczyć i nie mogę się spóźnić

— Do widzenia więc mateczko.

— Do widzenia, kochane dziecko.

Agentka znowu pocałowała Maurycego i tenże wyszedł.

XL.

Wydawszy w domu u siebie kilka zleceń, pani Rosier udała się na ulicę Meslay. Tu czekali już na nią Galoubet, Sylwan i Cornu i dwóch agentów, przysłanych przez naczelnika.

Wszyscy czworo ubrani byli bardzo skromnie, ale porządnie. Agentka była zdania, ażeby się lepiej nie przebierać i wyszła z nimi, poleciwszy im z tyłu iść z miną ludzi, spieszących na miasto za interesami.

Stosując się do tego, szli za nią w milczeniu. Przybywszy przed kantor poczty przy ulicy Enghien, pani Rosier skinęła na nich znacząco, ażeby zaczekali. Sama zaś weszła do kantoru zapytała:

— Czy mogę się widzieć z panem odbiorcą listów?

— Nie wiem — odpowiedział urzędnik — rzecz osobliwa, odpowiedział tonem grzecznym.

— Jakbym się mogła dowiedzieć?

— Niech pani zapuka do drzwi tego gabinetu.

— A gdzie są tę drzwi?

— Na lewo w środku sali.

— Dziękuję.

Agentka podeszła do wskazanych drzwi i zapukała.

— Proszę! — odezwał się głos z wewnątrz.

Otworzyła drzwi i weszła do gabinetu, a na pytanie urzędnika, czego sobie życzy, wymieniła swe nazwisko, przedstawiła bilet i objaśniła, w jakim przybywa zamiarze.

Urzędnik prędko wstał z miejsca, poprowadził ją do tego oddziału, gdzie wydawane są listy adresowane poste-restante.

— Czy ma pan — spytał urzędnika odziału — list z Anglii pod adresem I. J. K. 50?

Urzędnik przejrzał dość duży pakiet listów, które wyjął z szuflady i odpowiedział:

— Mam, oto jest.

— Ta pani stanie przy panu — mówił dalej urzędnik-odbiorca — tak, żeby jej nie mógł zobaczyć ten, kto przyjdzie po list, ale żeby ona mogła go widzieć. Niech pan zastosuje się do jej zleceń, to sprawa administracyjna.

— Dobrze.

Pani Rosier podziękowała odbiorcy, który skłoniwszy się jej uprzejmie, wyszedł.

— Zaraz wrócę, tylko kilka słów powiem moim ludziom — rzekła Aime Joubert i wyszła.

Okna kantoru poczty były od ulicy Enghien. Aime Joubert zauważyła, że okienko, przy którem odbierać będą list z adresem I. J. K. 50, znajduje się obok matowej szyby, że zatem stać może przy niem.

— Słuchajcie — rzekła do Galoubeta, Sylwana Cornu i dwóch innych — wyznaczę wam miejsca, z których macie nie odchodzić pod żadnym pozorem, dopóki was sama nie zluzuję.

— Bardzo dobrze.

— Wy, Galoubet i Sylwanie — mówiła dalej agentka — stańcie przed oknem i pilnie patrzcie i słuchajcie. Kiedy trzy razy uderzę w szybę matową, będzie to znak, że człowiek, który przyszedł po list z Anglji, odebrał go i odchodzi. Zaraz jeden z was przywoła dwóch agentów, którzy przez cały dzień siedzieć będą w karetce naprzeciw kantoru. Ja zaraz wyjdę za tym człowiekiem i wam go wskażę.

— Bardzo dobrze zrozumieliśmy — rzekł Galoubet — trzy razy pani w szybę zapuka.

— A nam dadzą znak — dodał jeden z posiłkowych agentów — wysiądziemy z karety i schwytamy człowieka, którego nam pani wskaże...

— Tak. Wynajmijcie czemprędzej karetkę na godziny i każcie jej stać tutaj.

Jeden z agentów pobiegł i sprowadził karetkę czteroosobową, poczem wsiadł do niej wraz z kolegą. Rozstawiwszy swych ludzi, jak chciała, Aime Joubert wróciła do kantoru i stanęła przy urzędniku, obok okienka, do którego przyjść miano po list z Londynu.

Nazajutrz po południu po dokonaniu morderstwa na Symeonie, listonosz przyniósł dla niej list. Odźwierna, chcąc go jej doręczyć, poszła z drugim listem na trzecie piętro.

Weszła do pracowni, gdzie szwaczki szyły, rozmawiając głośniej, niż zwykle, bo nie było nikogo, coby ich pilnował.

— Panny Symeony niema tutaj? — rzekła odźwierna.

— Nie, zapewne wyszła na miasto, — odpowiedziała Justyna — wcaleśmy jej dzisiaj nie widziały.

— Nie widziałyście panny! wyszła na miasto! — powtórzyła ze zdziwieniem odźwierna — a ja mogę powiedzieć, że panna Symeona nigdzie nie wychodziła. Ja furtkę każdemu otwieram, a nikt dziś stąd nie wychodził na miasto, oprócz mego męża.

— Być może — odrzekła Justyna — lecz przecie panna Symeona musi być gdzieś; pukałam do jej drzwi; ani się odezwała.

— A czy panna wchodziła do jej pokoju?

— Nie.

XLI.

— I panna nie weszła do pokoju — zawołała odźwierna — trzeba było wejść! Gotowa jestem się założyć, że panna Symeona śpi.

— Ależ już druga po południu.

— To nic nie znaczy. Zeszłej nocy namęczyła się podczas balu i prawie nie spała wcale. Pójdę ją obudzić.

Poczciwa kobiecina poszła do pokoju Symeony i nie pukając wcale, otworzyła drzwi. — Dziewczę leżało tak, jak je zostawił Maurycy.

— A to pysznie śpi! — rzekła Dorota, widząc, że się ani poruszyła — może sobie powiedzieć, że się doskonale wyspała. Panno Symeono! Panno Symeono! — dwa razy zawołała odźwierna.

Dziewczę nic nie odpowiedziało. Dorota przystąpiła do łóżka, nachyliła się i wzięła dziewczę za rękę. Nagle krzyknęła z przerażenia i odskoczyła prawie do drzwi. Twarz jej wyrażała zgrozę. Poczuła, że ręka Symeony zimna jak u trupa. Usłyszawszy krzyk Doroty, nadbiegły szwaczki, przestraszone, same jeszcze nie wiedząc, czego.

Odźwierna, dziko wytrzeszczywszy oczy — drżąc konwulsyjnie całem ciałem, wskazała im na ciało Symeony.

— Mój Boże, co jej jest? — szepnęła Justyna, ledwie mogąc mówić z przestrachu.

— Umarła! — rzekła Dorota głuchym głosem.

Justyna rzuciła się ku Symeonie. Ręce jej dotknęły jej chłodnego ciała. Odstąpiła również przerażona. Nie straciła jednak głowy i zawołała:

— Prędzej, prędzej! trzeba pani Dubieuf powiedzieć, jakie się stało nieszczęście!

Jedna ze szwaczek pobiegła po schodach na dół wprost do gabinetu przełożonej. Pani Dubieuf zdrętwiała na tę okropną wiadomość. O ile wiek jej na to pozwalał, szybko pobiegła na trzecie piętro i z prawdziwą rozpaczą przekonała się o śmierci biednego dziewczęcia.

Trzeba jej było jednak zapanować nad zmartwieniem i pomyśleć o przykrościach wszelkiego rodzaju, jakie pociągnął za sobą straszny i niespodziewany ten wypadek!

Pani Dubieuf posłała po doktora i dała znać do komisarza policji. Doktór i komisarz ze swym sekretarzem przyjechali jednocześnie. Zaprowadzono ich do pokoju Symeony.

Pani Dubieuf i Justyna stały przy łóżku i modliły się. Obok

kropielnicy, do której włożono gałązkę bukową, paliła się gromnica, kiedy doktór i komisarz weszli, pani Dubieuf skłoniła się im i rzekła:

— Straszne nieszczęście, proszę panów! — znalazłyśmy nieżywe te drogie, kochane dziecko.

— Dobrze pani uczyniła, żeś nas wezwała — odpowiedział komisarz — jak tylko doktór obejrzy trupa, napiszę protokół o śmierci i dodam w nim, co mi pani powie. Przedewszystkiem jednak trzeba wiedzieć, czy rzeczywiście umarła.

— Tak, na nieszczęście — odparł doktór, prędko obejrzawszy ciało — śmierć musiała nastąpić z początku nocy.

— Czemu pan ją przypisuje?

— Uderzeniu krwi do mózgu.

— W wieku tej panienki uderzenia do mózgu bywają rzadkie

— Rzadkie, to prawda, ale się zdarzają. Dowód ma pan przed oczami.

— W takim razie protokół zawrze się w kilku wierszach, ponieważ pan stwierdza śmierć naturalną. Pani Dubieuf będzie łaskawa mi powiedzieć imię i nazwisko tej panienki.

— Symeona miała na imię! — rzekła przełożona.

— A nazwisko?

— Nazwiska nie wiem, a i ona sama nie wiedziała, jak się nazywa.

— Jakto?

— Symeona była dzieckiem nieprawem i zaraz po urodzeniu oddano ją mamce we wsi Vique-sur-Bresne.

— Któż ją oddał?

— Jakiś człowiek, który nie podał swego nazwiska i nigdy już nie wrócił.

— Czy pani napewno wie, że ta panienka nie znała nazwiska swych rodziców?

— Jestem tego pewna!

— To rzecz bardziej gmatwa — rzekł komisarz.

— Dlaczego?

— A dlatego, że wobec tej okoliczności nie mogę spisać aktu formalnego i muszę o całem zdarzeniu zawiadomić prokuratora.

— Mój Boże! — zawołała z prezrażeniem pani Dubieuf — więc z powodu tej śmierci ma być prowadzone śledztwo?

— Śledztwo konieczne, ale będzie bardzo krótkie i obejdzie się bez skandalicznego rozgłosu. Dziś jeszcze zdam raport do sądu Śledztwo nastąpi jutro i powtarzam pani, nie potrwa długo.

Doktór i komisarz pożegnali panią Dubieuf, bardzo zmartwioną tym wypadkiem i jego następstwami. Justyna pozostała w pokoju Symeony, pani Dubieuf poszła do swego gabinetu. Tak była wzruszoną, że zapomniała powiedzieć komisarzowi o liście, który włożyła do kieszeni po oddaniu go przez odźwierną. Później dopiero

przypomniała sobie i kazała mężowi Doroty zaraz list ten odnieść komisarzowi.

* * *

Opuściliśmy panią Rosier w chwili, gdy rozstawiwszy swych podwładnych, poszła do kantoru pocztowego, ażeby zaczekać, aż w zastawioną zasadzkę złapie się albo Lartigues, albo Verdier, albo kto ze wspólników, który mimowoli naprowadzi na ślad tamtych. Agentka w niewysłowionym niepokoju martwiła się, że czas upływa, a nikt nie przychodzi. Zwątpienie coraz bardziej ogarniało jej duszę.

XLII.

Urzędnik, obok którego siedziała agentka, odezwał się do niej ze współczuciem:

— Czas wydaje się pani bardzo długim!

— O! bardzo...

— Rozumiem to, kiedy się czeka, to czas idzie żółwim krokiem. Chyba już ten, na kogo pani czeka, nie przyjdzie dziś i będzie pani musiała przyjść jeszcze jutro.

— O której godzinie wychodzicie panowie z biura?

— O ósmej.

— Do ósmej może jeszcze przyjdzie.

— To prawda. Czy trzeba zaraz oddać list temu, kto się zgłosi?

— Tak, zaraz, bez najmniejszego wahania, ażeby ten człowiek nie mógł podejrzewać. — Wszelkie ostrożności przedsięwzięłam, byleby tylko przyszedł.

— O! że nam nie ujdzie, za to mogę śmiało ręczyć.

W tej chwili, gdy agentka domawiała tych słów, człowiek jakiś, którego w okienku widać było tylko piersi, przystąpił z kopertą w ręku i zapytał:

— Czy jest list poste-restante z tym adresem?

— I. J. K. 50 — odpowiedział urzędnik — jest.

I podał zgłaszającemu się list, na stole leżący. Kiedy pani Rosier usłyszała ten głos, dostała zawrotu głowy. Nachyliła się szybko, ażeby zobaczyć twarz człowieka, czekającego przy okienku. Ciało konwulsyjnie zadrżało, oczy patrzały dziko, wargi drżały, chciała krzyknąć, ale żaden dźwięk nie wyrwał się jej z ściśniętego gardła i na wznak upadła przy zdziwionym urzędniku. Tymczasem Maurycy wyszedł na ulicę, wsiadł do karety, która go przywiozła, i odjechał. W kantorze pocztowym wiedziano, co się ma stać i oczekiwano efektownego widoku aresztowania.

Kiedy urzędnik wymówił te wyrazy I. J. K. 50 tak, głowy wszystkich zwróciły się ku pani Rosier. Widok nastąpił nie ten, jakiego się spodziewano. Ujrzano, jak agentka zadrżała, zbladła i upadła. Zaraz pospieszono jej z ratunkiem. Dreszcz nerwowy wstrząsnął jej ciałem, ledwie była w stanie oddychać.

— Musiała konwulsyj dostać — zauważył ktoś — trzeba czemprędzej przywołać agentów, którzy pozostali na ulicy.

Poszedł jeden z pocztyljonów, Sylwan i Galoubet natychmiast przyszli.

— Co to jest? co się stało? — zapytali.

— Nie wiem — odpowiedział naczelnik wydziału — zgłoszono się po list I. J. K. 50, a w chwili, kiedy go oddawałem, ta pani upadła, jakby jej kto nogi podciął.

— Do djabła! — zawołał Galoubet — ten człowiek sobie poszedł, a naczelnikowa nie dała nam żadnego znaku!

— Trzeba będzie naczelnikową zanieść do karety i odwieźć do domu — mówił Galoubet.

Galoubet i Sylwan podnieśli panią Rosier i położyli w karetce, z której wyszli dwaj agenci, usiedli naprzeciw niej na przedniej ławeczce i kazali woźnicy jechać na ulicę Victoire.

Trzeci agent wszedł na kozieł, a czwarty uczepił się resortów z tyłu karetki. Kiedy panią Rosier wniesiono do mieszkania jej i położono na łóżku, Galoubet pobiegł do lekarza, który mieszkał w sąsiednim domu i przyprowadził go w pięć minut później. Doktór bardzo uważnie obejrzał chorą.

— Widocznie doznała silnego wstrząśnienia moralnego — odezwał się po chwili — trzeba jej puścić krew, proszę o wszystko potrzebne.

Przestraszona Magdalena przyniosła bandaż i miednicę. Doktór obnażył lewą rękę pani Rosier, wyjął lancet i puścił krew, która zrazu sączyć się zaczęła po kropli, potem popłynęła obficie. Agentka otworzyła oczy, lecz prawie natychmiast je zamknęła. Doktór obandażował rękę, zapisał receptę i podał ją Magdalenie, która płakała, stojąc przy łóżku.

— Nie martw się pani — rzekł — niema żadnego niebezpieczeństwa.

Z pewnością, panie doktorze?

— Mogę zaręczyć. Niedługo chodzić będzie. Każ pani w aptece zrobić lekarstwo natychmiast i dawaj pani chociażby przemocą, roztwierając zaciśnięte zęby, co pół godziny łyżkę stołową, rozumie pani?

Doktorowi odpowiedział Sylwan Cornu:

— Tak, panie doktorze, rozumieliśmy. My tutaj zostaniemy przy chorej, siostrami miłosierdzia dla niej będziemy; ja się podejmuję dawać lekarstwo. A ty — zwrócił się do Galoubeta — zanieś receptę.

— Lecę...

Galoubet wziął receptę od Magdaleny i poszedł.

— Teraz — mówił doktór — jeżeli chora przyjdzie do siebie, nie trzeba do niej nic mówić. To bardzo ważne. Przyjdę znowu wieczorem. Łyżkę stołową co pół godziny, jak najzupełniejszy spokój i wszystko będzie dobrze.

To powiedziawszy, odszedł.

— Jeżeli koledzy zostajecie tutaj, to nie jesteśmy wam potrzebni — rzekli dwaj agenci do Sylwana, a ten na to odrzekł:

— Nic nie przeszkadza wam odejść, tylko idźcie powiedzieć o wszystkiem naczelnikowi.

— Idziemy prosto do prefektury

Zadzwoniono w przedpokoju. Magdalena pobiegła otworzyć. To Galoubet przyszedł z lekarstwem. Służąca wyjęła łyżkę. Sylwan spełnił, ale z wielką trudnością, polecenie doktora. Pani Rosier wciąż jeszcze leżała bez przytomności tak samo, jak przez kilka godzin po przygodzie w Saint-Maure.

— Zostawię panów przy pani — rzekła Magdalena do obu agentów — a sama pójdę ugotować obiad. Nie będziecie panowie potrzebowali odchodzić.

Minęło pół godziny. Sylwan przy pomocy Galoubeta podniósł głowę pani Rosier, otworzył zęby i wlał do ust łyżkę lekarstwa, zapisanego przez doktora. Potem obaj, rozmawiając o rzeczach postronnych po cichu, dla zabicia czasu, oczekiwali z wielką niecierpliwością obiadu, jaki dla nich przyrządzała Magdalena, ślinki im szły do ust, gdy ich dolatywał z kuchni apetyczny zapach.

XLIII.

Maurycy odszedł od kantoru pocztowego przy ulicy Enghien, nie podejrzywając strasznego dramatu, jaki spowodował tam swoją obecnością , i udał się na ulicę Surennes, gdzie Verdier z niecierpliwością czekał na list Bremonta.

Mniemany opat Meriss natychmiast rozpieczętował list i przy pomocy „kratki“ przeczytał co następuje:

„Przyjeżdżajcie do Londynu jednego dnia wszyscy trzej różnemi drogami i weźcie z sobą akta zejścia; wszystko idzie dobrze“.

— Więc to dość blisko do krainy miljonów — rzekł Maurycy ze śmiechem — wiecie, moi drodzy przyjeciele, że jutro wieczorem podpisany będzie akt ślubny. Za tydzień staniemy na bruku londyńskim.

— Czy jutro się z sobą zobaczymy? — zapytał Lartigues.

— Nie, kochany kapitanie.

— Dlaczego?

— A to dlatego, że cały dzień jutrzejszy poświęcić muszę mojej narzeczonej i ważnym interesom.

— Więc pojutrze!

— A więc do widzenia!

Uścisnęli sobie wzajemnie ręce i Maurycy odszedł. Dziesięć minut przed siódmą przyjechał na ulicę Verneuille. Po obfitym obiedzie Sylwan Cornu i Galoubet znowu zasiedli przy łóżku pani Rosier. Agentka znajdowała się w stanie dziwnego uśpienia. Lekarstwo dawano bardzo systematycznie. Obaj agenci i Magdalena nie spuszczali oczu z twarzy biednej kobiety.

Zdziwiły ich ślady cierpienia, wyryte w ciągu godzin kilku przez chorobę, której doktór wcale nie miał za niebezpieczną. W ciemnych jej włosach coraz więcej zjawiało się nitek srebrnych. Rysy się wyciągały.

Głębokie zmarszczki pokazały się na twarzy. Wybiła godzina dziesiąta, gdy doktór znowu odwiedził chorą, jak był obiecał. Przystąpił do niej, pomacał puls i ucho przyłożył do piersi, ażeby się oddechowi przysłuchać.

— Dobrze — odezwał się — dużo zostało lekarstwa?

Galoubet pokazał mu flaszkę.

— Cztery łyżki mówił dalej dokator — kiedy skończy się lekarstwo, dajcie chorej odpocząć, ale nie odchodzić od niej ani na chwilę.

Doktór odszedł, zapowiadając, że będzie rano.

— Teraz umówimy się — rzekł Sylwan — ty będziesz spał dwie godziny, a ja tymczasem siedzieć będę przy chorej. Po dwóch godzinach ty zajmiesz moje miejsce przy łóżku dyrektorowej, a ja się na twojem położę, na kanapie.

Około piątej zrana kobieta jakby przyszła do siebie. Powiodła po pokoju błędnym wzrokiem, który wyrażał jednak niepokój. Oczy jej zwróciły się na śpiącego Galoubeta. Pytać się zdawała siebie, co znaczy jego obecność. Wargi jej się poruszyły. Prawdopodobnie chciała coś powiedzieć. Sylwan Cornu, przypomniawszy sobie rozkaz doktora, położył palec do ust i rzekł prędko:

— Nie wolno, pani dyrektorowo, nie kazano nic mówić.

Pani Rosier opuściła na poduszki głowę, która chwilowo podniosła, zamknęła oczy i nie poruszała się więcej. W tym stanie pozostawała do tego czasu, kiedy Magdalena wprowadziła doktora. Była dziewiąta zrana.

— Jakże noc? — spytał doktór.

— Do rana chora ani się ruszyła — odpowiedział Sylwan Cornu. — O świcie dopiero otworzyła oczy a chciała mówić, ale jej nie pozwoliłem. Spojrzała na mnie i znowu zasnęła.

— Nie majaczyła?

— Wcale.

— To lepiej jest, aniżelim się spodziewał.

Doktór wyjął z kieszeni flaszeczkę i dał łyżkę lekarstwa chorej, której głowę uniósł Galoubet. Agentka otworzyła oczy i nie sprzeciwiając się wcale, połknęła lekarstwo. Oczy jej zwróciły się na doktora i na pytanie jego:

— Jak się pani czuje? widzi mnie pani? słyszy? rozumie?

Odpowiedziała słabym głosem:

— Widzę pana, słyszę, rozumiem.

— Czy panią co boli.

— Nic mnie nie boli, tylko cała się czuję potłuczoną.

— A głowa?

— O! myśleć mogę jak najlepiej! Od paru godzin wcale nie śpię, tylko myślę!... o myślę!.... która godzina?

— Około dziesiątej.

— Dziesiąta! już... no, wstanę!

— Malignę ma! — szepnął Galoubet.

— Chce pani wstać? — zapytał doktor. — Cóż znowu!

— Muszę!

Ależ to szaleństwo!

— Nie! powinnam być na nogach. Mam bardzo wiele do załatwienia rzeczy ważnych!

— Czy pamięta pani, od czego miała pani wczoraj uderzenie krwi do mózgu?

Pani Rosier wstrząsnęła się całem ciałem.

— Tak pamiętam!

— Więc pani widziała go? — spytał żywo Galoubet. — Tego, co po list przyszedł.

Brwi pani Rosier zmarszczyły się. Twarz jej bardziej jeszcze pobladła.

— Tak... — szepnęła — widziałam go.

— I poznała go pani?

— Poznałam.

— I któż to był?

— To był Lartigues.

— Zatem — wtrącił doktor — uderzenie krwi do głowy spowodowane zostało niespodziewanym widokiem człowieka, którego pani nazywa Lartigues'em?

— Tak, właśnie. Człowiek ten niegdyś wiele mi złego wyrządził, widok jego raził mnie jak piorunem; ale teraz to przeszło, zapewniam pana. Przyszłam już do siebie zupełnie. Koniecznie pragnę wstać. Jak wszyscy z pokoju tego wyjdą, zaraz wstanę i będzie pan miał dowód, że siły mi już wróciły.

— A ja pani powtarzam, że po tak silnem wstrząśnieniu nieostróżnie. a nawet niebezpiecznie byłoby wstać z łóżka tak prędko.

— No to będę nieostrożną, narażę się na niebezpieczeństwo, chociaż wcale mi ono nie grozi. Powiadam panu, że jestem zupełnie zdrowa.

XLIV.

Doktór ze zdziwieniem parzył na panią Rosier i pytał sam siebie, czy nie dostała obłąkania. Skinął na Galoubeta i Sylwana i wraz z nimi wyszedł z pokoju. Magdalena chciała także pójść z nimi.

— Ty zostań — rzekła do niej agentka — będziesz mi potrzebna.

Służąca stanęła przy łóżku, a pani Rosier mówiła dalej:

— Słuchaj mnie uważnie, bo to, co ci polecić mam, jest rzeczą niezmiernej wagi. Nie wychodź z mieszkania wcale. Jeżeli kto przyjdzie i spyta o mnie, powiedz, że mnie w domu niema. Nie chcę się z nikim widzieć, z nikim bez wyjątku. Zrozumiałaś i będziesz pamiętała?

— Może pani być spokojną. Więcej nic mi pani niema do rozkazania.

— Nic.

Magdalena wyszła. Pozostawszy sama Aime Joubert wstała z łoża, ale się zachwiała. Drżące jej nogi nie były w stanie udźwignąć ciężaru ciała; musiała zaraz usiąść na krześle.

Od trupa bledsza, z twarzą posępną, z dziwnym blaskiem w oczach, prawie nieruchomych — agentka wstała za chwilę, poszła wolnym, lecz pewnym krokiem do szafy, z której wyjęła ciemny, wełniany szlafroczek i włożyła go na siebie. Oczy jej mimowoli padły na lustro. Sama siebie nie mogła poznać. Postarzała od wczoraj o jakie lat dziesięć, a włosy jej prawie zupełnie posiwiały.

— Tak — wyszeptała — najstraszniejszej męczarni doznałam, jaką tylko los może zesłać na matkę. Pamiętam, po ten przeklęty list przyszedł Maurycy. Ten list oddano Maurycemu! Syn mój wspólnikiem tej bandy morderców! I sam może morderca! Nie! nawet rzeczywistości nie uwierzę! Jeżeli syn mój wspólnikiem został tych łotrów, uczynił to bezwiednie! Nie pojmuje złego, z którem się łączy! Ale ręce jego nie zwalane są krwią. Nie może być zabójcą. — Boże, mój Boże, ulituj się nademną! Pozwól mi przynajmniej wątpić! Pozwól mi zapomnieć te pytania, które mi zadawał, a których znaczenie teraz dla mnie jest jasne! Pozwól mi zapomnieć, że on był tu, w tym pokoju, gdy hrabia Iwan przywiózł mi spinkę i że on mógł słyszeć i że potem zabitą została Oktawia.

O! to okropne!... To okropne!... wszystko się przeciw mnie połączyło. Ja tylko nie chcę wierzyć, nie chcę. Jeżeli obwinię mego syna, będę musiała go wydać! ja, jego matka! O!!

Na tę okropną myśl nieszczęśliwa kobieta znowu się zachwiała, ale po raz drugi przemogła omdlenie. — Innych dowodów mi na to trzeba — szepnęła — rozum nie pozwala mi przypuszczać, aby on nieświadomie działał i był biernem narzędziem w zręcznym ręku. Kto wie, czy ten holenderczyk, ten kapitan Van Broke...

Wymawiając to nazwisko, Aime Joubert wstrząsnęła się gwałtownie. Krew uderzyła jej do twarzy...

— Van Broke — powtórzyła drugi raz — kto jest ten człowiek? A jeżeli to Lartigues, który przez nienawiść ku mnie dobrowolnie syna naraził na niebezpieczeństwo, zapomniawszy, że i jego jest synem, jeżeli tak jest, to Maurycy nie winien. Muszę się dowiedzieć o tem, muszę, dowiem się!

Potem położyła się, nie rozbierając się, ale, przykrywszy się kołdrą, zadzwoniła na Magdalenę i kazała jej przywołać dwóch agentów.

— Jedliście już śniadanie? — spytała.

— Nie jeszcze.

— Zaraz tym panom przyrządzę śniadanie — odezwała się służąca.

— Idź i powiedz, jak będzie gotowe.

— Dobrze, proszę pani.

Magdalena wyszła.

— Teraz posłuchajcie mnie — rzekła agentka do Galoubeta i Sylwana. — Zrozumieliście, że mnie spotkało coś niezwykłego, coś strasznego.

— Ba! dość na panią spojrzeć! Boże, tak pani się zmieniła!

— To nic, to przejdzie. Odpowiedźcie mi szczerze Czy szczerze jesteście do mnie przywiązani?

— Ja w ogień mógłbym się dla pani rzucić — rzekł Galoubet.

— A ja do wody! — dodał Sylwan Cornu.

— To rzeczywista prawda, to święta prawda! — powiedzieli obaj chórem.

— Więc dowiedzcie mi swego przywiązania!

— Ale jak?

— Oto nie pytajcie się mnie o nic i ślepo słuchajcie...

— Dobrze, co mamy robić?

— Możecie się postarać o wytrychy?

Sylwan Cornu i Galoubet spojrzeli po sobie i pierwszy odpowiedział:

— Bardzo łatwo. Sam znam pewnego człowieka, który za dwadzieścia franków da nam wyborne „klawisze".

(Klawisz w języku złodziejskim oznacza wytrych).

— Więc wystarajcie się, jak można najprędzej — mówiła Aime Joubert.

— Za dwie godziny mogę mieć. Tylko pójdę i wrócę.

— Pójdziesz zaraz po śniadaniu.

— Bardzo dobrze.

— Gdzie się podziali agenci, którzy z nami byli wczoraj?

— Poszli do prefektury opowiedzieć o wypadku, który panią spotkał.

Pani Rosier zmarszczyła brwi.

— Do prefektury — powtórzyła. — Poszli zdać raport. Szkoda... wielka szkoda! Lepiej byłoby milczeć. Ale już pomyślałam i o tem. Czy ci dwaj agenci przyjdą tutaj?

— Nic nie mówili.

— To niech jeden z was pobiegnie i powie im, że ich potrzebuję. Ale naczelnik policji nie powinien wiedzieć o tem, jak działać będziemy.

— To po co brać tych ludzi?

— Bo prawdopodobnie trzeba będzie kogoś aresztować.

— Jeżeli potrzeba nam będzie posiłków, — możemy wziąć sierżantów miejskich.

— Masz słuszność, ci wystarczą.

— Tembardziej — rzekł Cornu junacko — że Galoubet i ja silni jesteśmy przecie.

— Macie przy sobie jaką broń?

Mamy rewolwery.

— Dobrze. Pomyślcie więc o wytrychach.

XLV.

Nie zdziwimy za bardzo czytelników, gdy im powiemy, że w prefekturze policji panowało wielkie zamieszanie.

Zamach na życie hrabiego Iwana Smoiłowa Kurawiewa, znalezienie podwójnego i tajemniczego mieszkania na bulwarze Temple i przy ul. Berangera, znowu złowrogo postawiły na pierwszym planie przycichłą już prawie sprawę zabójstwa na cmentarzu Pere Lachaise i przy ulicy Montorgueil.

Naczelnik policji śledczej, komisarze do spraw sądowych · Paweł de Gibray spędzili prawie cały dzień w środę na oglądaniu domów przyległych do niego, gdzie hrabia Iwan wpadł w zasadzkę. Nową trudność przedstawiały nazwiska Marchais i Martin, lokatorów dwóch mieszkań tych, łączących się z sobą za pomocą sprytnie obmyślanej maszynerji. Czy Marchais i Martin stanowił jedną osobę, czy też byli to rzeczywiście dwaj ludzie? Byłże to Lartigues i

Verdier, lub przynajmniej wspólnicy tej piekielnej bandy, która spełniła zabójstwa w grobowcu Kurawiewów i przy ul. Montorgueil, zamordowała piękną Oktawję, kochankę hrabiego Iwana i wreszcie uczyniła zamach na życie samego hrabiego?

Gubiono się w domysłach. Panika była powszechna. Gazety krzyczały, że policja pozwala w środku Paryża swobodnie działać rozbójnikom, których niezdolna jest znaleźć. Paweł de Gibray nie nocował w domu. Naczelnik policji i komisarz do spraw sądowych dwa dni bez ustanku byli wciąż na nogach. Nic się jednak nie można było dowiedzieć z śledztwa. Wszakże ta sama tajemnica, te same ciemności. Znużeni fizycznie i moralnie, zrozpaczeni przeświadczeniem o swojej bezsilności członkowie sądu powrócili do domu w czwartek zrana, ażeby trochę odpocząć. Agenci Masson i Grandchamp odwiózłszy panią Rosier wraz z Galoubetem i Sylwanem, rzeczywiście udali się do prefektury policji, ażeby zdać raport o tem, co się stało w kantorze pocztowym przy ulicy Enghien. Nie mieli się tu jednak do kogo zwrócić. Wszystka policja rozesłana była w sprawie zamachu na bulwarze Temple; musieli odejść bez zdania raportu. Kiedy nazajutrz wrócili, naczelnika policji śledczej jeszcze nie było. Agenci zostawili protokół, który sekretarz naczelnika policji obiecał mu pokazać zaraz jak wróci. Już późno zrana przybyli do prefektury naczelnik i komisarz i natychmiast zajęli się sprawami. Na biurku leżał stos raportów.

Widziałeś się z panią Rosier? — zapytał naczelnik swego sekretarza.

— Nie. Według raportu Massona i Grandchampa chora jest bardzo niebezpiecznie.

— Niebezpiecznie chora? Czy i ona nie padła pod ciosami łotrów? których na próżno szukamy?

— Nie.

— Cóż jej jest?

— Szczegóły znajdzie pan naczelnik w raporcie agentów.

— Gdzie ten raport?

— Tutaj jest!

Naczelnik wziął z rąk sekretarza protokół, podpisany przez Massona i Grandchampa. Przeczytał go z wielką uwagą i nasrożywszy brwi, co wskazywało u niego gniew.

— Każ mi pan czemprędzej sprowadzić karetkę.

Sekretarz natychmiast wyszedł spełnić polecenie. W pięć minut później oznajmiono, że karetka czeka. Naczelnik pojechał. Karetka zatrzymała się przed pocztą.

Naczelnik wyszedł, zapytał o odbiorcę i zaraz został wprowadzony do gabinetu. Tu przedstawił się, kim jest, zażądał wiadomości. Odbiorca w kilku słowach opowiedział mu całe zdarzenie z temi szczegółami, których Masson i Grandchamp nie znali, a więc ich w protokóle nie pomieścili.

XLV.

— To ona czekała tutaj na osobę, która miała przyjść po list poste-restante? — zawołał bardzo zdziwiony naczelnik.

— Dano jej list?

— Dano...

— I cóż dalej?

— On zabrał list i odszedł, a w tejże chwili agentka, dostawszy strasznego ataku nerwowego, upadła na podłogę i zaraz odwieziono ją do domu.

— Czy nikt z panów urzędników nie widział tej osoby?

— I owszem, ponieważ było wiadomo, o co chodzi, dwóch czy trzech urzędników nachyliło się, ażeby ją ze swego okienka zobaczyć.

— No i jak wyglądał? mężczyzna już trochę postarzały?

— Nie. Był to młody człowiek, lat dwudziestu trzech, bardzo przystojny.

— Coraz osobliwsze, coraz osobliwsze! — mruknął naczelnik. — Postępowanie Aime Joubert wydaje mi się niezrozumiałem. Przypuszczać należy można, że w tem wszystkiem kryje się zdrada.

Zapisawszy w notesie posłyszane wiadomości, naczelnik odjechał i udał się do sądu.

— Czekałem na kolegę z niecierpliwością — rzekł komisarz.

— Nie wie kolega czego o pani Rosier?

— Nie, ale nie o to tu chodzi.

— A o co?

— Musimy śledztwo zarządzić na ul. Ville d'Evecque.

— Cóż się tam stało?

— Zmarła tam nagle szwaczka na pensji — Komisarz policyjny nadesłał mi protokół, koledze go posłałem, dodając, że na kolegę czekam. Uprzedziłem również sędziego śledczego de Gibray, bo nic dotąd nie dowodzi, aby śmierć była naturalna, pomimo raportu lekarza miejskiego. Weźmiemy doktora z prefektury

— Służę koledze.

W tejże chwili zapukano do gabinetu.

— Proszę — odezwał się komisarz policji.

Pan de Gibray się skłonił, naczelnik mówił, że pragnie widzieć się z panem komisarzem, czeka.

— Proś.

Wszedł sędzia śledczy.

— Jak najuprzejmiej proszę kolegów rzekł — ażebyśmy się natychmiast zajęli śledztwem na ulicy Ville d' Eveque. Już późno jest, a takem zmęczony, że potrzebuje koniecznie odpocząć.

— Jedziemy — odpowiedział naczelnik — ale wprzód niech nam sędzia pozwoli skończyć jedną bardzo ważną sprawę.

Paweł de Gibray się skłonił, naczelnik mówił dalej, zwracając się do niego:

— Zapewne i pan sędzia nie słyszał nic o pani Rosier?

— Rzeczywiście. Zresztą rzadko już teraz komunikuję się z osobą bezpośrednio.

— I ja się nią nie zajmowałem — dodał komisarz. — Mówił mi kolega, że znalazła jakiś ślad...

— I rzeczywiście znalazła ślad — odparł z gniewem naczelnik — tylko nie wiedziałem jaki. Wykręcała się przed wszelkiemi pytaniami memi. Chciała nas tem łatwiej oszukiwać.

— Oszukiwać! — powtórzył Gibray.

— Tak.

— Ona! to niepodobna!

— Niech pan sędzia sam posłucha i osądzi.

Naczelnik policji opowiedział szczegółowo, jak był u agentki, która wyjechała z domu rano i następnie jakich mu wiadomości udzielono w kantorze pocztowym przy ul. Enghien. Słuchacze bardzo byli zdziwieni. Kiedy skończył, zapytał go sędzia:

— I cóż kolega o tem wszystkiem myśli?

— Ja uważam, że postępowanie pani Rosier jest zgoła nieszczere i myślę, że pani Rosier miała przyczynę jakąś do ukrywania przed nami swych planów i postępków i to, czego się dowiedziała wczoraj, bardziej ją jeszcze usposobiło do dwulicowości.

— Nie ze wszystkiem kolegę rozumiem.

— Trudno byłoby mi, a nawet niepodobna oskarżyć Aime Joubert stanowczo, przekonany wszakże jestem, że ona nie tylko nam nie pomaga, ale nam szkodzi.

— Tak pozory przeciw niej świadczą, cóż kolega względem niej postanowił?

— Dziś zaraz oddam ją pod dozór, tak, żebym wiedział o wszystkiem, co czyni, a nawet każę ją aresztować administracyjnie, ażeby żądać od niej tłomaczenia co do zdarzenia przy ul. Enghien i z wielu innych jej postępków tajemniczych.

— Aresztować — mówił de Gibray.

— Mam do tego prawo.

— Tak. Ale według mnie byłoby to niedobrze, bo nie należy się tak spieszyć. Skądże kolega może wiedzieć, że pani Rosier nie przybędzie lada chwila z raportem? Kolega wie i lepiej odemnie, że niektórzy agenci lubią przez próżność kryć się ze swym planem.

póki się im nie powiedzie. Może i pani Rosier dlatego tak postępuje. Zgadzam się z kolegą, że przynajmniej z pozoru, jest coś podejrzanego w jej postępowaniu, zwłaszcza co do owego młodzieńca, którego tak łatwo było aresztować przy okienku pocztowem, ale nie raz okoliczności, pozornie najniezrozumialsze, dają się jak najczęściej wytłómaczyć. Wierz mi kolego, że aresztowania nie trzeba, a poprzestań tymczasem na ścisłym dozorze.

— Może pan sędzia ma słuszność, jednakże nie dowierzam. Co mogłoby spowodować atak nerwowy, którego dostała właśnie w tej chwili, gdy potrzebowała całej zimnej krwi, ażeby dać sygnał? Czy podziałał tak na nią widok człowieka, który po list przyszedł? Widocznie znała tego młodzieńca, ale się go nie spodziewała tam zobaczyć. Ujrzawszy go niespodziewanie, — zdumiała, przestraszyła się, krew uderzyła jej do mózgu i tam dalej....

— Ale co to mógł być za młodzieniec?

— Czy nie syn jej? — zauważył naczelnik.

Sędzia śledczy i komisarz policji drgnęli.

— To byłoby okropne — odezwał się de Gibray. — Na szczęście nic tego nie dowodzi! Mnie się zdaje, że kolegę wyobraźnia myli. Dlaczego kolega miesza w to jej syna, młodzieńca bardzo dobrze wychowanego i bywającego w najlepszych towarzystwach paryskich? Czyż są przeciw niemu jakie obwiniające poszlaki?

— Żadnych, o ile mi wiadomo. Mnie tylko instynkt tak mówi.

— To chyba na mylną drogę kolegę prowadzi.

— Taki stary jak ja wyżeł nie daje się sprowadzić z drogi.

— No, więc jeżeli domysły kolegi są słuszne, w takim razie należy aresztować nie matkę, lecz syna. A sam kolega przyznaje, że niema żadnych poszlak przeciw temu młodzieńcowi, że zatem nie może kolega nic przeciw niemu przedsięwziąć, a ja rozkazu aresztowania nie dam. — Jutro wszystko się wyjaśni. Teraz już godzina ósma. Dajcie mi koledzy protokół komisarza z ulicy Ville d' Eveque. Przeczytam go i pojedziemy.

— Protokół znajduje się w prefekturze, w moim gabinecie — odpowiedział naczelnik policji — pojadę po niego i przywiozę, jeżeli panowie nie zechcą razem ze mną jechać.

W tejże chwili, gdy to się działo w gmachu sądowym to jest około ósmej wieczorem, trzej ludzie porządnie ubrani, mianowicie dwóch wysokich i jeden niski, powolnie wchodzili na dość spadzistą wyniosłość ulicy Męczenników.

Zmrok zapadał, zapalono gaz; w sklepach palono już światło. Byli to Galoubet, Sylwan i pani Rosier, którą trudno poznać było w ubraniu męskiem.

Na twarzy agentki widniała śmiertelna bladość rysy okropnie były zmienione, nieszczęśliwa kobieta chwiała się nieledwie na każdym kroku i trzymała się na nogach tylko siłą woli. Szła jedna, nie

zatrzymując się i opierając się tylko na ręce Sylwana Cornu. Galoubet podążał za nimi. Przebywszy dwie trzecie ulicy Męczenników, skręcili na lewo i weszli na ulicę Navarin. Tu pani Rosier zatrzymała się przed domem, gdzie mieszkał Maurycy i dokąd nieraz prowadziliśmy czytelników.

XLVII.

— Czy już przyszliśmy? — zapytał Galoubet.

— Tak — odpowiedziała agentka — widzicie dom, do którego mamy wejść, na trzeciem piętrze, mieszka tu doktor Chenu. Jeżeli zapyta odźwierna, powiedzcie po prostu: „Idziemy do doktora Chenu".

— Dobrze — rzekł Galoubet — pójdę pierwszy.

— A my za tobą.

— Na którem piętrze trzeba drzwi otworzyć?

— Na trzeciem. Pokażę wam które. Potrzeba prędko otworzyć, aby kto nas nie zaszedł.

— Dobrze, my już się postaramy.

Brama domu, w którym mieszkał syn Aime Joubert, była w tej chwili otwarta. Galoubet przestąpił próg, przeszedł obok odźwiernej i udał się na schody, a nikt go o nic nie zapytał.

W pół minuty potem pani Rosier i Sylwan poszli za nim, a odźwierna, bardzo zajęta przyrządzaniem wieczerzy, nie raczyła na nich ani spojrzeć.

Przeszli na trzecie piętro, gdzie czekał Galoubet.

— Tu — rzekła agentka — tylko prędzej.

Galoubet wyjąwszy z kieszeni wiązkę „klawiszy", to jest wytrychów złodziejskich, włożył jeden z nich do zamku ze zręcznością, świadczącą, niestety, o wielkiej wprawie i natychmiast drzwi otworzył. Troje osób naszych weszło pospiesznie i drzwi zamknęło. Sylwan zapalił świecę w lichtarzu na stole w przedpokoju, potem udali się do gabinetu Maurycego, do tego samego pokoju, w którym na początku opowiadania widzieliśmy młodzieńca palącego ubranie, powalane krwią i wczytującego się w tajemniczą korespondencję, znalezioną na cmentarzu Pere Lachaise i w pugilaresie człowieka, zabitego na ul. Mortorgueil.

Przestąpiwszy próg tego pokoju, pani Rosier, poczuła, że dusi się od nieprzezwyciężonego wzruszenia, musiała się oprzeć o krzesło, ażeby nie upaść i wilgotnemi oczyma oglądała się dokoła, a każdy przedmiot mówił jej o ukochanym synu.

Tu otwarta książka na biurku wskazywała przerwane czytanie. Tu połowa strony była zapisana. Gdzieindziej rękawiczka przypom

niała wytworny kształt ręki, na której Aime Joubert wyobrażała sobie czerwone plamy!

— Nie, nie to niepodobna! — wyszeptała usiłując chwycić się jakiejś nadziei, żadnych dowodów tu nie znajdę. Maurycy nie winien, może być winien, on o niczem nie wie, nieświadomem był narzędziem tych łotrów, którzy go oplątali i nim się posługują. Maurycy miałby popełnić jaką zbrodnię... O! nigdy!

Sylwan i Galoubet czekali w milczeniu, póki pani Rosier po cichu mówiła do siebie.

— Spuścić rolety — rzekła — ażeby z ulicy nie było widać światła w mieszkaniu.

Galoubet i Sylwan pospieszyli rozkaz spełnić... Agentka mówiła dalej:

— Teraz trzeba w papierach poszukać wszystkiego, co może dotyczyć Lartiguesa; Verdiera i kapitana Van Broke. Potrzeba listy czytać przy pomocy kartki, szukajcie we wszystkich szufladach, odbijajcie zamki jeżeli są zamknięte na klucz, szukajcie skrytek, słowem wszystko rewidujcie!

Obaj agenci zabrali się do tej roboty z niezwykłą zręcznością i pośpiechem. P. Rosier usiadła przy biurku Maurycego. Na biurku tem leżały notesy. Wzięła do ręki jeden i zaczęła go przeglądać, ale nic w nim podejrzanego nie znalazła. Były tu rozmaite notatki, cyfry, nazwiska, adresy, numery, nic, coby mogło Maurycego oskarżać; również obejrzenie drugiego i trzeciego notesu nie doprowadziło do niczego. Aime Joubert wzięła czwarty, oprawny w jaszczur z klamrami srebrnemi.

Otworzyła go jak poprzednie. Ręka jej z początku drżała, w uszach szumiało, agentka zrozumiała, że lada chwila może zemdleć. Dobyła z kieszeni flaszeczkę z lekarstwem, które jej doktor dał i napiła się trochę. Niemoc, jaka ją ogarniała, ustąpiła. Aime Joubert spokojnym i pewnym już głosem zapytała Sylwana i Galoubeta:

— Cóż znaleźliście co?

— Jak dotąd, nic godnego uwagi — odpowiedzieli agenci.

Szukajcie dalej, szukajcie, przeglądajcie się każdej rzeczy.

— Niech pani będzie spokojna, już my sumiennie rewidujemy.

I szukali dalej. Pani Rosier znowu wzięła wypadły jej z ręki notes i otworzyła go po raz drugi. Wysunął się z niego złożony w kilkoro papierek. Agentka schwyciła go, ale gdy rozwinęła, zdawało się jej, że rozpalone żelazo popiekło jej palce. Odrzuciła papierek i krzyknęła:

— O! Boże... Boże! Boże miłosierny, litościwy, czyż nie ulitujesz się nademną? Co widzę? to kratka, kratka powycinana, taka sama, jaką znaleziono w Mordze, przez którą przeczytałam list z Londynu. Teraz już wątpić niepodobna. Mój syn jest wspólnikiem tych łotrów! — wspólnik Lartiguesa, wspólnik swego ojca!

Przy tych słowach pani Rosier ujęła znowu powycinany papierek, rozwinęła go całkiem, a wtedy oskarżająca kratka w całości przedstawiła się jej oczom.

— Maurycy zabójcą — wyszeptała pani Rosier głuchym głosem. — Nie podobna nie wierzyć rzeczywistości! Lartigues, zabrał mi syna, ale gdzie go łotr znalazł? Jakim sposobem go poznał? Jak zdołał nim opanować? O! teraz przekonana jestem, że Lartigues kryje się pod nazwiskiem kapitana Van Broke. A Maurycy całował mnie, nazywał ukochaną matką, zapewniał, że podziwiać będzie odwagę moją, gdy mu powiem, kto jestem, a kiedym się zwierzyła przed nim, że szukam zabójcy z cmentarza Pere Lachaise i z ulicy Montorgueil, że ścigam Lartiguesa — słuchał, uśmiechając się — nie drżał. Cóż to za potwora na świat wydałam? Syn mordercy sam musi być mordercą, jak ojciec, odzywa się w nim krew ojca!

Po chwili milczenia, podczas którego cierpienie rozdzierające duszę, przebijało się na twarzy jej, agentka mówiła dalej:

— Nie, nie! jeszcze nie wierzę! Wszystko mi mówi, że on winien, ale nie jestem jeszcze przekonana. A może on nic nie wie, co znaczy ta kartka? Może znalazła się u niego tylko przypadkowo? Do oskarżenia innych potrzebaby dowodów.

— A ma pani dowody i to jeszcze jakie! — krzyknął Galoubet — wchodząc z paczką papierów w ręku. — Znaleźliśmy to wszystko na spodzie walizy.

Agentka schwyciła za papiery i drżącą ręką rozsypała je przed sobą na biurku. Wzruszenie jej było tak silne, że z początku nie mogła sobie zdać sprawy co czyta, zwolna jednak, stopniowo, w umyśle jej zapanował względny spokój. Zrozumiała. Czytelnicy wiedzą już co miała przed oczami. Była to korespondencja wyjęta z sanctissimum w grobowcu Kurawiewów, testament Armanda Dharville, wiadomości o Symeonie i Marji dwóch córkach Walentyny Dharville, list podarty przez Verdiera w lasku Vinceńskim, a podniesiony przez Maurycego i zebrany, który go pierwszy naprowadził na ślad stowarzyszenia Pięciu. Agentka przeczytała i zrozumiała wszystko.

Odgadła ona zbrodnię już na początku śledztwa wobec sędziego śledczego i naczelnika policji. Celu jednak zbrodni nie mogła się domyślić; a teraz i cel zbrodni stawał jej przed oczami wyraźnie. Testament i notatki Armanda Dharville tłomaczyły wszystko jak naj lepiej — Chciano się pozbyć dwóch spadkobierczyń, i oto dlaczego Maurcycy miał się z jedną ożenić. Zabójcza logika raziła ją bardzo boleśnie Marja Bressoles żyła jeszcze, ale kto wie, czy nie zginęła już biedna Symeona? Zimne i potworne okrucieństwo zbrodniarzy przerażało panią Rosier, krew ścinała się jej w żyłach, przejmowało okropnym dreszczem. I jednym z tych nikczemników był jej syn.

XLVIII.

Pani Rosier chciała jeszcze nie wierzyć, ale niepodobna było jej wątpić. Jakim sposobem Maurycy zetknął się z tymi złoczyńcami? Nieszczęsna matka wciąż zadawała sobie to pytanie. Rozerwany i sklejony list wyjaśnił zagadkę. Przeczytała list ten przy pomocy kratki znalezionej w notesie młodzieńca i wyszła na jaw prawda, Maurycemu udało się pochwycić tajemnicę „Pięciu".

Dla brania udziału w zyskach część zbrodni wziął na siebie i wybrał, a przynajmniej przyjął część najcięższą najpotworniejszą. Pani Rosier odczytując do końca wszystkie znalezione dokumenty, miała na twarzy wyraz straszliwego spokoju. Był to jednak tylko pozór, w głowie jej huczała burza.

Włożyła papiery do kieszeni swego ubrania męskiego i wstała. Okropnie była bladą. Oczy tylko pozostały żywe w obumarłem ciele i gorzały ogniem ponurym.

— I cóż, pani dyrektorowo? — spytał Galoubet, widząc, że pani Rosier wstała — czy się nam poszczęściło? Ma pani te dowody, których pani szukała?

— Mam — odpowiedziała nieszczęśliwa matka — tu są wszystkie dowody.

— A u kogo my tu jesteśmy, pani dyrektorowo? — jeżeli wolno zapytać!

— U wspólnika Lartiguesa i Verdiera — odpowiedziała agentka zimno — u zbrodniarza.

— A czy wie pani, gdzie ich wszystkich będzie można złapać? — zapytał Galoubet.

Pani Rosier drgnęła.

— Gdzie ich wszystkich złapać? — powtórzyła. — Tak, trzeba ich schwytać! O, gdybym tylko miała adres kapitana Van Broke.

Osunęła się znowu na krzesło, z którego tylko co wstała, wzięła notes, z którego wypadła kartka, i zaczęła przerzucać kartki, przyglądając się każdej notatce zapisanej na stronnicach.

— Nareszcie! — wykrzyknęła nagle.

Wyczytała te wyrazy, których znaczenie było dla niej zupełnie zrozumiałe:

Kap. V.-B. 22 ul. Surennes.

Niepodobna sobie było nie wytłomaczyć owej notatki w taki sposób:

„Kapitan Van Broke, 22 ul. Surennes".

— Mam cię — mówiła dalej z okrutną radością. Teraz zerwę z ciebie maskę i twoją zobaczę twarz! Która godzina — dodała gorączkowo zwracając się do Sylwana.

Agent spojrzał na zegar stojący na kominku i rzekł:

— Wpół do dziesiątej.

— Dobrze. Wiem, że jesteście uzbrojeni, ale opatrzcie broń, przekonajcie się, czy możecie strzelać.

Kiedy obaj agenci zastosowali się do tego polecenia, pani Rosier wyjęła z kieszeni mały rewolwer, obejrzała go i upewniwszy się, że jest w porządku, znowu schowała.

— Nie mamy tu więcej co robić — rzekła — chodźmy.

Przy drzwiach zatrzymała się jeszcze, rzuciła ostatnie spojrzenie na te pokoje, które widziała po raz pierwszy, a których miała już nigdy nie oglądać. Potem ręką powiódłszy po oczach, z których łzy popłynęły, wyszła prędko. Sylwan i Galoubet podążyli za nią, zdmuchnąwszy świecę i zamknąwszy drzwi wszystkie. Kilka karetek stało na placu. Pani Rosier wybrała jedną, zaprzężoną w parę koni i kazała woźnicy jechać na ulicę Surennes.

— Który numer?

— Zatrzymaj się na rogu ulicy Surennes i Anjou.

Obaj agenci usiedli na przedniej ławeczce. Na oznaczonem miejscu zatrzymała się karetka. Wszyscy troje wyszli i udali się na ulicę Surennes.

— Sylwanie! — odezwała się agentka.

— Co pani dyrektorowa rozkaże?

— Idź do cyrkułu Elizejskiego i poproś dozorcę w imieniu moim, ażeby natychmiast z agentami przyszedł otoczyć dom nr. 22.

— Biegnę!

Nowa myśl mignęła w głowie pani Rosier.

— Nie — rzekła — potrzeba wprzód zobaczyć, w jakim domu będziemy działali.

— Maleńki pałacyk oddzielny — rzekła — dobrze. Rzecz główna, ażebyśmy wejść mogli. Więc ja wejdę. Uczyń to com kazała. Jeżeli mnie, nie zastaniesz tutaj, kiedy powrócisz, to znaczy, że jestem w pałacyku. Zresztą Galoubet ci powie. Agenci, których sprowadzisz, powinni wejść do pałacyku przy pierwszym moim sygnale.

— A jaki to będzie sygnał?

— Strzał z rewolweru.

Sylwan Cornu pobiegł co tylko miał sił. Galoubet stanął w cieniu bramy, po drugiej stronie ulicy. Pani Rosier podeszła do furtki pałacyku i pewną ręką zadzwoniła.

* * *

Pozostawimy agentkę na chwilę i powróćmy do naczelnika policji śledczej, sędziego Pawła de Gibray i komisarza do spraw sądowych, z którymi się rozstaliśmy w drodze do pensji p. Dubieuf.

Dziewiąta dochodziła, kiedy karetki, któremi jechali członkowie sądu, doktór prefektury, sekretarz sędziego śledczego i dwaj agenci zatrzymały się przed bramą posesji.

Jeden z agentów zadzwonił, odźwierny i zarazem ogrodnik, mąż Doroty, pospieszył otworzyć. Zobaczywszy przybyłych, zrozumiał, poco przyjechali i rzekł z ukłonem:

— Zapewne panowie z sądu.

— Tak, uprzedźcie panią Dubieuf.

— Panowie będą łaskawi iść za mną. Pani Dubieuf czeka na panów z niecierpliwością.

Odźwierny zaprowadził wszystkich do gabinetu przełożonej, która, witając ich, zawołała:

— Chwała Bogu, żeście panowie przyjechali. Zapewne dla śledztwa z powodu śmierci dziewczyny, którą znaleźliśmy nieżywą w jej pokoju? ?

— Tak — odpowiedział Gibray — ważne i nieprzewidziane czynności nie pozwoliły nam przyjechać wcześniej. Śledztwo potrwa jednak krótko i jutro wolna pani będzie od wszelkich kłopotów. Racz pani zaprowadzić nas do pokoju zmarłej.

Pani Dubieuf wzięła świecę i poprosiła członków sądu, ażeby za nią poszli. Na trzeciem piętrze otworzyła drzwi pokoiku Symeony.

— Dziewczę leżało na łóżku tak, jak w owej chwili gdy ją oglądał doktór.

— Łagodna jej i czarująca twarzyczka wcale się nie zmieniła. Można było myśleć, że śpi, gdyby nie śmiertelna bladość i zesztywniałe ciało. Mały krzyżyk hebanowy leżał na jej dziewicz. piersi.

Dwie świece woskowe gorzały, a przy łóżku klęcząc modliła się siostra miłosierdzia. Doktór prefektury obejrzał ciało i oświadczył, że śmierć jest naturalna.

— Śmierć więc poświadczona — rzekł Gibray, rzucając na Symeonę rozrzewnione spojrzenie — ale poświadczenie nie jest jeszcze zupełne, brak jeszcze potrzebnych wiadomości osobistych. Trzeba się koniecznie dowiedzieć, z jakiej rodziny pochodziła biedna panienka, gdzie się rodziła, ile ma lat i właśnie przyjechaliśmy po to, ażeby nam pani dopomogła do spisania aktu, mówiąc, co pani wiadomo.

— Wiem bardzo niewiele — odpowiedziała pani Dubieuf

Nazwisko tej panienki wiadome pani?

— Nie i nawet nie wiem, czy miała prawo nosić jakie nazwisko; sama chyba tego nie wiedziała. Mówiłam już komisarzowi policyjnemu z naszego cyrkułu i musiał zapewne o tem nadmienić w protokóle.

— Czytałem ten protokół — rzekł Paweł de Gibray. — Pannę Symeonę znał pan Bressoles, były budowniczy i bogaty właściciel domu. Pisał do niej list, w którym prosił ją, ażeby zaraz przyszła do jego córki.

— Tak pan Bressoless, ojciec jednej z moich uczennic dawnych. Z jego rekomendacji Symeona dostała u mnie miejsce, ale nazwiska jej nie wiedział. Dziewczęciem interesowało się także dwóch młodzieńców, sławny malarz, p. Gabrjel Servais i p. Albert de Gibray, syn zasłużonego sędziego śledczego.

XVIX

Paweł de Gibray ze zdumieniem spojrzał na przełożoną pensji.

— Albert de Gibray, to mój syn, a pan Gabrjel Servais mój przyjaciel — rzekł. — Od nich się może dowiem o rodzinie dziewczęcia, o której nigdy nie słyszałem nawet o Symeonie.

— Pan Bressoles poznał Symeonę w pracowni pana Servaisa — dodała pani Dubieuf.

— A oprócz tych osób czy w Paryżu znała jeszcze kogo biedna panienka?

— Nie sądzę. Znała tylko swych opiekunów i tylko u nich bywała. I to bardzo rzadko.

— Czytając protokół komisarza policyjnego tutejszego cyrkułu, zauważyłem — mówił dalej Gibray — że wcale nie wspomina o obejrzeniu rzeczy. Czy rzeczy wcale nie oglądał? bo przecie to bardzo ważne, można znaleźć różne dokumenty.

— Komisarz wcale nie oglądał rzeczy.

— W takim razie naprawimy zapomnienie w obecności pani. Panie naczelniku policji śledczej racz pan kazać, ażeby obejrzano rzeczy.

Naczelnik skinął na agenta, a ten zaczął rewidować wszystkie szuflady. W pierwszej zaraz szufladzie komody rzucił się w oczy agentowi papier stemplowany złożony w czworo.

— O! — zawołał — to zapewne coś powie.

— Co to? — spytał Paweł de Gibray.

— Kopia metryki. Niech pan sędzia zobaczy.

Podał papier stemplowany sędziemu śledczemu. Ten wziął go spiesznie do ręki i czytać począł. Nagle twarz jego wyraziła niezmierne wzruszenie. Zbladł i chłodny pot wystąpił mu na skronie. Zdławionym głosem wyszeptał:

— Symeona Dharville, córka Walentyny Dharville i niewiadomego ojca, urodziła się w Paryżu dnia 15. listopada 1854 r.

Otarł pot z czoła i mówił dalej, jakby w malignie:

— Piętnastego listopada roku 1854, córka Walentyny Dharville i niewiadomego ojca... o! mój Boże, co za odkrycie — więc to dziewczę....

Znowu zamilkł i przystąpił do łóżka, wpleciwszy oczy z wyrazem strasznej żałości w nieruchomą twarz, zda się z alabastru.

Pierś mu się podnosiła, jakby wyrwać mu się miał z gardła jęk ledwie wstrzymywany. — Świadkowie tej sceny patrzyli ze zdumieniem na sędziego i nic nie zrozumieli.

Pan zna tę panienkę? — spytał naczelnik.

— Zdaje się , że ją znam — wyszeptał Gibray, nie będąc w stanie powciągnąć łez. — Te nazwiska, ta data, serce mi pęka, łzy płyną, — wszystko mi mówi, że ją znam.

Któż ona być może?

Kto to być może? dziewczęcia tego szukałem, kochałbym je kochałem nawet, wcale nie znając i znalazłem je martwe. Kto być może? To moja córka.

Sędzia śledczy upadł na kolana przy łóżku zmarłej, zasłonił twarz rękami, zapłakał. Głęboka cisza zapanowała w małym pokoiku. Każdy myślał o dziwnym losie, który w ten sposób połączył po raz pierwszy ojca i córkę i każdy szanował boleść Gibraya.

On w pięć minut potem wstał i patrząc wciąż na swoją córkę — której zimną rękę trzymał w dłoniach, wyszeptał tak cicho, że nikt nie mógł słyszeć tych wyrazów:

— O! Walentyno Dharville! nastąpiła chwila skończyć między nami straszne rachunki! Obiecałem, że cię ukarzę, słowa dotrzymam!

Potem zwróciwszy się do pani Dubieuf dodał:

— Nie ma tu już nic więcej do roboty; moi panowie — rzekł. — Możemy odejść. Wstąpię jeszcze do pani gabinetu — dodał, zwracając się do przełożonej — i podpiszę pozwolenie na pochowanie zwłok biednego dziewczęcia. Niech pani będzie łaskawa wziąć na siebie wszelkie kłopoty pogrzebowe, niech wszystko będzie bez zbytku, ale przyzwoicie. Jutro przyjadę tu, oddać ostatnią przysługę mej drogiej córce, odnalezionej niestety zapóźno!

Pani Dubieuf skłoniła się i odpowiedziała:

— Już ja to wszystko załatwię.

Sędzia śledczy ukląkł przy łóżku, nachylił się ku leżącej i powiedział do niej — jak gdyby go mogła słyszeć:

— Teraz, Symeono, zemszczę się za ciebie!

Wstał i szedł pierwszy, a siostra miłosierdzia pozostała sama w zacisznym pokoiku. Minęło pół godziny zakonnica przebierała paciorki w różańcu i zatopiła się w pobożnej modlitwie. Nagle zadrża-

ła. Zdawało się jej, że usłyszała lekkie westchnienie. Czyż to złudzenie?

Kto mógł westchnąć przy niej? w tym pokoiku, gdzie była z trupem sama? Zwróciła się do łóżka, a tu czekał ją zdumiewający widok. Symeona, wciąż śmiertelnie blada, ale z otwartemi oczyma podnosiła się powoli i oglądała się dokoła wzrokiem zdziwionym.

— Cud! — krzyknęła zakonnica, rzucając się do drzwi. — Cud! nieboszczka ożyła!

Nie, cudu nie było. Kwas pruski, niedostatecznie skoncentrowany przez Verdiera, niedoświadczonego chemika, wywołał letarg, długi straszny, podobny do śmierci, ale nie śmierć.

Symeona, za którą pomścić się chciał Paweł de Gibray, żyła i teraz żadne niebezpieczeństwo jej nie groziło.

* * *

Rozstaliśmy się z agentką w chwili, gdy ręką pewną szarpnęła za dzwonek przy furtce pałacyku, w którym mieszkał mniemany kapitan Van Broke. Po kilku sekundach w furtce otworzyło się okienko. Z okienka wyjrzała głowa. Był to Dominik, niemowa.

— Do kapitana Van Broke! — rzekła agentka tonem śmiałym, stosowanym do jej męskiego ubrania. Dominik słyszał, ale mógł odpowiadać tylko na migi, a w okienku trudno było pantominą rozprawiać. Niezrozumiałemi dźwiękami dawał poznać swoje kalectwo, kręcił przecząco głową, co miało znaczyć: Proszę iść sobie nie ma nikogo.

Pani Rosier wcale to jednak nie zrażało.

— Wiem, że wasz pan jest w domu — odparła. — Muszę się z nim widzieć koniecznie. Pilny interes, bardzo pilny. przychodzę z ulicy Navarin, od pana Maurycego.

Usłyszawszy imię Maurycego, niemowa zamknął okienko i pośpieszył furtkę otworzyć. Aime Joubert weszła na podwórze. Teraz się już upewniła, że nie myliła się wcale. Wpuścił ją niemowa, a niemowa również odbierał pieniądze u Rotszylda za przekazem, przysłanym z Hiszpanii. Więc musiała być u Lartiguesa, albo u Verdiera. Wątpić było niepodobna. Dominik dał jej znak, ażeby poczekała,

L.

Lartigues i Verdier zupełnie spokojnie przestawszy myśleć o wszelkich kłopotach, grali ze sobą w szachy.

Słyszeli dzwonek, wiedząc jednak, jak Dominik jest ostrożny i że można nań zupełnie polegać, sądzili, że przychodzi ktoś od które

goś z ich dostawców (dostarczanie artykułów spożywczych przez kupców do domów jest w zwyczaju w Paryżu) i nie przerywali rozpoczętej partji.

Od dnia wczorajszego zamknęli się w pałacyku, nie czytali żadnych gazet, nie widzieli się z nikim, czekając bez zbyt wielkiej niecierpliwości, aż Maurycy spełni do reszty swe zadanie, a dla nich nastąpi chwila odjazdu do Londynu. Nagle otworzyły się drzwi saloniku. — Wszedł Dominik.

Lartigues podniósł głowę, zobaczył niepewnie i zapytał:

Co tam?

Dominik już wyjął tabliczkę i szyfer, które zawsze przy sobie nosił. Napisał na tabliczce wyrazy następujące: Z ulicy Navarin, od pana Maurycego przyszedł jakiś człowiek i chce się z panami widzieć. Lartigues strwożony zawołał.

— Od Maurycego!

Niemowa głową skinął potakująco.

— Czy sam jeden? — spytał dalej kapitan — Dominik odpowiedział na migi:

- Tak, nikt więcej!

— Niech wejdzie, niech wejdzie czemprędzej... Ta wizyta mnie dziwi!

Dominik zawrócił, ażeby przyprowadzić gościa, ale agentka już stała w progu. Niemowa wskazał na przybysza i odszedł. Lartigues wstał z miejsca i postąpił dwa kroki ku agentce, której nie poznał nie tylko dlatego, że była ubrana po męsku, lecz że przerażająco blada, okropnie się zmieniła na twarzy.

— Pan od Maurycego? — zapytał.

Pani Rosier zbliżyła się kilka kroków, podeszła do światła i odpowiedziała syczącym głosem:

— Tak, Lartiguesie, przyszłam zapytać się ciebie w jego imieniu, coś uczynił z jego honorem. Przyszłam zapytać cię i w imieniu mojem, coś uczynił z mym synem?

Zdumienie Lartiguesa i Verdiera, gdy usłyszeli ten głos i te słowa, łatwiej zrozumieć, niż opisać. Przerażeni, drżący, cofnęli się przed niespodziewanem zjawiskiem i wyszeptali:

— Aime Joubert!

W miarę, jak się cofali, zbliżała się ku nim agentka. Mówiła dalej:

— Znalazłam cię nareszcie Lartiguesie i widzę cię zawsze takim samym, zawsze mordercą, zawsze złoczyńcą i znam wszystkie wasze zbrodnie, i te coście już spełnili i te, które knujecie jeszcze. Zdaleka śledziłam was obu, ciebie Lartiguesie, od wielu lat, ciebie Verdierze, od kilku miesięcy, alem nie przypuszczała, ażeby fatalny los oddał wam w ręce mego syna, syna Lartiguesa i ażebyście z tego chłopca uczynili swego wspólnika! Wczoraj dopiero dowiedziałam się o tem nieszczęściu i tej podłości, wczoraj dopiero otrzyma-

łam dowód, a pomimo tego dowodu, pomimo faktów bijących w oczy, jeszcze wierzyć nie chcę. Ty sam, Lartiguesie, ty jego ojciec, musisz mi powiedzieć, czy prawdą jest ta okropność, czyś rzeczywiście z mego syna uczynił potwora na obraz i podobieństwo swoje! Odpowiadaj!

Pani Rosier skrzyżowała ręce na piersiach czekała. Obaj wspólnicy podnieśli głowę.

Po pierwszej minucie zdumienia i przestrachu względny spokój zapanował w ich głowach. Aime Jobubert mówiła dalej:

— Od twoich odpowiedzi zależy życie was obu.

Lartigues spojrzał agentce prosto w oczy i odpowiedział cynicznie.

— Cóż mogę powiedzieć nowego, wszystko wiesz, równie dobrze, jak i ja! Wstąpiłem na drogę zbrodni i szedłem po niej prosto do końca, a gdybym nawet próbował zejść z niej, tobym nie mógł. Groziła mi gilotyna, musiałem głowę ratować i zachowałem ją na karku, żyłem jak musiałem żyć po takich początkach i jak mnie do tego przeznaczyła moja natura. Gdybym cię był na drodze spotkał, byłbym cię zgniótł. I z innym tak samo bym uczynił. Maurycy zrodzony ze mnie, krew moją mając w żyłach, prędzej czy później musiał zostać mordercą. Człowiek nie może się uchronić przed losem, masz tego dowody, bo nie znając swego pochodzenia, idzie, ulegając innemu wpływowi, prócz temu, który powinien go był poprowadzić do dobrego. Maurycy przecie schwycił za nóż i zabił pewną ręką i to z zapałem! Syn podobny był do ojca. Jabłko niedaleko pada od jabłoni.

— To fałsz! — krzyknęła agentka — Maurycy nikogo nie zabił! Kłamiesz!

Lartigues wzruszył ramionami.

Syn twój zabił więcej ludzi, niż ja— rzekł — wypadek naprowadził go na ślad naszych tajemnic. Po śladzie tym poszedł dalej i ażeby zabrać miliony, zdobywać je począł sztyletem.

— Kłamiesz! — powtórzyła agentka.

— Tak sądzisz? No, to zapytaj swego syna, kto zabił Jenny, służącą Verdiera, w grobowcu Kurawiewów, dokąd się zakradł, ażeby sobie przywłaszczyć naszą korespondencję — odpowiedziałby:

— To ja!

— On! — rzekła pani Rosier, prawie nieprzytomna.

— Idź go zapytać — mówił dalej Lartigues — kto zamordował na ulicy Montorgueil człowieka w karecie, przysłanego z Anglji do Verdiera, człowieka, którego Maurycy przywiózł ze stacji kolei Północnej, zapytaj, a odpowie ci:

— Ja!

Aime Joubert zasłoniła twarz rękami i ledwie dosłyszalnym głosem wyszeptała:

— Nie, nie... Nie wierze ci. To nieprawda!

— Myślisz, że to niepodobna, a wiesz jeszcze nie wszystko: Spytaj Maurycego, kto zabił jego kochankę, piękną Oktawję, wetknąwszy jej złotą szpilkę w głowę? Spytaj, kto podpiłował lód na stawię Vinceńskim, gdzie miała utonąć Marja Bressoles, kto schował wśród kwiatów żmiję, która ukąsiła Marję, tak, że nad grobem już była, kto zadał śmierć Symeonie kwasem pruskim? A on odpowie: ja! Słowo honoru! twój syn dobrze się zasłużył. Wielkiego charakteru człowiek.

Symeona umarła! — krzyknęła agentka w najwyższem podnieceniu — umarła, powiadasz? Może i hrabia Iwan umarł! A Marji Bressoles śmierć grozi po raz trzeci! On to ohydnej i to uczynił Maurycy!

— Tak, i uczynił bez namowy, sam od siebie, powodując się poprostu instynktem i pociągiem do zbrodni, nie ja go szukałem, nie ja mu włożyłem nóż do ręki, anim go uczył, jak się ma nim posługiwać! Wcalem go nie znał, gdy nam się narzucił. Powiedział mi, że jest twoim synem, a ja zataiłem jednak, że jestem jego ojcem.

Pani Rosier dusiła się. Zdawało się jej, że oddycha rozpalonem powietrzem, że wciąga w siebie ogień. Zdawało się jej, że mózg kipi i że rozerwie zanadto kruchą czaszkę.

— Czym ja nie oszalała? — pytała siebie nieprzytomna i powtarzała ciągle: — On, on, on, morderca!

— Teraz już wszystko powiedziałem — mówił dalej Lartigues — jeżeli twój syn wtoczył się w otchłań, jak ja, jeżeli się jak ja powalał krwią i błotem, sam tego chciał. Ale ty go możesz ocalić jego i nas jednocześnie.

Na te słowa agentce w jednej chwili wróciła wszystka energja całe męstwo.

— Ocalić was! — rzekła z wściekłością w głosie — co to? Chyba nie myślisz o tem, co mówisz Lartiguesie! Mam ciebie i ty sa dzisz, że cię puszczę?

Drwiący uśmiech przebiegł po ustach Lartiguesa.

— Więc razem z nami wydasz swego syna:

Agentka zachwiała się.

Jego wydać! — szepnęła. — Wydać ludziom, ale oni go pewnie skażą....

— Na gilotynę! — dokończył Lartigues.

Agentka drgnęła od stóp do głowy.

— Milcz! —mówił dalej Lartigues. — Dzisiejszej nocy odjadę z nim!... Wywiozę go z Paryża ocalę go.

— Nie — odpowiedziała Aime Joubert stanowczym głosem. — Nie!

— To — wmieszał się Verdier — nie wyjdziesz tu stąd żywa

Wyciągnął z kieszeni rewolwer i dodał:

— Ze mnie człowiek bardzo spokojny i łagodny, ależ kto nie broni własnej skóry? Pozwól nam uciec, albo umrzesz!

LI.

Pani Rosier również wsunęła rękę do kieszeni i wyjęła rewolwer, ale zanim zdołała go wymierzyć w Lartiguesa, Verdier strzelił Agentka zwaliła się na podłogę.

Verdier nachylił się ku niej, ażeby się przekonać, czy nie żyje, gdy dały się słyszeć kroki i silne stukanie do drzwi od ulicy.

— Do djabła — krzyknął Lartigues. — Z nią byli agenci. Gdybyśmy nie mieli drugiego wyjścia, złapalibyśmy się jak myszy w pułapkę. Bierzmy czemprędzej klucze od ogrodu i od furtki pensji. Uciekajmy!

Mówiąc to mniemany kapitan Van Broke otworzył biurko, wyjął złoto, bilety bankowe i zadzwonił na Dominika. Niemowa domyślił się, czego od niego chciano. Sam już przyniósł klucze. Lartigues Verdier i Dominik spiesznie wyszli z pałacyku, otworzyli furtkę, zasłoniętą bluszczem i znikli w parku, należącym do pensji. — Galoubet i Sylwan po sznurowych drabinach przeleźli przez parekan. Dzie dzinic prędko napełnili agenci, którzy rzucili się natychmiast do pałacyku i znaleźli panią Rosier leżącą w kałuży krwi. W parku tymczasem Verdier, Lartigues i Dominik okradali się przy parkanie do furtki, wychodzącej na ulicę Ville d' Eveque. Nagle zatrzymali się przerażeni. Ku nim szła gromadka ludzi.

— Złapaliśmy się — rzekł Lartigues — dom osaczony ze wszystkich stron.

Mylił się jednak. Nikt nie znał drugiego wyjścia i nie mógł go strzec.

Idąca gromadka składała się z sędziego śledczego, naczelnika policji śledczej, jego sekretarza, komisarza do spraw sądowych, dwóch agentów i odźwiernego.

Członkowie sądu wychodzili od pani Dubieuf po śledztwie, przy którem byliśmy obecni. Wtem usłyszeli krzyki jakieś, strzał w domu sąsiednim i spostrzegli cienie w ciemnym ogrodzie. Naczelnik policji śledczej przekonany, że dzieje się coś niezwykłego, poszedł w tą stronę.

— Kto to? — zapytał trzech zbiegów.

— Drogo sprzedajemy swe życie — rzekł Verdier do Lartiguesa Rozległ się strzał, drugi i trzeci. Nikt jednak nie był raniony. A zaledwie złoczyńcy zdołali znów wystrzelić, schwytano ich i rozbrojono. W tejże chwili sześciu agentów, na odgłos strzałów przybiegło do furtki ogrodowej.

— Mamy ich! — zawołał naczelnik policji śledczej. — Jest ich trzech. Pomóżcie nam.

Agenci pod dowództwem dozorcy z latarniami w ręku otoczyli jeńców i skrępowali ich mocno. Członkowie sądu, policja i jeńcy przeszli z parku do ogródka pałacyku. Wepchnięto ich do pokoju, gdzie panią Rosier, zda się już konającą, podtrzymywali silnie Galoubet i Sylwan, a wezwany naprędce doktór ratował ją, jak mógł, uważając jednak ranę za śmiertelną.

Sędzia śledczy, naczelnik policji i komisarz do spraw sądowych weszli poza aresztowanymi. Wszyscy trzej krzyknęli ze zdziwienia i przestrachu, poznawszy w męskiem przebraniu krwią zbroczoną agentkę.

— Pani Rosier? — rzekł naczelnik policji.

Tak... to ja... — odpowiedziała Aime Joubert słabym głosem — obiecałam panu wydać Lartiguesa i Verdiera, widzi pan, żem się omyliła o jeden dzień tylko.

— Lartiguesa i Verdiera! — powtórzyli członkowie sądu.

— To oni.

Agentka wskazała na schwytanych.

— A ten? — zapytał komisarz, wskazując na Dominika.

— Nas tu dopiero trzech — odezwał się Lartigues okrutnym głosem — a powinno być czterech. Zapytajcie panowie tę panią, kto jest ten czwarty.

Usłyszawszy Lartiguesa, Aime Joubert, pomimo kuli w ciele skoczyła z miejsca, a oczy jej zaświeciły się strasznie.

Każcie panowie wyprowadzić tych ludzi — szepnęła, zwracając się do naczelnika policji. — Każcie panowie ich wyprowadzić a dowiecie się o wszystkiem.

Na znak naczelnika wyprowadzono łotrów. Pani Rosier wyjęła z kieszeni paczkę papierów i podała ją Pawłowi de Gibray.

— Niech pan przeczyta — rzekła — niech pan przeczyta, nie tracąc ani chwili, a przedewszystkiem testament.

Sędzia śledczy wziął papiery i szybko przeczytał testament Armanda Dharville, który jednocześnie przez ramię czytali naczelnik policji, tudzież komisarz do spraw sądowych.

— O! teraz wszystko rozumiem! — zawołał sędzia, skończywszy czytać. — Dla spadku ludzie ci zabili Symeonę, dla spadku zabić chcą Marję Bressoles! O, zbrodniarze!

— Są już w pańskiem ręku!

— Dzięki pani, biedna pani Rosier! — wyszeptał naczelnik policji śledczej, biorąc agentkę za rękę i gorzkie czyniąc sobie w myśli wymówki za niesprawiedliwe podejrzenia.

— A również dzięki Galoubetowi i Sylwanowi Cornu — rzekła pani Rosier.

— Bądź pani pewna, że się im to porachuje.

— A moje zadanie jeszcze nie skończone — mówiła dalej pani Rosier głosem tak słabym, że ledwie można było go dosłyszeć. — Ja muszę jeszcze działać! Muszę się udać na ulicę Verneuille.

— Po co? — zapytał naczelnik policji.

— Marję Bressoles ocalić.

— Ależ pani ledwie się może trzymać na nogach — pospiesznie wtrącił doktor — nie mogłem jeszcze wydobyć kuli i nie taję przed panią — że położenie pani jest groźne.

— Tak groźne, i żyć nie będę, ja to wiem — odparła agentka — i powiadam: tem lepiej! Ale muszę dokończyć dzieła... koniecznie tak chcę!

— Sprowadź karetkę! — rozkazał naczelnik policji.

Jeden z agentów wyszedł. Dwóch ludzi zostało na straży w pałacyku, gdzie jutro odbyć się miała rewizja i spisany być miał protokół.

Lartiguesa, Verdiera i Dominika zaprowadzono pod silnym konwojem do aresztu policji; panią Rosier wygodnie posadzono w karetce obłożono poduszkami i odjechano.

Maurycy był tego dnia niezmiernie czynny. Wiemy już, że o godzinie dziesiątej zrana wstąpił do matki, ażeby jej przypomnieć, że wieczorem podpisany będzie kontrakt ślubny w pałacyku Bressolów i zapytać jednocześnie, czy będzie mogła być na obiedzie familijnym. Bardzo niemile był zdziwiony, gdy mu Magdalena odpowiedziała:

— Pani musiała wyjechać zrana, ale kazała mi powiedzieć panu, że będzie na ulicy Verneuille o umówionej godzinie.

— Ciągle z tą policją — mruknął, odchodząc. — Czas doprawdy skończyć, bo może prędzej czy później nawet sama nie chcąc, wypłatać mi bardzo szpetnego figla.

Z ulicy Victoire Maurycy zaszedł do kilku sklepów za sprawunkami, wrócił do domu, przebrał się i udał się do pałacyku Bressolów, gdzie czekano ze śniadaniem i przedstawiono go bliskim krewnym budowniczego, którzy przyjechali, ażeby być obecnymi przy podpisywaniu aktu ślubnego.

Matka Ludwika Bressoles, poczciwa, prosta sobie siedmdziesięciopięcio-letnia staruszka, cieszyła się wielce, że wnuczka jej wychodzi zamąż i że jej wybrano tak urodziwego chłopca, jak Maurycy.

Syn Aime Jaubert ujął sobie z łatwością wszystkich krewnych i wszyscy szczerze winszowali narzeczonej i jej rodzicom.

LII.

Walentyna Bressolès była posępna i wcale się z tem nie taiła. Ludwik silił się na minę człowieka najbardziej zadowolonego pod słońcem, ale mu się to nie udawało. Marja, stosując się do listu hrabiego Iwana, uśmiechała się, czuła jednak wielki niepokój, który zmienił się powoli w smutek. Śniadanie ciągnęło się długo i było wesołe, pomimo wymuszoności trzech głównie działających osób, siedzących przy bankiecie. Maurycy był bardzo ożywiony, a dwaj krewni z prowincji, facecjoniści nielada, dotrzymywali mu ciągle towarzystwa. Wstano od stołu o trzeciej. Marja, widocznie znużona, odeszła na kilka minut do swego pokoju. Znalazłszy się sama, biedaczka już się nie uśmiechała. Czoło jej spochmurniało, twarz wyrażała zgnębienie, łzy trysnęły z oczu.

— Nic... nic... — szepnęła, zwieszając głowę na pierś! — Ani słowa od Alberta, Symeona, co mi mówiła, że mnie tak kocha, w której przywiązanie tak wierzyłam, nawet nie odpowiedziała na list mego ojca, w którym prosił, ażeby się pospieszyła. Obiecano mi szczęście. Hrabia Iwan pisał do mnie w imieniu Alberta: „Miej pani nadzieję, my panią ocalimy!" Miałam nadzieję, aż fatalny dzień nastał i zbliża się straszna godzina, a nikogo nie widzę, padam pod bólem, z którym muszę się taić, aby ojca nie doprowadzić do rozpaczy. O, Boże, Boże! Czyż Ty się nie zlitujesz nademną, czy długo jeszcze każesz mi cierpieć?

Te słowa mówiąc, dziewczę klęczało przed leżącym na wierzchu klęcznika krucyfiksem z kości słoniowej. Marja modliła się. Kiedy skończyła się modlić, twarz jej inny już miała wyraz. Ślady cierpienia znikły. Zdawało się Marji, że głos boski szepnął do niej z cicha: „Miej nadzieję!" Otarła oczy, obmyła twarz zimną wodą i znowu przywróciła uśmiech na usta i poszła do gości.

Walentynie udało się na chwilę zbliżyć do Maurycego. Dziwiąc się, że z twarzy jej nie schodzi chmura, młodzieniec zapytał:

— Co ci jest moja droga? Wszystko idzie nam po myśli. Dlaczego masz taką pogrzebową minę?

— Nie wiem, zdaje mi się, że mi grozi niebezpieczeństwo — odpowiedziała Walentyna.

— Głupie uczucie, trzeba je od siebie odegnać. Czego możesz się obawiać, kiedy cię kocham i nigdy nie przestanę kochać? Czyżbyś nie wierzyła w mą miłość?

— O nie! Gdybym wątpiła, oparłabym się temu małżeństwu!

Ale żadną miarą nie mogę się przemódz, nie jestem w stanie być wesołą.

Pomińmy prędzej te wolno wlokące się godziny i przejdźmy odrazu do obiadu.

Zaproszonych osób było dwadzieścia. Maurycy zmarszczył brwi i przygryzał wargi. Matki jego nie było jeszcze i lękał się, ażeby ta niepojęta nieobecność nie dała powodu do różnych niekorzystnych domysłów. Na pięć minut przed obiadem Bressoles podszedł ko niemu z listem w ręku i rzekł:

— Niemiła wiadomość dla ciebie, kochany Maurycy.

Maurycy drgnął i zapytał, bardzo się przestraszywszy:

— Jaka wiadomość?

— Otrzymałem list od twojej matki i donosi mi, że musi koniecznie jechać do Fontainebleau, dokąd ją notarjusz wzywa w bardzo ważnym interesie.

Młodzieniec zbladł.

— A! — rzekł — bardzo mi przykro. Mogłaby matka odłożyć przecie ten interes. Najważniejsza chyba dla niej jest obecność przy podpisywaniu aktu ślubnego.

— Uspokój się, mój drogi — mówił dalej budowniczy — matka twoja dodaje w końcu, że przy podpisywaniu będzie. Nie zdąży tylko na obiad i prosi mnie, ażebym za nią przeprosił mych krewnych.

— Ha, pogódźmy się z losem, kiedy nie może być inaczej! — rzekł Maurycy, zupełnie już uspokojony.

Do stołu zasiedli o siódmej. Obiad trwał do dziewiątej. Kiedy z pokoju jadalnego przechodzono do salonu, zjeżdżali się już goście, zaproszeni na wieczór. W miarę tego, jak czas upływał, Marja znowu traciła odwagę.

Z roztargnieniem odpowiadając na przywitania przybywających osób, nie spuszczała oczu ze drzwi pierwszej sali. Każdej chwili spodziewała się zobaczyć wybawcę. Daremna nadzieja. Nikt się nie zjawił, ażeby ją wybawić od cierpień, dręczących jej serce. O dziesiątej przyjechał notarjusz. Teraz i Maurycy był już bardzo rozgorączkowany z niecierpliwości. Matka nie przyjeżdżała, dla czego? Wybiła wpół do jedenastej, zaczęto szeptać, spoglądać na młodzieńca. Bressoles dostrzegł jego niepokój i zbliżył się ku niemu.

— Nieobecność matki twojej przestrasza mnie — rzekł — mój drogi. Sądząc z jej listu, niepodobna tego opóźnienia pojąć. Czy się z nią co nie stało?

Maurycy zbladł, na myśl, że Lartigues i Verdier mogli się spotkać z agentką. Nie przeszkadzało mu to jednak odpowiedzieć:

— E! nie mamy się czego niepokoić! Z Fontainebleau pociąg przychodzi o wpół do jedenastej. Ze stacji kolei żelaznej na ulicę

Verneuille będzie pół godziny drogi. Pewien jestem, że mama będzie tu za kilka minut.

— Daj Boże...

Nieobecność matki pana młodego dodawała otuchy Marji.

— Podpis kontraktu się opóźni! — pomyślała.

Wybiła jedenasta. Ledwie ostatni dźwięk uderzeń godziny przebrzmiał, gdy lokaj oznajmił: Hrabia Iwan Kurawiew, doktor Juanos, pan Gabrjel Servais, pan Albert de Gibray.

Na te nazwiska Walentyna i Albert krzyknęli z przerażenia, Marja nie mogła się wstrzymać od radosnego okrzyku. Syn Aime Joubert cofnął się przerażony, ujrzawszy hrabiego Iwana, opierającego się na ręku dr. Juanosa i Alberta de Gibray, któremu Gabrjel Servais był podporą. Walentyna drżąca patrzała na Alberta bladego, wychudłego, jeszcze słabego, ale ze wzrokiem pełnym życia i uśmiechem na ustach. Hrabia Iwan, ażeby się utrzymać na nogach, potrzebował nadzwyczajnej energji, ale bądź co bądź trzymał się; doktór Juanos mógł się poszczycić prawie cudownem wyleczeniem.

Marja ledwie oddychając, z sercem pełnem upojenia, ze łzami radości w oczach, wyciągała ręce do Alberta, który się do niej zbliżył. Młodzi padli sobie w objęcia, szepcąc:

— Nareszcie jesteśmy razem, nareszcie!

Widzowie tej sceny niespodziewanej spoglądali po sobie, nic nie rozumiejąc. Wszystko stało się prędzej, niż zdążyliśmy opowiedzieć. Maurycy przemógłszy przerażenie, przystąpił do Walentyny i szepnął jej do ucha:

— Miarkuj się, panuj nad sobą!

Bressoles stojąc nieruchomo ze zdumienia, zapytywał sam siebie, czy to nie sen. Zbliżył się jednakże zwolna do Alberta, rzekł nie bez pewnego wahania:

— Panie de Gibray... pańska obecność tu dzisiaj....

— Jest konieczna! — przerwał Albert. — Potrzeba wszelkiemi sposobami nie dopuścić do podpisania kontraktu ślubnego córki pańskiej z panem Maurycym Vasseur'em.

Wszczęła się wrzawa nieprzychylna dla mówiącego. Maurycy chciał rzucić się na Alberta, ale go hrabia Iwan zatrzymał za ramię.

— Co znaczy ta komedja? — zapytał z niemą wściekłością Maurycy.

Hrabia odrzekł ze straszliwym spokojem:

— To znaczy, że panna Bressoles nie może zaślubić syna....

Nie zdążył dokończyć. W tej chwili lokaj oznajmił:

— Pani Rosier, pan Paweł de Gibray.

Oczy wszystkich zwróciły się na drzwi i dreszcz przerażenia przebiegł po ciele wszystkich obecnych osób. Gibray powoli wchodził do salonu z Aime Joubert, którą podtrzymywali naczelnik policji śledczej i komisarz do spraw sądowych. Agentka chwiała się przy

każdym kroku. Piersi koszuli jej męskiej zlane były krwią. Mama cała drżąca tuliła się do Alberta. Walentyna szczekając zębami, stała opodal z Maurycym pośród kilku gromadek osób, a oczy jej wlepione były w sędziego śledczego. Patrzyła jakby obłąkana.

— To sen — myślał Ludwik Bressoles, — zaraz się przebudzę.

Pani Rosier zatrzymała się na środku sali, wzrokiem powiodła dokoła i ujrzała Maurycego, jak trup bladego, lecz spokojnego. Odstąpiła od członków sądu, bez pomocy niczyjej, o własnej sile.

— Późno przyjechałam, panie Bressoles — rzekła głuchym głosem — ale na czas jeszcze, bo akt nie podpisany. Pragnę kilka słów powiedzieć memu synowi.

Chciała ku niemu podejść, ale się zachwiała. Maurycy podbiegł i podtrzymał ją. Ujęła go za rękę i spojrzała na niego. Pod ciśnieniem spojrzenia tego Maurycy spuścił głowę. Zrozumiał wszystko wykryte, pani Rosier wyjęła z kieszeni rewolwer, i podała go synowi.

— Weź! — rzekła do niego.

Rozległ się wystrzał i młody człowiek z przebitą skronią padł, pociągając za sobą matkę. Pośród przerażenia, jakie sprawiło to samobójstwo w obecności pięćdziesięciu osób, przy blasku żyrandoli, w atmosferze balowej, ozwał się dziwny, straszny krzyk, a potem śmiech jeszcze dziwniejszy i jeszcze straszniejszy. Ten krzyk i ten śmiech wyrwały się z ust Walentyny.

Upadła na kolana przy trupie Maurycego, pochyliła się nad nim i usta przyłożyła do przebitej skroni. Krew bryzgnęła jej na twarz. Powstała uśmiechnięta i rzekła bardzo cichym głosem:

— Śpi... nie trzeba go budzić.

— Mój Boże, co to jest? — spytał przestraszony Bressoles.

Doktór Duffrin, znajdujący się między gośćmi, zbliżył się i odrzekł:

— Dostała obłąkania!

A doktór hiszpański, pochyliwszy się nad panią Rosier, dodał:

— I agentka umarła!

— Syn jej był mordercą i wspólnikiem morderców — rzekł naczelnik policji śledczej — ona raz jeszcze dowiodła, jak go kochała, walila go przed gilotyną.

ZAKOŃCZENIE.

W cztery miesiące po tej strasznej scenie, przy której byliśmy obecni, sąd okręgowy departamentu sekwańskiego skazał na śmierć Lartigueau i Verdiera. Departament kasacyjny odrzucił ich apelację

i głowy obu spadły tego samego dnia na placu Roquette. Dominik niemowa, któremu nie można było zarzucić żadnego morderstwa, skazany został na dziesięć lat więzienia.

Michał Bremont, dowiedziawszy się w Londynie z gazet francuskich, co się stało w Paryżu, pospieszył uciec, nie zdoławszy przywłaszczyć sobie ogromnego spadku i miljony otrzymały prawe dziedziczki.

W tydzień po śmierci Maurycego Walentyna Bressoles, umieszczona w domu obłąkanych, umarła w paroksyzmie szaleństwa, zębami szarpiąc swe ciało w kawałki. Sprawiedliwość Boska ukarała tę, której nie mogła dosięgnąć sprawiedliwość ludzka.

W rok po tych zdarzeniach w kościele Pany Marji w Paryżu odbyły się dwa śluby, Alberta de Gibray z Marją Bressoles i hrabiego Iwana z Symeoną, w której się zakochał, widując ją codzień u Pawła de Gibray, który ją nazywał swą córką i u Alberta, który ją uważał za siostrę.

Z testamentu pani Rosier, jaki znaleziono po jej śmierci, niewielki fundusik przypadł w podziale między Magdalenę, Galoubeta i Sylwana Cornu.

Magdalena zamieszkała na wsi. Dwaj dawni złodzieje opuścili służbę w policji i żyją skromnie z procentu od zapisanego im kapitaliku i co miesiąc przystrajają w kwiaty na cmentarzu Pere Lachaise mogiłę biednej kobiety, która z nich porządnych ludzi uczyniła

KONIEC.

